



3 1761 07350759 2



Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto

Z zapomogi Kaszy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem,
Imienia Dr. med. Józefa Mianowskiego.

ZDOBIENIE I SPRZĘT

LUDU POLSKIEGO

NA

PODHALU.

ZARYSY ŻYCIA LUDOWEGO

NAPISAL

Władysław Matlakowski,

poprzedziwszy życiorysem autora, wydał

Dr. Med. JÓZEF PESZKE.

* * *

(Z 2-ma podobiznami autora, 65 tablicami i przeszło 150 rycinami w tekście).



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDEGO i S-ki.

DRUK P. ŁASKAUERA I W. BABICKIEGO

1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Октября 1900 года.

NK
976
P 56 M/3

Od wydawcy.

Habent sua fata libelli, jak mówi przysłowie — i dzieło niniejsze także dołą dołą przechodzić musilo, zanim dostać się moglo do rąk ogółu czytającego.

Nie mogąc tu wyluszczyć szczegółowo wszystkiego, co złożyło się na opóźnienie dość znaczne wydawnictwa, lecz nie chcąc brać za to winy wyłącznej na siebie (nie poczuwając się do niej w tym stopniu), muszę chociażby w zarysie skreślić dzieje książki do ukończenia jej druku.

W marcu r. 1895 otrzymałem ze Zbijewa list ś. p. Matlakowskiego, pisany w dniu 15 t. m. Znajdował się w nim ustęp taki: „Daruj mi, iż niepokoje Cię rzeczą ważną nietylko dla mnie, lecz jak tuszę sobie i dla powszechności. Siedząc, a raczej leżąc w Zakopanem podjąłem robotę.—Zgromadzić, wyszukać, opisać i wyrysować (lub sfotografować) zdobienie, motywy, sprzęty i narzędzia ludu góralskiego. Tak dłubiąc dzień w dzień przez 2 lata, pisząc w łóżku między krwotokami, z duszą na ramieniu, bez nadziei dokończenia, mimo to uskutecznić rzecz i doprowadzić ją do końca. Rok temu w przejeździe przez Kraków złożyłem Akademji Umiejętności dzieło „Zdobienie i Sprzęt Ludu Polskiego na Podhalu,” składające się: 1) z tekstu około 20 listów druku, 2) z 60 kilku tablic piórkowych 20×13 ctm. zrobionych przez p. Witkiewicza, a przeważnie przez siebie. 3) Około 100 rysunków piórkowych przeznaczonych do interkalowania. 4) Około 50 fotografów do tegoż celu. Ścisłych liczb nie podaję, bo nie pamiętam. Rok upłynął, lecz Akademia dla absolutnego braku funduszków wydać dzieła nie mogła. W tem położeniu p. Witkiewicz napisał gorąco do prof. Baranowskiego, czyby Kassa Im. Mian. nie dała zapomogi. Odpowiedź nadeszła przychylna i dopiero wtedy mnie zawiadomiono. To jest powód, że tak późno

i nagle podaję podanie i tak późno piszę do Ciebie. Nie mogąc sam prowadzić rzeczy—udaję się z wielką prośbą i nieśmiałością, czybyś nie raczył sprawy się podjąć; i w takim razie moje podanie wnieść, i od siebie podanie złożyć, iż się tego podejmiesz. Jeżeliby Ci ochota lub zdrowie, lub interesy nie pozwalały, uczyni to tymczasowo, gdyż podania wniesione być muszą przed 20 Marca r. b., a więc na wyszukanie kogo innego już nie mam czasu. Nim rzecz Zarząd rozpatrzy, zbada i rozstrzygnie postaramy się o kogo innego, kogo może i Ty łaskawie zechcesz mi doradzić. Mam jednak otuchę, iż będąc zawsze tak uczynnym... nie zechcesz mi odmówić...”

List ten zaskoczył mnie z nieobaczka zupełnie, na zastanawianie się dłuższe czasu nie było. Przyznaję szczerze, iż ochoty wielkiej nie miałem do podejmowania się pracy, której zakresu na razie nie znałem prawie zgoła, ponieważ krótkie objaśnienie, w liście zawarte, nie starczyło do wyrozumienia tego. Ale kochałem i ceniłem bardzo Matlakowskiego, wiedziałem, że dni i godziny jego są policzone — jakże więc mógłbym zasmucić odmową umierającego?—Siadłem, odpisałem, że przystaję i wziąłem na barki swe ciężar większy, niż sądziłem pierwotnie.

Kasa Imienia D-ra J. Mianowskiego podanie przyjęła w zasadzie z przychylnością wielką, wstrzymując się wszakże od postanowienia ostatecznego, aż do złożenia jej rękopisu, który znajdował się jeszcze w Krakowie. Rzecz więc poszła w odwłokę.

W dniu 26 czerwca Matlakowski ułożył się do snu wiecznego. Na dwa dni przed śmiercią jego wyjechałem za granicę, a gdym po trzech miesiącach powrócił do Warszawy, rękopis wraz z rysunkami do niego należącymi nie był jeszcze z Krakowa przywieziony. Nie spieszo się z tem, ponieważ nieboszczyk prof. Malinowski, jak się później przekonałem o tem z listów jego pisanych w ciągu r. 1895, już po śmierci Matlakowskiego, żywo zająwszy się pracą jego, nie ustawał w usiłowaniach, żeby wydanie jej umożliwić jeszcze w Krakowie pod swoim nadzorem osobistym. Dopiero gdy z powodu braku środków pieniężnych uczynić tego niemożna było, od myśli tej odstąpiono ostatecznie.

Na początku grudnia przysłano mi nakoniec kopję tekstu sporządzoną w Krakowie, nie zupełnie od błędów wolną, i bez rysunków. Złożyłem ją w dniu 10 t. m. Komitetowi zarządzającemu Kasą Im. Dr. Mianowskiego i na posiedzeniu w dniu 21 przyznano mi hojną bardzo zapomogę z zapisu W. Peplowskiego, określenie warunków bliższych pozostawiając aż do nadesłania tablic oraz rysunków innych. Odebrałem je nareszcie w lutym r. 1896, a w kilka tygodni później nadszedł i rękopis oryginalny. Wtedy dopiero mogłem się zabrać do pracy.

Według zdania mego, wydawcę sumiennego dzieła cudzego obowiązuje przede wszystkim poznanie się z niem najdokładniejsze. Powinien się zżyć z niem, wniknąć w nie do głębi. Temu więc obowiązkowi starałem się najpierw zadość uczynić, a do tego potrzeba czasu i to nie mało. Zajęty tem, przekonałem się o dwu rzeczach: naprzód, że Matlakowski pozostawił nam rzeczywiście dzieło nadzwyczaj cenne i powtórę, że konieczne będzie uzupełnienie go przez dodanie pewnej liczby rycin, których potrzebę wykazywał sam tekst, a których jednak w doręczonej mi tece brakowało. Pani Matlakowska bawiła jeszcze wówczas w Zakopanem, napisałem więc do niej i za jej pośrednictwem łaskawem otrzymałem jeszcze z czasem kilkanaście fotografów, oraz rysunków, wykonanych piórkiem przez p. Witkiewicza. Uzupełniłem w ten sposób liczbę rycin, chociaż nie do tego stopnia, jak tego pragnąłem, gdyż nie wszystkie żądane otrzymać mogłem, pomimo starań usilnych p. Matlakowskiej.

Sprawa rycin i tablic i z innych powodów była dla mnie ważna jeszcze. Nieboszczyk w liście wyżej przytoczonym, napisał do mnie te słowa: „Tablice rysunki i fotografie muszą być konieczne — warunek sine qua non, zrobione u Angerera (*w Wiedniu*). Tak mi doradził i kazał Witkiewicz”. — Aczkolwiek bardzo cenilem sobie wolę Matlakowskiego, a nie byłbym się poważał na zmienienie nie tylko wyrazu, ale nawet pisowni jego lub kropki albo przecinka w oryginale stojącego, to jednakże sądziłem, że na ten warunek jego zgodzić się nie mogę w żaden sposób, pomimo że tak wielki nacisk nań położył. Dzieło jego jest tak na wskieś swojskie, że doszedłem do przekonania niezłomnego, iż bezwarunkowo tylko siłami i środkami naszymi, wydając je, posługiwać się wolno, a to tembardziej, że ucickanie się do pomocy zagranicznej było wedle mniemania mego zupełnie zbytęczne i miało jeszcze tę wielką niedogodność, że pozbawiało mnie możności nadzoru wszelkiego nad sporządzaniem rycin. P. Matlakowska z początku słuchać nie chciała o najmniejszym odstąpieniu od woli ś. p. męża swego; tak samo p. Witkiewicz, (który bawiąc od dawna zdala od Warszawy, nie mógł wiedzieć o tem, jakie od czasu wyjazdu jego postępy uczyniła u nas sztuka wyrabiania rycin), stanowczo był przeciwny zamiarowi mojemu. Miałem więc twarde orzech do zgryzienia, a postanowiłem sobie, zrzec się raczej udziału w wydawnictwie, niż dopuścić do sprowadzenia rycin z za granicy. Gdy jednak kazawszy zrobić na pokaz kilka klisz z tablic i rysunków oraz fotografów w zakładzie tutejszym, należącym wówczas do pp. Granowskiego i Sikorskiego, a pozostającym pod kierunkiem umięjętnym p. E. Nicza, posłałem odbicia z nich p. Witkiewiczowi do cecny, przyznał mi słusność, a wtedy i p. Matlakowska już dłużej zgody swej nie odmawiała.

Przygotowanie licznych tablic i rycin do umieszczenia w tekście ukończono dopiero w r. 1897, przynajmniej wszystkich, które otrzymałem pierwotnie, bo i później jeszcze kilka z nich przyszło poprawić, lub robić nowe w miarę ich przybywania. Zdawało się więc, że niebawem będzie można druk rozpocząć. Stało się jednak inaczej.

Postanowiłem sobie, razem z dziełem Matłakowskiego wydać także obszerny życiorys jego; raz dla tego, iż należało mu się niewątpliwie upamiętnienie działalności jego, chociaż nie nazbyt długiej, ale w owoce bogatej, a powtórne, ponieważ wszystko to, co o nim napisano zaraz po śmierci, aczkolwiek tchnęło przychylnością, a nawet po większej części uwielbieniem, nie było jednak dokładne ze wszystkim i przeważnie też zajmowało się tylko jego zasługami lekarskimi; mnie zaś chodziło o nakreślenie podobizny wiernej jego, jako człowieka i jako artysty. Chirurg Matłakowski mniej obchodził mnie chwilowo, ponieważ już inni przede mną o nim pisali, i to bardzo dobrze nawet, wystarczyło mi więc powołanie się na nich i lekkie tylko uzupełnienie tego, co o nim napisali.

Dzięki uprzejmości p. Matłakowskiej, oraz kilku osób jeszcze, mogłem korzystać ze sporej liczby listów nieboszczyka, jako też z pamiętnika spisanego przez niego zaraz po ukończeniu szkół. Wielu kolegów, i wogóle osób bliżej znających autora naszego, udzieliło mi życzliwie mnóstwa objaśnień ustnych, a dołączysz do wszystkiego tego, życiorysy już drukiem ogłoszone, oraz to, co sam o nim pamiętałem wybornie, ujrzałem się w posiadaniu materiału bardzo bogatego, dającego mi możność napisaniu życiorysu pełniejszego i dokładniejszego, niżeli kto inny, piszący przede mną. Pokusa do pisania, była zbyt wielka, żeby się jej było można oprzeć, ale napotkałem na trudności nie przewidziane. Zarząd Kasy Imienia D-ra Mianowskiego, od początku samego najprzychylniej usposobiony dla wydawnictwa, w braku funduszu innego, wyznaczył zapomogę przeważnie z zapisu Wł. Pełowskiego, przeznaczonego wyłącznie na wydawanie podręczników przystępnych dla ogółu rzemieślników; chcąc więc z niego skorzystać, byłbym zmuszony wypisać na czele dzieła, że wyszło „jako wzory dla rzemieślników” i zarazem wyrzec się napisania życiorysu, jako niestosownego w podręczniku dla rzemieślników przeznaczonym. Wszystko to było wręcz przeciwne dążeniom moim i sprzeciwiało się też zarówno treści książki, jak i zamiarom jej autora; dla tego postanowiłem czekać aż do czasu, gdy okoliczności dozwolą mi wydać ją tak, jak wedle rozumienia mego wydać ją należało. Czekając zająłem się uporządkowaniem i przejrzeniem starannem materiałów obfitych do życiorysu, wyszukiwałem z niego to, co należało i co

można było ogłosić, robiłem wyciągi z listów, zestawiałem wydarzenia różne i t. p., a wszystko to, jak pojąć łatwo, pochłaniało czasu niemało.

Nakoniec doczekałem się okoliczności przychylniejszych, wyglądaných przeze mnie. Zarząd Kasy pod koniec r. 1897 uzyskał możność rozporządzenia funduszem innym, nie obciążonym już warunkami kępującemi swobodę działania wydawcy i z gotowością wyznaczył go dla mnie. Mając teraz ręce rozwiązane, zabrałem się z ochotą do pracy dość mozolnej i długiej, a ztem jej szybko dokończyć nie mógł, winne temu rozmaite zajęcia inne, nie pozwalające mi oddać wszystkiego czasu na usługi „Zdobienia”. Widocznie ciążyła nad nim jakaś dola przekorna, gdyż nawet w chwili ostatniej, kiedy napewno spodziewać się było można, że druk ukończony będzie w początku grudnia r. 1900, wyrosły nagle przeszkody nowe, już ode mnie samego zgola nie zależne, wstrzymujące znów o kilka miesięcy ukazanie się książki przez tyle osób niecierpliwie wyglądaney. —

Oczywiście nie do mnie należy ocena dzieła niniejszego, nie wypada bowiem żebym je chwalił, będąc wydawcą, uczynią to zresztą inni, tak sobie tuszę przynajmniej; atoli słów kilka powiedzieć o niem muszę, aby z góry zwrócić uwagę na niektóre braki jego, zapobiegając w ten sposób naganom krytyki nieżyczliwej, lub niewyrozumiałej.

Matlakowski zabrał się do opracowania „Zdobienia”, jako człowiek chory śmiertelnie; życie jego wisiało już wtedy na włosku, wciąż obawiać się musiał, że lada chwila krwotok płucny może koniec położyć duiom jego, więc się spieszył, a pośpiech pracom tego rodzaju nie zwykł na dobre wychodzić. Z tego więc powodu w księdze tej znajdzie się brak niejeden, pomimo bogactw w niej nagromadzonych. Wiedział o tem bardzo dobrze sam autor, i dla tego też niejednokrotnie wypowiada żal swój z powodu, że nie mógł opisać wszystkiego tak, jakby był pragnął. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał czego dziełu jego niedostaje, a jeżeli pomimo to braków nie zapelniał, to jedynie dla tego, że przechodziło to możność jego.

Omyli się też czytelnik spodziewający się, że znajdzie tu rozprawę zaokrągloną, coś w rodzaju podręcznika „Stylu zakopiańskiego”, tego bowiem Matlakowski weale nie zamierzał napisać. Chciał nam dać tylko, o ile mógł, pełny i dokładny obraz zdobienia i sprzętu ludu podhalskiego, wykazać bogactwo pomysłów jego i wyjątkowe zamiłowanie do umieszczania ozdób wszędzie prawie, gdzie to uczynić można. Obok tego opisał, zdaniem mojem po mistrzowsku, życie i obyczaje Podhalan. To było zadanie, które sobie postawił i spełnił je też sumiennie. Zebrał setki rysunków, mogących nam dać wyobrażenie najdokładniejsze o różnych sposobach zdobienia, kopując je ściśle, z niebywałą dokładnością, z przedmiotów wykonanych rzeczy-

wiście przez górali; zastanowił się nad pierwiastkami składającymi się na różne odmiany i sposoby zdobnictwa tego, wykazał je szczegółowo i zrozumiale, tu i owdzie zwrócił też uwagę na dalszy ich rozwój i zastosowanie ich możliwe, a to stanowi właśnie wartość dzieła jego największą.

W roku zeszłym ukazała się książka p. E. Kovátsa, bardzo wspaniale wydana, zajmująca się również zdobieniem ludu podhalskiego ¹⁾. W dziele tem autor, biorąc wzory z pomysłów góralskich, przerobił je częściowo po swojemu, pomieszał z motywami skądinąd zapożyczonymi, przystosował je nieraz do przedmiotów o postaci zupełnie obcej góralom naszym i stworzył przez to jakiś sztuczny „Sposób zakopański“, odbiegający znacznie od prawdziwego i mogący niewtajemniczonym dać wyobrażenie najblędniejsze o tej sztuce ludowej. Matlakowski postąpił sobie inaczej, wręcz przeciwnie; ani jeden przedmiot odrysowany przez niego samego, lub przez artystów pomagających mu, nie odbiega ani na włos od pierwowzoru swego, odtwarzając ze ścisłością fotogramu dobrego najdrobniejsze właściwości rzeczy odrysowanej. Zawdzięczamy mu więc bardzo pokazny zbiór dokumentów autentycznych, mogących posłużyć za wzory niemyślne dla wszystkich, którzy będą chcieli popracować dalej nad przystosowaniem i rozwojem tej „sztuki chłopskiej“, jak na to rzeczywiście zasługuje. Jenó, chcąc to uczynić w sposób właściwy, bezwarunkowo nie należy wstępować w ślady p. Kovátsa, wiodące na manowce, a raczej naśladować trzeba przykład p. Witkiewicza, umiającego z prostotą iście genialną tworzyć rzeczy nowe, w których postać przedmiotu i ozdoby jego wypływają zawsze ze źródła wspólnego; pomimo że pochodzą od pierwowzorów nieraz bardzo różnych i oddalonych od siebie wzajemnie, składają się jednak zawsze na całości jednolite, na wskroś stylowe. Idąc za tym przykładem, będziemy mogli stworzyć z czasem styl swojski, a gdy się to stanie, wtedy z wdzięcznością wspominać będziemy Matlakowskiego, który w warunkach bynajmniej nie sprzyjających pracy takiej, umiał zgromadzić tyle materiału najcenniejszego, ułatwiającego nam znakomicie dojście do celu tak wzniosłego. —

Rysunki zdobiące księgę niniejszą wykonane zostały po największej części przez autora samego, który przedtem prawie rysować nie umiał i dopiero w ciągu pracy swej i dla niej wyuczył się tak wybornie trudnej sztuki rysowania piórem, a doszedł w niej do takiej biegłości, że nieraz na pierwszy rzut oka trudno odróżnić robotę jego od rysunków mistrza takiego, jakim jest

¹⁾ Edgar Kováts. Sposób zakopański. Manière de Zakopane. Die Art Zakopane.— Wien A. Schroll & Co. b. w. r. in fol. Tab. XXIV. Tekst w trzech językach; tablice wykonane bardzo pięknie.

p. Witkiewicz, dopomagający w pracy Matlakowskiemu od samego jej początku, jemu też zawdzięcza dzieło nasze ryciny swe najlepsze i najpiękniejsze. Oprócz tego znajdują się tu jeszcze ryciny podług rysunków pp. Wacława Zaborowskiego, będącego też autorem okładki, Walerego Eljasza i kilku innych, których nazwiska są umieszczone w miejscach właściwych.

Wszystkie tablice i ryciny w tekście zrobiono w Warszawie pod dozorem osobistym p. Edwarda Nieza, który też sam wykonał dwie tablice kolorowane (VI i LVI), klisze wyszły z zakładów pp. Granowskiego i Sikorskiego oraz Wierzbickiego i S-ki, a odtwarzają rysunki oryginalne jak najściślej.—Za staraniem mojem dodano ryciny w tekście, oznaczone liczbami: 1, 2, 37, 42, 47, 55, 68, 79, 84, 88, 89, 102, 106, 124, 125, 128, 129, 130, 135, 150, 151, 152, 156 i 158: z nich 1 i 2 zawdzięczam uprzejmości p. Dr. med. Karola Benniego, 106, 124 i 129 zaś łaskawości p. Dr. fil. Jana Karłowicza, wszystkich innych dostarczyła na prośbę mą p. Julja Matlakowska; im więc, jak również osobom innym, które mi w doprowadzeniu do końca wydawnictwa łaskawie dopomóc raczyły, osobliwie zaś Kasie Imienia D-ra Józefa Mianowskiego za jej zapomogę tak hojną, na miejscu tem wypowiadam mą wdzięczność i podziękowanie serdeczne.

Papier pochodzi z Soczewki, gdzie nmyślnie dla wydawnictwa był sporządzony, druku dokonano w zakładzie tutejszym pp. Laskauera i Babickiego. Wydano więc książkę, jak tego właśnie pragnąłem i jak się należało, środkami własnymi, bez wszelkiego udziału zagranicznego i zdaje mi się, że wydawnictwo nie na tem nie straciło.

Warszawa, w marcu r. 1901.

Dr. med. Józef Peszke.



Władysław Matlakowski

(* d. 19 listopada r. 1850 † d. 26 czerwca r. 1895).

Ὁς γὰρ δοκεῖν ἄριστος, ἀλλ'εἶναι θέλει.
Aeschylus Septem, v. 579.



Wład. Małkiewicz

podany fotograficznie z r. 1890.

Oddając w ręce społeczeństwa mego pracę ostatnią, ukochaną, przedwczesnie zgasłego Władysława Matlakowskiego, powstrzymać się nie mogę od poprzedzenia jej życiorysem tego zacnego i dzielnego pracownika na tylu tak różnorodnych polach nauki, sztuki i wiedzy ludzkiej. Nie chciałbym go chwalić po śmierci, ponieważ sam za życia nigdy za chwałką nie gonił, pragnął-bym go tylko przedstawić takim, jakim był rzeczywiście; ale opowiadanie prawdziwe i proste żywota jego, przedstawienie działalności nieustrudzonej, do ostatniego technienia prawie trwającej, przywiedzenie zapatrywań i poglądów jego, przewyższy jednak może nieraz wszelakie pochwały, chociażby nawet z pod pióra najprzyjaźniejszego płynące.

Trudno zganić to, co się samo przez się chwali, ale nie wolno dać się zaślepić blaskiem bijącym od cnót i zasług zmarłego; trzeba również umieć dojrzeć i cienie, albowiem nie uwzględniając ich, nie można też wyobrazić plastycznie rysunku przedstawianej osobistości. Tej zasady trzymać się będę, a jeśli światło w opisie mym górować będzie nad cieniami, to jest nie moja w tem wina, jeno zasługa tego, którego życiorys mam skreślić.

Zaraz po śmierci Matlakowskiego ogłoszono w najrozmaitszych pismach lekarskich i innych, krótsze lub dłuższe życiorysy jego, kładąc przytem po większej części nacisk główny na działalność jego lekarską, albo też obsypując pamięć jego mniej lub więcej ogólnikowemi pochwałami. Znalazły się wprawdzie też inne, więcej wyrozumowane opisy żywota jego, ale i te, z powodu braku materiałów dostatecznych, nie zupełnie były w stanie dać nam obraz dokładny i prawdziwy człowieka tak niezwykłego, jakim był bezwątpienia nieboszczyk Matlakowski.

Zabierając się do skreślenia słów poniższych, znajduję się w położeniu znacznie korzystniejszym od poprzedników moich, ponieważ, pomijając już możność czerpania z ich prac, mam sposobność oparcia się na zbiorze materiałów dotąd przez nikogo nie zużytkowanych. Dzięki łaskawości p. Julji Matlakowskiej mam w rękę pamiętnik nieboszczyka jej męża, obejmujący lata dziecięce i czasy szkolne jego; spisany został w r. 1870, bezpośrednio po skończeniu szkół i zawiera niejedną szczegół bardzo ciekawą, do charakterystyki piszącego posłużyć mogącą, jako też dane odnoszące się do rodziny jego. Dalej posiadam przeszło 60 listów pisanych do osób różnych; większość ich zawdzięczam również p. Matlakowskiemu; w zbiorze tym najcenniejszemi dla mnie są listy do Romana Kowalewskiego, zmarłego

już w r. 1876, najzaufańszego przyjaciela *Matłakowskiego*, ponieważ w nich najotwarzej wypowiada poglądy i zapatrywania swoje. Najchętniej wydrukowałbym listy te w całości, stają temu jednak na zawadzie, oprócz innych względów, znajdujące się tam, nieraz bardzo trafne sądy o osobach dotąd żyjących, więc tylko wyjątki niektóre z nich będę mógł wpleść do opowiadania mego; ostatni z nich był pisany d. 13 lipca r. 1876. Listy do ojca i do rodziny, jest ich 19, sięgają do r. 1878 tylko, nie są one tak bogate w treść jak poprzedzające, jednakże i w nich znaleźć można nie jedną wskazówkę cenną, do wyrobienia sobie sądu o sercu piszącego wybornie służyć mogącą. Są to więc materiały bardzo pożądane, bo odnoszące się do tego czasu, w którym *Matłakowski* w szerszych kołach nie był znany jeszcze, obejmują lata rozwoju jego umysłowego i zawierają szczegóły dotąd ogółowi wcale nie znane. Nadto mam jeszcze kilkanaście listów do osób różnych, pochodzą one z lat późniejszych, ostatni z nich nosi datę d. 16 czerwca r. 1895 i przez piszącego nazwany został „testamentem moralnym,“ nie można go zatem w życiorysie pominąć, pomimo że niektóre z niego ustępy ogłoszone już zostały przez *D-ra. Z. Kramsztyka*, do którego list ten był pisany. (*Gazeta lek.* r. 1895 N° 30).

Dzięki materiałom wymienionym, życiorys niniejszy nie będzie tylko powtórzeniem rzeczy przez innych już dawniej wypowiedzianych, nie jest zatem może zbyt cenny. Gdybym nie nowego dodać nie potrafił, gdybym się widział zmuszonym do powtarzania samego, nie kwapilibym się wcale do pióra, ale mogąc dorzucić szczegół niejeden do charakterystyki człowieka rokującego tak piękne nadzieje, który ich nie mógł ziścić w całości jedynie dla tego, że śmierć go przedwczesna powaliła w połowie drogi życia, w chwili najwspanialszego rozwoju duchowego, poczytuje sobie za obowiązek, zarówno względem ogółu, jako też względem pamięci dla przyjaciela, przedstawić go takim, jakim był w istocie. Nie mnie sądzić o tem, jak mi się to uda; może pomimo chęci najszczerzej nie sprostim zadaniu? może zamiast podobizny wyraziściej zdołam zaledwie nakreślić rys pobieżny, zaledwo odrobinę podobny do osoby, którą ma przedstawiać? Obawiam się tego, zaczem też o pobłażliwość prosić muszę, nie dla żywotu opisywanego, ale dla piszącego. Niech wreszcie chęć stanie za uczynek.

Z *Matłakowskim* poznałem się w r. 1877 i polubiłem go od razu; powierzchowność jego ujmująca, twarz miła, oczy żywe i rozumne, wąsiki z fantazją zakręcone, ubranie staranne, ale dalekie od wymuszonej wytworności, a więcej jeszcze rozmowa nadzwyczaj ożywiona, swobodna i pełna treści, pociągnęły mnie ku młodszemu o lat kilka koledze i wzbudziły we mnie najprzychylniejsze dla niego uczucia. Stosunek nasz, już i tak przyjazny, zacieśnił się jeszcze więcej, gdyśmy pod koniec roku 1880 wstąpili razem do składu odradzającej się wtedy „*Gazety lekarskiej*“ i trwał już potem statecznie aż do końca życia jego, chociaż w latach ostatnich z powodu oddalenia się jego od Warszawy, widywaliśmy się już tylko rzadko, eo jednak bynajmniej nie osłabiło uczuć naszych przyjaznych, czego dowodem najlepszym jest to, że na krótko przed śmiercią na mnie właśnie włożył obowiązek wydania ostatniego, ukochanego dzieła swego, które, jak sam się wyraził, było „świadcstwem jego miłości kraju i jego nieciaśnoty umysłu.“

Znałem *Matłakowskiego* przez lat kilkanaście, kochałem i cenilem go bardzo żyliśmy z sobą w stosunkach przyjaznych i otwartych, często miewałem sposobność obcowania z nim w różnych okolicznościach; spotykaliśmy się w szpitalu, w redakcji, przy biesiadnym stole, na pogawędkach koleżeńskich, rozmawialiśmy z sobą nieraz o najrozmaitszych rzeczach, poważnych i lekkich, w towarzystwie i na osobności, nie krył się nigdy przede mną z przekonaniami swemi, ja również z nim byłem zawsze otwarty i szczerzy, rozbieraliśmy niejednokrotnie

ważne pytania naukowe, społeczne, lub sztuki się dotyczące, posprzeczaaliśmy się nieraz, często też uśmieliśmy się serdecznie: jednym słowem znalazłem się z nim dobrze i długo, żyliśmy w stosunkach bardzo poufanych; a teraz gdy mam pisać o nim, postać jego tak dobrze mi znana zaczyna mi się mienić przed oczyma ducha, wyrazistość rysów zaciera się jakoś, bogaty materiał zawarty w pamiętniku i w listach zdaje się kureczyć i płątać; im więcej i dłużej w nim się zatapiam, tem sąd mój staje się mniej pewny, napotykam tu i owdzie sprzeczności w usposobieniu i poglądach, często pozorne tylko, to prawda, ale zawsze sprzeczności, których dawniej nie dostrzegałem: nie wiem jak wybrnąć z tego.

Gdy Matlakowski opracowywał *Hamleta*, musiał też nieraz doznawać uczuć podobnych do moich w tej chwili, ale bo też i w nim tkwią niektóre rysy królewica duńskiego; pomimo różnic ogromnych podobny on jednak trochę do niego, chociaż wyżej znacznie stoi pod względem moralnym nad bohaterem Szekspirowego dramatu, ponieważ umiał działać i pozostawić nam piękne owoce działalności swojej; potrafił znakomicie przezwyciężyć trudności nielada i obdarzył nas dziełem niezaprzeczenie wielkiej wartości, zrozumiał i pojął rzecz niejedną, cenną dotąd dla innych, przeczuł i odgał więcej jeszcze, umiał wreszcie powiedzieć coś nowego o postaci, o której przed nim już tylu mówilo; jakże mu zazdroszczę jego zdolności, jego przenikliwości, teraz gdy o nim samym pisać mi wypada. Nie mogę pozbyć się obawy, że nie sprośtam zadaniu temu jakbym pragnął i jakbym powinien. Gdyby chodziło o zwykłe opowiedzenie kolei życia przeciętnego porządnego człowieka, sumiennego lekarza, dobrego męża i ojca, obywatela użytecznego, służącego społeczeństwu chętnie i poczciwie, kroczącego spokojnie po raz obranej drodze, bez zboczeń, bez umieszczeń, jednym słowem: męża zacnego, ale bezbarwnego, nie lękałbym się niczego, przedsięwzięcie byłoby łatwe, chociaż może nie bardzo ponętne, spełniłoby się je snadnie w przekonaniu, że się oddaje sprawiedliwość cichej zasłudze, użytecznej wprawdzie, ale tylko w kółku ograniczonym spełnianej. Gdy mowa o Matlakowskim rzeczy się mają zupełnie inaczej, a zadanie staje się inne, niesłychanie trudniejsze: suche wyliczenie szczegółów życia jego, przeplecione tu i owdzie mniej lub więcej ogólnikową oceną działalności jego, nie wystarczy; żył duchem, więc też na stronę jego duchową trzeba będzie największą zwrócić uwagę. Czyny opowiedzieć łatwo, ocenić nietrudno, ale byłyby one martwe gdyby się zapomniało o pobudkach z których wyrosły, gdyby się zapomniało o duszy tego, który je spełnił. Czy sam przez się właściwie niczego jeszcze nie dowodzi, bez względu na to, czy jest użyteczny, czy szkodliwy dla kogobądź; osądzić sprawiedliwie można go dopiero wtedy, gdy się poznało dokładnie, co mianowicie wpłynęło na spełnienie go. Kto nie zna nastroju duchowego danego człowieka, nie ma też prawa do sądenia czynów jego. Gdy przychodzi oceniać czyny zwykłe ludzi zwykłych, zadanie trudności żadnych nie przedstawia, co innego wszakże, gdy mamy do czynienia z człowiekiem wykraczającym, i to dość daleko, poza granice przeciętne.

Matlakowski nie należał zgoła do rzędu ludzi, których w gwarze teatralnej nazywają „użytecznościami.“ takich w każdym społeczeństwie napotkać można, nawet nieraz między swoimi uchodzą za wielkości, są „naszymi znanymi i powszechnie szanowanymi,“ do nich nie należał z pewnością i brzydził się nimi. Nie zwykł był chadzać szarym gościńcem życia powszedniego, owszem gdy tylko mógł zbaczał z niego chętnie, lubił stąpać po ścieżkach przez ogół mniej uczęszczanych, wystrzegał się tylko bezdroży i umiał ich zawsze i wszędzie unikać. Nie był tuzinkowym „porządnym człowiekiem,“ żyjącym jak ziemniak, na starannie uprawionej roli, zasadzony na wiosnę, a wydający pod koniec jesieni plon obfity wyrosłych dokola niego w ciągu lata ziemniaków. Nie, był to człowiek zupełnie inny, wcale nie zwykły, o głowę

całą przerastający tysiące współczesnych, nie bohater, nie geniusz, nie święty, ale człowiek za- eny, prawy, rozumny, pełen zapału dla wszystkiego co dobre, co piękne, co wzniosłe, co szlache- tne, co użyteczne: człowiek umiejący myśleć i działać, uczony o wiedzy rozległej, ale nie pedant ograniczony, poeta, ale nie marzyciel bezczynny, pracownik dbały o korzyść z trudu jego ply- nącą, ale bynajmniej nie uganiający się za zyskiem dla zysku, człowiek wysoko ceniący swą godność, ale daleki od zarozumiałości wszelkiej, serdeczny i dobry jak dziecko, ale umiejący też zapalać gniewem w potrzebie. O, nie był to wcale tuzinkowy „człowiek porządny“, nie był to wcale biegły lekarz, zręczny operator, cieszący się tylko dochodną swą praktyką, ni też pisarz zgrabny, wojujący migotliwym słowem i sztucznie przygrzany zapalem, nie estetyk formułkowy, nie dyletant błyskotliwy, popisujący się wiedzą encyklopedyczną, bez trudu zdo- byrą, ale był to człowiek o sercu wielkiem i gorącym, obdarzony umysłem jasnym, obejmują- cym szerokie bardzo widnokręgi, posiadający zdolności bardzo różnorodne, umiejący pracą własną zdobyć sobie zasób wiedzy ogromny, z najrozmaitszych dziedzin zaczerpnięty, na- koniec człowiek wkładający we wszystko, co czynił, część duszy swojej i starający się za- wsze, nie uchodzić za wzorowego obywatela, lecz być nim rzeczywiście.

Chociaż urodzony pod niską strzechą, chociaż wykarmiony na grubym chlebie, Ma- tła k o w s k i wyrósł na prawdziwego magnata duchowego, na arystokratę wiedzy; niewielu podobnych mu pod tym względem spotkać można. Łączył w sobie ścisłość nankową, mierzą- aż do pedantyzmu posuniętą, z poczuciem głęboko odczuwaną, a łączył je w sposób tak dziwny, tak prosty, że nietylko nie mogły razić nikogo, ale przeciwnie, otaczały jego słowa i pisma osobliwym urokiem. Wrażliwy ogromnie, przejmujący się łatwo, czy to ucieszą, czy smut- kiem, nie był jednak chwiejny, a chociaż się niekiedy w listach swych oskarża o słabość woli, umiał statecznie kroczyć do raz wytkniętego celu, umiał pracować wytrwale, znosić żdziebelko do żdziebelka, jak mrówka, a obok tego zbierać miód z napotykanym po drodze kwiatów, jak pszczoła: umiał służyć ciału jako lekarz sumienny, uczony i zręczny, duchowi zaś jako pisarz wcale niepośledniej miary: ciało swe wysmukłe i niezbyt silne potrafił zmuszać do pracy natę- żonej, ciąglej, podczas której i umysł jego bez ustanku bywał czynny: musiało go to czasami wyczerpywać i temu też przypisać należy pesymizm, napadający go chwilami, chociaż prze- ważnie skłonny był do poglądów jasnych i pogodnych, a zważenie rzadko tylko i nie na- długo nawiedzało duszę jego palającą ogniem szlachetnym.

Nazwano Matlakowskiego neurastenikiem; juźcie był znacznie wrażliwszy od wielu innych, posiadał usposobienie żywsze i ruchliwsze, zdolności miarę przeciętną znacznie przekraczające, praca nadmierna, jak każdego człowieka, wyczerpywała i jego czasami, ale od tego daleko jeszcze do stanu chorobliwego podrażnienia. Człowiek, który potrafił do końca dni swoich, pomimo długoletnich i ciężkich cierpień, zachować równowagę umysłową, który, widząc otwierający się u stóp swych grób pewny, z duszą na ramieniu umiał napisać jeszcze trzy książki takie, jak *Budownictwo*, *Hamlet* i *Zdobienie* niniejsze, musiał chyba być zupeł- nie zdrow na umyśle. Zresztą, nie piszę tu spostrzeżeń patologicznych nad stanem Matla- k o w s k i e g o, ani wierzę ślepo w słuszność poglądów Lombrosa, więc też uważam za rzecz zbyteczną zastanawianie się dłuższe nad tem, czy może jednak w usposobieniu jego duchowem dałyby się odnaleźć jakie ślady chorobliwości; zdaję mi się, że nie, i poprzestaję na tem.

Dla mnie umysł Matlakowskiego przedstawiał się zawsze jako widomy obraz du- cha helleńskiego z czasów Peryklesowych, rozumie się, w przejawach jego dodatnich, tego ducha bujnego rozkwitu, umiejącego *miscere utile dulci* i przytem *etiam desipere in loco*. Jak Ateńczyk z owego okresu świetnego, umiał on pamiętać o dobrach doczesnych, nie gar-

dział niemi bynajmniej, ale nie pozwalał im nigdy zapanować nad sobą, uważał je zawsze tylko za środki, potrzebne wprawdzie, ale za środki wyłącznie, nigdy za cel życia; miał on cele inne i wznioślejsze. Jako lekarz, był niezaprzeczenie owiany duchem greckim; nie wiem, czy kiedykolwiek czytał dzieła Hippokrata, wątpię nawet o tem, a jednak nawskroś był przeniknięty zasadami jego, rozumie się, że nie w szczegółach, bo te się starzeją, ale w pojęciach podstawowych, w poglądach zasadniczych, wieczną zachowujących młodość i ponętnych zawsze dla lekarzy głębiej naukę swą pojmujących. Więc był zapalonym ezcicielem nauki, ale umysł jego trzeźwy. Ignął zawsze więcej do tego, co w niej było pewne, dające się zastosować z korzyścią dla chorego; uznawał wprawdzie konieczność nauki oderwanej, szanował teorye, nie zaniedbywał zapoznawania się z niemi, ale sam nigdy nad niemi nie pracował; pewnik najmniejszy zwykł był cenić wyżej, niż hipotezę najgenialniejszą, dokładne poznanie rzeczy danej było dla niego ważniejsze, niżeli teorye najświetniejsze, spostrzeżenia kliniczne przekładał nad doświadczenia pracowniane, nie lekcewazył ich jednak, przeciwnie, gdy tylko uznał, że można z nich wyciągnąć korzyść dla sztuki lekarskiej, stosował ich wyniki natychmiast; nie był łatwowiernym ezcicielem nowości, wszelako przekonawszy się, że nowość była rzeczywiście dobra, czynił wszystko, co w mocy jego było, żeby ją rozpowszechnić; pod tym względem był wiernym naśladowcą Hippokrata, synem jego duchowym. Poczucie piękna, zamilowanie do wszystkich rodzajów sztuki, było w Matlakowskim rozwinięte do najwyższego stopnia: kochał sztukę, starał się zrozumieć ją i zgłębić, lubił wypowiadać swe na nią poglądy, prawie zawsze bardzo trafne, ale nie ezcil jej bałwochwaleczo, wyłącznie, albowiem również silnie umiał odczuwać piękności przyrody, zachwycać się wszystkimi jej szczegółami, czy to górą niebotyczną, czy drobnem ptaszkiem lub kwiatkiem; laskał piękna i umiał je wynajdywać tam nawet, gdzie setki ludzi zwykłych dojrzeć go nie umiałyby, i przez to znów był Ateńczykiem prawdziwym. Znalazszy się w towarzystwie, umiał ezarować rozmową swą, był miły i wykwintny jak Aleybiades, dowcipny jak Arystofanes, od którego wysławiania się jednego i nieraz aż nazbyt dosadnego, bynajmniej nie stronił: soli attyckiej nie skąpił, wesele się lubił, a rozswawoliwszy się, dawał się unosić czasam istnie chłopięcej wesołości. Jest to znów cecha znamienne owego szczęśliwego okresu dziejów helleńskich, kiedy to umiano i myśleć głęboko i czuć wykwintnie i śmiać się wesoło, a szczerze, nie mówiąc już o działaniu, które przecież wtedy, jak wiadomo, najpiękniejsze wydawało owoce.

Nie może podlegać wątpliwości, że Matlakowskiego ożywiał duch helleński, a jednakże ten Ateńczyk prawdziwy, ezciciel Muz i Charyt, rozkoszujący się Iliadą i Odysseą, z których ustępy długie umiał na pamięć, występował nieraz jako stanowczy wróg klasycyzmu, stający po stronie wykształcenia przyrodniczego, realnego. Tłómaczyć to można w ten sposób, że jako lekarz, jako przyrodnik, jako etnolog, nie mógł pogodzić się z tym niby-klasycyzmem szkolnym, zapominającym zupełnie o duchu, a tonącym po same uszy w ezczości przecenianych prawideł i wyjątków gramatycznych i dla bzdurstw podobnych, zanieglującym niesłychanie nauki przyrodnicze, rzeczywiście dla ogółu potrzebniejsze, niżeli owe papierowe kwiatki, wyrastające z jałowych mózgów ograniczonych pedantów. Jeżeli tak zapatrywał się, nie był sam z sobą w sprzeczności, bo można przecie rozkoszować się owocem soczystym, gardząc lupiną jego, a nawet mieć wcale nie szczególne wyobrażenie o tych, którzy właśnie lupinie tej oddają pierwszeństwo; to jasne i zrozumiałe. Trudniej atoli pojąć, jak stać się mogło, że ten Ateńczyk, ocytany jak mało kto, znający wybornie arcydzieła literatury dawnej i nowszej, nie zawahał się twierdzić, że Kohelet, ten zbiór ogólników nieciekawych, należy do szczytów wszechświatowej literatury (Wstęp do *Hamleta*, str. CLVII), ba! nawet, że

Homer i Grecy, to karły w porównaniu z Hebrajczykami Starego Testamentu. Gdyby zdania takie wygłaszał żyd-syonista, albo chrześcjanin-mistyk, ze światem klasycznym nieobeznany, nie zdolny pojąć go, dziwić się nie byłoby czemu, trudno jednak uwierzyć, że coś podobnego z ust Matlakowskiego wyjść mogło. Prawda, że wówczas, gdy słowa te pisał, był ciężko chory, nad grobem stojący, więc mogły wtedy zapanować w umyśle jego, tak wrażliwym, poglądy, do których za czasów zdrowia nie przyznawał się chyba, mnie przynajmniej nie udało się nigdy spotykać się z nimi, ani w listach jego dawniejszych, ani w tak częstych z nim rozmowach. Ale o tem wszystkim później jeszcze pomówimy.

W twardej szkole życia, zmuszony już w latach chłopięcych pracować na siebie, umiał Matlakowski grosz cenić i liczyć się z nim: uważał za obowiązek swój obywatelski dorobienie się majątku w sposób uczciwy i godziwy, ten warunek był dla niego konieczny. Pragnął z bogactwem, żeby móc potem łożyć na rzeczy dobre i pożyteczne, marzył o zdobyciu fortuny znacznej, nigdy się tego nie wypierał, cieszył się powodzeniem swem w praktyce, był oszczędny, odkładał, ciułał, nie był nigdy rozrzutny, jeżeli sobie czasem na jakiś zbytek pozwolił, to z pewnością chodziło o jakiś obraz piękny, o jakie wydawnictwo kosztowne, takich uciech duchowych nie umiał sobie odmawiać; zresztą w wymaganiach swych był skromny, a chociaż go nikt o skłonności ascetyczne posądzać nie może, trzeba jednak przyznać, iż więcej żył duchem niż ciałem. Chciał zostać bogatym, żeby hojnie szałować mieniem swem i gdyby nie choroba, która zbyt wczesnie nie żywota jego przecięła, byłby z pewnością dopiął swego, bo zajmował już stanowisko po temu, a nie zbywało mu nigdy na wytrwałości w dążeniach. Wiedza, umiejętność, praca niestrudzona i sumienna zdobyły mu pomalą powódzenie, a czystość charakteru, chęć szczerą służenia bliżnim, dbałość zawsze większa o dobro chorego, niż o swoje własne, zapewniły mu uznanie ogólne: miał więc wszelkie prawo mniemać, że marzenia jego obloką się w ciało, że stanie się tym, kim być pragnął. Stało się jednak inaczej. Na dziesięć dni przed zgonem, tak pisał z goryczą do przyjaciela: „...korony życia, najwyższego dowodu, dopiąć nie mogłem. Umieram — i oto nie mogę dowieść, iż można być wielkim praktykiem, zrobić wielki majątek, a mimo to nie być świnią. Miałem zamiar połowę mego dorobku zapisać na fundusz na Słownik języka polskiego i t. d.“ Ci, którzy go znali bliżej, wiedzą, że to nie puste słowa, ale prawda z duszy płynąca. Szkoda, że nie było mu dane osiągnięcie tej „korony życia“, do której wdychał, szkoda dla niego samego, a większa jeszcze szkoda dla społeczeństwa, które kochał ze wszystkich sił duszy swej zacnej, chociaż nie był ślepy na wady i przywary jego, chociaż je nieraz ostremi słowy chlostał, ale nie jak siopacz zajadły, jeno jak ojciec dobrotliwy, karcący syna ukochanego i bolejący zarazem w głębi ducha nad tem, że musi spełniać tak przykry obowiązek.

Od dzieciństwa niemal pracując już na siebie, drżąc nieraz przed groźbą niedostatku, wczesnie już bardzo rozumiał Matlakowski znaczenie majątku, nigdy atoli zdobycie go nie było dla niego celem życia, ale środkiem wiodącym do celów wyższych. Pieniądz sam, jako taki, nie miał dla niego żadnej wartości, gardził bogactwem i bogaczami, jeżeli ich w oczach jego zalety inne nie podnosiły, przed cieleciem złotym nigdy czoła nie schylał, nigdy mu się nie kłaniał, brzydził się wszystkimi czcicielami jego, ponieważ posiadania dla posiadania nie pojmował. Nie przeszkadzało mu to wszakże, jak widzieliśmy, szukać zarobku godziwego, pracować uczciwie na grosz, cieszyć się powodzeniem materyalnym swej praktyki, rosnącej z rokiem każdym, być zabiegliwym i skrętnym. To też pisze w liście wyżej przytoczonym: „Rozpocząwszy życie od pierwszego szczebla, udało mi się zrobić karierę materyjalną.

I to jest pierwszy sukces, który uważam za podstawę w ludzkim działaniu. Przez wybitie się na wierzeh człowiek dowodzi swej dzielności i sprawności, a wybijając się, staje się praktycznym, umie, ma prawo sądzić i wyrokować o ludzkim działaniu, bo sam się w niem ocknął. Lecz wybijając się należy tak postępować, żeby czyny i pasma ich były czyste, jawne jak lza. I to jest drugi mój sukces, że pod grozą ogłoszenia w pismach, nie znajdzie się ani jeden z tych, co mnie znali, od kolegów z Warki począwszy, przez gimnazyum, uniwersytet, świat lekarski, od biedactwa żydowskiego, które mnie do Warszawy wozilo, aż do hrabiów w Nizzy, aby o mnie zeznal, że ja kiedykolwiekbądź, óśród ciemnej nocy, gdzieś, kiedyś, popełnilem brud. I wybiłem się na wierzeh, nie dopnuściwszy się żadnej z dróg mętnych do tego wiodących: nie ożeniłem się dla kariery, i nie lizalem się żadnej wielkości, wisząc jako poplecznik, przytakiwacz, chwalea i naganiaz praktyki. Wszyscyście świadkami, że o praktykę walczyłem 10 lat.“ Tak pisał o sobie człowiek po kolana już w grobie stojący, a pisał prawdę, najszerszą, najprawdziwszą prawdę, tak myślał o zdobywaniu dóbr doczesnych, o drogach do tego wiodących, a myśli i czyny jego zawsze w zgodzie bywały. A teraz posłuchajmy słów jego o dwadzieścia dwa lata wcześniej wypowiedzianych; był wtedy studentem i składając życzenia imiennowe R. Kowalewskiemu, przyjacielowi najzaufanyszemu, tak się odzywa: „Niech ja doczekam Cię widzieć obywatelem działającym — obywatelem, t. j. stojącym u szczytów ideałów człowieka — niech życie Twe będzie nie wstążką błyszczącą, lecz pasmem czynów zaenych, wypływających z przekonania, które niech jedynie kieruje Tobą i wskazuje drogę obowiązku, po której niezłomnie idź do celu. Bodajem Cię widzial niestrudzonym bojownikiem na polu wyrabiania się ludzkości, której ruchy ku lepszemu, koniec końców od pracy jednostek zależą. Nakoniec bodajes wytrwał aż do końca w pracy dla dobra powszechnego, a nie tylko dla swojego szczęścia — nie poszedł drogą tyłu Polaków, którzy, zdobywszy jakie takie miejsce, spokojnie wegetują do śmierci. Bądź żywym przykładem czynu aż do końca — działaj, dopóki Ci siły starczą — bo kto wytrwa aż do końca, ten tylko zbawion będzie, bo finis coronat opus.“ Życzenia te, o ile dotyczyły przyjaciela, niestety, spełnić się nie miały, w trzy lata bowiem po wypowiedzeniu ich, właśnie wtedy, gdy wstępował na pole działalności szerszej, żyć przestał. Matlakowski był o tyle szczęśliwszy, że stał się rzeczywiście takim, jakim chciał widzieć przyjaciela swego, czynami dowiódł, że zdania wypowiedziane przez młodzieńca nie były czeze, ale zawierały w sobie jasno wypowiedziane prawidła postępowania, którym do telnienia ostatniego wiernym pozostał.

To, co dotąd powiedziane, dozwala już, tak mniemam, na wyrobienie sobie pewnych poglądów na istotę i ustrój duchowy Matlakowskiego, nie jest to wszakże wystarczające; żeby go zrozumieć i ocenić dokładniej, trzeba rozpatrzeć pochodzenie i żywot jego cały, otoczenie, wśród którego urodził się i wyrósł, nakoniec czyny przez niego spełnione. Przystąpmy więc do tego zadania.

Matlakowski, zawdzięczający wykształcenie i wyrobienie duchowe przeważnie samemu sobie, nadto przez życie cale szczerze przywiązany do ludu, pośród którego spędził młodość najwcześniejszą, z upodobaniem nazywał siebie zawsze dzieckiem ludu. W liście, z którego powyżej przytoczono już dwa ustępy, tak pisał stygnącą dłonią o sobie: „Wyszedłem z ciała i krwi swego narodu, z ludu, z chłopa, jako syn wielkiego człowieka, który, mając włókę ziemi (30 morgów), 3 domki 4-roizdebne w Warce, wynajmowane biedactwu żydowskiemu i wiatrak, potrafił dać, sprzedając krew swoją i pot, uniwersyteckie wykształce-

nie 4 synom, sam nie mając żadnego. A mimo [to] pozostał czystym w życiu, powszechnie szanowanym, prawym i niebankrutem.“ Wobec słów tak jasno i stanowczo wypowiedzianych przez umierającego i zgodnych zresztą z tem, co niejednokrotnie przedtem o sobie mawiał, dziwić się nie można, że dr. T. Dunin w życiorysie Matlakowskiego (Krytyka Lekarska, 1897, str. 76) twierdzi: „Służyć on może jako jeden przykład więcej, że długowiekowa kultura poprzednich pokoleń nie jest niezbędną do rozwoju wielkiego umysłu i pięknej duszy, że człowiek we względzie umysłowego rozwoju nie potrzebuje przechodzić wszystkich faz embryonalnych, że w ludzkiej prostym i ciemnym złożone są wszystkie pierwiastki piękna i prawdy.“ Nie mam bynajmniej zamiaru spierania się tu z kolegą Duninem o to, czy słowa jego wogóle zawierają pewnik, o który nie możnaby było posprzeczać się trochę, ale wiem to napewno, że Matlakowski nie może służyć za dowód jego słuszności bezwzględnej, jako też, że własne słowa jego z listu, przed chwilą przywiedzione, nie zgadzają się we wszystkim z tem, co weześniej znacznie napisał o pochodzeniu swem i rodzicach w pamiętniku, leżącym przede mną, oraz że właśnie znajdują się tam wiadomości szczegółowe, noszące na sobie wszelkie oznaki wiarogodności i, według przekonania mego, daleko lepiej zgadzające się z wrażeniem, które wywierał na wszystkich zarówno wygląd powierzchowny, jak i usposobienie wewnętrzne Matlakowskiego. Wrażenie to, czy jednorazowe tylko, czy też w obcowaniu codziennem powtarzające się często, zawsze przemawiało za tem, że człowiek, wywierający je, nie mógł być wyjść z warstwy prostaczej ludu ciemnego, pomimo że rodzice jego nie zajmowali stanowiska wyższego w społeczeństwie.

Matlakowski był wzrostu słusznego, szczupły, chociaż nie chudy, budowy pięknej i równej, postawy zgrabnej, ruchy miał lekkie i zręczne, ręce i stopy kształtne, odpowiednio do długości ciała weale nie wielkie, prędzej drobne. Rysy twarzy jego były prawidłowe, szlachetne i rozumne, ujmujące i miłe, pleć miał delikatną, włosy i zarost ciemnopłowy, oczy modre, żywe i bystre, zdradzające umysłowość bardzo rozwiniętą; uchodził powszechnie, i słusznie zresztą, za mężczyznę niezwykle przystojnego i urodziwego: w jakimkolwiek znalazł się towarzystwie, wszędzie postać jego odznaczała się korzystnie wśród otoczenia i ściągała na siebie spojrzenia. Ubierał się starannie i dobrze, unikając przytem wszelkich wybryków mody, przed którą bronił go smak wrodzony. W zgodzie zupełnej z tym wyglądem, mogącym bez przesady wszelkiej nazywać się pańskim, bywało i zachowanie się jego; umiał być wykwintnym, jak na człowieka wybornie wychowanego przystało, w obcym był swobodny i pewny siebie: pomimo wielkiej żywości usposobienia, umiał jednak zawsze miarę należyłą zachować, wiedział doskonale, co i jak komu powiedzieć wypada, tłómaczył się gładko i płynnie, głosem przyjemnym, mowa jego bywała pełna treści, iskrzyła się nieraz dowcipem i miłe głaskała ucho swą poprawnością niewymuszoną, a chociaż czasami nie wzdragał się przed użyciem wyrażenia jakiego dosadniejszego, w salonach rzadko słyszanego, to było to nie wynikiem braku wychowania, lub nieznajomości obyczajów towarzyskich, jeno zupełnie świadomem zastosowaniem wyrazu albo zwrotu jednością swą przypadającego mu do smaku i zasługującego, wedle mniemania jego, na rozpowszechnienie. Tej samej zasady trzymał się równie jako pisarz, władający po mistrzowsku językiem ojczystym i wiele dbały o jego poprawność i czystość. W kółku zaufanych przyjaciół i znajomych, gdzie mniej krepują względy towarzyskie, zachowywał się, równie jak każdy inny, swobodnie, otwarciej i szczerzej, ale i wtedy nie zdradzał nigdy braku oglady światowej, pomimo że niekiedy dawał porywać się wesołości puste, platając wtedy nawet nieraz figle, lawę szkolną przypominając; działo się to wszelako zwykle wtedy tylko, jeżeli w gronie bardzo

poufałem, kto z obecnych pobudzał go do tego i własnym przykładem do swawoli zachęcał; jednakże rozigrawszy się w ten sposób nie posuwał się nigdy tak daleko, żeby mu kto mógł zarzucić grubość obyczajów, lub wychowanie niedostateczne. Otóż człowiek o takim wyglądzie i o takim zachowaniu się, pomijając chwilowo jego wykształcenie umysłowe, wcale niezwykle, nie robił i nie mógł robić wrażenia potomka rodu kmięcego, przeciwnie, ktokolwiek się z nim zetknął odnosił wrażenie, iż miał do czynienia z wychowanym przyzwoicie i bardzo dobrze wykształconym synem t. zw. „dobrego domu“.



Podług fotografum z r. 1885.

To wszystko prawda, którą setki żyjących potwierdzić mogą, ale również i to prawda niezaprzeczona, że Matlakowski urodził się jako syn malomiasteczkowego rolnika i młynarza, człowieka prostego wprawdzie i bardzo mało oświeconego, ale dziedziczącego widocznie po przodkach swoich poczucia jakiegoś szczytniejszego i dążność ku postawieniu synów swoich na szczeblu społecznym, znacznie wyższym, niż ten, który mu samemu losy przeznaczyły. Że tak było w istocie, zobaczymy niebawem.

O pochodzeniu rodziny swej, tak pisze Matlakowski w pamiętniku, spisany prawdopodobnie w r. 1870 i dopiero po śmierci jego w pozostałych po nim papierach odnalezionym: „Pradziad nasz, szlachcic, przybył z Węgier z nad samej granicy Rusi Czerwonej, gdzie rodzina jego mieszkała. Służąc w wojsku, miał zajęcie z współtowarzyszem, którego, wyzwawszy na pojedynek, nieszczęściem zabił, za co był zmuszony uchodzić z wojska do Polski, gdzie umarł rezydentem w dobrach Ordęgi, zostawiwszy jednego syna Marcina i córkę wydaną za Jana Kodymowskiego. Szczupłe zasoby spowodowały, że nasz dziad przeniósł się do wsi Rożniszewa nad Pilicą, gdzie trzymał dzierzawą kawał ziemi, młynek wodny i owce. Upodobawszy sobie wiejską dziewczynę, Petronellę Cześniak, ożenił się pomimo przedstawień swojej siostry, która odtąd zupełnie z dziadkiem zerwała. W tejże wsi urodził się nasz ojciec Jan i jego siostry Zofija i Anna. Rodzice oddali go na naukę do ks.ks. Franciszkanów do Warki, a następnie do Góry Kalwarii, umieściwszy u wuja Kodymowskiego. Tym sposobem ojciec mój w młodych latach bujał po łąkach i gajach, położonych w cudnem położeniu nad Pilicą we wsiach Rożniszewie, Pilicy, Starej Wares, Ostrołecce, rwąc orzechy, psując proch strzelaniem bez miary. Kiedy podrósł, oddano go do terminu do młynarza Jodłowskiego w Wares, gdzie rozpoczął krwawo i ciężko pracować. Na początek rodzice kupili [mu] wiatrak w Wares, a ojciec pracując usilnie, dzień i noc, oszczędzając ciągle, kupił 1½ włóki gruntu, poczem poznawszy w Gószczyźnie moją matkę ożenił się.“

„Wrodzone talenta, zamiłowanie pracy, ład i oszczędność zjednały u sąsiadów dobre imię. Na charakter ojca miała nadzwyczajny wpływ moja matka. Z przyrody był to człowiek żywy, gorący, jak mówią, w gorącej wodzie kąpany, nadzwyczaj namiętny, lecz zasady religii, praca, a szczególnie wpływ matki utrzymały na właściwym stanowisku, i wyrobiły szlachetny, prawy i otwarty charakter. Podziwiał zawsze będąc nadzwyczajną wytrwałość i stałość niezłomną w postanowieniach, które to cnoty postawiły ojca na nogach. Brak głębszego i systematycznego wykształcenia, bo oprócz łaciny, polskiego i arytmetyki początkowej nie uczono [go], zastąpiła wrodzona zdolność, bystrość umysłu i żądza oświaty. Z tej to przyczyny, pożyczając książki ze wszystkich stron, czytając dzieła historyczne, przysyłane przez nas, jak wszystkie prace Szajnochy, dzieje Lelewela, Bandkiego, powieści Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Rzewuskiego, wszystkie utwory Mickiewicza, Załuskiego, Poła, — zdołał wynagrodzić rażący brak wykształcenia, wytrawił w sobie zdrowy pogląd na rzeczy, dobry smak i miłość nauki, którą to miłość w nas przelał i zaszczerpił. Z tejże przyczyny uchronił się od zacofania i ciemnoty reszty mieszczan wareskich, zamiłował prawdę i enotę, poznając je bliżej, i grzejąc serce na wzorach przez naszych przodków w dziejach zostawionych. Jeszcześmy uczęszczali do szkolki początkowej, kiedy zaczął nam prenumerować «Przyjaciela Dzieci», co było w Wares nadzwyczajne, gdzie zaledwie czytać i pisać umieli mieszczanie i to nie wszyscy. Nakoniec z tej przyczyny nie oddał nas ani do rzemiosła, ani do roli, lecz, wskazawszy wyższy cel, zebrał fundusze i posłał na naukę do Warszawy, by tam kształcać swój umysł, oświecając serce, przygotować nas na dobrych i pożytecznych obywateli tej ojczyzny, którą tak serdecznie pokochał.“

„Drugą zaletą ojca była tak pożądana cnota i podstawa szczęścia umiarkowanie i przestawanie na małym. Zebrawszy przyzwoite mienie, mając synów w Warszawie w „klasach“, zatrzymał zupełnie tę skromność; dlatego to nie pisał się do sfer, które mu były za wysokie, jak z drugiej strony, znając miarę sobie [tak!] i godność swoją, nie przestawał

z mieszczanami wareckimi, ludźmi bez wychowania, dopuszczającymi się wszelkiego rodzaju przestępstw. Ztąd to mój ojciec, zachowując tak oddzielne i wyjątkowe stanowisko, cierpiał prześladowania i przykrości całe swe życie od mieszczan, w gronie których żyć musiał, miał swoją rolę i łaki. Dokuczali w przenajgorzańszy sposób, zazdroszcząc powodzenia, dobrej żony, porządnych dzieci, a szczególnie tego, żeśmy uczęszczali na naukę do Warszawy.“

„Trzecim przymiotem była oszczędność. Sprawiedliwe to jest zdanie, że ten tylko umie grosz uszanować, kto nań zapracuje. Ojciec zaczął od 6000 zł., a jednak pracą swą kupił półtory włóki roli i 3 domki drewniane w Warce, wszystko to winien swej oszczędności. Ona też, źle pojęta przez ludzi, zrobiła mu inną skąpego. Bo niski tłum, gdy ojciec sobie odejmował od ust, gdy oszczędzał i zabiegał, widział tylko skąpstwo, lecz zamykał oczy, że z drugiej strony szły tysiące do Warszawy na naukę 4 synów. Wykształceni jednak ludzie, zwłaszcza szlachta okoliczna znała i szanowała ojca, oddając zasłużone pochwały, i podziwiając pracę i oszczędność.“

„Czwartą ozdobą była gruntowna religija, opierająca się nie na słowach, obrzędach i formach, lecz na czynach, bo ojciec nie wołał: „Panie, Panie, ale czynił wolę Stwórcy Niebieskiego.“ Ojciec przejął się dziwnie duchem Ś-tej Ewangelii, co szczególnie winien czytaniu pism Skargi i Pisma Ś-go. Tę to religię na czynach [opartą] szczepił i w nas od kolebki, ciągle i ustawicznie zalecając cnoty i prawdę.“

„Względem nas był ojciec surowy i nieubłagany; za większe przewinienia, szczególnie przeciw innym osobom, karał nie dając się przebłagać. Z twardą i nieugiętą wolą wdrażał w nas zamiłowanie pracy i porządku: nie pieścił i nie pobłażał; nie pomógł i najtęższy mróz, abyśmy nie mieli iść do szkoły, lub nie być w kościele w święto.“

„Mimo surowe wychowanie, byliśmy zdrowi, rumiani i czerstwi na ciele i duchu; po pracy w szkole, pomagaliśmy w gospodarstwie. Bez względu jednak na surowe postępowanie, ojciec kochał serdecznie, czego dowiódł czynami, poświęcając swe zdrowie i majątek naszemu wychowaniu. Gdy Janek, brat mój, zachorował w Warszawie w 5-tej klasie, ojciec prawie na piechotę przybył do Warszawy.“

„Jedynymi wadami ojca, któreśmy zauważyli, były prędkość i gniew, zazwyczaj prędko przemijający, poczem ojciec sam żałował swego umiesienia.“

„Zresztą, czyż do mnie należy, o najdroższy ojcze, sądzić cię, który dla mnie tylko zawsze dobroczyńcą, opiekunem i wzorem byłeś? i t. d.“ *).

*) Po latach kilkunastu, w liście pisanym do narzeczonej d. 20 lutego r. 1885, tak znów o ojcu swym mówi: Ojciec mój, choć skromny rolnik na półtora włóki, był — ho dziś już należy do przeszłości — niepospolitym człowiekiem, a wszystkie zalety, jakie we mnie ludzie upatrują, posiadał on w daleko wyższym stopniu. Bogatemu człowiekowi odznaczyć się bardzo łatwo; niechaj on tylko przez lat dziesiątek nie płodzi głupstw, będzie dobrym sąsiadem, wychowa dobrze dzieci, będzie uczciwym i taktownym — wszyscy okrzykną „zaczny i poważany człowiek“. Lecz jak trudno zostać i wytrwać zacząnym w tej sferze niższej, gdzie niedostatek sąsiaduje z występkiem i podłością. Ojciec mój przez całe życie wyznawał zasadę, którą ja odziedziczyłem tylko „ursum caput“, i przez lat dziesiątkę pozostał samotny, z nikim nie żyjąc, aby nie łączyć się z brudem, nie wlażyć w błoto. I myśny po nim to wzięli, raczej samotnie i smutno, ale na swoim stanowisku. Był to człowiek katakumbowej wiary i niezachwianej religii, a całe życie walczył z jednym po drugim proboszczem, właśnie dla religii, widząc ich nieludzką chciwość lub niegodność kapłańską. Z domu też rodzicielskiego, a nie z Renana, którego, o dziwo, nie czytałem, ja wychowaniec 2-cj połowy XIX w., wyniosłem liberalizm i swobodną myśl, obok religijnego uczucia. Heż wieczorów spędziliśmy na czytaniu „Żywotów“ Skargi, w starym zapleśniałym wydaniu. Ojciec mój był gorącym patriotą; podczas powstania snuli się u nas o mroku żołnierze, a gdy grały działa za Pilicą, myśny przed obrazem, lkając i szlochając,

Zapoznawszy się z ojcem, osobistością w każdym razie ciekawą bardzo i wcale nie-
zwyczajną, poznajmy teraz i matkę Matlakowskiego, Jadwigę, dla której przez całe swe
życie żywił w sercu głębi cześć najczulszą i miłość bez granic. We „wspomnieniach“ swych
przedewszystkiem o niej pisze w te słowa: „Pierwsze miejsce poświęcam Tej, która mi naj-
droższa na świecie, i której winien jestem wszystko. Matka moja, choć pochodzenia miesz-
czańskiego i odebrała tylko początkowe wykształcenie, była kobietą głębokiego uczucia
i wyższego poglądu na rzeczy. Urodziła się w Goszczynie, miasteczku niewielkiem, i tam
się wychowała w domu rodziców swoich Jana i Józefy Plecińskich. Wrodzona deli-
katność, smak dobry i zacny charakter odziedziczyła wraz ze swoim rodzeństwem po ojcu.
W młodym wieku, bo w 18 latach, poszła za mąż za mego ojca, a ślub odbył się w modrze-
wiowym kościółku goszczyńskim, o którym moja matka pamiętała całe swoje życie, zasilając
go według możności to obrusami, to innymi drobnostkami. Przeniósłszy się do Warki, za-
jęła się gospodarstwem i wychowaniem nas 4 synów, pracując bez ustanku, to nad moralnem
naszym wykształceniem, to szyjąc koszule, czapki, sukienki i inne ubranie, robiąc to nadzwyc-
zajnie zgrabnie i zręcznie, czemu się obcy ludzie wydziwować nie mogli, bo matka nigdzie
się krawieczyzny nie uczyła. Piękność i cnoty zjednały jej szacunek i poważanie nietylko
między sługami, domownikami i innymi mieszczkami, ale nawet u księży i klasy urzędni-
czej, tak zwanej arystokracji małomiasteczkowej. Ztąd to często naszym gościem bywał
świątobliwy proboszcz Franciszek Rakowski, księża Franciszkanie, szczególnie podczas
Świąt Wielkanocnych, chrzcin i t. p. To wszystko miało dobry wpływ na nas, bo jaki
taki zachęcał nas do nauki, obdarował obrazkiem, książką, poglaskał i pocałował. Cały rok
schodził przy pracy w polu i koło domu, a matka mimo zajęcia domowego, zajmowała się
lnem, jesienią zaś po skończeniu pracy, w czasie długich wieczorów adwentowych przędła
na kółku, my siedzieli u jej nóg bawiąc się latającem kółkiem lub wrzecionem, albo słu-
chając strasznych bajek o zaklętych królowiach i czarownicach. Szczególniej też moja
piastunka Jagusia, a potem Antonina miała dar do opowiadania. W nocy za to oba-
wiałem się okropnie, nie wyszedłem sam na dwór, nie spałem sam nigdy, a za najmniej-
szem skrzypnięciem, stuknięciem, o mały ze strachu ze skóry nie wyskoczył.“

„Ojciec pożyczał od X. Rakowskiego różne książki, między nimi „Pamiętnik
religijno-moralny“, od Jodłowskiego „Czytelnię Niedzielną“, od panny Suskiej inne
pożyteczne książki, a na czytaniu ich schodziły długie wieczory, przy ogniu na kominię.
W Adwencie rano Matka chodziła codziennie na roraty do franciszkańskiego kościoła, przy-

śpiewali „Święty Boże“. Był to promienny, gorący dzień Wniebowstąpienia, pamiętam go i nie zapomnę nigdy.
Odebrawszy więcej niż skromne wykształcenie u X. X. Franciszkanów, mimo to zachował w sobie żądzę wiedzy,
a karmiony przez wiele lat kalendarzami Strąbskiego, Żywotami, Filoteą i t. d., gdyśmy już byli w 6 — 7 klasie
i przywieźli arcydziela naszej literatury, z ciekawością, zapalem czytał, uczył się na pamięć „Pana Tadeusza“, „Gra-
żyny“, potem łamał sobie głowę nad Bucklem, przeczytał go całego i przeczytał z pożytkiem, co później przy spo-
sobności ku podziwowi memu odkryłem. Moja pracowitość błędnie w porównaniu z jego niezłomnym hartem i wy-
trwałością, fugą iście demoniczną, dzięki której wykuł wszystko z niczego... gdybym ja do swego wykształcenia
wniósł te jego przymioty, wściekłą wytrwałość i zajadłość w pracy, cudabym stworzył. On wreszcie wlał w nas
dumą i zamilowanie niezależności, dzięki którym gramoląc się z pyłu na wyżyny, nigdy nie popelniał i jednego
czynu, za którybym dziś wstydzić się musiał na samo wspomnienie. Ach, dobry Ojciec, ileż on lat wyplakał po-
śmiereci swojej Jadwigi, a naszej pięknej Matki. Był to i został arystokrata w najlepszym, ale nie dzisiejszym zna-
czeniu tego słowa — nie mieszając się z niczem i nikim, kto był podejrzany.“ — Jan Mikołaj Matlakowski
nie długo przeżył syna, umarł w Warce d. 8 września r. 1897.

nosiła nam z miasta obwarzanki. Była wtedy uciecha: suty ogień palił się w piecu, w izbie ciepło, na dworzu mróz trzaskający, szyby pozakuwane od sroci i zamrozu. Szczególniej też podczas Bożego Narodzenia gonty hukwały od mrozu, śnieg pouwiewał na okolo naszego domu góry.“

„Matka nas kochała serdecznie, zwłaszcza mnie i Stasia, lecz prosiła gorąco Boga o córkę. Długo prośby były bezskuteczne, kiedy nakoniec w dzień Matki Boskiej, 8 grudnia urodziła się nam siostrzyczka, której na chrzcie dano imię Maryja-Helena. Matka była uszczęśliwiona. Lecz prawa natury są jedne i te same, i nie cierpią zboczeń. Choć i matka miała dopiero lat 31, straszna choroba, bo suchoty, pokazały się wkrótce. Nadzwyczajna delikatność ciała przy ciągłej pracy pomogła chorobie, która była familijną w rodzinie Plecińskich, z których ojciec Matki i starszy brat Stanisław, nasz wujek, już spoczywali w grobie. Potrzeba było okoliczności malej, by choroba wybuchła. Zdarzyło się, że ulubienica matki, nasza siostra, o mało co nie została uderzoną przez śmigę od wiatraka, bo tuż koło domu stał nasz wiatrak. Matka widząc to, zdjęta strachem pobiegła co żywo, uratowała córkę, lecz gdy ją doniosła do domu, z przerażenia i wysilenia dostała krwotoku z ust, nie zdążywszy nawet dojść do izby. Pamiętam tę straszną dla nas chwilę i przerażenie ojca. Przedsięwzięto kurację, wezwano dobrego doktora i zanego człowieka, d-ra Majeranowskiego, lecz choroba rozwijała się powoli, ale ciągle.“ Wszelkie zabiegi i starania poszły w niwecz, pomimo pozornie dobrego wyglądu chorej, siły jej słabły z dniem każdym, straszna choroba dzieło zniszczenia nieublaganie wiodła do końca. Ostatnie chwile najukochańszej matki tak syn opisuje: „Było to w styczniu (r. 1862); Ojciec czuwał dzień i noc przy łóżku. my spali twardo. gdy wtem ktoś zaczął ostro pukać do drzwi, wzywając o pomoc. Ojciec wyszedł z rozkazu Matki, zobaczył, że to była córka pewnej wyrobniicy, która prosiła o pomoc dla swej matki. Nie odmówił ojciec, tembardziej że sama Matka moja kazała iść, uspakajając, że czuje się dobrze. Ale skoro Ojciec wrócił, wrażenie spowodowane owem pukaniem do drzwi skutkowało, bo zaraz krew silnie uderzyła ustami i to tak natarczywie, że Matka nie wstanie była i słowa wymówić. Zerwaliśmy się z płaczem, ojciec szukał lekarstwa. Matka zaś, widząc swój koniec, zerwała się z łóżka ku obrazowi Matki Boskiej Częstochowskiej, a wymówiwszy ledwie Jezus! Maryja! oddała Bogu ducha, zaduszona od walącej się ustami krwi. Ojciec podtrzymał upadające ciało i zaniósł na łóżko, a Rozpacz i Smutek, siostry Śmierci, zapanowały w naszym domku. Byliśmy sierotami!...“

„Bliższych szczegółów nie pamiętam, wiem tylko, że dzień lutowy, w którym się pogrzeb odbywał, był słotny, a jednak ludu było tak dużo, tak dużo, jak nigdy dotąd nie widziałem, a pogrzebu takiego długo potem w Wares nie widziano. Był to hold wymowny, oddany jej enotom przez mieszkańców, którym świeciła przez lat kilkanaście swojemi uczynkami, cichem życiem, pobożnością. Wszystko, eokolwiek pamiętam o niej, winien jestem opowiadaniom sług, domowników, krewnych i ubogich, których była prawdziwą dobrodziejką. A dziś, kiedy lat dziesiątek ubiegł od jej śmierci, każdy, czy chrześcianin, czy żyd ubogi, czy ksiądz, czy mieszczanin, czy chłopek wsi pobliskiej, każdy ze czcią na ustach i modlitwą za Jej duszę wspomina Jej Imię. Bo Matka moja świeciła i przodowała w mieście swoim przykładem, który chętnie i dokładnie naśladowano. Była to kobieta serca, kobieta enoty i poświęcenia, miłości ku nam, wielkiej skromności i pokory, głębokich zasad wiary i moralności, czego dowodem jest nasze domowe wychowanie, tak różne od wychowania imych mieszczkańskich dzieci, czego [tak!] każdy mieszkamec okolic Warki

zaświadczy. Zdarzało mi się nieraz w podróży do Warszawy, że współpodróżny opowiadał mi o cnotach mojej matki i jej dzieciach, nie znając mnie i nie wiedząc, że ja byłem jej synem."

„Taką to postradaliśmy matkę na zawsze, a każdy łatwo pojmie wielkość straty naszej, tembardziej, żeśmy byli drobnymi dziećmi, bo ja, najstarszy, miałem dopiero lat 12. Trzeba było ręki i serca niewieściego do wychowania nas w raz zaczętemy kierunku, Bóg nie opuścił nas zupełnie, bo dał nam Ojca, który godnie wypełnił podwójną rolę Ojca i Matki" *)).

Podalem te długie wyciągi ze „Wspomnień“ Matlakowskiego, ponieważ, wedle zdania mego, prostują one pod wielu względami dotychczasowe wiadomości o pochodzeniu jego, oraz dowodzą, że chociaż kolebka jego stała pod skromną strzechą, rodzice jego nie byli jednak ciemnymi prostakami, lecz owszem, ludźmi bardzo wyróżniającymi się od małomiasteczkowego tłumu, ludźmi posiadającymi dążenia duchowe wznioślejsze, a przytem obdarzonymi rozumem i sercem, wyznającymi cześć dla nauki i wiedzy, nie spotykana zwykle wśród gminu. Chociażbyśmy przypuścili, że dobry, kochający syn, kreśląc wizerunki powyższe rodziców swoich, pomimo woli może, użył barw zbyt świetlanych, i gdybyśmy wskutek tego przyémili nawet dość znacznie te jaśniejsze obrazy, to wszelako pozostałoby jeszcze w nich bardzo wiele rysów pięknych i wzniosłych, rysów tych samych, które i w Matlakowskim spotykamy. Jeżeli więc o dziedziczności ma być mowa, to, pomijając nieszczęsną skłonność do gruźlicy z rodziny matki pochodzącą, niewątpliwie przyznać trzeba, że w nim złączyły się usposobienia duchowe obojga rodziców, jeno że w nim pod wpływem nauki rozległej i oglady światowej, rozwinęły się w stopniu daleko wyższym, doskonalszym i szlachetniejsze wydały owoce.

Z takich to rodziców, jako syn najstarszy, przyszedł na świat Władysław Matlakowski w Warce, d. 19 listopada r. 1850. Wszysey dotychczasowi biografowie jego, idąc widocznie za „Słownikiem lekarzów polskich“ S. Koźmińskiego, podają jako rok urodzenia 1851, ja zaś robię go o rok cały starszym na mocy tego, co sam o sobie w pamiętniku napisał i gdzie też podał dni i lata narodzin trzech braci młodszych i siostry.

O latach wczesnego dziecięctwa jego nie mam co pisać, zresztą to, co już sam powiedział, mówiąc o rodzicach swych, może pod względem tym wystarczyć; dodać-by tylko można jeszcze, że był ulubieńcem matki i babki, która zajęła się szczerze osieroconymi wnukami. Była to, według słów wnuka, niewiasta leciwa, urodzona w r. 1800, cicha, cierpliwa, anielskiej dobroci, a kiedyś musiała być bardzo piękna, czego nawet długo bieda i ciężka praca zatrzeć nie zdołały. Ta dobra babcia stała się właśnie główną opiekunką drobnych sierot, i jej pono po ojcu i matce najwięcej zawdzięczają.

Znajdują się wprawdzie we „Wspomnieniach“ ustępy prześliczne, odnoszące się właśnie do rychłych lat chłopięcych Matlakowskiego, jak np.: opisy okolic Warki, szczegóły dotyczące przeszłości świetnej tej licej dzisiaj mieściny, opisanie przeniesienia resztek śmiertel-

*) Jak głęboko w sercu Matlakowskiego na zawsze wkorzeniona była cześć dla pamięci matki, widać z listu żony jego, napisanego do mnie d. 3 stycznia r. 1898; znajdują się tam słowa: „...wspomnienia matki, którą stracił w młodym wieku, i wpływu, jaki na umysł Jego wywarła, były dla Niego prawdziwą świętością. Pamiętam, gdy pierwszy raz tam pojechaliśmy, kazał objechać dookola miasteczko (Warkę), aby najprzód powitać na cmentarzu mogił Matki, na którą rzucił się, całował i płakał.“

nych dawnych ksiąg mazowieckich ze zwalisk Dominikańskich do kościoła Franciszkanów; wrazenia z r. 1863, nakoniec wzmianki o zacnym Piotrze Odrowążu Wysockim, wygnancu i tulaczu, dożywającym dni swych ostatka w Warec, na chlopskiej włóce; Matlakowski z podziwem wyraża się o nim przyznając, że winien mu niejedno, bo i on się przyczynił nie mało do rozwoju umysłu jego. Chciało-by się bardzo przepisać tu wszystko to, albowiem i ciekawe i piękne, ale mając jeszcze tyle innych rzeczy do powiedzenia, odmówić sobie trzeba tej ponnej przyjemności, pocieszając się tem, że może nadejdzie jeszcze kiedyś czas i na ogłoszenie w całości tych zajmujących pamiętników dwudziestoletniego młodzieńca.

W siódmym roku życia Matlakowski oddany był do szkółki miejscowej, gdzie nauczał Antoni Dankowski Radwan „człowiek zacny i godny lepszego losu“, zaprzyjaźniony z ojcem Władysławem i z tego powodu więcej i szerszej zajmujący się zdolnym i chejwym wiedzą malcem, niżeli innymi uczniami, nie bardzo o szkołę dbającymi. Nauka ta, z powodów różnych, ciągnęła się aż przez lat sześć, nareszcie po wakacjach w r. 1864, ojciec w towarzystwie nauczyciela powiódł syna do Warszawy i umieścił go w gimnazjum III, które ukończył chlubnie w r. 1870, jako uczeń celujący, biorący corocznie nagrody. Począwszy od klasy trzeciej pracował już na siebie, dając korepetycje młodszym kolegom „aby dopomódz w czemśkolwiek ojeu“ trwało tak dalej i po ukończeniu szkół, ponieważ jako student uniwersytetu w tenże sam sposób zarabiał na siebie, a jeżeli tylko starczyło, tołożył też wedle możności i na kształcenie rodzeństwa młodszego, którem się stale troskliwie i czule opiekował.

Będąc w szkołach, Warszawy nie lubił, tęskniąc wciąż za swobodą większą i zawsze z radością największą dążył na wakacje do Warki. Posłuchajmy o tem słów jego własnych: „w Warszawie wszystko było wielkie, okazałe, pyszne ale dla mnie puste i martwe, w domu rodzicielskim każdy rów, każdy pagórek, jezioro, miedza, miały dla mnie powab niezrównany, bo każde z nich przywiązywało jakąś pamiątkę. Za każdym pobycem w domu odwiedzałem te miejsca, a to odżywiało moje serce i upajało wspomnieniami przeszłości, Warszawa jedno miała tylko dobre, t. j. książki, czego nie miałem w domu, a do czego ciągnęła mnie żądza czytania. I nie dziwić się mojemu wstępowi do Warszawy; wychowany na swobodzie, na zimnie i upale, na świeżem powietrzu, przyzwyczajony od kolebki do pól równych, do obszernych, okiem nie objętych łąków, do pięknej zieleni, do przezroczystej wody, czyż mogłem upodobać sobie w Warszawie huk i swąd kominów? W domu miałem przyrodę na każdym kroku, w Warszawie wszystko przenicowane po ludzku: tam widziałem drzewa, krzaki, rośliny, uczyłem się poznawać stworzenia inne, niższe ode mnie, jak zwierzęta, ptaszki, owady, ryby, uważałem je za swoich bliźnich; gdybym bezpotrzebnie ulamał pręt z drzewa, byłbym tego długo żałował, a w Warszawie widziałem tylko mury i ludzi, ludzi, ludzi bez ustanku lub biedne konie przy omnibusach, to zrodziło we mnie wstępowi do ludzi. Cóż to więc za radość była i uciecha gdy siadłem na bryczkę, która mnie wyniosła z Warszawy i powróciła nazad na swobodę. A kiedy jechałem na wakacje, co za niepojęta, nieopisana rozkosz; po drodze zatrzymywałem konie by urwać kwiatek, nieomal że nie rzuciłem się na ziemię by jak Brutus ucałować Matkę Ziemię; na polach łąk zielonawego zboża, kolyszącego się pod uściskami miękkiego, chłodnawego wiatrku; drzewa pokryte listkami delikatnymi, zielonemi, przezroczystymi, które dopiero co ocknąwszy się z zimy do życia, całą siłą żyją i oddychają“.

Opowiadając tak swe wycieczki wakacyjne, wpadał w zachwyt, ze wspomnień odtwarzał kolejno pyszne obrazy wiosny, lata skwarne, sianozęcia, żniwa, jesieni ozłoconej liściami żółknącym i śnieżnej, mroźnej zimy, ten obraz ostatni jest szczególnie piękny. „Któż w Warszawie, między murami, wie co to jest mazowiecka zima“, więc ją opisuje tak ślicznie, tak ser-

decznie, zdradzając już wtedy zdolności niepospolite do kreślenia słowami krajobrazów. Zdolność tę rozwijał z czasem coraz więcej i doszedł w tym względzie do prawdziwego mistrzostwa, którego liczne przykłady znajdzie czytelnik w księdze niniejszej.

Dziwne są zaiste opisy te jego, kreślił je bowiem poeta, wrażliwy nadzwyczajnie na wszelkie piękności przyrody, odczuwający je w całości i w szczegółach najdrobniejszych, miłujący i wielbiący w niej wszystko, poeta posiadający przytem naukową znajomość przyrody bardzo rozległą, od dzieciństwa już zdobywaną, a rozmiłowany w niej zarówno jak w jej krasie. Z tego zespolenia niby tak sprzecznych żywiołów, jak nauka i poezja, w umyśle jego powstawały akordy bardzo zgodne, ogniwa łączące się w łańcuchy obrazów i pojęć, pomimo różnorodności pozornej zgodnych i przykuwających do siebie swą odrębnością tak piękną. Umiał stąpić w twory jednolite złoto natchnionej poezji z twardym granitem nauki, być uczonym poetą i poetycznym uczonym.

Ale wróćmy raz jeszcze do czasów jego gimnazjalnych. Na ławie szkolnej ucząc się gorliwie i z zapałem, a będąc zmuszony uczyć równocześnie innych, by zdobywać sobie możliwość kształcenia się własnego, znajdował jednak jeszcze dość czasu do zastanawiania się nad sposobem nauczania, który właśnie za jego pamięci tak wielkim uległ zmianom. Gdy wstępował do gimnazjum przeważał jeszcze kierunek przyrodniczo-historyczny, pociągający go bardzo ku sobie, tak zgodny z wrodzonymi upodobaniami jego; gdy doszedł do klasy IV, zepchnięto przyrodoznawstwo i dzieje na szary koniec, a wysunięto na miejsce naczelnę filologję drobiazgową, łacińsko-grecką, z którą się nie mógł nigdy zaprzyjaźnić, pomimo że później, jak mało kto, umiał odczuwać należycie piękności świata klasycznego. Nie można mu brać za złe, gdy wyzwał na „cześnie ody Horacego“ i na „becharacterne mowy Cyncerona“, które uczniom podziwiać kazano, podając je w przyprawie niesmacznej z prawideł i wyjątków pedantycznych zgotowanej. Z boleścią tedy mówi: „Nigdyśmy nie posłyszeli i nie poczuli piękna i ducha wiejącego w wielkich dziełach Homera i Nazona, bo forma górowała — system jezuicki zakwitnął“. Czego mu szkoła nie dała, dopełnił jednak później sam, nie bacząc na formułki gramatyczne, wniknął w ducha klasycznego i polubił go, a chociaż zawsze z przekąsem zwykł był odzywać się o filologji, do śmierci jednak wciąż wielił nadzwyczaj ślepego piewcę Iljady i Odyssei.

Co o swych czasach szkolnych nadto mówi Matlakowski we „Wspomnieniach“, jest bardzo zajmujące i zadziwia nieraz trafnością sądu, niezwykłą u 20-letniego studenta. Są tam liczne sylwetki nauczycieli i współpracowników, zręcznie i widocznie prawdziwie na papier rzucone, są poglądy na dokonaną zmianę sposobu nauczania, oraz na stąd płynące następstwa, są zwierzenia z doznawanych uczuć, raniących nieraz serce młodzieńcze, są nakoniec liczne szczegóły mogące się bardzo przydać piszącemu kiedyś dzieje szkolnictwa ówczesnego. Szkoda, że wszystkiego tego powtórzyć tu nie można, a więcej jeszcze żałować wypada, że „Wspomnienia“ nie sięgają dalej poza czasy szkolne.

Na jesieni r. 1870 zapisał się Matlakowski na wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego, a ukończył go w r. 1875. Tak samo, jak w szkołach był ciągle uczniem celującym w naukach, tak też i na uniwersytecie odznaczał się zawsze pilnością wzorową, ciesząc się stale dobrze zasłużonym uznaniem profesorów. Lekko mu nie było, bo chociaż ojciec poezjiwy pracował, oszczędzał iłożył o ile tylko mógł, nie starczyło to wszelako, tembardziej gdy i młodszych synów oddał tymczasem do szkół warszawskich; musiał więc Władysław głównie sam o sobie pamiętać, zarabiając dawaniami lekcji, albo starając się o stypendja nie zawsze łatwe

do dostania. Zabawy zażywał nie wiele, nie miał na nią, a i czasu nie bardzo mu na to starczyło, ponieważ chwile od zajęć obowiązkowych wolnie obracał przeważnie na czytanie, na kształcenie się w najrozmaitszych kierunkach. Sposobiąc się na lekarza nie z namowy, ale z zamiłowania, oczywiście nie zaniedbywał nauki czysto zawodowej, ani też pozostających z nią w związku ściślejszym lub wolniejszym, nauk przyrodniczych, czując do nich wszystkich od dawna pociąg osobliwszy. To wszystko jednak nie wystarczało na wypełnienie całkowitej duszy jego, nie umiejacej zamknąć się w dziedzinie jednego tylko działu nauk, aż nadto wystarczającego dla wielu innych; przeciwnie, pragnął o ile możności sięgnąć po wiedzę do wszystkich i poznać je nie aby aby, lecz wyczerpująco, dokładnie, wszechstronnie. Umysł jego był od wczesnej młodości za poważny na to, by zadawała się wiadomościami powierzchownymi, z encyklopedji czerpanemi; jeżeli się zabral do czego, to nigdy nie zwykł był pływać po mieliznach, ale zagłębiał się, do dna dotrzeć się starał, do jądra rzeczy dążył, dla tego też sądy jego o czemkolwiek wypowiedane, nawet już w młodych latach, bywały zawsze prawie uzasadnione; można było różnić się z nim w zdaniach i poglądach, ale nigdy nie można im było odmówić pewnej podstawy głęboko sięgającej. Prawda, że to wszystko wyrobilo się w nim dopiero z czasem, stęzało w mężu dojrzałym, ale już i w młodym studencie widne były tego początki bardzo wyraźne. Pomimo wrażliwości wielkiej, pomimo zapalności wiekowi młodemu właściwej, już rychło umiał wyrobić w sobie umysł głębszy, do rozmyślań skłonny, a gdy kończył uniwersytet był już, rzec można, pod wieloma względami człowiekiem skończonym.

Uspodobienie duchowe Matłakowskiego, przynajmniej w pierwszych latach uniwersyteckich, musiało być pod względem niejednym podobne do tego, które opisuje we wstępie do *Hamleta* (str. CCLXXXVII), dla tego też przytaczam ustęp ten w całości: „Lata uniwersyteckie, to epoka dla rozwoju jednostki najważniejsza. Jak zarodek wyższego ssaka w kilka dni przebywa rozmaite stadja rozwojowe od prostej blaszki embrjonalnej, przechodząc przez formy niższych kręgowców, tak umysłowość młodzieńca w uniwersytecie przelatuje ewolucyjne etapy myśli ludzkiej. Obdarzona bezgranicznym chłoniem, w tej jedynej dobie życia przeżywa wielkie epoki dziejowe, zwłaszcza epoki bojów i przelomów duchowych. Napawa się poezją wszystkich narodów, przepada za muzyką, oklaskuje na zabój wielkich artystów dramatycznych, elektryzując zapalem swoim ospałych słuchaczy pięt niższych. Myśl głęboka, motto z nagłówka jakiegoś rozdziału, trafne wyrażenie brukowego żargonu, rzewna melodia, jakieś zagięcie pieśniwego walca, tęskny urywek pieśni ludowej, wiewiety krój nowej mody, śmielszy giest, odezwanie się nie w porę, wszystko zapada i więźnie w chłonącym i przyswajającym mózgu, ciągle żywym, nienasyconym nigdy. Lecz nadewszystko młodzież uniwersytecka roznamiętnia się do pytań filozoficznych i społecznych; głębokie lub tylko ciemne, subtelne lub puste wyrzeczenie filozofji, kwestje metafizyczne, rozumowe metody badania, zawile zagadnienia przyszłości wywołują głośnie echa w młodocianej duszy, nieskończone rozprawy, gorące spory, w których wstają niemal scholastyczne rozróżnienia i finezje. Zdawałoby się, iż sama zawiloscność umysłu młody ku sobie, porywa go i przywiązuje. Choć w pracy umysłowej odbywającej się przy lada sposobności młoda wyobraźnia ścięga raczej przecucia i odgadywania, niż jasne ujęcie i ściśle logiczne wywody, pozostaje mimo to dla umysłu olbrzymi pożytek wyrobienia zdolności myślenia oderwanego. Z lubością zacieka się w sprawy społeczne i życiowe, wyciąga często jednostronnie najdalej konsekwencje, urządza i przerabia ustroje i ustawy społeczne z niezachwianą wiarą w trwałość i użyteczność własnych pomysłów. Czy w sinym obłoku dymu, w ciasnej klatce studenckiej, lub w pracowni szkolnej, czy w ginącej w dali ogrodowej alei lub altanie bzu pachnącego, czy na łodzi lub w wagonie, zawsze skory i rzeźwy rozprawia

i myśli po swojemu. Blednące gwiazdy i poranna żarnica nadybują go z przyjacielem gwarzących w parne noce czerwcowe, gdy oddechy budzącego się dnia przynoszą świeżość z łąk i pól na przemiany z wonią lip i akacyj. W mroźne dodnia, wracając z balu ulicą pustą, jakby wymarłą, spotykając psy włóczęgie, zaspanych stróżów, lub dwuznaczne osobistości, wnet wszechyna swoje domysły i wywody. Jakiś postępki kolegi, jakaś głośniejsza sprawa wznieca roztrząsanie bez końca; zmartwychwstają kazusy Suarez'a, wynikają subtelności nieprzewidziane, i cała etyka, cnota i występki, brud i szlachetność, honor i ambicja, wszystkie najdosłowniejsze pytania ludzkości zalamują się na nowo w świeżych pryzmatach sere młodzieńczych. Rozumem i sercem spotyka młodość świat cały, a choć zrozumieć i określić, przeniknąć jego złożoności i zawiloci, ogarnąć bezmiaru nie może, nurza się w wielkich prądach przeszłości lotem bystrej jaskółki, zatapia w wizje przyszłości, a w tych wycieczkach wciąga wielki dech atmosfer dziejowych, upaja wonią pięknych czynów ludzkości, ulatuje za jej migotliwymi aspiracjami. Duch młody jak kometa leci w bezdenne toni przestworza po nieokreślonej, ugiętej drodze, niewyraźny, niezsiadły, majaceje i ginie w głębinach i mrokach odsłonecowych, zanim po latach marzenia nie stanie na ciasnej, zamkniętej i określonej orbicie... Lecz nim to nastąpi, nawet przyszły lichwiarz, lub uczuciowo-trwały rentjer, farysem bywa za dni uniwersyteckich. Dziwny naród studencki z jego dziecięcą uczuciowością i fanatyzmem społecznych teoretyków, ze scholastycznym rezonerstwem i skarbami zapalu, wygórowanym honorem i biedą w kieszeni, miłością swobody i równości, z magnetycznym lgnięciem do światła, z uwielbieniem i posłuchem dla nagiej prawdy, dla sprawiedliwości aż do *percat mundus*, ze świetlanymi rojeniami najszczytniejszego idealizmu i najsakrajniejszym pesymizmem, z wiarą w wielkie hasła a niewiarą w stare prawdy, z ufnością w zwyczajstwo wszelkich przeszkód i omdlewaniem kwiatu, wiedzącego w skwar przypołudnia sierpniowego“.

Chociaż słowa powyższe wyszły z pod pióra piszącego na dwadzieścia lat bez mała po opuszczeniu uniwersytetu, chociaż, jako poeta, nie miał bynajmniej zamiaru opisywania rzeczywistej, nagiej prawdy, lecz kreślił tylko ze wspomnień obraz idealny życia studenckiego, takiego jakie było, albo być mogło przynajmniej, za lat młodych jego, to jednak mieści się tam bardzo wiele myśli dających się zastosować wprost do niego, wiele rysów jego własnych; do pewnego stopnia stwierdzają to listy pisywane za czasów studenckich do R. Kowalewskiego, z którym łączyła go przyjaźń przewyższająca może miłość braterską; ale błędem byłoby chcieć dosłownie wszystko, co tam powiedziano, na karb jego zapisywać. „Wspomnienia“ powstałe już w r. 1870, najprawdopodobniej podczas tych kilku miesięcy letnich, pomiędzy ukończeniem szkół, a wstąpieniem do uniwersytetu, pouczają, że już za czasów gimnazjalnych przeżył wiele z tych walk i uczuć przypadających innym dopiero w uniwersytecie; gdy tam wchodził był już duchowo rozwinięty daleko wyżej od towarzyszy swych, wyrosłych w warunkach bytowych innych, łatwiejszych i wygodniejszych; umysł jego był już wtedy dojrzałszy, więcej męski, zapatrywania się na wiele rzeczy wytrawniejsze, a zapal młodzieńczy chyba jeden tylko równał go z kolegami. Zresztą położenie jego materialne ówczesne zmuszało go też do poważniejszego nieco zapatrywania się na życie, a nienasycone pragnienie wiedzy i nastrój artystyczny nie dozwalały mu być zupełnie takim, jak wielu innych, których zbiorowo tak dobrze opisał.

Jak już wiemy, był Matlakowski niezmiernie wrażliwy na piękności przyrody, nie mniejsze też posiadał poczucie piękna w sztuce i to od lat bardzo wczesnych, ale równie też, jak nie ograniczał się do podziwiania powierzchownych powabów przyrody, lecz starał się poznać i zbadać ją, tak samo postępował ze sztuką, nie szukał on tylko tej bezwiednej prawie,

mimowolnej przyjemności, wywieranej przez obraz, posąg, utwór muzyczny, na każdy umysł jako tako wrażliwy, ale zatapiał się w sztuce, poznawał i rozbiierał ją, odczuwał ją z całą świadomością prawdziwego znawcy, umiającego powiedzieć nie tylko, że coś jest, albo wydaje się pięknem i wzniosłem, ale dla czego niem jest w istocie. Doskonałości tej, rozumie się nie posiadał od razu, ale już jako student rozwijał ją w sobie bardzo pomyślnie, pomimo że Warszawa pod względem, tym nie nazbyt wiele sposobności mu dostarczała. Muzyki dobrej, a lubił ją bardzo, mógł się wprawdzie nasłuchać nieraz, teatr za owych czasów posiadał kilku artystów znakomitych, z poezją, którą jeszcze jako chłopiec mały w Warce pokochał, mógł się spotykać do woli, ale jak tu zapoznać się z malarstwem i rzeźbą w mieście nie posiadającym galerji? Więc trzeba było uciekać się do książek, do wydawnictw zawierających ryciny dobre, czytywał je też z zapalem i pilnością wielką, wpatrywał się w ryciny, słabe zaledwo dające wyobrażenie o oryginałach, przyczem smak wrodzony i żywe usposobienie, przeczuwające nieraz wiele rzeczy jeszcze zanim je umysł dokładnie zrozumieć zdołał, uchroniły go jakos szczęśliwie od poglądów estetyki pedantycznej, aż nazbyt często w książkach takich napotykanym, sąd atoli o sztuce plastycznej wyrobił w sobie zupełnie dopiero po zwiedzeniu bogatych galerji zagranicznych.

W sztuce, zarówno jak w życiu, nie był jednostronny, ponieważ piękno, gdziekolwiek je napotkał pociągało go ku sobie; na czele jednak zawsze stawiał przyrodę. W r. 1875 pisze do przyjaciela: „jeśli co mnie może istotnie porwać i zachwycić, to tylko Natura, albo też Arcydziela Sztuki, która wszak niedaleko stoi natury“. Nie wielbił jednego, wyłącznego działu sztuki, ale kochał ją we wszystkich jej przejawach: zachwycił się teatrem, muzyką, literaturą nadobną, malarstwem, rzeźbą, a kto tego nie umiał, nie uchodził w oczach jego za człowieka zupełnego, doskonałego, chociażby Bóg wie jakie inne zalety, nawet największe posiadał. Oto jego słowa własne: „Człowiek, który obojętnie rozgląda się po teatrze, gdy bóle ludzkości lamentują wielkim łkaniem w chórze pielgrzymów w Tannhauserze, który drzemie na Halee, nie odczuwa symfonji Beethoven'a, nie zachrząga na widok wizyj Rembrandtowych, nie rozrzewni się przed „Benedicite“ samotnej staruchy Maes'a; czyje serce nie zapłacze na widok tragedji Grotgera, nie zerwie się wobec fantazyj Böcklin'a, nie uniesie czytając Joba lub Jeremjasza, nie oczaruje w takiej Nôtre-Dame paryzkiej — ten człowiek jest niezupełny, kaleki; przy całej genialności swojej w innych obrębach, jest niecałym, brak mu strony najbardziej człowieczej z człowieczych, nie odczuwa wielkości sztuki, w której jednej człowiek staje się stwórcą; zbywa mu na przewodniku, przez który harmonję, drgania, narzekania, wielki szepc ludzkości idzie wprost w głębiny duszy, bez pośrednictwa suchych racyj rozumu“. Ustęp powyższy wyjęty jest ze wstępu do *Hamletu* (str. CCXCVII), gdzie Matlakowski w wielu miejscach obszernie wypowiada poglądy swe na sztukę, poglądy zasługujące bardzo na uważne przeczytanie ich i zastanowienie się nad nimi, a są one tem ciekawsze, że już w listach jego z czasów uniwersyteckich ze zdaniem zupełnie podobnem spotykać się można, co jest dowodem wczesnego rozwoju umysłu jego, jako też uczuciowości niezwyklej, bezwiednie prawie umiającej wyprzedzić sądy dające się właściwie oprzeć dopiero na wieloletniem poznaniu, zbadaniu i doświadczeniu.

Nie chciałbym zostać posądzony o to, iż mniemam, że Matlakowski, jak ongi jaśnooka Pallas Atene z głowy grzmiącego rodzica, wyskoczył od razu na świat w pełnej zbroi rozumu i uczucia. Znałem go przecież przez lat wiele i znałem go dobrze; pamiętniki jego i listy poufne, z których człowieka nieraz lepiej poznać i ocenić można, niżeli z długiego obcowania z nim samym, przejrzałem bardzo starannie, wczytywałem się w nie długo i uważ-

nie, więc też zdołałem wyrobić sobie o nim sąd dostateczny i wedle zdania mego bezstronny; pamięć jego jest mi bardzo droga, zalety wszystkie jego cenię bardzo wysoko, ale właśnie dlatego żem go poznał tak dokładnie, wiem że było na to czasu potrzeba zanim z pstrej gąsienicy wykluł się motyl błyszczący, tylko że u niego czas ten, dzięki zdolnościom niezwykłym, trwał krócej daleko niż u innych.

Lata uniwersyteckie Matlakowskiego przypadły właśnie na czasy owe, kiedy t. zw. pozytywizm warszawski kwitł w najlepsze, musiał więc i na niego wywrzeć swe wpływy dodatnie i ujemne, jeno, ponieważ w nim rozum i uczucie w dziwnej zwykle bywały równowadze, mniej na niego oddziałał, niż na wielu innych. Podlegał wpływom prądów ówczesnych, czytywał chętnie wszystkich, modnych wówczas pisarzy, zajmował się jak inni rówieśnicy, także filozofią, socjologją, ekonomją polityczną, zatapiał się wraz z innymi w dochodzeniu rzeczy niepochwytnych: zajęcia te jednak, o ile sądzić mogę, niezbyt głębokie ślady w umyśle jego pozostawiły, nie zdołały przeinaaczyć umysłowości jego, w której nazbyt głębokie zapuściła korzenie nieprzezwyciężona miłość dla przyrody i dla sztuki. Wpływ ten ograniczył się przeważnie do wyrobienia w nim sądów wytrawniejszych, oraz na zmianę jego wierzeń religijnych.

Dom rodzicielski w Warce był bogobojny bardzo; surowo przestrzegano w nim postów i innych przepisów kościelnych, sumiennie uczęszczano na wszelkie nabożeństwa, odmawiano paciery, duchowieństwo otaczano szacunkiem i czcią, a w dzieci wpajano od małego zasady religijne, więc też Matlakowski wyszedł z pod strzechy rodzinnej przejęty nabożnością szczerą, wiążącą się z uczuciem raczej niż z zastanowieniem, wypełniającą duszę jego póty, póki inne wrażenia jej stamtąd nie wyparły. ślady jej jednak, tak miemam przynajmniej, pozostały na zawsze, chociaż w postaci bardzo zmienionej, do pierwotnej ledwo zdaleka podobnej nieco. W liście z d. 5 grudnia r. 1870, pisanym do ojca, tak się wyraża: „Religija, która jest niezbędną a coraz bardziej między ludźmi zapomianą, jest moim pocieszeniem w chwilach trudnych i rozpaczliwych, ona dodaje siły i pokrzepia a Wiara utwierdza. Dzięki więc Ojcu za religijne przekonania, które Ojciec w nas rozwijał przez tyle lat, starając się przekonać młodociane serca“. W kilka miesięcy później, opisując ojcu spustoszenia zrządzone przez Komunę paryską powiada: „Tak to ciężko zawisł palec Boski nad nową Sodomą, nad stolicą świata. Nad Paryżem chmury dymu i ognia, którego języki ogarniają budowle, a na to wszystko patrzą Prusacy. Co za hańba! Co za upadek! Biada! Do czego brak religii i uczciwości doprowadzić może.“ We „Wspomnieniach“ czytamy: „Najbardziej podobał mi się kościół Ś-go Jana, a urok ten na zawsze pozostał, wrażenie jakie na mnie robiło wnętrze tej świątyni było silne, ten półcień panujący, ta pępność, te kolumny biegnące ze swoimi łukami ku górze, te łuki ostrokątne, ta cisza i powaga harmonizowały ze stanem mej duszy. Tam też jedynie mogłem się modlić serdecznie ze łzami w oczach“. W ogóle zarówno we „Wspomnieniach“ jak i w listach z początkowych czasów uniwersyteckich, wieje duch wyraźnie religijny, szczerzy i prosty, ale z latami słabnie i ulata coraz więcej, ustępując przed naporem myśli i poglądów nowych, zupełnie innych, zostawia jednak w duszy tęsknotę po sobie. Tak np. w liście z dnia 29 lutego r. 1875, na okręcie po Oceanie Atlantyckim płynącym, napisanym do p. Kowalewskiej i syna jej Romana, tego powiernika i druha najserdeczniejszego, spotykamy ustęp taki: „O 6-tej codzień modlitwa. Wystawcie sobie zachodzące słońce, ozłoczone wierzchy masztów, cicha powierzchnia morza, fala spokojnie goni za falą, świeży wiaterek to wydymie żagiel, to go puści luzem — na pomoście gromadka tych marnych robaków — ludzi, w dwa rzędy —

u rudla sternik spoczywa. Wszedł kapitan; miarowym krokiem przebiegł rzędy; stanął na tyle okrętu. Zdjął czapkę; wiatr mu siwy włos na czoło nawiał. Silence! — Cisza jak makiem zasiał. — I poruszyły się wszystkie usta — to słowa Ojca nasz! Gdybym nie był psem niedowiarkiem — po moim wiejskim kościele — malutkim — chciałbym się modlić w tym niezmiernym, bezgranicznym kościele — który za sklepienie ma firmament niebieski z migocącymi gwiazdami — a za podłogę — bezgraniczne morze! Nigdzie nie uwydatnia się tak wybitnie stosunek Tej Najwyższej Istoty — Boga — do najmizerniejszego — bo świadomością obdarzonego — robaka. Człowieka. — Wyrwij świadomość — a uszczęśliwisz marnego. — A jednak nie mogę się modlić — i wśród tej pustyni wodnej — sucho rusza się warga — powtarzając chleba naszego — bo serce się nie porusza. Czy jednak objętym na to? Zgadnicie łatwo. Żal mi — żal — religii. Zginęła bezpowrotnie! — A jednak było dawniej inaczej. O gdyby zlać w jedno serce wszystkie serca na świecie — począwszy od Ś-go Piotra, i wznieść w niem modlitwę — to serce ludzkości nie zamodliłoby się tak, jak kiedyś ja się modliłem, śpiewając Ś-ty Boże, gdy krew naszych lała się po drugiej stronie Pilicy, i gdy w drugiej izbie konała we krwi moja Matka! — Przegrali! Umarła! —

Szabla tępieje, serce truchleje
Gdy, Boże, nie masz Ciebie!

Lecz o czem ja Wam powiem — czy zrozumiecie mnie? — Wtedy gdy pisał słowa powyższe żal po niedawno utraconej wierze był jeszcze żywy w duszy, paliła i krwawiła jeszcze w sercu świeża rana po wydartej z niego religii lat dziecięcych; czas ukoił żal, zabliznił ranę, ale ślad jej, blizna została; nie zgasła też zupełnie pamięć tego, co dziecku i rozkwitającemu młodzieńcowi było tak drogie; po wielu latach zakolała znów do piersi i zbudziła w niej uczucia chociaż nie te dawne, ale zawsze pokrewne im nieco, na ich zgłiszczach wyrosłe. Gdy kroczącemu pewną stopą ku powodzeniu rosnącemu z dniem każdym, ku sławie coraz głośniejszej, przegrodziło nagle drogę widmo strasznej choroby, tej samej, która mu wydarła matkę ukochaną, gdy łopot skrzydeł śmierci zatrzepotał się w górze nad głową jego, gdy przez miesiące i lata żył pod grozą obawy, że lada chwila pochwyci go w swe nieublagane, mroźne objęcia, gdy widział chmurę troski na czole żony i odgadywał lzy tajone pod jej powiekami, gdy patrzył na dzieci drobne, mające niebawem zostać sierotami, wtedy to znów z mgły zapomnienia wychylać się zaczęły pomalu budzące się cienie uczuć doznawanych ongi, za czasów wiary dziecięcej, za czasów ufności w potęgę modlitwy, słodzącej tak skutecznie gorycz cierpienia, za czasów gdy dusza na skrzydłach serdecznie wyszeptanych pocierzy mosiła się do stóp Częstochowskiej Paniienki Najświętszej, a od Niej wracała do serduszka pokrzepiona i rada. — Ale czasy te bezpowrotnie minęły, bo wiara, tak samo jak niewiomość, raz utracona, powrócić już nie może nigdy, więc też i Matłakowski nie mógł jej odzyskać; jednakże jej szczątki nieznaczące, kołaczące się w zapomnianych zakątkach duszy jego, wznieciły w nim nieprawdopodobne w człowieku takim jak on, upodobanie do ksiąg Starego Testamentu. Zwalony z nóg przez chorobę w tej chwili właśnie, gdy miał wszelkie prawo żywić nadzieję, że jest już bliskim wytkniętego i upragnionego celu, ujrawszy gmach swych marzeń szlachetnych rozsypujące się w gruzy, potrzebował pociechy i podpory duchowej, żeby nie runął od razu pod ciosem tak okropnym. Jaka wielka szkoda dla niego, że wówczas, w chwilach tak trudnych, tak rozpaczliwych, religja nie mogła być pocieszeniem jego, nie dodawała mu siły, nie pokrzepiała go jak niegdyś za młodu. W cierpieniach, gdy brak wiary, gdy mo-

dlitwa z duszy nie płynie, gdy ufność niezłomna w niewyczerpaną dobroć Opatrzności uleciała, najlepszą może jeszcze i najwierniejszą pocieszycielką jest praca, ciągła, nieustanna, w niej też szukał ulgi i ukojenia. a przynajmniej ogłuszenia i stępienia bólów dusze szarpiących; szukał, ale czy znajdował zawsze? — Pozbawiony możności oddawania się zajęciom zawodowym, oderwany od nich na zawsze, porwał się do pracy innej, olbrzymiej, wykazującej tak świetnie wielostronne bogactwo umysłu jego: jednakże praca ta nie starczyła widocznie do uspokojenia nurtujących w nim uczuć okrutnych. Wtedy to zaczął się wezytywać w księgę Ijobową, znaną mu prawdopodobnie od dawna; losy bohatera opowieści biblijnej przypominały mu być może jego własne, smutne położenie: może też budziły w nim choć iskierkę nadziei, że i jemu jeszcze uśmiechnie się kiedyś lepsza dola, jak owemu mężowi tak ciężko doświadczonemu. Może — kto to wie? — Gorzkie narzekania Jeremjaszowe także licowały wybornie ze stanem jego beznadziejnym*). Zasmakowawszy już raz w tych utworach, dziwić się nie można, że zabrał się w końcu do czytania proroków, tak ciemnych, tak groźnych nieraz, tak pełnych mistycyzmu, tak odrębnych w sposobie wyrażania się, w niczem niepodobnym do napotykanego w księgach narodów aryjskich. I stała się rzecz trudna do pojęcia; ten wytworny przedstawiciel wiedzy i sztuki helleńsko-nowożytnej, ten wielki znawca piękna plastycznego, ten wielbiciel rozumu i nauki, tak się stopniowo rozmiłował w ponurych Hebrajczykach Starego Zakonu, że nie zawahał się mianować ich „największym wśród narodów ludem“ i marzyć o jakimś „moralno-wiedzowym, hebrajsko-greckim rozwoju“, mającym kiedyś przywozić ludzkości (Wstęp do *Hamleta*, str. CCLXXIII): przemyślał też, gdyby mu zdrowie na to pozwoliło, nad wycuczeniem się jeszcze języka hebrajskiego (List z d. 24 grudnia r. 1893). Wszystko to byłoby — dla mnie przynajmniej — niezrozumiałe zupełnie, gdyby nie przypuszczenie, że szczątki wyniesionych z domu wierzeń religijnych wyrodziły w nim ten szczególny rodzaj mistycyzmu jakiegoś, tak niezgodnego z pojęciami wyznawanymi przez niego za czasów zdrowia cielesnego. Dodać też jeszcze winienem, że chociaż się sam nazwał „niedowiarkiem“ wyrazu tego zupełnie dosłownie brać nie można: synem prawowiernym Kościoła nie był wprawdzie, obrządków nie cenil, zbyt wysokiego wyobrażenia o duchowieństwie nie posiadał, ale się do ateizmu nie skłaniał nigdy i ducha Ewangelji wraz z etyką chrześcijańską w wielkim zawsze miał poszanowaniu. Widzimy to najwyraźniej w testamentie jego własnoręcznym, zdolnym Iżę wycisnąć nawet z oka obojętnego, spisany dnia 25 grudnia r. 1893 w Zakopanem. Czytamy tam między innymi te słowa: „Błogosławię Cię mój najdroższy, najmiłszy, jedyny syneczku, Kiesiumiu, dziecko moje najmilsze. Pamiętaj, kochaj swoją świętą Matkę za mnie i za siebie. Pragnę, abys czytał Ewangelję Ś-go Mateusza, i w życiu tak postępował, o moje drogie dziecko!“ Dalszy zaś ustęp opiewa: „Chcę aby dzieci moje były wychowane religijnie i sam tu piszę, iż wierzę w Boga Wszchemocnego. Przyczynę i Sprawcę wszystkiego“. Tak przecie niedowiarek nie odezwałby się z pewnością.

*) List pisany do przyjaciela (d. 6 grudnia r. 1892), który dostał się do rąk moich już po napisaniu słów powyższych, potwierdził przypuszczenie tam wypowiedziane, Matlakowski tak się w nim odzywa: „Powiadam Ci — może to z choroby, ale dziś nieznam nic na świecie tak wspaniałego jak hebrajcy pisarze. Homer przy nich to piękna dziecinna bajka. Lecz gdy mnie ból spiera i serce krwią opływa, cóż mnie obchodzić może Odyseja? — a tymczasem Job i Jezajasz — są dla mnie bracia“.

Ale wróćmy do wątku. Pomimo rozlicznych zajęć innych, pomimo nieustrudzonego kształcenia umysłu w kierunkach różnorodnych, nie zaniedbywał Matlakowski nigdy nauk lekarskich, owszem czynił w nich statecznie postępy i zaliczany wciąż bywał powszechnie do niezniów rokujących w przyszłości nadzieje najpiękniejsze. Nadszedł wreszcie rok 1875, czas był przystąpić do egzaminu ostatecznego, oraz pomyśleć o tem, co będzie potem. Mam przed sobą list Matlakowskiego, pisany d. 30 marca z Warki do R. Kowalewskiego, gdzie właśnie jest mowa o przyszłości, a ponieważ znajdują się tam także poglądy na życie lekarza prowincjonalnego, weale trafne, więc przepisuję go tu prawie w całości: „Między mojemi plany istnieje następujący, który w tak piękny układa się szereg ogniw: zdanie egzaminu, asystentura, jakie takie pieniądze, wzięcie siostry do Warszawy, która zamieszka przy mnie i będzie się uczyć, aby nie zostać zwierzątkiem na tym tu biednym świeczniku“.

„Z tego tedy wypada, że nie mogę ci obiecywać, iż będę mieszkał z Tobą — Rób tedy, jak uważasz, a na mnie nie zważaj. — Jasna rzecz, że jeżeli jedno z trzech pierwszych ogniw nie dopisze, ezwarte nie dojdzie do skutku, i ja wtedy mieszkać będę ze Staśkiem [*brat młodszy*]. Między temi dwoma alternatywami możebne jest, że będę sam mieszkał, ale to tylko wtedy będzie, jeżeli wymknie mi się asystentura, ale wtedy zdaje mi się, Ty sam nie powinieś ze mną mieszkać, bo ja będę miał środki bardzo ograniczone, będę tedy mógł mieszkać bardzo skromnie, z takimi meblami, jakie posiadam, i z dochodem jaki sobie za korepetycje wydobędę — nie moglibyśmy się tedy zaprzadcz do jednego ciężkiego wozu, bo na Ciebie by wypadł większy ciężar. — Takie to piękne nadzieje żywi jeden ze zdolniejszych studentów V kursu medycyny, przed samem skończeniem. — Istotnie nie jeszcze nie ma zdecydowanego, jasnego, określonego, co się tyczy przyszłości. — Życie ludzkie podobne do statku płynącego w górę rzeki. Z morza niewiadomości, bezgranicznych nadziei, nieokreślonych rojeń, i złotych mar młodości, wpływa na określeńszą rzekę życia, a mijając powoli wpadające weń dopływy, zbliża się coraz bardziej, i często mimowolnie, bezwyborowo, do jednego, już pojedynczego, nierozgałęziającego się koryta. Lecz ten, kto na rzece życia jeszcze, wie tylko na jakiej jest rzece, lecz nie wie gdzie wyląduje. Może i mnie płytkie czeka koryto, na którego mieliźnie się osiedzie, po swojsku pędząc żywot, hodując brzuszek lekarski? — Tymczasem jednak jeszcze się chce wypłynąć w innym kierunku, chciałoby się zaprobować sił swoich, i pozostać na obszerniejszem polu, na milej swobodzie, na świeczniku. — Ach Romanie, jaka smutna, jednostajna, marna doła prowincjonalnego lekarza, jak niechciałoby się zakosztować tego szczęścia. Przechodzić z bryczki na bryczkę, ciągle spieszyć, nie mieć noey spokojnej, przepisywać recepty — oto całe zadanie całego żywota. Otoczenie, cztery ściany lub czyste powietrze. To też i myśl jego taka czysta, że dopiero po przez warstwę lat dziesiątków widać słabe zabarwienie życia takiego człowieka. Zmachany, zmęczony, ma zaledwie czas na zjedzenie, ale brak mu go na czytanie. I zresztą czyż czytanie jest ostateczną już sprawą. Czytać się chce, ale tylko do pewnego czasu; kiedy do niego się dojdzie — chciałoby się samemu coś zrobić, coś wymyślić. Tymczasem biedny lekarz prowincjonalny nawet korzyści naukowej ze swej praktyki osiągnąć nie może... Gdzież jemu, bez laboratorium chemicznego, bez pomocy noża anatomicznego, bez mikroskopu, bez liczb statysty zrobić jaki taki przyczynek do ogólnego zbioru wiadomości. O innej działalności nie na prowincyi myśleć. Tu się dopiero czuje, że ludzie są daleko, że się wyszło z kolei po za obręb rzechu, że tu rzadko, tak rzadko ludzie, rozumiejąc pod tym słowem w ogóle *Homo sapiens* Lin. — Tu, zanim jakaś myśl, jakieś życie obudzić zdola, już zginie i rozplynie się

w przestworzu, jak fala na spokojnej, obszernej szybie jeziora — bo tu za daleko człowiek od człowieka. — Wszelkie życie tu zamarło: minęły czasy sejmików i zjazdów, wszystkie ruchy zbiorowe ograniczają się do zebrań do kościoła w niedzielę. Tu nie ma ani miejsc wspólnych, ani celów wspólnych świadomie zeznawanych. Uch jakżesz się nie chce pożegnać ze swojemi myślami, znieść swoje ełęci, i zakopać się własną ręką w sile życia, nie zaznawszy świata szerokiego, nie wyczuwszy tyle, ile człowiek wyczuć jest w stanie. — Ta jednostajność przedmiotów i otoczenia wpływa usypiająco na umysł, który nie ćwiczony, nie podsycany nowemi ideami, nie rozgrzewany nowemi żądzami i dążeniami, gnuśniej i w końcu zaczyna zbierać pieniądze“.

„Choć jednak tak dobrze się rozumie i czuje to prowinejonalne stanowisko lekarza, czy będzie można go unikać, trudna doprawdy odpowiedź... Jak mnie wypadnie sam nie wiem obecnie, to jednak pewna, że mam jeszcze dużo sil żywotnych, i długo jeszcze waleczyć będę, zanim przeciwne siły wtrącą mnie napowrót do tej eiemnej otęhłani niewiadomości, z której dzięki własności wrodzonych umysłu, niezależnych ode mnie wydobyłem się — a do której wpaść by się nie chciało. Przyszłość pokaże — kto przemoże.“

List powyższy, wedle zdania mego, jest bardzo ciekawy z kilku względów. Przede wszystkim poucza nas, iż w ciągu kilku lat uniwersyteckich zaszła w umyśle Matłakowskiego wielka zmiana. Pamiętamy, jak w r. 1870 dusza jego rwała się na wieś, jak chętnie uciekał z Warszawy, której wtedy nie lubił: prostota życia sielskiego nęciła go wówczas niezmiernie, wabiła go w swe objęcia, jak zalotnica urodziwa, ołśniewająca wdziękami na pokaz wystawionemi, ale starannie ukrywająca przywary swe, dostrzegalne dopiero dla wytrawnego znawcy. Otworzyły mu się oazy, stał się teraz całkiem inny. Poznawszy naukę, zgłębiwszy i pokochawszy ją szczerze, wykształciwszy i rozwiniąwszy umysł, zakosztowawszy rokoszy wyższych, dostępnych tylko dla ludzi wyjątkowych, łączących w sobie wykształcenie naukowe i rozumowe z wrażliwością duszy niezwykle szlachetnej, zrozumiał, że polem działalności dla niego może być tylko miasto wielkie, dostarczające mu sposobności do zaspakajania trawiącego go wciąż pragnienia wiedzy, nasycić mogące głód wrażeń nie dający mu spokoju. Zmienił się bardzo, widać to już i z listu weześniejszego (Warka, d. 10 lipca, r. 1874), w którym pisze: „Obecnie prowadzę życie pustelnicze, gdyż niższa klasa za eiemna, nie daje warunków do obcowania z nią, a wyższa mogłaby delikatnie dać mi uczuć swą protekejonalność przez wzgląd na moje niskie pochodzenie, czego bym nigdy niezniośł, znając swą w tej mierze wartość. Widzisz tedy że nie rozkosznie w mojem otoczeniu“. Oczywiście stał się człowiekiem innym, zrosł się ze światem nowym, dawny stał mu się obcym, odpychał go, nadto poczuł swą wartość i godność. Pomówmy słówko o tem.

Matłakowski nie był skromnisiem, znał i rozumiał dobrze zalety swoje, wiedział i pamiętał o tem, że w szkołach bywał zawsze uczniem wzorowym, że w uniwersytecie liczył się stale do najzdolniejszych studentów, że wreszcie i w życiu późniejszym miał wszelkie prawo do szacunku ogólnego, zdobywanego codziennie pracą uczciwą, prawością w postępowaniu i zdolnościami wyrobionemi o własnych siłach. Miał więc prawo niezaprzeczone krocząc o czole podniesionem, schylać je tylko przed tymi, którzy w nim cześć budzili, a mijać dumnie innych, nie umiejących go pojąć i ocenić jak trzeba, ludzi ceniących innych nie podług ich wartości prawdziwej, jeno podług herbarza. Człowiek tej miary, co Matłakowski, stałby się po prostu śmiesznym, albo co gorsza poniewierki godnym, gdyby był chciał popisywać się uniżonością i skromnością udawaną; jako prawdziwy arystokrata duchowy, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu greckiego, musiał czuć w sobie dumę szlachetną, tak dobrze uzasadnioną i czuł ją też rzeczywiście, nie płaszczył się nigdy i przed nikim; w liście, w gawędzie poufnej przy-

znawał się czasem do niej otwarcie, jak do rzeczy bardzo prostej i łatwo zrozumiałej, zrosłej z jego ustrojem duchowym. Był dumny, ponieważ miał prawo do tego, ponieważ umiał sam siebie słusznie oceniać; był dumny ale nie pyszny, pyszałkostwo, którego nie znosił w innych, było mu wstretne i obce zupełnie. Cenil sam siebie w miarę zasługi własnej, nie przeceniał się wszelako nigdy, i ehyba nie znajdzie się na świecie żaden żywy człowiek mogący mu zarzucić w dobrej wierze, iż się kiedykolwiek zarozumiałym okazał.

Na początku listu przytoczonego jest też wzmianka o siostrze Marji Helenie, którą miał zamiar, jeśli się uda, po skończeniu uniwersytetu wziąć do siebie, aby czuwać nad jej wykształceniem. Siostrę tę kochał bardzo i, jak widać z listów późniejszych, nietylko wychowaniem jej kierował, ale i żył na nie, o ile tylko skromne wówczas środki jego pozwalały na to, sprowadził ją do Warszawy i umieścił pod opieką dobrą, zaniechawszy pierwotnego zamiaru zamieszkania z nią razem. Równie dbał o to, żeby bracia młodszy odebrali wykształcenie wyższe i nigdy nie szczędził im ani rady dobrej, ani zachęty, ani pomocy, otaczając ich troskliwością swą, nietylko wtedy, gdy już sam stanął na własnych nogach, ale i znacznie wcześniej, wówczas gdy jeszcze do szkół chodził, gdy był studentem. Liczne dowody tego spotykamy w listach jego, wcześniejszych i późniejszych; nawet wtedy, gdy bawiąc po raz pierwszy za granicą, doznawał tylu wrażeń nowych, mogących wielu innych pochłonąć całkowicie, gdy w rozwoju umysłowym jego wytwarzały się przeobrażenia różne, doniosłe, rodzeństwo nie wychodziło mu z myśli nigdy i w niewielu tylko listach z czasu owego brak ustępów, albo przynajmniej dopisków, świadczących jak nieustannie pamiętał o wychowaniu i wykształceniu swych braci i siostry.

Skończył tedy Matlakowski uniwersytet, złożywszy świetnie egzamin. Ze słów jego, przytoczonych powyżej, przekonaliśmy się, jak przykra była dla niego myśl zostania lekarzem na prowincji, jak pragnął tymczasem pozostać w Warszawie, otrzymać miejsce asystenta i kształcić się dalej, wybiec potem na świat szeroki, gdzie tyle, tyle było do poznania, do nauczenia się. Pracował wiele, czytał i zdobył sobie wiadomości nie mało, więcej znacznie niż którykolwiek z rówieśników jego, pomimo to czuł aż nadto dobrze, ile mu brak jeszcze do tego, żeby stać się takim, jakim być pragnął. Czy dojdzie kiedykolwiek do celu, który go pociągał ku sobie, świecąc zdaleka? Przyszłość była niepewna, mglista, w tem zaszło zdarzenie z wielu względów pomyślnie dla niego.

Wielki pan litewski, hr. Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu, powziął myśl odbycia dalekiej podróży morskiej na własnym okręcie żaglowym, ba, nawet jeśli się uda objechania ziemi dokoła. Sposobiąc się do tak dalekiej drogi, musiał też pomyśleć o zapewnieniu pomocy lekarskiej dla siebie i załogi statku, polecił zatem w Warszawie poszukać lekarza młodego, któryby zgodził się towarzyszyć mu w podróży. Wybór padł na Matlakowskiego, gorąco zalecanego przez profesorów. Sposobność zwiedzenia w ten sposób kawału świata, musiała go pociągać ku sobie, więc też przyjął skwapliwie ofiarowane sobie stanowisko, chociaż od samego początku nie łudził się nadzieją zbyt różową, przeczuwając może, iż z wielkiej chmury, tylko mały deszcz się puści.

W listopadzie r. 1875 odwiedził jeszcze ojca w Waree i w końcu miesiąca tego podążył do Warszawy, żeby puścić się za granicę, na ową wielką wyprawę. Gdyby był zabobonny, to powinien był wstrzymać się od wyjazdu, ponieważ powrót z Warki mógł uchodzić w umyśle przesądnym za znak złowrózby. Przygodę doznaną w drodze, tak opisuje w liście do ojca (Paryż d. 6/XII r. 1875): „...przyjechawszy do Grójca miejsca w karecie

idącej o god. 12 w nocy nie było; musiałem więc nocować i czekać do 2-iej po południu. Siedziałem jak na rozżarzonych węglach. Nakoniec doczekałem się, ale cóż z tego. Ją-
dąc do domu już znalazłem złą drogę, nazad zaś wracając, zastałem ją jeszcze w gorszym
stanie. Nie dość na tem: z Warszawy do Sękocina jechałem w dzień przez plac Moko-
towski wymijając szosę, a teraz jak raz wieczorem. Byliśmy już o trzy wiorsty od War-
szawy i skręciliśmy w czyste pole z szosy. Zaczęło się zciemniać i śnieżyć, a wiatr wzma-
gał się coraz większy. Z powodu błota, każda karetka lub bryczka nie szła torem da-
wnym, a omijała go; od tego droga zrobiła się coraz szersza, tak że brzucha takie miały
chyba po kilka staj. Myśmy jechali napoprzek przez zagony, grzęznąc w tłustej, glinia-
stej, pulchnej, w jesieni zoranej ziemi. Nie dziwnego żeśmy uwieźli. 3 osoby i goła brycz-
ka tylko -- i konie nie mogły wyciągnąć. Pocztyljon wziął się do okładania, koń szarp-
nął, urwał ucho żelazne u sztywnagi; przywiązał naszyjnikiem, znowu szarpnął, znowu
zerwał. Teraz usiądź i plaż. Jechała z nami jakaś panna, nadzwyczaj cieniutko ubra-
na — na wesele, do Warszawy, jakiś były obywatel ziemski, gapa i gamajda. Co tu ro-
bić. Jechać niema nadziei, choć balwan pocztyljon coś tam się około dyszla gramoli, iść
ani pomyśleć — błoto w kolano, a my w kamazach i w kaloszach. Bodaj to buty z cho-
lewami. Kazałem tedy wyprządz konie, podać sobie jednego, i pojechałem do karczmy
sami, gdyż panna ani sama na koniu, ani zemną jechać nie chciała. Za mną przyjechał
obywatel, a panna na piechotę, utyflana w błocie po kolana, zmarznięta jak sęk. Nuż ją
rozgrzewać. W karczmysku, a raczej w garkuchni, żydów z pół kopy, co jechali z Rado-
mia z frachtem i zanocowali. Błoto, dym i zapach garkuchniany i żydowski. Zjedliśmy
kartofli z gęsim rosółem, a potem widząc, że nocować niema gdzie, ani też niema czego
czekać, siadłem na szkapę i zgrzany, zziąjany, zachlapany, utyflany w błocie jak niebos-
kie stworzenie przyjechałem o 9-tej do Warszawy, przepasany krajką. Największa bieda
była z kaloszami, bo nowe i szerokie, żal je zgubić; więc pookręcałem buty galganami
i wdziałem kalosze. — Co za droga była to Boże uchowaj, bo szosą jechać niebezpiecznie,
takie przepaści, więc jechaliśmy polem, okrążając wsi i karczmy". —

Matlakowski przesądny nie był, o *malum omen*, jeżeli je w ogóle za takie uwa-
żał, zapomniał oczyściwszy się z błota i wypocząwszy; nie miał też nawet czasu myśleć
o niem, bo dni ostatnie pobytu jego w Warszawie były zajęte przez załatwianie sprawun-
ków, odwiedziny pożegnalne i zabawę, której w gronie kolegów zaprzyjaźnionych używał.
Wyjechał na noc dnia 30 listopada r. 1875, udając się wprost do Paryża, gdzie miał spot-
kać się z hr. Tyszkiewiczem; tam też miał być ułożony plan ostateczny podróży przy-
szłej, oraz ustanowione warunki na jakich Matlakowski miał w niej uczestniczyć. Sta-
nawszy w Paryżu doznał zaraz na wstępie przeciwnostwa, błahego wprowadzić, ale wy-
wierającego na umysł jego tak wrażliwy, wpływ przykry — nie zastał hr. Tyszkiewicza;
pisze więc w d. 7 grudnia do R. Kowalewskiego: „...szarpany jestem przez jędzę
Niepewności. Niepewność — dość ci tego słowa! Nie napróżno jeszcze Starożytni uważali
ją za boginią okrutną. Mieszkam w jego pałacu, na 5-tem piętrze. Mam pokój bardzo
podobny do tych, jakie lubisz: więc pokój o trzech oknach od południa, więc dywan na
całej podłodze, więc marmurowy kominek, więc łóżko na szerokość mające tyle co rosły
chłop na wysokość; z kotarą wysmienitą. Powiadam ci, jakie łożo, ha-ha! — Dalej biurko
(*tak!*), marmurowa umywalnia, fotele i t. p. Nie prawdaż, żyć nie umierać! Pomimo to
nie jestem zadowolony, a nawet jestem niezadowolony. Pomimo tak pięknego otoczenia,
czuję i może właśnie w skutek wyrazistości mojego otoczenia, że to nie jest *at home*. Co

chwila mi się przypominają słowa Krasickiego w bajce „Miej ty sobie pałace, ja mój domek własny“. Nie jest to *home*. A te śliczne przedmioty przypominają mi tylko tułactwo. Zgorszysz się może, kiedy ci powiem, że niewszystkie meble zająłem do używania. Zrobiłem to dla tego, że oczekuję rozmowy z Tysz., zobaczenia się z nim, a przez to osadzenia legalnego w pałacu (listu nie zastałem do siebie). Dowiem się również jak długo będę bawil, wtedy się rozpakuję; dotąd bowiem wyjąłem z kufra papier i słownik francuski — prawda jeszcze album. Wolalbym, żeby Tysz. dał mi oznaczoną summę na utrzymanie, na życie i mieszkanie — byłbym wtedy szczęśliwszy. To obeieranie się o cudze ściany, rozwalanie po cudzych sprzętach, używanie na koszt cudzej kieszeni jest bardzo podejrzanej barwy, i jestem niewymownie z siebie kontent za to uczucie wewnętrzne niezadowolenia z otoczenia. Trudno jest bowiem nader zakreslić sobie granicę, gdzie się kończy to, co mieć powinienem za swą pracę, a gdzie się zaczyna to, co mi się nienależy. Prawo wyboru — zostawione samemu do woli, — a człowiek wobec pokus, tak jest słaby; cóż dopiero, kiedy pokusy z tobą mieszkają, śpią, wstają. Pan zaś każdy zostawiając wszystko swoim sługom, tem mniej widzi granicę, a może jej zupełnie nie widzi; może u niego pole należności i pole łaski — zlewają się w jedno tylko i w to ostatnie. Łaska zaś, za którą nie można odplacić łaską, upadła, a takie mniemanie Pana, daje mu prawo do poniżania każdej chwili. Mam tedy pełno skrupulów, i cieszy mnie to, jak W., J. z politowaniem patrzą na tę nieznaną swą światu, na to skromne stawianie kroków z nieśmiałością. Oni to za parafjaństwo biorą. Szczególniej pierwszemu musiało się dziwnie wydać, kiedy nie chciał dużo jeść i pić na rachunek cudzej kieszeni... Dalsza przyczyna niepokoju wynika ze zmiany sytuacji. W ciągu tych dni kilku wytrzymałem ataki całej falangi wrażeń, które musiały mnie poruszyć do głębi, i spowodować niepokój. Człowiek podobny jest do mrówki. Gdzie się znajdzie, buduje sobie mrowisko, z domu, mieszkania, widoków, ulicy, otoczenia, mebli, ludzi, znajomych, z wrażeń nawet, z pewnych myśli nawet. — W tem mrowisku żyje, pracuje, zbiera, weseli się, smuci. — Jednego kolo większe, innego szczuplejsze, jeden dalej wybiega myślą, drugi trzyma się swego domku. — Wsadź kij w mrowisko, porusz nim, — natychmiast powstaje zamieszanie, latanie, rojenie się, bieganie, — setki stworzeń wykoleiłeś z ich biegu! I mnie los wykoleił i rzucił do nowego mrowiska. A chociażem człowiek, i to człowiek cokolwiek przewidujący, nieco doświadczony, i zawczasu uwiadomiony o wyrzuceniu — mimo to wszystko — musiałem być zaniepokojony przez kataklizm tak straszny. — Dziwna ta ludzka natura, albo li też mój umysł krytyczny tak słaby? Zaczynają się jakieś nieokreślone uczucia, ni to boleści cielesne, ni to coś duchowego; myśli nie płyną swobodnie, — powiedziałbym, że nawet powstają w takich razach szererby, niewypełnione zupełnie myślami, a jeśli ezuwanie dzienne przyrównać do widma, senne marzenia do spektru zafioletowego, to w takich razach, — w chwilach niepokoju i trwogi — rozszerzają się linje Fraunhoferowe, — tworzą się szerokie, ciemne luki, miesza się następstwo kolorów! — Byłem jednak, raczej jestem, na tyle już wyrobiony, ku mojemu zdziwieniu, że wypadek ten, nie tylko nie wybił mnie z pozycji, przez ruch zbyt cenny, ani też nie tylko nie zmusił mnie do zasklepienia się z swojemi myślami, jak skąpiec ze skarbami, co byłoby jeszcze gorzej — ale dał mi możność obserwowania się, każde zaś roztrząsanie siebie, jest to oznaczanie szerokości i długości wśród burzliwej nocy morza, kiedy ginie z oczu gwiazda polarna. Oznaczyłeś swoje położenie nowe — i wiesz gdzie jesteś! Ja jestem obecnie w trakcie roboty — jestem wiele spokojniejszy! — Do tego wiele mi pomogła pewna książka „Confessions de Stuart Mill“. — Wiesz

że zawsze miałem słabość do wielkich ludzi, a szczególnie lubilem dobrać się, aż do ogniska ich wnętrza, Mill sam wprowadza, a gdy widzisz jak filozof roztrząsa siebie samego — tobie się lżej robi — Zresztą zostawiam się biegowi wypadków.“

W liście do ojca, o dzień wcześniej pisany, tak się wyraża: „Dobry Ojcie! znajduję się obecnie na obczyźnie, to prawda, ale na stanowisku, o które się wielu ubiegało; skończyłem uniwersytet, odebrałem dyplom na lekarza, mam chleb w ręku — komuż to wszystko zawdzięczam, jeżeli nie Ojcu. — Wszystko się na świecie dziwnie kojarzy, nieprzewidzianie, niewytłómaczenie! Kto mógłby był przewidzieć przed laty 15-tu, że biedny syn ubogiego rolnika z podłej miejsciny, skończy z chwałą nie tylko gimnazjum ale i najwyższy na świecie zakład. Pamiętam, kiedyś się jeszcze uczył przedostatniego dnia przed wyjazdem do klas 1864 r. gramatyki łacińskiej, myślałem sobie, żebym to ja choć był ostatni w swojej klasie. O jak dziwnie mnie pełnęły losy. — A gdzie zaprowadzą, kto może proroczym duchem odgadnąć. Może jeszcze wyżej, a może mnie los zupełnie i na powrót wtrąci w nicość, z której się podniosłem; ale zawsze będę mógł powiedzieć, że wiele myślałem, wiele czulem, wiele wiedziałem, byłem człowiekiem“.

Przytoczyłem dwa ustępy powyższe, ponieważ zawierają bardzo znamienne rysy usposobienia i uczuciowości Matlakowskiego. Że młodzieniec rozpoczynający dwudziesty piąty rok życia, świeżo po opuszczeniu ławy uniwersyteckiej, znalazłszy się naraz daleko od kraju, od rodziny, przyjaciół, znajomych, w otoczeniu obcym i nowym dla niego zupełnie, musiał wyjść nieco z równowagi, to rzecz aż nadto zrozumiała, żeby się długo rozwodzić nad nią, jednak przyznać trzeba, że tylko człowiek obdarzony wrażliwością niezwykłą, w takich nawet okolicznościach, mógł tak głęboko odczuć nie nieznaczące przeciwieństwo, spotykające go po przybyciu do Paryża; tylko wygórowana nieco duma i do przesady posunięta delikatność, świadczące o nieznajomości stosunków wielkoświatowych, mogły mu wydrzeć tak tragiczną skargę na niepewność, pozorną raczej niż rzeczywistą, bo mającą skończyć się już za dni kilka. Jeżeli Matlakowski po latach kilku list swój do R. Kowalewskiego odczytał, to niewątpliwie uśmiechnął się nad przesadą deklamatorską ówczesnych swych niepokojów, ale zasadniczych myśli tam zawartych nie wyparł się nigdy z pewnością.

Matlakowski pomimo, że przeszedł twardą szkołę życia, że w gimnazjum i w uniwersytecie ciężko pracować i walczyć musiał, żeby dojść do celu upragnionego, cieszył się wszelako zawsze powodzeniem i miał stale szczęście do ludzi, był kochany, ceniony za swe zalety, a dni ostatnie, przed wyjazdem w Warszawie spędzone, sporządziły mu rodzaj małego tryumfu, zasłużonego zresztą zupełnie. Niepokoilo go to nawet. Jeszcze w liście na samem odjeździe pisany do R. Kowalewskiego, powiada: „Jam człowiek, chcę być kaleczonym i leczyć się, padać i podnosić“ i dalej: „O szalone szczęście u ludzi!... leżąc któregoś dnia w łóżku — myślałem nad tem, żeby temu raz koniec położyć. Człowiek boi się szczęścia. Co za głęboka myśl w starogreckiej opowieści o pierścieniu Polykratesa! Co za doniosłość!“ — a w tydzień po napisaniu tych wyrazów, gdy przyjechawszy do Paryża, nie zastaje osoby, którą chciał zastać i liczył na to, zapomina o swych życzeniach, nie raduje się z tego drobnego przeciwieństwa, lecz czuje się tak dotkniętym, jakby go rzeczywiście nieszczęście jakie spotkało. Ale to podrażnienie długo nie trwało. Znadto dużo było w Paryżu rzeczy godnych widzenia, nęcących ciekawość, żeby się roztkliwiać, zresztą i hr. Tysskiewicz nadjechał wkrótce potem, skończyła się więc i owa niepewność niby tak straszna. List gromiący przyjaciela także zrobił swoje i żywy umysł Matlakow-

skiego, otrząsnąwszy się z chwilowego niepokoju, wrócił znów na tory zwykłe, jeżeli w ogóle zboczył z nich po za chwilami, w których list swój pisał, bo i to wszakże możliwe. Nieraz zdarza się przecie, iż przy pisaniu listu napadają człowieka myśli, których przedtem nie miał wcale i snując się mimowolnie, oplątują go do tego stopnia, że pisać zaczyna rzeczy, o których istności, albo zasadności sam może w duszy powątpiewa, pisze jednak, bo porwany przez wyobraźnię, nie ma czasu na zastanowienie się, myśli zaś wpływające z pod pióra odurzają go, rozczulają i wiedzą dalej niż rozwaga puścić by je chciała. Może i w tym razie coś podobnego się zdarzyło. Zupełnie już inny, pogodniejszy nastrój panuje w liście bardzo długim z d. 22 grudnia, chociaż, co prawda, nie znów takiego nie zaszło, eoby zmianę stanowczą w położeniu było sprowadziło. Wprawdzie hr. Tyszkiewicz przyjechał, ale o wyprawie samej, jej kierunku, trwaniu, warunkach mowy nie było właściwie wcale, zakrywała ją w dalszym ciągu, jak dotąd, zasłona mglista, powody więc do niepewności nie ustały bynajmniej, Matlakowski uspokoił się jednakże zupełnie i chłodniej zaczął zapatrywać się na to, co przyszłość mu bliska miała przynieść.

Jeszcze w liście z d. 7 grudnia napisał: „Wyjeżdżając byłem pewny, że Paryż w zachwyt mnie nie wprawi — choć z tego nie wynika, aby w nim nie było rzeczy godnych uwagi, lub przedmiotów sztuki. Ostatecznie jednak Ja pozostało górą“. — Zdanie to, wypowiedziane zbyt pośpiesznie w kilka dni ledwo po przybyciu, chociaż chwilowo było niewątpliwie szczere, nie miało jednak trwałości niewzruszonej. Paryż oczywiście nie mógł zachwycić tak Matlakowskiego jak turystę przeciętnego z pełną kieszenią, goniecego tylko za przyjemnością i zabawą, ale i jego rzecz niejedna chwyciła później za serce i rozdmuchała w nim iskry zachwytu, do którego w ogóle był skłonny, widać to z listów późniejszych. Posiadał duszę nadto artystyczną, żeby się był mógł obronić przed zachwytem, gdy ujrzał mnóstwo rzeczy wspaniałych, nagromadzonych nad Sekwaną. Przekonają nas o tem niebawem słowa jego własne, przedtem jednakże posłuchajmy jak się broni przeciwko zarzutom przyjaciela i jak mu opisuje, co robi w Paryżu.

Rzućmy tedy okiem na list z d. 22/XII r. 1875, a między innymi znajdziemy tam słowa: Zarzucasz mi zgubienie się, tęsknotę; gdzieś u Boga miłego, znalazł te skarby w listach moich? ...Wyjeżdżałem z kraju i byłem kontent; istotnie dotychczas nieznam co to jest tęsknota. Co niedziela, w którą nie mam co robić przychodzi mi na myśl, żal mi, tęsknię, że nie mogę do Was [t. j. R. Kowalewski i matka jego] pójść, pogadać, posłuchać, poweselić się, posmucić się, opowiedzieć wszystko, co widziałem, lub co pomyślałem — aleć to nie jest żal gęsi za zieloną trawką (przy błocie), lub owcy za zieleń. Co dzień widzę żydów polskich, i nie całuję się z niemi, co dzień lażę po kościołach, a przez Bóg miły, nie przypomnialy mi się dziecinne lata, kiedym żakiem codzień na mszy w parach z kolegami kłęczał. — Ech do kroćset tysięcy szatanów, jestem głupi ze złości, jak but, nie wiem jak ci odpowiedzieć, żeby ci aż w paznogie poszło. Ale odpowiem ci faktami. — Wybaczysz jednak, że będę na ciebie wymyślał, krzyczał, o mało nie walił! Bo przez Bóg miły nie można inaczej! — Cóż to czy ja pensjonarka, czy indyk, Co u Boga Ojca? Prawisz mi o tem, żem mazgał, żem plaksa i t. p. — Że mi było żal, to mi było, jakem siadł do wagonu, i że działo się 100 razy więcej we mnie, niżem napisał, to możesz być pewien... Cóż to ja w teatrze, że mam grać komedje. — Nie bój się — do nikogo mi się i słówko nie wymknie, ani wyraz chmurny nie przeleci — do Was tylko, bo i do rodziny nie, — bo tamby się pozabijali. Więc jeśli gryziony żalem, — omurowany względami lub obowiązkiem, czyniąc fizjologicznie — rozrzewnię się przed Tobą w chwili poga-

wędkę, to ty na mnie? — Czekaj! — Ja tobie chciałem dobrze, a ty na to tak! Ale dobrze, jak ci zacznę Paryż opisywać, to zobaczysz napowrót swego Władka! — Dowody: 1° Na drugi dzień po przyjeździe bez niczyjej pomocy łaziłem po Paryżu, wchodziłem na wieże, zwiedzałem. — Kto ma franki w kieszeni i jest w Paryżu, a nie emigrant, dureń jeśli beczy. — Tylko ty widocznie chcesz, żebym Ci jak Policja o wszystkim donosił, wtedy ty dopiero przekonasz się! — 2° Zwiedziłem Louvre, Luxembourg. Wszystkie ważniejsze pomniki budownictwa: S-te Chapelle, Notre-Dame de Paris, Panteon, St. Germain d'Auxerrois [tak!], S-te Clotilde, Inwalidów, St. Vincent, St. Sulpice, S-te Madeleine, St. Jacques, l'Arc de Triomphe, moc pałaców i t. p. i t. d. — A jeśli pomyślisz, że mieszkam na skraju Paryża, a odległości mierzą się tu milami — to uwierzysz, że gdybym chciał beczyć to nie mogę, bo mi się żreć i spać chce. 3° Od tygodnia chodzę na kliniki: Richet, Gosselin, Trelat, Lanceraux, Sée, Gałęzowski (Gałęzowski po francusku) — co mi zajmuje czas od wpół do 8-ej do 3-ej. — 4° Byłem w Muzeum Dupuytren'a, w prosektorjum, w École [de] médecine na egzaminach doktorandów. — 5° Porobiłem znajomości (wizyty), z Dr. Gałęzowskim, Ramlowem, Gierszyńskim, ze stud. z Wołynia Sabatowskim, z Suzinem, — i na to czasu potrzeba, jeśli do Sabatowskiego na Batignolles jedzie się 1/2 godziny, — ale co to mówić do ściany! Rzucaj groch naprzódo. 6° Ażebyś, niech Cię bogowie dobrze ożenią za to! piszę dziennik, jeżeli będzie cię obchodził ułamek ludzki, który się zwie Wł. Matł., to się z niego przekonasz co czulem ważniejszego*). 7° Piszę coś — artykuł, tssyt, a więc zatem, ale nie wyprzedzajmy wypadków; jak go przeczytasz — uwierzysz, że nie płakałem. — Prawda takie go uczucie dyktowało, no aleć i przeobrażenie uczucia coś znaczy**). 8° Kupiłem przewodnik po morzu, — Origines de la France contemporaine, Taine'a (świeże dzieło, 1876) — i Beaumarchais'a: Le Mariage de Figaro i Barbier de Seville. Czy ty wiesz co to jest Beaumarchais, a czy wiesz owo wyrażenie „Powiedz mi co czytasz, a ja ci powiem kto jesteś“. — Ale co to mówić do drewna. — Jednak bijąc się w czoło palcem powtórz sobie: Beaumarchais, Beaumarchais! — Kto sobie nuci „Karnawał Wenecki“ — czyż płacze (Ha, ha, ha — jak kulą w płot — ale tu nie chodzi o dowiedzenie, że niema uczucia, ale o to, że niema pewnego parafjańskiego jego rodzaju!). (Publicznie bowiem przyznaję, że uczucia jest na potęgę). — 9° Słuchaj teraz co robię: o 7-ej z łóżka, o 8-ej na kliniki, o 12-ej śniadanie, potem klinika Gałęzowskiego, lub Muzeum lub coś podobnego, — potem cukiernia [?], kawa, gazety (kilka-naście), do 6-ej czekam na mieście na obiad, bo drugi raz iść mi niepodobna do miasta. O 7-ej do domu i — jeśli zmachany to spać, jeśli zdrow na umyśle i rzeźki, to do dziennika lub do czego innego, lub do książki. — 10° J. chory, ma Mumps, który tu panuje, więc go kuruję (parejalnie, bo główną kurację prowadzi Ramlow); — przy chorym mazać się nie wypada. Nakoniec — nakoniec zważ co następuje... Pojmujesz że dla mnie, związanego swe losy, z losami T. wszystko jest głupstwem w porównaniu z osobistością T... Cały tydzień na niego czekałem, nie powiem z niecierpliwością, bo byłem kontent, że go nie ma — że mogę dłużej w Paryżu zabawić“. Tu następuje bardzo szczegółowy opis pierwszego widzenia się z hr. Tyszkiewiczem, oraz nie mniej dokładny obraz osoby jego wraz ze szczegółami z życia dawniejszego, dziecięctwa, wychowania, zapatrywań itp.

*) Wielka szkoda, że z dziennika tego nie mogłem korzystać, nie wiem nawet czy jeszcze istnieje.

***) Mowa tu prawdopodobnie o korespondencji drukowanej w „Medycynie“, r. 1876, Nr. 15, 16 i 17.

Może być, że to wszystko jest zupełnie trafne, a ciekawe w każdym razie, nie uważam jednak za stosowne powtarzanie tu tak długiego ustępu z listu, ustępu nie odnoszącego się wprost do Matlakowskiego. Ograniczę się więc na przytoczeniu z innego listu (do ojca z dnia 26/I 1876) słów następujących: «Tyszkiewicz przyjął mnie porządnie — bo sam jest człowiek porządny — choć młody, niema bowiem i 25 lat. Zresztą mało z nim przestawałem, gdyż on ciągle albo bawi w Nicei (nad Morzem Śródziemnym), albo w podróży — a ja dotychczas siedzę w Paryżu». —

A teraz słówko o tem, co Matlakowski napisał do przyjaciela. Pomimo zamasyto-wesołej obrony, zabarwionej nieco rubasnością, w szczerotę jej uwierzyć trudno; chciał widocznie uspokoić tylko swego kochanego Romana i matkę jego, dla której żywił przywiązanie istic synowskie; wątpić jednak można zasadnie, żeby mu się to było udało, tembardziej, że jeszcze w liście tym samym zdradza się ze swym niepokojem o przyszłość. W zaprzeczeniu tęsknoty dotyczące, ani na chwilę wierzyć mu nie można, przecież temu bowiem bardzo stanowczo listy zarówno wcześniejsze, jak i późniejsze, a nie mogło też weale być inaczej. Matlakowski duszą całą tak przyłgął do kraju ojezystego, do rodziny, do przyjaciół, tak namiętnie kochał kątek każdy, z którym łączyły go miłe wspomnienia dawniejsze, iż byłoby niepodobieństwem zupełnem, żeby nie miał tęsknić; trudno sobie nawet wyobrazić, znając go, że mogłoby istnieć cokolwiek na świecie, coby potrafiło w nim na dłużej tęsknotę zagłuszyć. Jeżeli się tał czasami z uczuciem tem, co mu nie udawało się zwykle — to czynił to w celu uspokojenia osób mu drogich, ale że tęsknił, to tęsknił, ilekroć mu wypadło stąpać po ziemi obcej. Sądzę, że to przywiązanie do swojskości tak szczytne, to bolesne odczuwanie jej braku, zaliczone być winno do najpiękniejszych ozdób jego duszy tak zacnej i pełnej uczuć szlachetnych.

Czasu, jak widzieliśmy, nie tracił w Paryżu, pracował i używał tam po swojemu. Matlakowski był „Epikurejczykiem sui generis“, jak go nazwał kiedyś R. Kowalewski; epikureizm jego — jeżeli nazwy tej wogóle użyć w tym razie wypada — nie wspólnego nie miał z tem, co zwykle mianem owem zaszczytane, lub piętnowane bywa; rozkoszował się w Paryżu, i to nie byle jak, ale skarbami sztuki nagromadzonemi w tem mieście, o przyjemności inne mniej albo weale nie troszcząc się. Zwiedzał galerje i muzea, trawiony pragnieniem wrażeń, chciał na sobie samym doświadczyć tego, o czem się naczytał już tyle, zapoznawał się z arcydziełami malarstwa i rzeźby, przypatrywał się bacznie pomnikom budownictwa, zastanawiał się nad tem wszystkim, a wrażenia swe na papier przelewał, żeby je utrwalić. Nie mniej może nęciło go też badanie sposobu życia francuzów, ich zapatrywań, dążeń, obyczajów; zbyt krótko jednak wśród nich przebywał, żeby sobie wyrobić sąd dostatecznie uzasadniony, chociaż licznym uwagom jego trafności odmówić niepodobna. Pod względami tymi niezmiernie ciekawy jest list jego do rodziny [z d. 27/XII, 1875], aż 16 stronic biego pisma obejmujący; opisuje w nim Paryż, rozumie się nie à la „Guide Joanne“, ani à la Baedeker, przeplatając opisy swe uwagami, z których tu kilka, ponieważ są znamienne dla poglądów jego, powtórzę.

Zwracałem już uwagę na wczesny rozwój poczucia piękna i zamiłowania dla sztuki w Matlakowkim; rozkochał się w niej wcześniej niż ją poznał dokładnie, dopiero teraz, przybywszy do Paryża, znalazł sposobność ku temu, korzystał też z niej z pośpiechem gorączkowym, wchłaniał w siebie wrażenia najrozmaitsze, a tak liczne, że w umyśle innym, mniej do tego uzdolnionym, mogłyby były wywołać zamęt, w nim wszelako wyrobiły smak i znajomość rzeczy, a przynajmniej położyły pod te przymioty, któ-

rymi odznaczał się tak bardzo w czasach późniejszych. Jest rzeczą łatwo zrozumiałą, że wówczas sądy jego w sprawach sztuki nie mogły rościć prawa do doskonałości, nie posiadał jeszcze wyrobienia dającego nabyć się dopiero po latach obcowania ze sztuką, więc mylił się też nieraz. Trudno up. zgodzić się z nim na to, że kolumna Vendôme jest arcydziełem sztuki, że malarstwo francuskie stoi daleko poza włoskiem, a nawet za społecznem niemieckiem, trudno też podzielić zdanie jego ówczesne o rzeźbie nowożytniej, o której twierdzi: „że ta sztuka nigdy Europie nowej się nieudawała i że wszystko, co zrobili po Grekach było tylko ślepe małpowanie tych mistrzów. Jedni tylko Włosi XVI stulecia z Michałem Aniołem na czele; największym genjuszem Nowego Świata — Canova i Thorwaldsen zbliżyli się do Greków“. Sądy to młodzieńcze, świadczące raczej o jego odczuciu i przejęciu się chwilowem poglądami estetyków starej daty, przeważnie Niemców, niżeli o zdaniu własnem, wyrobionem: później, gdy się wyswobodził z tych więzów, gdy sąd jego dojrzał, oparty na poglądach własnych, zasadzających się na zbadaniu samodzielnem wielkiej liczby arcydzieł sztuki dawnej i współczesnej, nie byłby takich zdań wygłaszał, tak samo, jak wtedy już nie byłby z pewnością powtórzył tego, co twierdził o trzy lata wcześniej, że „Matejko jest teraz jeden z najpierwszych malarzów Europy: obok niego obecnie stoją tylko dwaj. Kaulbach (niemiec) i Doré ów sławny rysownik Biblii (francuz)“ [list do ojca z d. ? lutego r. 1873]. Rozumie się, że z takimi sądami zgodzić się nie można, zachowując przytem jednak pobłażliwość dla nowiejusza bardzo wrażliwego i bardzo zdolnego, ale pod wielu względami nie wyrobionego jeszcze, walczącego dopiero o wstęp do świątyni, która go tak pociągała ku sobie, a do której wnętrza dotąd zaledwie z daleka niekiedy mógł wzrok swój zapuścić. Pomijając takie sądy zapożyczone, albo też niedowarzone, chętnie podzielić z nim możemy zachwyt dla katedry Nôtre-Dame, albo dla Sainte-Chapelle „która może jest największem arcydziełem budownictwa w Paryżu. Żadne pióro nie opisze jej zgrabności, lekkości [*tact*] i wdzięku. Wygląda jak filigranowe cacko, jak pieścidelko. Na wierzchu jedna wieżyca, smukła, śliczniuchna, złocona, wysoka aż pod niebiosa. — Wewnątrz kościółek ten ma sklepienia malowane na niebiesko, usiane złotymi gwiazdami, ściany pomalowane, a okna, arcydzieła roboty swego wieku — są zaludnione Świętymi malowanymi różnokolorowo na szkle. Posadzka jak mozaika, — niema barbarzyńskich ołtarzy po ścianach, psujących efekt — tylko wielki ołtarz, w kształcie kościółka gotyckiego, nad nim organy. Nad drzwiami ogromne okrągłe okno, oszkolone kolorowanem szkłem, na którego każdej szybeczce — całe grupy świętych. — Skoro słońce zaświeci, całe wnętrze kaplicy przedstawia, tak pyszny, błyskotliwy wygląd, taka gra najrozmaitszych kolorów, taki blask złocen i malowań, tak silne wrażenie luków, filarek, figurek, statuetek — że oka oderwać niemożna — że wyjść niepodobna z kaplicy“.

Czytając słowa powyższe, czuje się, że ojcem ich jest zachwyt prawdziwy, zachwyt płynący z duszy odczuwającej piękno w stopniu niezwykłym, pojmującej je, oraz umiejącej upajać się niem; nie widać w nich śladu estetyki książkowej, jeno uczucie porywające piszącego. Opisu właściwego tam nie wiele, uwaga o bocznych ołtarzach mimochodem tylko rzucona, ale ileż tam uczucia! — Inaczej zupełnie brzmi to, co pisze w tymże samym liście o dwu innych świątyniach. Przeczytajmy. — „Znacie zapewne, chociaż z opisu Partenon w Atenach — otóż na wzór jego jest kościół Ś-tej Magdaleny. Jest to prostokątny budynek, wsparty na podwójnym rzędzie słupów koryneckich. — Zbudowany z ciosowego kamienia, — śliczny — ale cóż, kopja — i to mizerna! — Najbardziej mi się podobał Pantheon — jest to budynek w kształcie krzyża, na nim jakby kościół św. Aleksandra, na nim

kopuła jak w Ewangielickim kościele^{*)}). Rzędy słupów korynckich — tworzą frontony. — Środek, gdzie stoją całe szeregi takich słupów, robi najpiękniejsze wrażenie świątyni greckich — ale za to cały efekt psują złożone ołtarze katolickie, malowania na sklepieniu, konfesjonały. Możecie to odczuć — że śliczna, wesoła budowla grecka, nigdy nie może być świątynią Boga chrześcijańskiego, nigdy nie może nosić piętna smutku, pokuty, barwy ascetyzmu, modlitwy, jednem słowem piętna ducha chrześcijańskiego. — Postawić krzyż w świątyni greckiej — to ironja — w świątyni greckiej modlić się nie można — bo w niej przychodzą myśli o owym jedynym w dziejach narodzie, wesołym, ruchliwym, chytrym, handlowym, filozoficznym, twórczym. — Ś-ty Franciszek podobny do suchotnika, nie może zastąpić miejsca Herkulesa, Ś-ta Cecylja lub Teresa — Afrodyty — Ś-ta Barbara — Pallas-Ateny — Ascetyzm — Zmysłowości — Piekło, Nieba — Smutek, — Wesela — Dante, Homera. — Ty sobie w najlepsze rozmyślasz o tem jak tam po Propylejach sobie chodzili nago, jak w Pireusie się ruszali, dyski rzucali, na polu bitwy się potykali — jak Perykles na agora dowodził — a tu ci się odzywa znany głos księdza w konfesjonale — modlącego się „graniasto“, głos, który rozlega się po kościele, zamiast śpiewów i chórów greckich.“

Zestawienie dwu przytoczonych ustępów jest, zdaniem mojem, bardzo pouczające. Areydzielo sztuki gotyckiej wywołuje w Matlakowskim zapal romantyczny, olśniewa go, wprawia w zachwyt, widok zaś pomników niby klasycznych wywiera na nim wrażenie inne zupełnie, niewątpliwie równie głębokie, ale nie tak miłe, nie tak za duszę chwytające, ponieważ go razi równocześnie niestosowność połączenia form klasycznych z chrystjanizmem, godzącym się wybornie z romantycznym gotykiem, ale nie wspólnego mieć nie mogącym właściwie z klasycyzmem, uosabiającym zawsze i wszędzie piękno zmysłowe, piękno postawione nad wszystko inne na świecie, zarówno w przyrodzie jak i w sztuce. Na ten rodzaj piękna Matlakowski był właśnie bardzo wrażliwy, hellenizm przeważał zawsze w poglądach i uczuciach jego, nawet wtedy, gdy go się wypierał, gdy usiłował drwić z niego. -- Ileż to tysięcy ludzi przed nim zwiedzało Panteon paryzki, a jak mało z pewnością między nimi znalazło się takich, którzyby równych z nim uczuć doznali, którzyby tak od razu zrozumieli na czem one polegają? — Dusza ateńska dwudziestoczworoletniego młodzieńca odgadła w tej chwili to, nad czem sobie może niejedyn estetyk zawodowy przez długie lata głowę suszył daremnie. Gdyby był znalazł w Panteonie zamiast ołtarzy chrześcijańskich, rzeczywiście niezgodnych z jego architekturą, piękne posągi marmurowe bogów i bogiń pogańskich, byłby z pewnością wpadł w taki sam zachwyt, jak ten, który go opanował w la Sainte-Chapelle, w tym rzeczywiście cudnym, a tak jednolitym pomniku sztuki chrześcijańskiej. To wybitne poczucie zgodności koniecznej treści z postacią w sztuce, jest właśnie dla niego bardzo znamienne, i na tem większy podziw zasługuje, ponieważ tak weześnie w nim się rozwinęło. Że na pomnikach rzymskich wzorowany Panteon, nazwał świątynią grecką, że la Madeleine ma być wedle słów jego naśladowaniem Partenonu, jest to *lapsus calami*, za który nikt chyba nie potępi go, tem bardziej, że pomyłka ta w niczem nie osłabia słuszności wypowiedzianych przezeń zdań bardzo trafnych.

Malarstwo zajęło go też bardzo, więcej może nawet niż budownictwo i rzeźba. W galerjach Louvre'u spędził nie jedną godzinę i starał się dokładnie zapoznać z rozmaitemi szkołami i mistrzami. Powtarzanie tu wszystkiego, co wtedy o przedmiocie tym napisał, byłoby zbyteczne, jednakże zwrócić uwagę muszę na to, że już wtedy zamiłowanie

^{*)} Jest tu mowa o dawnym kościele Św. Aleksandra w Warszawie, przed przebudowaniem go, oraz o kościele ewangelickim w temże mieście.

jego późniejsze do pewnych rodzajów i kierunków malarstwa zarysowało się bardzo wyraźnie. Uznaje np. piękność „ślicznych jak boginie świętych Rafała, Tycjana“, wymienia nazwiska mnóstwa mistrzów, którzy go zajęli, ale czyni to pobieżnie, zajęcie się większe, zapal, znać dopiero gdy pisze: „Jest jeden krajobraz Ruysdała [tak!] od którego oczu oderwać nie można. A co za przepyszne krajobrazy Salvatora Rosy — który jak wiecie malował same straszne widoki. Nad wszystko jednak podobały mi się Madonny Murilla — ach powiadam co za cuda! — Dalej Hiszpan Ribeira — ze swojemi czarnemi, straszniemi obrazami!“ — Tym upodobaniom swoim wierny już pozostał do śmierci, chociaż rozumie się, że poglądy jego na sztukę wogóle, podlegały zmianom pewnym i że pisząc na schyłku życia wstęp do *Hamleta*, myślał i wyrażał się pod wielu względami inaczej niżeli jako wehodażący dopiero w świat młodzieniec.

Zdania wypowiedziane o Paryżu, mieszkańcach jego, ruchu i życiu ulicznym, są nieraz zadziwiająco trafne, często wszelako zbyt powierzchowne, nieraz może nawet powtarzane tylko za innymi, więc też nie potrzeba ich tu przytaczać; przywiodę jednak opis wydarzenia, nie zresztą nie znaczącego, ponieważ zawiera w sobie rys nadzwyczaj znamienity dla usposobienia Matłakowskiego. Opisując ruch uliczny, paryzki, tak się wyraża: „Po mieście snują się wozy przewozowe — bardzo charakterystyczne. Są to wozy na 2-eh ogromnych kołach, ciągnięone przez 1, 2, lub 3 konie. Konie olbrzymie, rasa Perszerońska, idą noga za nogą i to nie obok, bo to zawieleby miejsca zajęło — ale jeden za drugim gęsiego. Dzieją się tu zabawne sceny. Wiesz Mitus [brat młodszy] jakeśmy to nieraz mówili, żeby się żyd na biedce przeważył w tył i konia podniósł. Idę tedy raz ulicą, aż tu 3 konie ciągną wóz naładowany drzewem; naraz dwa pierwsze niechęć ciągnąć, wóz się waży, i koń w holoblaeh zostaje unoszony, już tylko tylnemi nogami dotyka ziemi, już wisi zupełnie w powietrzu. Oparłem się o cembrowinę Sekwany i kładłem się od śmiechu jak nóżkami po powietrzu przebierał.“ — Zwracałem już uwagę na to, że Matłakowski bywał nieraz skłonny do wybuchów wesołości pustej, prawdziwie chłopięcej, tu mamy właśnie przykład tego bardzo wymowny i własnymi jego słowy opowiedziany. Przypadek zwykły, blały, sam przez się bynajmniej nie śmieszny, wprawia go w wesołość szaloną, przypominając mu zachciankę z lat dziecińczych i doprowadza go do tego, że on, człowiek poważnie myślący, niezony, dbający o dobre zachowanie się, zapomniawszy o tem gdzie się znajduje, pokłada się od śmiechu na ulicy. To usposobienie, porywające go czasami nawet do swawoli, pozostało mu i później jeszcze na długie, długie lata. —

Ale czas nam powrócić do wątku opowiadania; z umysłu odbiegłem od niego, chcąc skorzystać ze sposobności przedstawienia kilku rysów wybitnych umysłowości i usposobienia Matłakowskiego, ponieważ, prawdę mówiąc, nie tyle mi tu chodzi o to, żeby dokładny życiorys jego ze wszelkimi szczegółami przedstawić, ile raczej, żeby dać obraz możliwie całkowity jego rozwoju umysłowo-uczuciowego, jego pojęć, przekonań, upodobań i właściwości, uważając, że to może ciekawsze i ważniejsze, niżeli przygody, które ostatecznie dzielił z ludźmi innymi, nie nas w tej chwili nie obchodzącymi, więc je też tu uwzględniam o tyle tylko, o ile mi są potrzebne, jako tło obrazu przeze mnie kreślonego.

Podróż zamierzona nie kleiła się jakoś, przygotowania szły leniwo, opornie, zamiary codzien się zmieniały, mniejsza o to z jakich powodów, dość na tem, że człowiek nawet daleko mniej przenikliwy od Matłakowskiego, mógł był dojść łatwo do przekonania, iż niedaleko ona doprowadzi, jeżeli w ogóle dojdzie do skutku. Postanowiono narreszeie, że ma z Havre'u pojechać statkiem do Nicey i tam oczekiwać co dalej będzie.

O sprawie tej pisze d. 13/I r. 1876 do R. Kowalewskiego w te słowa: „Pojmujesz że wolałbym czekać w Paryżu, niż w Nizzy — ale ponieważ mnie opłaca [hr. Tyszkiewicz] ma kompletne prawo chceć bym był w Nizzy — gdzie próżnować będę na potęgę. — Widząc to wszystko — już od pewnego czasu trzymam się takiego planu, że pożegnałem się ze wszystkimi marzeniami, jestem sobie cyrulik na statku i zgoda. Humor mam wysmienity; jem za trzech, piję jak bandyta, i podkpiwam z J...ego, który nadziei się nie może mojemu humorowi — i jak mnie dawniej nie rozumiał, tak teraz jeszcze więcej poplątał się w swojej djagnozie... Otóż wiesz, publicznie to mówiłem u Kosińskiego [w klinice chirurgicznej przed wyjazdem z Warszawy], że się wielkich rzeczy nie spodziewam — to znaczy, że się niewiele nauczę — ale zawsze sądziłem — że wiele zobaczę, i chociaż się Franc[uskiego] i Angli[jskiego] poduczę. — I to nawet było illuzją. — Teraz się już niczego nie spodziewam i człowiekowi lżej. — Rozumie się rozmawiając z Rosjanami*), po francusku się nie nauczę, — widząc zaś jak wszystko jest lekko traktowane, bez planu, bez myśli — że wszystkie wiadomości wymagane i t. p. są czyste kpiny — możesz mi się zapytać — co zamierzam robić — a nawet poco ja tu siedzę. — Odpowiedź prosta. — Młodemu lekarzowi mieć 800 rubli od razu, pewne i całe utrzymanie — nie tak łatwo. A pieniędzy mi trzeba! Na duszę, na życie — cyrograf, dam — bo siostra dorasta — w ciemnocie; a Stachowi [bratu] pomódz trzeba, by patent dostał. — Otóż póty — póki 400 rubli (300 na długi i 100 na siostrę) nie wysłużę — trzymam się T. tembardziej — że warunki materialne są wygodne; — w końcu — odbędę podróż choć krótką — o czem marzyłem, — a głównie zobaczę, eo z tego wszystkiego wyniknie. Może być pewnego pięknego poranku — wszystko — jak mu się znudzi — w łeb weźmie — i ja nie zrywając umowy — skorzystać mogę. Zobaczymy... To tylko pewna — że dłużej jak rok nie będę — i nigdzie daleko nie pojedę... O jakim miejscu lekarza wywiaduj się — a jak będzie gotowe — to jeszcze prędzej coup d'etat uczynimy“. W podobny sposób wyraża się również do ojca w liście z d. 26/I r. 1876; znać w słowach jego zniechęcenie, oraz tęsknotę wypływającą mu pomimowolnie z pod pióra, chociaż często miną nadrabia, pragnąc ją ukryć. Stało się na koniec to, co przewidział, wielkie przedsięwzięcie objechania ziemi dokoła rozplynęło się we mgle, a sam powrócił do kraju na jesieni, pochowawszy przedtem jeszcze na obczyźnie najdroższego przyjaciela swego. Ale nie wyprzedzajmy wypadków.

W pierwszych dniach lutego opuścił Matlakowski Paryż udając się do Havre'u, gdzie oczekiwał na niego statek własny hr. Tyszkiewicza „Żemajtej“. Był to *yacht* żaglowy o dwu masztach, który tak opisuje w liście do ojca: „Statek nasz ma 14 kroków szerokości, a ze 150 długości, ma 2 maszty niezmiernie wysokie, chyba znacznie wyższe od śmigi, a tak grube u dołu, że objąć nie mogę. Zbudowany we Francji — i francuzi wzięły dobre pieniądze za budowę, zdaje mi się około trzy kroć sto tysięcy złotych. Będziemy mieli 4 armaty. W środku są małe pokoiki dla każdego — ładny sypialny pokój dla hrabiostwa, dalej salon i pokój jadalny, 3 razy tak duży jak nasza izba w Warce, potem kuchnia, przedpokój, — a w końcu jedna izba wspólna dla majtków, którzy mają wiszące, poprzywiązywane do sufitu prześcieradła, tak zwane hamaki, i w nich śpią bujając się jak dzieci“. — O załodze taką wiadomość ojcu podaje: „Mamy na statku kapitana, oficera, potem ja, Jan, kamerdyner, kucharz, dwóch kucharzy, 25 majtków i psa, którego francuzi przez nienawiść Bismarkiem nazwali. — Tylko ja i Jan Polacy — reszta francuzi.“ —

*) Żaloga francuska miała statek przywieść z Havre'u do Nicy, tam zaś miała zająć jej miejsce inna, złożona z Rosjan.

Pobyt w Hawrze trwał dni kilka: z powodu niepogody zwlekano z odjazdem: nakoniec, w czwartek d. 10, gdy się wypogodziło nieco, statek wyholowano z portu. W ciągu dwu dni powietrze było spokojne, tak że zaledwie się okręt poruszał, ale potem wiatr zadął gwałtownie, morze rozluźniało się i przez dwa tygodnie blisko ciskało statkiem na wszystkie strony, zanim znów nastął spokój i pogoda: dopiero w dniu 1 marca zatrzymano się w cieśninie Gibraltarskiej, by wypocząć nieco po trudach długiej przeprawy. Przygody te opisał Matłakowski w długim liście do p. Kowalewskiej i jej syna: list ten z d. 29 lutego jest najpiękniejszy i najciekawszy może ze wszystkich tych, z których korzystać mi wolno, więc też wypiszę tu z niego więcej, niż z któregokolwiek innego, a to nie tylko dlatego, że zawiera w sobie ustępy napisane prześlicznie, ale też ponieważ znajduje się w nim mnóstwo zdań, mogących posłużyć do oświetlenia poglądów i zapatrywań autora, oraz świadczących o głębi uczuć jego. Otóż zaczyna się tak: „Piszę do Was razem, aby uniknąć powtarzań. Oto list — list od Władka! A więc już w Nicey! Ale gdzie? Trudno mi słowo określić. Więć do Astronomii. — Znajduję się na 36° 51' szerokości północnej i 11° 19' długości zachod. względem południka Paryżkiego. Weźcie mapę i poszukajcie. Nieprawdaż, to ładnie. — Jestem, określając cokolwiek mniej ściśle, na oceanie Atlantyckim, w bliskości przylądka S-go Wincentego. — Moja złota, jedyna Pani — może Pani się zapyta — co było powodem, że o sobie o Nowogrodzkiej przypominał? — Ład, ład — oto jutro lub pojutrze zawiniemy od Gibraltaru, dla małego wytechnienia. — Więć w drogę, moje słowa, w drogę, moje listy, przejeździecie się pięknie, od Gibraltaru do Warszawy podróż mielada! No to dobrze, pomyślcie sobie, cóż to, miałeś już o nas zapomnieć. Najdrożsi moi. Przenigdy nie czuje się i nie kocha się i nie ceni się tak jak z oddalenia, jak w rozłące. Nie próżno wieszczę na czele boskiego poematu położył, mówiąc o kraju, te słowa:

— ty jesteś jak zdrowie
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił...

Straciłem i ja Was na czas jakiś — z oczu. — Ale do rzeczy. — Co wolicie przeszłość i [tak!] teraźniejszość? — Nie wielkim miłośnik przeszłości. Czas ci jeszcze i na nią przyjdzie — więc tedy — co teraz słychać? Jeśli macie cierpliwość posłuchajcie...“

..Noc, noc przenajśliczniejsza, cichutecznieczka. Ciepło boskie, ciepło jak u nas wieczorem w Czerweu. — Letki wiaterek [tak] świeżym oddechem tchnie na żagle naszego statku, który sunie się, tak cicho, spokojnie — jak cicho płyną tony Szopenowskiej sonaty, lub początek Quasi una. Technienie to tak słodkie, jak słodki jest kares ukochanej ręki, miękko podgarniającej włosy z czoła na głowę. — Tak jak ona, uspakaja, tak jak ona — niebiańsko elektryzuje. Od czasu do czasu, tę ciszę milezącą — a jednak nie grobową a żywą, przerwie plusk fali, która jakby zapomniawszy o uroczystości chwili, być może uniesiona dumą — wyskoczyła nad poziom współsiostrzyce innych kropel — a zawstydzona, kry-

Je się między nimi. — Cisza! Co za błogi spokój nie do opisania. Co za godna dla ducha, choć nie słychana melodia. — Kiedy wiatr ścichnie, zda się wszystkie siły zamarły. — Nikt nie pracuje — nie się nie rusza — nigdzie walki — nigdzie wysiłku. Spokojny jak posąg stanął sternik u rudła — może zasnął wśród tego morza spokoju. — Tak duch ludzki, gdy zgiełk walki wewnętrznej umilknie, gdy namiętności się wypalą — gdy miotany długą rozpaczą — lub pożerany gwałtownym uczuciem — gdy dręczony zgryzotą — lub frasowany troską o to życie codzienne tak mozolne, tak ciężkie — gdy zatęskni do ciszy — nigdzie nie jest w stanie znaleźć jej tak spotęgowanej, leczącej, błogiej jak na brzegu morza. Morze i Niebo. A jakie, jakie Niebo! Na zachodzie przyświecają dwa największe, najokazalsze światła — po słońcu. — U góry Gwiazda wieczorna — Wenus — błyszczy tak silnie — tak mocno — iż na powierzchni wód oceanu rzuca szlak światła odbitego. — A pod nią srebrny sierp księżycy, którego reszta tarczy, zaledwie widnieje jakimś odcieniem popielatym. A w okół jak oko zasięga, jak myśl zdola znurtować, rozsypane miliardy gwiazd i gwiazdeczek migoczących tak słodko, tak wymownie, tak uroczo, choć niemo — jak przemawia wzrok matki nad kolebką do swego niemowlęcia. Podniesiona przez kontrast ciemność tła niebieskiego uwydatnia nawet najmniejszy drobiazg gwiazdny. Któż nie odróżniłby wśród nich Syrjusza, który migocze swym niebieskawym światłem tak silnie jak u nas Jutrzenka obłana światłem letniego poranku! U głów moich — u zenitu — stoją Kastor i Poluks...“

„Nie jestem wam w stanie opisać — jak zagranica obcą jest dla nas. — Jedna — jedna tylko Przyroda — wita ciepło i Polaka — boć i to jej dziecko. Wszystkie dostojniki niebios błyszcżą w swej okazałości: Capella, Arcturus, Wóz. A tam na północ smutno świeci gwiazda biegunowa, a choć nie świetna — zwraca się do niej wzrok żeglarsza — i wzrok Polaka — bo tam het na północ — Pilica i Wisła — a nad niemi biją serca dla niego. Znużona trudem całodziennym, lub podniecona winem — śpi pokodem załoga okrętowa. — Zniknął prawie ślad tej gwałtownej, wojowniczej istoty — która się zwie człowiekiem. — Na północ tylko, na skraju horyzontu — ginąc w pomroce ciemności, lub przedzierając się przez grube warstwy mgły wieczornej — drga światło — światło sztuczne, przypominając jedynie Europę — a z nią bal maskowy — i piekielną kuźnię ślusarza — świetny salon paryzki — i nędzną budę przewoźnika nad Niemnem. — hurgot kolei żelaznej i wiokanie biednego żyda furmana ginącego w piaskach Mazowieckich — przepych Paryża, nędzę Londynu — brudne kłopoty bogaczek i cichą niedolę norweskiego rybaka, — hałaśliwe konwulsje francuskiego narodu... kolejową stację oblepioną atiszami i wiejski kościółek pachnący zielem poświęcanem — Piekło — i Niebo ludzkie — wszystkie zbrodnie od Kaina do Bremerhafu...“

„Zabłysło światło — i zginęło w pomroce głębokiej, czarnej ciemności. Na nowo zabłysło — i znów zginęło. I tak kiedyś zaginie może i cała ludzkość — jak jeden błysk latarni kręcącej się powoli — a świat pójdzie dalej swojemi torami“. —

„Hej zkaż mi ten język gwałtowny, zkaż ta smutna wróżba? — Nie dziwiecie się moi najmilsi, jedyni. Śmiejęcie się, jeśli chcecie — ale się nie dziwiecie — gdyż to jest rzecz do zrozumienia.“

„Często, oj często nasz brat... zwraca się myślą na zachód. POCO? — Czy wiedziały gromady ludów wędrujących co ich pechło na Zachód? Party jakimś pociągiem syn mglistej północy i surowego wschodu jedziesz na zachód, mając w sercu resztki nadziei. — Poznales cokolwiek ludzi. — i świat nie tak ci się słodko przedstawia jak w przedniu [tak!] życia, gdyś marzył młodzieńczo; uzbrojony w wiedzę, którąś zgłębiał w ciągu lat całych jużes dawno zburzył resztki religii — wiele uczuć ulotniło się wśród gorąca zgiekliwego życia — lecz im mniej liczysz na niebo — tym więcej się wymaga od życia ziemskiego! Niejeden stanie na tym punkcie — że zło czynić weźmie sobie za zasadę aby mu dobrze było. Inny kieruje się dobremi swemi popędami, słucha serca — są to tak zwani przeciwnicy — pierwsi nazywają ich głupimi — sądząc według swojej zasady — i mają rację. Ta ostatnia rasa przeznaczona na zagładę w walce życia — już coraz rzadszą się staje. Lecz są inni, co zamknawszy delikatne popędy serca i szlachetności pod skorupą obłudy, pędzą żywot ślimaczy, obwarowawszy się w pancierz pozoru dla świata — a jednak pozbyć się swych idei dobra i zacności nie mogą. Są to marzyciele cieszący się jeszcze nadzieją. A i między nimi ile odcieni! — Jedni tak zawarli swoje skarby w tej skorupie hipokryzji, że tylko krytyczne oko badacza, jest w stanie po za grubą warstwą zewnętrżności odszukać ów święty ich zaułek, który całe życie nosili — inni tem ciepłem swoim ogrzewają się w ciasnym kółku przyjaciół. — W końcu jest jedna najsilniejsza klasa, która pełna brudu, egoizmu lub podłości — naprzekor poprzedniej — wywiesza chorągiew enoty i prawdy. — I zda mi się — że społeczeństwo w swoim postępie — niestety, ku coraz gorszemu — stoi obecnie na tym punkcie — iż wyzawszy się już dawno [z] enót — zmienwszy już dawno treść swoją do szpiku — zatrzymało pozory — i swój dawny katechizm, świecąc starą odzieżą. — I zda mi się, że jesteśmy w przededniu — chwili — kiedy nakoniec rzucą tę chorągiew, zmienią ubranie — i zanucą śpiew strasznej zasady. Ha raczej niech ta chwila nadejdzie — bo z nią Prawda górę odzyska. W tym stanie rzeczy — czeka syna północy ostatnie złudzenie — gdyż na zachodzie, na którego wzmiankę było mu żwawiej serce — znajduje Brud zamiast Szlachetności, — najcyniczniejszy Falsz i Hypokryzją w miejsce Prawdy...”

„Przybywszy na zachód przekonywawsz się z otoczenia, z powietrza, którem oddychasz — że wiele myśliciele zachodu — głosiciele „dobrej wieści,” „pokoju na ziemskiej niskości“ — Stuart, Buckle, lub biecze na próchno i zbutwienie moralne jak Moliere, Wolter, Byron — są tak samotni, jak sosna smutna przy drodze, wpośród pól pokrytych zbożem, zajmującym miejsce od lat wyciętego boru... Na imię Byron rumieńcem fałszywego wstydu pokrywają się lica jego współziomków z oburzenia — na niemoralność — a tu we Francyi ku wstydowni i ohydzie widuje książki z aprobacją nietylko Monsynjora Paryskiego... że nie zdrożnego nie zawierają. — I to się dzieje w wiek po 1793 roku. — Oszaleć, wściec się, pęknąć z żalu! — I kiedy dzień każdy płodzi secinami najohydniejsze pismidła byle pod skrzydłem księży — padają potępienia indeksu na arcydzieła geniuszy. — A czy w Anglii lepiej? — Sto razy podobno gorzej. — Nie próżno Stuart Mill mówi, iż nieprzyjęto za wiarogodne słów dwóch najzacniejszych ludzi, którzy przysiędz nie cheieli, twierdząc, że w przysięgę nie wierzą. — Dawniej filozof, Kopernik, Galileo, mógł z góry patrzeć na barbarzyński tłum do kola — dziś prorocy prawdy i postępu mają przeciw sobie społeczeństwo potężne i uorganizowane; bronne

w zdobycze postępu — obrócone przeciw samemuż postępowi*). — Najgłębsze myśli pleśnieć będą na półkach antykwara [tak]. — a energiczniejszych reformatorów wkrótce zamykać będą do domów obłąkanych". —

„Hej, hej! przypominają mi się dziś owe nasze rozprawy o patriotyzmie. Pójdźcie tu kosmopolici — przypatrzcie się jak się zachowuje ten zachód, i jak wyzyskuje myśli powstające na korzyść własną. — A wszystko legalnie!“ —

„Hoho, zawołacie jak fermentuje umysł pod ciepłym niebem, oblewany srebrnym światłem księżycy. Dodajcie jeszcze i postu. Postu? zawołacie. Tak postu — jadam bowiem codziennie salatek z kartofli, sardynek, octu, oliwy i cebuli. — Cebuli, której dawnej znieść nie mogłem. Ale cóż jeść innego. Moja najdroższa Pani — tylko proszę się o mnie nie obawiać. nie umrę z głodu — proszę posłuchać — a będzie się Pani śmiać jak i ja [sic] śmieję. — Cała nasza wyprawa jest szczytna. Mógłbym kilka arkusików zapisać — ale choć kilka rysów. bo ta pisanina, ach ta pisanina. A gadać się chce — wymilczało się, nie żartem, trzy tygodnie! Trzy tygodnie to nie biczem trzasnąć. Otóż w szeregu osobistości jak, hrabia — dzieciak. kapitan — mazgaj, lekarz — marzyciel (czy zgoda?) — godnie zajmuje miejsce kucharz. — A kucharz to nie lada, bo służył kiedyś w Jockey-Clubie w Paryżu. — Ja czolem przed wielkością. — Możecie elegantkę stoiczną w penioarze oderwać od gotowalni, przenieść do chałupy Ryczywola bez pudełek, flakonów, kapeluszy, wstążek, kokardek i t. p. i kazać jej udać się na bal. — Możecie — ale wyrwać kucharza z kuchni Jockey-Clubu Paryżkiego — i kazać mu gotować na okręcie — tego bez najokropniejszych następstw nie możecie uczynić. Tego i sam Stwórca by nie przeinaczył. — Tymczasem tak się stało, że go wyrwano. Skutki tego znoszą w żalobie nasze żołądki. i choć wy zaczniecie pościć dopiero we środę — ja tu już poszczę od 10 Lutego, którego zjadłem ostatni obiad. Mistrz ów na okręcie wyrabia te same enda (co do kształtu) jak w Paryżu. Więc kartofle wystruże, marchew wytnie w gwiazdki, mięso pomiażdży — słowem całem — filozof — in novis mutare formas — wie że na przeobrażeniu postaci zależy postęp istoty — przeistacza tedy. — Ja — ja płaski barbarzyńcze — choć ubij — ani w gębę — nie nie wezmę, co przeszło przez jego ręce. — A co za zastosowanie potraw do stanu naszych żołądków. Oto dnia np. jednego wszyscy rebekowali, tak że aż bok sięgał boku, przepona sięgała krtani, a ząb za ząb zachodził; przychodzi wieczór, on daje na stół jakąś tłustą, miazgowatą zupę, faszerowane mięso, jakieś piany, djably niesłychane. Otóż póki były gruszki i pomarańcze — jadłem je — ale wkrótce się wyczerpały. Teraz tylko kartofle z solą. — Wino zle — zresztą dawne pijatyki w Warszawie wyleczyły mnie od wina; woda zepsuta — mięso — konserwy okropne — ani w gębę. Ale humor dobry, choć i chleba niema. — gdyż nie zabawniejszego jak rozmowy przy stole. — Kapitan — nie dziwiecie się, że ja rebekowałem — kapitan już 3 tydzień rzyga — (biedny kapitanisko już od 20 lat nie pływał) — a tu jeść niema co — bo choć i są materjały, kartofle, kasza — jaja — ale cóż kiedy najprostszej właśnie rzeczy nie umie zrobić: jaj na miękko, lub kleiku. — Więc przy obiedzie systematycznie obaj francuzi biadają na złe życie — ale kucharzowi ani słowa. Ale to codziennie. — Ja takich ludzi ogromnie nie lubię — bo albo zaradz zlemu, albo nie skarż się! Więc się śmieję serdecznie. Zresztą jedyna pociecha leży w zasadzie: se presser de rire de tout, de peur d'être obligé d'en pleurer. Wyborna zasada. Do świadomości onej teraz dopiero doszedłem, choć już dawno w jej myśl postępowałem. — Stary Piotr

) W zapale zapominał Ma t l a k o w s k i widocznie o tem, że bardzo wiele dziesiątków lat upłynęło, zanim uznano prawdę przez K o p e r n i k a odkrytą, jako też, iż G a l i l e u s z doznawał przesładowań Inkwizycji.

także mawiał: niech moi nieprzyjaciele płaczą. Racja. — Pozwólcie jednak, że dokończę wam opis kucharza i nie gniewajcie się. Wyjechałem na odkrywanie zwierząt, łądów, ptaków, roślin — a widzę, że podobno skończę na poznaniu kilku typów ludzkich, ale żyła ku opisom tak była naprężona, iż choć brakuje przedmiotów historii naturalnej, muszę opisywać ludzi. Otóż kucharz nasz istotnie jest najsztywniejszy na pokładzie, ubiera się dziesięć razy lepiej ode mnie, (nie darmo bierze 500 — 800 fr. miesięcznie, a ja tylko 250), mówi bosko po francusku, jest przystojny, sztywny, delikatny, wymawia merci jak hrabianka, odbija na statku jak kamelja wsadzona grubą łapą między łopuchę — jednym słowem Paryżanin czystej wody, nawykły do towarzystwa książąt, hrabiów, markizów i t. d. klubu, a który znalazł się wśród motłochu kapitanów, cyrulików, majtków. — Był wściekły kiedy dowiedział się iż niema dlań osobnej kabiny. I że nie będzie jadł razem z nami. — To pewna że w Polsce zrobiłby furorę wpośród hrabianek i świata wyższego. — Jest przysadzisty, przystojny, a ciało ma jak dojrzewająca panna. Buciki nosi z kokardkami, a krawat ccc.“ —

„Wyjeżdżając z Hawru, mieliśmy dziwny czas. Cisza była zakłeta, choć było, nie powiem mglisto, ani też pochmurno, bo chmur nie było, ale ponuro, ciemno. — Było to jak u nas w końcu Sierpnia bywa rankami — cicho, chłodnawo, często soć zaczyna siadać na płotach i dachach, potem mgła opada, i zaczyna się cudnie ciepły i piękny dzionek. Kiedy remorker (statek parowy), co nas z portu wyciągnął na morze. — opuścił nas samych — staliśmy prawie, nie ruszając się. — Dopiero na 3 dzień od samego rana zaczęło się burzliwe kołysanie — a z niem mdłości — w końcu wyznanie wiary najsolenniejsze. — Nie powiem, iżbym ciężko chorował — ale też ani nie robić — a skoro tylko na pomost wyścibiłem głowę, wnet mdło, odbijanie, — ani weź siedzieć w salonie — trzeba było leżeć. Tak przeleżałem dwa tygodnie. A trza wam wiedzieć, że owo kołysanie nietylko sprawia wymioty, ale i wywołuje istną rewolucję w wydzielaniu śliny, która się leje, w wydzielaniu soku, w całym trawieniu. Smaku do niczego — choć zdychaj z głodu. A tu jeść niema co, i niema komu dogodzić, bo Janisko również słaby. Nic wysmienitszego jak widok wnętrza statku — w kabinach wszyscy czynią głośnie wyznanie wiary, drzwiczki szczekają jak psy, krzesła latają po salonie, lampy bujają się u sufitu, smrodliwy dym z kuchni, bo niema ciągu, tłucze się po izbach. Wstanieś z łóżka, zdejmuję cię rzygawka, stoisz, puścisz się ściany — bujnie się statek, a siła ciężkości mszcząc się da ci na pamiątkę siniec na czole jak śliwa duży. — Co do mnie — to przytrafiło mi się wielkie nieszczęście — chcąc schwytać się czegoś — złamałem sobie wielki paznokieć, starannie hodowany od dnia przyjazdu do Paryża, w znak obcowania z wyższym światem. — Oj nie prędko znowu takiego się dochowam!“ —

„Miałem jednak spory zasób cierpliwości, — i byłem na wszystko przygotowany — i dla tego śmiejąc się rebekowałem — i wszystko przetrzymałem. Zresztą jadano się dawniej cały post boży — całe 12 lat w domu suche kartofelki z solą, a popijało się kwasikiem od kapusty, a przecież człek i wyrósł, i nie zglupiał. Jest to bowiem jeszcze wielkie pytanie, czy mięso jest tak pożywne, jak mniemają. Niejeden dawniej chłop — raz widział w rok mięso na Wielkanoc, pracował jak wół — a daj Boże nie jednemu z jego Panów takie mięśnie i takie kości. — Albo zkął w biedzie i w nędzy wyrastają prześliczne dziewczyny, które jak przyjdą lata, oblewają się tak tłuszczem i pełnieją, jak gęsi na zimę. Nie wiem jak się to dzieje — ale widocznie, że użyję tu dawnego wyrażenia, już tak zrządza. To jednak nie przeszkadza, że patrząc w sufit, kłamię francuską kuchnię,

Dla Polaka bowiem pieczenia z cebulą!
A potem konew piwa. aż się oczy stulą!

To mi jadło! Przebiegałem myślą mój stół w Polsce, i ssałem palce ze smaku. Takich flaków, i takiej kapusty jak moja Matka nieboszka, takiego schabu jak pani Bereza, takich grzybów jak pani Chudzyńska, takich ogórków i kotletów jak pani Kowalewska gotowała, nikt na świecie robić nie umie. A herbata, herbata, co za herbata u mojej złotej Pani! — tu jej pić nie mogę; a francuzy nazywają ją rinqure (pomyje). — W końcu drugiego tygodnia zaświeciło słoneczko, i ja zwlokłem się z łóżka, wyglądając jak śmierć; policzki mi pozapadały — wybladłem jak ściana przed Wielkanocą bielona. Odtąd wrócił smak, ale jem tylko kartofle, sardynki, konfitury z Czerwonego Dworu dzień w dzień. — Alem siły już odzyskał — wczoraj wlałem po linie na jakie 15 lokci — a onegdaj na sam wierzeh masztu, by przypatrzeć się horyzontowi. — Miły Boże ileż bym dał za ucziwą pieczeń, zaeny bifszyk, panine kotlety, za czarninę, barszcz buraczkowy, barszcz zabielały, rosół warecki, kapuśniak, brukiew, buraczki? a przedewszystkiem za panine boskie ogórki kiszzone, lub za polskie rydzyki w occie. — Co powiecie o kucharzu — który kartofli — wyraźnie kartofli — lub sliwek ugotować nie umie? *) Ale wszystko w parę. — Co powiecie o kapitanie, który od 20 lat po morzu nie pływał, i jest zanadto uczony — lub co o lekarzu, który zamiast czytać traktaty o repurgare — czytuje Mickiewicza lub Bajrona? Nieprawdaż wart Pać pałaca.“

„A iście wszystko u nas pod miarę. Coby powiedziano o maszynie do pędzenia wódki, gdyby żydek umiał w niej odnaleźć pełno złych stron? A jednak nasz statek tak zbudowany, że ja co pierwszy raz statek widzę — znajduję pełno niedogodności, braków najpotrzebniejszych rzeczy. Lecisz naprzykład — nie masz się za co złapać, drapiesz politurowane ściany. — Dzbanek z wodą leci z umywalni na podłogę i t. p. i t. p. Brak najpierwszych wygod: niema szafy na rzeczy, pleśnią buty w dziurze; z kabin wychodzą oszklone drzwi na kurytarz. Któregoś dnia kapitan rozmawiał ze mną, wtem jak się bujnie, on bę plecami na drugą stronę, brzdęk! wybił szyby, dobrze, że przez dziurę nie wyleciał vis-à-vis do pokoju hrab[iego]. Od bujania się porozlazily się futrowania, szpary jak palec świeca, fuszerek mnóstwo! Oj posmarowali się też francuzy, posmarowali — lata czekać będą nim im się druga taka gratka nadarzy. I nawet nie zastrzeżono nic, wyplacono budowniczemu co do grosza. W Niccy reperacja czeka miesięczna.“ —

„Moi najserdeczniejsi — może chcecie wiedzieć jaki tu żywot prowadzę. — Pókim leżał — czytałem Pana Tadeusza — po który raz nie wiem. — Dobrzem zrobił, żem go kupił — na statku bowiem same romanse francuskie, zacząwszy od Dumas, skończywszy na Comtesse Dash — i to będzie ze 120 tomów! — Rozumie się, że ani Balzac, ani Molière, ani Woltera, ani Lamartine'a, ani Chateaubriand, ani Hugo — niema. — Pięknie wam to maluje klasę hrabiowską — ale prawdziwie. — Otóż czytając Pana Tadeusza rozbeczałem się z radości, z żalu, z tęsknoty, z miłości ku temu najdroższemu krajowi. — Co za lud, co za kraj, co za poeta! Co za typy, co za czyny, co za obrazy natury! — Przeczytajcie

*) Już to na kuchnię francuską Matlakowski laskaw nie był weale, powiedzieć nawet można, iż ją krzywdził w swych sądach. Tak np. w liście z d. 22 grudnia r. 1875 pisze dosłownie: «Jadam w restauracji — podle—bo jadła porządne w Paryżu chyba niema.»—O cienie Grimoda de la Reynière, Brillat-Savarina i Caréma wybaczeie mu to straszliwe bluźnierstwo przeciwko tak drogiej wam gastronomji! —

na chybi trafi rozmaite ustępy — a przybliżenie będziecie odczuwać to, co ja — choć nieporównanie słabiej — boście wśród swoich, — a tu wszystko oprócz przyrody obce. Tu ludzie inaczej czują, inaczej myślą, głębszemi myślami się nie zajmują; prawie trudno nawiązać przedmiot rozmowy. Literatury obcej nie znają; ani Schillera, ani Goethego, ani Dantego. Wykształcenie ich różni się od mojego, które niższe, nie wiem. — Do łaciny, greekiego, lub starożytności, — do historyi odwołać się nie możesz. — Delfin należy do ryb. — Polska i obczyzna żelazny wilk. — Beethoven, Chopin lub Mozart nie zuani — a ja do Lecoqu'a, Madame Angot, Belle Poule i innych setek nabożeństwa nie mam. Jeślibym opuścił te opisowe przedmioty — to znowu za mało umiem francuzkiego, aby się wdać w dysputę uczciwszą, więcej abstrakcyjną. — Nieuctwo, — grube jak pokłady guana na wyspach obok Chili. — Drugi miesiąc upływa, a jeszcze kapitan nie umie wymówić „Tyszkiewicz“. Żebyś go ubił — nie wymówi ci francuz „ciało“, żeby miał ducha wyzionąć nie wymówi „przyjść“. Nie mówię ja o czytaniu — tu prawdę trzeba przyznać nasza pisownia barbarzyńska. — Z Chodźki robią — Szod-zko. — Są takie osły, iż jak tylko książka polska, to nie umie już czytać — Adama — przeczytał mi raz — Amada. Ich książkom wierzyć nie można. — Oto w szacownem dziele znajdujesz o Warszawie: że znajduje się Instytut Szlachecki, Most drewniany na Wiśle, na którym stoi posąg Jana Sobieki“. — I to dzieło wydane w 1874 roku.“ —

„Kiedym już wstał z łóżka wziąłem się do roboty. Wstaję o 8-ej, piję herbatę z musu, uczę się rozmówek francuskich, o incredible dictu! — na co człowiekowi przyszło, musi się uczyć tego djabelskiego języka w którym po to tylko są prawidła aby można było od każdego utworzyć 100 wyjątków (Patrz gram., Chapsal'a). — Uczę się tedy rozmówek, czytam je, tłómaczę na polski, z polskiego na francuzki, czytam francuzkie romanse aby się wprawić. O 11-ej śniadanie — o 5-ej obiad — o 9 idę spać. — W dzień na pomoście, leżę godzinami, to samo wieczorem przyglądając się gwiazdom — i wciągam powietrze całą piersią. Zdaje mi się, że nowe siły wstępują w człeka po każdym oddechu, to mi powietrze*.“ —

„Obecnie jestem zdrow, rumieńce wróciły. — Nic zaenego nie robię — o niczem nie myślę, albo raczej myślę o niczem. Tak czas schodzi — a z nim życie. — Ale czy to warto o życiu myśleć. — Wszystko — wszystko dotąd bardzo dobrze — dopiero w Niccy zacznie się męka. Wiecie jak nienawidzę dzieci — a tu jako lekarz trzeba się będzie pytać, a jakże spało, a jak je — a jak... — a jak śliniaczek, a jak odziać. — O miły Boże, jeżeli mnie co wypędzi do Was, to mały grafiuk, jak go J a n nazywa. — Ale nie mówmy uf, nim przeskoczmy rów!“ —

„Powinniśmy być jutro, pojutrze w Gibraltarze — jesteśmy bowiem o jakie 50 — 60 mil od niego. Ujrzę tedy ową Hermosa Soberbia [tak!] Espana. — Moi najdrożsi, proszę donieście mi o wszystkim, co u Was słyhać, piszcie obszernie, bo każde wasze słówko jest dla mnie drogie — a tak już dawno od was nie miałem listu. Trzy tygodnie plynęliśmy, bo czas był piekielny. — Ale co to o tem wspominać, co się przeszło. — Na listy wasze czekam spragniony; — one na mnie tam oczekiwać może zechcą, nieprawdaz? — Statek wyczekuje Tyszkiewicza, żona kapitana i t. p. — mnie nikt nie oczekuje — ale zato oczekuje wiele co. Nie godne zazdrości życie marynarza, ale stokroć przykre jego żony

*) W tem miejscu znajduje się w liście ustęp o modlitwie wieczornej na statku, przytoczony już na str. XXIII i XXIV.

(jeżeli nie umie sobie osładzać chwil swej samotności). Żeśmy tak późno wyjechali z Hawru — powodem była niepogoda — wiatr, deszcz, mgławice, a niekiedy i śnieżyisko chlapało. — O jakże rada temu była żona kapitana która tu z synkiem na pożegnanie przyjechała. — Biedna kobiecina, na samą wzmiankę odjazdu płakała lzy gorzkie! — Dnia wyjazdu odprowadziła nas na statek. — Wyjechaliśmy dobrze na morze. Czas smutny, ponury zdawał się pomagać do płaczu. Nie lubię ja tych scen pożegnania — kapitan podzartowywał sobie z niej — choć może w duszy i on płakał. — Odczepili statek — przybiła łódka do okrętu — uścisnęli się — załala się łzami — i popłynęła do lądu — a ja pomyślałem sobie — „dobrze niekiedy nie mieć żony, jeśli ją mieć jest kiedykolwiek dobrze!“ —

Właściwie miałem zamiar podać tu tylko ustępów kilka z powyższego listu, a tymczasem, mimowoli prawie, przepisałem go niemal w całości, porwany treścią jego, trochę bezładną na pozór, ale tak ciekawą, tak nieraz chwytającą za serce, że oderwać się od niej nie mogłem. Przepisując sięgnąłem myślą w przeszłość, zdawało mi się, że mam przed sobą kochanego, zacnego Władka, takiego jak go pamiętam z lat młodych, że widzę jego oczy błyszczące, jego rysy ożywione i tak ruchliwe, że słyszę głos jego, to poważny, to smutny, rozmarzony, to znów wybuchający śmiechem tak szczerym i znów do powagi wracający, a zawsze serdeczny, bez cienia obłudy, głoszący tylko to, co rzeczywiście z duszy płynęło. Gdybyśmy posiadali z dziesięć listów podobnych, ale pisanych w różnych okresach życia, to wtedy zestawivszy je podług porządku czasu, otrzymalibyśmy najwyborniejszy, najdokładniejszy obraz duszy, pojęć i zapatrywań jego, oraz stopniowego ich rozwoju; niestety, brak ich, ale i ten jeden już maluje go lepiej, niżeliby to całe tomy przez osobę obcą napisane uczynić były zdolne. List ten jest tem cenniejszy, że pomimo zmian różnych, zaszłych z czasem w poglądach Matlakowskiego, tło, podstawa jego zapatrywań, pozostały już nadal takie same do końca życia, prawda, że czas złagodził ostrość sądów niektórych, że wytrawniejsze oko męża inaczej patrzyło na niejedno, ale cechy znamienne tam spotykane przetrwały niezmiennie. Zresztą, co tu wiele mówić? — Sądzę że list ten, sam przez się, jest tak wymowny, tak zrozumiały, że dodawanie do niego uwag i objaśnień jakichkolwiek poczytać można za zbyteczne, tembardziej, że każdy łatwo wyuczaje, co w nim zapisać należy na karb młodzieńczości, a co jest rzeczywistym, rzetelnym znamieniem charakteru Matlakowskiego. Na jedno wszelako zwrócę uwagę, mianowicie na jego tak wybitne zamiłowanie do swojskości, objawiające się nawet w drobniactwach, a wypełniające zawsze i wszędzie całą istotę jego, wrosło mu ono tak dalece w duszę, iż oddzielić go od niej niepodobna; cokolwiek myślał, cokolwiek czynił, zawsze to szczytne uczucie miał na oku, ono było mu gwiazdą przewodnią aż do grobu, a czy to w tym liście młodzieńczym, czy też w przedmowie do *Hamleta*, pisanej, jak wiadomo, ręką już zastygającą prawie, zawsze równo silnie jaśnieje. —

Po trudach trzytygodniowej, uciążliwej włościwej po Atlantyku, wypocząwszy nieco w Gibraltarze, i zaopatrzywszy okręt w świeże zapasy żywności i wody, skierowano się ku Nicey; ale podróż widocznie rozpoczęta w złą godzinę, jak to mówią, znów szła nie gładko. Oto słowa własne Matlakowskiego, wyjęte z listu w dniu 24/III, r. 1876 pisanego do ojca: „Po wyjeździe z Gibraltaru mieliśmy z początku pogodę i wiatr pomyślny ale skoro tylko przyszło na północ znowu się skierować — zrobiło się zimniej i wietrzniej. Przepłynęliśmy między obiema wyspami Balearskimi, zdużając wprost ku Nicey. — Tu porwał nas okropny wiatr [*tak!*], który pędził okręt z niesłychaną szybkością; w niecałe 4 godziny zrobiliśmy 150 mil morskich. — Mila morska blisko 2 nasze wiorsty. — Ostatni

dzień drogi był najgorszy. — Przy silnem pochyleniu się porwała fala łódź uciepioną wysoko: kołysanie było bardzo wielkie. Zaczęło mi być źle. Garnki wylały z dziur kuchni angielskiej. Jeden z nich oblał i oparzył kucharza. Morze chlustało całemi cebrami wodę na pomost. Pękały grube liny. — Końiec końców około północy zobaczyliśmy latarnię morską na brzegu Francyi. Tu zmieniono kierunek i popłynęliśmy na wschód. O godzinie 2 w nocy — ujrzelśmy latarnię morską w Niccy, a o 4 z rana wpłynęliśmy, przy krwawym blasku księżyca do portu — widząc już cały szereg latarni gazowych miejscich, i miasto pogrążone w śnie głębokim. — Cała prawie załoga nie spała, ja kazałem się weześnie obudzić, aby widzieć wpłynięcie do portu.“

Brzegi Hiszpanji, które tak ciekaw był oglądać, w następujący sposób opisuje w tymże liście: „Śliczne są brzegi Hiszpańskie. — Urwiste góry, gdzieniegdzie odsuwają się od morza, zostawiając niewielkie równiny; na tych to równinach stoją miasta, miasteczka lub wioski, na nich są posiewy i fabryki. — wszystko zaś pozostałe góry i góry albo nagie, albo z rzadka porośnięte karłowatą choiną. — Za to doliny i owe równiny są uprawne i przeszłownie ze statku wyglądają. — Na jednej z nich widziałem spore miasto, od którego prowadziły drogi w różne strony. W sporej odległości od miasta widać chodzące wiatraki, które pierwszy raz po wyjeździe z kraju widziałem. Lecz wiatraki inne niż u nas. Śmigły jedne do drugich powiązane linami; śmigł 6; zamiast płacht drewnianych, napiórowych — płóciennych. — Latały tak jak wiatraki, co je dzieci robią i w płoty zatykają.“ —

W Niccy zastał niepogodę, śnieg nawet chwilami popadywał, nudził się, ale co najgorsza, otrzymał wiadomość, która go straszliwie zmartwiła, pisze o tem do ojca: Roman Kowalewski ciężko chory, krwią pluje — nie wiem, co to będzie dalej. Jestem w strachu o niego — bo wszystkie siostry jego suchotnicze. Matka pisała do mnie, list rozpaczliwy. Mam tedy zmartwienie ciężkie, niespodziane, które mi odebrało humor, nie chce mi się nic robić.“ Jeszcze żałośniej brzmią słowa jego napisane d. 4 maja: „Dawno już nie miałem listu od Kowalewskiego, nie wiem więc, co się u nich dzieje — lecz ostatnie wiadomości źle były; jest ciągle chory i już wyjechał za granicę z matką. — Drogi Boże co za losy. — Okropnie się boję o niego, nie mogę myśleć, nie mogę spać nieraz — bo to nie żarty dwie jego siostry umarły na suchoty; co z nim będzie?“ —

Żeby zrozumieć cały ogrom boleści Matłakowskiego, przypomnieć sobie trzeba, że Roman Kowalewski był jego przyjacielem najserdeczniejszym, najzaufańszym, druhem, którego miłował więcej niż brata, w którym upatrywał wszelkich możliwych przymiotów i zalet, na którego sądził więcej mu zależało może, niż na zdaniu wszystkich innych ludzi, kochał go nad wyraz wszelki — a tu naraz spada na niego obuchem straszna i niespodziana wieść, że ten drogi, kochany Roman zapadł na chorobę, która już dwie siostry jego porwała, na chorobę, która jego samego pozbawiła matki ukochanej, na chorobę niosącą ze sobą zawsze nieodwołalny wyrok śmierci! — A może też wtedy już tknęło go przecucie, że i on sam kiedyś padnie jej ofiarą? —

Pobyt kilkotygodniowy w Niccy zapisał się w pamięci Matłakowskiego weale nie ponętnie. Przybył zmęczony długą i uciążliwą przeprawą morską, zastał nadzwyczaj smutne wiadomości o chorobie najserdeczniejszego przyjaciela; troska o niego oraz tęsknota do kraju rodzinnego popychały go do powrotu, zobowiązanie zaś, jako i chęć zwiedzenia kawału świata przykuwały go do miejsca. W takim stanie rzeczy stał się pastwą uczuć najsprzeczniejszych, spotęgowanych jeszcze przez bezczynność przymusową, jednostajną

i nudną, oraz przez niepewność o dalsze losy podróży zamierzonej, nad którą widocznie od samego początku zła jakaś dola ciążyła.

Oto kilka urywków z listu (d. 31/III 1876 r.) do R. Kowalewskiego, malujących dosadnie stan duszy Matlakowskiego: „Jakie ja tu podłe życie włokę. Osamotniony, bez zajęcia — bo zajęcie się niepodobna na serjo... Przeczytam gazecinę, wyjdę na miasto, tłukę się po mieście — tracę czas... Jakżebym chciał wpaść do Was choć na 2, na 3 dni, Ciebie zobaczyć, własnoocznie się o chorobie przekonać... Nigdy nie czulem się tak samotnym, głupim, rozbitkiem — jak obecnie, gdy dwa miesiące — słowaś do mnie nie przemówił. Mówiłeś niegdyś, iż dla Ciebie dla żywotności trzeba otoczenia, któreby Cię pobudzało. Zdaje mi się jest to warunek konieczny dla każdego, ale obecnie przekonywam się, ile w tem otoczeniu znaczysz Ty dla mnie. Zdaje mi się często, iż wyschły źródła mojej myśli, to znowu, że myśli moje tak skarłały, tak spodłaly — iż nigdy inteligencja moja się już nie wzmiesie. — Skazany na codzienną beczynność — pozostawiony i opuszczony przez wyższe myśli — gryzę się prawie codzien. Zdaje mi się, iż tylko w jednym, postępuję — w sztuce grania potrzebnej roli. Jest to jednak jeszcze wielkie pytanie — czy lepiej dla organizmu duchowego, modyfikować otoczenia warunki, o ile można, czy uginać się pod ich wpływem — czy przeleżeć, czy podleżeć“. — Nawiasowo tu zaraz dodać muszę, iż sztuki podłazenia Matlakowski nie nauczył się nigdy, nie był do niej stworzony, zanadto albowiem była sprzeczną z jego ustrojem duchowym, prostym i szlachetnie otwartym. Gdzie z czołem podniesionem przejść nie było możności, tam wołał zawsze krok powstrzymywać lub w inną zawrócić stronę. Wiedział dobrze o tem, że głową muru nie przebije, więc jej też nie narażał na tego rodzaju porywy niebezpieczne i niemądre; przez mury niskie przeskakiwał zręcznie, przez wysokie, o ile to w ogóle było możebne, przelaził z trudem większym lub mniejszym, ale nie podlaził nigdy, wiedząc, że tego bez zbrukania się uczynić nie sposób, chciał zaś być zawsze czystym i pozostał nim rzeczywiście do końca dni swoich.

Z powodów rozmaitych, od Matlakowskiego zgoła niezależnych, a zatem mogących tu być pominiętymi, wyjazd z Nicey opóźnił się, głównie wszakże dla tego, iż co chwila zmieniały się plany mającej się odbyć podróży. Statek podczas drogi z Francji ucierpiał nieco, potrzebował więc stanowezo naprawy, nadto zuawey zawyrokowali, że aby mógł wytrzymać podróż długą, trzeba w nim koniecznie zmiany pewne poczynić. Postanowiono więc popłynąć do Korsyki, a stamtąd do Marsylji, po naprawie zaś okrętu, udać się do Ameryki na wystawę filadelfijską, ku zimie powrócić znów miano do Europy i wtedy dopiero pomyśleć o dalszych wyprawach.

Na wyruszenie z Nicey był oznaczony dzień 15 kwietnia, tymczasem w porcie, prawie na samem wyjeźdnie wpadł na „Zemajteja“ parowiec jakiś i uszkodził przód statku. Wypadek ten, rozumie się, opóźnił wypłynięcie; trzeba było szkodę jako tako załatać i dopiero we wtorek d. 25 kwietnia podniesiono kotwicę. Wycieczka na Korsykę została zaniechana, statek popłynął naprzód do Hyères i zatrzymawszy się tam przez dwa dni, zawinął d. 31 kwietnia do La Seyne, naprzeciw Tulonu, żeby w tamtejszych warsztatach okrętowych podlec naprawie całkowitej, która musiała być znaczna, jeżeli zapłacić za nią wypadło aż 30,000 franków, i nie prędko też mogła być ukończona.

„Podróż odbyłem pomyślnie“ pisze Matlakowski do ojca (d. 4/V) „już nie chorowałem zupełnie. Pogoda śliczna, okolice eudowne, widoki wspaniałe — jednego tylko brak — niema tu ani jednego serca — z któremby się można było porozumieć. Jestem

sam*. — Pomimo tego osamotnienia, na które się zresztą od chwili opuszczenia Warszawy często użalał, widać jednak z listów późniejszych, że lepiej jakoś było Matlakowskiemu w La Seyne, niżeli w Nicy. Zachwycił się pięknnością okolicy, zajął go też, jako nowość ciekawa, sposób budowania okrętów, któremu miał teraz sposobność przypatrzenia się z bliska, a czynił to, jak wszystko co robił, dokładnie i drobiazgowo: świadczy o tem bardzo długi list do rodziny (d. 23/VII), opisujący szczegółowo budowanie wielkich statków morskich, osobliwie pancerników, objaśniający opis licznymi rysunkami lekko naszkicowanymi.

Czas niewątpliwie przyjemniej i milej schodził Matlakowskiemu w La Seyne; hr. Tyszkiewicz wkrótce po przybyciu wyjechał do Paryża, mając wrócić dopiero gdy statek będzie gotów do podróży, był więc swobodniejszy niż w Nicy, nie tyle krępowany względami towarzyskimi, mogąc rozporządzać sobą wedle upodobania własnego: nadarzyło mu się też kilku chorych, którymi zajął się bardzo szczerze i szczegółowo rozpisał się o nich w liście do R. Kowalewskiego (d. 13/VII); zresztą nie brakło mu i tak zajęcia, jak widać z innego listu do tegoż (d. 1 V*), pisze w nim tak: „Co robię możeś ciekawy. — Uczę się angielskiego i francuskiego — piszę — a zresztą topię życie w czem mogę — aby go [tak!] utopić — a więc w przejażdżkach po morzu — w grze w warcaby. — Co dzień 24 godzin stoi pustkami — i tak jutro — pojutrze i t. p.“ W żadnym liście z owego okresu nie spotykamy się ze skargami na nudy, a pełno ich w poprzedzających.

Podczas długiego pobytu w La Seyne zdarzyła się też Matlakowskiemu przypadkowo sposobność odwiedzenia Genui, do której już w Nicy wzdychał. Rzecz się miała tak: w warsztatach okrętowych w tym czasie właśnie wykończano dla Hiszpanji dwa statki wojenne, przeznaczone do wysp Filipińskich, na jednym z nich „*Jorge Juan*“, komisja odbiorcza postanowiła odbyć przejażdżkę próbną do Genui, a Matlakowskiego zaproszono do uczestniczenia w niej. Rozumie się iż zaproszenie przyjął skwapliwie i wrócił z wycieczki zachwycony, wspominając o niej w liście do ojca (d. 21/V) wyraża się: „Co widziałem trudno opisać. Jakie kościoły, jakie obrazy. Najwspanialsze arcydzieła,“ widocznie zostając pod świeżem, potężnem wrażeniem, oszołomiony ślicznościami widzianymi, nie umiał chwilowo zdobyć się na ich opisanie, chociaż zwykle udawało mu się to wybornie.

Chociaż w La Seyne było mu lepiej niż w Nicy, jednak i tam nieustannie trapiła Matlakowskiego troska o przyszłość bliższą i dalszą. Niepewność, czy długa podróż morską stanie się czynem istotnym, wciąż go niepokoiła: tęsknota za krajem rodzinnym, szczególnie groźny stan zdrowia przyjaciela najbliższego sercu, skłaniały go do powrotu szybkiego, inne zaś warunki przykuwały go do miejsca. Nie dziwota więc, że się wahał, że zmieniał postanowienia swe. W liście do R. Kowalewskiego (z d. 1/V) tak pisze o tem: „Wszystkie Twoje listy mam u siebie — uwagi rozważyłem — rozmyślałem — niejadłem, nie spałem — w końcu list Twój mnie zmusił, iż podziękowałem Hrabiemu — lecz powtórnie wzięwszy wszystko na uwagę — wróciłem do pierwotnego postanowienia i zostaję. Drogi mój bracie — znasz mój charakter, — czyli jak ty mówisz, raczej brak jego — dość ci tedy tego — abys wyobraził ile wycierpiałem. Oto przyczyny, które mnie zatrzymały. Potrzeba mi gwałtem pieniędzy. — 2^o Gdyby mi opuścił T., nie on mnie, a ja jemu dopłaciłbym musiał. 3^o W warunkach obecnych musiałbym się wyprzedzać z rzeczy aby powrócić do kraju — gdyż on by nie niedał. 4^o Powróciwszy — musiałbym iść na pro-

*) List ten jest widocznie mylnie datowany.

wincję praktykować — co by mi odrazu grosza nie dało, a musiałbym iść — bo w Warszawie niemiałbym co robić. — Życie z korepetycji — tak mi obmierzło, że wolałbym iść na Sybir niż lekcje dawać. — Tłumaczenie Girsztowtowi już niemożliwe — po zajściu naszym z nim*). — Od ojca grosza wzięść nie mogę. dość krwi wylał na mnie stary. — Mój jedyny, drogi mój, stary mój druhu — oto moje marzenia — gdyż nadzieją mianować nie wolno, zbyt odległe one. — Chcę sobie choć na jeden rok pobytu w Warszawie zaoszczędzić. — Po 2½ latach cokolwiek będzie wrócić do Warszawy.“ — Myśl, że po powrocie może będzie musiał osiąść, jako lekarz, w mieście jakiejsz małej, także go wciąż trapi. pisze bowiem w miejscu innym tegoż samego listu, te oto słowa: „Gdybym wrócił do kraju, prowincji tak nienawidzę — iż po 2½ latach o asystenturę bym się starał — na jedno więc wyniesie tu — czy tam. Jeżeli zaś skwituję z tej drogi, o której marzę, i przyjdzie mi osiąść na prowincji to i tak będę jeszcze miał czas do zaczęcia tej drogi ślimaczej.“

Pisząc słowa powyższe, Matlakowski nie mógł oczywiście przeczuwać, iż wszystko inaczej pójdzie, niż mu się zdawało wtedy. Po naprawie statku miano popłynąć na wyspę Madere, stamtąd do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, przyczem zwiedzonoby wystawę wszechświatową w Filadelfji. Z wyprawy tej obiecywał sobie niemało, pisał bowiem już wcześniej (list z d. 6/IV). „Skoro do Ameryki popłyną, korzystać zaczną — bo zaczną widzieć“, to go też może głównie skłoniło do wytrwania na stanowisku. Z Ameryki miano po kilku miesiącach powrócić znów do Europy, a potem udać się prawdopodobnie na Wschód. Trwanie podróży całej obliczone było, jak już wiemy, na półtrzecia roku. Na tak długo więc Matlakowski zobowiązał się sprawować urząd lekarza okrętowego. Zobowiązanie to nie było jednak widocznie w przekonaniu jego bezwarunkowe, pisze albowiem w tym samym liście, w którym donosi przyjacielowi o postanowieniu swem: „Mój najdroższy Roma! pamiętaj, iż niecierpliwie wyczekuję wiadomości o twem zdrowiu — jeśli byś się miał źle — jesteś mężczyzną — telegrafuj do mnie natychmiast — a ja choćby z Ameryki — wszystko rzucę i do ciebie przybędę. Pamiętaj — że pókiś Ty na świecie — póty dla mnie istnieje jeden z najpotężniejszych bodźców życia. Jednak mam niezachwiane przekonanie, iż chorobę twoją djabli wezmą — że do Warszawy wrócisz, i że twój Władek — jeszcze z Tobą razem asystować będzie — i że jeszcze raz razem popracujemy — i że jeszcze raz — zażyjemy jak to dawniej bywało.“

Z tego wszystkiego łatwo zrozumieć, jak niezdolny być musiał stan ten niepewny dla duszy Matlakowskiego, tak wrażliwej na wszystko; jak mu samemu potrzeba było podpory i pociechy. Pomimo to w trzech długich listach, pisanych do przyjaciela w czasie pobytu w La Seyne, wysiła się wciąż na pocieszenie go, na rozbudzanie w nim nadziei na przyszłość, na oderwanie myśli jego od choroby rozwijającej się z szybkością szaloną. Nie możemy ani na chwilę przypuścić, że Matlakowski łudził się sam, że wystawiał sobie stan zdrowia przyjaciela jako mniej groźny, niż był w istocie, ponieważ bywał dość dokładnie zawiadamiany w położeniu jego coraz rozpaczliwszem; więc jeżeli w listach swych stara się myślom chorego gnębiącym nadać bieg inny, jeżeli z nim mówi tyle o przyszłości, czyni to niewątpliwie i jedynie w celu pocieszenia go, w celu wmówienia w niego, że nie mu właściwie nie zagraża. Szlachetna chęć osłodzenia skazanemu na śmierć nie-

*) O zajściu tem jest już wzmianka w liście z Nicey, pisany d. 6/IV, ale bez szczegółów, widać tylko że chodziło o jakieś sprawy wydawnicze. Pomimo starań niezego wywieździeć się o tem nie mogliem.

chybną nielicznych już dni żywota, żądza usunięcia obaw duszą jego miotających, prowadziły mu rękę gdy listy owe pisał. A może też sam, gdy wszystko to na papier przelewał, choć przelotnie, doznawał odurzenia i starając się pocieszyć przyjaciela, bezwiednie pocieszał sam siebie. Zdarza się przecie, że chcąc wzbudzić w kim innym wiarę, której sami nie posiadamy, ulegamy nieraz czarowi wymowy własnej, upajamy się dźwiękiem słów swoich i zwolna zaczynamy wierzyć na prawdę w to, co z początku bez wiary głosiliśmy innym. Matlakowski nie pociesza chorego przyjaciela bynajmniej w sposób, jak to czynić zwykli ludzie przeciętni, nie — odzywa się do niego przedewszystkiem tak, jakby nie wierzył wcale w to, iż życie jego wisi już tylko na włosku, który lada chwila urwać się musi koniecznie, udaje, że nie wątpi bynajmniej o wyzdrowieniu jego: o chorobie samej, jakby o drobnostce jakiej, ledwo że tu i owdzie rzuci słówko jakie nieznaczne; za to układa dla niego plany rozległe na przyszłość, radzi mu, jak sobie ma poczynać powróciwszy do zdrowia, kreśli reguły, któremi rządzić się powinien odzyskawszy zdrowie i siły, o czem niby ani troszkę nie wątpi. Ponieważ w zapatrywaniach i zdaniach, wypowiedzianych przy tej sposobności, wyraża poglądy i zasady będące w życiu późniejszym nieraz przewodnikami jego samego, więc wypada z listów owych wypisać tu wyciągi niektóre, jako służące do narysowania wyraźniejszego nastroju duszy jego i przekonań wyznawanych przez niego do końca życia, a tak wcześniej w nim już ustalonych. Snując myśli o przyszłości przyjaciela, który przecie, jak wiedział o tem aż nadto dobrze, już liczyć na nią nie mógł, wygłosił przytem, jakby duchem proroczym owiany, zdanie niejedno, mające się w życiu jego własnem spełnić później i wypowiedział sporo myśli i poglądów zasługujących na poznanie ich bliższe.

Kowalewski, zachorowawszy, widocznie napisać musiał do Matlakowskiego, że nosi się z zamiarem porzucenia medycyny, a zwrócenia się ku prawu; jako też, iż zamysła zająć się pracą literacką. Listów jego nie posiadamy, niestety. Matlakowski zwalczając pierwszy z zamiarów tych, w liście już wzmiankowanym z d. 1/V, tak pisze: „Gdyby prośby i zaklęcia co mogły zdziałać, błagałbym cię abys po dojściu do zdrowia zajął się szczerze medycyną, i puścił precz wszystkie marzenia o prawie. — Jestem tak pewny Twego powodzenia — jak mało rzeczy. — Lecz lepiej mówić do rozumu. Oto plan. — Wybądź u Kosińskiego*), wydoktoryzuj się i zgłęb teoretycznie choroby kobiet. — Na klinikach Kosińskiego i Neugebauera ucz się praktyki. Zaoszczędź tyle grosza abys mógł potem na jeden rok do uniwersytetu Praskiego lub Berlińskiego wyjechać — przyjeżdżaj do Warszawy, a jeśli cię djabli nie wezmą — jak słońce na niebie, tak pewien jesteś przyszłości. — Raz grosz w rękę — masz ręce rozwiązane — a głowę na karku od tego aby rzetelnie myślała — i owoce myśli dawała światu. Posłuchaj dla czego radziłem ci powieść. — Mówiłeś mi, że chcesz medycynę puścić w trąbę. Przemyśliwałeś o sposobie zarobkowania piórem. — Wiem — zanadto dobrze — że ci potrzeba koniecznie — grosza — dla życia takiego — które ja nazywam z komfortem, choć według twego zdania ono jest jeśli nie niżej od średniego to średnie. — Otóż jeżeli nie zarobisz czegoś pisząc powieści — nie jesteś w stanie zapracować pisząc coś innego. — Zaproponowałem ci. — Uda ci się napisać jedną lub drugą porządnie — dobrze — nie uda — wiedz że ci pióro nie zapewni komory i łyżki warzy. — Trzymaj się medycyny. — Aha zawołasz — to ty dla tego mi radziłeś? — Była

*) Kowalewski był, gdy zachorował, asystentem w klinice chirurgicznej prof. J. Kosińskiego w Warszawie.

to pobudka — lecz nie koniecznie taka dzika. Wielu sto razy poważniejszych od ciebie ludzi (Gladstone, Dizraeli) pisywało powieści. — Dlaczegoż byś ty nie mógł? Ale spytasz dla czegożbym mógł? — Oto dla tego. — Masz niezaprzeczone zdolności do spostrzegania ludzkich charakterów; nie dość i ja ją posiadam; ty masz ten węch, mocą którego, jesteś w stanie wnioskować i niemylić się. Wtedy kiedy ja ci coś mogę dość dokładnie opisać — może bardzo dokładnie — i na tem się kończy moja spostrzegawczość — ty jesteś w stanie z materiału zebranego skorzystać, dane rozebrać, zaciekać się w głąb pewnej osobistości, wiele tajemnic odgadnąć, więcej jeszcze postępków przewidzieć. Z tą zdolnością łączy się inna, zdaje mi się, również ważna. — Kto ma jakie takie ucho — i wie co to jest marsz, wale, hymn i t. d. — choćby pierwszy raz słyszał jakiś utwór — skoro pierwszy akord usłyszy — odgaduje mimowolnie dalszy ciąg, naprzód wyśpiewa mającą się odegrać nutę, wytupie takt — może się omylić w oktawie, lub w czem innem, ale następstwo pochwyci, tempo złapie. To samo dobry obserwator ludzi. — Mając dany taki i taki rys — pomimowolnie odczuje jakie rysy z poprzednim się łączą tworząc ogniwa — i delikatnem czuciem wszystkie inne rysy wyrzuci — raczej bez jego wiedzy one z pierwszym nie mogą się skombinować w jego umyśle, pierwszy z nich nie wywołuje takich a takich — i to czucie jest tak nieomyślne — że cały świat przyzna mu racją. — Nie mówię ci, żeś w tym względzie orzeł — bom za blisko ciebie — aby to ocenić — ale powiadam iż pomiędzy tylu znajomymi swoimi — nie znajduję ci równego w tym względzie. Jeśli Alberto*) przeniósł Cię głębokością myśli w pewnych razach — w subtelności rozwikływania, chwytania odcieni, snucia myśli — nikt ci nie dorównywał. Toć nie próżno nosisz imię Sofisty. — Jest to zaleta umysłu w pisarzu niepospolita. — Niedosć na tem. — Posiadasz dziwną soczystość umysłu. Nie przesadzę jeśli powiem, iż 1/3 myśli które w trinitas, lub w kółku naszym obiegają, były rozbierane, służyły bodźcem [*tak!*], — zbijają inne — drażniły, — naleciały, wyszły od ciebie. — Szkoda że wyraz myśliwy ma u nas jedno i tak niskie znaczenie — bo możnaby cię śmiało ochrzcić myśliwym. Ta myśliwość umysłu — jego pochwopność jeśli już nie do rodzenia nowych myśli, to do wynajdywania nowych i oryginalnych kombinacyj — ta siła twórcza nie całych pomysłów — lecz oddzielnych myśli — ta ustawiczna praca w najeudowniejszej pracowni ustroju — jest największym zadatkiem na pisarza w jakimkolwiek bądź kierunku. Przyznam ci się szczerze — że pomimo to iż umiem wiele rzeczy — wiem o tem iż połowy z nich spożytkować nie umiem — i już nigdy pono nie spożytkuję. — Lepiej byłoby poprostu ten próżny balast wyrzucić ze łba. — Powoli uczyć się wbiierać w siebie tylko soki potrzebne. — Il faut savoir se faire valoir. — Niech cię nie przestrasza to, iż nie masz jak mówiono, a raczej ty sobie to powtarzałeś, wyobraźni — przypuśćmy, że jej nieposiadasz. Nie małą rolę gra zdolność do pisania ładnym stylem. Ta szata zewnętrzna — oddawania myśli znaczy bodaj czy nie tyle co sama myśl. — Piękna forma okupuje niezmiernie często lichotę wnętrza — i choć surowy krytyk strąci z piedestału sławę, która tą drogą urosła — pomimo to forma pozostaje piękna — swoją drogą. — Gdy się wdajesz w dowodzenia lub rozbiór — trzeba wyznać iż piszesz ciężko — i nudnie. Ten kto nie odczuwa odcieni w grze myśli zawartych w długie twoje okresy — znudzi się sądząc że to powtarzanie jednego i tego samego. W tym względzie o ile wartes w rozmowie, o tyle tracisz pisząc. Musisz umyślnie pracować nad lżejszem oddaniem swych

*) Prawdopodobnie mowa tu o A. Łazowskim, koleździe szkolnym Matłakowskiego, który później osiadł na roli.

myśli. Inna jednak rzecz gdy piszesz potocznie — gdy nie chodzi o analizę myśli. — Odczytuję listy twoje z przyjemnością prawdziwą — podoba mi się więcej twój niż mój sposób pisania. Zdaje mi się, iż ja piszę nudnie. Masz piękne zacięcie jedrnego wyrażania myśli, i naodwrot niż zwykle piszesz wcale lekko. — Gdybyś cokolwiek zwrócił uwagę na lepsze obrobienie, na unikanie jednych i tych samych wyrazów — na większe urozmaicenie okresów — pisał byś jeszcze lepiej. — Ostatnie twoje listy nie należą do owej kategorii, o której mowa. Zbyt jest suchy materiał — aby go można było skleić w coś rzetelnego; z piasku bieża nie ukręci. A jednak — wszystkie doniesienia o praktyce, długach, chorobie stryja i tym podobnych parchach, które pod innym piórem zamieniłoby się w rozwlekły inwentarz — u ciebie jako tako klei się w obrazek Teniersa lub innego Holendra. I to dobrze. Umieć z niczego coś zrobić — jest większą zaletą — niż niedołężność która wśród najpyszniejszych warunków płodzi mierność. I jestem przekonany, że gdybyś chciał, zwrócił uwagę, pisać będziesz jeszcze lepiej.“ —

„Co to jest powieść. Powieść jest skoncentrowanym obrazem życia. — Główny, niezbędny warunek powieści, jak i każdego utworu sztuki jest prawda, o której orzeka porównanie z rzeczywistością życia. Powieść jednak tem się różni od dziennika opisującego, w rodzaju inwentarza wszystkie drobnostki, iż autor wybiera z pomiędzy wielu wielu szczegółów tylko te, które mu się podobają. — przez to potęguje pewne rysy, wzmacnia pewne kolory, — opuszczając wiele drobnostek życia codziennego skracając życie — a przez to je koncentruje, w końcu naumyślnie kombinując fakty, często się wydarzające lecz w inny sposób niż były w rzeczywistości, zaciękawia. Trudno odpowiedzieć po co i na co on tak robi. — Zdaje się, że jak malarstwo, rzeźba, tak i powieść celu wytkniętego nie mają. — Obu chce się odmalować życie — i rzecz skończona — malują, a powodzenie, które osiągną — wskazuje dostatecznie, iż społeczeństwo jest w tymże kierunku nastrojone. Jeżeli jednak cała powieść nie ma tendencji — to zato, kreśląc każdą osobistość, wchodzącą w skład powieści, autor ma na celu, aby ona dobrze pasowała do całej grupy — malując rys pewnej osobistości — ma na celu aby on dobrze ją uwydatniał — z innymi harmonizował — słowem nie ma zgoła żadnej, by najmniejszej części, któraby przed wpleceniem w ogólny obraz, nie podległa pytaniu artysty, do czego ona ma służyć. Ta operacja nie jest wcale tak trudną, jakby się to na oko wydawało. — Samo oddawanie życia rzeczywistego — służy za wielkiego pomocnika. Kreślić życie rzeczywiste — jeszcze raz powtarzam — tego się wymaga od autora; jest to zasada tak fundamentalna, iż jako dowód — niech mi posłuży ten fakt — iż prawdziwa historia ludzkości znajduje się nie w książkach pod tytułem „dzieje” lecz [jest] zamkniętą w powieściach kapitalnych — służących za obrazy epoki. — Całe opisy historyków błędną w porównaniu z Don Kichotem. — Wyższość zaś jednej powieści nad drugą zależy od dwóch rzeczy. — 1^o Od wyższości przedmiotu. — Powieść malująca życie wykształconego towarzystwa o tyle będzie wyższą — caeteris paribus — od kartki wyciętej z życia kilku Maćków i Jagien — o ile bogatszem, urozmaiceńszem, więcej rozróżniczkowanym, rozrobionem jest pierwsze od drugiego. Cóż łatwiej opisać, biedną wodorosł — czy bogatą rozmaitość dęba? — Nie dość na tem — bale, suknie, karety — w oczach krytyka tyleż warte co płot, chlew, i studnia wiejska — trzeba więc w tem społeczeństwie wynaleźć przedmiot ogólniejszy — a przez to samo głębszy. — Co pewną epokę rodzą się myśli — które zajmując się jak płomień — ogarniają całą ludzkość. — Ślepa jednostka nie widzi tej wibracji eteru wnikającej w jego [tak!] życie aż do jego najskrytszych tajników — nie widzi, że ona zmienia jego rodzaj myślenia — lecz filozoficzne —

prawdziwie przenikliwie oko powieściopisarza — może nieraz przenikliwsze niż najsubtelniejszy Jan Chryzostom lub Kant — zoczy ten ruch — ten wpływ — a jeśli ten ruch — jest z tego rodzaju; co wywiera wpływ na całe społeczności — znalazł już najgłębszą treść do swego obrazu życia. — Przedstawi tedy reakcję i ruch w życiu spowodowany przez ten czynnik. Pomaluje oddziaływanie na wszystko poczynając od zmodyfikowania sposobu myślenia — i skończywszy na zmianie mody. — Wyrazi jak zachowują się rozmaite składniki społeczności tak co do wieku — młodzi, dojrzały — i konserwatyści starcy — tak co do płci, tak co do klas — ruchliwa średnia — i starcza arystokratyczna — konserwatywnie odporna. Niedosć powieściopisarz ma do czynienia z jednostkami — tem więcej wartymi — im bardziej realnymi — zatem może je przybrać w szatę rozmaitych charakterów — i wtedy podać obraz oddziaływania odmiennego — na rozmaite ustroje duchowe. — Jest znów inny niemniej wzniosły przedmiot do powieści. — Jest nim analiza ducha ludzkiego. — Różnimy się wiele od siebie jako jednostki. — Obaj różnimy się — od młodzi innej narodowości — młodź obecna różni się od indywidualów z początku tego wieku — lecz jakkolwiek ogromne mogą być różnice — więcej pono zostaje podobieństwa, i bodaj czy te różnice — nie są tylko wyrazami — jednego i tego samego psychicznego — fundamentalnego — które rządziło Grekiem — a teraz rządzi jednostką XIX stulecia. Masz tedy różne stopnie coraz to wyższe — o tyle o ile obejmują większe grupy — a przez to i ogólniejsze — do kreślenia. — Rozwikłaj tedy dobrze umysłowość (inteligencję = duch dawniejszych) rozłóż — subtelnie wycienij — daj ją oku zwykłych śmiertelników — którzy widzą tu życia tylko sylwetki — nie mogą dopatrzeć perspektywy — a o ile głębiej dotkniesz natury ducha — ile silniej zagrasz na nim — o ile bogaciej, obszerniej wyrazisz proces życia umysłowego — wobec podstawowej cechy pewnej grupy — o tyle wyższą będzie twoja powieść — przez wzgląd na treść“.

„To jednak nie wszystko. 2^o Bez wątpienia najmniejszego i ja i ty -- wolimy pijanice i karczmę Teniersa — niż sławną komunję umierającego w warszawskiej sali sztuk pięknych. — Powieściopisarz musi być filozofem — lecz zarazem i artystą. — Zgubi siebie i swój choćby najwyższy przedmiot — jeśli go przedstawić nie będzie umiał. —“

„I oto jest drugi warunek wyższości w powieści — jak w każdym dziele sztuki — przedstawienie. — Dzielne przedstawienie okupuje najmarniejszą treść. Aha zawołał właśnie mi o to chodzi. — Ani się spodziewasz — jaką ci gotuję odpowiedź — oto — ponieważ tego żadna teoria nie nauczy — więc próżna byłaby gadanina — tak jak piszesz pisz! Za to kilka praktycznych uwag dać ci mogę. Są dwa sposoby przedstawiania powieści. Jeden opisowy, rozbiorowy — jakiego typowy wzór przedstawia forma powieści w listach. — Drugi malowniczy, oddający typy, rozmowy, sytuacje, ubiory i t. p. — Przez wzgląd na ciebie — radziłbym ci pierwszy — to dla ciebie właściwszy — przez wzgląd na wyższość i właściwszość dla powieści drugiej formy — radzę ci starać się nią pisać. — O ile pierwsza jest nudną — o tyle druga zajmującą. — W terażniejszych warunkach — gdy dopiero poczynasz — połącz obie formy — co zresztą czynią wszyscy lepsi pisarze — a według mego zdania obierzysz lepszą postać. Aby tylko nie listy — to niezmiernie licha forma, dowodząca jałowości wyobraźni. — Zatem wpleć w tok obrazu — swój punkt mocniejszy — analizy charakterów; rozbieraj, opisuj, przedstawiaj ich ducha — a od czasu do czasu przepleć jakimś epizodem — niby ilustracją. —“

„Dalej pisz ciekawie. — O ile przy analizie wolno ci być subtelnym, drobiazgowym — wypowiadającym aż do ena — o tyle w przedstawieniu faktów — nigdy nie doko-

wiadaj po końca. Niech się domyślają. — Wszak w rzeczywistości tyś to razy robił ze mną, z... z innymi. To niezmiernie zaognia. — Goly fakt — którego tłumaczenie później nastąpi — kontrasty między charakterami, potoczysty — płynny styl na zmianę z urywanym, krótkozdaniowym, urwanie wpół całego opisu — i przeniesienie czytelnika zupełnie gdzie indziej, oto potężne środki do zaciekawienia — które niekiedy okupują brak intrygi. — Dalej niezmiernie wzmacnia koloryt — potęguje zaciekawienie — i wzmacnia rozmaitość — pierwiastek satyryczny. — Dla mnie (może to zboczenie) — jest ten pierwiastek tak ważnym — iż powieść bez niego wydaje mi się bladą — tak bladą, iż prawie czytać nie mogę. — Możesz zażyć rozmaitych stopni satyry — Jest pierwiastek wesoło-polsko-zartobliwy — prawdziwa jowialność — o tę u ciebie trudno — trzeba się z nią urodzić. — Jest to ważna zdolność w pisaniu. — Jest inna satyra — złościwość — zgryźliwość — i ją lubię. — Jest znów oprócz nich pewien odcień — właściwy młodym, — znudzonym — (lub zdaje im się że są nimi) jednostkom — gorycz; — tej unikać. — Lecz jest wkońcu owa nieoceniona — szczerzłota, bezcelowa pochopność do szyderstwa, zdolność pochwylenia śmiesznej — a zarazem złej strony — i wychłostanie jej nie przez moralizowanie — a przez przysunięcie jej do świecznika — wystawienia pod pręgierz wielu ócz. — A w życiu tyle form godnych szyderstwa — a na te strony innej broni niema. Szyderstwo jest reakcją samego autora — i jako jego podmiotowość winna być w miarę używaną — albo in crudo — w ustępach — albo przez pewne osobistości do powieści wprowadzone. — Ale otoż i twoje pytanie o osobistości autora. — Jedna granica stoi między zwierzeniami a powieścią skromnego zakresu — iż w tej ostatniej autor maluje swą podmiotowość obiektywnie — a jest głęboka przegroda. — Możesz opisywać samego siebie — ale musisz z siebie w takim razie zrobić osobistość — i ją w życie wplecioną opisać. — Im więcej wart — im twa umysłowość bogatsza — myśli panujące głębsze — czucie potężniejsze — tem wyższa będzie powieść.“

„Może być bardzo, że na początek najłatwiej ci będzie wyciąć kartkę ze swego życia. — Tylko wtedy pamiętaj dobrze ją przebrać i zamaskować. Akcesorja niech przed okiem czytelników ukryją zupełnie autora. Samozachowawczość to radzi!“

„Możesz przy analizach charakterów i namiętności — używać monologów, jest to łatwiejsze niż wystawienie tegoż samego w rozmowie.“ —

„Pytasz mi się jakiego rodzaju może być intryga — ja ci na to nie odpowiedzieć nie umiem — bo to zależy od przedmiotu do powieści. — Otoż jeślibyś mnie o ten ostatni pytał — tobym ci zaproponował treść z twego życia. Miałeś kilku przyjaciół — w których życie wglądałeś — i rozbierałeś — masz materiały w swej głowie. Znasz młodź uniwersytecką, nowe źródło. Znasz kilka typów kobiecych wcale nadających się do rozbioru. — Życie twoje — choć niedawne — dość obfite. —*) Intelligeneja i namiętność dwóch jednostek bardzo wybitnie wchodzą do walki. Pozmieniaj, poczepiaj inne wypadki i osobistości. stwórz nowe niebyłe sytuacje. Jest to kopalnia bardzo obfita — i na dnie jej leży żyła wiecznie żywa, wiecznie interesująca, sprężyna życia wszechpotężna — miłość — już tak elektryzująca sama przez się. Mnie się zdaje, że gdy zaczniesz opisywać co z zamilowaniem — to ci nada wiele werwy i ognia. — Dobry smak co do ubrania mieszkań, odzieży — zamilowanie szlachetności ruchów i zachowania się — zamilowanie dystynkeji — będą ci pomocnikami. — Kilka rozmów naszych powiadają mi — że ci pod tym względem wyobraźnia nie wypowie posłuszeństwa. — Jeślibyś przeze mnie wskazany przedmiot ob-

*) Tu opuścić trzeba koniecznie ustęp ukazujący na osoby, których wymienić nie wypada.

rał — będzie on w sobie łączył głębokie pytanie wieku o pozycyi kobiety — które ci wolno rozwiązać według twych pojęć — a razem treść wielce pikantną — interesującą. Tu miejsce wykazania doniosłości powieści. — Jest to najpotężniejszy z wolnych środków — rozpowszechnienia pewnych wierzeń i idei postępowych. — Wolnych w przeciwstawieniu do zmiany kodeksu — procedury — i sposobu nauczania — które są w ręku rządów. — Wielkie myśli — są górskimi potokami płynącymi z wiecznych lodników — lecz łączą je — potęgają — uprzystępniają, głoszą i rozpowszechniają — potężne rzeki: powieści, dzienniki, broszury, odczyty. — Powieścią może wpływać na bardzo szerokie koło czytelników.“

„Teraz pozwól mi wrócić jeszcze do jednego, nader ważnego punktu, o którym zabaczyłem. — Jest nim namiętność. Nadmienilem iż powieść jest skoncentrowanym obrazkiem życia. — Osobistości w powieści tem się różnią od rzeczywistych — między innymi — iż są potężniejsze przez swe namiętności. — Namiętności zarówno jak dzielny umysł — dowodzą sił ustroju duchowego. — Nie maluj tylko miernoty — chyba dla pełności obrazu. — Niech osobistości buchają namiętnościami odpowiedniami do swego charakteru. Dobry smak — jeśli go posiadasz (a to się pokaże) nie pozwoli ci przekroczyć granicy piękna. — Nie na strasznych zbrodniach i okropnościach polega potężna namiętność. — Niech przejmując wskroś życie, od innych indywid. [tak!] je wyróżni, przenika powody postępów w rozmaitych stopniach, odejeniach i sytuacjach się przejawia — niechaj bucha i kipi kiedy potrzeba — kurczy się i kryje w innych razach — aby nawet umiarkowo podsycać czas jakiś żywot. — Nic wdzięczniejszego dla autora jak namiętności — nic miłszego dla czytelnika jak obfite, zdrowe osobistości — żyjące. Tu dowodzi autor swej znajomości ducha — tu rozplątywa — i rozbiera.“ —

„Nie potrzebujesz się sadzić na powieść olbrzymią — pisz nie myśląc o końcu. — Ile będzie — tyle będzie w sam raz.“ —

„W końcu pamiętaj, że nie darmo nie przychodzi — zanim siądziesz — radzę ci przeczytać kilka powieści. Między innymi radzę ci z Warszawy wypisać nowelle Jokaj'a Węgra (wyszły w odcinku gazety którejs). — Mnie się bardzo podobały ze sposobu malowania charakterów. Przeczytaj Korzeniowskiego — jest do dzielny pisarz — a resztę zostaw swojej naturze. — Nareszcie radzę ci dla obfitości, oryginalności i myśli i sposobu wyrażenia — dla żywotności — i dzielnego szyderstwa — czytywać Boernego.“ —

„Oto mój drogi Roma — co ci Władek udzielić może. Znajdziesz to niedostatecznem — wierzę. Lecz czyż ja czem lepszy od ciebie, że mam ci rad udzielać. Trudno mi zresztą z 3 wierszy twego listu wysnuć wszystko czego ci potrzeba. Napisałem ci tedy coś — co da przedmiot do dalszej między nami rozmowy i wyjaśnień — pisz co ci potrzeba — a ja ci odpowiem o ile będę w stanie. — Masz wyższe wykształcenie, masz niezłą głowę, masz dobre chęci, zacyń ogień — probuj — społeczeństwo nasze potrzebuje dobrych pisarzy — którzyby nowemi soki umysłowość jego gasnącą podsycałi. — Kraszewski nad grobem — a w Warszawie tylko niedo-warzone pisarczyki Kurjera lub przeglądów teatralnych. — Wyjmuję Głowackiego. — Zresztą pracuj nie dla tego i tego celu — ale dla tego iż czujesz tego potrzebę — cel zaś wytkną ci twoje zasady — przedmioty nasuną twoje myśli. — Pracuj uczciwie — ot i koniec. — Masz kwestje religijne, ekonomiczne, zadania psychologiczne — wszystkie one donośne — wszystkie ważne — jeśli cię stać na myśl nową — przechylaj szalę na tę lub ową stronę — niech się rusza społeczeństwo, niech nie usypia. — Forward!“ —

List powyższy widocznie podziałał korzystnie na Kowalewskiego, musiał go zająć, rozbudzić w nim promyk nadziei, wiadomo bowiem, że suchotnicy, więcej jeszcze niż inni chorzy, skłonni są do uwierzenia w wyzdrowienie swe. W odpowiedzi napisał do Matlakow-

skiego długi list, dwa arkusze in folio obejmujący — nie posiadamy go, niestety — o treści jego więc snuć możemy tylko domysły i przypuszczenia z tego, co mu Matlakowski odpisuje w dniu 22 maja na 12 stronicach pismem bitem zapełnionych. Jak wszystkie listy, wyszłe z pod pióra jego, i ten list jest bardzo zajmujący, pełen treści wielce ciekawej, na umysł i przekonania piszącego światło jasne rzucający, jednakże z powodów licznych, kilka jeno urywków przytoczyć z niego będzie można.

Zaczyna się od słów serdecznych: „Mój dobry Roma! Jak się mamy, he? Lepiej — piszesz — ha dobrze mój Roma, dobrze. — Niech nobym się znajdował w G.*) udusiłbym cię z radości... Zapalenie płuc, dobra konstytucja, przyrost na wadze — tam do licha — a toć cię może uratują. Miałem przecucie (uważaj że wszyscy trzej zaczynamy ulegać przecuciom, Piotr**) nawet oddawna wierzył w zażegnwanie róży) iż ci G. pomoże. — Mój dobry, mój serdeczny Roma — miej że cię Bóg w swej opiece — wyliż mi się z biedy i zabierz do roboty, a rzetelnie a młodzieńczo. Pamiętaj że Penser, savoir et écrire c'est (*l'*)homme, mawiał Buffon. A co po myśli ci jego słowa — więc do myśli bracie! — A tymczasem razem z tobą zawołam Niech djabli wezmą wszystkich lekarzy — jest to ogromna hołota umysłowa***).

„A teraz przejdźmy do porządku dziennego.“ —

My z piszącym razem przejść nie możemy do onego porządku, ponieważ porusza w nim sprawy osobiste, treści poufnej, a przynajmniej służą mu one za tło wypowiedzianych myśli, więc, choć żal, podążyć za nim nie możemy, wolno nam wszelako powtórzyć zapatrywania jego na ludzi działających czynem i pracujących myślą. Oto co pisze o nich: „Ludzie czynni i praktycy dla tego są tak mocni — iż wierzą, że tylko ich sposób postępowania jest dobry. — Oni nie mogą jak ludzie myśli oceniać, że i inny jest dobry, choć nie nasz... Tacy ludzie we współczesnych nie mogą dojrzeć zarodków wielkich myślicieli. Zanadto się zżyli z tem mniemaniem, iż oni nie wymyślić nie mogą. I ten sąd jest niezmiernie sprawiedliwy, naturalny. — Wszyscy inni ludzie, postępujący od nich odmiennie, są nietylko w ich mniemaniu — ale wogóle bezwzględnie sądząc — ryzykującymi, graczami. I tak jest. Taki jak X woli 3 grosze pewne niż 3 ruble ryzyko. — Istotnie wszyscy wielcy myśliciele, reformatorowie, lub dusze rogate, którym za ciasno w ich chomacie, lub których gorączka pobudza do ruchów, którzy spokojnie usiedzieć nie mogą, są w pozycji albo zostania wielkimi, albo zamieszkania celi u Jana Bożego****). Niema drogi pośredniej.“

„Kto jak ja ma ostrogę, która go bodzie — a ma kielzno, które go ku drodze „ludzi praktycznych...“ ciągnie — niczem nie będzie — choćby miał talent — pozostanie dwoistym, niezadowolonym; ogień wewnętrzny nie pozwoli spokojnie osiąść na progu domowym — a owo kielzno wieczną obawą o jutro gryźć będzie. — Życia nieszczęśliwe wielkich mężów — dowodzą

*) Kowalewski bawił wtedy od kilku już tygodni w Görbersdorfie na Śląsku w zakładzie D-ra Brehmera.

***) Mowa tu o P. Niedźwieckim, młodym wówczas lekarzu, przyjacielu bliskim i koledze uniwersyteckim Matlakowskiego i Kowalewskiego.

****) Matlakowski rzeczywiście nie miał nigdy tak złego wyobrażenia o stanie, do którego sam należał, owszem zwykł go był stawiać wysoko, a ganił lub potępiał tylko jednostki zasługujące na to. Tu widocznie godzi się tylko pozornie na zdanie wypowiedziane w liście przez przyjaciela dotkniętego cierpieniem nie dającym się wyleczyć i, jak inni chorzy tego rodzaju, wyrzekającego na kolegów nie mogących mu zdrowia przywrócić.

*****) Dom dla obłąkanych mężczyzn w Warszawie.

aż za nadto moje słowa. Większa ich część ducha wyzionęła — inni w grobach pognili, zanim ich myśl kielkować zaczęła. Dopiero wieki następne ich ocenili. — Pozwolisz iż się w przykłady bawię nie będę — Przytoczę tylko wielkie imiona Kopernika i Byrona. — Falszem jest jakoby społeczeństwo było niewdzięcznym, lub złem względem mężów — ono jest tylko konsekwentne — ono nie widzi, nie rozumie nowej myśli. Dobrze jeszcze jeżeli innowator jest spokojnego temperamentu — bo jeśli zanadto go bodzie duch, mogą go zamknąć do domu obłąkanych. — Sądząc razem z nimi przyznaję im nawet rację do tego punktu: mogą sobie gwizdać — mówić tere fere kuku, strzela baba z łuku — póki nie ma nic zrobionego — skoro widzą projekta; — lecz gdy rzecz ujrzała światło dzienne — hola! — odłączam się od nich — bo mają już co sądzić — a jeśli źle osądzą — mam dla nich słowo ślepi.“ —

„Co do mnie lubię jednostki ruchliwe, niespokojne, charaktery burzliwe (ale nie sangwiniczne, które wygasają na zawsze), dusze rogate — lubię ich charakter, ich duch ma niewysłowiony urok, powab, wydaje mi się nader bogaty, urozmaicony, obfity — wiecznie żywy. — Są oni dla mnie grzybami fermentacyjnymi w społeczeństwie. — Robią ruch, a sami nie tracą i nie przybywają. — Jest to świetne widowisko wyłaniania się ogromnego zapasu euergon [tak!] — przypominają mi nasze słońce. — Ale oto kres moim wywodom. Wpadam z argumentacyj w obrazowość — estetyczne uczucia biorą górę — a dowodzenie djabła warte — gdzie estetyka zalewa myśli.“ —

Zdaje się, że zbyt wiele byloby rozwodzenie się nad słowy powyższemi Matłakowskiego; wyrazić można tylko zadowolenie z tego, iż omylił się sądząc, że „niczem nie będzie.“ Życie późniejsze kłam zadało tak świetnie przepowiedni jego. — W ciągu dalszym listu tegoż, dając znów rady przyjacielowi, wypowiada wiele zdań godnych powtórzenia, oraz kreśli dla niego plan postępowania, tem ciekawszy dla nas, że sam go później, co do joty rzecz można, wykonał. Wogóle jest to rzecz zastanowienia godna i bardzo korzystnie o umysłowości jego świadcząca, że dwudziestopięcioletni młodzieniec ówczesny, wchodzący w świat dopiero, już posiadał tak dojrzałe i ustalone poglądy, do których ludzie inni dochodzą zwykle dopiero po wielu latach przeżytych. Posłuchajmy więc, co mówi:

„Nie podoba mi się twój sposób rozpamiętywania... Jest to dziwnie nielogicznie — wtedy kiedy jeszcze nie nie zrobiłeś, rozmyślać — czy ja będę czemś wielkim, czy tuzinkowym. Wolno ci siebie oceniać, skoro o tem myślisz — mam ci za dobre twoją szczerłość. Ani zarozumiałość, ani skromność nie wpłyną na wartość dzieł człowieka — mających się narodzić, bo te od owych nie zależą. Owszem — *Savoir se faire valoir* jest koniecznym w naszym wieku. Lecz są to przedwczesne trwogi. Wolałbym, byś się tem nie zajmował, bo to odbiera wiarę w siły własne. Wszystkie zaś te anxietates ustąpią skoro tak postawisz kwestję: to co mam, moi profesorowie, przyjaciele i znajomi, to wam daję — tak jak mogłem, tak zrobiłem. Oceńcie. Nie sądzę, że wiele ludzie tylko „*Novum Organon*“, „*Principia*“ lub „*De revolutionibus*“, „*Teorja jestestw*“ — tworzą. — Rubens oprócz arcydzieł, o których wiemy, zostawił wiele i lichoty, o których wiedzą specjaliści. Autor *Gil Blasa* zostawił wiele niernoty. — Nie w tem rzecz — a w tem aby coś robić. Masz przedmioty, które cię interesują, które zajmują twą myśl — pisz — jedno po drugim — pracuj — a wtedy w szeregu dzieł znajdą się takie — co może będą prawdziwie wielkimi. Ale na to trzeba pracy. Badając życie wielkich ludzi, jeśli co uderza, w zdumienie wprawia — przygnębia — miażdży — to nie ich dzieła, a olbrzymiosć ich pracy, pracowitość. Myślny lenie bracie pierwszej wody. — Noce siadywał Balzac przy powieściach. — Dalej

brak nam dostatecznego wykształcenia — t. j. materiału in crudo — tobie szczególnie. — Z największymi zdolnościami możesz zostać małomiejskim ruskim mechanikiem — któremu niebrak myśli — lecz niestarczają wiadomości. Ty nie nie umiesz oprócz medycyny — nie masz studjów poza sobą. — Weź najkapitałniejsze arcydzieła myśli ludzkiej — one czekają na twoją wizytę. A gdzie psychologja — a gdzie celniejsi filozofowie niemieccy, a gdzie Macchiavelli, gdzie Boccaccio; przeczytałżeś Darwina? Znaszże Hartmann „Die philosophie des Unbewusstens“ [tak!]. To trudno, — ale trzeba studjować. — Urządzić się z czasem — pożyczać książki — zaprenumerować ogólny katalog dzieł nowowychodzących aby wiedzieć co się dzieje na świecie — a korzystając z wolnego czasu — z wieczorów, z obiadów, czytać to i owo. — Zapoznawszy się z temi wielkimi dziełami — nie palniesz grubego bąka. Swoją drogą pisać — obmyślać — a wtedy bez myśli czy to tuzinkowe czy nie — pchnij pracę w świat — a ludzie ją osądzą. — Z broszurek — tak jak z przetrawionej masy, nie wiele wyciągniesz soków. — Wielkie dzieła obfitują w niezmiernie głębokie, potężne myśli — które dostarczają ci albo materiału in crudo — albo obudzą twoje myśli oryginalne. — Skoro się poprawisz w zdrowiu zabierz się do pisania — popisz wszystko, co ci myśl przyniesie. — Potem się to jak ulegalki odleży — przejrzyś — poprawisz i puścisz w świat. — Pamiętaj iż znajdujesz się w dobrych poniekąd warunkach. — W Polsce brak ludzi — gdzieindziej ich tłumi — a zdaje mi się iż jesteś zdania Cezara „lepiej być pierwszym, — niż ostatnim w Rzymie.“ — Dalej masz czas przed sobą. — Zauważyłem wielką różnicę między naszym krajem — a Zachodem. — U nas człowiek 40 — 50 letni liczy się za starca i odpoczywa — tu ludzie uważają ten wiek za punkt kulminacyjny ich pracy. — Wystaw sobie, że co roku puszczasz w obieg jedną pracę — ale rzetelną — po latach 10 będzie ich 10 — i z każdym rokiem będzie lepsza — bo wszyscy nędzotami debiutują. — Kto nigdy, choćby złem nie rozpocznie, ten nigdy dobrego nie nie napisze. — Nasi profesorowie mają prawo spodziewać się czegoś po tobie. Dalesz tego dowody. Najkapitałniejszy dowód dla mnie, jest ocena twojej historii choroby — przez Lambli^a*). To człowiek nie tuzinkowy, to mól, to człek, co Europę zna na wylot — to myśliciel, on 1½ roku siedział pod Trjestem — ot tak, z fantazji i badał co — ryby morskie — on pisał — o narzeczach słowiańskich i ten facet przyznał ci, że masz olej w mózgownicy. Dalej rozprawa konkursowa — nowy dowód. Toć wiesz jakieś ich [tak!] pisał — jakieś pracował — pracuj tak samo, ciałaj myśli — skupiaj wiadomości — pisz — a zobaczysz, że będzie coś dobrego. — Musisz jednak urządzić się z twemi interesami aby ci nie brózdziły w robocie — parchy na bok. — Wejdz teraz w okres rzetelnych studjów. A jaki taki zawsze powracam do swojej myśli — zajmij się medycyną szczerze — staraj się być specjalistą. Nie uwierzysz co to za wpływ ma na publikę, że oto taki i taki facet specjalista 1-ej wody napisał coś w innej materji. Np. Endlicher węgier botanik sławny — pisał słownik języka węgierskiego arcy dzielny podobno (nie czytałem go). Lub Littré medyk — wiesz jak marne są medyczne dusze — napisał arcydzieło, eee, słownik języka francuskiego (czytałem, ogrom erudycji). — Jeśli nie jesteś specjalistą — a piszesz o 1-em, 2-em i 3-em odrazu wezmą cię za encyklopedystę — niedojrzałego. Odwrotnie jeśliś już znany na pewnym polu jako indywiduum solide — powiedzą ot facet co jest taki rzetelny medyk — musiał i w innej materji coś rzetelnego napisać. — I dla tego ponownie odsyłam cię do anatomii — przekonasz się iż ci się spodoba — skoro się nią serjo

*) Duszan Wilhelm Lambli, przedtem czynny w Pradze i Charkowie, był wówczas od lat kilku profesorem klinicznym w Warszawie.

praktycznie zajmiesz. — 2^o Dalej studjij choroby kobiece — na klinice. — 3^o Badź pilny i gorliwy u Kosińskiego [*jako asystent w klinice chir.*]. 4^o Doktoryzuj się. 5^o Napisz rzetelne dzieło o chorobach kobiecych. — A wtedy ustaliwszy swoją oś obrotu — i zapewniwszy grosz — weź się do pracy znaczniejszej — nie medycznej. — Wszyscy profesorowie widząc twoje studja, wybaczą ci milczenie. — Jeśli zaś ja asystentem zostanę — będę ci wyryką. — A w domu tymczasem studjij — rób wyciągi i notaty. Lira twoja śmiało może zamilknąć na 3 lata. Zestarzejesz się, ożenisz, zsolidniejesz — a wtedy nie powiedzą: ot młokos, marzy, troi mu się coś po głowie. — Tą drogą jeśli cię djabli nie wezmą — jestto najkardynalniejszy warunek — (boć myśli ci nie brak) — coś zrobisz — i dobrze zrobisz.“ —

„Mówię ożenisz się — i to na serjo — to ci zapewni jaki taki dochodzik. — Wszak widzimy że medycy dobrze się żenią. — Wszak nie wierzysz — aby małżeństwo i miłość gorąca w parze chodziły. — Za to niech żona twa będzie dzielną, roztropną, zdrową i nieszpętą białogłową — a małżeństwo — zapewni ci pomyślność. Ognistej miłości można szukać tylko poza obrębem małżeńskich związków. — Trochę tego dobra zakosztowałeś — niech ci to wystarczy. Inni — nie wytykając palcami — i tego nie znają.“ —

Aby uzupełnić przytoczone już poglądy Matlakowskiego, dodać tu jeszcze wypada kilka wyciągów z listu pisanego z La Seyne w d. 3/VII. Czytamy tam między innymi: „Mnie się zdaje iż jedna kapitalna myśl, czy to wyciągnięta z wielu innych myśli, czy też fakt skonstatowany na mocy rozmaitych obserwacyj — zostawiona w dziedzictwie dla innych ma większe znaczenie, niż jej praktyczne zastosowanie, z niej wynikające. — Dla X. czyn więcej znaczy niż myśl. Rozumiem to dla pewnych względów; i tak dla chorego ważniejszym jest uratowanie jednego zęba, niż cały traktat o chorobach i fizjologii tego organu. — Co się tyczy przyjemności bezpośredniej jaką się osiąga, zgadzam się z X., iż uratowanie ręki wyrobnikowi i zapewnienie mu kawałka chleba sprawia wielką przyjemność. — Lecz — (zostawmy sławę na boku) — odkrycie pewnej myśli zapewnia również przyjemność — a co do korzyści to ona bezwarunkowo większe przynosi dla ogółu... Myśl jest rozwiązaniem kwestyi, jest motorem — czyn jest pracą wykonaną za pomocą tego motoru. — Prawdą jest, iż niekiedy trudnem jest praktyczne zastosowanie motoru — ale właśnie owe trudności przełamane podczas zastosowania są myślami lub pomysłami drugorzędnymi, które również godne są przechowania. Jeśli Piotr Frank był dzielnym praktykiem i wielkim lekarzem, to nie dlatego tylko iż wyleczał chorych, a iż zostawił moc obserwacyj i że nauczał z katedry młode pokolenia.“ —

„Bez pisania owoce myśli giną bezpotomnie — tymczasem to co już raz zdobyte — zginąć nie powinno. — Bacon mówi „Reading makes a full man; conference a ready man; and writing an exact man“ (Czytanie czyni człowieka świadomym, pełnym, rozmowa łatwym, a pisanie ścisłym). Istotnie myśl póki nie jest napisaną, póki jeszcze krąży po głowie — nie jest ścisłą. Aby ją widzieć przedmiotowo, ocenić, rozebrać, należy ją napisać. Ileż to razy — zaświta myśl jakaś, lub pewne myśli; człowiekowi się zdaje, iż jest nową, lub bardzo głęboką, lub że obfitą we wnioski. — Czuje się, że ładna, że pomysłowa; tymczasem uapiesz ją uroczą powłoką opada; myśl nabiera innego znaczenia, niż to, które miała przed porodem. Większą część myśli krążących po tajnikach mózgu musimy najprzód cokolwiek obrobić, zanim je wypowiemy; a większej części zdań, które wypowiadamy nie ośmielilibyśmy się napisać i w tej samej formie poddać pod rozbiór innych. — Napisanie zmusza do obrobienia i obmyślenia głębszego niż poczęcie jakiejś myśli lub jej wypowiedzenie... mieć pisanie sprawia wiele przyjemności (rozumie się że nie akt pisania,

jak, nie pamiętam już jakiejś osobistości w Gogolu, czy Turgieniewie); i jeśli co kiedy wydam, (a to zależy będzie od wartości myśli), to dla tego przede wszystkim, iż mi się wypisać, jak innemu jeść lub pić [*chcc*]. — Oprócz tego jednak są i inne rzetelne pobudki do pisania, szczególnie u nas w kraju. — Główną między nimi jest dostarczenie publice myśli zdrowych i postępowych. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widać: płytkość myśli, ubóstwo erudycji, wąskość poglądu, parafjańska ciasnota, brak rzetelnego wykształcenia w pisarzach, brak gruntownych, sumiennych studjów. Weźmy kalendarz Jaworskiego, lub Rocznik Czarnomskiego, przejrzyjmy literaturę. Pierwsze miejsce do ilości zajmuje powieściopisarstwo.‘

„Ja powieść cenię i uważam za nader doniosłą w rozwoju teraźniejszego społeczeństwa. Im doniosłość jej jest większą, tem więcej zależy na jej dobroci. — Od powieści nie wymagam nic więcej, nad dobrą obserwację życia i psychologją praktyczną — i dobry język, ładny styl. — W powieść jednak można wpleść wiele idei — nie dlatego by chcieć nadać jej jakąś tendencją, nie, — a dla tego, że sądząc o bohaterach, pisarz mimowolnie jest przymuszony się wygadać. Lecz jeśli pisarz jest głupi jak but, ciemny jak tabaka w rogu, jeśli ma przedpotopowe pojęcia, — a na dobitkę jak się to zwykle dzieje, jest ze średnim talentem, — będzie płodził powieści mizerne, anachroniczne, nie malujące obecnego życia. — Co za nędza u nas w dziale pism o ludzie i dla ludu! Czy u nas znajdziesz, myślisz, coś podobnego do Niekrasowa? Czy jest coś podobnego do Słownika Dala? Czy znajdziesz, co by ci przypomniało „Zapiski ochotnika? — Piosnki ruskie znajdziesz aż tu w Tulonie — a czy dostaniesz polskie ludowe, a przecież są i u nas? — Czy może coś być mizerniejszego nad powiastki Gregorowicza, a bardziej prymitywnego nad klechdy Wójcickiego. — Co za pole dla erudycji w przedmiocie — a co za brak studjów w pisarzu. — A we względzie języka, czy znajdziesz gdzie niedoleźniejsze gramatyki, nad te co u nas się co roku płodzą: czy myślisz że nauka o źródłosłowach, pre i sufiksach przenikła? — A co za idjotyczne „Arytmetyki początkowe“... Tu co wezmę jaką metodę angielskiego to jedna nad drugą lepsza, a gramatyczki maleńkie wykazują odczytanie i studja w autorze. Gienjusze z małym nawet odczytaniem, przewidują to co być powinno, przeczuwają, czego nie czytali, wylamują się z form ustalonych, wybijają nowe na świat okna. — Lecz my zwykli śmiertelnicy, tylko drogą porównywania, przesadzania co dobre gdzieindziej, studjowania, i zastosowywania metody, która gdzieindziej wydała owoce, do nowej gałęzi wiedzy, — tylko tą drogą do czegoś nowego dojść możemy. A Rolnictwo? — a przecież kraj nasz rolniczy par excellence! A małe podręczniki historyi — toć one piszą się obecnie tak jakby wszysej Vico, Hume, Gibbon, Niebuhr, Thierry, Szajnocha, Lelewel, Scherr, nigdy a nigdy nie istnieli... A dziennikarstwo ten motor, który w świecie umysłowym odgrywa rolę kolei żelaznej, dostarcza na rynki plody oddalonych krajów, służy ku wolnej wymianie towarów. Cóż ono u nas przewozi? Kartofle zamiast wołowiny, owies zamiast pszenicy, łupiny zamiast owoców! — W końcu istnieje jeden wielki i wielki, ważny a ważny dział — dział krytyki. Napisać dzielną powieść, utkać genialny romans, stworzyć filozoficzny traktat — należy mieć, a może i urodzić się z zadatkami do tego — a ten talent wrodzony; może w części zastąpić studja. — Lecz krytyka? Ona potrzebuje jasnego widzenia, a genialność (która rozumie się i w krytyce cuda robi) może być zastąpioną przez studja i erudycją. Carey'em może krytyk krytykować Supińskiego. — Porównywanie musi zrodzić nowe idee. — W końcu, nie przeczę, krytyk winien obfitować w myśli — być intelligentnym; bez tego krytyka psa warta; ależ czyż u nas brak ludzi intelligent-

nych? — Rozpatrzmy nazwiska piszących u nas — toć to śmiechu warto. Wszystko to wyległo się na umysłowym barłogu, żywiło się trawą, to też płodzi niedowarzonki, mizernotki. Słyszeliśmyż iż oni gdzie odbywali studja? Znajdujemyż w ich dziełach ślady pracowania, któreby zastąpiło patenta, jak to widzę w Bucklu? — Można się zapytać, gdzie się oni uczyli? Tacy jak nieboszczyk Zanożyński*) — chłopiec nawet zdolny — gdzież on czego się nauczył! Tu chlapiął, tam wyrwał, owdzie liźnął — i ot pisarz.“ —

„Jak napisze coś Supiński, toć widać co umie. — Tu do *Revue de deux Mondes* nie powstydzą się pisać Cl. Bernard, Lhuys, u nas takiego Darwina krytykują zielone szparagi. — O u nas jest wiele rzeczy do napisania, i jest wielu zdatnych ludzi, którzyby mogli pisać — tylko się niechce. — Dość jednak z tej beczki... Nie mogę jednak przemilczeć tu jednej okoliczności. Czas jest już aby metoda doświadczalna zakrólowała wszędzie; czas jest aby wyszła z pracowni chemicznej i fizycznej. Doświadczenie polega na umyślnem powtarzaniu zjawiska w coraz to innych warunkach, i obserwowaniu zaszyłych modyfikacyj, a zatem ocenianiu wpływu współdziałania tych warunków. — Dla sprawdzenia czegoś czy to jest dobrem, powinien się również pisarz postawić w możliwie różnych warunkach i z tych punktów widzenia obserwować rzecz badaną. — Te stanowiska zyskuje się, stosując różne metody do danego przedmiotu, i patrząc przez rozmaite szkła, przez jakie patrzyli inni pisarze. — Tą drogą zdaje mi się można zdobyć lepsze rezultaty niż na mocy li tylko własnej intuicji.“ —

Przytoczenie tytu i tak długich ustępów z listów Matlakowskiego uważałem za konieczne, ponieważ kreśli w nich ręką własną obraz ciekawy umysłowości swej, zapoznaje nas z zasadami i poglądami swemi, tak wcześniej już w duszy jego ustalonymi. Wiek dojrzalszy złagodził może niejedyn rys ostrzejszy, rozwinął i wydoskonalił inny, ale, jako całość, zapatrywania się i przekonania jego pozostały i nadal niezmienione, stanowią więc materiał bardzo ważny do oceny charakteru i zrozumienia działalności jego, a właśnie o to chodzi nam tu przecie najwięcej. Suche opowiedzenie żywota i czynów czyichkolwiek chociażby nawet niezwykle drobiazgowo i dokładne, nigdy nie daloby nam obrazu należytego osobistości opisywanej, a wysnute stąd poglądy na nią, byłyby zawsze tylko przypuszczeniami, mniej lub więcej trafnymi, często nawet bardzo błędnymi. Chcąc poznać człowieka, chcąc go ocenić i osądzić sprawiedliwie, trzeba wniknąć w duszę jego, trzeba poznać jego sposób myślenia, oraz pobudki pchające go do czynów. Dla tego to właśnie staram się narysować postać duchową Matlakowskiego słowy jego własnymi, wypowiedzianymi szczerze i otwarcie w gawędkach poufnych z przyjacielem; sądząc, że tą drogą najłatwiej i najpewniej dociera się do celu zamierzonego, więc też i nadal, gdzie tylko można będzie, zawsze odstąpić mu gotów jestem słowa, dorzucając od siebie samego tylko to, co okaże się koniecznym. Niestety! coraz częściej wypadnie mi teraz tak czynić, mówić tam, gdzie jemu głosby oddać należało, ponieważ źródło obfite, z którego dotąd czerpałem, wysychać zaczyna, listy mają się ku końcowi, a te, co pozostały jeszcze, nie tworzą już lancucha ciągłego, lecz są to tylko ogniwa od całości oderwane. Brak ten wszakże dopełnią, przynajmniej do pewnego stopnia, wiadomości udzielone mi łaskawie na piśmie

*) Zygmunt Zanożyński ur. w r. 1852 w Sokolowie, w r. 1875 uwolnił się od życia w Kaliszu, jak powiedziano w życiorysie jego, bardzo panegirycznym, umieszczonym w *Noworoczniku Kaliskim* na rok 1876 str. 151.

przez p. Julję Matlakowską, a dotyczące życia jego późniejszego i ogółowi szerszemu dotąd z pewnością nie znane.

Mimoходом może nie zawadzi poświęcić w tem miejscu chwilki stylowi i językowi tych listów. Matlakowski w czasach późniejszych pisywał, jak wiadomo, wybornie i pięknie: język ojczysty miłował nad wyraz wszelki, a starał się władać nim poprawnie, co mu się też udawało zwykle. W listach, osobliwie poufnych, zaniedbanie pewne stylu jest dozwolone, a przynajmniej dopuszczone, więc też o drobnych uchybieniach tego rodzaju rozwodzić się nie mamy potrzeby, tembardziej, że nigdzie nie są zbyt rażące. Co się tyczy języka, to nie zawsze poprawnym go nazwać możemy, spotykamy w nim bowiem nieraz, chociaż nie często, zwroty i wyrażenia niepolskie. Nie będę wskazywał na nie, ponieważ każdy, kto rzeczy świadom, i tak ja łatwo od razu spostrzeże i snadnie odczuje. W pisowni jego ówczesnej, jako też w używaniu znaków pisarskich, które przepisując zachowałem bez zmiany wszelkiej, znać też jeszcze chwiejność pewną, szczególnie uderza częste nadużywanie myślnika (—). Z czasem pozbył się Matlakowski usterków tych, drobnych zresztą, wyrobiwszy się na jednego z najlepszych pisarzy naszych (za takiego mam go przynajmniej), a niezmienną została tylko zawsze myśl jego poczciwa i zacna, oraz dusza czysta, natchniona poczuciem piękna, które w stopniu niezwykłym umiał zawsze odczuwać i wypowiadać.

Matlakowski, zarówno jak przyjaciel jego, byli od niedawna lekarzami; zdziwić więc może niejednego, że w urywkach przytoczonych nigdzie o lecznictwie wzmianek nie spotykamy, możnaby nawet posądzić mnie o to, że pisząc dla ogółu szerszego, wzmianki te pominąłem umyślnie. Sąd taki byłby jednakże mylny. Matlakowski mając do powiedzenia tyle rzeczy innych, w listach, w posiadaniu mem chwilowem będących, rzeczywiście sprawami lekarskimi nie zajmuje się wcale, poświęcając im, co najwyżej, ledwo tu i owdzie słówko pobieżne, nie prawie nie znaczące. Jedyny pod względem tym wyjątek stanowi list ostatni z dnia 13/VII w którym czytamy: „Pisałem ci już o wielu rzeczach, ale, choć jesteśmy obaj medycy, anim słowa jeszcze nie pisałem o medycynie. W istocie jest ona tu na drugim planie. — Główne moje zajęcia stanowią języki francuzki i angielski, lecz i medycyna nie śpi. Powiem ci nawet więcej iż znajduję wiele przyjemności w tym zawodzie. Miałem kilka ciekawych wypadków — ciekawych rozumie się nie dla nauki — a dla mnie. I tak pierwszym był wypadek choroby conjunctivae [*łącznicy oka*]. Wiesz jacy w nas oftalmolodzy. Szczęściem poduczyłem się nieco w Paryżu. — Za długo byłoby opisywać objawy, koniec końców — pomimo odmiennego zdania moich tutejszych kolegów — postawiłem dżagnozę Pinguicula [*tak!*] inflammata*). Był to wyborny przykład na dowiedzenie — iż wszystkie pisane dzieła i podręczniki są niewystarczające: w niektórych nie znajdziesz zupełnie o tem ani wzmianki, w innych powiedzą ci, że to głupstwo. A twój chory tymczasem cierpi, ma ból, uczucie gorąca, nie może robić. — Pod wpływem Atropin[y] (wyborne działanie; w oczach prawie moich zapalenie ustępowało) i okładów zimnych zapalenie przyszło [*tak!*], ale Pinguicula została. Djabli mnie podkusili, aby ją zniszczyć: wzięwszy laseczkę szczerego lapisu, lekko przypaliłem. — Wieczorem chory gorączkuje, ból

*) *Pinguicula*, po polsku *Tłuszczek*, jest to nowotwór drobny, powstający na łącznicy oka, wygląda jak plamka nieco wystająca, lub jak mały guzieczek żółtawy, rzadko większy od ziarnka konopnego. Zwykle nie sprawia dolegliwości żadnych, czasami tylko, gdy przejdzie w stan zapalny staje się dokuczliwy, wtedy też wymaga leczenia, wypalenie go jednak, jak to uczynił Matlakowski, nie było właściwe, ani potrzebne.

głowy, łzawienie, wymioty; a do djaska, źle! — Co tu robić. Ja ci w strachu. Nuż zimne okłady. — Na drugi dzień: chory w nocy nie spał, powieki obrzmiały, wokolutko rogówki czerwony wał opuchłej łącznicy; o myślę sobie bieda. — W miejscu przyżegania martwa eschajra [*tak zamiast eschara = strup*], obszerna, gruba. Strach mnie zdjął, zamknąłem co rychlej oko. Ale nuż okładać lodem, postawiłem 2 pijawki, zapuściłem Atrop[*iny*] i czekam. Wieczorem już lepiej, na drugi dzień jeszcze lepiej. W końcu przeszło. Ale com się najadł strachu, to najadł. Ja, co się na morzu wpośród burzy nie modliłem, omało że niepadłem na kolana z prośbą do Nieba. — A nuż, Keratitis [*zapalenie rogówki*], a Iritis [*zap. tęczęwki*], a Iridoeyelitis [*zap. tęczęwki i naczyńwki oka*], Panophtalmitis [*zap. ropne wnętrza gałki ocznej*] i śmierć. Jezu miły! rety! — Szczęściem skończyło się dobrze, wyzdrowienie kompletne. To dowiodło mi, że wytrzymałość organizmu jest wielka, ale lekarz nigdy na to liczyć nie ma prawa, i zawsze winien zważyć, czy lekarstwo nie przyniesie więcej straty i bólu niż leczona choroba. Rozumne te słowa Matlakowskiego, o których później sam pamiętał zawsze, powinnyby wszyscy lekarze, a szczególnie chirurgowie, w pamięci swej zapisać i codzień powtarzać je sobie, wyszłoby to na dobre ich chorych.

W opisie niepokoju i strachu, który ogarnął Matlakowskiego na widok niebezpieczeństwa grożącego choremu, więcej może w wyobraźni jego niż w rzeczywistości istniejącego, nie masz z pewnością ani śladu przesady, można mu wierzyć, iż był wtedy do głębi duszy wzburzony. Uczucia te w lekarzu młodym, sumiennym, obdarzonym sercem najlepszym w świecie, są bardzo zrozumiałe; z latami jednak u większości tępieją zwykle i nieraz nawet zamierają zupełnie, w nim jednak, jak się o tem przekonamy jeszcze, przetrwały do końca. Póki żył, przejmował się zawsze cierpieniem i niebezpieczeństwem zagrożającym choremu, pod względem tym, jak i pod wielu innymi jeszcze, za wzór naśladowania godny, lekarzom wogóle posłużyć może.

Trzech innych przypadków choroby, opowiedzianych w tymże liście, aczkolwiek są dosyć pouczające i zawierają uwagę niejedną, spamiętania godną, nie przytoczę tu, jako mniej ciekawych dla ogółu czytelników, powtórzę jednak słowa Matlakowskiego kończące te opisy. Oto one: „Byłem prawie w niebie. — Wypadków kilka napełniło mnie otuchą. Znasz mój charakter, niedecydlivy [*tak!*], zwlekający. Często kieruję się zdaniem: Nunquam sero [*nigdy późno*]. Sądziłem iż to mi będzie na przeszkodzie w praktyce — a szczególnie w chirurgii, gdzie 6 godzin wyrokują często o życiu ludzkim. Bałem się, aby nie przyszło sobie powiedzieć Za późno. — Lecz jakoś decyduję się prędko i nawet przełamuję upór chorego.“ —

„Ot mój bracie jak sobie radzę. Zdaje mi się, iż gdybyśmy sobie udzielali rad, na mocy naszego doświadczenia, wielebyśmy sobie korzyści przynieśli. Książki są albo za wysokie, albo za obce, od konkretnych wypadków; prócz tego są za mało pedagogiczne, a z drugiej strony, za mało filozoficzne, tak, iż nie są niczem: nie można ich bowiem postawić na jednej półce z Novum organon Bacona, lub De revolutionibus, — ani też z wybornymi metodami dla kształcenia się.“

Sąd dwukrotnie wypowiedziany tu przez Matlakowskiego o książkach i podręcznikach lekarskich jest zbyt surowy, a zatem niesprawiedliwy, ponieważ od nich żąda tego, czego mu dać nie mogą. Podręcznik żaden nie może gubić się w szczegółach, nie może przewidzieć przypadków wszystkich, z którymi lekarz stojąc przy łóżku chorego spotyka się nieraz; jego zadaniem pozostanie zawsze tylko uogólnianie choroby, kreślenie jej obrazu

idealnego (jeżeli tak powiedzieć wolno); dla tego więc, szukając w nim rady określonej, gdy chodzi o jakiś przypadek szczególny, doznaje się nieraz zawodu przykrego, wie o tem z doświadczenia lekarz każdy, a pomimo to podręcznik, jako taki, może być weale dobry. To, czego Matlakowski żąda od niego, znaleźć można tylko szperając po monografiach, lub w t. zw. historjach choroby, których i on sam z biegiem czasu szereg bardzo okazały po mistrzowsku napisał. Gdyby był pożył dłużej, gdyby sam był zabrał się do opracowania podręcznika, byłby się przekonał, że inaczej go napisać nie sposób, niż to czyniono dotąd. Że podręczniki te mogłyby być nieraz więcej pedagogiczne, zgoda na to, ale czyby cokolwiek zyskały przez wciągnięcie do nich filozofji, o tem wątpić wolno, a nawet śmiało twierdzić, że na pewno na tem straciły, dzieje bowiem sztuki lekarskiej uczą nas, że pokumanie się jej z filozofją, zwykle ją tylko na bezdroża zawodziło. Dziwny też jest zarzut, że nie można książek lekarskich stawiać obok, przechwalonego zresztą, *Novum organon* Bacona, lub obok nieśmiertelnego dzieła Kopernika, *De revolutionibus*, gdyż to o niem, jak przypuszczam, Matlakowski tu mówi. Pamiętać przecie o tem trzeba, że zupełnie czem innym jest podręcznik lekarski, a czem innym znów rozprawy filozoficzne, lub księgi astronomiczno-matematyczne; przedział między nimi jest tak ogromny, że o porównywaniu ich wzajemnem między sobą mowy być nie może. Ale tych sądów, wypowiedzianych przez lekarza młodego w kilka zaledwie miesięcy po opuszczeniu lawy uniwersyteckiej, pomimo zdolności i uczoności jego, zbyt poważnie i surowo oceniać nie trzeba; szukając w podręczniku rady, chwilowo mu potrzebnej, nie znalazł jej, więc *inde ira*; gdy dojrzał, już zarzutów podobnych nie wypowiedziałby był z pewnością. To niech nam starezy.

W liście na ostatku wymienionym znajdujemy na końcu wzmiankę o bliskim wyjeździe do Odesy; w drugim zaś, pisanym do rodziny w dniu 23/VII, że za dwa dni tam wypływa, widocznie więc wycieczka dalsza do Ameryki, chwilowo przynajmniej, znów była zaniechana, ale nawet i ta podróż mniejsza nie doszła już do skutku. Hrabia Tyszkiewicz, z powodów nie nas tu obchodzić nie mogących, wyrzekł się wyprawy zamierzonej zupełnie, statek swój postanowił sprzedać, a załogę rozpuścił. Matlakowski zatem w dniu 25 lipca r. 1876 opuścił okręt i La Seyne, udając się wprost do Görbersdorfu, gdzie przyjaciel jego Roman Kowalewski dogorywał zwoła na suchoty.

Jakie było spotkanie przyjaciół? jak zeszyli im smutne dwa miesiące, które jeszcze razem spędzić mieli? — powiedzieć nie umiem, nie posiadając ani listów, ani innych wiadomości dokładnych z czasu owego. Wiem tylko, że zarówno sam Matlakowski, jak i Dr. Alfred Sokolowski, ówczesny asystent Brehmera, dokładali starań i wysiłków wszelkich, żeby życie gasnące nieszczęsnego młodzieńca, lat 23 dopiero liczącego, rozdmuchać, a przynajmniej dni jego ostatek osłodzić i znośnym uczynić. Leczyli go i pracowali z nim razem, gdyż chory do ostatniego niemal tchnienia był czynny, czytał, pisał i zbierał materiały do prac późniejszych, łudząc się widocznie, iż wyzdrowieje. Wszystkie zabiegi przyjaciół poszły na marne; w dniu 29 września skończyło się wszystko.

Matlakowski, z krwawiącą raną w sereu, ułożył do snu wiecznego przyjaciela tak drogiego na cmentarzu wiejskim w Langwaltersdorfie, pożegnał go mową pogrzebową, serdeczną i przepiękną, jak zapewniają świadkowie tego obrzędu smutnego, uczcił pamięć jego wspomnieniem pośmiertnem w „*Medycynie*“ (r. 1876, Nr. 43) i z matką jego razem wrócił nakońce, zbolwały i przygnębiony, do Warszawy, którą przed dziesięciu miesiącami dopiero

opuścił z nadzieją, że świat objedzie szeroki, że się napatrzy krajów i ludzi rozlicznych, że się nauczy wielu rzeczy ciekawych i zwiezie wracając plony bogate. Nadzieje te przysły, jak bańka mydlana. Pochował je, a co gorsza, pochował przyjaciela najserdeczniejszego; nie upadł jednak na duchu, lzy połknął, podźwignął się, zabrał do pracy i poszczęściło mu się jakoś.

Tu wtrącić trzeba słów kilka o stosunku łączącym Matlakowskiego z panią Kowalewską. Przyjaciół umierającej oddał mu w opiekę matkę swoją. Matlakowski przyjął chętnie na siebie ten obowiązek i spełnił go, jak wszystko, czego się podjął kiedykolwiek, nadzwyczaj sumiennie: otaczając ją pieczołowitością najtroskliwszą i przywiązaniem iście synowskim. Zamieszkał z nią razem i dopiero w rok po ożenieniu się jego przeniósł się do córki, gdzie w dwa tygodnie później zmarła na tę samą chorobę, która już przedtem dwie jej córki i syna do grobu wtrąciła. Pożycie tych dwojga ludzi, właściwie obcych sobie wzajemnie, złączonych wszakże przez przyjaźń i miłość dla tak drogiego im nieboszczyka Romana, przez lata całe trwając, było tak serdeczne, tak bliskie, że wielu kolegów i znajomych Matlakowskiego, wierząc, że łączą ich naprawdę związki krwi najbliższe, mniemało, że pani Kowalewska jest rzeczywiście matką jego. Być bardzo może, iż to wieloletnie przebywanie pod jednym dachem z osobą dotkniętą gruźlicą przewlekłą, a nie zachowującą, pomimo napomnień, ostrożności żadnych, oddziało jak najgorzej na zdrowie samego Matlakowskiego, który po matce swej był odziedziczył skłonność do tej choroby. Jeżeli tak było w istocie, to w takim razie rzecz można, iż Matlakowski przywiązanie swe do przyjaciela i matki jego przypłacił śmiercią przedwczesną. Ale są to jeno przypuszczenia, może uzasadnione, a może mylne, więc dłużej nad nimi lepiej nie zastanawiać się tutaj.

Stanąwszy z powrotem w Warszawie Matlakowski jął szukać zajęcia, które zapewniłoby mu jakieś utrzymanie, pozwalając zarazem kształcić się w ciągu dalszym. Świeżo zmarły przyjaciel jego był asystentem w klinice chirurgicznej prof. Kosińskiego, miejsce po nim było niezajęte jeszcze i dostało się Matlakowskiemu. Zabrał się więc do pracy z zapałem, jak on to umiał, i w czasie stosunkowo nadzwyczaj krótkim wyrobił się na bardzo dzielnego chirurga, nie zaniedbując przytem, pomimo pracy zawodowej dość ciężkiej, ani dalszego doskonalenia umysłu swego w kierunkach rozmaitych, ani nawiązywania stosunków towarzyskich.

Życie swe podczas asystentury opisał później w liście do narzeczonej temi słowy: „Najprzód, jak ja tam mieszkałem! Z dwóch ciup wyprowadzono konie, wybito okna, odmalowano wapnem i oddano mi na mieszkanie. Przez ścianę słyszałem chrupanie owsa i parskanie, w całym pokoju panowała woń końska, a ściany do sufitu były tak wilgotne, iż się z nich sączyło. Z tej epoki zaczęły mi się psuć zęby. Mieszkałem między stajnią i pralnią szpitalną. A jakie to było życie! Z rana co sił ubierałem się, aby przed rozpoczęciem lekcji opatrzyć chorych — salę z 25-ciu łózkami — oraz przygotować do operacji; potem pomoc przy operacji Kosińskiemu, potem oburzające ambulatorjum żydowskie, nie przynoszące studentom żadnej korzyści, a nam zabierające czas. Następnie, jak z procy rzucony, pędziłem do domu, by pochłonać na pół ostygły, często skrzepły obiad, podczas którego myłem jednocześnie ręce i zmieniałem koszulę zakrwawioną podczas operacji. Nie wstydzę się tego pisać, jeżeli tyle w tem potu, znoju i krwi ludzkiej! Potem robota na mieście. Przychodził wieczór — poetyczna chwila dnia. Z orszakiem studentów po rozle-

glej sali, mizernie oświetlonej z daleka drgającym płomykiem, ze świecą w rękę, obchodzilem chorych. W dali bielil się czepiec wykrochmalony — jak okręt jaki — czepiec siostry Milosierdzia, do której gabineciku zaglądałem. Jaki czysciuchny; zapach świeżej bielizny z szafy, rozmaryny i pelargonje na oknie. Immaculata z gipsu na stolczku, na ścianie wykrzywiona twarz Piusa, z palcami w górę; nad nim obraz Matki Boskiej z Lourdes. Ztąd spory ze siostrą dla czego nie Częstochowska lub Ostrobramska — lecz z Lourdes. A biedne to było Siostrzysko. Niezgrabne, słabowite, mizerackie, z twarzą nsianą czerwonymi krostami, a mające słabość do mnie. A ja — jak ja! Kiedy dobry, to do rany przyłożyć. — ale przy robocie niecierpiący niedoleg. Do szatana z nimi! Siostrze dostawało się bardzo często, a ona z dobrotliwym wyrazem twarzy znosila to — tak samo jak nieposkromione psoty, moje i Jawdyńskiego ze Sztajnerem, trzecim asystentem*). Po 8-mej wróciwszy do domu, siadałem do pisania, a ponieważ w pokoju lampa podle się paliła, chodziłem do gabinetu przy sali operacyjnej, gdzie był gaz. Ach jak ja tam pracowałem! Gorąco od gazu, głowa paliła się — nogi i ręce jak lód. Przez szyby szaf przeglądaly noże, narzędzia, kleszcze. — W sali operacyjnej Antoni (posługacz) chrapał, śpiąc na stole operacyjnym. Wygodne łożo! W tej epoce ja się najwięcej nauczyłem. A potem szły noce najeczęściej niespokojne. Krwotok, nowy a niebezpieczny chory, — już puk — puk w okno, woła siostra milosierdzia. Dopiero wstaj, po ciemku przez podwórze, przez drzewo utykając, spiesz na salę operacyjną. Heż to nocey tak przeszło! — Z mojej pracy niepohamowanej nie pozostało ani śladu, ani wdzięczności, ani pamięci, ani nic — tylko wspomnienie w mojej głowie — zamazane — bolesne i zmarszczki na skroniach. Bo pracować zawsze lubiłem zawścieczenie, z fugą, z furją, lub nie pracować wcale. Po takiej operacyi nocnej. około 2 — 3 w nocy, spocony, już w dobrym humorze, oconeony aż nadto ze snu, wracałem do siebie. W końcu długiego korytarza, którego dno, koniec, ginął w ciemności, migotał język gazu, w dali snula się cicha sylwetka siostry deżurnej, snula się i ginęła w pomroce. Na wirydarzu wyl wiatr i miotal w szyby śnieżycą — w kaplicy migotała lampka przed oltarzem — a miasto, miasto wielkie, wygodne, z dziećmi w ciepłych łożeczkach obok swoich matek — spało spokojnie. Nikt, nikt ani wiedział, ani współczuł, ani bolał ze mną; za to nie pozostało mi nic — prócz bólu. Może współczula siostra Julja, ale o tem nikt prócz Boga nie wiedział — może i ona sama. A dziś! Dziś ona biedaczka dogorywa na suchoty, siostry obce, na miejscu mojego mieszkania pracownia chemiczna. Szwajcar wpuszczający mnie pyta o kwalifikacye, nowi studenci, nowa służba. Ani nikomu przez głowę nie przejdzie ile — ile życia mego, ile duszy mojej, ciała mego zostawiłem, roztrwonilem w tym szpitalu. Ach, życie ludzkie jest ofiarą, obiata; wypala się, jak lampa drga, gaśnie, i nawet po sobie nie zostawia śladu w przestworzu. Jest ono zarówno ofiarą czy kończy się od kuli, czy przy wydaniu na świat dzieciny — czy gdy tak podle pali się jak mój kaganek.»

W słowach powyższych, pisanych w lat kilka po opuszczeniu kliniki, znać gorycz, znać rozczarowanie. Podczas pobytu w niej Matlakowski zapatrywał się jednak na położenie swe pogodniej, z zadowoleniem pewnem, widać to z listów jego do rodziny. I tak

*) Franciszek Jawdyński, zmarły d. 21 stycznia r. 1896, bardzo biegły chirurg, znajdował przyjemność osobliwszą w podniecaniu Matlakowskiego do psot i figlów, do których zwykle sam ręki nie przykładal. — Władysław Sztajner, chirurg społeczny warszawski, był po Jawdyńskim, ordynatorem kliniki chirurgicznej.

pisze do ojca w r. 1878: „Jest mi dobrze zupełnie, a nawet bardzo dobrze — jak na dziś — bo czy na przyszłość dobrze będzie, czy ta droga, którą obrałem, była najwłaściwszą, o tem dopiero przyszłość orzece. Wracając zaś do terażniejszości, powtarzam raz jeszcze, że idzie dobrze. Wiele, bardzo wiele rzeczy złożyło się na to. Między innymi wygląd mój zewnętrzny, podróż za granicę, francuzki język i t. p.“

Powodziło mu się wtedy rzeczywiście nieźle, chociaż nie świetnie. Profesor Kosiński zabierał go od czasu do czasu w Warszawie i na prowincję, jako asystenta, do swych chorych, zajmujących nieraz stanowiska wysokie, społeczne albo urzędowe, co mu korzyść podwójną przynosiło, bo zarobek materialny, bardzo mu potrzebny i pożytek moralny, wypływający z obcowania z ludźmi wykształconymi i światowymi. Pomału zaczął sobie też zdobywać praktykę chirurgiczną, skromną z początku i nie bardzo dochodną, ale statecznie rosnącą. Niejeden inny na miejscu jego byłby z pewnością umiał odrazu dochód swój podwoić lub potroić, Matlakowski nie potrafił tego nigdy: wyzyskanie chorego byłby sobie policzył za zbrodnię najcięższą. Wogóle zarobek wszelki przez leczenie chorych, choćby najuczciwiej nabyty, w oczach jego nie był wcale pożyteczny, uważał go za złe konieczne, którego nadużywać nie należy. Gdyby był bogaty, przysięgałby na to, i poza szpitalem leczyłby tylko darmo, albo wstrzymałby się zupełnie od wykonawstwa lekarskiego; za co je miał zawsze, wypowiada wyraźnie w liście z d. 4 stycznia r. 1893, pisanym do redaktora „Gazety Lekarskiej“, D-ra W. Gajkiewicza. Był wtedy już bardzo chory, znał swój stan i wiedział co o nim sądzić. Wspominając o listach, pocieszających go stereotypowo, że powietrze zakopiańskie uzdrowi go z pewnością, że będzie mógł wrócić niezadługo do zajęć lekarskich i t. d., tak się odzywa: „Tymczasem to nigdy nie nastąpi; raz dla tego, że o wyzdrowieniu nawet mowy niema, gdyż widzę, iż przechodzę w bardzo przewlekłe suchoty nieuleczalne; a powtóre gdyby się i stał taki cud, żebym (prócz kaszlu i płucia) pozbył się dolegliwości innych, nie byłbym tak głupi, dla marnych kilku tysięcy zaprzęgać się do praktyki. Życie dla mnie miało wartość wyższą, gdym mógł idealnie w szpitalu, za darmo działać; lecz praktykować dla zarobku, to zawsze bardzo bliskie świństwa; a czasami w nie przechodzi. Pókim mógł swoje świństwo z praktyki prywatnej obmyć i okupić poświęceniem w szpitalu, póty było warto robić“. Podobnie wyrażał się i wcześniej znacznie, za czasów zdrowia i powodzenia rosnącego; nieraz to sam z ust jego słyszałem. Wtedy wszakże, gdy jako lekarz początkujący, dobijał się stanowiska we świecie, zarabiać musiał, bo żyć przecie trzeba było, a pieniądź bywał nadto potrzebny nie tylko dla niego samego. Pracował więc, zarabiał jak mógł, cieszył się nawet z zarobku swego, jeno nigdy jak chciwiec z upodobaniem gromadzący pieniądze dla pieniędzy, lecz jak skrzętny gospodarz, mozolnie zbierający plony, nie po to, aby się nimi bogacić, ale żeby się uczynić zdolniejszym do pracy dalszej, coraz dzielniejszej, przynoszącej znaczniejszy jeszcze pożytek, którymby się podzielić było można z innymi, pomocy jego potrzebującymi. Taki był przez całe życie.

Ale wróćmy do listu owego, w którym opisuje ojcu, jak mu się wiedzie na asystenturze. Pisze tedy: „po Bożem Narodzeniu znowu dostałem gratyfikację 150 rubli — za to, żem zastępował Wojnę*), który na wojnę pojechał. — Niedługo jakoś, zgłasza się do mnie pan S. obywatel z Podola prosząc abym był lekarzem jego synów, uczniów w gi-

*) Dr. Stanisław Wojno, będący wtedy ordynatorem kliniki chirurgicznej, zawiadywał szpitalem Czerwonego Krzyża w Sławucie, podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Później osiadł, jako lekarz, w Odesie.

mnazjum, raz na tydzień do nich zachodził — za to 150 rubli rocznie. — Nie znałem go przedtem, i tylko ze slyszania się do mnie udał. — Pewnego razu wracam z kliniki, zastaję list od B-owej, żeby przybyć do nich bo sludze igła wlażła w kolano i ułamała się. Aż gorąco mi się robiło, bo mi bardzo chodzilo, aby się nie zbłaźnić! Z trwogą w sercu, zbadalem chorą — zrobiłem cięcie i igłę — ku wielkiej radości wszystkich [wydobyłem]. Winszowali mi — i dobrze zapłacili bo 15 rubli. — Niedawno znów jeździłem do... z Kosińskim na operację.“

„Słowem biedny jeszcze jest człowiek, ale przy pomocy Boskiej, przy pomyślności losu — możeby się wygrzebał na świecie — z czasem, z czasem, bo teraz jeszcze bieda. Według moich obliczeń, mam z 800 rubli rocznie. — Dla mnie samego byłoby to dosyć. Ale wzięwszy na uwagę, że przy mnie mieszka Stacho [brat], że Jankowi [również brat] niedawno posłałem 30 rubli — ledwie że końca się schodzą. Bo tu drożyzna ogromna, a ubranie porządne mieć trzeba, bo i za to ludzie plaćą.“

— Ostatniemi czasy bawilem się świetnie; balów huk, zaproszeń wiele — tylko śmierć Papieża przeszkodziła — żalobę przywdziano, przestali tańczyć. — Gdyby był wolny czas — toby dużo, dużo można napisać. Roboty jednak mam nawal. Zrana klinika od 8—12 — Potem na mieście wizyty u chorych do 4 — rozumie się na piechotę, bo jeździćby się jeszcze nie opłacało. — Potem wizyty — od 6—7 szpital — w końcu albo przychodzę zmachany jak koń lub wół i idę spać, albo ubieram się we frak, biały krawat i idę na bal, tańcząc do 3-ej, 4-ej w nocy i tak dalej.“

„Co najgorzej mnie zasmuca, to zdrowie; jestem bardzo osłabiony. — Może później odpocznę.“ —

„Teraz przechodzę do świata moralnego: Nie mam już moich dawnych przyjaciół. Kowalewski w grobie, Niedźwiecki*) o 1000 wiorst i nie pisuje zupełnie. Smutno samemu, bo jestem sam. Cała moja uciecha chłopcy i pani Kowalewska, która się zajmuje mojem gospodarstwem. — Co się tyczy przyszłości, to oczywiście może być dobrze, ale może być i źle, bo skoro się asystentura skończy u Kosińskiego, to i dochody się zmniejszą i nie wiadomo, czy nie wypadnie na starość wyjechać na prowincję.“ Tego, zdaje się, Matlakowski obawiał się zawsze najwięcej.

W liście powyższym, pisanym na początku r. 1878, spotykamy się z pierwszą wzmianką o psującym się zdrowiu Matlakowskiego. Był osłabiony, co sam przypisywał pracy nadmiernej, ale zaczął go nadto męczyć kaszel coraz częstszy, a w płwocinie pokazywały się od czasu do czasu ślady krwi. Profesor Chałubiński, do którego się udał, zbadawszy go, poradził wyjazd do Fürstenhofu w Styryi, pojechał więc tam w czasie wakacyjnym. Pobyt kilkotygodniowy w miejscowości tej górskiej wywarł wpływ bardzo zbawienny na zdrowie jego i pokrzepiony na siłach wrócił do Warszawy, by zaprząć się do pracy przerwanej.

Bawiąc w Styryi, w długim liście do rodziny, opisał przesłownie kraj ten i podróż do niego wiodącą. Odmalował wszystko cudnie, słowami pełnemi poezji i plastyki, po mistrzowsku prawdziwie. Chciałoby się to wszystko powtórzyć tu w całości, choćby dla porównania z obrazami Tatr, w książce mniejszej napotykanemi; ale i tak się już rozrostł bardzo życiorys ten — jeżeli go tak nazywać rzeczywiście wolno — a tyle pozostało jeszcze do powiedzenia, że trzeba odmówić sobie tej przyjemności i poprzestać na przytoczeniu pięknego porównania ogólnego Europy południowej ze środkową.

*) Był wtedy lekarzem powiatu Serdobskiego w gub. Saratowskiej.

Otóż Matlakowski pisze tak: „Jak niebo do ziemi, tak niepodobny jest do średniej Europy krajobraz Włoski, Hiszpański lub Grecki. Morze Śródziemne i Środkowa Europa za Alpami, to dwie kultury, dwie rasy, dwie natury — między niemi stoi taka przegroda jak Alpy. Przegroda nielada, nie więc dziwnego, że zlanie się było nie możeb-
nem. Chcąc o tem naocznie się przekonać, najlepiej wyjechać koleją z Medjolanu, Genui, lub Wenecji do Wiednia przez Brenner, lub Grac. — Z tamtej strony Alp szafirowe niebo, boskie oświetlenie, błękitne morze, ujęte w łagodne brzegi, nagie góry, tu i owdzie poro-
słe szaremi oliwkami, osłonięte niebieskawym tumanem, jak przejrzystą gazą; przepyszna
głęboka perspektywa, wydatność płaskorzeźbowa planów; Czarnooki prześliczny lud, Rzym-
skie pamiątki, cuda sztuki odrodzenia. Z tej strony niebo ciemniejsze, a zarazem nie tak
barwiste, brudniejsze, powietrze nie tak przejrzyste, plany złane, perspektywy zamazane,
góry porośnięte czarnym borem od spodu do szczytów. Ludzie powolni „niemcy“—gmachy,
kościół gotycki, wyniosłe szczyty dachów. Zamiast jaskrawej barwy nagich skał czarne
lasz jodłowe i zielone, zieluteńkie jak ruta łąki, łąki i bory, bory i łąki. A tylko tu i ow-
dzie w dolinie nad szumiącym potokiem leżą chatki, koło kościoła, na łąkach pasą się
stada bydła. Odpowiednio do tego różni się charakter społeczeństwa. Tu życie rodzinne,
religijne, spokojne, tam kultura przesiąknięta wskroś duchem rzymskim, prawie pogańską obo-
jętnością, jego sztuką. Tu mroczność, ponurość, smutek jak w ciemnej gotyckiej katedrze,
tam jasne myśli jak widok z pod greckiego portyku na szafirowe morze i białe żagle
w porcie, otoczone żółtawym brzegiem łądu. — Tam gdzie stąpisz, masz pod nogami ko-
lumnę rzymską, lub ułamek broni Cezara, tu pod twemi stopami ścielę się leśna, lub mech
wilgotny.“

Opis Styryi samej jest piękniejszy daleko, więcej malowniczy, cudnie poetyczny,
ale, jak się rzekło, zadługi żeby go tu przytoczyć można było. Jednak niech mi wolno
będzie, gdy się go wyrzec muszę, wstawić tu choć urywek krótki z opisu drogi jednostaj-
nej i nudnej od Warszawy do Granicy wiodącej. „Jedyny wyjątek stanowi Częstochowa.
Wspaniały klasztor położony na wyniosłym pagórku, uwieńczony niebotyczną wieżą,
otoczony białymi zabudowaniami, daleko i szeroko patrzący na okoliczną ziemię, podobnie
jak fakta, które doń są przywiązane rzucają jedyny weselszy promień na czarne, straszne,
przeszywające serce Polaka czasy Jana Kazimierza. A jako dziś wieża Częstochowska,
tak w historii postać Kordeckiego świeci na pochmurnem niebie naszego kraju. Czyżby
serce nie zabiło, gdy na tle dalekiem zarysuje się dumny klasztor? Ilez tu westchnień, ile
leż, ile próśb podniosło się w górę, szukając ulgi w ciężkiej doli życiowej.“ —

Wróciwszy tedy do Warszawy, wprzągnął się znów Matlakowski w jarzmo pracy
klinicznej, jednostajnej, mozolnej, którą powyżej słowami własnymi jego już opisano. Sta-
nowisko jego pod względem dochodów, jak już wiemy, nie było świetne, ale znośne w każ-
dym razie i wróżyło mu przyszłość pomyślną. Nie tylko w gronie rówieśników, ale i mię-
dzy kolegami starszymi zaczęto się zwolna coraz lepiej poznawać na nim i oceniać nale-
życie zarówno jego wartość etyczną, niezwykłą, jako też naukę, wiedzę i umiejętność
z dniem każdym rosnącą widocznie. Kilka prac treści chirurgicznej, ogłoszonych drukiem,
zjednało mu sławę spostrzegacza bystrego, obdarzonego wiadomościami miarę przeciętną
bardzo daleko przekraczającemi, jako też odznaczającego się poglądami wyrobionymi i doj-
rzałymi. Ktokolwiek miał sposobność zetknięcia się z nim bliżej stawał się wnet przyja-
cielem jego, umiał bowiem zachowaniem swem w lot zdobywać serca ludzkie. Jeżeli wo-
góle o kim twierdzić wolno, że nie miał nieprzyjaciół, to o nim chyba powiedzieć to mo-

zna: mnie przynajmniej nie zdarzyło się nigdy usłyszeć, żeby się ktokolwiek o nim źle lub niechętnie odzywał, a pochwał zasłużonych nasluchałem się niemało, zarówno za życia, jak i po śmierci jego. Wobec warunków takich Matlakowski mógł się mieć za szczęśliwego, i byłby nim wtedy w istocie, gdyby nie zdrowie wątłe, budzące obawy na przyszłość, oraz troska, czy po opuszczeniu kliniki będzie mógł nadal utrzymać się w Warszawie, co wciąż było życzeniem jego najgorętszem.

W r. 1880, grono młodych wówczas lekarzów, widząc, upadającą po śmierci profesora Girsztowta „Gazetę lekarską“, powzięło postanowienie nabycia i podźwignięcia jej silami wspólnymi. W ich szeregu jednym z najgorliwszych był Matlakowski, który, gdy pismo owo nabyto rzeczywiście, niemało przyczynił się do jego ożywienia i podniesienia, aż do śmierci prawie zasilając je pracami licznymi, posiadającymi wartość niepospolitą, chociaż były to tylko opisy spostrzeżeń klinicznych i operacji chirurgicznych, więc w mniemaniu wielu, najniesłuszniejszym zresztą, do rodzaju podrzędnego należały. Przed dwudziestokilku laty, gdy Matlakowski zaczął piórem pracować, więcej jeszcze daleko niż obecnie, starano się, za przykładem Niemców, wystrychnąć sztukę lekarską na naukę ścisłą; mniemano bowiem, że zadaniem głównym lekarza, chcącego utrzymać się na wyżynie nauki społecznej, są badania pracowniane, czy to w zakresie młodej wówczas bakteriologii, czy w dziedzinie patologji doświadczalnej, także modnej bardzo, czy w końcu w jakimkolwiek kierunku innym, mniej lub więcej teoretycznym, byle nie w czysto klinicznym, lekceważonym przez większość „młodych“ ówczesnych. Matlakowski był zdania innego. Owiany duchem iście Hippokratesowym, wyżej stawiał zawsze sztukę leczenia ponad naukę lekarską teoretyczną, którą wszelako umiał też cenić wedle zasługi. W przekonaniu jego, pierwszym zadaniem lekarza było zawsze, nie badanie przyrodnicze istoty chorób, jeno leczenie skuteczne chorych, usuwanie lub łagodzenie ich cierpień: dla tego więc klinice i złobyte w niej doświadczenie ważył sobie zawsze więcej, niż pracownię z jej odkryciami, stojącymi często na nogach bardzo niepewnych.

Henryk Rohlf's, w swych dziejach lecznictwa niemieckiego*), pisząc o znakomitych chirurgach praktycznych, takich np. jak: Graefe (ojciec), Stromeyer, Dieffenbach, Esmarch i inni, którymi Niemcy szczytą się słusznie, nazywa ich „klasykami“, jako najwyżej w zawodzie swym stojącymi, i za główną zasługę im liczy to, co zdziałali w klinice i na stole operacyjnym, na równi stawiając nadto zalety ich pedagogiczne. Takim „klasykiem“, z ducha działalności swej chirurgicznej podobnym zupełnie do wyżej wymienionych znakomitości, był właśnie nasz Matlakowski; jak oni umiał być chirurgiem-klinicystą wzorowym, a doświadczeniem swym, nabytem przy łożu chorego i w sali operacyjnej, dzielił się potem z kolegami opisując je po mistrzowsku. Prace zatem jego, osobliwie w latach późniejszych napisane, należą do najdoskonalszych w literaturze chirurgicznej naszej, a po wielu latach, gdy rozprawy inne, bardziej uczone na pozór i chwilowo rozgłośniejsze, oddawna butwieć już będą, zapomniane na półkach antykwarskich, te skromne na oko spostrzeżenia jego, każdy z chirurgów naszych czytywać będzie jeszcze z przyjemnością i z pożytkiem wielkim dla siebie, ponieważ znajdzie w nich ziarno najzdrowsze, bez śladu plew, nie rzadko zanieczyszczających prace niby bardzo pełne uczoności.

*) *Geschichte der deutschen Medicin* Stuttgart, 1875—1885. Część III i IV nosi napis *Die chirurgischen Classiker Deutschlands.* —

Sposób pisania spostrzeżeń swych przejął Matlakowski od Anglików, których zawsze cenił bardzo wysoko, lubując się ich ścisłością, prostotą i krytycznością wyrażania się. Błyskotliwość stylu większości chirurgów francuskich, kryjąca nieraz powierzchowność lub płytkość poglądów, jako też rozwlekła, często przeciążona szczegółami uczonemi, choć właściwie do rzeczy nie należącemi, gadatliwość zawiła tylu pisarzy niemieckich, odpychały go zawsze od siebie. We wszystkich swych pracach lekarskich starał się być zwięzłym, treściwym, jasnym i łatwo zrozumiałym, a ktokolwiek je czytał, przyzna, iż udawało mu się to zawsze jak najlepiej. Równie świetnym, jak w piśmie, bywał i w mowie żywej.

Zostawszy, również w końcu r. 1880, członkiem czynnym Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, potem niejedno posiedzenie jego zajmował wykładami swemi, słuchanemi zawsze bardzo chętnie, ponieważ były bez wyjątku wszystkie pełne treści pouczającej i wypowiedane wybornie, często wykwiłtnie nawet. Już to przyznać należy Matlakowskiemu, że był obdarzon wymową niezwykłą, przykuwającą do ust jego słuchaczy, uniejącą w nich rozbudzać zaciekawienie i utrzymywać w napięciu uwagę ich do końca od początku. Wykład jego bywał zawsze jasny, łatwo zrozumiały, a przytem ścisły, wygłaszany językiem pięknym, jędrnym, częstokroć dosadnym, a zawsze poprawnym i czytym. Mówiąc, unikał wszelkich dodatków zbytecznych, a choć wpadłszy w zapal przemawiał nieraz bardzo długo, nie zdarzyło się wszakże nigdy, żeby kogokolwiek był znudził. Słowa jego bywały zajmujące od pierwszego do ostatniego. Znać było zawsze, iż panuje zupełnie nad treścią, że ją na wylot zna, że omija starannie wszystko, coby mogło uwagę słuchającego oderwać od wątku. Zdawszy sobie naprzód dokładnie sprawę z tego, co chciał i miał powiedzieć, dążył już później wprost do celu zamierzonego, nie zbaczając na krok ze ścieżki raz obranej, po której wiódł za sobą słuchacza olśnionego wymową jego, pomimo prostoty swej, porywającą.

Przemówienia Matlakowskiego, na posiedzeniach Towarzystwa lekarskiego, mogły uchodzić zawsze za wzory wymowności akademickiej; ale cennosc niezwykła wykładów jego, ich znaczenie kształcące i wychowawcze, na prawdę zajaśniały dopiero wtedy, gdy stanął, jako ordynator, na czele wielkiego oddziału chirurgicznego. Tam to, otoczony zastępem lekarzów młodszych, cheiwych wiedzy, wykazał nadzwyczajną zdolność i biegłość swą w nauczaniu innych. Oto, co pisze o nim jeden z najwybitniejszych uczniów jego, kolega Andrzej Cielhomski: „...na pierwszym miejscu postawić muszę nauczanie młodszych kolegów, któremu ś. p. Władysław oddawał się z wielką ochotą i wiele czasu poświęcał; miał też przedziwny dar wykładu jasnego i potoczystego, umiał obudzić ciekawość słuchacza, a, co najważniejsza, potrafił wpoić w nowozaciężnych młodych chirurgów to przekonanie, że każdy przypadek, choćby najbliższy, należy pielęgnować z całą sumiennoscą i dbałem okiem wyszukiwać w nim wszystko to, co wzbogacić może doświadczenie nasze. Za dużo zajęłoby mi miejsca, gdybym chciał dokładnie opowiedzieć, jak uczył Matlakowski badania chorego i rozpoznawania cierpienia, jak kierował niewprawną ręką podczas operacji i opatrunku, ile wreszcie cennych teoretycznych wiadomości na każdym kroku udzielał; tutaj tylko tyle rzec mogę, że był jakby stworzony na nauczyciela dzielnego, cierpliwego i wyrozumiałego. Doprawdy był On istotną skarbnicą wiedzy lekarskiej, a zwłaszcza chirurgicznej, czytał niezmiernie dużo, a, co więcej jeszcze, pamiętał doskonale to, co przeczytał, czy to w rozmowie, czy też w dyskusyi specjalnej poprostu zasypywał słuchacza cytatami, a każdą sprawę do samego dna poruszył. Zdaje mi się, że żaden z kolegów, który choć trochę znał Matlakowskiego, nie posadzi mnie tu o przesadę, przy-

puszczam prędzej, że powiedziałem może za mało, wątpiący wreszcie niech weźmie do ręki którąkolwiek z prac Jego, a łatwo przekona się o prawdzie słów moich^{*)}.

Prace Matlakowskiego czytałem, a jego samego znałem długo i z bliska, zachodziłem nieraz do oddziału jego i widywałem go przy pracy, poświadczyć więc mogę, że kolega Ciechomski, pisząc o nim, wcale, a wcale za wiele na schwał jego nie powiedział. Był to rzeczywiście chirurg tak niepospolity, że równego jemu nie posiadaliśmy może dotąd nigdy jeszcze. Takie jest przekonanie moje najgłębsze i niezachwiane, a tuszę sobie, że wielu kolegów dzieli je ze mną. Wielu dorównywało Matlakowskiemu i dorównywa mu w zręczności i staranności operowania, niejednen go może nawet w tem przewyższa: znajdują się niewątpliwie tacy, którzy posiadają nie mniejsze od niego wykształcenie zawodowe, albo ogólne, jako też zdolności takie same, lub większe; nie wątpię, że istnieją pisarze odeń doskonalsi i nauczyciele nie gorsi od niego; wiem, iż spotkać się uda z lekarzami równie, jak on, zacnymi i pracowitymi; nie śmiałbym twierdzić, że nie istniał, albo nie istnieje lekarz tak gotowy, jak on, do poświęceń i zaparcia się siebie, tak mało uganiający się za zyskiem, tak wcale nie mający go na myśli, gdy chodzi o pomożenie bliźniemu: jestem przeświadczony o tem, że nie brak nam lekarzy o sercach równie po obywatelsku bijących, jak jego serce poczciwe; jeno nie zdarzyło mi się nigdy ani widzieć lekarza, ani słyszeć o takim, eoby w tej mierze jak Matlakowski, wszystkie te zalety i cnoty, obok innych jeszcze, w sobie tak doskonale zjednoczył i w jedną zgodnie brzmiącą całość połączył — i dla tego właśnie stawiam go tak wysoko, ale z pewnością że bynajmniej nie za wysoko.

Gdyby nie choroba ciężka, lat kilka trwająca i śmierć krok w krok za nią idąca, Matlakowski byłby z pewnością zajął katedrę chirurgiczną w Krakowie lub we Lwowie, a że byłby ją ozdobił i wślawił, o tem ani na chwilę wątpić nie można. Jakaż to szkoda niepowetowana dla nauki naszej, że dojsć do tego nie mogło! —

Ale dość już o Matlakowskim, jako o chirurgu, gdyż nie jest tu zadaniem mojem rozpatrywanie drobiazgowo działalności chirurgicznej jego, oraz zasług położonych na tem polu przez niego. Zatem, ograniczając się do słów wypowiedzianych przed chwilą, odsyłam żądnych poznania się bliższego z tem wszystkim, do pięknie napisanej przez Romana Jasińskiego oceny p. n. „Władysław Matlakowski, jako chirurg^{**)}”, gdzie też wyliczone i podane są szczegółowo 73 prace chirurgiczne jego, ogłoszone drukiem od r. 1876 do końca r. 1893, jako też do drugiej, wyszłej z pod pióra A. Ciechomskiego, przywiedzionej już powyżej. W obu znaleźć można rozbiór sprawiedliwy i wcale nie stronny tego, czem Matlakowski przysłużył się nauce chirurgicznej naszej. —

A teraz wróćmy do opowieści dalszej kolei życia jego. Sześciolecie asystentury Matlakowskiego miało się ku końcowi. Jutro było niepewne. Obawiać się musiał, że po opuszczeniu kliniki, dochody jego niewielkie zmniejszą się jeszcze. Praktyka, przy małej zabiegliwości o nią, gdyż brzydził się zawsze środeczkami, za pomocą których niejednen inny do niej dochodzi dość szybko, wzrastała bardzo powolnie. Nasuwała się wątpliwość, czy zdoła utrzymać się nadal w Warszawie, czy nie będzie musiał w końcu zakopać swych

*) «Władysław Matlakowski jako ordynator szpitalny w *Gazecie lekarskiej*» r. 1895, Nr. 30, str. 779.

**) *Gazeta Lekarska*, r. 1895, Nr. 30, str. 760—774.

zdolności i dążeń wzniosłych w jakiej mieścinie zapadłej, byle mieć kawałek chleba. Wtedy wydarzył się przypadek bardzo smutny, który mu jednak wyszedł na dobre. Choroba okrutna, mająca i jego zdławić przedwcześnie, jakby mu naprzód chciała wynagrodzić krzywdę niechybną, znów poraz drugi wyświadczyła mu przysługę. Jak przed sześciu laty śmierć Kowalewskiego ułatwiła mu wstąpienie do kliniki chirurgicznej, tak i w r. 1882 śmierć Placzkowskiego*) otworzyła mu podwoje Szpitala Dzieciątka Jezus.

Na posadę ordynatora w osieroconym oddziale chirurgicznym, niewieściem, ogłoszono konkurs; Matlakowski stanął do niego i po świetnem zwycięstwie, odniesionem nad współzawodnikami, stanął u celu swych pragnień. Zaczęło się teraz dla niego życie nowe, do którego wzdychał od dawna, życie pełne trudu i poświęcenia. Zabrał się do pracy klinicznej, samodzielnej, a co w niej dokazał, opowiedział nam tak wybornie A. Ciechomski, świadek naoczny działalności jego. —

Dzięki olbrzymiej pracy Matlakowskiego, oddział liczący 57 łóżek, zaniedbany podczas choroby poprzednika jego, umieszczony niewygodnie i nie odpowiednio w szpitalu starym, braków mnóstwem dotknięty, stał się po latach niewielu wzorem dla innych i szkołą wybora dla młodych lekarzów, garnących się skwapliwie do osoby znakomitego i ukochanego mistrza. Sława nowego ordynatora rozszerzać się zaczęła z dniem każdym po za mury szpitalne, a praktyka, za którą nie gonił nigdy, sama teraz do niego cisnąć się zaczęła. Powodziło mu się teraz dobrze, lecz zdrowie, niestety, nie dopisywało mu. Latem r. 1883, z porady kolegów, spędził kilka tygodni w Szmeksie na Węgrzech, ale z powodu chłodu i niepogody, wiaź tam panującej prawie, nie wielkiego polepszenia doznał, wypoczął wszakże po pracy nadmiernej i to go nieco wzmocniło.

Stanąwszy na nogach pewnych, widząc byt swój zapewniony, mógł teraz pomyśleć o roznieceniu ogniska domowego, własnego, i o zakosztowaniu szczęścia rodzinnego, do którego ezul pociąg od dawna.

Bawiąc w lipcu r. 1877 w Wilnie, gdzie był pojechał z profesorem Kosińskim dla asystowania mu przy operacji i doglądania chorego po niej, tak pisał do rodziny: „Posiedzę tu jeszcze w Wilnie jaki tydzień, potem pojedę do Warszawy; ztamtąd do Wigury**) na dwa tygodnie“. Ani przypuszczał wtedy, jaki wpływ stanowczy na życie jego późniejsze wywrze ta wycieczka do przyjaciela z ławy uniwersyteckiej, wtedy bowiem wszedł po raz pierwszy w dom tej, która po latach kilku miała stać się jego wierną przyjaciółką dożgonną.

Podczas pobytu swego w Chodzeniu, w sierpniu tegoż roku, Matlakowski tedy z przyjacielem swym i kolegą, J. Wigurą zajechał raz do sąsiedniego Zbijewa, majątku pp. Zaborowskich. Znajomość zawarta wtenczas przygodnie, zamieniła się z czasem w stosunki zażyłe i przyjazne, a po latach kilku, gdy już w Warszawie zajął stanowisko samodzielne i pewne, w dniu 18 kwietnia r. 1885 z panną Julją Zaborowską stanął na kobiercu ślubnym.

*) Witold Placzkowski urodzony d. 30 stycznia r. 1851, umarł na suchoty w Meranie d. 7 lutego r. 1882. Od r. 1879 był ordynatorem szpitalnym, a przedtem prosektorem. Był to chirurg bardzo zdolny i pracowity; z Matlakowskim żył w stosunkach przyjaznych.

**) Józef Wigura, równocześnie z Matlakowskim ukończył uniwersytet warszawski i do r. 1878, w którym został lekarzem górniczym w Suchedniowie, zajmował się wykonawstwem lekarskiem w Chodczu, miasteczku na Kujawach położonem.

W cztery dni po ślubie para młoda wyjechała do Londynu. dokąd Matlakowski wybierał się już oddawna, aby poznać naocznie Anglików, których polubił niezmiernie, czytając ich dzieła tak bardzo do usposobienia i upodobań jego przypadające. Język angielski znał wybornie i biegle nim władał, co mu się teraz nadzwyczajnie przydało, wiadoma bowiem rzecz, iż Anglicy, nawet wysokie w nauce stanowiska zajmujący, a z takimi właśnie miał mieć do czynienia, zwykle nie mówią żadnym innym językiem europejskim, chcąc więc z nimi zawrzeć stosunki, trzeba się posługiwać koniecznie ich własnym: wyjątkowo tylko który z nich umie tyle po francusku lub po niemiecku, żeby się z nim od biedy porozumieć było można, co właśnie utrudnia cudzoziemcowi obcowanie z nimi. Tego Matlakowski obawiać się nie potrzebował, a że znał nadto wybornie literaturę chirurgiczną, angielską i sam był już wtedy chirurgiem bardzo wyrobionym, więc dość szybko otworzył sobie dostęp do szpitali londyńskich, a z kierownikami oddziałów chirurgicznych wszedł w stosunki dość blizkie. Najwybitniejsi chirurgowie stołeczni, a w ich liczbie ojciec antyseptyki, wielki Józef Lister, darzyli go względami swymi. Odwiedzał codziennie oddziały ich, słuchał ich wykładów, wiadomo bowiem, iż w Anglii ordynatorowie szpitalni miewają wykłady kliniczne dla studentów, przyglądał się operacjom chirurgicznym, badał sposoby przez nich używane, a stali się tak łaskawi na niego, że zapraszali go listownie, ilekroć nadarzał im się jaki przypadek operacyjny ciekawszy lub rzadszy. Postępowali tak, poznawszy w nim kolegę w pełnej mierze zasługującego na tego rodzaju uprzejmości.

Wrażenia swe, wyniesione ze szpitali Londyńskich, sąd o ich urządzeniach, wygodach i ulepszeniach, wyłożył potem w przemówieniu długim, mianem w d. 6 października w Towarzystwie lekarskim warszawskim. Do posiedzenia tego będziemy musieli raz jeszcze powrócić. Najlepiej atoli wykazał, ile w Londynie skorzystał, przez to, co zrobił po powrocie we własnym oddziale szpitalnym w Warszawie, zastosowując w nim, o ile się dało, wszelkie zdobycze wiedzy i doświadczenia tamże nabyte.

Na osobistość Matlakowskiego, jak już wiemy, składało się dwu ludzi różnych: lekarz uczony, i to jak jeszcze, z zapalem uprawiający chirurgję, oraz artysta niepośledniej miary, pełen uczucia, polotu i poezji. Z tych dwu, tak na pozór sprzecznych żywiołów, w nim jednak spojonych w całość zgodną i jednolitą, tworzyła się postać niezwykła, godna podziwu, zdumiewająca po prostu, gdy się zważy, iż te dwie sprzeczności, rzeczywiście wielkie, nie przeszkadzały sobie nigdy nawzajem, owszem jedna drugiej wychodziła na dobre, a spójnią ich był rozum zrównoważony, jasny, świadomy swych dążeń, i umiejętność dobywania z zasobów ducha tego, co właśnie w chwili danej było stosowne i potrzebne. Nigdy poeta nie wszedł w drogę chirurgowi, ani chirurg poecie. Paromiesięczny pobyt Matlakowskiego w Londynie nowych nam tego dowodów dostarczył. —

Przybywszy do stolicy Anglii, gdzie jest tyle i tak różnych rzeczy do widzenia i poznania, z góry podzielił sobie czas: wyznaczył godziny, w których miał służyć nauce, jako też inne, przeznaczone dla artysty. Posiadał bowiem, jak wszyscy wielcy pracownicy, umiejętność rozporządzania czasem tak, że mu go zawsze na wszystko starczyło. Każdy więc niemal dzień w Londynie spędzał do południa w szpitalach. Po skończeniu pracy wracał do żony i w towarzystwie jej oglądał osobliwości miasta i okolic jego.

Kto zna bogactwa nieprzebrane galerji oraz zbiorów innych londyńskich, wyobraz

sobie łatwo, jakich Matlakowski doznawał rozkoszy zwiedzając i objaśniając je towarzysze swej, a umiał to czynić przedziwnie. Z czasu owego posiadam dwa listy jego, pisane do matki żony, zajmujące się wyłącznie prawie sztuką, malarstwem i rzeźbą, oraz archeologją. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia tu kilku urywków z nich, zawierają bowiem zdania i poglądy znamienne, do oceny ducha piszącego posłużyć mogące.

W pierwszym z tych listów, z d. 1 czerwca r. 1885, gdzie mówi, między innymi, o pomnikach asyryjskich i babilońskich, pokrytych pismem klinowem, i o wielkiem znaczeniu ich dla dziejów najdawniejszych, czytamy ustęp taki: „Po odcyfrowaniu tych zabytków powstała nowa nauka, assyrologia, te cegiełki dały grunt do znajomości kilku starożytnych niesłychanie ciekawych, kulturowych języków. One od razu rozszerzyły naszą wiedzę o parę tysięcy lat ku młodości ludzkiego plemienia, one też uwolniły nas od wyłącznego polegania na Piśmie Ś-tem ułożonem przez naród Żydowski, będący w takim stosunku do świetnej Assyrii lub Babilonii, jak Bułgarja do Austrii. One wreszcie pozwoliły naukowo spojrzeć na owe ciekawe podania o stworzeniu świata, o potopie i t. p. — i posłużyły jako materiał do niesłychanie ciekawej nauki — religii porównawczej. Żydowski narodek, którego księgi święte, takiego nabrały znaczenia — spadł do stopnia właściwego, a jego księgi z pewnością mniejsze mają dziś znaczenie niż przed odkryciem tych zabytków głębokiej starożytności. Ach jakie to ciekawe“. Słowa te posłużyć mogą na poparcie zdania mego, wypowiedzianego już weźniej, że Matlakowski dopiero zapadłszy ciężko na zdrowiu i czując się bliskim mogiły, zasmakował przesadnie w księgach Starego Zakonu, których tu bynajmniej tak wysoko nie stawia, jak później.

W tymże liście znajdujemy też sąd o sztuce angielskiej, miejscami żartobliwy, ale słuszny, oraz uwydatniający zamiłowanie Matlakowskiego do t. zw. szkoły flamandzkiej. Oto, co pisze: „Ciekawy ten naród pod tyłu względami — jest niesłychanie ciekawy pod względem sztuki. — Podczas gdy ludy tego samego szczepu, co Angliacy wytworzyły sobie własne szkoły malarskie, gdy Niemcy mieli takiego Holbeina, Dürera — Holendrzy owych boskich mistrzów jak Rembrandt, Hals, Hobbema, Ruysdael i dziesiątki innych, (Peter Hoog, Terborch, Wouwerman, Potter, Ostade, Teniers, Maes, de Keijzer) gdy flamandowie wydali Van Eyeków, Memlinga, Rubensa, Van Dyeka i t. d. — Angliacy nie mają dotychczas nikogo, któryby dorównywał tym świetnym, wszechświatowego znaczenia malarzom. Ich dawniejsi malarze: Hogarth, Gainsborough, Reynolds, Wilkie, Lawrence, Turner malują wybornie — ale porównywać się nie mogą ich portrety z Rembrandtowskiemi, Halsowemi lub De Keijzera — lub ich krajobrazy z Ruysdaelem, Hobbemą — a przecież w tych kierunkach są najmocniejsi. A gdzież dopiero znaleźliby się wobec takich kreacyj jak „zdjęcie z krzyża“ Rubensa, lub „Ronde de nuit“ i t. p. Rembrandt'a... Najciekawsza ich rzeźba. Nelson na słupie podobny jest do djabła, któremu z pod kapoty grubego ogona wylazi (ma to być lina okrętowa, ale temu nie wierzę). Na pomniku na pamiątkę Krymskiej wojny — stoi żydówka z Warki i trzyma w obu dłoniach po 2 obwarzanki (ma to być muza [tak?] z wiankami laurów, ale zdaleka ze strony pleców przysięglbys że żydówka Sura, lub Rachel); ale najciekawsze są pomniki w Westminsterze; zwyczajne angliki — baczaste, brodate, jadające za życia pudding, noszące bag, śpiewające w niedzielę psalmy — tu stoją prawie nago jako greccy atleci. Inne pomniki z jednej strony świadczą o młodości praey i wielkiej fortunie — z drugiej o dziwactwie, i dzikim guście. Mąż lady Nightingale trzyma ją umierającą wpół — a tymczasem z piwicy grobowca śmierć — ale z żebrami, w płachcie, wychyla się i rzuca na umierającą grot. Mąż

po grecku ubrany, czy w koszuli — może to w nocy. Śmierć zrobiona z przerażającą prawdą: wszystkie żebra, uda, piszczele — wszystko z marmuru. — Co za koszt — i praca na pokonanie trudności.“ —

List drugi z d. 16 czerwca jest jeszcze ciekawszy. Mowa w nim przeważnie: na-przód o galerji niewielkiej w Dulwich, zawierającej obrazy zakupione niegdyś dla króla Stanisława Augusta, oraz o siedzibie dawnej, królewskiej, Hampton Court, gdzie znajduje się „Tryumf Cezara“ Mantegni i przesławne, stare obicia (*tapstries*) hollenderskie, nakoniec o kaplicy grobowej Templarjuszów. Nigdzie może Matlakowski nie rozpisał się tak szeroko o malarstwie, nigdzie nie wypowiedział tylu poglądów swych na mistrzów różnych; więc też dla tego za konieczne uważam powtórzenie choćby niektórych z nich. Są to rysy niezbędne do uwydatnienia jego podobizny duchowej, o którą nam tu chodzi przecie.

Mówiąc o Dulwich, pisze: „Szczególniej błyszczą tu późniejsi malarze holenderscy z epoki, kiedy na szkodę dla sztuki i dla siebie poddali się wpływowi upadającej wówczas sztuki włoskiej, tak obcemu przyrodzie holenderskiej. To też nie należą oni do mistrzów europejskich z pierwszej ręki, lecz mimoto są godni uwagi, gdyż przez wszystko bije z ich obrazów indywidualna ich dusza. Jest tu kilkanaście obrazków (Cuyp'a*), malującego w ten dziwny sposób że pierwszy plan, zawierający drzewa i w spokoju będące bydło — krówki stojące, leżące, jest mocno ciemny, a tuż zaraz począwszy od drugiego planu, bez żadnego przejścia, wszystko jest niewyraźne, bardzo jasne, w oświetleniu i mgłę, jakie bywają po dużym deszczu u nas, w czasie pogody: dal zawsze u niego jest zamazana, niebo niewyraźne — tylko mgła i jasność. Wpływ to Claude Lorrain'a. Potem idzie kilka obrazków dwóch Both'ów, z których jeden malował krajobrazy, a drugi na tym samym obrazku robił figurki**). — Obrazy ich podobne do Cuyp'a — lecz przejście od ciemnego planu pierwszego do jasności mglistej dna nie jest tak nagle, bydło w ruchu, ludzkich figurek sporo, drzewa delikatne, powiewne, ażurowe, w rodzaju wierzb. Lubią też dodawać dla ozdoby pejzażu kawalki skał, ruin — naśladowanie wloch [*tak!*] — nienaturalne dla płaskiej wodnistej Holandyi. Dalej są tu 2 wyborne obrazki Karel'a Dujardin'a — francuza z nazwiska, lecz Holendra; ten znowu wiele ma podobieństwa z Poussin'em — także wprowadza do swoich krajobrazów zwaliska, skały łagodne, także lubi przeciwieństwa czarnych pierwszych i jasnych dalszych planów. Ci francuzi — Lorrain i Poussin, którzy takiej zażywali swojego czasu sławy, czego dowodem choćby i to, że ich obrazy zapelniają ściany w National Gallery, w Dulwich i t. d., a u nas dotychczas uważani są za wielkich, ogromnie z biegiem czasu zmaleli, i tylko przez to, że zapomnieli swojego kraju, swoich cech, a poddali się włoskim wpływom, podczas studjów i pobytu w Rzymie. Nie wniesli oni prawie nic do sztuki — i ja osobiście wolę obrazy Cuyp'a, Both'ów, Karel'a Dujardin'a, bo ci mieli silniejszy charakter i zachowali więcej swoich indywidualnych cech. — Nadto w Dulwich jest kilkanaście przesłizanych obrazków Wouwermana, mojego ulubieńca. I on także urozmaica swoje krajobrazy skalami, rozwaliskami klasztorów, zamków — to dług modzie — ale zato ile własnej duszy w obrazie. Koloryt

*) Jest tu niewątpliwie mowa o Albercie Cuypie (ur. 1606 † 1672); starszy znacznie imiennik ego Jakób Gerrits Cuyp (ur. 1575) znany jest głównie jako portrecista, więc o niego tu chodzić nie może.

***) Andrzej (ur. 1609 † 1650) i Jan (ur. 1610 † 1652), drugi był pejzażystą.

cudowny miękki, kontury puszyste, niebo jak babie lato takie delikatne — a co za konie; bo kocha się w jeźdźcach — i niema jego obrazów prawie, gdzieby nie było kawalerji, lub myśliwców na koniach, między któremi musi być choć jeden, de régle, biały, siwy, lub łaciasty. — A jakie konie, żywe, wspinające się, zgięte, grzebiące kopytem ze łbami w górę, na dół. — On pierwszy pokazał jak malować konie. Do jego czasów — od płaskorzeźb asyryjskich, do płaskorzeźb na kolumnie Trajana, do kartonów Mantegni (Tryumf Cezara), do bitwy Konstantyna W. Rafaela, nawet do Rubensa i Van Dycka (tutejszy portret Karola I na koniu) — konie są takie, że się przez grzeczność mówi to koń; że oczywiście można poznać — że to koń — ale jest w nich dużo podobieństwa do ciolaka, lub innej bestyi. Dopiero ten niepoń Wouwerman stworzył obrazowego konia, tak go ukochał, wystudjował. A jacy jeźdźcy, jacy kawalerzyści! ... U Wouwermana jeźdźcy mają tysiące póz: ten siedzi prosto, ten zmęczony jazdą zgarbił się, temu koń idzie, a on sam przechylił się wtył i rozmawia, coś ręką wskazując, ten przechylony na bok, wbiega całując kogo popadło — mleczareczkę przydrożną, szynkareczkę, dziewczuchę przy wodopoju — co się przytrafiło, młodą, starą. — Bo wojak niema czasu na zaloty, na wybieranie — a krew mu gra, jak szabla w potyczce. Więc całuje i zabiera się do bab ostro. — Byle wypoczynek przy rozdrożu, przy stogu siana, w szopie — byle gdzie, już ujął w pół. — Te sceny pełne są ognia, fugi, zapaleczywości, żołnierze są krewcy, burzą się i szumią. Lecz i tego Wouwermanowi nie dosyć. — Oprócz tego zawsze znajdzie się, jak to bywa pod karczmą, przy rozdrożu, to dziad, to dzieci wążące na kozę; kury łażą i zbierają skwapliwie ziarna — one tak cieszą się gdy konie chrupią owies. Znajdzie się też siaki taki piesek; a co te psy robią, to mi przyzwoitość nie pozwala pisać — ale w naturze tak bywa, i wszystko to razem stanowi pełny obraz, i razem jest piękne. Sceny wyjazdu i przyjazdu na polowanie są jeszcze piękniejsze. Aż dusza drży, dla czego się nie można dorwać do tej kawalerji i tych polowań, takie pełne fantazyi. — To był człek jak Pasek, ten p. Wouwerman. Zwaliska u niego zawsze poetyczne, kawał łuku, przez otwór w oknie płat nieba lazurowego, na murze zielsko, badyle, brzoźki — już opanowały dzieło człowieka — a nad tem elmury kłębiaste, puszyste jak mydliny w balji po farbee — Cudny malarz.“

Zdanie powyższe o Wouwermanie, napisane z pewnością wieczorem, po ranku spędzonym w szpitalu, po reszcie dnia strawionej na przypatrywaniu się rzeczom najróżniejszym, bez przygotowań wszelkich, ot tak sobie w pogawędce listowej, jest, zdaniem mojem, bardzo godne uwagi. Kto zna obrazy Wouwermana, a takich jest bardzo wielu, przyznać musi, że Matlakowski opisał je wybornie, dowcipnie, jak znawca prawdziwy; kto ich zaś nie zna, a takich jest więcej jeszcze, przeczytawszy opis jego świetny, lepsze o nich wyobrażenie nabyć może niż z najbardziej szczegółowych i najuczciwszych rozpraw estetyków lub krytyków zawodowych, prawiących zwykle tak mądrze, tak uczenie, a nadto językiem tak nieprzystępnym, że śmiertelnik zwyczajny, choć nie głupi, mało co z ich pisaniny zrozumieć zdoła. Matlakowski, tak tu, jak zawsze, myśli swe, nie pożyczone od estetyków, ani ich językiem wyrażone, wysnuwa ze siebie samodzielnie i jasno, przystępnie dla każdego, to też stanowi ich wartość prawdziwą. Można się tu i owdzie nie zgadzać ze sądem jego o sztuce i jej wykonawcach, boć to każdemu wolno, ale przyznać mu trzeba koniecznie, wiele słuszności w poglądach, wytrawności w ocenie, oraz duszę na wskroś artystyczną, nie krepującą się prawidłami i prawidełkami szkolarskimi, umiejacą najczęściej utrafić w sedno.

Podobno istnieje zamiar zebrania i wydania razem wszystkiego tego, co bądź w listach, bądź gdzieindziej, różnymi czasami napisał o sztuce. Zamiarowi temu przyklasnąć jeno można, byłby to bowiem zbiór arcyciekawy i pouczający. Ale wróćmy raz jeszcze z Matlakowskim do Dulwich i posłuchajmy co mówi jeszcze o malarzach innych; więc naprzód o obrazach drugiego ulubieńca swego Hobbema „krajobrazisty, zupełnie nieznanego u nas panom dziennikarzom..... był on uczniem Ruysdael'a, i jest mu zupełnie równy, jeżeli nie wyższy, przynajmniej tu w Londynie obrazy Hobbema są daleko piękniejsze od Ruysdael'owych. — Wreszcie w tej maluchnej galerii w Dulwich jest jeden doskonały Rembrandt typowy (dziewczyna w oknie), oraz drugi portret kiedy R. był b. młodym jeszcze malarzem; dalej kilka obrazów Murillo'a. — Ja go znowu nie tak b. lubię; wolę jego nauczyciela, twardego, ostrego, realiste, hiszpana do szpiku kości — aniżeli ucznia miękkiego, puszystego w malowaniu“*).

Opisu zamku Hampton Court i sławnych jego obiótkanych z wieku XVI, aczkolwiek jest niezmiernie barwny i zajmujący, nie powtórzę tu dla jego długości, przytaczając wszakże to, co Matlakowski pisze o przechowywanem tam arcydziele Mantegni. „Malarz ten, zupełnie u nas, biedaków pod tyłu względami, jest nieznan. W tym roku mija 400 lat jak rozpoczął ten swój sławny obraz. Aby ocenić jego wartość trzeba przypomnieć sobie, że wtedy jeszcze nie istniały arcydzieła Rafaela, Anioła, Vinci'ego, Tytjana i t. d. — którzy są od niego późniejsi. On więc wysnuł ze siebie, wydobył, stworzył, bo zrobił rzeczy niebywale, nieznanie przed nim. A każdy, co choć ździebelkiem nowem przysłużył się krajowi, sztuce, ludzkości — wie jak to trudno zrobić coś nowego. Do czasów Mantegni malowano już b. dobrze, ale jeszcze w tem malowaniu było, w ogóle biorąc, nieco sztywności, ubóstwa lub dziecinności w pomysle, prostoty, naiwności, braku trafności w doborze widzianych rzeczy. Otóż ten Mantegna wyrysował ludzkie członki, twarze, ręce, nogi tak szlachetnie, tak poprawnie, a tak urozmaicenie, że dorównał greckim posągom po raz pierwszy; nadto stworzył kompozycją wielką — bo „tryumf Cezara“, gdy malarze dotychczas do niego malowali świętych pojedynczo, lub grupami, lub madonny z dzieciną lub prostaczą twarzą, (nie wyłączając Rafaela, Perugina). Mantegna w 8 obrazach więcej niż 1/2 naturalnej wielkości roztoczył cały pochód począwszy od trębaczy, orężników, dziewic, łupów, do jeńców i samego Cezara. Dzieło to malowane jest tak, jakby je skopijował z płaskorzeźby — zatem ma ujemne strony tej ostatniej — oto jedyny zarzut. Niestety podobnie jak „Uczta pańska“ [tak!] Vinci'ego jest mocno uszkodzoną i zarazem mocno świętokradzką ręką podreperowaną.“

Zakończenie listu powyższego rzuca znów światło na inny rodzaj wrażliwości duszy Matlakowskiego, wrażliwości, w której sztuka działa tylko bardzo pośrednio, nie sposób żeby je tu pominąć. Piszę tak: „Poszła dziś w zapomnienie sława Templarjuszów — ach biedna ty sławo i biedniejsza jeszcze pamięci ludzka! A przecież to była rasa tytanów, co bohatercko uznawali krwią swoją Palestynę, walczyli po rycersku, trzęśli tronami Anglii i Francji, i mieli w końcu niezmierzone bogactwa, które ich zgubiły przez zawiść

* Matlakowski miał tu niewątpliwie na myśli Valasqueza, słusznie przez niego bardzo wysoko ocenionego, którego znacznie młodszy Murillo starał się rzeczywiście nieraz naśladować, o tyle więc za ucznia jego uchodzić może; istotnie jednak nauczycielem jego był Juan de Castillo, malarz mniej znany, o nim więc tu z pewnością nie masz mowy.

króla Ludwika i Papieża*). Po tych potentatach pozostała tu między innymi kaplica, ale jaka kaplica! Widać w niej tę lwią rasę. W niedzielę byliśmy w niej na nabożeństwie. Składa się ona z rotundy, czyli jakby kruchty, w stylu normandzkim, której ni mniej ni więcej, tylko w b. r. skończyło się 700 lat! i kościółka o 3 nawach we wczesnym stylu gotyckim. W posadzce owej rotundy jest wmurowanych 10 wiek od grobów; na tych wiekach wykute są w marmurze, twardym jak stal [tak!] w naturalnej wielkości marsowe postaci rycerzy. Leżą oni jedni na wznak, inni ze zmęczenia pozakładali nogę na nogę; cali zakuci w misiurki [tak!] z żelaza; twarze widać tylko z pod helmów i przyłbic, jak ze skopków żelaznych. Na lewych rękach olbrzymie tarcze — u boków ciężkie miecze. Jedni mają ręce złożone do modlitwy, inni ręce na krzyż na piersiach, inni jedną ręką trzymają za pochwę, drugą za głowicę miecza. Naokoło modli się i śpiewa modny tłum współczesny, żywy, a oni śpią — oni z innej tak odmiennej epoki. — Wrażenie jest tak żywe iż dreszcz zdejmuje. Kilka takich kamieni tkwi w zielonej murawie dookoła kaplicy — te jeszcze silniej oddziałują. —“

Ustęp ten, sam przez się piękny, uważam za bardzo znamienity dla wrażliwości duszy poetycznej Matlakowskiego, jako też wyświetlający nam dobroć wrodzoną jego; z tego też powodu przytoczyłem go tu. O ile mi wiadomo, nie zajmował się nigdy wnikaniem głębszem w dzieje wieków średnich, chyba gdy chodziło o przeszłość sztuki, bo i dzieje leżnictwa nie wiele go zaciekawiały, wszakże, jako człowiek bardzo wykształcony, do tyła był obeznany z dziejami powszechnymi, że wiedział z pewnością, iż owi Templariusze już w Palestynie zachowywali się nieraz bardzo niechwalebnie, nawet po prostu nikczemnie i po zdradziecku, oraz że się przez sobkowstwo, chciwość i dwulicowość bardzo przyczynili do upadku królestwa jerozolimskiego. Sam powiada, że trzęśli tronami Anglii i Francji, co przecie także zasługą być nie mogło, gdyż przez to stawali się wichrzycielami wielce niebezpiecznymi. Jeżeliby się nad czynami ich był zastanowił na chłodno, przyznałby niewątpliwie, iż zakon ów rycerski ani o włos nie był lepszy od Krzyżactwa pruskiego, a wtedy byłby się od razu pozbył wszelkiego dla nich współczucia. Lecz ujrzawszy niespodzianie ich grobowce, potrącone przez tłum społeczeństwa Anglików odzianych odświętnie, patrzących na pomniki te bezmyślnie, uczul dreszcz w duszy, zapomniał o ich występkach, przypomniało mu się tylko wielkie męstwo, którem świecili nieraz w walkach z niewiernymi, stopy, na których palił ich Filip Piękny za zgodą uległego mu Papieża, do serec przemówiła mu wielkość ich miniona, potęga zdeptana i krzywda, bądź co bądź, okrutna. Więc mając przed oczyma postaci ich w kamień zaklęte, doznał wzruszenia, rozczulił się, jako poeta odczuwający cierpienia cudze, zasłaniające mu chwilowo występki cierpiących. Z usposobieniem takim nie byłby się może zdał na dziejopisa. Miał serec za dobre, za miękkie, zanadto może skłonne do wyrozumiałości i do przebaczenia. Takim był też i w życiu; dał tego dowody niejednokrotne.

R. Jasiński napisał o nim: „Matlakowski nigdy na nikogo nie napadał, krytykował tylko własne myśli i działania; o drugich sądził wyjątkowo, a zawsze bezstronny, najeczęściej pobłażliwy. Oстрыm się stawał tylko wtedy, gdy go oburzała niesumienność lub nieuczciwość ludzka, szkodząca dobru ogólnemu, lub kalająca naukę w bru-

) Pamięć zawiodła tu Matlakowskiego, król francuski, który w sposób okrutny wytepił Templariuszów, ograbiwszy ich przedtem, zwał się Filip Piękny, a godnym współnikiem jego był Klemens V, ten sam, który Stolicę Apostolską przeniósł do Awenjonu.

dzie blagi i szarlatanerji** *). — W słowach tych mieści się wiele prawdy, ale nie całkowita, trzeba je więc uzupełnić.

Matlakowski był rzeczywiście zawsze sędzią bardzo surowym dla siebie, pobleźliwym nie bywał nigdy jeżeli chodziło o niego samego, ale za to tem więcej dla innych okazywał pobleźzania, więcej niżeli najczęściej na to zasługiwali. Łatwo go było ująć postępowaniem choćby tylko na pozór zacnem: będąc sam uosobieniem prawości, chętnie dopatrywał się jej u innych. Nawet dla winnych, dla bardzo winnych, zwykle nie bywał nieublagany, byle tylko w nich spostrzegł choć cień żalu za czyny, lub chęć poprawy. *Nomina sunt odiosa*, więc przykładów na to przytaczać nie będę, chociaż nie trudno byłoby znaleźć ich dosyć.

W listach jego, a przejrzałem ich przecie dość dużo, znalazłem sądów mnóstwo o ludziach różnych — powtarzać ich tu nie można — wszystkie były z pewnością szczere i w przekonaniu wydającego je, bez wątpienia żadnego, bezstronne. Znalazło się między nimi wiele zdumiewająco bystrych i słusznych, ale niektóre były też mylne, a dziwna rzecz, iż te właśnie bywały bez wyjątku prawie dla ocenianych bardzo przychylnie, ba nawet pochlebne. Niejeden sąd swój dawniejszy zmienił później, przekonawszy się o błędności jego, ponieważ był zbyt rozumny na to, żeby stać uparcie przy raz wypowiedzianem zdaniu, gdy oczywistość przeciwko niemu świadczyła, ale zawsze okazywał więcej skłonności do przemiany złego o kims mniemania na lepsze, lub dobre zupełnie, niż na odwrót.

Ale czas nam po zboczeniu tem powrócić znów do opowieści o życiu Matlakowskiego. Stanąwszy w Warszawie w połowie lipca r. 1885. pomimo że już podczas pobytu swego w Londynie czuł się nieraz osłabionym, nieomal wyczerpanym i od czasu do czasu kaszląc w płwocinie ślady krwi znajdował, pomimo to wszystko, nie wypocząwszy nawet po dalekiej drodze, z zapalem wielkim zabrał się do pracy szpitalnej. Poznał za granicą mnóstwo rzeczy nowych i pożytecznych, nauczył się tyle, paliła go więc żądza zastosowania niezwłocznego tych nowych nabytków w oddziale swoim chirurgicznym. Od rana do południa przebywał tam codziennie i pracował z wyteżeniem ogromnem, zdumiewającem, bez wytchnienia; zapominając o znużeniu, o sobie, o zdrowiu swem własnem, widział tylko przed sobą biedne swe chore, którem chciał dopomóc, wybawić je z objęć choroby, wydrzeć je ze szpon śmierci. A jak sobie cenil tę pracę, jak ją stawiał wysoko, widać ze słów jego poniższych, napisanych o rok wcześniej do narzeczonej: „Daruj, że tak dużo piszę o szpitalu, mniemając iż mi tego za złe nie poczytasz. Wszak tam mi schodzi ćwierć dnia — ćwierć życia mojego. Zresztą fałszywem w tym względzie jest ogólne mniemanie, że ta sfera działalności jest brzydszą, posledniejszą od innych, dziś za szlachetne i cześć przynoszące, uznanych. Pięknem staje się każde zadanie, nawet najmizerniejsze, gdy człowiek w nie duszę swoją wkłada, gdy je pracą swą i myśleniem udoskonala; tem bardziej to moje zajęcie, choć taki wstret budzić zwykło w salonach, jest pracą u podstaw. Ja jestem taki dumny w szpitalu, bo tam nikt mi brudnego rubla za moją pracę nie wetknie, tam pracuję dla idei — na mieście dla pieniądza.”

W innym znów liście, tłómacząc się z tego, że tak mało dba o siebie, powiada:

*) *Gazeta Lekarska*, r. 1895, str. 774.

„Że nie ochraniałem się dotychczas, to dla tego tylko, że mam złe usposobienie i w ferworze zajęcia zapominam się, lecz to trudno odmienić, takim się urodziłem i takim już zginę. Ja podziwiam innych jak oni są uważni, jak pamiętają o sobie; ja tak nie mógłbym postępować; ja jak widzę że ktoś na ulicy zawadziwszy wozem w bramie, niedołęźnie bierze się do rzeczy by wóz wyswobodzić, nie mogę patrzeć na to. Cóż dopiero w szpitalu pod mojem okiem, w moim oddziale, gdzie za wszystko odpowiadam. Znosić nie mogę niedołęstwa i wołę sam babę wziąć na ręce i przenieść ze stołu operacyjnego na łóżko, niż patrzeć jak dwóch niedołęgów zmagają się i męczą nad tak prostą rzeczą. Jestem średnim człowiekiem, lecz od najmłodszych lat lubiłem robić wszystko sumiennie. Póki chodziło o drobne rzeczy, o odrobienie lekcyi, nauczenie się czegoś, wypracowanie kursu, póty sumienność ta nie była wcale uciążliwą, lecz gdy spadło na mnie prowadzenie oddziału z 65 łóżek, gdy nikomu ufać nie można, gdy nieraz siostra miłosierdzia przez oszczędność zamiast kwasu karbolowego daje prawie wodę, gdy wata, mająca być użytą do ran, Bóg — wie — gdzie jest przechowywana, a bandaże drą po łóżkach i zwijają brudne chore, — wtedy tracę cierpliwość, gryzę się, gdyż nie mogę podolać pracy, przeznaczonej dla kilku osób. To jest przyczyna przepracowywania się z jednej strony, w tem również tkwi jedno ze źródeł mojego czarnego na świat poglądu. Zawszem, o ile mógł, dążyłem do doskonałości, tymczasem z bólem w sercu przychodziłem do przeświadczenia, iż jednostka ludzka jest ściślej podobno spojona ze swoim otoczeniem, niż ostrzyga ze swoją skałą. Możesz się bić o lód, dłużej, krócej, ale w końcu musisz ustać lub głowę rozbić. Otoczenie nasze jest najfatalniejsze; fuszerka zalewa wszelkie pola działalności, i porządny człowiek, który chce rzecz zrobić porządnie i sumiennie, ma niemożliwą do zwalczenia konkurencję; niewątpliwieby ją w końcu zwycięsko pokonał, ale na to zwycięstwo trzeba dwa życia ludzkie, tak, że w rezultacie kto jedno tylko życie żyje — musi uleść. Musimy wszyscy my uleść, i stanowić nawóz dla następnych, lepszych od nas pokoleń, które może w przyjaźniejszych warunkach pracować będą. Lecz mimo to, tej roli protestowania i walczenia nie mógłbym się wyrzec, pod karą zniechęcenia siebie samego. Tyłu już ludzi widziałem pięknie kających, a później tak spokornieli, iżbym wołał być rozdeptanym, niż spokojnie sam ustąpić. Wreszcie jeżeli tak postępując, nie wiele widzi się owoców swojej pracy, to chociaż w ten sposób człowiek przyczynia się do wytworzenia prądu, dążenia ku temu, co być powinno. To też ja powtarzam sobie, odkrój dla siebie choć mały obręb, ale idź naprzód i wyżej, i mam tę wiarę, że iść będę do końca życia.“ —

Następstwem tej działalności, przechodzącej siły cielesne Matlakowskiego, były bardzo smutne. Miecz zbyt wyostrzony zużył za wczesnie pochwę. Ciało wątłe nie mogło dotrzymać kroku duchowi potężnemu. Choroba płucna, w zarodku oddawna w nim tkwiąca, zaczęła rozwijać się coraz wyraźniej. W dniu 6 października, więc mniej lub więcej w dwa miesiące po powrocie z Londynu, po dniu przepracowanym ciężko, był wieczorem na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego, mówił tam dość długo, z zapalem, z przejęciem się, jako zwykle czyniwał — i przyszedłszy do domu zmęczony, zmachany, dostał poraż pierwszy silniejszego krwotoku płucnego. Koledzy przywołani skazali go na kilkodniowe przeżenie spokojne w łóżku, a następnie na powstrzymanie się od zajęć wszelkich w szpitalu, na kilka tygodni przynajmniej. Podał się wyrokowi temu, uznając jego słuszność, ale wyobrazić sobie łatwo, co przez to wycierpiał. Właśnie od niedawna rozpoczął pracę szpitalną podług zasad nowych, oddał się jej cały, żył nieomal dla niej tylko, a tu naraz ujrzał działalność swą skrepowaną, przerwana nie wiedzieć na jak długo. To

go więcej może jeszcze przynębiło, niż świadomość o rozwijającej się chorobie, o której zejściu ludzi się nie mógł, wiedząc dobrze, co go czeka.

Jesień owa była piękna, pogodna, wyglądając przez okno, widział codziennie ludzi snujących się tu i tam, spieszących w różne strony, czynnych, zajętych, gdy on, jak więzień przykuty, ruszać się z miejsca nie mógł. Wtedy nieraz z ust wyrwała mu się pełna żalu skarga: „Wszyscy pracować mogą — tylko ja, mój Boże, marnieje!“ — To próżnowanie przymusowe było wtedy jego cierpieniem najdotkliwszem.

W końcu bezczynność poniewolna Matlakowskiego, tak bardzo dokuczająca mu, jak wszystko inne na świecie, przeminęła. Niebezpieczeństwo zażegnano, zdrowie poprawiło się, mógł się więc zabrać do pracy, do której tak się stęsknił. Troskliwi o zdrowie koledzy zalecili mu wprawdzie, żeby się ochraniał, żeby na zdrowie swe baezył, ale czyż on to umiał? — czyż był w możności powstrzymania się, znalazzy się wśród chorych swoich?—Różne nałogi miewają ludzie, złe i dobre, jego nałogiem była praca, od której powstrzymać się nie umiał, jak pijak od wódki. Pracował więc równie gorliwie, jak przedtem, a rosące wciąż powodzenie u publiczności, także niewiele mu czasu na wypoczynek po trudach szpitalnych pozostawiało. Mimo to miał się teraz względnie nieźle. Zima i wiosna minęły bez pogorszenia się zdrowia, nie można go jednak było zaniedbywać, należało pomyśleć o naprawie jego. Zaczem latem r. 1886, idąc za poradą profesora Chałubińskiego, wyjechał na wypoczynek dłuższy do Zakopanego z żoną i synkiem cztero-miesięcznym*). Pobyt w górach posłużył mu znakomicie, a chociaż kaszel nie ustąpił, chociaż od czasu do czasu spłukał krwią nieco, czuł się jednak rzeświejszym i powróciwszy do Warszawy pod koniec lata, mógł znów oddać się ukochanem zajęciom swoim.

Powodzenie jego, jako chirurga, rosło z dnia na dzień, chorzy garnęli się do niego coraz bardziej; otwarła mu się droga do szybkiego dorobienia się majątku, nie doszedł jednak do niego, nie uganiając się za nim i będąc zawsze skromnym bardzo w żądaniach swych, wskutek czego wyzyskiwano go nieraz, a koledzy niektórzy, na zarobek łakomsi, zarzut mu nawet z tego czynili, że im, jak mówili, ceny psuje, a i sam sobie przez to szkodzi, nie martwił się tem jednak wcale, ponieważ dla niego zawsze miłą nagrodą było pomyślnie udanie się operacji, niżeli honorarjum najsutsze. Nie lekcewał wprawdzie, jak wiemy, zarobku godziwego, jednakże uważał go tylko zawsze, jako złe konieczne.

Zimę najbliższą spędził stosunkowo w zdrowiu nieźle i bardzo czynnie, latem atoli w r. 1887 z Warszawy wyjechać nie mógł i podczas upałów letnich zdrowie jego znów psować się zaczęło. Opadło go osłabienie ogólne, nie poddawał mu się jednak, nie ustawał w pracy i zwalał je siłą swej woli. Za nadejściem zimy stan się pogorszył, kaszel się wzmógł, a krwawienia z płuc występowały coraz częściej, nie obficie jednak. W każdym razie o wypoczynku i o wzmocnieniu sił pomyśleć trzeba było, naglili też do tego koledzy o zdrowie jego troskliwi.

W lecie tedy r. 1888 wyjechał znów Matlakowski do Zakopanego, zabierając ze sobą rodzinę**). I tym razem pobyt dłuższy na świeżem powietrzu posłużył mu bardzo; doznał pokrzepienia i polepszenia znacznego, czuł się tak dobrze, iż ważył się nawet na dalsze, kilkodniowe wycieczki w góry. W sierpniu wybrał się na parę tygodni do Wie-

*) Władysław Kiejstut ur. d. 18 lutego r. 1886.

***) Syn drugi Stanisław Olgierd urodził mu się d. 30 stycznia r. 1888, utracił go d. 23 marca r. 1889.

dnia, razem z przyjacielem swym, D-rem Kornilowiczem z Warszawy, czyniąc to w celu zwiedzenia szpitali tamtejszych, poznania ich urządzeń; oraz przekonania się naocznego o najnowszych postępach chirurgji.

Na początku jesieni, stanawszy w Warszawie, obyczajem swym zaprzął się znów do pracy mozolnej i żmudnej. Zima przeszła mu jako tako, pracował, więc był w swoim żywiole. Oddział swój chirurgiczny podniósł znakomicie, pomimo warunków ogólnych, nie sprzyjających temu bynajmniej; stawiano go za wzór, a lekarze młodszy gromadzili się tam licznie, żeby korzystać ze świetnych wykładów Matlakowskiego, który, czy to podczas odwiedzania sal szpitalnych, czy też podczas operacji, ust prawie nie zamykał, objaśniając, tłómacząc i nauczając w ten sposób tak, jak mało kto nauczać umiał.

Po zimie, względnie jeszcze nieźle przebytej, na początku wiosny r. 1889 dotknął Matlakowskiego cios, którego już nie przebolewał do końca życia. Synek młodszy, ulubieniec jego, dziecko dotąd silne, kwitnące, pozornie najzdrowsze, zapadłszy na zapalenie grzłicze opon mózgowych, zmarło pod koniec marca. Nieszczęście to przygnębiło go nad wyraz wszelki i wedle słów jego własnych, w rok później do teścia napisanych, jak wielka topola przed zachodem, rzuciło wielki cień na jego życie, cień, który już tylko w noc ciemną przejdzie.

Do Zakopanego w roku tym latem nie pojechał, odwiózł tylko żonę z synkiem starszym na wieś, do rodziców jej, i zabawiwszy tam krótko, sam powrócił do Warszawy, złamany i coraz więcej na zdrowiu zapadający. Stan jego był politowania godny. Choroba, mająca go zgubić, wlokła ciało jego krokiem leniwym, ale pewnym, ale ciągłym, ku mogile, a co gorsza, zaczął upadać na duchu. Ogłuszał się pracą nad siły, ale ból po stracie dziecka wyjadał mu serce, targał myśli jego. W jednym z listów pisanych wtedy do żony, noszącym ślady łez, czytamy: „I znów na starym miejscu, przy starym biurku [tak!], znowu w starych kątach, wyświeżonych na nasze przyjęcie — lecz inny człowiek, już nie dawny, ale odmienny nieco, uboższy w krew, w zapal, w serce, z którego zniknięcie złotowłosych kudelków, łapuszek i pięteczek różowych, niepokalanych, oczuleczek przysłoniętych, dziobka z wgiętym kącikiem ustek — wyrwało korzeń radości. Doświadczenie wprawdzie bogatsze, ale ostygnięcie uczucia — dźwigni ludzkich przedsięwzięć, zmniejsza jego doniosłość, pozostawiając je jałowym ugorem. Nad tem myśl, wisząca jak sokół nad przepiórką w polu ogołoconem — myśl o śnie, w którym się nie śni“. W innym znów piśmie: „Kiedym dziś z powodu poświęcenia nagrobowego kamienia dla p. Kowalewskiej był na Powązkach, to wydało mi się, że podłożą jest i odrętwieniem, że ja jeszcze żyję, chociaż tego robaczka mojego najmilejszego niema i nigdy, nigdy go nie zobaczę. Gdy sobie przypomnę te rączki wyciągnięte kiedy wehodge w drzwi ze szpitala, piętuszczyki takie cieniuchne, twarde, — oczuszki najśłodsze — to jego skakanie bezładne — ryczę jak dzikie zwierzę ranione, i czuję, że jestem rozgnieciony jak krówka w kolei na drodze, i ciągnę jeszcze za sobą tylko to marne życie. Ach Oldziszeczek mój robaszek, moja okruszynka, nigdy, nigdy nie ujrzę go. I to jest najgorsze ze wszystkiego co się dzieje pod słońcem, że ze wszystkimi jednakowo się dzieje. A mnie się zdawało że dbaniem, sprawiedliwością, skromnością, zaparciem się, ucziwością, można sprawić, żeby na mnie nie padło to, co na innych...“

Ten wielki, nieukojony ból starał się, jak się rzekło, ogłuszyć, utopić w pracy szpitalnej; ale był chory cieleśnie, rozstrojony, rozdrażniony swym nieszczęściem, więc czasami wyjątkowo tracił cierpliwość, stawał się szorstkim, wybuchał chwilowo gniewem, po-

mimo wrodzonej łagodności i dobroci, które zawsze chodziły w parze z żywością i prędkością jego. To znów przysparzało mu nowych zmartwień, wyrzutów robionych samemu sobie. Tak o tem pisał do żony: „Jedyna ucieczka pozostała — szpital, gdzie zawsze jest tyle roboty i zawsze coś nowego, To tylko spostrzegam z przykrością, że staję się grubiańskim, niecierpliwym, złośliwym. — Mój Boże — a jakimże ja byłem dawniej w szpitalu, gdy byłem asystentem! Chorzy opowiadali, że kiedyś wchodziłem do szpitala, to jakby jasność i wesele biło, a oni się radowali. Jestem po prostu przeciążony robotą i muszę zacząć nad sobą pracować... Bo pocóż ja mam być okrutnikiem dla tych nieszczęśliwych biedaków, dla tej nędzy szpitalnej“.

Jeżeli Matiakowski, zawsze tak prawdomówny, rozminął się z prawdą kiedykolwiek, to niewątpliwie tu, oskarżając się niesłusznie o postępowanie okrutne z chorymi, było to bowiem tak przeciwne całemu usposobieniu jego, że choćby najuroczystsza na to złożył przysięgę, nikt ze znających go bliżej uwierzyłby mu nie mógł. Tylko jego sercu poczciwemu, dobremu, rozkrwawionemu bólem tak srogim, jakieś słówko prędkie, wyrwijające się z ust mimowolnie, mogło wydać się okrucieństwem, bo o czynach okrutnych wogóle mowy przecie być nie może.

Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać lekarza cierpliwszego, łagodniejszego z wyrozumieniem większem, troskliwiej o dobro chorego dbającego. „Każdą operację odbolal — pisze mi p. Matlakowska — niepokojąc się dniem i nocą jaki będzie rezultat. A ile razy wieczorami jeszcze biegł do szpitala, niosąc w zimie pod futrem gorący rosół lub dobrą herbatę, bo niesmaczna w szpitalu — stare wina — nalewki. Ileż on nocy nie spał po ciężkiej jakiej operacji, nadsluchując czy nie posłyszysz dzwonka i wołania do chorego. Kiedy wracał po kilku operacjach ze szpitala zmęczony tak, że nawet jeść nie mógł przygotowanego obiadu, siadał przed ulubionym obrazem Chelmońskiego „Wiosna“ aby uspokoić się, odetchnąć i patrząc na ukochaną naturę, wrócić do równowagi. Tak wiele obiadów przesiedział.“ — I taki człowiek mógł sam siebie nazwać okrutnikiem! — dla tego chyba tylko, iż w chwili rozdrażnienia powiedział może słowo cierpkie do jakiej chorej niechlujnej lub nieswornej, z którą każdy inny ordynator szpitalny, mniej od niego wyrozumiały, byłby się obszedł bez porównania srożej, mając do tego prawo zupełne. Żyją przecie jeszcze ludzie, co znali Matlakowskiego, co pracowali z nim razem, co patrzyli codziennie na postępowanie jego w szpitalu i po za nim, a czy znajdzie się choć jeden, któryby widział lub słyszał o tem, że kiedykolwiek obszedł się, już nie powiem okrutnie, ale choćby tylko nieżyczliwie, z chorą nawet taką, która jaknajmniej na łaskawość jego zasługiwała? — Nie — taki nie znajdzie się z pewnością, bo rzeczy niebywałych nigdy, nikt też widzieć nie mógł. Znów tu zaenry Władysław, tak wielce pobłażliwy dla innych, samego siebie zbyt surowo osądził.

Zima z r. 1889 na 1890 wlokła się ciężko, wśród smutku, pracy, tej pocieszycielki jedynej i coraz to wyraźniejszego zapadania na zdrowiu, pomimo że wygląd zewnętrzny Matlakowskiego był jeszcze pozornie wciąż dość dobry, wszelako znać było na nim znużenie i osłabienie cielesne, jako też przygnębienie duchowe, z którego się już teraz w zapale tylko, i to rzadko, na chwilę umiał otrząsnąć.

W maju r. 1890 napadło go znów płucie krwią znacznie obfitsze, wraz z osłabieniem budzącem obawę. Musiał wyjechać na wieś, dla wypoczynku i uspokojenia. Nie długo tam bawił, gdyż doświadczywszy, po kilkodniowym pobyście, polepszenia chwilowego,

powrócił do Warszawy, by jąc się zaraz znów pracy w szpitalu i na mieście. Ale wnet, ku wielkiemu przygnębieniu swemu, przekonał się, że siły mu nie dopisują, że do zajęć lekarskich nie jest zdolny, a choroba jego czyni postępy coraz szybsze i groźniejsze. Na początku czerwca wyjechał więc z rodziną do Zakopanego, które mu już poprzednio okazało się tak pomocnem, w tym jednakże roku nadzieje jego zawiodło. Do października stan chorego nie poprawił się wcale; uradzono więc, że trzeba mu na zimę udać się na Południe i wyprawiono go do Arco. Nieszczęście mieć chciało, że w miejscowości tej spotkał się, zamiast z powietrzem łagodnem, ze śniegiem i mrozem, z zimą tak srogą, jakiej tam ludzie najstarsi nie pamiętali. Uciekł więc do Mentony i przebył tam do kwietnia r. 1891, nie znajdując wszakże ulgi upragnionej. W drodze powrotnej zatrzymał się jeszcze na parę tygodni w Meranie, a w maju stanął znów z powrotem w Warszawie, w stanie wprawdzie może nie gorszym, ale też i nie lepszym, jak opuszczając ją przed rokiem bez mała. W każdym razie było z nim wcale nie dobrze.

Zwolani na naradę koledzy, widząc, że choroba rozwija się stosunkowo powolnie, że siły starczyć mogą jeszcze na dość długo i sądząc, że bezczynność przymusowa źle oddziaływa, nie tylko na ducha ale i na stan cielesny Matlakowskiego, poradzili mu, żeby, rozumie się z zachowaniem przytem ostrożności wszelkich, powrócił znów do zajęć zwykłych. Usłuchał tej rady skwapliwie, tembardziej, że była zupełnie po myśli jego. Niebawem atoli przekonano się, że się przeliczono. Zamiast poprawy spodziewanej, nastąpiło pogorszenie. Duch był wprawdzie jeszcze ochoczy, ale ciało mdłe nie mogło już znieść trudów pracy chirurgicznej, wyczerpującej zawsze Matlakowskiego, nawet za czasów zdrowia, zatem trzeba się było rozstać z nią i to, jak się pokazało później, na zawsze. O pobycie dalszym w Warszawie nie było już co myśleć. Ani Tyrol, ani wybrzeże Morza Śródziemnego nie nęciły go, zawiódłszy już raz tak bardzo oczekiwania jego, wyruszył więc nie zwlekając d. 14 lipca naprzód na wieś, a później na początku października do Zakopanego, gdzie miał spędzić nadal największą część pozostającego mu jeszcze życia i spisać trzy wielkie prace, z których ostatnią jest właśnie książka niniejsza.

Jeszcze przed opuszczeniem Warszawy, d. 25 czerwca r. 1891, urodziła mu się córka, której na chrzcie świętym dał imiona Katarzyna Zorza, mówiąc, że to już ostatnia zorza jego życia. Dziewczynkę tę kochał niezmiernie, na równi może ze synkiem, którego utratę tak gorzko oplakiwał. Wogóle był ojcem bardzo dobrym i czułym, a zawsze, mimo zajęć najpilniejszych, dużo czasu dzieciom swym poświęcał.

Lato minęło nie najgorzej, świeże powietrze górskie zrobiło swoje, pokrzepiło go nieco, w każdym razie czuł się lepiej, niż przed wyjazdem z Warszawy. Pierwsza zima z r. 1891/2, przeszła również dosyć pomyślnie, stan zdrowia trzymał się na pozór w mierze jednakiej, przynajmniej nie pogorszał się widocznie. Matlakowski, mieszkając w domku wygodnym na Chramcówkach, wykończył w tym czasie swe „*Budownictwo ludowe na Podhalu*“*), już podczas pobytów poprzednich rozpoczęte. Dzieło to, ciesząc się uznaniem zasłużonem, oceniono już należycie od dawna, więc o niem nie mam tu co pisać, wymienienie go wystarczy. Lata następnego przeniósł się do domu Sobońki, na Kasprusiach, położonego wśród łąk i gajów, z widokiem na góry, mającego dokoła ganek obszerny, na którym lubił dniami całymi przesiadywać, przyspasabiając do druku *Hamleta* oraz zbierając i porządkując materiały do *Zdobienia*, leżącego tu przed nami.

*) Kraków, 1892, wydawnictwo Akademii Umiejętności.

Praca nad *Hamletem* pochłaniała wtedy Matlakowskiemu najwięcej czasu, wymagając przygotowań nielada; widać to przeglądając to dzieło, szczególnie zaś wstęp do niego, ślicznie napisany, obejmujący czterystakilkanaście stronic drobnego druku. Z podziwu wyjść trudno, że ten ogrom pracy dokonany został tak wybornie, tak dokładnie w ciągu lat dwu, i to przez człowieka zajętego jeszcze równocześnie pracą inną, mozolną i również niezmiernie drobiazgową, przez człowieka śmiertelnie chorego, nie będącego pewnym jutra, wiedzącego o tem, że nagły krwotok może lada chwila pozbawić go życia. Nikt, czytając *Hamleta*, lub *Zdobienic* niniejsze, a nie wiedząc w jakich warunkach powstały, nie przypuściłby nigdy, że są pisane stygnącą nieomal ręką pisarza na śmierć skazanego, widzącego grób otwarty przed sobą; nie domyśliliby się tego z pewnością, tyle w nich bowiem mieści się życia, tyle siły i pracy, na którą niejeden najzdrowszy nie łatwo umiałby się zdobyć.

Hamlet, zarówno długi wstęp do niego, jak i sam tekst angielski, opracowany krytycznie, i dosłowny przekład polski, oddający z wiernością przedziwną wszelkie właściwości oryginału, to zdumiewający ogrom odczytania, dociekań mozolnych, filologiczno-historycznych, to krytyka pełna wykwintu, tryskająca nieraz dowcipem niepospodytym, to skarbiec myśli głębokich i wzniosłych, a wszystko wypowiedziane językiem przeslicznym, to jędrnym, jak w biblii Wujka, to poetycznym, drżącym od zawartego w nim uczucia, jak u Słowackiego lub Krasińskiego. Ale dość tego — nie moja rzecz, rozwodzić się tu nad wartością utworu tego, lepiej już ocenionego przez innych, więcej znających się na tem ode mnie.

Sposobiąc się do wydania *Hamleta* swego, Matlakowski sprowadził sobie do Zakopanego mnóstwo książek w językach różnych, bo chciał poznać, o ile mógł, dokładnie, wszystko, co przed nim o przedmiocie tym było napisane; porównywał teksty rozmaitych wydań angielskich, od najdawniejszych do najnowszych; tak samo postępował z bardzo licznymi tłumaczeniami tego arcydzieła Szekspirowego. Otoczony stosami książek, z których, czytając je, robił wyciągi, spisywał uwagi i spostrzeżenia własne, siadywał tak na owym ganku, a gdy go to znużyło, dla wytehnienia zabierał się do pracy innej, do zbierania opisów i rysunków, które zawarł później w księdze leżącej przed nami.

Tak mu zeszło lato r. 1892. Na zimę pozostał w Zakopanem, przeniósłszy się tylko do domu Święcha, także na Kasprusiach, domu nowego, słonecznego, wygodnego, w którym mu było bardzo dobrze, rozumie się, o ile wogóle człowiekowi o zdrowiu tak oplakanem dobrze być może. Otoczony rodziną, którą kochał zawsze nadzwyczaj, widując od czasu do czasu kilku przyjaciół życzliwych, mieszkających również w Zakopanem, a pracując wciąż usilnie, spędził znów zimę jako tako, i latem r. 1893 wyjechał do Zbijewa, do rodziców żony, gdzie zawsze bardzo chętnie przebywał.

Oderwany od pracy zawodowej, lekarskiej, która go przez lat tyle ściśle przykuwała do miasta, odzyskał znów dawną swą miłość do wsi i rozkoszował się tem, co mu dać mogła, a nie był pod tym względem wymagający, albo raczej umiał zachwycać się tem, na co ludzie przeciętni obojętnie spoglądają. Już weześniej, za czasu zdrowia jeszcze, napisał raz: „Dla mnie kawał błękitnego nieba z przezroczystym obłoczkiem, kaskada promieni słonecznych, zachód purpurowy na jesieni, ciepły dzień babiego lata, igrająca woda w potoku, i tyle, tyle zwykłych codziennych rzeczy — są arcy cudami, arcy pięknościami.“ To wszystko mógł mieć w cichej wiosce kujawskiej, i to mu starczyło.

Pobyty na wsi posłużył mu jakoś, zdrowie poprawiło się nieco, siły trochę przybyło.

więc z zamiłowaniem używał przechadzek i przejażdżek po polach, łąkach i lasach, a potem powracał znów do biurka, by zasiąść do pracy nad *Hamletem*, zbliżającej się już do ukończenia.

I tak minęło mu lato, stosunkowo dobrze; pomimo to na zimę r. 1893/4 wybrał się znów, poraz ostatni, do Zakopanego. Łaskawości p. Julji Matlakowskiej zawdzięczam opis i podróży tej, i pobytu u podnóża Tatr, i powrotu na wieś, nakoniec i ostatnich miesięcy życia i skonu jej męża, więc wydarzenia te jej słowami opowiem: „Na zimę 94 r. wyjechaliśmy znów do Zakopanego. Była to ostatnia, jaką tam spędzić mieliśmy razem. Wyjeżdżaliśmy pełni otuchy, bo Władzio czuł się tak dobrze jak jeszcze nigdy, wyręczał mnie w kupowaniu biletów, expedjowaniu rzeczy i t. p. W Zakopanem trafiliśmy jednakże na warunki, które te wszystkie nadzieje nasze w niwecz obrócić miały, a zdrowie Władzia ostatecznie podkopać. Musiał ratować tych, którzy nie byli do uratowania i narażać swoje życie wtedy, kiedy nadzieja ocalenia go była większa niż kiedykolwiek.“

„Wysiłek fizyczny, wrażenia moralne, a w końcu i zaziębienie, gdy jeździł do chrego, wywołały pierwszy krwotok d. 10 Grudnia 93 r. w dwa tygodnie drugi, a 11-go Stycznia 94 r. trzeci, które Go sił i nadziei w zupełności pozbawiły. — Widząc się tak zagrożonym, drżał o swoje prace, z których „Hamlet“ był na ukończeniu, a „Ornamentyka“*) zaledwie rozpoczęta. Choć nie wolno Mu było pracować, pod grozą nowego krwotoku, bezsilny do najwyższego stopnia, pisał ukradkiem, pod koldrą chowając papier i zebrane notatki. Hamleta zmieniał, kompletował, i tak poprawione dawał mi do przepisywania, co nieraz zaledwie późno w noc mogłam przygotować, aby znów rano mógł się zabrać do dalszej pracy. Tak przeszła zima, w ciągłej obawie i niepokoju. Hamlet oddany został do druku, a do Ornamentyki zabrał się z gorączkowym pośpiechem, przeczuwając iż może jej nie skończyć. Byłaby też niezawodnie ta praca obszerniejsza i uzupełniona wieloma jeszcze rysunkami i szczegółami tekstu, gdyby nie ta obawa, nie ten pościg, aby nie zostawić jej nie skończoną. Tak przeżyliśmy do Kwietnia, i korzystając z pierwszych dni pogody, pożegnaliśmy Zakopane. Nie zapomnę nigdy, kiedy wyjeżdżaliśmy o 5-ej rano, żegnani przez najlepszą i nieocenioną przyjaciółkę i opiekunkę naszą, panią Witkiewiczową, — w słoneczny, cudny ranek. Każdy miał uczucie w sercu, że to ostatni wyjazd i ostatecznie pożegnania, i dla tego chwila ta miała jakąś powagę i uroczystość pogrzebu. Kiedy słońce oświeciło szczyty gór, wychylał się co chwile i z oczami pełnemi łez, trzymając mnie za rękę, obejmował wzrokiem ten cudny widok, którym się nasycić nigdy nie mógł do woli.“

„Podróż odbyła się pomyślnie, bez wielkiego zmęczenia, a gdy stanęliśmy w Zbójewie, uczułem jakby ulgę, że stanąłem u celu Swoich życzeń, bo zawsze mówił mi o tem, że pragnie przy swoim Oldziku być pochowanym. Lato upływało na wykończeniu „Ornamentyki“, do której pisał text — prowadzeniu korekty Hamleta, przysyłanej z Krakowa, i uczeniu Kiesia [szusa], którego od początku rozpoczęcia jego edukacyi, Sam, codzień w oznaczonych godzinach, z największą starannością, gorliwie i systematycznie uczył. W chwilach odpoczynku i przejażdżki w pole, do lasu, chodzenia po ogrodzie, śledził ptaki najulubieńsze ze wszystkich stworzeń, których śpiew sprawiał mu taką rozkosz, że gdy

*) Pani Matlakowska stale tak zwie księgę niniejszą; autor również, w listach swych, kilkakrotnie ją tak nazwał, więc być może, iż pierwotnie miał zamiar tem mianem ją obdarzyć, później wszakże widocznie odstąpił od niego, gdyż na rękopisie położył własnoręcznie napis taki, jaki znajduje się tu na karcie naczelnej dzieła.

usłyszał śpiew dzwońca, smutny, przeciągły, albo wiwilgi, których mnóstwo gnieździło się w ogrodzie, zatrzymywał się, choćby był najwięcej zmęczony, słuchał — podglądał, spisywał swoje spostrzeżenia i miał z nich ułożyć dla Kiesia i Kasi „Ornitologję krajową“. Niestety, tak mało pozostało tych notatek, że niepodobieństwem byłoby ułożyć jakkolwiek całość, choć tak o to prosił przed śmiercią...

„W zimie [r. 1894/5] przychodziły pogorszenia, po kilka dni czasem leżał w łóżku, lecz i tak pracować i pisać nie przestawał. Skończył „Ornamentykę“ i tylko była kwestja gdzie? i kiedy? będzie drukowana, bo Akademia [w Krakowie] wyczerpane miała wszystkie fundusze na podobne wydawnictwa przeznaczone. A tak byłby pragnął zobaczyć ją wydaną za życia!“

„Na wiosnę przyszło stanowe pogorszenie, spotęgowane jeszcze nieszczęściem jakie nas spotkało wówczas przez śmierć Ojca mego d. 12 Maja 1895 r. Odezuł tę stratę bardzo głęboko; a choć był już wówczas bardzo słabym, nie można było skłonić Go, aby nie brał udziału w tych smutnych obrzędach. Chciał nawet koniecznie sam wygłosić mowę na cmentarzu, lecz mimo że ją napisał, że gorąco z serca Mu popłynęła, to jednak czuł się zanadto słabym aby się odważył ją wypowiedzieć. W smutku, żalobie uchodziły nam dni następne, Władzio choć b. słaby, zawsze pisał, i zawsze uczył Kiesia. Nakoniec przysły pierwsze egzemplarze „Hamleta“, z których najpierwszy kazał oprawić aby ten dar ostatni z przypiskiem — ofiarować mi na imieniny“*).

„Od Niedzieli 22-go Czerwca (95 r.) czuł się coraz gorzej; około południa dostawał duszności, która Go tak męczyła okropnie, że prosił Boga głośno i gorąco, aby zesłał koniec tych męczarni. Kiesia przywoływał kilka razy do siebie, dawał mu zlecenia, przestrogi i błogosławił; Kasiuni — która była Jego ukochaniem, „żrenicą Jego oka“ nie pozwolił przychodzić do pokoju gdzie leżał, ponieważ wtedy tracił spokój i równowagę i nie mógł patrzeć na nią, odwracał się i oczy pełne łez, zakrywał. Ona była tak przyzwyczajona do ciągłego obcowania z „Tatusiem“, tak lubiła Jego opowiadania o szarej godzinie, że pojąć nie mogła dla czego wówczas było jej to wzbronione. Wpadała też ile razy mogła do pokoju, rzucała przyniesione kwiaty na łóżko i uciekała. Trudno wypowiedzieć jaki wyraz boleści malował się wtedy na Jego twarzy, gdy patrzył na nią“.

„Ostatnie parę dni, siląc się na największy spokój, dawał mi rozporządzenia, dotyczące przyszłości dzieci po największej części. Unikał wszystkiego, co Go mogło pozbawić tej odwagi z jaką chciał stanąć wobec śmierci. Gdy z rozdartego serca wyrwało mi się jakieś słowo żalu lub skargi, mówił zaraz: „mów mi tylko rzeczy obojętne“ bo czuł, że tak dłużej nie mógłby wytrwać“.

„We Wtorek, późnym wieczorem przyniesiono z poczty list prof. Estrajchera z Krakowa, z podziękowaniem za Hamleta i pierwszą ocenę tej pracy. Wiedziałam jak tego oczekiwał, jak oddając do druku Hamleta troszczył się i niepokoił: „jak będzie przyjęty?...“ „co o nim powiedzą?...“ chciałam przeczytać te słowa pełne uznania i pochwał, — lecz kiwnął ręką obojętnie, — i już się nie dowiedział jak pochlebnie oceniono Jego pracę.“

„W Środę rano [d. 26 Czerwca r. 1895] kiedy przez otwarte okna wpadało, świeże, pachnące powietrze, a wiwilgi śpiewały, jakby się wszystkie z całego ogrodu zleciały pod

* Wiljam Szekspir. Hamlet królewic duński. Wydał, przełożył, wstępem, wyjaśnieniami i przypisami opatrzył Władysław Matlakowski. W Krakowie. 1894; str. CDXVII i 346 (ostatnia bez liczby).

okna Jego, patrzył szeroko otwartemi oczami w tę zielen jasną, na tę ukochaną swoją przyrodę ze słońcem, z nienstającym śpiewem ptaków — patrzył z takim smutkiem, że wzroku tego do śmierci nie zapomnę. Około godz. 3-ej po południu kazał mi się dźwignąć na poduszki, otulił koldrą i powiedział: „a teraz będę spać, tego będę spać — ale czy będzie cicho?...“ i usnął, raz tylko jeszcze spojrzawszy na mnie.“ —

Na miesiąc przed zgonem, w liście do siostry (dnia 26 maja), tak się Matlakowski wyraża: „Piszę do Ciebie głównie o to, że gdy umrę, zaklinam Cię na wszystko, na pamięć świętą Matki, na Ojca najdroższego mi na świecie, na pamięć lat naszych dziecinnych, na moje o Tobie staranie dawniej, i błagam, abys mnie nie pozwoliła chować w trumnach metalowych z szychami i blaszanemi ozdobami, żeby mi nie wyprawiano kosztownych nabożeństw, żeby trupa odrazu zawieziono na zwykłej bryczce lub wozie na ementarz, *nie* do kościoła, żeby mi zadzwoniono przy pogrzebie i zaśpiewano po polsku: Witaj Królowo Nieba. Żeby przed trumną siedł dziad z krzyżem — a potem jak chcecie, zakupić Mszę cichą, żałobną.“ —

Wolę Matlakowskiego spełniono. Pogrzeb odbył się według życzenia wypowiedzianego siostrze, a przyjaciel i uczeń nieboszczyka tak opisuje obrzęd ten smutny: „W obszernej komnacie cichego Zbijewskiego dworku na niskim katafalku wśród mnóstwa zieleni i kwiatów złożono zwłoki ś. p. Władysława... Dnia 29 [czerwca] o godzinie 7-ej rano orszak żałobny poprzedzony przez lud wiejski ze świecami wyruszył do Chodeza, odległego o 7 wiorst. Dębową trumnę kirem obitą ponieśli na barkach swych koledzy, aż do granic wsi; tu złożyli ją na drabiniastym wozie, zaprzężonym w parę czarnych wołów i zasykali wieńcami. Uroczystą ciszę przerywał tylko śpiew ptasząt; one jakby żegnały swego miłośnika, który w wolnych chwilach podpatrywał ich życie i obyczaje^{*)}. Nad grobem dwu kolegów przemówiło serdecznie — i oddano matce ziemi szczątki znikome człowieka zacnego, który umiał kochać i działać, żyć poczciwie i przyświecać społeczeństwu przykładem życia swego, życia od początku do końca czystego, jak łą, bogatego w owoce użyteczne i piękne.

Matlakowski spoczął na ementarzu parafjalnym w Chodezu na Kujawach. Przed mogiłą jego roztacza się widok rozległy na łąki, lasy, pola i srebrną toń szeroko rozlanego jeziora. Za życia napawał i lubował się nieraz tym widokiem i pragnął ułożyć się do snu nieprzespanego w otoczeniu takim. Stało się zadość pragnieniu jego. —

* * *

„Tak zgasł człowiek utalentowany i wielkich nadziei... co umiał być filozofem postępowym w swych pracach, serdecznym synem, rzadkim przyjacielem, dzielnym kolegą i wzorowym obywatelem kraju... Gdzie się znalazł, jednał sobie szacunek powszechny i bezwarunkowe uznanie swoim trafnym zdaniem, rzadkim rozsądkiem, bezstronnym sądem. słusnością, taktem postępowania, przymiotami w towarzystwie, a charakterem w bliż-

*) *Wędrowiec* r. 1895, Nr. 27, str. 529.

szem pożyciu. Możemy śmierć jego wpisać w księgę strat krajowych, a dla koła znajomych i rodziny, jest ona niezem nie wypełnioną szczerbą."

Słowa powyższe Matlakowski przelał na papier, pisząc o zmarłym przyjacielu swym Romanie Kowalewskim*), a ponieważ wszystkie w wyższym daleko stopniu i do niego samego zastosować się dadzą, więc też niemi kończę życiorys niniejszy; dodając wszakże to, że przyjaciela jego porównać było można do drzewka młodego, pokrytego na wiosnę kwieciami bujnym, owoc wprawdzie obiecującym, ale złamanym przedwcześnie od wichru; on sam zaś podobien był do jabłoni rozłożystej, na końcu lata, rozrosłej wspaniale, liściami gęstym chroniącej od skwaru i słoty, a pełnej owoców, z których część jedna już dojrzała była, gdy robactwo zaczęło toczyć pień -- i drzewo piękne zamarło, uschło z wolna, zanim wszystkie zawiązki owoców rozwinać się i dojrzeć mogły. Konając wydało wszelako trzy jabłka złote, cudnej piękności, które są: *Budownictwo ludowe na Podhalu, Hamlet* i to oto *Zdobienie*.

Dr. med. Józef Pcszke.

Warszawa d. 10 października r. 1900.

*) *Medycyna* r. 1876, str. 700.



Grób Matlakowskiego w Chodczu. (Podług fotografu).

ZDOBIENIE I SPRZĘT

LUDU POLSKIEGO

NA PODHALU.



Rycina 1. *Dom zakopiański p. Gnatowskiego w stylu podhalskim, w którym znajduje się wiele przedmiotów w dziele niniejszem odrysowanych (z fotogramu).*

W książce swojej: *Budownictwo ludowe na Podhalu* ¹⁾ wydanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie przed kilku laty, zwróciłem uwagę na charakterystyczny, bardzo wybitny, a odrębny styl drewnianych budowli, zarówno domów mieszkalnych, jak i szop, gumien, oraz budynków gospodarskich ludu, — zjawisko godne zastanowienia nie tylko etnografa, badającego wszelkie objawy życia ludowego, lecz i budowniczego — artysty, któryby zaopiekowawszy się motywami domorosłymi zechciał je rozwinąć, a odpowiednio zastosowawszy wprowadzić do konstrukcyi i upowszechnić. Ubocznie, mówiąc o wewnętrznem urządzeniu izby, napomknąłem, iż współrzędnie istnieje niemniej godna uwagi.

¹⁾ Kraków 1892, z atlasem.

bogata ornamentyka, która czeka na staranny opis i przystosowanie. Praca niniejsza stara się temu sprostać i tym sposobem zjawia się jako naturalne dopełnienie wyżej wymienionej książki.

Jest to godne zastanowienia, że przy tak znacznej liczbie, zwiedzających granitowe Tatry, wielbicieli tych stron, którzy ściągali tu od dawna, zjawisko tak ważne, jak bogate zdobienie sprzętów u ludu tutejszego, prawie nie zwróciło na się uwagi. Taki np. *Zejsmner*, pilny postrzegacz, a co ważniejsza naturalista, a więc człowiek włożony do porządnego obserwowania, przebywając długo wśród ludu podhalskiego nie dostrzegł nic takiego, co by go zajęło na równi z piosenkami, które przecież starannie pospisywał. Nawet świętej, nigdy niezapomnianej pamięci Chałubiński, choć tyle miesięcy, przez tyle lat przeżył pod Tatrami, obejmując wciąż z ludem, a jako lekarz i dobry, humanitarny człowiek, który przyszedłszy tu między prostaczki,—on, człowiek niemal z geniuszem—stał wśród nich jako równy, a przywdziawszy ich obyczaj, zwyczaj, do pewnego stopnia odzież, zglebiwszy i przejąwszy świadomie i z ukochaniem filozofią ludową—żyłszy się jak nikt z ludem dla prawdziwie apostołskiego działania—i ten Chałubiński, spisujący i zachwycający się z Paderewskim ludowymi melodjami, nie miał oczu, ani na tutejszy styl budowlany, ani na ornamentykę. Przypadkowo zwracała ona uwagę na siebie: dowodem np. rysunek z obrazu *Gersona*, który napotkałem, przewracając stare foljaly *Tygodnika Ilustrowanego* z 1860-któregoś r. na nim odznaczył malarz łyżniki i półkę. Być może, że tu i owdzie znalazłoby się rozrzucone szczegóły, lub nawet gotowe rysunki, spoczywające gdzie w tekach, lecz nasza opieszałość nie może zdobyć się na trudny krok wydania i spożytkowania notatek. Leżą póki pożar, lub po zgonie autora niedbalstwo spadkobierców nie zniszczy jego pracy. Zbierając, w czasie pierwszego pobytu mojego w Zakopanem w r. 1884¹⁾, szkice szczegółów do budownictwa tutejszego, widywałem szczególniej łyżniki, które mnie uderzyły, ale bliżej ornamentyką się nie zająłem.

Pierwszym, kto na ten objaw życia ludowego zwrócił uwagę należytą, znaczenie jego zrozumiał, z miłością gromadzić zaczął przedmioty, i nadał popęd w tym kierunku, była pani Marja Dembowska, która w czasie pobytu mego w 1886 r., znalazłszy w czasie jednej z wycieczek na Furmanową ozdobny łyżnik, bliżej zetknęła się z materiałem, a w mężu swoim, p. Bronisławie Dembowskim, znalazła gorliwego współpracownika. W tymże roku, przybyły poraz pierwszy do Zakopanego p. Stanisław Witkiewicz usiłowania te poparł,

¹⁾ W książce mojej „*Budownictwo na Podhalu*“ błędnie podano datę 1885, w którym to roku wiosną i lato spędziłem w Londynie.

oceniwszy odrazu nadzwyczajną ważność samej rzeczy, a przez swój zmysł artystyczny i umiłowanie sztuki i ludu, przez szeroki pogląd na objawy piękna, którego dowody dał później, w znamienitej książce „*Krytyka i Sztuka*”¹⁾, pchnął rzecz całą na szersze tory. Pod wpływem tego kierunku pani hr. K r a s i ń s k a, dzisiaj hr. R a c z y ń s k a, gorąco zaopiekowała się biedną „chłopską sztuką, która odtąd znalazła miłość i przytułek w zbiorach pp. D e m b o w s k i e h i p. hr. K r a s i ń s k i e g o. Zarówno z przedmiotów zebranych, jak i napotykanych po chatach, p. B u t o w t - A n d r z e j k o w i e z ó w n a wygotowała niemało dokładnych rysunków, z których rysunki mebli, odpowiednio zastosowane, dostały się wraz z zamówieniem na nie do miejscowej Szkoły Zawodowej, i wywarły w niej pożądaną nawrót do motywów swojskich, bliskich, wziętych z otoczenia bezpośredniego, z pod ręki ludu, dla którego właśnie owa szkoła szczęśliwie założoną została. Skierowany do Zakopanego przez C h a l u b i ń s k i e g o, p. Z y g m u n t G n a t o w s k i z Ukrainy, odzyskawszy zdrowie, wiedziony delikatnem, artystycznem poczuciem, zrobił krok dalej naprzód; nie tylko z zamiłowaniem zaczął skupować przedmioty tutejszej sztuki, wyszukując, ściągając zewsząd wszystko, co było pięknego, lub etnograficznie ciekawego, tak, iż wkrótce zgromadził u siebie wcale bogaty zbiór, lecz, co ważniejsza, w zapale pioniera nie wahał się, poświęcić pieniędzy na wprowadzenie w czyn tego, o czem inni, przytakując, że piękne, powątpiewali aby mogło stać się czem innem nad przedmiot ciekawości i osobliwego chłopskiego usposobienia w zbieraczu; p. G n a t o w s k i nareszcie zbudował dom w stylu podhalskim, a w nim pomieścił swoje zbiory, zastosowawszy z nich mnóstwo szczegółów ornamentacyjnych do ozdoby mieszkania i sprzętów: nie wahał się kazać odlewać w Krakowie kafli, kuć żelaznych rzeczy wedle rysunku ludowej ręki, — zamówić mebli u miejscowych górali.

Z drugiej strony p. W i t k i e w i e z, raz jako wpływowi pisarz i artysta, przez swoje stosunki z inteligentną publicznością potrafił wlać w wielu wiarę i ufność, że ta „sztuka chłopska,“ to nie żart, nie krotosiła dobrego, lub dziwaczego humoru, lecz rzecz poważna, mogąca w zupełności i z zadowoleniem wymogów piękna, zadosyć uczynić pewnym zapotrzebowaniom, a szafując hojnie i ofiarnie rysunkami, planami, radami, ułatwiał i szepcił dziwną nowość „chłopską“ wśród „panów,“ „góralską“ wśród ludzi „dólskich:“ — drugi raz znowu podczas kilkoletniego latem i zimą pobytu w Zakopanem, rozmawiając, przekonywując, dając rysunki, lepiąc modele z gliny, z gipsu, wpływał na lud miejscowy na rzeźbiarzy i stolarzy, wskrze-

¹⁾ *Krytyka i Sztuka u nas* (1884 — 1890). Warszawa, 1891.

szając w nich przekonanie już wytlale lub w zamarciu ¹⁾ będące, że to rzeczy po ich przodkach, to piękne rzeczy, to nie plugawe staroświeckie „działy,” nie „kwas,” nie „brzydź,” ale rzecz cenna, żywa, mająca przyszłość: budząc miłość ku swojemu, którą ocieranie się z „bładami twarzami” z Krakowa lub Warszawy, oraz pobyt, nauka w szkole, mającej tylko oczy na renesans lub greczyznę—latami wytrawiały, pacząc u rdzenia zdrowy i wrodzony zmysł ludowy, który potrafił wydać taki bujny kwiat sztuki.

Jest to zjawisko prawdziwie wyjątkowe, o którym czytającej części naszej społeczności może zdola dać pewne pojęcie niniejsza książka. Nie jest to jakiś pojedynczy okaz, jakiś wyrzeźbiony sprzęt, zdobna laska, udatna figurka świętego, malownicza szata, co zdarza się widzieć w odosobnieniu i w innych okolicach obszaru, — budząc podziw już we wsi rodzinnej samouczka, o którym echo dochodzi do pism codziennych: — tu sztuka jest zjawiskiem powszechnem, które ogarnęło zarówno dom, jak i meble, sprzęty, narzędzia, odzież, przyoblekając je w oryginalną formę, kolor, lub zdobienie; nawet najzwyczajniejsze przedmioty użytku, nieróżniące się od powszechnie znanych, np. plugi, sanie i t. d. zwracają uwagę na się wybitną zgrabnością, starannem wykończeniem w szczegółach, którem uderzają oko, gdy się je porówna z takimiż samymi narzędziami i sprzętami w innych stronach, roboty porządkowych i kolodziejów: te mają jakiś odmienny, piękny pokrój i odrobienie, tamte są ugwardane najgrubiej jak tylko być może. Niewszystko i tu, choć zdobione, zasługuje na miano pięknego: niektóre pomysły są grube i niezdarne; lecz są i bardzo ładne, piękne bez zastrzeżeń; wykonanie też, tak jak każde dzieło rąk ludzkich, bywa bardzo niejednostajne: spotyka się przedmioty z pięknym pomysłem, ale odrobione niedoleźnie, czy to skutkiem braku odpowiednich narzędzi, czy skutkiem niedbalości, czy skutkiem nieudolności płynącej z małego przygotowania i niedostatecznej technicznej wprawy; lecz trafiają się rzeczy wykonane wytwornie, z obmyślanym planem z góry, przeprowadzonym z całą konsekwencją, i z taką pamięcią i dbałością, że robotnik nie zmylił się ani razu, czego dowód widać w tem, że nie ma ani śladu poprawki, w postaci łatania, przybijania gwoździami, naklejania kawalków odlupanych przez zapomnienie i t. d. Symetria, współodpowiedniość części, rozkład szczegółów, bywają zadziwiająco przestrzegane i przeprowadzone w całości budynku, czy sprzętu, bez zarzutu.

Doniosłość tego rodzaju sztuki ludowej, nie przypadkowej, lecz powszechnej, odrębnej, tradycyjnej, wkraczającej w rozmaite dziedziny życia, łatwo ocenić może każdy nieuprzedzony. Przedewszystkiem jest to wielce miły prze-

¹⁾ Letarg.

jaw zachowania czegoś z dawniejszych czasów. Choć taki głęboki pisarz, jak Spasowicz, porównywując naród nasz z drugim pobratymczym, nazwał nas do rdzenia konserwatywnymi—jeśli nie jest płytkim sąd jednostki, która z zawodu swego lekarskiego, obracała się wiele w przeróżnych warstwach i z tego bezpośredniego postrzegania jedynie czerpie swe wnioski—ośmieliłbym się utrzymywać, że Polacy są najmniej zachowawczym narodem z pomiędzy wszystkich główniejszych narodów Europy. Objawów bezwładności, inercji, nieoddzielnej od martwej materji, posiadają oni nie mało: lecz zachowawczości, t. j. świadomego, co lepsze, albo tego, co nie gorsze od cudzego, ale inne, ale domowe i swoje—tej siły jest u nas niezmiernie mało. Oslawieni z konserwatyzmu są Anglicy—i ci istotnie są zachowawcami: na Bermudach, Vancouver, w Natalu i u stóp Himalajów, anglik jest ten sam:—ale i inne wielkie narody Europy: Francuzi, Niemcy, Rosjanie, są mądrze konserwatystami; trzeba to widzieć w życiu. U nas, począwszy od Stanisława Augusta, szyderstwem, filozofią, przykładem, armjami i kodeksem Napoleona, wszystkimi potęgami burzono swoje, bez sądu czy dobre, czy złe—dość że dawniejsze. Zdaje się, dwie tak rodzime dziedziny, w których bodaj powinnibyśmy mieć coś swego: rolnictwo i myśliwstwo, powinnyby ująć cudzoziemszczyzny; złudzenie! i w tem nie ma żadnej tradycji. Gdyby Mickiewicz zmartwychwstał i przyjechał do nas zapolewać na szaraki, jak o tem marzył, zdumiałby się: w wielu okolicach już tak nie polują; raz do roku zjeżdża, po prusku, banda sproszonych gości, kładą pokotem kilkaset zajęcia, które gospodarz, po prusku, wysyła na sprzedaż do Berlina lub do Warszawy. Jak czynią pierwsze skrzypce w okolicy, tak i pośledniejsze instrumenty. Tylko u prawdziwej arystokracji można spotkać tradycję rodową i krajową w poszanowaniu. Zginęły stare dwory, lub pałacyki wzorowane na Łazienkowskim pałacu: zapanował styl stacyj kolejowych. Spotkać w domu szlacheckim dawniejsze meble, choćby z czasów Księstwa Warszawskiego, lub stare sztychy, albo choćby listy byłych wojskowych z lat trzydziestych, stanowiło dla mnie prawdziwą rzadkość: wśród licznych rozjazdów po kraju, dwa razy tylko (u pani Jun...lowej i Or...żyny) udało mi się widzieć stare zabytki: jeszcze częściej nadybiesz je za Wieprzem, za Bugiem, ale ku pruskiej granicy, to prawdziwy fenomen. Zupelny brak wszelkich, nawet już nie dzieł, ale drobiazgów sztuki, i wszystkiego, co dawniejsze, czy w otoczeniu, czy w zwyczaju. Cóż powiedzieć o ludzie! W pewnych okolicach, np. na Kujawach, młodsze pokolenie, nie tylko nie zachowuje ale zgoła nie wie wcale ani o Sobótee, ani o obrzędach ślubnych i t. p.: dożynki, ponieważ teraz na zboża wytworców ciężkie czasy, a coś kosztują, zostały zaniechane. W miarę rozsprzedawania, lub podziału wsi szlacheckich i separacyj uwłaszczonej, znikają stare, słowiańskie wsi, ciągnące się długo, dom koło domu, a pozostają obrzydłe „k-

lonje.” zmieniając bajecznie krajobraz. Piękne ubranie staro-kujawskie stało się taką rzadkością, iż trudno gdzie od kogo wypożyczyć je do sfotografowania: wszystka ludność męska ubrana w pruskie szpencery i inną tandetę masami z Prus wwożoną. W mowie nawet raz i zatrzesienie wyrazów niemieckich. Tem przyjemniej uderza zachowanie starej tradycyjnej sztuki, zwyczajów, starej mowy, w stanie czystym i dobrym do badania, tu na Podhalu. Ma to dla nas podwójne, a nader ważne znaczenie; jedno naukowe, drugie praktyczne.

Co szczególnie odróżnia umysłowość nowoczesną od dawniejszych umysłowości, choćby nawet z tak niedalekiej przeszłości, jak z zeszłego stulecia, to ożywiająca ją uczucie sympatji, zaciekawienia do wszystkiego, co przedstawia interes naukowy, bez względu na uboczne okoliczności: nie jakiś dany kraj, nie dana epoka, lecz wszystkie kraje, wszystkie czasy zatrzymują umysł przy sobie: poraz pierwszy wszelkie taktły nabrały w oczach ludzkości równouprawnienia; po nasyceniu się światem greckim, łacińskim,—potem dobą Odrodzenia, przyszedł czas na wszelkie literatury, na wszelkie sztuki z indyjską i japońską, na wszelkie cywilizacje, z chaldejską i egipską, na wszystkie języki i gwary. Szczególniej powszechną, i obejmującą wszystkie części świata, stała się folklorystyka, w której Anglicy i Amerykanie, badaniami szczegółowemi o wszelkich ludach świata, a nie w mniejszym stopniu uogólnieniami, wyciągniętemi z tych badań, zaprzodowali całej Europie. My grubośmy się pospóźniali i w tej, zdaje się, tak bliskiej nam gałęzi; wyprzedzili nas Czesi i Rosjanie co do swego ludoznawstwa, to też nie zdarzy się spotkać przytoczonej jakiejś baśni, podania, zwyczaju naszego w cudzoziemskiej książce: brak porządnego systematycznego zebrania we właściwej, t. j. już trochę w przeszłości leżącej chwili, brak naukowego opracowania zebranego materiału, podanego Europie w języku dla niej dostępnym, jak czynią Rosjanie i Czesi, ze swojemi badaniami i wynikami, spowodował, iż nasze rzeczy zajmują ostatnie miejsce wśród słowiańskich po Bułgarach i Serbach, po Łużyczanach, choć przecież nie dowodzi to, aby objawów odrębności zwyczajowych, podaniowych i t. p. u nas nie było. Powinniśmy się chociaż zakrzętnąć w obrębie sztuki ludowej, pozbierać starannie, co się przechowało i opracować póty, póki czas. Oderwane fakty, pojedyncze rysunki po czasopiśmie, szczegóły, które przygodnie zablakały się na obraz głośnego naszego malarza, nie mają zgoła żadnego znaczenia w ogólnej folklorystyce: po kilku latach, pozbieranie tego rozprósnionego materiału już dla Polaka jest kłopotliwem; a cóż dopiero dla cudzoziemca? Lecz przede wszystkim my sami powinniśmy przejąć się większem zamiłowaniem, a chociażby pozbyć się obojętności, nie licującej z nowymi prądami: oto znany pisarz snuje powieść, której część akcji odbywa się u stóp Tatrów, w Zakopanem; lecz nie zadal sobie tyle trudu, by choć dowie-

dzieć się o miejscowych nazwach rzeczy czysto tutejszych, tylko ucieka się do omówień: „*plaskie bec:ulki do mleka.*” Nie tak postąpił Daudet, gdy pisał „*Numa Roumestan.*” lub malował swoich taraskończyków: on umyślnie pojechał, by zebrać dane do oddania charakteru lokalnego. I tak dzieje się ze wszystkim. Wszystkie piękne wille i kosztowne hotele na wybrzeżu Śródziemnego morza — mają zwrócone lice na to, co tam najpiękniejszego: na ultramarynowe morze, lulaszeze i wiecznie żywe; za ten widok w hotelu płaci się drożej. U nas wille, bo sam Dwór Towarzystwa Tatrzańskiego, zwrócone są licem do ulicy, z pokrzywdzeniem kanonu tutejszego budownictwa ludowego, wedle którego czolo domu patrzeć powinno na Giewont. Nie na eteryczne turnie powinni patrzeć zjeżdżający goście, lecz na ulice! Dom Muzeum Tatrzańskiego, przybytku dla okazów tutejszej przyrody i twórczości ludowej, zbudowano także twarzą do ulicy i w stylu właściwie nietutejszym i t. d.

Znaczenie sztuki tutejszej dla nas mogłoby być dużem, gdyby chciano przejąć się doniosłością tej sprawy. Okazy przechowywane przez tutejszych zbieraczy same przez się mają, wzięte z punktu estetycznego, znaczenie pośrednie, choć ornamentyka ich jest i bogata i charakterystyczna, choć sztuka przejawiała się w wielu kierunkach, stosunek jej do takiej np. greckiej lub łacińskiej, jak ją widzimy odkopaną w Pompejach, jest jak bogatej flory śródziemnomorskiej, z pysznemi asfodelami, hjacyntami, scyllami i t. d., do uboższych melchów tatrzańskich. Znaczenie jej jest raczej potencjalne, t. j. spoczywa w motywach, w zaczątkach, jakie łatwo rozwinąć w prawdziwie piękne i okazale rzeczy; chodzi o przeszczepienie i o rozwój tego, co jest gotowe. Da tu się wyzyskać prawie wszystko, aż do języka, aż do odzieży. Co zrobić można ze stylu podhalskiego w budownictwie drzewnym, dowiódł tego p. Witkiewicz na dwóch wystawionych willach: p. Gnatowskiego, i p. Chrostowskiego; dowiódł tego architekt i nauczyciel tutejszej szkoły p. Zygmunt Dobrowolski czterema prześlicznemi planami, wysłanemi w r. 1894 na konkurs budowniczy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Pan Neuzil dowiódł, jakie oryginalne meble można wyrabiać posługując się wzorcami tutejszemi; lecz niewyzyskano w tym kierunku ani czwartej części, dla braku okazów w dostępnem jakimś miejscu. Że sprzęty podhalskiego pokroju znajdują lubowników i popieraczy, świadczy pośród innych i ten świeży fakt, iż p. minister Madeyski zamówił w Szkole meble dla siebie. Należałoby jednak zrobić przegląd w Szkole przyjętych typów, zbliżyć je o ile tylko można ornamentem do ludowych wzorów, a rozmiarów (np. stolki) do wymogów fizjologicznych (średnia wysokość goleni, długość ud, wysokość łopatek od siedzenia powinny być miarą wysokości nóg, oparcia i t. p.)—wyrabiają tu stolki dla ludzi mniej niż przeciętnego wzrostu.

Zwłaszcza stół tutejszy jaworowy, zamaszysty, rozkraczysty, zawadjacki, ze stolnicą wykładaną hebanem, lub ciemnym orzechem, ciemną oliwką, zrobbilby na każdej wystawie wrażenie, a jako stół do przedpokoju i sieni pańskich rezydencyj, do gabinetów lekarskich i adwokackich i t. d., jest jakby stworzony. Skutkiem oryginalności budowy, i licznych części składowych, można go ozdabiać prawie bez końca. Łóżka góralskie są wogóle ubogie, lecz wnoszą jedną nowość: oto nogi spodem są do siebie zbliżone, przez co łóżko otrzymuje świeżą formę, jakby kolebki. Lecz przez wprowadzenie pleców sankowych, nadzwyczaj urozmaiconych, i co do postaci i co do ornamentu, zyskuje się nieprzeliczoną ilość rozmaitych odmian łóżka. Te same sanki dają nieprzebraną liczbę motywów na krzesła i kanapki do stołowych pokojów: niektóre są tak piękne i wykwintne, iż żywcem przeniesione mogą być na meble. W łyżnikach istnieje znowu niewyczerpany materiał na nagłówki (*kopfsatyki*) do szaf, kredensów, półek, pieców i innych mebli, na ramy do obrazów, do zwierciadeł i t. d. Oszczepki, zwłaszcza odcisnięta ich forma, t. j. pozytywa, a nie negatywa, wyobrażona tu w tablicach, daje wspaniałe motywy na ramy, oraz na uderzające swoją oryginalnością katle. Listwy (p. Tablice) gwałtem napraszają się na półce dookoła pokojów jadalnych, jako motywy na konsole. Półki rzeźbione i urozmaicone dają ozdobne półki do książek, do drobiazgów (*bibelots*). Szczególniej wspaniałą jadalnią można skomponować, przenosząc żywcem prawie góralską świetlicę: dajcie wspaniałą powalę z rzeźbionym sosrębem i sosrębikami, z deskami w szatkownicę z różnobarwnego drzewa; dajcie fazy głębokie, malowane w polichromją; przyczepcie do ściany obiegającą pokój listwę polichromowaną, jak tu bywa, i bogato rzeźbioną, dla stawiania na niej talerzy, srebra, porcelany i t. d.—dajcie spodem wykładanie (*boiserie*) ryzowane w tutejsze łyżniki, i meble obmyślane na tutejszych wzorach, do tego okna kolorowe— a będzie wspaniała jadalnia, oryginalna a swojska.

Szczególniej jednakowoż cennemi wydają mi się tutejsze spinki i sprzążki dla jubilerstwa, dając gotowe, bardzo oryginalne, świeże i piękne motywy na agrafy, spinki, bransolety i t. d.: niektóre ze spinek, np. pomysłu Krzeptowskiego, ozdobione drogiemi kamieniami i brylantami, uderzą każdego, obdarzonego wrażliwszem okiem, zwłaszcza przy zadziwiającej jałowości pomysłów u nas w tej gałęzi rzemiosła. Wiele z ozdób na łyżnikach przenieść łatwo do wyrobów z żelaza kutego, które np. w Warszawie znakomicie rozwinięły się za staraniem kilku inteligentnych i gorliwych fabrykantów. Niemaló z motywów nadaje się na wzorzyste desenie na końcach ręczników, obrusach, bieliznie stołowej i t. p. Osobliwie też winnaby stosować podhalskie ornamenty geometryczne i roślinne Szkoła Koronkarska w Zakopanem,

odpowiednio je zmodyfikowawszy, stosownie do swoich potrzeb. Wogóle niema gałęzi rękodzielnictwa, w którejby niedało się wprowadzić z korzyścią tutejszych motywów.

Z odzieży tutejszej zaczęło torować sobie uznanie obuwie, i słusznie: jest to wysoce higieniczne obuwie, nie krępujące prawie nogi (prócz obwiązania rzemykami nad kostką; zato samą stopę, a zwłaszcza *nart*, (ludowy wyraz, na oznaczenie najwyższej części grzbietu stopy, to co określamy przez opisanie w rodzaju: „na podbieciu,” „na przygubiu”) zostawia swobodnie. Prócz strony higienicznej kierbce wysoce uwydatniają piękną budowę stopy, zręczność chodu. Dla dzieci kierbeczki są najdoskonalszem obuwem na lato, a do tego najtańszem: powinnyby z tego skorzystać kolonje letnie. Dziwić się należy, iż w tutejszych zakładach leczniczych i restauracjach nie ubiorą usługi, kąpielowych i t. d. w malownicze, a co ważniejsza, czyste i białe jak śnieg, spodnie i cuchy góralskie, zamiast wytartych i brudnych fraków; gdyby to było nie z tej strony Tatr, lecz z tamtej, Madziarowie wyzyskałoby nie omieszkali tej odrębności i malowniczności obleczenia ku zachwytowi swoich współrodaków, tak samo zrobiliby Niemcy: tylko u nas boją się wszelkiej oryginalności, póki nie przyjdzie z Wiednia lub z Berlina.

Właściwie wykraczam po za granice swojego przedmiotu, gdy potrącam myśl, iż język ogólny zyskałby niezmiernie, gdyby specyjalni pisarze w swoich zawodach zechcieli wprowadzić, lub zastąpić niemieckie terminy, swojskimi równoznacznikami. W kowalstwie tu powszechnie mówi się: z warka, z w rzać, na oznaczenie tego, co u nas nazywają wyrazami: *szevjsowanie s:wej; sować*; dębienie i dębić, zamiast *garbowanie i garbować*; wiejadlnia, u nas *szufla do wiania*; śliwac (u Wujka w przekładzie Pisma Św. śliwacz), zamiast *giser*; krajownica, staroświecki wyraz ma znaczenie *hebla*: „*Schlichthobel*,” listwownik; spust, dziś *hebanek*, zakładnik, hebel do robienia *felen*; zmysła, przyrząd stolarski do zaznaczania linii równoległej, dziś *strajchawisowka*, przyrząd ciesielski i mularski do zaznaczania pionu (ołowianka na sznureczku); łatniak, świder do łat; krążak, szatkownica.

Którykolwiek z naszych pisarzy z zakresu geografji i geologii dobrzeby się zasłużył wprowadziwszy do naukowego naszego języka i raz na zawsze ustalił pewne wyrazy tutejsze, które zapełniłyby szecerbę w ogólnym języku; naród nasz zamieszkały na równinie, nie mógł mieć tyle terminów odnoszących się do gór, co lud górski, który przynosi naturalny a rodzimy dorobek: turnia, oberwany nagi szczyt skalisty; upłaz, wiereh, czuba; piarg okruchy skał, zamiast *szuter*; plosa staw alpejski; żabice, okrągłe kamienie w łożyskach potoków (angielskie *pebble*); skrzyżale, wielkie, gładkie lu-

pane taffe kamienne, flizy: grań, ściana skalista, i wogóle ściana stereometryczna i t. d. Wiele wyrazami z bogactwami się meteorologia (dujawa, wichur wyjący: siekawica, wichur zacinający krupami lub śniegiem; obłoki siarżane, klaczkowate obłoczki, pływające jak siara w młodem mleku: pomłody, drobne, podługowate obłoki na deszcz: siekanki, obłoki jakby posiekane: sreni, szkliwo na śniegu, powstające skutkiem tajania śniegu dniem pod wpływem słońca i zamarzania nocą: lodownica, gołoledź: opaść, wszystko, co opada z atmosfery: okiść, śnieg zawisły na iglastych drzewach: sadzelina, szadz, t. j. para z powietrza zamarzająca na drzewach w mroźne, pogodne noce: spląty, lodem poobmarżane brzegi, tamujące bieg wody w rzece: planie, kaluże wody po deszczach w polu i rozlane płytkie wody: kápliny, przetainy śniegu pod wiosną w miejscach wystawionych na słońce: wiatr halni, alpejski *Föhn*: zmiąk, odwilż i t. d.). Prześliczny wyraz, a prosty: wietek, zamiast ostatnia kwadra; zornica, Wenus planeta. Pomijam wiele wyrazów botanicznych i zoologicznych, któreby powinny wyprzeć terminy kute z niemieckiego przez niedbałych tłumaczy. Poruszam tę sprawę tylko mimochodem, którą warto rozebrać obszernie, jak na to zasługuje, skoro wyjdzie z druku słownik Bronisława Dembowskiego.

Pracy niniejszej nie pozwoliły mi dokonać tak, jak mam o niej pojęcie i jak powinna być dokonana, dwie przeszkody: choroba i nieprzygotowanie. Pierwsza nie pozwoliła mi zwiedzić szerszego obrębu, a przedewszystkiem Orawy,—najbliższej i żadną granicą nieoddzielonej słowackiej ziemi, sąsiadującej od zachodu z Podhalem: dalej Liptowa i Spiżu, komitatów położonych za wysokimi graniami Tatr ku południowi: oraz ziem ku Babiej Górze, Żyweowi i Śląsku z jednej, a ku Szczawnicy z drugiej strony. Skutkiem tego brak mi danych, czy ornamentyka podhalska przechodzi granicę Podhala, jeśli przekracza je, to jak daleko: jakie są granice obrębu: czy rzeczywiście Kościeliska, Zakopane, Oleza stanowią środek tego obrębu artystycznego, przedstawiając przejawy w najwyższym rozwoju i natężeniu. Ograniczony raz poraz w swej pracy, nie mogłem też zebrać wszystkiego, co godne uwagi. I tak pominąć musiałem odzież, której najprzód trzebaby przez czas dłuższy zbierać okazy, a zwłaszcza polować na okazy dawniejszej daty. Wyroby ceramiczne również pozostawiłem na boku, a to dla względów następujących: Spotyka się tu gęsto po chałupach bardzo ładne bańki pękate z czarnym a długim gardziółkiem, albo okrągłe, brzucho, albo przyplaszczone nieco z dwóch boków, żółto-gliniaste lub bure, polowane, z ozdobami; dalej talerzyki również ładne, oryginalnie zdobione; przykłady czytelnik znajdzie na stole w tekście niniejszego dzieła (ryc. 110): lecz nie umiano mi dokładnie powiedzieć jakiej roboty są te bańki i talerze tak

ładne, że godne zbierania nie tylko przez etnografa; nie wiedząc ogniska fabrykacji, wolałem je pominąć, niż mylnie zaliczyć je do sztuki tutejszej. Oprócz tego spotyka się też i tutejsze wyroby gliniane: garnki, misy, donice, dzieże, przywożone na targowice z okolic, gdzie istnieje glina; są one bardzo grubej roboty i z bardzo lichej, kruchej gliny, zupełnie odmiennie od tamtych; oczywiście i one zasługują na uwagę, ale tylko z punktu etnograficznego. Trzeba było zwiedzać miejscowości gdzie robią jedno i drugie ze wspomnianych wytworów, i dopiero wciągnąć je do książki, na co sił mi brakowało.

Druga, może jeszcze ważniejsza przeszkoda, którą tylko w części pokonać mi się udało, wypływała z nieudolności artystycznej, z niemniejności rysunku. Gdy chodzi o przedmioty sztuki, o szczegóły etnograficzne, tam środek ciężkości polega na doskonałym, prawdziwie artystycznym rysunku. Zaraz z góry zaznaczam, że fotografia oddaje nader ograniczone usługi, dlatego, że większość przedmiotów jest ciemnych, ciemno-zielonych, ciemno-cisawych, czerwonych, a wszystkie te barwy wychodzą w odbiciu czarno, skutkiem czego ornament, o który właśnie chodzi, jest niewyraźnym; z drugiej strony bez wielkiej wprawy i użycia światła magnezjowego, fotografowanie mebli, nieruchomie umocowanych na ścianie, jest w ciemnych izbach zgoła niemożliwym; na koniec, jeśli dodam rzadkość dni słonecznych, rozmaite przypadki z kliszami, poruszenie głową wstydlivych, właśnie w chwili zdejmowania, czytelnik nie zdziwi się, iż podane tu dwadzieścia-kilka fotogramów, za ledwie wybrane zostało najmniej ze stu zdjęć chybionych. Czasami los sam zawiąże się: umyślnie z fotografem jeździłem do Chochołowa i Działniska, by sfotografować stary dom Bafji; zrana, było pięknie, lecz ledwieśmy ustawili przyrząd, zaczął padać deszcz, w rok później dom zburzyli, a nawet stary z zeszłego wieku sosrąb, po który p. Dembowski umyślnie jeździł, by go nabyć do zbiorów, schlebowali, choć zbieracz kilkakrotnie zapowiadał gościom, iż przy rozbiórce domu za sosrąb dobrze zapłaci. Pozostaje tedy rysunek, jako najlepszy, najodpowiedniejszy do uwydatnienia ornamentu, lecz rysunek musi być artystyczny, doborowy, wykwiśnięty, jeśli ma oddać okazy i wiernie i pięknie, do tego trzeba artysty i nielada artysty. Pojęli to oddawna zagranicą; taki Caldecott, rysujący książeczki dla dzieci w Anglii, jest znakomitym artystą; taki Müller, rysujący kolorowe tablice do *Flory Niemieckiej Schlechtendal'a*, to był prawdziwy majster w swoim rodzaju. U nas bawi w Zakopanem niemało pierwszorzędnych malarzy, lecz ich sfery działania są zgoła inne, cele czysto malarskie. Z tego punktu widzenia ocenić każdy musi wielkie poświęcenie, jakie zrobił p. Witkiewicz, gdy zechciał dać mi kilka wytwornych rysunków. Za jego zachętą zabrałem się sam do rysowania i jak umiałem, odwzorowywałem z natury okazy. Gdy-

by rozporządzać środkami jak wydawcy dzieła „*Oesterreich in Wort und Bild*” — można by było zwiedzić cały ten zakątek, zrysować wszystko aż do typowych twarzy, niesłychanie oryginalnych, to jakby babich, wygolonych, bezwasych i bezbrodych, to męskich, pięknych i t. d. wszystko to kiedyś przydałoby się pokoleniom, jak nam rysunki odzieży i strojów staroświeckich Matejki lub Kossaka. A cóż dopiero mówić o typowych twarzach: weźcie ubogą ludność wielkich miast, robotników fabrycznych: co za zwyrodnienie! blade, białe oczy, jakieś bez kroju czaszki, gajdowate nosy, grube wargi, kłyszawe kolana, koślawe stopy: całość niezgrabna, ciężka i inna; żadnego typu. To wyraziste nasze twarze, wąsate i smukłe, rzeźbiste i typowe, co je widziałem zarówno w medalionach ornamentacyjnych w Ratuszu Gdańskim, w kaplicy Borkowskich w Janowcu, jak i na obrazach Matejki — giną i rzadnieją. Co do ludu, tu karykatura, humorystyka i złączone z niemi: przesada, podkreślanie brzydoty, opilstwa, i t. d. nagromadziły fałszywe wizerunki naszego ludu — starannie wypuszczając odwrotną stronę medalu. Otóż pomimo odczucia tego wszystkiego, nie mogłem temu podoleć; może kiedyś znajdzie się miłośnik i na typy ludowe, oryginalne, wszystko jedno, brzydkie, czy ładne, który je tu wybiera, aby godnie figurowały obok typów Chelmońskiego, Fałata z innych stron kraju. W części zaczął tę pracę p. Witkiewicz w swojej: „*Przełęcz*”¹⁾.

W rysunkach swoich starałem się o bezwzględne naśladowanie prawdy, bez żadnych upiększeń, dopełnień, owszem z zachowaniem wszelkiej przypadkowości, indywidualności błędów i t. d. Wiele etnograficznego materiału, już zebranego u nas, jest bez żadnej wartości, bo zbieracze samowiednie fałszowali piosenki, widoki, z umysłu je upiększając; jako przykład wskażę np, widoki Ordy.

W pracy niniejszej wielką pomoc oddał mi p. Stanisław Witkiewicz, za którą trudno mi nawet określić słowy swoją wdzięczność. P. Wacław Zaborowski, szurzy mój, niezmordowanie fotografował dla mnie, a także Mlle Houcque, z zakładu p. hr. Zamoyskiej, — p. architekt Zygmunt Dobrowolski serdecznie zgodził się zrobić wewnątrz izby ściśle wedle rzeczywistości, p. Paszkiewicz zechciał narysować parę tablic — wszystkim składam gorące podziękowanie. Z drugiej strony piszę się dłużnikiem pp. Dembowski, p. Gnatowskiego, p. Adama hr. Krasieńskiego, p. Neuziła, którzy laskawi byli udzielić mi z całą gotowością i chętnością okazów ze swoich zbiorów do przerysowania.

¹⁾ Na przełęcz. Wrażenia i obrazy z Tatr przez Stanisława Witkiewicza. Warszawa, 1891: z 135 drzeworytami w tekście.

Wyrazy i terminy gwarowe, które czytelnik napotka w niniejszej pracy, są owocem własnego mojego zbierania: za znaczenie ich, za należyte spisanie i wierne oddanie wymawiania mogę zaręczyć, gdyż wielokrotnie o każdy wyraz wypytywałem zawsze kilka osób, aby osiąść dobrze znaczenie jego, gdy rzecz tę pisałem i oddałem do druku, jeszcze nie ukazał się słownik Bronisława Dembowskiego ¹⁾.



Ryc. 2. Ściana szczytowa domu wyobrażonego na ryc. 1, (z fotogramu).

¹⁾ „Spis wyrazów i wyrażeń używanych na Podhalu, jako uzupełnienie poprzednich zbiorów, w „Sprawozdaniach Komisji językowej Akademii Umiejętności“ Tom IV, Str. 301—317 (r. 1891). Znacznie pomnożony Słowniczek ten wydrukowano w tychże Sprawozdaniach w r. 1894 (T. V. Str. 339—444) p. n. „Słownik gwary podhalskiej.“— *Przyp. wyd.*



Część ogólna.

Przyznaję, iż uporządkowanie motywów ornamentacyjnych i ozdób, podane w niniejszym opisie, nie zadawała mi nie samego, jako oparte na czysto zewnętrznej zasadzie: bez porównania ciekawszą i naukową, byłaby systematyka na podstawie porównawczej z uwzględnieniem motywów, jakie badania nad ludoznawstwem świata całego, oraz historyczne opracowania o zabytkach sztuk pięknych u starożytnych ludów (wielkie dzieło Perrot i Chipiez), oraz nowożytnych narodów, dalej sfragistyka, ceramika i t. d. nagromadziły. Nie ulega wątpliwości żadnej iż w tym obrębie objawiania się twórczej siły duszy ludzkiej, istnieją zależności i prawa ewolucyjne, podobne do tych, jakie z powodzeniem nowsza nauka wykazała w dziedzinach języka, wierzeń, mitologii. Byłyby to niezmiernie ciekawe poszukiwania, nad zestawieniem, porównaniem motywów ornamentacyjnych i motywów melodyjnych różnych czasów i różnych ludów: być może, że studia tego rodzaju już istnieją i tylko dla mnie pozostały nie wiadomymi. W każdym razie podobna klasyfikacja motywów podhalskich możliwa byłaby jedynie przy wielkiej erudycji, odczytaniu się i poświęceniu sporej ilości czasu, na co wszystko mnie nie stać.

Możnaby też uporządkować szczegóły zdobienia tutejszego na podstawie chronologicznej, a przynajmniej usiłować wskazać, o ile na to pozwalają dane, jakie motywy są najstarsze, które zaś pojawiły się tu późno: lecz i takie obrobienie wymagałoby niemało czasu, wycieczek po kraju, oraz narad ze starymi góralami, którzy w braku dat wrytych na samych przedmiotach, sami jedni zdołaliby dostarczyć niejakich wskazówek, dzięki tradycjom rodzinnym, daleko nieraz wstecz sięgającym, i żywej pamięci tutejszego ludu.

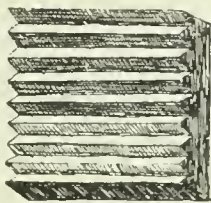
Ozdoby tutejsze podzielić można na geometryczne, roślinne, oraz zwierzęce i antropomorficzne.

A. Ozdoby geometryczne.

Są najbardziej rozpowszechnione, najcharakterystyczniejsze i najrozumialsze ze wszystkich. Podam je tutaj, przechodząc od prostszych do bardziej złożonych, oznaczając imionami, terminami, któremi lud tutejszy je nazwał, i pod którymi je zna. Jedne z nich są powszechnie znane, tak że im nie grozi, przynajmniej w najbliższej przyszłości, wygładzenie z ludowej pamięci; natomiast inne są mało znane: słyszałem je wypadkowo od jakiegoś starego gazdy, lub starej gąździny, pamiętających stary porządek, „drzewie czasy,” kiedy twórczość i pomysłowość ornamentacyjna szła w parze z niesłychaną twórczością i giętkością językową. Jest to bowiem ciekawy fakt, jak bogatą jest tutejsza gwara ludowa i to nie tylko w wyrazy słowiańskie, wspólne prawem sąsiedztwa z ograniczonymi słowakami i „ruśniakami,” lecz w wyrazy niewątpliwie utworzone na miejscu w chwili, gdy zjawiała się potrzeba, a zawsze z przedziwną lingwistyczną logiką i zgodą z prawami, nieświadomie odczuwanymi, w taki sposób, w jaki w roślinie na pewnym miejscu, i zawsze w pewnej postaci, wyrastają pewne twory, zgodnie z rodzajem rośliny: tu prawie niema pomyłki; tymczasem wiadomo powszechnie co za cudaki i potwory, przywodzące zawodowych językoznawców do rozpacz, przez pogwałcenie wszelkich praw, powstają, skoro do tworzenia, a raczej kucia wyrazów biorą się ludzie z wykształceniem. Otóż terminy posłyszane nabożnie notowałem i tu przechowuję, tem bardziej, iż w miarę rozwoju tutejszej sztuki, ilość osobnych terminów nie tylko nie zmniejsza się, ale owszem wzrastać będzie. Tymczasem młode pokolenie rzeźbiarzy i rzemieślników, nawet rodem z tej okolicy, po otrzymaniu pierwiastków ogólnego wykształcenia, tak dalece wynaturza się i zatracą rodzimą nieć krwi ze swoją głębą, iż nie tylko wprowadza pstrocinę niemiecką, ale nawet z gruntu zapomina tutejszych wyrazów. Tak jak rzeczy dziś stoją, bardzo niedługo wyrazy gwary podhalskiej, zebrane przez p. Bronisława Dembowskiego, staną się tak niezrozumiałymi tu, w swoim gnieździe, jak są niemi dla mieszkańców z naszych wielkich miast.

Linja prosta, choć często występuje w ozdobaach, jest sama przez się tak uboga, iż zjawia się jedynie jako rzecz uboczna i dopiero w złożeniu nabiera samodzielnego znaczenia. Odróżnić można następujące postaci z niej powstałe:

1. **Skiby**, (ryc. 3 *a* i *b*) t. j. równoległe, wyrżnięte linje proste, spotyka się częściej jako podrzędne polinowanie innych motywów. najczęściej np. kielichów kwiatowych. Jako samodzielne występują w postaci ukośnie zradlonych stajau, znanych figur, służących do okazania astygmatyzmu (ryc. 4). Szczególniej często napotyka się skiby skośne na sosrębach po bokach środkowego otoku. (Patrz rysunki Sosrębów w pracy mojej „*Budownictwo lu-*



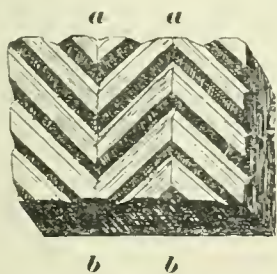
Ryc. 3a. *Skiby poziome.*



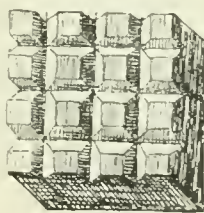
Ryc. 3b. *Skiby pionowe.*

dowe na Podhalu”). Na uwrociach, t. j. w linjach *a b*, (ryc. 4), linje spotykają się ze sobą, lecz to nie stanowi zasady bez wyjątku.

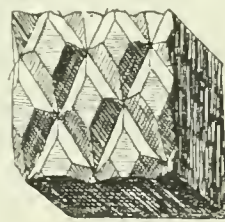
2. **Recica** (od wyrazu *recica*, oznaczającego turzeszoto, wyraz tu nieznan; ztąd pochodzi *recicować* siacie t. j. cedzić, przesiewać zboże przez przetak) powstaje skutkiem skrzyżowania linij prostych, i bywa dwojaką: prostą (ryc. 5) i koziatą czyli „na kozę” (ryc. 6); pierwsza, gdy linje krzyżują się ze sobą pod kątem prostym; druga, gdy pod kątem ostrym, tak



Ryc. 4. *Staja skib skośnych.*



Ryc. 5. *Recica prosta.*

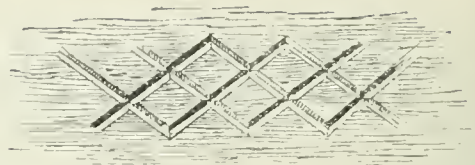


Ryc. 6. *Recica kozia.*

że powstają romby, w podhalskiej gwarze „kozy;” ztąd koziaty — romboidalny. Recica samodzielnie występuje bardzo często w przesuwanych dźwirkach (dźwirze = drzwi) spotykanych w każdej góralskiej t. z. półce, a nadto, na innych przedmiotach.

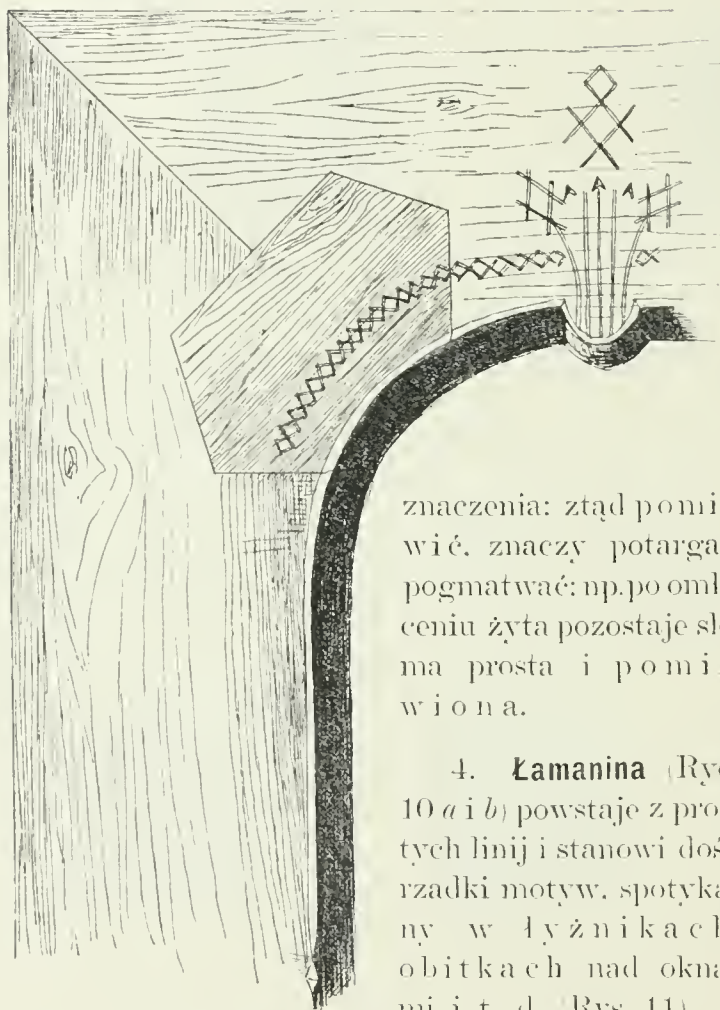
3. **Mirwa** (ryc. 7) jest to zmieniona recica, różniąca się od niej tylko tem, że długość bardzo znacznie przenosi szerokość; jest to motyw

niesłychanie częsty na odzieży w wyszywaniu i wtedy bywa o tyle zmodyfikowany, że z linii prostych, na końcach powstają małe pętelki, oczka. (ryc. 8).



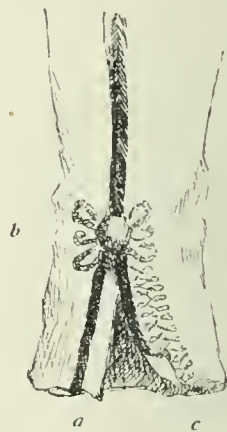
Ryc. 7. *Mirwa.*

Wyraz *mirwa*, znaczy w ogóle „targani-
na;” ten sam źródłosłów,
co ogólnopolski *mierzwa*, ale odmiennego



znaczenia: ztąd pomir-
wić, znaczy potargać,
pogmatwać; np. po omłó-
ceniu żyta pozostaje sło-
ma prosta i pomir-
wiona.

4. **Łamanina** (Ryc. 10 *a* i *b*) powstaje z prostych linii i stanowi dość rzadki motyw, spotykany w łyżnikach, obitkach nad oknami i t. d. (Ryc. 11).



Ryc. 8.

Nogawica spodni góralskich z mirwą wzdłuż rozpórka:

rozpór nogaw. 16 cm. wzdłuż, *a*, taśma fioletowa; *b*, pompon niebieski; *c*, *mirwa* ze sznurczków, czerwonego z fioletowym na przemiany, kolejno, a powstające oczka pętelczek są zaszyte na czerwono w fioletowych pętelczkach; a na fioletowo w niebieskich.

Ryc. 9. *Odrzwiia wchodowe domu z mirwą prostą.*



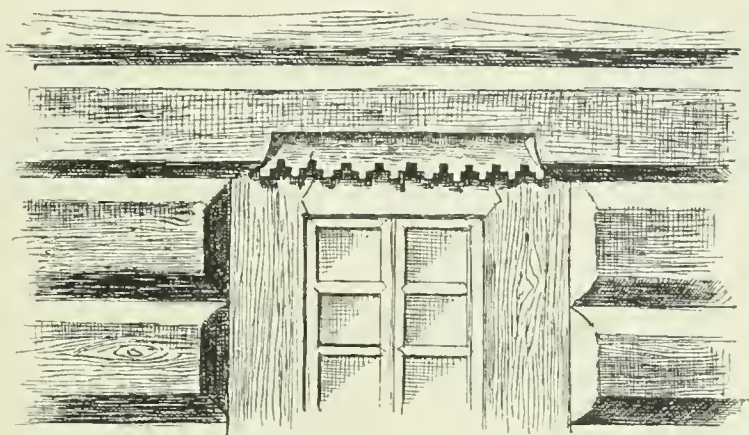
Rys. 10*a*.



Rys. 10*b*.

Łamanina.

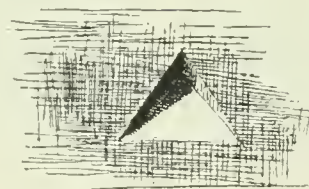
5. **Ząbce** w najrozmaitszych kombinacjach, należą do najczęstszych ozdób podhalskich. Najprostszą formę stanowią np. trójkątne zęby, w które



Ryc. 11. *Obitka* czyli *ogata* nad oknem przybita z pola dla zatkania, szczytliny między *plazą* i *leżuchem* okna — wycięta w linię lamana.

pozacinane są gonty, zarówno na kalenicy dachu, tworząc tam t. z. grzebień, już to na brzegu strzechy dookoła domu, gdzie zęby służą i do ozdoby i do łatwiejszego okapywania wody, sączącej się z dachu.

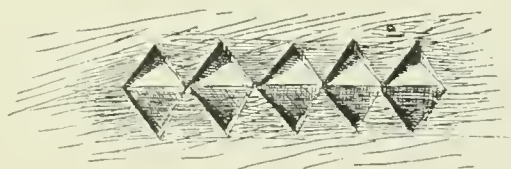
Zgola inne znaczenie mają ząbki wydlubywane w drzewie, a powstające w ten sposób, że dwoma pełnięciami ostrego dłutka zostaje zacięty trójkąt, znacznie głębiej u wierzchołka, niż u podstawy, po czem ograniczony kawałek drzewa wylupuje się, tak, że powstaje trójkątna jamka, najgłębsza u wierzchołka, najpłytsza u podstawy (ryc. 12). Jest to motyw niesłychanie rozpowszechniony, w najrozmaitszych połączeniach, z których wymieniam najpospolitsze:



Ryc. 12. *Ząbiec*.



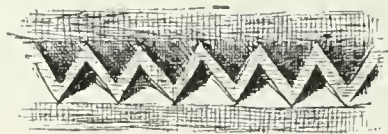
Ryc. 13. *Piłka jednostronna*.



Ryc. 14. *Piłka obosieczna*.

a) *Piłka jednostronna*: jestto szereg ząbców na jednej wspólnej linii prostej (ryc. 13).

b) Pilka obosieczna: powstaje przez połączenie dwu poprzednich grzbietami (ryc. 14).



Ryc. 15. *Warkoczyk.*

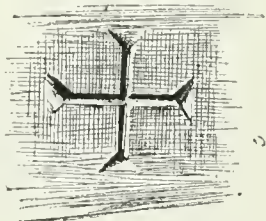
c) Warkoczyk, jest to szereg zębów na przestępy, wkraczających w siebie wierzchołkami (ryc. 15).

6. **Krzyżyk** odgrywa tutaj podwójną rolę, raz jako często napotykanym ornament, a powtóre jako znak symboliczny, t. zw. krzyżyk niespodziany, napotykanym bardzo często na budowach, na rysiach, (końce pewnych płaz), na spodkach, domów, na krokwiach, na narzędziach i sprzętach do jadła i picia, wytłaczany na masle. Większość robi go tradycyjnie i machinalnie, lecz starsi objaśniają że krzyżyk niespodziany, zrobiony w niepokaznym miejscu, broni budowlę, sprzęt, od zlego, od grzyka (grzech t. j. djabeł). P. Witkiewicz upatruje jeszcze starożytniejszy rodowód, bo wyprowadza ten krzyżyk od swastyki.

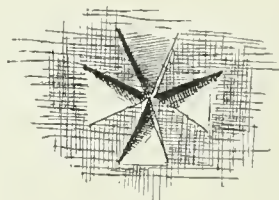
Najwyezajniejszy powstaje od nacięcia [na belce, po obciosaniu, siekierą czterech nacięć na krzyż, nieco w ukos; zrobiony bywa jakby od nie-



Ryc. 16.



Ryc. 17.



Ryc. 18.



Ryc. 19.



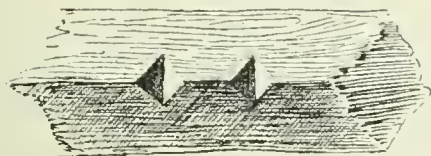
Ryc. 20.

Różne krzyżyki.

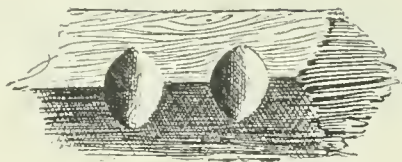
cheenia niedbale, przypomina krzyż S. Jędrzeja (ryc. 16); ryc. 17 pochodzi ze spodniej powierzchni rysiów z domu ś. p. Kuby Kołodzieja. Bardzo ozdobny powstaje z połączenia czterech zębów spotyka się np. na rączkach od czerpaków (ryc. 18). Proste krzyżyki i krzyżyki maltańskie znajduje się na spinkach mosiężnych, oraz na uszach t. j. wieszadłach łyżników (ryc. 19 i 20).

7. **Karby** są dwojakiego rodzaju: jedne robi się przez narzezanie nożem, lub nadziobanie siekierą krawędzi kawałka drzewa tak, że powstaje t. z. w geometryi kąt dwuścienny (ryc. 21).

Drugi powstaje przez wykrojenie, wychapanie, dłutem cylindrycznym tejże krawędzi; ztąd tworzy się cylindryczny rowek (ryc. 22).



Ryc. 21.



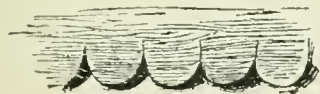
Ryc. 22.

Karby.

Linja krzywa łukowata i sama przez się, i w połączeniu występuje bardzo często w ozdobach podhalskich.

8. **Łuki i półkoła** spotyka się rzadziej wyrzowane na powierzchni; np. wybitnie występują na starym sosrębie z r. 1797, z domu Jana Bafji w Chochołowie; sprawiają one tu jednak wrażenie czegoś niedokończonego, chudego; jakby artysta szukał natchnienia i zostawił je szkicowo, na drewnie, zaniechawszy dalszego rozwinięcia. Natomiast bezporównania częściej łukowata linja występuje na wyrzeczanych brzegach obitek nadokiennych, ślezajów, t. j. ram rozmaitych mebli, łyżników (ryc. 23); jest to jedna z najpospolitszych ozdób.

9. Bardzo ładna ozdoba powstaje z połączenia luków z kólkami w punktach zetknięcia pierwszych ze sobą (ryc. 24).



Ryc. 23.



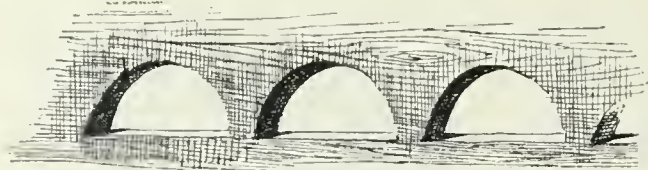
Ryc. 24.

10. **Obłęki** naśladują niby sklepione łuki architektoniczne na bardzo przysadzistych słupach, jak się spotyka w starych podsieniach po miasteczkach.

Tę ozdobę na wylot (*à jour*) spotyka się szczególnie w łyżnikach, oraz w naczółkach (z niemiecka *kopfs:tyk*, co za niekzemny wyraz polski!) mebli, w kapliczkach zawieszonych po drzewach przydrożnych i t. d. (rys. 25).

11. **Gadzik** (ryc. 26), jest to niezmiernie pospolity ornament w wyszywaniu, i przedstawia zwyczajną węzową linję, zatem jest ozdobą czysto

geometryczną. Pierwotnie jednakowoż linja ta posiadała na końcu lebek gadzi z otwartą paszczą i ztąd pochodzi nazwa ornamentu: w tej pierwotnej postaci spotyka się gadzik w naczółkach (*kopfs:tykach*) półlek, listew, bardzo często ze skrzelowatemi wypustkami po ciele gadu.



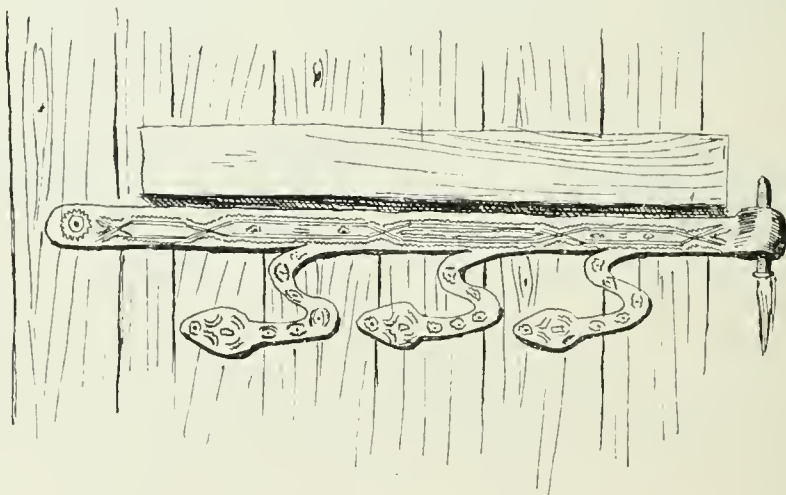
Ryc. 25. *Obłęki.*

12. Na przedmiotach skórzanych spotyka się wytłaczane, a na żelaznych wykowane, przed ostygnięciem rozmiękczonego kruszcu, osobliwe łuczki, jakby półkola, które właśnie widać na ryc. 28*a* i *b*.



Ryc. 26. *Gadzik.*

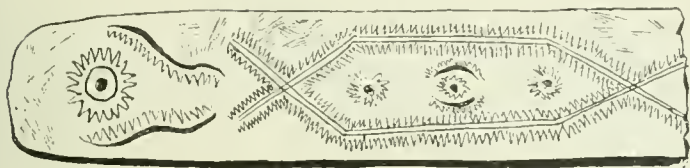
13. Bardzo rozpowszechniony motyw na Podhalu, i bardzo starożytny, bo spotkałem go na sosrębie z zeszłego stulecia (w Chochołowie), stanowi



Ryc. 27. *Zawiasa z gadzikiem.*

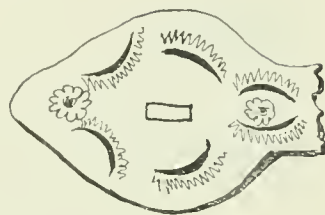
jamka czyli doleczek, robiony dłutem w drzewie, z podstawą albo prostolinijną, albo też łukowatą; ta łatwość wykonania ornamentu, tylko za pomocą

dluższą i przy pewnej wprawie z wielką szybkością, stanowi właśnie przyczynę tego rozpowszechnienia i starożytności ozdoby, o której mowa.



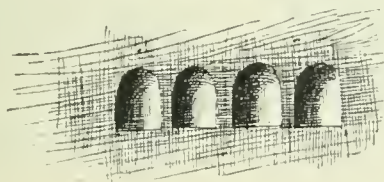
Ryc. 28a.

Ozdoby na żelazie.



Ryc. 28b.

Możnaby nazwać ją łuską, choć miano to nie cechuje dobrze ornamentu, który nie jest płaskim, lecz wklęsłym, (ryc. 29 i 30).



Ryc. 29.

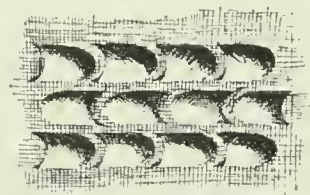
Łuski, czyli łuski.



Ryc. 30.

Przez połączenie tej jednostki ozdobniczej w pewien układ, powstaje piękny ornament, który czytelnik znajdzie na łyżniku ze zbioru p. Neuzila, oraz na starej kolysce (por. tab. XII i XIX), a który pp. Witkiewicz trafnie porównał do sfałowanej wody, dlatego też przyjmuję tu nazwę tę za termin dla tej ozdoby (ryc. 31).

Piękny ten ornament znajdzie czytelnik na artystycznie wykonanym rysunku p. Witkiewicza, a przedstawiającym wielki łyżnik ze zbioru pp. Dembowskich (Tab. XIX, ryc. 3). Upatrzyć można niejaki podobieństwo między tą ozdobą, a łukowatymi, niezmiernie symetrycznymi śladami na korze młodych, a śniegłych pędów świerku (smereka), pozostającymi po opadnięciu igiel; ślad ten, zacierający się zresztą na starych pieńkach, przypomina wyrazisty szachownicowy ślad paleontologicznych pni *Lepidodendron elegans*, znany ze wszystkich atlasów geologii.

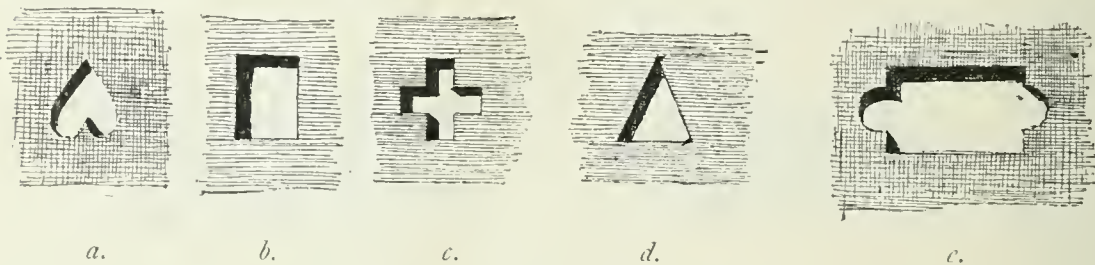


Ryc. 31. *Sfałowana woda.*

14. **Kapliczka**. tem mianem oznaczają górale ozdobę, pierwotnie wziętą i przypominającą z gruba niby kaplicę: potem zaczęto oznaczać niem każdy tego kształtu otwór, np. nade drzwiami wiodącemi do sieni, okienka w szczytach domu, nawet wielki otwór dźwierny, lukowato zatoczony u góry, z występami w słupach. Jest to prostokąt, na którego górnym boku opiera się półkole o średnicy krótszej od samego boku (ryc. 32). Kapliczkę bardzo oryginalną znajdzie czytelnik jako ucho, czyli wieszadło łyżnika na Tab. XX. Choć to będzie pewnem odstępstwem od ścisłego porządku, podaję tu i inne jeszcze postaci okienka, wpuszczającego światło do sieni a znajdującego się ponad „dźwierzami” wiodącemi ze dworu do sieni (ryc. 33 a—e).

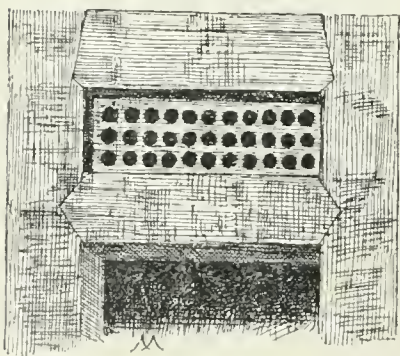


Ryc. 32. *Kapliczka.*



Ryc. 33. *Różne postaci okienek.*

15. **Koło** jest jedną z najpospolitszych ozdób na Podhalu w połączeniu z innymi pierwiastkami: na sosenbach zwłaszcza figuruje jako Otok, w której wpisana bywa gwiazda, również na łyżnicach, drzwiach i t. d. Jako dziura okrągła, również wchodzi w połączenie z innymi ornamentami. Samodzielnie okrągła dziura stanowi oryginalny rodzaj okienka nade drzwiami do sionki w jednym domu na Kasprusiach (ryc. 34).

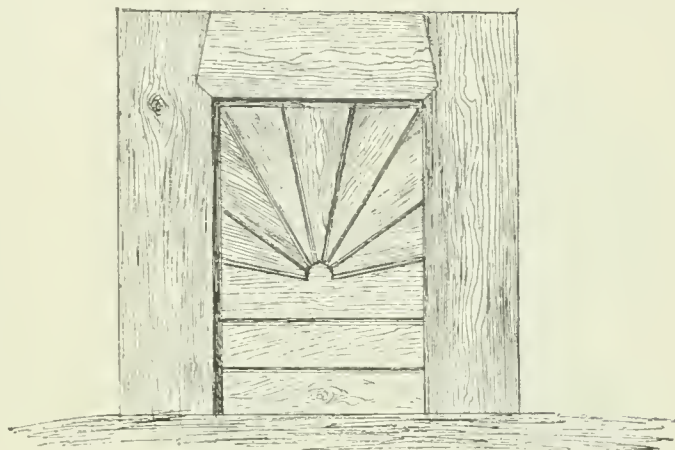


Ryc. 34. *Chienko ponad drzwiami sionki na Kasprusiach.*

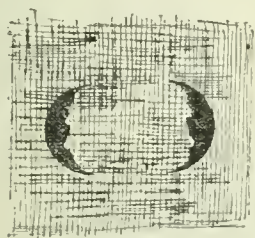
16. Z tym ornamentem łączy się inny, bardzo pokrewny: słońce, które w jednych razach przedstawia się jako prosty otwór, którego charakter, raczej odgadnąć można tylko, po znajdującej się obok formie miesiąca, w innych znowu, charakter wielkiego ciała niebieskiego odznaczony jest bliżej promieniami, w kształcie szponek, tryskającemi dokoła ornamentu. Pierwszy rodzaj spotyka się, prawie w każdej chalupie, w szczycie dachu; drugi na

szczytce domku w Chochołowie (p. *Budownictwo na Podhalu*, tab. XX, ryc. 4), a jako wschodzące słońce, na wielu szczytach dachowych, oraz na szalowanych, czyli obijanych drzwiach izdebnych (ryc. 35).

17. **Wietek i nów** (wietek, w książkowym języku cudzoziemski marny termin „ostatnia kwadra,” nów zaś u górali oznacza sam początek pierwszej kwadry, widzialnej w kształcie wążiuchnego sierpa), występują również jako bardzo częste postaci ornamentacyjne, już to jako otwory, już też jako ozdoby wykładane ciemni na innym jaśniejszym drzewie. Odróżnić je od siebie można tem, że wietek ma wypukłość łuku zwróconą na lewo, a owik na prawo. (ryc. 36).



Ryc. 35. *Drzwi izdebne ze „wschodzącym słońcem.”*
Szerokość otworu drzwi 84 cm, wysokość otworu drzwi 142 cm, szerokość słupca 45 cm.

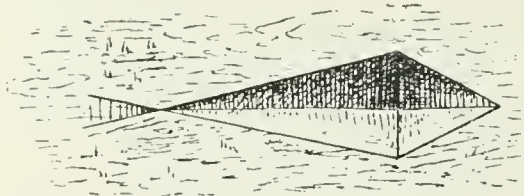


Ryc. 36. *Wietek i Nów.*

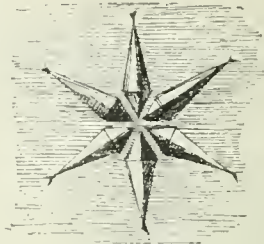
18. **Gwiazda** wpisana w koło, stanowi najpospolitszy i najcharakterystyczniejszy ornament na Podhalu: spotyka się ją wszędzie, ale przeważnie na każdym sosrębie, na powierzchni licowej, t. j. zwróconej do okien, oraz na spodniej; dalej na wielkiej liczbie łyżników, oraz innych sprzętów, które znajdują się wyrysowane w niżej zamieszczonych tablicach, oraz na wielu miejscach konstrukcyjnych części domu, dlatego czytelnik, chcący o tem wyrobić sobie bliższe pojęcie, musi zajrzeć do „*Budownictwa na Podhalu.*” gdzie także znajduje się kilkanaście ryzowanych sosrębów, a na nich przeróżne gwiazdy. Przez połączenie z innymi pierwiastkami powstaje bardzo pokaźna liczba odmian, których poczet pomnożyć można do nieskończoności. Powszechność ozdoby objaśnia się latwem jej narysowaniem: mając cyrkiel i zatoczywszy koło, już niezmiernie latwo wpisać sześciobok, którego bok równa się promieniowi, poczem każdy oznaczony na obwodzie punkt służy do zakreślenia łuków gwiazdy. Ztąd to najzwyczajszą postać stanowi gwiazda sześcioramienna w otoku (ryc. 43). Jako znacznie rzadszą formę spotyka się gwiazdę bez otoku, dalej taką, której ramiona ograniczone są nie łukami, ale linjami

prostemi. (ryc. 38), z domu Daniela Gąsienicy na Danielach, znajdu-
jąca się na sosrębie w czarnej izbie na części pośredniej na lewo od
otoku, gwiazda odróżnia się od innych i tem jeszcze, że na końcu każdego
promienia wydłubany jest ząbek (ryc. 37). Na sosrębie stoi data

1845 r. a na części pośredniej napis:
„Daniel Gąsienica.“ Równie
rzadką jest gwiazda czteropro-



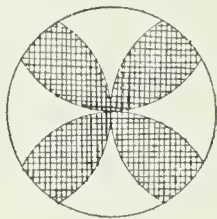
Ryc. 37. Promień gwiazdy z ząbkem na końcu.



Ryc. 38. Gwiazda bez otoku.



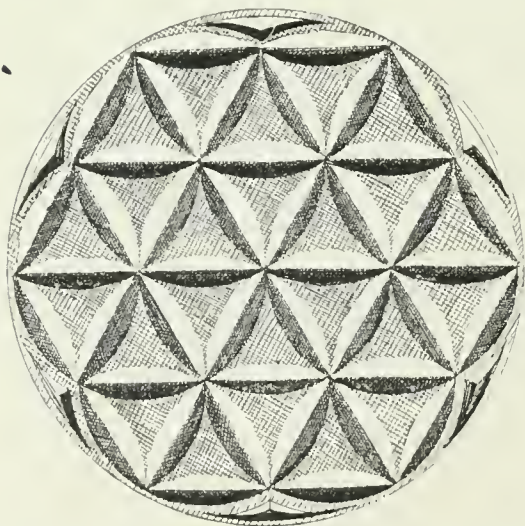
Ryc. 39.



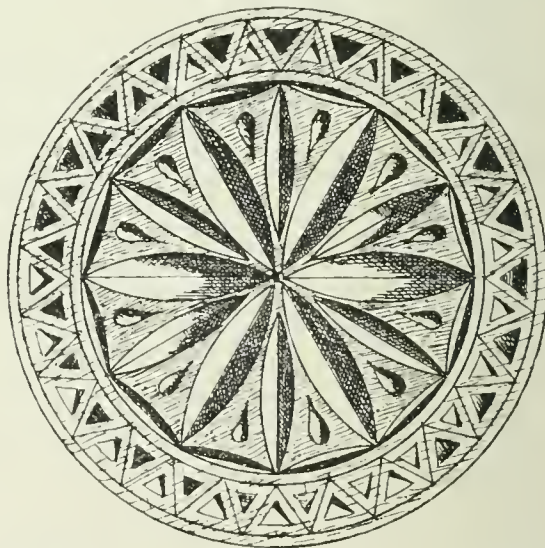
Ryc. 40.

Gwiazdy czteropromienne.

mienna np. ryc. 39 ze spodniej
powierzchni sosrębu białej izby
z tegoż domu, oraz ryc. 40, przed-
stawiająca gwiazdę ze starego sosrębu rozebranego domu Józefa Chramca.
Do niezwykle, a najpiękniejszych form gwiazdy, jakie widziałem należą:

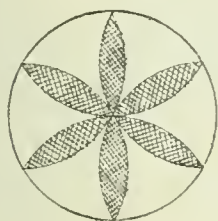


Ryc. 41. Gwiazda złożona ze sosrębu izby
Bałji w Chocholowie z 1796 r.



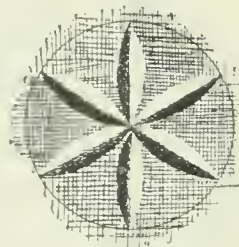
Ryc. 42. Gwiazda gotycka z sosrębu czarnej iz-
by Michała Walezaka w Zakopanem.

gwiazda którąbym nazwał *gotycką* (ryc. 42) z sosrębu czarnej izby *Michala Walezaka* w Zakopanem, oraz suta gwiazda złożona z sosrębu z domu *Baffi* w Chocholowie (ryc. 41, dziś rozebranego). Obie znajdują się też wyrysowane na sosrębach w dziele *Budownictwo ludowe na Podhalu*, Tab. XIV fig. 1. i XV fig. 2.



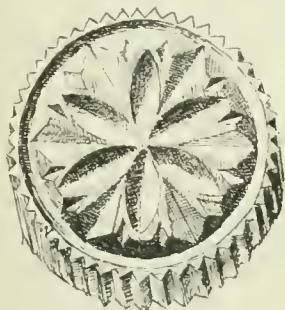
Ryc. 43 Gwiazda w otoku poszatkowana wrecię.

Zwyczajne gwiazdy sześciopromienne podzielić można na dwa rodzaje: w jednym promieniu są poszatkowane w recię (ryc. 43), w drugim głęboko wydłutowane w głęboki powiekowaty dół (ryc. 44).



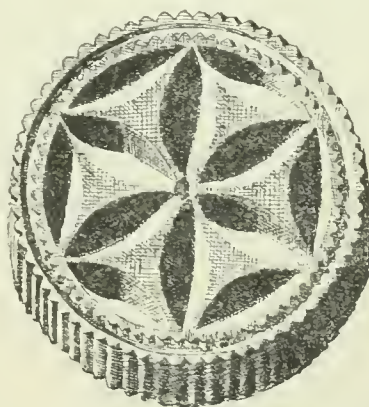
Ryc. 44 Gwiazda z promieniami wydłutowanymi, powiekowatymi.

Z tych postaci pierwotnych powstaje mnóstwo złożonych, a to *a)* przez dodanie na linii otoku takich samych promieni recięowanych i powiekowatych, *b)* przez wtrącenie w odstępy międzypromienne trójkątnych ząbców — *c)* przez dodanie w też odstępy ornamentów roślinnych. Ilustracyj niech czytelnik poszuka na dołączonych tablicach: jako dwie nowe, podaję tu gwiazdy na wyciskadłkach od sera: takich kółeczek bacia na hali na różne formy i wygniata je na parzonym serze t. zw. oszczepkach. (ryc. 45 i 46).



Ryc. 45.

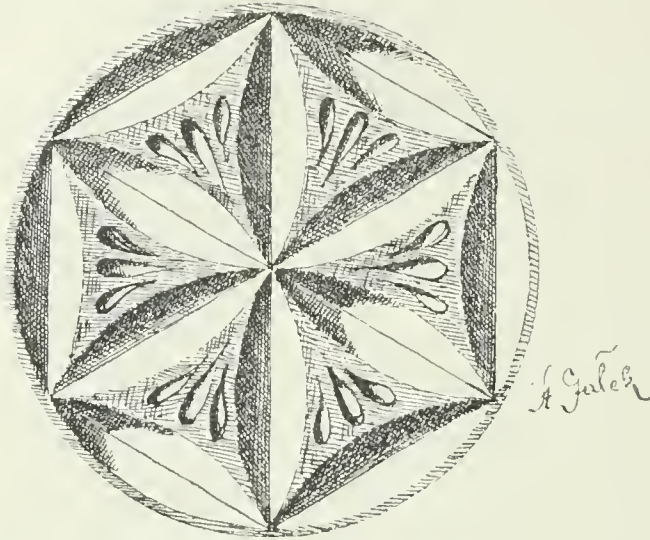
Wyciskadłka do sera.



Ryc. 46.

Jeśli dodam, iż linja otoku naokoło gwiazd, bywa najrozmaiciej ozdobioną: w ząbec, pilkę, warkoczyk i t. d. czytelnik pojmie, co za bogaty

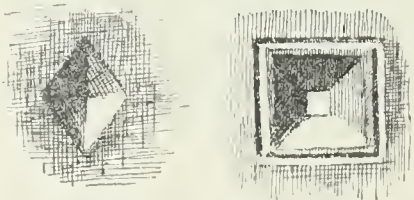
i nadający się do rozwinięcia ornament stanowi gwiazda,—nazywana już najnie-
właściwiej przez mlodych, tutejszych rzeźbiarzyków z cudzoziemska rozetą.
(ryc. 47).



Ryc. 47. Gwiazda ozdobna w ołoku, przypominająca gotyk.

rzenicach do sera: ozdoba ta bywa albo samą, albo obwiedzioną linią
równoległą do brzegu dolka (ryc. 48).

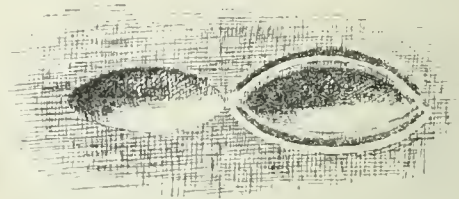
20. Znacznie rzadziej, bo, o ile so-
bie przypominam, tylko w oszczepkach
do sera, spotyka się ozdobę powstającą
przez wydlutowanie w drzewie dolka, bę-
dącego połową ośmiogranu romboidalne-
go (ryc. 49). Przez odcisnięcie tej ozdoby
na serze, powstaje zamiast jamki wypu-
kłość kształtu połowy tegoż ośmiogranu
romboidalnego.



Ryc. 49. Dolki w „oszczepkach“

Słońce, miesiąc w postaci:
pełni, wietka i nowiu, oraz
gwiazda, już, co rzadziej zda-
rza się, np. w wykładaniach,
w kształcie powszechnie zna-
nym, już też, co daleko częściej
bywa, w kształtach tylko co wy-
żej wyszczególnionych, stano-
wią grupę astronomiczną wśród
rodzaju geometrycznego.

19. **Oko**, tak możnaby na-
zwać ornament wklęsły, nad-
zwyczaj rozpowszechniony,
wchodzący jako część składowa
w gwiazdę, lecz i samodzielnie
występujący, np. na łyżni-
kach, w oszczepkach, w pa-

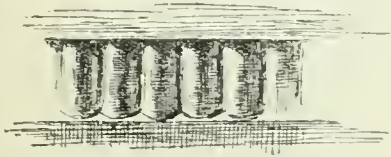


Ryc. 48. „Oko.“

Przez naklejenie kawałków pół-cylindrycznych, prostopadłościanów
w przecięciu sześciobocznych, i t. p., rzadziej
przez wyrzeźbanie w jednolitej sztuce drzewa,
powstają motywy stereometryczne, napotykane
prawie wyłącznie w naczółkach (*kopfs:ty-
kach*) listew, pólek i innych mebli.

21. Szereg półcylindrów; przychem
albo są one całkiem wpuszczone, tak że po-

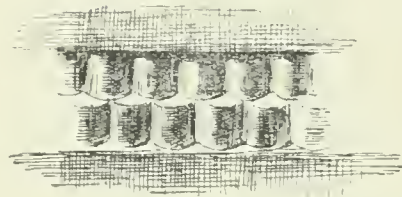
nad powierzchnią mebla nie wystają, albo też wystają swoim dolnym końcem; albo są jednostajnie cylindryczne, albo też w dolnym końcu są zacięte jak piszczalki organowe (ryc. 50 i 51).



Ryc. 50.

Z listwy od Sobczaka (Zakopane)

Półcylindry.

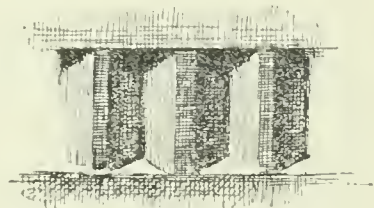


Ryc. 51.

Z półki Jana Walczaka (Skibówka).

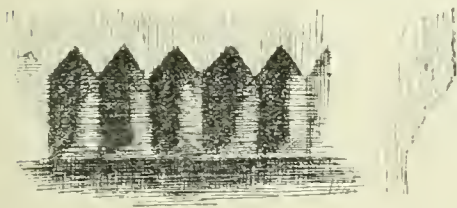
22. Szereg prostopadłościanów w podobny ustawionych sposób. Zarówno ten ornament, jak i powyższy, może być umieszczony albo pionowo w gzymsie mebla (ryc. 52) albo nachylnie, górnymi końcami ku przodowi, a dolnymi w tył (ryc. 53).

W powyższym ornamencie karby ezwo-rogranne wyrżnięte są na drzewie mająceni w przecięciu kształt mniej lub więcej trapezoidalny.



Ryc. 52. *Prostopadłościany pionowe.*

23. Dość rzadko widywałem narznięcia śrubowate na cylindrze, np. w pięknym kredensie. Samka z Bóndówek (p. niżej ryc. 112 i Tab. XV).



Ryc. 53. *Prostopadłościany nachylone.*

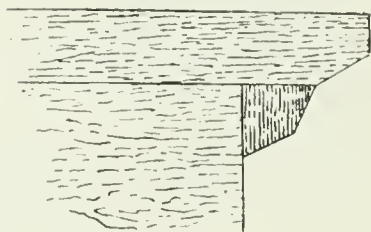
Z naczółka półki od Rzański (Kościeliska) obok przecięcie poprzeczne dla pokazania nachylenia.



Ryc. 54.

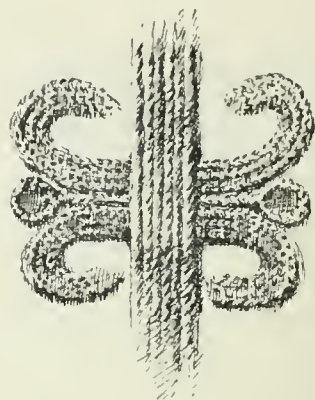
Obitka z nad okna od Walczaka ze Skibówki.

24. **Pieski** (ryc. 56) stanowią pospolitą ozdobę, ale tylko w wyszywaniu; jest to coś przypominającego nieco lilije burbońskie, lub dwie litery *C* obrócone do siebie plecami: *CC*.



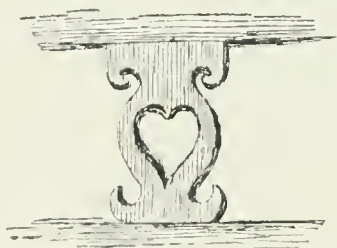
Ryc. 55.

Przecięcie poprzeczne wedle linii X-Y ryc. 54 dla pokazania owej obitki w przecięciu trapezoidalnej.



Ryc. 56. „Pieski“ (rys. S. Wilkierza).

Pieski powstają w ten sposób: wyszywa się, jak *CC*, grubym sznurkiem fioletowym potrójnie, lub jeszcze szerzej jeden koło drugiego; pomiędzy temi, obróconemi do siebie literami *C*, bieży pojedynczy sznureczek, na końcach którego są kółka, środek ich wyszyty ezerwono, brzeżek niebiesko. Wpoprzek i na wierzchu wyszyta wzdłuż szwu spodni taśma szeroka z siedmiu sznureczków obok siebie.



Ryc. 57. Podpóreczka z dziurą kształtu parzenicy z listwy Jana Walczaka ze Skibówki.

25. **Parzenica**. po gwiazdzie stanowi chyba najpospolitszą ozdobę góralską, z mnogimi odmianami. mającemi ze sobą to tylko wspólnego, iż podstawową ich formą jest serce. Od prostego otworu sercowatego, aż do wyszywanej parzenicy istnieje wiele i rozmaitych postaci, z których wiele czytelnik znajdzie w dołączonych tablicach. (ryc. 57 i 58).

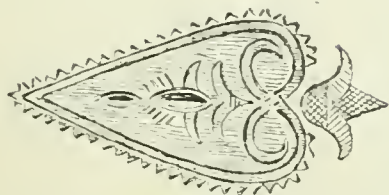


Ryc. 58. Parzenica ryzowana na spodniej powierzchni sosrebu zizby Daniela Gąsienicy.

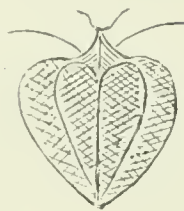
Znacznie odmienną jest parzenica wyszywana. obowiązkowa ozdoba na każdych spodniach (ryc. 61).

Ornament wyszyty jest błękitnym wełnianym sznurkiem (kordonkiem); raz koło razu od 3 — 7 razy tak, że powstają szerokie taśmy błękitne; kół-

czka i kozy romby obwiedzione tylko dwakroć sznureczkiem: środki kółeczek i kóz wyszyte czerwono.

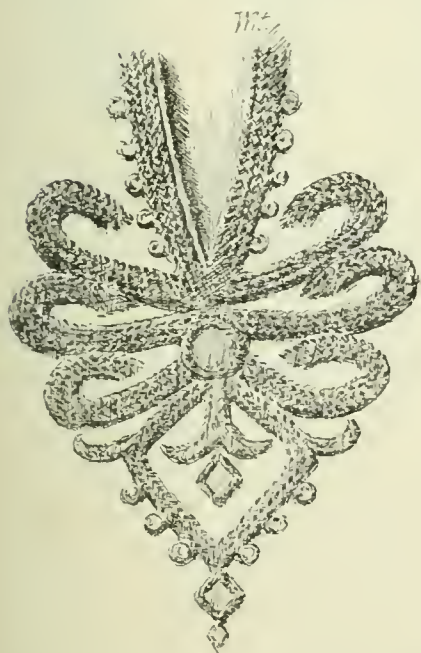


Ryc. 59. *Parzenica ryzowana* na spodniej powierzchni sosrebu z izby Sobczaka.



Ryc. 60. *Parzenica ryzowana* na licowej powierzchni sosrebu z izby Kuby Kołodzieja.

26. Do linii krzywych należą przeróżne zakrętasy, figlasy, krzywasy, według których powyrzynane są brzegi części składowych, najczęściej śleza i (tramy) pólek, listew, skrzyń, wsporników pod lawy, narzędzi lub maszyn w młynach i t. p. Najczęściej z pomiędzy typowych, które słowami, bez rysunku, opisać można, napotyka się nawiasy — — w kombinacji ze sobą na wywrót, i z ząbkami. Niektóre z nich znajdzie czytelnik na dołączonych tablicach.



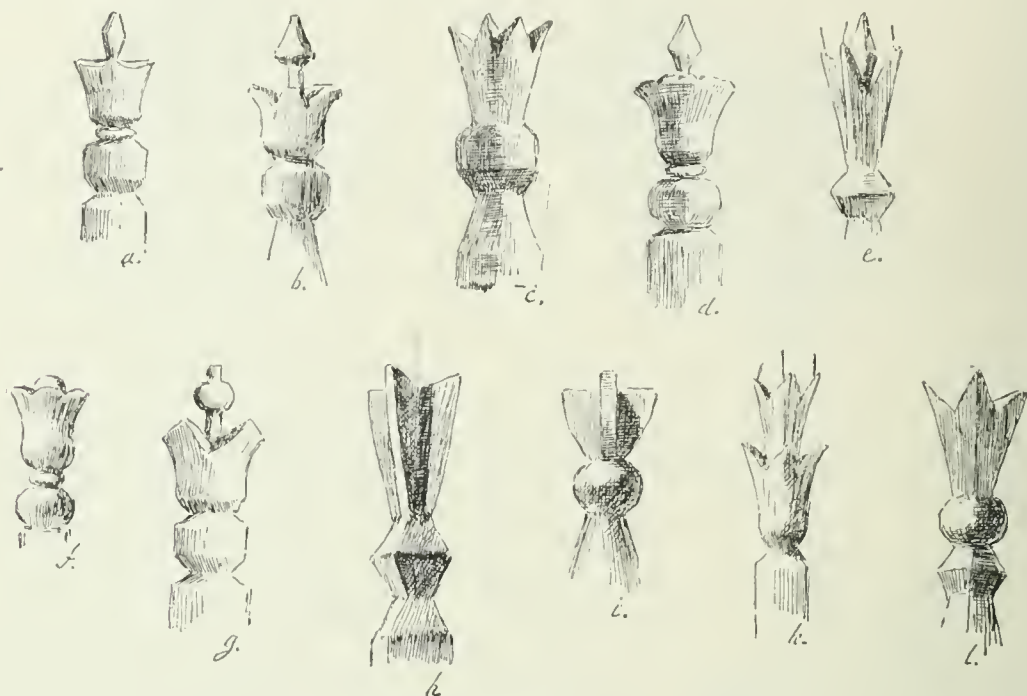
Ryc. 61. *Parzenica* naturalnej wielkości ze spodni góralskich, (rys. S. Witkiewicza).

Geometryczny pazdur napotyka się jako prawidła na końcach kalenicy dachowej, po obu końcach dachu, przedstawia najrozmaitsze odmiany, już wykrzesane

27. **Pazdur**, ryc. 62, i po góralsku każdy paznogieć, a więc i ludzki, jak sama nazwa wskazuje pierwotnie powinien wyobrażać ornament podobny do pazurów, lecz obecnie pod wpływem tradycji, zeszedł na ozdobę, albo całkiem geometryczną, albo też bliższą motywom geometrycznym, niż zoomorficznym. Przykłady pierwszej znajdzie czytelnik w atlasie „*Budo-wnictwa na Podhalu*,” drugiego zaś na łyżnikach Tab. XIX ryc. 2 i 3 na stołkach tab. IX ryc. 3, oraz na sankach Tab. LXII ryc. 3c: do pewnego stopnia niby przypomina łapę dzikiego zwierzęcia z zamkniętymi szponami.

z drzewa, już też wykute z żelaza, wypalone z gliny; jadąc z Zakopanego do Krakowa precz widać na strzechach pazdury: oto przykład najtypowszego (ryc. 62 l).

28. Do ozdóbniectwa podhalskiego przeniknęły widziane po kościołach i łatwe do naśladowania monogramy imienia Maryi i Zbawiciela, które



Ryc. 62. Pazdury z kalenic dachowych (rys. S. Witkiewicza).

spotyka się bardzo często na rozmaitych sprzętach (np. na parzenicach), oraz typowo wyrzowane na leżuchach drzwi (belka poprzeczna nad otworem drzwiowym); wyobrażenie znajdzie czytelnik w książce „Budownictwo na Podhalu.”

B. Ozdoby z motywów roślinnych.

Ozdoby roślinne odznaczają się tem, iż z jednej strony są słabem naśladowaniem natury, z drugiej zaś wyróżniają się swojemi stereotypowemi kształtami, raz nazawsze przyjętymi, stale powtarzanymi, i bez względu na urozmaicenia, tworzącemi pewne typy; skutkiem tego sprawiają takie wrażenie, jak gdyby były nie skopjowane z roślin tutejszych, lecz odziedziczone i przekazywane z pokolenia na pokolenie: te cechy, i pewna niezgrabność nadają im charakter starożytny, archaiczny. Choć nazwy, pod którymi znane

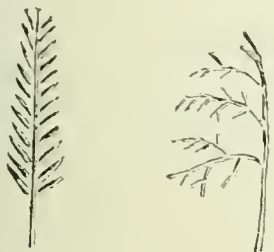
są w tutejszem ozdobiectwie, wiążą je z pewnymi kwiatami, wszelakoż podobieństwo jest dalekie, tak że niekiedy trudno by dopatrzeć się jakiegoś związku z nimi. Główniejsze typy są następujące.

29. **Ostrewka** (w języku tutejszym ostrewką zowie się młody smrek t. j. świerk, uschły, rosochaty, z obciętemi gałęziami; takich ostrewek górale mają zapas w szopie, a skoro przyjdzie czas kośby, wynoszą na polany i pasieki, wtykają w ziemię, i na rozsochach wieszają siano, by „warcuchno” schło. Ozdobę tę (ryc. 63) rzadziej spotyka się na przedmiotach ryzowaną, daleko częściej na ścianach chałup zrobioną wapnem; szczególnie często widywałem ją we wsi Zdziarze.



Ryc. 63.
Ostrewka.

30. **Kłósko** (na Podhalu każdy kłos np. jęczmienia, jarcza, pszenicy), jest ornamentem przypominającym kłos: środkiem biegnie ryzowana linja (ściebło — stebel, źdźbło) po bokach głębiej wyczerpane niby ziarna w plewach (ryc. 64).



Ryc. 64. Kłósko. Ryc. 65. Rzasa.

31. **Rzasa** (u mazurów kiść, np. u prosa, u owsa), stanowi rzadki ornament, wyraźnie występujący na łyżnikach ryc. 65 i ryc. 3 Tab. XVI.

32. **Gąje** (czytaj „goje,” u górali zielone gałęzie drzew listnych, nie choinowych) p. ryc. 66, najwyraźniejszy przykład znajduje się na walkownicy, (t. j. maglownicy) na Tab. XXXIX oraz na kijani Tab. XI.

33. **Podstol**, tak górale nazywają roślinę górską *Lunaria rediviva*, a od niej i ornament, (ryc. 67) zresztą rzadko napotykaną.

Roślina podstol należy do rodziny krzyżowych, do działu luszczynkowych (*siliiculosae*): luszczynka jest owocem — torebką, płaską, przedzieloną błoniastą przegrodą na pół, na płask; po pęknięciu owocu i odpadnięciu luskiewek i ziarna, pozostaje owa błoniasta przegroda, obwiedziona grubym rąbkiem, błyszcząca i gładka, koloru świeżej, dojrzałej, jasnej słomy.



Ryc. 66. Gąje. Ryc. 67. Podstol.

34. **Dziewięciornik** (wyraz ludowy podhalski na oznaczenie rośliny piękną, a z punktu ozdobniczego niezmiernie ornamentacyjnej, należącej do ro-

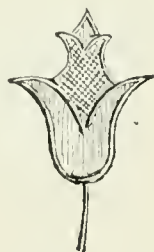
dziny złożonych, *Carlina acaulis*, rosnącej po kamienicach, po płonych, suchych miejscach). Liście same przez się już bardzo nadają się do przeniesienia jako ornament, są bowiem ozdobniejsze od akantowych, i zostały wprowadzone bardzo szczęśliwie przez p. Witkiewicza jako ozdoba do ryzowania i do wypuklorzeźby (patrz wspaniałą wypuklorzeźbę na sosrębie w domu p. Gnatowskiego, dzieło Józka Kasprusia (ryc. 68). Kwiat zaś ze swą



Ryc. 68.

martwością drewnianą, z jasnymi, lśniącoymi płatkami, barwy słomianej, kształtu słonecznika, stanowi przepyszny motyw, który spotkałem na łyżniku hr. Krasieńskiego, (Tab. XXX ryc. 1 i 1a).

35. **Leluja** nie stanowi botanicznej jednostki; lelują nazywa się i rzeczywista lilja hodowana po ogródkach i zdaje się, o ile sądzić mogę z opowia-



Ryc. 69. Osobliwy kwiat podobny do *Dictytra spectab.*



Ryc. 70. Ozdoba roślinna z sosrębu z domu Bulcyka w Košnym Hamrze.



Ryc. 71. Rośliność z bardzo starej fajary ze zbioru pp. Dembowskich.

daniam, pelnik (*Trollius europ.*). Odmiany tego ornamentu są bardzo liczne; z nich kilka podaję tutaj (ryc. 69—76); wiele innych napotka czytelnik na tablicach niniejszej książki oraz „Budownictwa na Podhalu.”



Ryc. 72. Typowa wegetacja z nadbrzwi z izby Buleyka w Košnym Hamrze.



Ryc. 73. Oryginalna roślinność z końca sosrębu z izby Kuby Kołodzieja w Zakopanem.



Ryc. 74. Roślinność ze starej fujary, jak na ryc. 71.



Ryc. 75. Ze spodniej powierzchni sosrębu z izby Sobczaka (Zakopane).



Ryc. 76. Z licowej powierzchni końca tegoż sosrębu.



Ryc. 77. Wegetacja z sosrębu z domu Wojciecha Marciniowego Gąsienicy z Gładkiej.

36. Rośnie tu w reglach śliczny kwiat, może najpiękniejszy i najokazalszy z całej flory tatrzańskiej, zwany przez lud złotogłów (*Lilium Martagon*); otóż spotyka się i ozdobę ludową, przypominającą ten kwiat z daleka (ryc. 77).

P. Witkiewicz wprowadził do ornamentyki tu-tejszej możliwie dokładną podobiznę tej okazalej rośliny (ryc. 78), którą rzeźbiarze



Ryc. 78. Złotogłów. (rys. S. Witkiewicza).

rozpowszechnili we wkleślorzeźbie; jaki zaś wspaniały efekt sprawia w wypuklorzeźbie, widać to na półce Dr. med. Dunina w Warszawie (ryc. 79).

37. **Róża** spotyka się w dwu postaciach: malowana po skrzynkach w stereotypowej formie wielkich, pełnych kwiatów, w rodzaju piwonji, oraz ryzowana w kształcie znanej rozety; patrz Tab. XXV. łyżnik Nr. 3.



Ryc. 79. *Półka Dr. T. Danina, w Warszawie.*
rys. W. Dominikał.

38. **Szyszka**; spotyka się motyw podobny do szyszki smrekowej dość często wśród innych vegetacyj u. p. rys. 72 i 81.



Ryc. 80.



Ryc. 81.



Ryc. 82.

Czdoby roślinne.

C. Ozdoby z motywów zwierzęcych i ludzkich.

Stanowią grupę najszerzej używaną, zwłaszcza motywy ludzkie, i to świadczy o stosunkowo niskim poziomie rozwoju ozdobnictwa tutejszego.² Trzeba uprzytomnić sobie tę olbrzymią przewagę, jaką odegrywała szlachetna postać człowieka, a zwłaszcza kobieca, to najpiękniejsze zjawisko estetyczne świata ziemskiego: oblicze ludzkie — w starej sztuce greckiej, już choćby w epoce

tyrynckiej, przedhomerowej, aby zrozumieć, iż przepaść leży między sztuką właściwą, jak grecka, egipska, i t. d. a pierwocinami tutejszych usiłowań wprowadzenia do rzeźby postaci ludzkich. Odróżniłby w nich można trzy odrębne kategorie. Najprzód okazy, które bezwarunkowo nazwać można ładnymi i wytrzymującymi średnie wymagania od przedmiotów sztuki. Tu należą główki aniołków z listwy hr. Krasieńskiego, (ryc. 83): są one weale



Ryc. 83. *Listwa ze zbiorów hr. Krasieńskiego.* (z fotogramu).

ładne i mile, wykazują zręcznego rzeźbiarza, dobrze władającego swoim narzędziem, i panującego nad materialem; są to jednak nie oryginalne rzeczy, ale naśladowania przedmiotów widzianych gdzieś w kościele, lub kopje z rysunku jakichś dobrych wzorów renesansowych. Również weale dobrze przedstawiają się uskrzydłone główki aniołków z listwy Bulcyka z Kośnego Hamra, choć malowaniem robota jest nieco zamazana. (por. Tab. VI).

Drugą, liczniejszą grupę przedmiotów, mniejszej wartości pod względem estetycznym, ale bardziej ciekawą z punktu ludoznawstwa, stanowią rzeźbione postaci ludzkie, przypadkowo tu i owdzie napotykanne, np. w zbiorze p. Gnатовskiego, malowany posąg drewniany, przedstawiający księdza

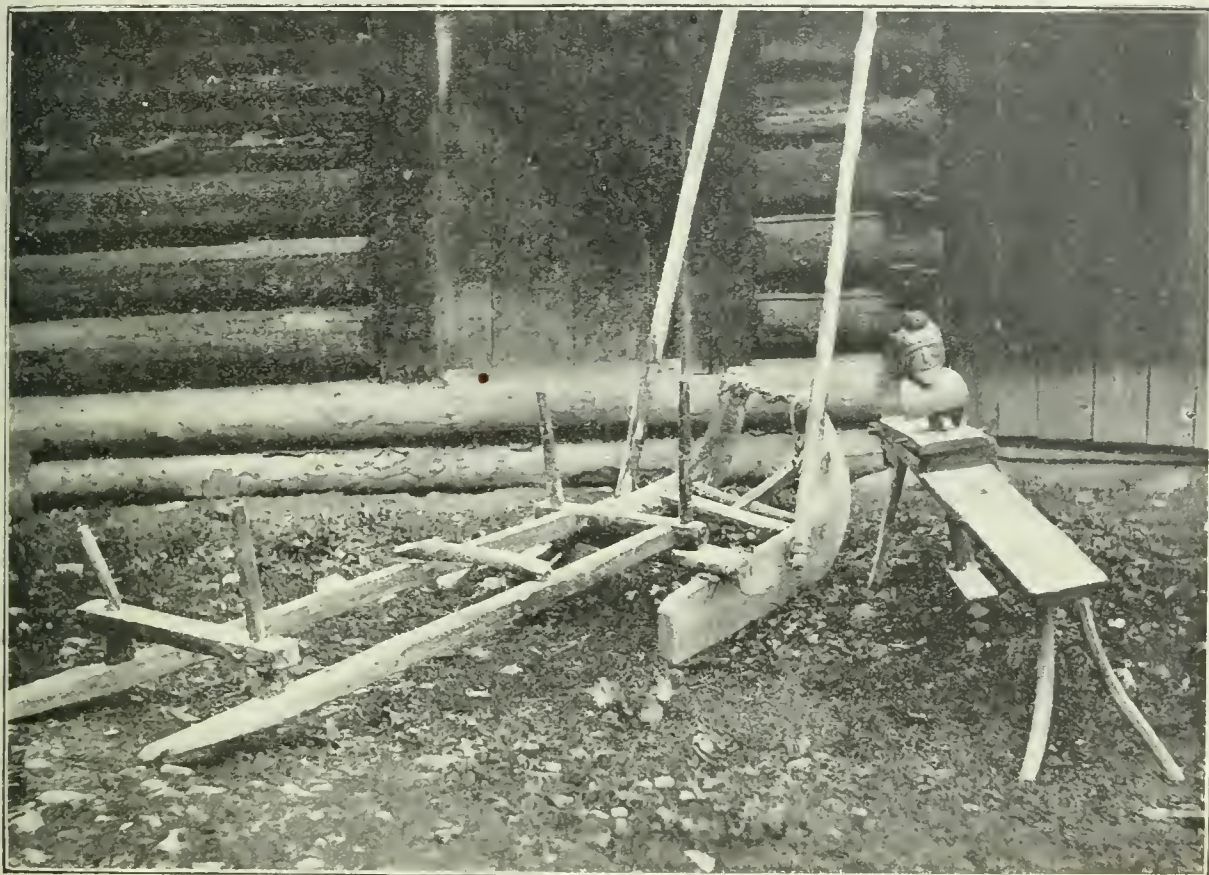


Ryc. 84. *UI w postaci księdza z drzewa rzeźbiony.*
(z fotogramu).

plebana, który w pasie trzyma książkę do nabożeństwa; po niej mają wchodzić pszczoły do otworu w pępku, cała figura bowiem służyć miała za ul (ryc. 84). Niejeden z przejeżdżających do Zakopanego zauważył we wsi Klikuszowej pod Nowym Targiem pomalowaną rzeźbę, przedstawiającą górala, stojącego na środku stawku przed plebanją, i służącą jako ozdoba dla wodotrysku. Częściej są to okazy przedstawiające świętych i aniołów, przechowywane po kościółkach i przydrożnych kapliczkach, lub w noszonych obrazach w czasie procesyj. Dla braku zdrowia nie mogłem być zwiedzać Podhala i zwrócić należytej uwagi na te przejawy ludowej sztuki, jak na to zasługują. Zarzucić im można, iż są niedolęznym naśladowaniem doszłych w te zakątki echa baroku, i że nie tylko nie wyrażają pierwiastków miejscowych, typowych twarzy tujejszych, lecz nawet nie zdradzają choćby śladu wrodzonego popędu oczu, które wpatrzywszy się w charakterystyczne rysy tujejsze, pomimowoli popychają rękę rzeźbiarza, kopijującego wzory obce, ku swojskim odzieniom; przynajmniej powiedzieć to mogę o nielicznej zresztą liczbie figur rzeźbionych, które zdarzyło mi się napotkać.

Trzecią grupę, z etnograficznego punktu widzenia najciekawszą, stanowią rzadko napotykanne, jakieś szczególne, starożytne, archaiczne głowy, w osobliwych czapkach, z odrębnym wyrazem twarzy. Musiały one być dawniej bardzo rozpowszechnione, skoro narzucić zdołały nazwę samemu przyrządowi, wyrugowawszy jakieś dawniejsze jego, miejscowe miano. Jest to przyrząd, zwany na Mazowszu ko bylicą, a służący do dzierżenia przedmiotów struga-

nych: robotnik siada okrakiem na kobylicę, stopami naciska pedał, którego górna część wręba przyciska dany przedmiot, który się ma strugać strugiem, czyli ośnikiem, np. szczeble do drabiny, napior do placht wiatracznych, siekierzyska i t. d. Przyrząd cały, z tą ciekawą, archaiczną głową przedstawiam tu na ryc. 85.



Ryc. 85. *Włoki, gnatki i dziadek.* (z fotogramu).

Inne ryzowane postaci ludzkie, rzadko przytrafiające się, są tak niedołężne w rysunku, jak usiłowania dziecinne, np. myśliwy idący z psem na polowanie na cyrku ze zbioru pp. Dembowskiich. (por. Tab. XXXVIII).

Postaci zwierzęce nie należą również do częstych, są jednak na ogół lepsze: rozumie się, iż i tu dalekiem jest wyobrażenie od prawdy życiowej. Człowiek jest w ogóle bardzo malowidzącym: zwolna rozwijała się w przestrzeni czasu jego zdolność postrzegawcza do szczegółów, zwłaszcza zwierzęcych wyrazów. Zwierzęta z rzeźby greckiej i rzymskiej, z malarstwa Odro-

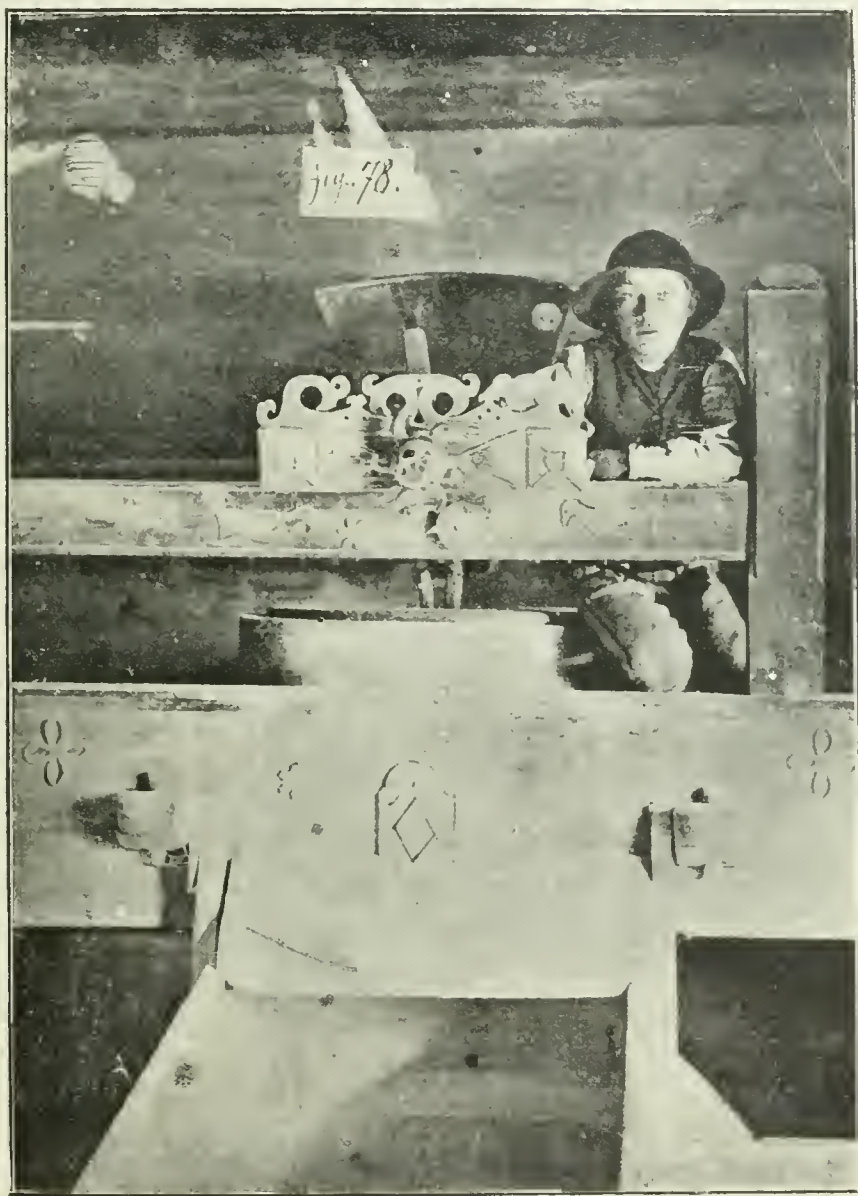
dzenia, są tak konwencjonalne, iż niewytrzymują najlżejszej krytyki; są to nie studia z natury, lecz szablony z pamięci, już bez porównania prawdziwsze lwy, konie i t. d., spotyka się w rzeźbie gotyckiej; lecz wyraz typowy, a nawet



Ryc. 86. *Młynek Jędrka Króla z pod Furmanowej, (z fotografanu).*

osobniczy zwierzęcia przeniósł do sztuki dopiero Landseer i Anglicy, tak mało, a raczej wcale nie znani po za granicami brytyjskiego ostrowu. Góral-

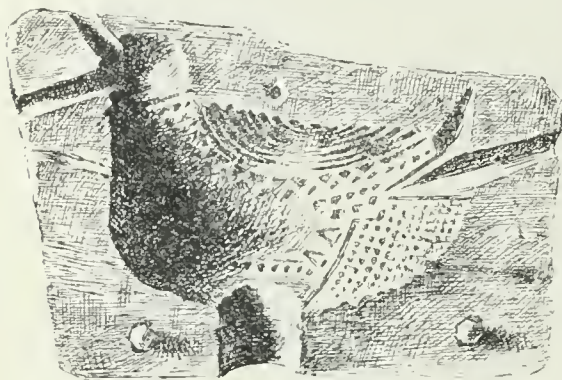
ska rzeźba zwierząt jest nie zła, dlatego, że widać w niej ślady przypatrywania się danemu zwierzęciu w czasie roboty. Wyliczę tu główne przykłady, nie przywołując rysunków: aby oddać przypadkowość i niudolność



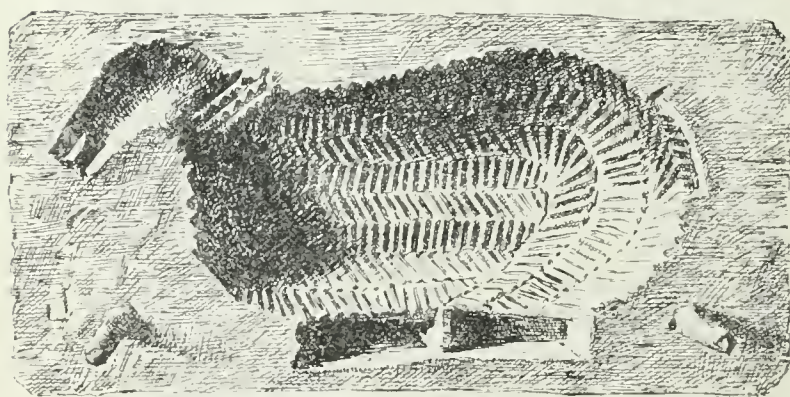
Ryc. 87. *Młynek Stopki w Kościeliskach.*

tej rzeźby trzeba wielkiego mistrzostwa i władztwa nad piórkiem, inaczej wyjdzie błada podobizna, i niewierna w dodatku. Na dołączonej ryc. 86

widać lby świńskie, stanowiące końce t. z. włók, t. j. krosien młyńskich, na których spoczywa nad kamieniem kosz, w który sypie się siance (zboże) przeznaczone do mlewa; obok widać lebek koński, stanowiący rękojeść podelgi, przyrządu służącego do zbliżania, lub oddalania bieguna od spodka (nazwy kamieni młyńskich). Fotogram zdjęty z młynka Jędrka Króla z pod Furmanowej.



Ryc. 88. *Foremka mająca wyobrazić kaczke*
(rys. S. Witkiewicza).



Ryc. 89. *Foremka mająca wyobrazić owcę.* (rys. S. Witkiewicza).

Lby wieprzowe widziałem jako zakończenia żłobków, czyli rynien, biegnących pod okapem strzechy, do odprowadzenia wody dżdżowej od domu. Lebki końskie bardzo ładne, mosiężne, spotyka się na każdym prawie chomonicie, jako t. zw. kleszcze. Leb psi, wcale wiernie zrobiony, z rozdziawioną paszczką i wystającymi klami, widziałem jako dziób na przodku sanek Janika (z Zakopanego). Postaci gołębi, wcale dobrze obrysowane, na listwie Walezaka ze Skibówki (por. Tab. V);

inne jakieś ptaszki wyrżnięte z deszczulki i przybite w pięknym młynku Stopki (w Kościeliskach) (ryc. 87).

Nadzwyczaj grubej roboty są dlubane w drzewie niedźwiedzie i kaczki, stanowiące foremki do séra; po wyciśnięciu wyjmują się z formy

te zwierzęta ze séra,—podarunki dla dzieci. Znajdziesz je w zbiorach p. Gnатовskiego i pp. Dembowskiich; (ryc. 88 i 89).¹⁾

Ogromna większość tej sztuki ludowej przechowana jest w drzewie, materiale niewdzięcznym, który czerw toczy, unicestwiają pożogi: to tłumaczy

¹⁾ Na rycinie z fotogramu pod l. 90 widać u góry na prawo foremkę taką z kaczka.

nam szczupłą liczbę zabytków z dawniejszych czasów. Lud był za ubogi, kultura za niska, iżby jego popędy estetyczne mogły przejawiać się w jakimś szlachetniejszym materiale, jak np. bronz, marmur, alabaster, glina. To jest tak biedny i dziwny zaulek, iż niema, ani piasku, ani gliny, ani marmuru. Jakżeż tu drogo płaci się za sztuczny piasek, z przesiewanego przez arfy żwiru po łóżyskach potoków; jakżeby tu powitano odkrycie gliny do wypalania cegły.

Za najcenniejsze i najlepsze drzewo do roboty pod rzeźbę uchodzi tu Limba (*Pinus Cembra*, L.), dla swojej „miazgi” (słój) jednolitej, więc przy rzeźbieniu niezadzierzystej, dla swej pięknej barwy, dlatego, że na długie lata zachowuje przyjemną woń, oraz, że nie trzymają się go „robaki.” Jeśli mieć w skrzyni choć kawałek limby, to już zabezpieczy odzienie od moli. Na nie szczęście limba dzisiaj stanowi już bardzo rzadkie drzewo, rosnące tu i owdzie w niedostępnych miejscach, w Kasprowej, koło Morskiego Oka, i to w młodych egzemplarzach, nie nadających się na meble; rosłe limby widywałem w dolinie Mieguszowskiej, po Liptowskiej stronie Tatr, lecz i tam już je przetrzebiono. Starzy zamożni gazdowie, po dalekich zakątkach, posiadają czasami stare, grube kłody limbowe, przechowując je do użytku i od nich to jeszcze kupić udaje się to piękne i cenne drzewo.

Jeszcze rzadszy, jeszcze bardziej wytępiony, a jeszcze cenniejszy dla rzeźby jest Cis (*Taxus baccata*), którego piękne, czerwone, wyraźnie słiste drewno od tylu pokoleń służyło do wykładania (*inkrustacji*). Cis musiał być kiedyś znacznie pospolitszym, skoro spotyka się jego nazwę w pieśniach ludowych (p. artykuł p. Grajnera w „Tygodniku ilustrowanym” o drzewach, z lat sześćdziesiątych), dziwna rzecz, dlaczego w Zakopanem, gdzie klimat mu sprzyja, gdzie w przyszłości drewno mogłoby być zużytkowane, nikt nie zechciał nasadzić go; ani gazdowie, ani Towarzystwo Tatrzańskie koło swego domu, ani Muzeum, ani nawet w lasach większej własności; gdy chodziło o wysadzenie cementarza, pewien dobrodziej nasadził zwyczajnych, pospolitych aż do znudzenia smreków—zamiast pomyśleć o limbach i cisach, które tradycyjnie sadzano na mogiłach, pod kościołami. Świadczy to, jak nie umiemy skorzystać ze swojskich żywiołów, nie dbamy o nie, nie chcemy sobie zadać trudu, by przechować rzeczy rzadsze i ciekawe. Mnie to boli, gdy widzę, iż w kraju, gdzie jesion, brzoza i smrek (świerk) rosną jak wierzbina, bujnie, łatwo,—drogi i gościńce bite obsadzają właśnie wierzbanami, która jeśli się i przyjmie, przez pół swego żywota choruje, a przez drugą połowę karwieje, cęcnieje, ginie—zrobaczniała, hubami okryta; tak samo jak u nas w równinach, zamiast sadzić topole lub brzozy, zmagają się i sadzą kasztany, które na wsi, przy drogach, nie wytrzymują surowego kli-

matu i złego obejścia się. A zawsze tylko, by popierać coś cudzego! Bardzo pięknym słojem i ciemno-czerwoną barwą odznacza się drzewo kosówki, z której wyrabiają drobniejsze przedmioty; służy też do wykładania.

Dlatego to, że limba i cis są tak rzadkie, na pierwszorzędnym materiał występuje jawor, przepyszne drzewo o ślicznych liściach, wyrastający w okazałe drzewo, lecz skutkiem popytu na drzewo do wyrobu, już przetrzebiony w pięknych rosłych okazach. Jawor rośnie tu bujnie, czy sadzony około zagród po oborach i pasiekach, czy też w lasach; lecz również skutkiem nie dbalstwa wyniszczony; tylko nazwy licznych miejscowości jak: Jaworzyny, Jaworowe Sady i t. p., wskazują, iż dawniej był częstszym po lasach. Ogromna większość łyżników zrobiona jest z jaworu, którego drzewo jest względnie miękkie, miazgi jednostajnej, niezadzierzystej.

Piękniejszy, bo wyrazisty sój posiada brzość, piękne drzewo, rosnące tu doskonale, lecz wytopione na wyroby kołodziejskie i stolarskie; robota w nim z powodu niejednolitej miazgi i twardości trudna, ale przedmioty wyrobione bardzo piękne, zwłaszcza ze starego drzewa. Również przytwardą, i dlatego mało używaną, jest buczyna, oraz jasiień, który tu rośnie bujnie we wspaniałe wielkie drzewa, niestety coraz radsze, z powodu wycinania na deski dla stolarzy. Lud chętnie obsadza swoje domy jesionami, i gdyby rządy w Zakopanem były nieco energiczniejsze, jak to bardziej licowałyby z końcem XIX wieku, mielibyśmy koło dróg tysiące jesionów, już wcale pokazywanych. Homolacze piękną w Kuźnicach zostawili pamiątkę, wysadziwszy nimi gościniec.

Modrzew (po góralsku świerk) jest doskonałym drzewem na wyroby stolarskie, posiada bowiem piękny, wyraźny, wzorzysty sój i przyjmuje doskonale politurę; zato mniej nadaje się do rzeźbienia, dla niejednostajnej miazgi. Większość mebli góralskich zrobiona jest ze smreku (w powszechnym języku świerk), które posiada za świeże śliczne, białe drewno, z niezbyt wyraźnym słojem, a z pięknym jedwabistym połyskiem, im dłużej wystawione na światło, tem bardziej czerwienieje, ze złotawym odcieniem; do ryzowania materiał marny, bo za miękki, nie tnie się czysto, łatwo wylupuje. Natomiast niezmiernie cenionem jest drzewo gruszkowe, zwłaszcza teraz przy rozbudzonem popycie; ma ono z punktu technicznego nieocenione zalety przy rzeźbieniu, lecz zawsze jest martwe, bez słoju i bez barwy. Czasami spotyka się przedmioty, zwłaszcza łyżniki, ramy, z jabłoni, która na starość ma czerwonicisawe, słoiste drzewo; ze śliwki, ze skoruszy (w ogólnym języku jarzęb—*Sorbus aucuparia*), dający drewno jasnożółte, ładne. Jeszcze rzadziej spotyka się w wyrobach wierzbę, rokitę (zdaje się *Salix aurita*, rosnąca po mlakach), z drewnem czerwionawem, jałowiec, mąkinią (t. z.

od tego, że spód liści jest jakby zamączony, jak u białodrzewu; inakunia, według wymawiania innych mukinia, *Sorbus Arria*, rośnie po reglach; nakonieć jako pałaczkę, przybijane w charakterze ozdób, służy laska (w ogólnym języku leszczyna, *Corylus Avellana*). Dąb spotyka się w meblach, lecz oczywiście został przywieziony w deskach z okolic, gdzie rośnie.

Oprócz drzewa, objawy ludowej sztuki znajdujemy na skórze, jako wytłaczania i wyszywania; na suknie i płótnie; na kruszczach: żelazie i mosiądzu; wreszcie w kamieniu, jako posągi świętych.



Ryc. 90. *Różne sprzęty i narzędzia góralskie (z fotogramu).*

Pod względem technicznym w zdobieniu odróżnić można następujące sposoby:

a) Ryzowanie, t. j. wyrzynanie rowków na powierzchni płaskiej, gładkiej, dawniej kozikiem, nożem, dzisiaj dłutem najrozmaitszej wielkości

i kształtu. Dawniejsi robotnicy przy robocie na wylot (*à jour*), pomagali sobie świderkiem, wierząc dziury, a następnie nożem doprowadzając do żądanych rozmiarów i zamierzonej postaci; ślady podobnej roboty widać na niektórych łyżnikach, gdzie pozostały płasienki cięcia. Większy ornament, np. gwiazdy na sosrębach, budarze bezpomocy dłuta ryzowali wyostrzoną brodą siekiery ze zręcznością, czystością i dokładnością wykonania zadziwiająca. W moich oczach cieśla o zakład wyrzeźbił siekierą ornament geometryczny tak wprawnie, jak rzeźbiarz dłutem.

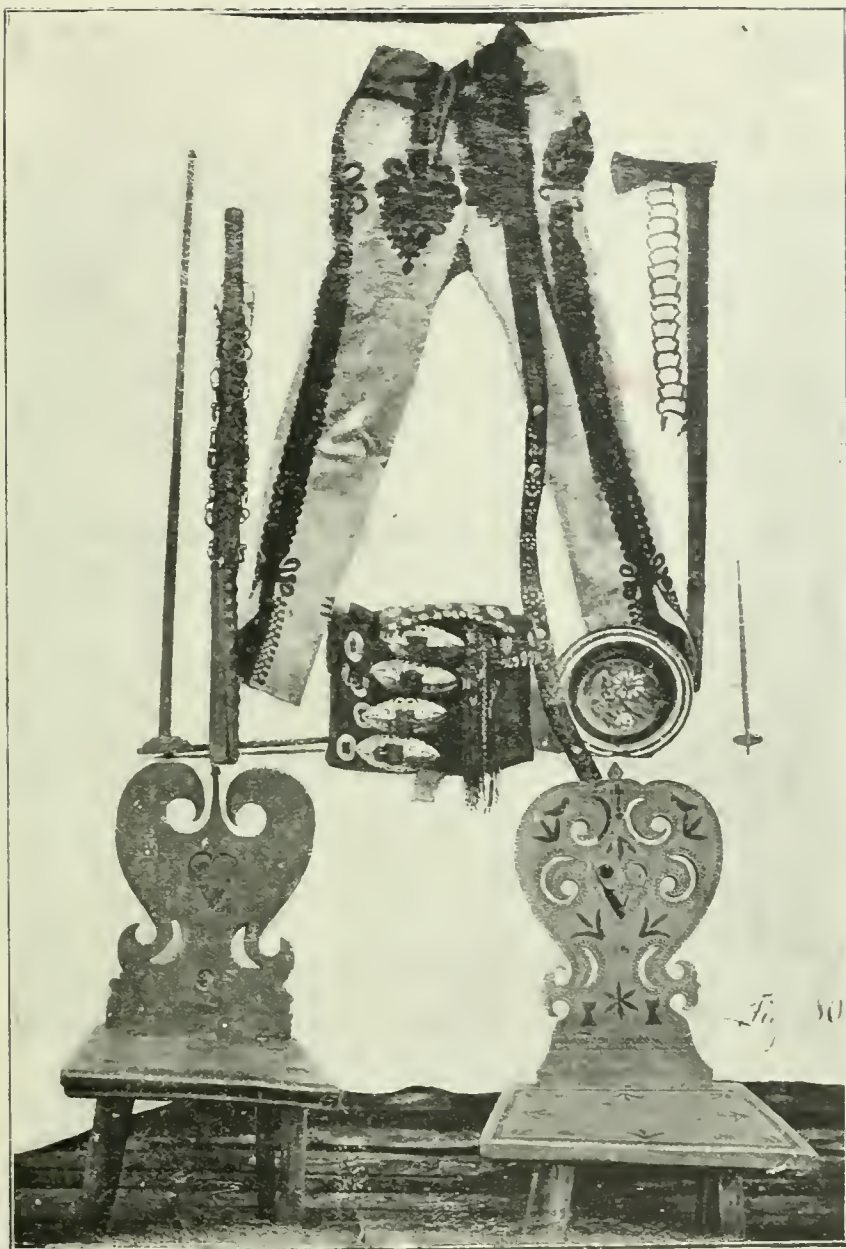
b) Rzezanie wążutką pilką linii krzywych i wywijasów z deski.

c) Właściwa rzeźba, t. j. wydobywanie z drzewa, lub kamienia, wypukłych ciał, postaci ludzkich i zwierzęcych, barokowych motywów i t. d.

d) Wyżeganie, rozpalonemi foremkami w drzewie pewnych piętn na konewkach, putniach, obońkach, solniczках. (konewkę ob. ryc. 90).

e) Haft, starego pochodzenia jest dość rzadki: kilka przykładów bardzo ładnych znajduje się w zbiorze pp. Dembowskiach; bywa na spodniach, na zawiązkach, któremi dawniej wszystkie mężatki, idąc do kościoła, obwiązywały sobie głowę, zwyczaj ten w Zakopanem tak dalece został zapomniany, że pamiętają go jedynie stare gaździny.

d) Wyszywanie i naszywanie na suknie i skórach kolorowemi niemi, powrózkami, i kawałkami kolorowego sukna lub irchy. Najczęstsze kolory na suknie stale powtarzające się w niezmienny sposób i w pewnych typowych ornamentach (parzenica, pieski, gadzik, mirwa) są: błękitny i czerwony; tak bywa na spodniach; na cukah, najczęstsze wyszywanie jest suknem zielonem, po brzegu szaty; lecz widziałem cuzeczki chłopiące roboty Słodyczki, lub Jędrzejczyka z Gładkiej, naszywane suknem innych barw. Jeśli naszywanie i wyszywanie na suknie odbywa się w obrębie kilku barw i kilku form ornamentacyjnych, to natomiast wyszywanie i naszywanie na skórze, mianowicie na serdakach i na zimowych kożuszkach (kuśnierze chrześcianie w Nowym Targu) przedstawia wielkie bogactwo i byłaby to wdzięczna dla kogoś robota, gdyby się zajął zebraniem i odmalowaniem wszystkich odmian. Szczególniej na starych, zużyczonych serdakach wypadkowo spotyka się zimową porą zadziwiające odmiany, już dziś niepraktykowane. Stare kożuszki, okładane po dolnym kraju kwadracikami skóry z białą i czarną krótką wełną, na przestępy, stanowią typową ozdobę; oprócz niej jednak w pewnych typowych miejscach: naokoło kieszeni, na plecach, na szwach pachowych, są piękne wyszywania niebieskim i czerwonym sznureczkiem w mirwę, oraz pewne typowe wyłogi i wypusty z kolorowej skóry. Żałuję, iż z obawy kosztów nie mogę dać tablicy kolorowej. Zowią je czasami „Bialeńskie kożuszki.”



Ryc. 91. *Sprzęty i odzież.* (z fotogramu).

6) Wykładanie *inkrustacja*, przeważnie cisowem drzewem, rzadziej jasnym jaworem, na meblach jaworowych i dębowych, jest częstym tu zjawiskiem na meblach dawniejszej daty, i kilka pięknych okazów znajdzie czy-

technik na dołączonych tablicach (np. Tab. IX i XI); robota jest bardzo staranna i czysta.

f) Kolkowanie; jest to osobliwa ozdoba pierwotnie pochodzenia konstrukcyjnego, to znaczy, iż po związaniu słupów dźwirnych z leżuchem



Ryc. 92. Stare „dźwirze“ w Zakopanem, z widocznym na odrzwiach Kolkowaniem. (z fotografum).

i „esami” w otokowe odrzwia, przybija związane części dla mocy kółkami; lecz góral, przy swojej wysokiej zdolności i poczuciu estetycznym, odrazu pojął, jak piękny z tego wydobyć można ornament. Więc dał ozdobne i gęste kółkowanie z twardego drzewa (jasienia lub buku), a nadto rozciągnął kółkowanie nie tylko na linje szwu związanych kawałów odrzwi, lecz także na miejsca i linje, gdzie nigdy linji wiązania niema, i być nie może, np. równoległe do łuku otoku dźwirnego. Tu podaję rysunek, według fotogramu panny H o u e q u e, ze starych dźwirzy zniszczonego domu w Zakopanem. (ryc. 92). Inne odmiany kółkowania, czytelnik raczy zobaczyć w mojej pracy: „*Budownictwo ludowe na Podhalu*,” gdzie wedle moich szkiców porysował je p. Konstanty W o y c i e c h ó w s k i; zwracam uwagę na kształt kolka pojedynczo wziętego, oraz na piękną, wykwinętą odmianę z domu S t a s z e c z k a, tamże wyrysowaną.

Drugi rodzaj kółkowania, wyszedł również z konstrukcyi: oto w łyżnikach czasami tarcza i osada są wykrzesane z jednej sztuki, z jednego „fala ta” drewna, albo osada jest wfügowana w tarczę,—albo wreszcie przybita gwoździami: otóż te łebki tych gwoździków zostawiają czasami wystające nad tarczą ku ozdobie: patrz przykład na Tab. XXXII, ryc. 3.

g) Malowanie. Użycie farb ma cel rozmaity, i rozmaity początek. Jeżeli wkluczyć tu i wapno, wznaczeniu białej farby, góral w pewnych rzadkach maluje części domu lub sprzęty, już to w celu czysto estetycznym, już to w celu pożytkowym dla osłony przedmiotu od zniszczenia, już też źródło malowania tkwi w tradycyi etnograficznie ciekawej; lecz ponieważ i w drugiej grupie przestrzegany bywa i wzgląd estetyczny, przeto dwie pierwsze kategorie połączyć można w jedną. Tu należą: malowanie na łyżnikach, na listwach na skrzyniach, na stołkach, na posągach świętych z drzewa i kamienia, na aniołkach i t. d. Na sprzętach dwa panujące kolory są: zielony i czerwony; np. na zielono malowana jest cała listwa, a tylko niektóre występy i linje pociągnięte czerwoną farbą; tak samo na łyżnikach. To znowu do tych dwu kolorów dołącza się trzeci: ciemno-błękitny, którym pomalowany jest spód policzki od listwy. Skrzynie znowu pomalowane są nie jednostajnie, jak tylko co wymienione sprzęty, lecz gęsto, w jaskrawe kwiaty. Jest to ciekawy fakt, że i wzorzec kwiatów i kolory, zachowały się bez zmiany od 150 lat, jak o tem wnosić mogę do pewnego stopnia z porównania skrzynek świeżej daty, z jedną skrzynią widzianą w Kośnym Hamrze z datą 1772. Na statkach po umalowaniu w zasadniczy zielony kolor, malują blado-cielistą farbą jakiś ornament np. lelują; lub na listwie oprócz kanonicznych kolorów: zielonego, czerwonego i błękitnego, spotyka się jeszcze cielisto-różowym porobionę rzucitły, jakby obłoczki przejrzyste i t. p.

Osobliwą ozdobę rzeźbioną i malowaną widzieć można na ulach, stojących po „pszczelnikach,” t. j. w szopkach pod strzechą, zwróconych pod



Ryc. 93. *Ul Sobezaka w Zakopanem.* (z fotografumu).

południe ku słońcu; np. jest ich kilka u Sobezaka za potokiem (Zakopane), u Gładczana na Gładkiej (ryc. 93) por. też Tab. XXXVIII, ryc. 1 i 2.

Malowanie posągów świętych i figur ludzkich stara się naśladować szaty noszone, tu zatem kolory nie przedstawiają nic ciekawego.

Spotyka się też i prawdziwe obrazy roboty ludu tutejszego, przedstawiające sceny z życia zbójników i legiendowego junaka Janosika; p. Witkiewicz w swojej książce na „*Na przełęczy*” podał wyobrażenie takiego obrazka na str. 187. Są one bardzo ciekawe pod względem etnograficznym, lecz brak mi danych, bym mógł coś bliższego o nich powiedzieć.

Przechodzę obecnie do niektórych etnograficznych zjawisk, mających uboczny tylko związek z malowaniem właściwym. „Drzewiej,” t. j. dawniej, czasami mazali ściany, t. j. płazy w izbie „z nuka,” t. j. z wnętrza, krwią bydlęcą, rozniechaną z wodą; w części robiono to dlatego, żeby drzewu nadać kolor czerwony, w części zaś dlatego, żeby ściana lśniła się i błyszczała; dla wzmocnienia tego połysku, płazy pomazane krwią pociągano jeszcze po wierzchu rozbitymi jajami. Tak wymazana izba istnieje jeszcze na Karpiełowie; należała do Kasi Bukowskiej. Rzeczywiście, ściany jednej wymazanej krwią izby, którą widziałem, lśniły się jak kościana powierzchnia, lecz pierwotnej barwy nie było już ani śladu; od czasu i dymu ściana nabrała hebanowej barwy, a od mazania i tarcia plecami, rękami, chustami połysku jak politurowana. Być może, iż na dnie tego zwyczaju leży jakiś zabobon, już zapomniany; może też prócz tego chodzić góralowi o wypokostowanie ściany, tak, żeby w niej nie było szczelin i pęknięć w drzewie.

Znanem jest u nas, na bardzo znacznej przestrzeni obszaru etnograficznego, zdobienie ścian domostw z pola wapnem w rozmaite wzory, jak: kółka, nachlapnięcia, krzyżyki, całe figury ludzkie, dziecięcej nieudolności w przedstawieniu. I tu, jak jedziesz od Krakowa, spotykasz precz ten objaw, prawie aż do samych Tatr, lecz w Zakopanem i okolicy niema tego ani śladu. Natomiast we wsi Zdziarze, zamieszkałej przez polski lud, lecz już w politycznych granicach Węgier, choć z tej strony przełęczy zdziarskiej, w głównym łańcuchu Tatr, spotkałem objaw ten dość rozwinięty. Wiedzieć trzeba, że chałupy w tej wsi górskiej i ubogiej, są najskromniejszego typu: środkiem jedna izba o dwu oknach w ścianie licowej, obok tej izby z jednej strony wązka sień z drzwiami wchodowymi, z drugiej wązka komora; między nimi rozparta izba zbudowana w węgiel-wszystko pod wspólną typową strzechą. Otóż zdobienie wapnem na białe, zanotowałem w następujących odmianach: 1) Szczeliny między płazami (balami), ale tylko na tej przestrzeni ściany, która zawarta jest między oknami, oraz szczelina dookoła futryny okiennej—są wylepione wapnem; reszta ściany posiada przyrodzoną barwę drzewa. 2) Na każdym sumiku (każdy bal przerznięty skutkiem tego, że w nim przypada otwór okna lub dźwiérzy) w przestrzeni między oknami, wapnem zrobiony regularny zyg-

zak. reszta ściany nieknięta. 3) Ozdoby na futrynie okiennej, jakies kółka niby lalki w sukniach. (ryc. 94). 4) Szereg pazdurów na płazach między oknami a krzyże na końcach płaz w węgle (ryc. 95). 5) Ząbki, kółka, pazdury ubielone na futrynie okiennej (ryc. 96). 6) Kółka na futrynie.



Ryc. 94.



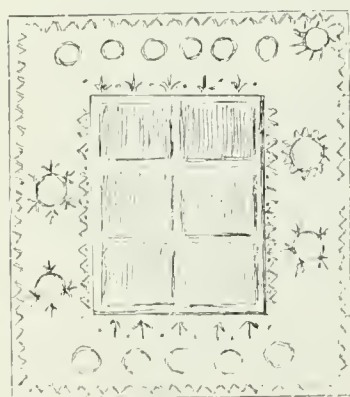
Ryc. 95.

Ozdoby wapnem na domu Jędrka Piloniaka w Żdziarze.

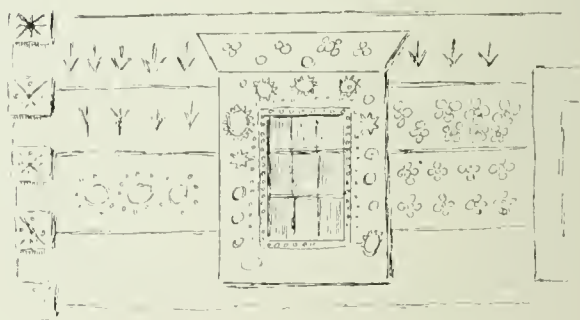
a ostrewki na węgle (ryc. 97). 7.) Dziwaczna ozdoba okna i całej ściany czerwonym na białym tle (ryc. 98). We wsi Ciche na domu Staszela widziałem na odrzwiach drzwi wchodowych i nad nimi malowania czerwone, wyobrażające lęluje, roślinności, gwiazdy w oto-



Ryc. 97.



Ryc. 96.

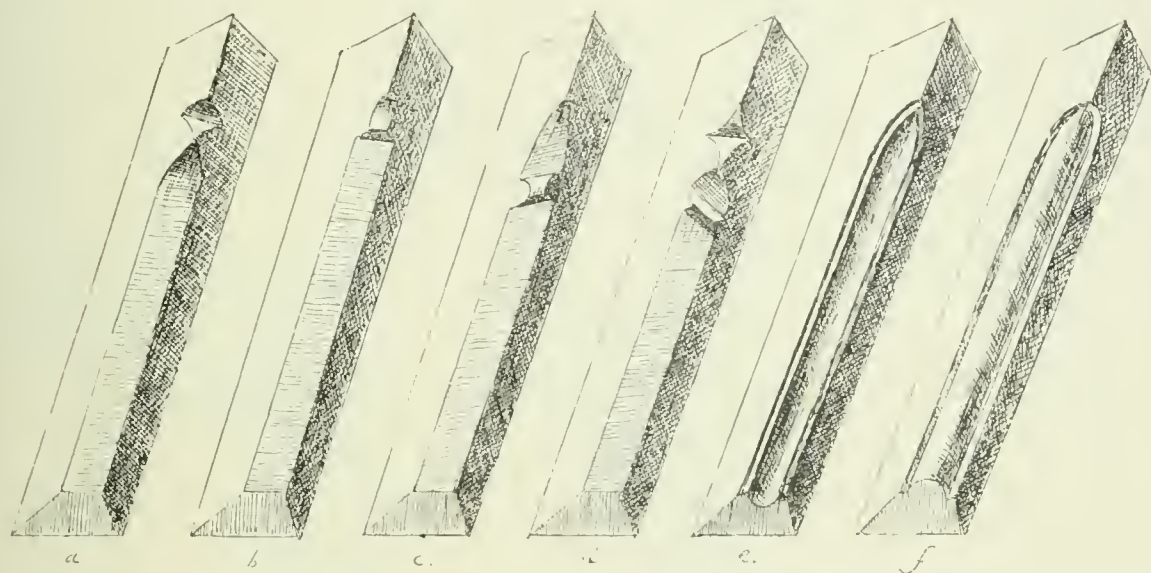


Ryc. 98.

Ozdoby malowane.

kach i t. d., oraz ornament geometryczny a w nim imię i nazwisko fundatora domu.

Lud tutejszy wykazuje nadzwyczaj delikatne poczucie w obejściu się z krawędziami budowli i sprzętów. Z małym wyjątkiem, prawie każda krawędź ulega zebraniu, t. j. sfażowaniu, lub listwowaniu: różnica między niemi ta, iż fażę robi się siekierą lub dłutem, jest zatem robotą indywidualną, listwowania zaś dokonywa się listwownikiem, heblem, unyślnie ku temu mającym nóż osobliwej krzywizny, tak że maszynowo zestruguje się krawędź w pewne rowki i wyniosłości. Faża kończy się zawsze we właściwy sposób, czasami przzerwana prożkiem, lub schodkiem. Oto szereg faż (ryc. 99).



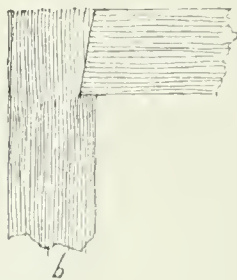
Ryc. 99. Faży.

Więźba, to jest spojenie wiązanych części budowli, czy też mebla, odbywa się w rozmaity sposób. W budowlach słupce i leżachy odrzwi i futryn okiennych wiązane są stałe i bez wyjątku „na ramię”: tylko drzwi wchodowe domu, wiodące ze dworu do sieni, bywają wiązane czasami inaczej; natomiast okna i dźwirze izdebne, wiodące do sieni i do komory, mają zawsze wiązanie ramiowe (ryc. 100 *a* i *b*). Druga, rzadsza forma więźby jest „na kozę”, to jest związane części spotykają się według przeciwprostokątnej (*hypotenuza*) kwadratu (ryc. 100 *c*). Poziome słuza je, t. j. ramy, obramienia pólek, wpojone są w pionowe ramy półki, według podwójnej kozy (ryc. 100 *e*). Najrzadziej spotyka się więźbę prostą, według boku prostokąta (ryc. 100 *d*). Stara góralska robota wyróżnia się doskonałem związaniem na którym głównie, a nie na kleju, jak to się dziś dzieje, opierano trwałość sprzętu: to też nie bał się on czasu i wilgoci.

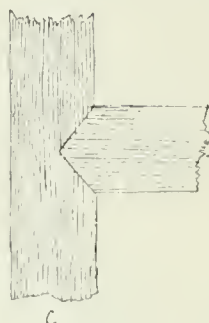
Idąc za popędem poczucia estetycznego z prostego zastrzału, rzeczy pierwiastkowo konstrukcyjnej, zrobił lud tuteszy rzecz ozdobną. (ryc. 101).



Więźba na ramię ramiowa.



Odmiana rami.

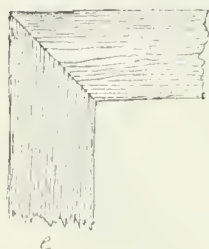


Więźba na podwójną koźbę.

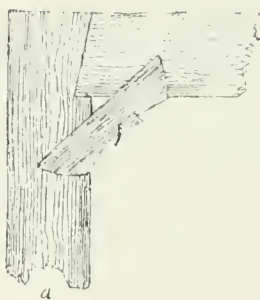
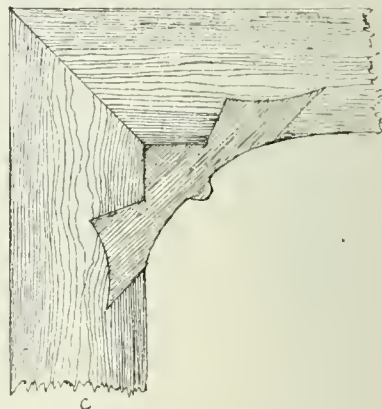


Więźba zwyczajna.

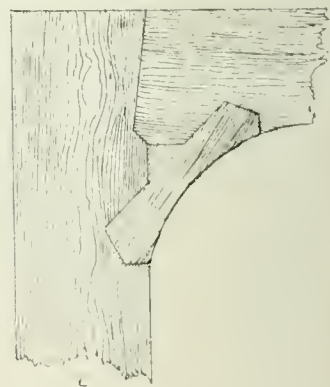
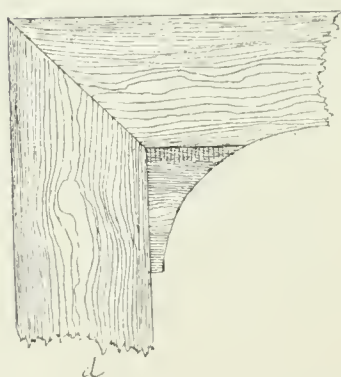
Ryc. 100 a-c. *Więźby różne.*



Więźba na koźbę.



Zastrzał czyli es najprostszy z szopy Króla z pod Guhałówki.



Ryc. 101 a-c. *Zastrzały.*

Część szczegółowa.



Ryc. 102. *Widok doliny zakopiańskiej w porze zimowej z Antolówki. (z fotografum).*

Nagie, granitowe turnie Tatrów, olśniewająco śnieżne zimą, fioletowe w mgle oddali, tak pochłaniają uwagę podróżnych, bawiących w Zakopanem, tak nęca i pociągają ku sobie, że każdy, kto czuje się na siłach, idzie wspinać się na Garluch, Lomnicę, Rogacze, lub Lodowy, gramolić się po piargach Niecheyrki, Ciemnych Smreczyn, w ostateczności idzie błądzić po dolinach reglowych, po Olezyskach, Kościeliskach, Strażyskach—lecz mało kto zapuszcza się wózkami, lub pieszo, po podhalskiej górskiej krainie. Tymczasem wycieczki tego rodzaju nie tylko pozwalają zapoznać się z ludem, lecz otwierają nieprzeliczone, piękne widoki, pełne niespodzianych rzutów oka, z oryginalnych punktów widzenia. Sama dolina Zakopiańska i najbliższe okolice: Oleza, Poronin, Kościeliska, zawierają ciekawe zakątki. Gdy się stanie wśród zieleniącej równinki Krupówek, i obejrzy do okola: jaki szeroki, otwarty, wielki widok! Z jednej strony ogromna Skalista Grań naga, dźwigająca się ponad skarpami ciemnych regli—z drugiej od północy wal Gubałówki, ochrona od wiatrów północnozachodnich; od wschodu niższy wal Jantolówki, obrona zimną od wschodnich podmuchów; a na zachód jak fale wielkie, olbrzymie zagony, w języku ludowym wirchy, biegnące od regli ku Gubałówce, poprzegradzane zaklęściami: to potok bieżący z szumem ze szczyrby

Kuźnie, za nim „Rapcocki Wirch” pod którym na młacie leżą nędzne chałupiny Wilenika, a wyżej Rzycańskie; a za nim znów jar z potokiem Strążyńskim a nad nim Kasprusie i znów płaski glejowaty wirch Walcocki, z za którego wyziera Księży las, dalej niewidoczne Bońdówki, Skibówka. A na Gubałówce szereg polan, łysin oranych wśród przerzedzonych lasów, rozgrodzonych głębokimi jarami, zarosłymi czarnymi smugami lasu; a wszystko nosi swoją miejscową nazwę: Kotelnica, Wałowa Góra, Wałów potok, Gładka, Gładcański potok, Sobcacki Wirch, Chockowskie, Pająkówka, Karpielówka Butorów, z których widać tylko wąskie płasienki, tułące się jeden za drugim, z samotnym gdzieniegdzie smrekiem, odrzynającym się na jasnym niebie.—aż wreszcie na kraju widnokregu, wielki wyzior ku zachodowi— z oryginalnym przełęczystym grzbietem Osobitej, plawiącej się codziennie w złotej zorzy zachodu. A po tych polanach, nad jarami kępy drzew liściastych, znaczą siedziby ludzkie: im wyższe, tęższe gąje ¹⁾, tem starsza, ciekawsza osada. Z pewnością tam siedzi, lub siedział, „gruby” gazda i dom starszy, okazalszy, i staroświeckie w nim zabytki. Obierzmy jedną, najsutszą gromadę najsmuklejszych gąjów i podążmy ku niej.—Nie ma do niej drogi; za stromo, za urwisto: mosty za kosztowne; z początku wiedzie jako merska drożyna, lecz ginie w potoku: więc trzymamy się „chodnika” (ścieżyny) wygodnie wydeptanego. Nad szumiącym potokiem zawisła „ława,” to rozsochaty smrek, w którego rozkraczenie wbity trzeci pień; i po tym bujającym się moście, wspartym końcami na małych jazach, broniących od wód naporu, przechodzi się, kalikując jak na miechu organowym, na drugi brzeg. Czerwcowe ciepła zrobiły swoje. Dąbrowy pełne kwiccia i ptactwa. Zatrzymuje nas mimo woli siwy potok, zadzierzysty, skaczący hulaszczko i samopas po większych żabiacach ²⁾, pryskający srebrnymi grzywami; z loskotem i szumem, czysty i lodowato zimny, wali niżej a niżej; tu rwie brzeżek muraWiasty: popochylały się olchy, inne leżą z zielonemi gałęzmi w wodzie, z wykrotami korzenistemi; tam zrobił wielki, brzuchaty, obszerny, nagi odsep z milionów gładkich, okrągłych żabiec. Po kamieńcu uwijają się kubigi; po świeżej ziemi obrywu migają żółte i pstre „pluskwy” czyli „pienki,” wogólnym języku pliszki (*Motacilla*), a biegają po ziemi, a brodzą po płytkiej wodzie, a stają na żabiacach, pobujają długim, lekkim ogonkiem jak wachlarzem, i znów rzucają się podfrunawszy za muszką: od czasu do czasu

1) Gáj w gwarze tutejszej znaczy pojedyncze drzewo liściaste, lub jego gałąź.

2) Żabieca okrągły kamyk utulany przez wodę w łożyskach potoków górskich i na wybrzeżu morskiem.

pstra zaśpiewa krótko, urywanie, ale ślicznie: więcej nie umie, ale tę zwrotkę swoją śpiewa tak miło, tak cudnie; jest to jedna z najmilszych śpiewek ptaszyczych bo bardzo weześnie na wiosnę rozbrzmiewa nad potokami. Po dąbrowie, pod olszynami, kwitną blade-żółte kępy pierwiosnków (*Primula*) i jaskrawo-żółte pęki Knieci (*Calltha palustris*): pasą się chude krówki z zapadłymi bokami: kilku pastuszków w zakasanych porteczkach brodzi po potoku, nad małym „płosem” to jest miejscem w potoku, gdzie woda ujęta między dwa progi kamieniste, jakby między grobelki, jest spokojną i głębszą i nie rwie. Mały uglądają strzebli, lipieni, głowaczy lub pstrązków.—A całą olszynę zalewa wielkie, olśniewające słońce i zapewniają śpiewem „drożdże” (drozdy), skacząc po gałęziach. A bracia ich „ma zaki”: co mażą, t. j. lepią gniazda i „okowcaki,” co mają okówkę, t. j. obrozę na szyi (*Turdus torquatus*) wtórują im z pobliskiego lasu. O! drożdż to hruby pan: wielki śpiewak, ale mu się niechce, jeno zagwizduje sobie, ponuci cudnie, grubo, pięknie, niby słowik, ale mu się niechce, więc urywa, i znowu podejmuje śpiew co chwila. A rój wszelkiego innego ptactwa śpiewa w niebogłosy: wójciki, a raszki w smreczynie wyciągają swoje wysokie *tsiiiii*, a sikorki czarnobliste i modre zawodzą swoje melodyjne *filii-filii-filii*, a sływnadła (trznadła), jak szmermele, w locie śpiewają zgiełkliwą śpiewkę naksztalt potrząsanych kawałków szkła. Na samotnym smreku, na samym czubie, siedzi Siwarnik (*Anthus arboreus*), najpiękniejszy śpiewak tutejszy: od czasu do czasu podfruwa śpiewając w górze i trzepocąc skrzydełkami jak skowronek, — wyleci, a potem rozpostarszy nieruchomo skrzydełka i zataczając pętlice w powietrzu, z cudnym omdlewająco-zamierającym *cijá-cijá* zwolna opuszcza się na swoje stanowisko. Cudny śpiewak górskich okolic, niezmiernie pospolity w Zakopanem: niema samotnego drzewa wśród pól i polan, by na niem nie śpiewał jeden Siwarnik!

Po głejowatej, kielzkiej (ślizkiej) ścieżce wygramalamy się na polankę, a z niej bardzo stromym chodnikiem w las jodłowy i smrekowy, zarastający głęboki jar: na samym dnie, kamienistym żłobem leci czysta woda, wśród brzegów żółtych od *Chrysosplenium*; przekraczamy żleb i wspinając się po drugiej ścianie jaru, ścieżyną wśród uroczego gąszczu, chłodu lodowatego; wreszcie wyglądamy na polankę, zalaną słońcem: przed nami gromada gąjów, wśród nich siedziba. Dobrze tu teraz chodzić tą śnieżyną: lecz zimną bięda zejść po wodę do potoczku: a jak przykurzy zawieja, trzeba co dzień „kidać”¹⁾ śnieg lopatą, aby się dostać do wody dla siebie i stat-

¹⁾ Kidać=odrzucać.

ku. „Godna” zagroda przed nami: w czworobok stoją wielkie gąje: jasionie, jawory, brzostry, „świerki” (modrzewie), ledwie co puszczone igielki, cudowne, zielonutkie, cienutkie jak ździebelka. Tu i owdzie przy zrąbanym, starym pniu jasionia, puszczone się młode pędy „krzasłowite”¹⁾; ale i one zwyciężą w końcu swoją niedolę i śmigną w bujne, smukłe drzewka. Na „oborze”²⁾ puściła się przepyszna, suta, zielona, mocna trawa, „zajusyla” się, „zabogačila” się, t. j. ujęła się nie deptana, oszczędzana, jak kosztowny dywan (ryc. 103). Rozpanoszona, bujna, zagarnęła całe podwórze, prócz części pod samym domem, wyłożonej wielkimi płaskimi skrzyżalami³⁾. Gazda podhalski pyszny jest ze swoich skrzyżali, i każdy sady się, by mieć większe, niepopękane przed domem; z mozolem je wykopano i przywieziono, tu, tak wysoko.

Na pazdurze siedzi ślinogórz, czyli salaśnik, czyli salaśny gazda, w Nowym Targu kominiarz, i śpiewa, a każde zaśpiewanie kończy pluciem, jakby kto ślinę przez zęby przepuszczał (z tą nazwą ślinogórz). Jest to najpospolitszy ptaszek podhalski (*Buteo tithys*), tak zwykły tu, jak u nas jaskółka, lub wróbel. Jak się do dnia o brzasku jedzie do Zakopanego, to na każdej kalenicy dachu, lub na kominie każdego domu siedzi ślinogórz i śpiewa biedactwo jak może, a prześpiewawszy zwrotkę i wypluwszy koniec, pomacha ogonkiem, zrobi kilka przysiadek, i zleci za zerem. Gnieździ się gdzie w dziurze za latą, pod strzechą, pod gontem, a tak śmiały, że ludzi się nie boi. Górale dziwy opowiadają o jego sprycie i śmiałości, i o tem, jak umie ukryć się z gniazdem. Czasami buduje gniazdko w domu lub szopie, którą właśnie cieśle budują; jemu to nie przeszkadza.

Izba przed nami okazała, na podmurowaniu z graniówki: pod węglami grube pecki (węgielne kamienie); ze skrzyżali wygodne stopnie do sieni. Dom stylowy podhalski⁴⁾, a więc dwie izby w węgiel z płaz, t. j. pni przepołowionych wzdłuż rdzenia; w każdym węgle zdobne, zacinane rysie, czyli wypusty, typowo się powtarzające: dźwirze do sieni szalowane, odrzwia wiązane, w półkole nabijane kolkami, we wzorzysty rysunek. Strzecha wysoka, okap szeroki broni od zacinania deszczu. Szczyty dachu u góry pionowe ze słońcem i otworami na poddasze w miesiąc i wietek, niżej

1) Krępy przysadzisty, jak obgryzane drzewko np., i o człowieku mówi się „krzasłowity”.

2) Obora = podwórze, nigdy to, co u nas obora.

3) Skrzyżal = wielka płaska tafla kamienna; widoczne są na ryc. 107.

4) Patrz koniecznie „*Budożnictwo ludowe na Podhalu*,” gdzie podane konstrukcyjne szczegóły.

strzeszka, a pod nią wyzka, t. j. izba na poddaszu. I postawiona typowo na północnym boku czworobocznego podwórca: na zachodnim wedle kanonu



Ryc. 103. Zagroda góralska Walezaka w Kościeliskiej ulicy. (z fotogramu).

stoi szopa.—Licową stroną dom se patrzy na góry szlachetne, na turnie.
A cóż tu za widok wspaniały poprzez gąje! Jaki inny! Murań odsunęła

się od Hawrania, a z za tego szczytu wygląda pochyły, smukły czub Nowego, jak t. z. figa z pomiędzy palców. Dalej Jagińczy, Kołowy, Lomnica, potworna piramida Lodowego, a wszystkie jeszcze bielejące od śniegów zimowych, choć pali czerwcowe słońce. A jak przyżega tu pod ścianą! Od tego działania latami i latami zmieniło się drzewo w ścianie: niższe płaży, gdzie zacinają deszcze, poczerniały, zwęglili się; górne zasłonięte strzechą, a prażone słońcem zezwiertnęły się jak dukatowe złoto; odrzwia, obciosane kiedyś, dzisiaj pod wpływem tych promieni słonecznych uległy molekularnej



Ryc. 104. *Dom góralski Sobczaka w Kościeliskiej ulicy. (z fotogramu).*

zmianie, jak szybki w starych kościołach, i w słońcu grają barwami krążków Newtona, tęczą, to żółcą się żółtością siarki, to przechodzą w odcienia mechowo-zielonkawe z odblaskami fioletowymi, i znów zielenią starej tabaki; Muszki w tym skwarze pod ścianą gzą się i z bzykiem raz poraz zrywają; a mają dogodnie legowisko w kupie gnoju (ryc. 104).

Cicho przed i w chalupie: nie widać żywej duszy: nawet pies opuścił swoją „pielesz” i poszedł za gązdami i dziećmi w pole. Tylko ślinogórz i pszczoły zostały na „dzierżawie”¹⁾. Ale wnet zwęszył nas pies i ujada: a i gaździna z dziećmi podąża ku domowi nawarzyć „poledninę” (obiad). Otwiera drewnianym, przedhistorycznym kluczem zaworę drzwi, i prosi nas do izby. Schylamy głowy i wkraczamy do izby białej.

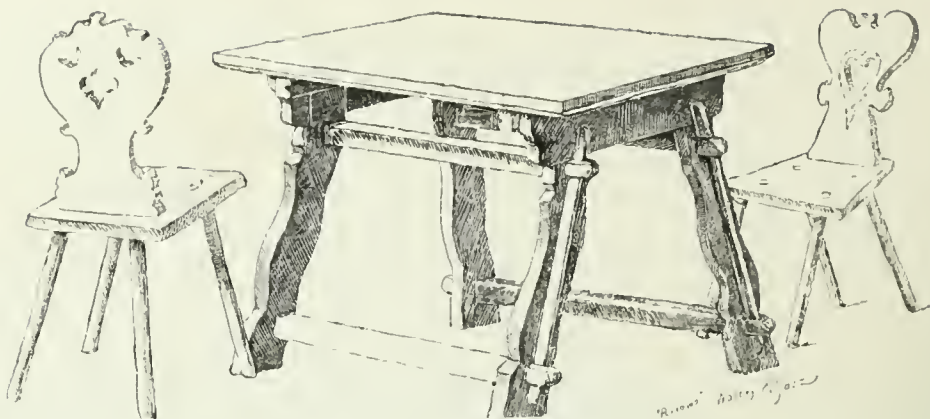
Dwie są izby: na lewo (wedle przykazania) czarna od „zaczernienia, t. j. zaczernienia dymem: jest to izba codzienna, zimowa, czeladna, gospodarska, kuchnia; i na prawo biała, stanowiąca świetlicę.



Ryc. 105. *Dom góralski* (z fotogramu).



¹⁾ Dzierżawa — własność, posesja.



Ryc. 106. Stół i stołki góralskie.

Wnętrze izby i jej wyposażenie.

Trzeba raz widzieć dorodną izbę góralską, aby się szczerze przekonać, że to jest nie tylko najwspanialsze mieszkanie ludu, w porównaniu z izbą kurpiowską, podlaską, kujawską, mazurską i t. d., ale bezwzględnie nawet jest to piękna, stylowa świetlica, godna uwagi, poznania w szerokich kołach i rozpowszechnienia. Piękności jej i zalety jedne wynikają z samej konstrukcji, drugie z odpowiedniego wyposażenia. Najprzód same rozmiary są, jak na ludowe mieszkanie, weale pokaźne. Wprawdzie większość izb bywa drobniejszą, ale nierzadko spotkać można izby po $6 \times 6 \times 3$ metry, lub $6 \times 5 \times 2,80$ metra. Oto rysunek (Tabl. I) p. Dobrowolskiego, z natury zdjęty wedle pomiarów, przedstawia izbę białą, Buleyka z Koźnego Hamru, posiadającą 6 m. długości, 5,43 m. szerokości i 2,94 m. wysokości, co daje blisko 96 metrów sześciennych pojemności. Jest gdzie i czem odetchnąć swobodnie. Takie izby: Krzysia i Leudy z Krupówek, lub po nieboszczyku Michale Walczaku w Zakopanem, są jeszcze większe, choć przez wyrznięcie okien popsuty został charakter dawnego wiązania. Dumę gazdy stanowią grube, t. j. szerokie płazy, siadłszy z gościem na ławie lubi gładzić dłońmi ich powierzchnię i poklepywać po nich. Nierzadko spotkać można płazy po 60 ctm. szerokości; w starym, rozebrany domu Bafji w Chochołowie widziałem płazę na $65\frac{1}{4}$ ctm.; a w izbie Pająka w Zakopanem nawet 70 ctm. Cztery takie płazy w ścianie, ot i gotowy zrąb! Zazwyczaj płazy są nieco węższe i idzie ich sześć na ścianę, która zbudowaną bywa stale w jeden i ten sam zawsze i nieodmienny sposób. U dołu widać dookoła izby spodki t. j. podwaliny, które są wsunięte o 3—4 ctm. bardziej do światła izby, poza płaszczyznę samej ściany, a krawędź tej wsuniętej części jest ozdobnie zfazowana, prócz w sunych rogach i przy osadzie słupów dźwiernych, przez co powstaje występ biegnący dookoła izby co w naszych warszawskich pokojach

naśladuje przybita na tapetę t. z. lamperja; ten występ tutaj nazywa się „cokulem”; z naprzemianległości bali w ścianie, związanych w węgiel, wypływa, że cokul w ścianie szczytowej i odsiennej jest niższy. (skoro spodki tych ścian spoczywają bezpośrednio na podmurowaniu) od cokulu ściany licowej i tylnej (gdyż spodki tych ścian spoczywają na spodkach poprzednich). W podobny sposób przedostatnie płazy ścian: odsiennej i szczytowej, a ostatnie ścian: licowej i tylnej również wystają, występują do światła izby, poza płaszczyznę całej ściany, przez co tworzy się rodzaj fryzu, obiegającego izbę dookoła; ten występ ma również krawędź zfazowaną, z wyjątkiem w samych rogach izby, i tam gdzie przechodzi w ścianie odsiennej i szczytowej pod sosrębem: tu faza jest przerwana. Występ ten, a zarazem i cała płaza go czyniąca, nosi nazwę warsoli, lub warsolki. Warsol zfazowana jest zawsze w ten sposób, w jaki zfazowany jest sosrąb—tak że motyw przeprowadzony jest jednostajnie. I tu również jak przy spodkach dodać muszę, iż warsolka ściany odsiennej i szczytowej skutkiem budowy węglowej bieży o półszerokości płazy niżej od warsoli, ściany licowej i tylnej. Wszystko to uwydatniono na Tab. I. Trzecią ozdobę i urozmaicenie stanowią odrzwia i futryny okienne, których zarówno słupce, jak i leżuchy, są również za warsolowane, t. j. wystają o $1\frac{1}{2}$ —2 ctm. nad płaszczyznę ściany; brzeg tych części obwodowy jest listwowany, brzeg zaś naokoło otworu drzwi lub okna zfazowany, nieraz bardzo ozdobnie. Można to widzieć na ślicznym rysunku p. Witkiewicza w jego nieocenionem dziele, „*Na przelęczy*” (str. 19). Na leżuchu drzwi wiodących do sieni oraz drugich drzwi takich samych, prowadzących do komory, jeśli ta istnieje, widać ozdoby roślinne ryzowane. Podłoga piękna, biała, z desek jodlowych, szerokich, czasem i po 60 ctm. na szerokość. Lecz największa ozdoba izby, to jej powal: wpodłóż biegnie Sosrąb, (p. Tabl. II) wielka belka w przecięciu prostokątna, n. p. 48×16 ctm., pięknie zfazowana, w częściach bocznych, z wyjątkiem samego środka i samych końców. Na środku na powierzchni licowej i na spodzie oraz na końcach piękne ryzowania w wielkiej różnaitości, prawie odmienne w każdej chalupie; ale zawsze na środku w otoku gwiazda; czasami wyrzyte imię i nazwisko założyciela domu, oraz rok wybudowania. Wpoprzek izby spoczywając końcami na ścianach, a środkiem wspierając się na sosrębie, z którym się krzyżują, biegną sosrębiki, beleczki kwadratowego przecięcia, również z krawędziami tak samo zfazowanemi jak sosrąb, z wyjątkiem końców i części spoczywający na sosrębie, które nie są zfazowane. Sosrębikó w bywa trzy, nigdy więcej, ani mniej. Na nich dopiero leżą deski powaly, albo ciągnące się wzdłuż przez całą izbę, albo też w ukos w szatkwoniec, przychem w każdym z czterech przedziałów, na jakie

dzielią trzy sosrębiki całą powalę, deszczulki pięknie dobrane i zfażowane biegną w ukos, to w tę, to w odwrotną stronę. Gdy światło padnie na tę szatkownicę z deszczulek i zagra na jedwabistym drewnie, dając odbłaski na jednym rzędzie, a ciemniejsze odbicia na drugim i tak naprzemiany, gdy oderżnie się na tych nierównościach i cieniach cień sosrębu — cała powala zamienia się na piękną wzorzystą boazerję, i przypomina dawne świetlice w zamkach i dworach z dawnych czasów. Światło gra również na drzwiach szalowanych deszczuleczkami promienisto rozbiegającymi się z półkola ryzowanego, naśladującymi wschodzące słońce. Lecz najpiękniej w słońcu wychodzą same ściany, cudnej żółtej barwy woskowej, nie tej woskowej, trupiej, figur woskowych, lecz złotawej barwy perchy lub wosku, który lud w kręgach przynosi na świece do świątyń na ofiarę.

Te naturalne i konstrukcyjne piękności izby podnosi jeszcze wewnętrzne wyposażenie. Dookoła izby; lub też do ściany odsiennej, licowej i szczytowej przymocowaną jest setna ława, gruba, szeroka, jak

w izbie Bulcyka 57 cm. wszerz mająca, leżąca na potężnych podstawkach t. j. wspornikach przybitych raz na zawsze do ściany, a okazale wyrzeżanych: na takiej ławie zasiąść wygodnie, taką utrzymałaby mnicha, o którym Krasiecki powiada, że jak siadł, to „ławy pod nim dubelto-we jękły.“ (ryc. 107).



Ryc. 107. Część ławy i podstawek z izby Bulcyka.

Na tych ławach prze-
siadują i domownicy
i godownicy w czasie
wesela, i widzowie przy-

patrujący się płasom w zapusty. Na ścianie szczytowej, tuż pod sosrębem przymocowaną jest listwa, tak długa jak sama ściana, sprzęt nieodłączny od izby góralskiej i zawsze stałe przybity tylko do tej ściany. Listwa jest, właściwie biorąc policą i składa się z galeryjki, pochylonej na pokój, za którą rzędem stoją, święte obrazy, oraz z części niższej z koleczkami, na których wieszają się szaty, jeżeli w izbie niema szafy, jak to bywa najczęściej. Li-

stwa „drzewiej,” t. j. za dawnych czasów, bywała zawsze pomalowaną w rozmaite kolory, przeważnie: ciemnozielony, butelkowy i jaskrawo czerwony, spód zaś policy ciemno-błękitny. Panuje nadzwyczajna różnorodność w rysunku i zdobieniu listwy, której kilka przykładów czytelnik znajdzie: na ryc. 83, z fotogramu



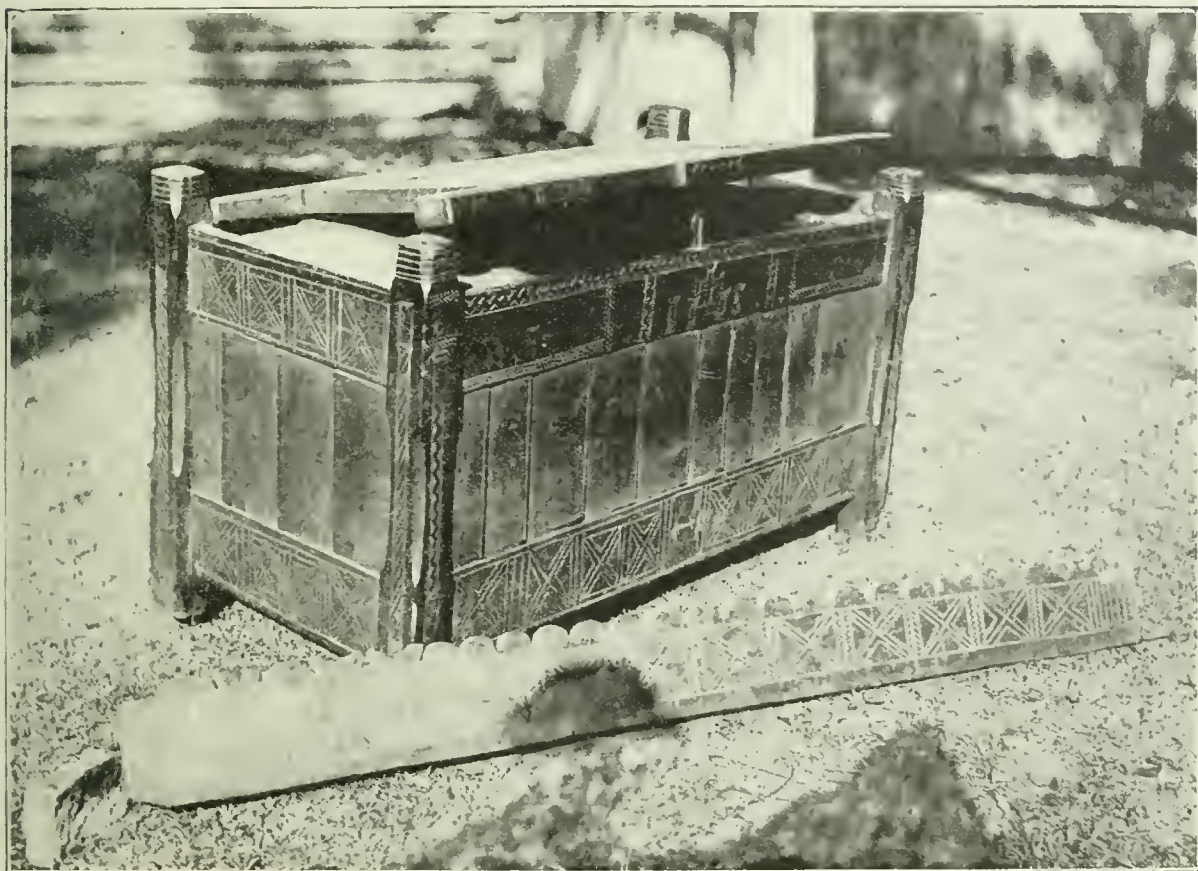
Ryc. 108. *Wnętrze izby po Łojasie pod Gubałówką.* (z fotogramu).

listwy hr. Krasieńskiego, na której są wcale ładne główki puciołowatych aniołków; dalej na ryc. 108 i 109, oraz na Tabl. VI, wyobrażającą listwę z izby Buleyka w Kośnym Hamrze, roboty ojca właściciela, z główkami aniołków rzeźbionych. W a w r z y n i a k a z Glearowa, na Tab. III, wyobrażającej



Ryc. 109. *Wnętrze izby po nieboszczyku Kołodzieju w Zakopanem.
Pazucha ze stołem. (z fotografii).*

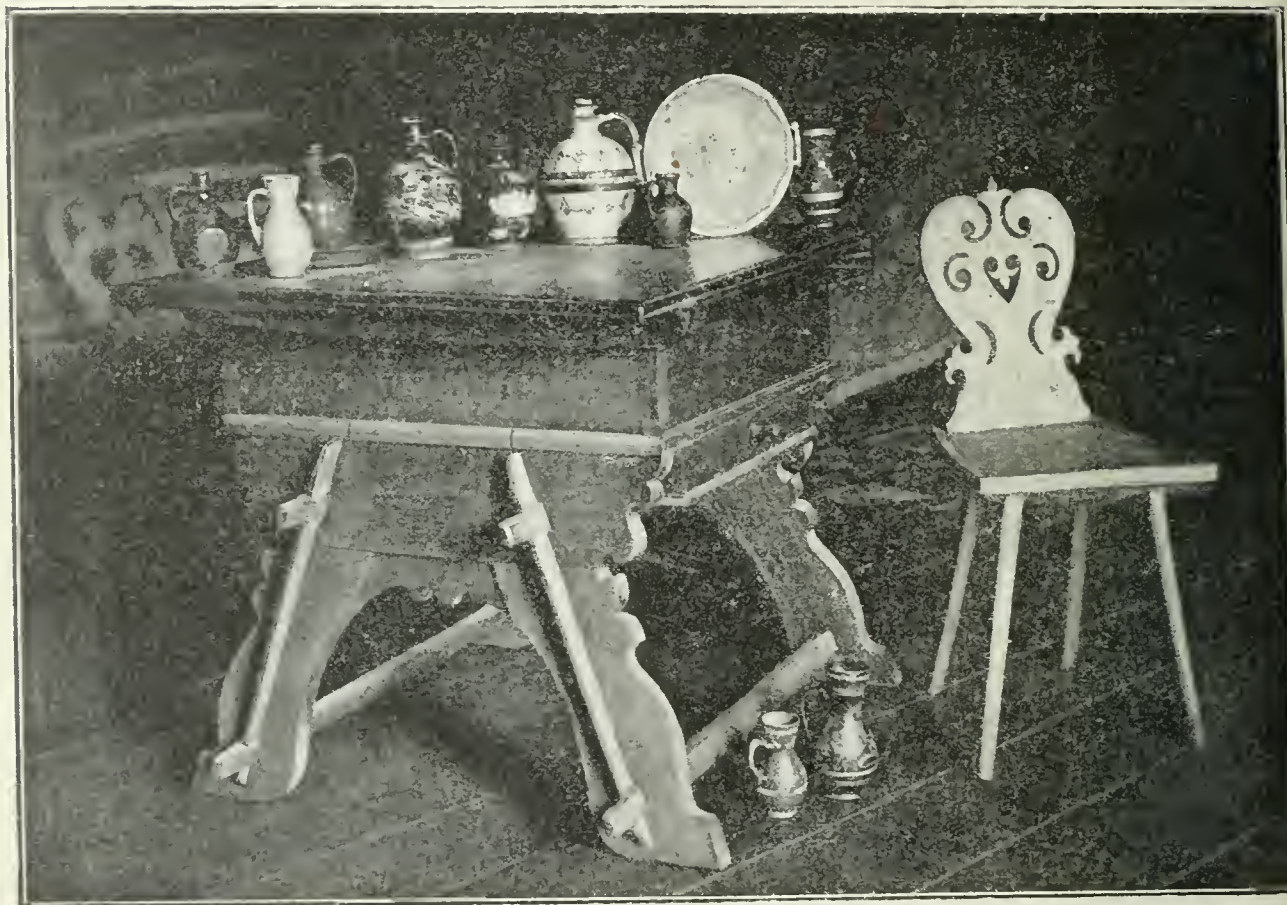
listwę z izby Sobońki z Kasprusiów, wreszcie na Tab. IV wyobrażającą piękną listwę z gadzikiem ze zbioru pp. Dembowskich. Bardzo ładne wsporniki (kroksztynki) podpierają listwę Sobczaka, inne ładne motywy widzieć można w listwie Króla z pod Gubałówki. Najstarożytniejsza listwa zupełnie odmiennego typu wyobrażona jest na ryc. 110.



Ryc. 110. *Bardzo starożytna listwa (na ziemi) i „sąsieki”.* (z fotogramu).

Izba góralska ma jak każda cztery rogi, czyli kąty, które tu zowią się pazuchami; węgł patrzy do pola, pazucha jest „w nuku” t. j. we wnętrzu izby. Pożestne miejsce w izbie stanowi pazucha, t. j. kąt między szyćtową i licową ścianą; tu przed ławami stoi wielki i ciężki stół—drugi sprzęt, godny widzenia po listwie. Czytelnik znajdzie go dobrze zdjętym na ryc. 111 stołu ze zbiorów pp. Dembowskich, oraz na Tab. VII wyobrażającej stół po nieboszeżyku Stasze czku. Jest on zawsze jedne-

go i tego samego kroju; na szerokich, potężnych, rozkraczastych nogach, które się zowią srogami, związanych poprzeczkami, które znowu zasunięte są zastrzałami, ładnie zebranymi, znajduje się wielka skrzynka, po której brzegach posuwa się, jak sanie po śniegu, ciężka stolnica (zniemiecka



Ryc. 111. Stół z naczyńmi (ze zbiorów pp. Dembowskich), z fotogramu.

blat) jaworowa. Dawniej, gdy trudno było o narzędzia stolarskie, stolnica bywała wykrzesaną z jednej, potężnej dechy jaworowej siekierą, wygładzona jej ostrzem, a wypoliturowana przez czas i rękawy opierających się. Dumę ga z dy lechtalo, gdy stolnica była zdziałaną z jednej, jeduolitej sztuki jaworu; lecz że trudno o taką kłodę, więc najczęściej spojony bywa blat z dwóch desek. Jawór nawet niepoliturowany ma śliczne drewno, słoiste z poprzecznymi strzałkami; wypoliturowane jest jeszcze ładniejsze. Stolnica bywa albo gładką i prostą, albo wykładaną cisem, jak na Tabl. VIII, wyobrażającej blat ze stołu Krzep-

towskich. będący w zbiorze p. Gnatowskiego. W ozdobnym zygzakowatym otoku wyobrażone niby utwierdzenie niebieskie, z ciałami niebieskimi, gwiazdami różnej wielkości, miesiącem w pełni, wietkiem, monogramami Imienia Marji i Zbawiciela oraz gołębicą Ducha Ś-go, wyżej w słońcu oko Opatrzności; po za obrębem otoku przyrządy do jadła i picia: nóż, widelec, z kościanymi trzonkami, faszka i kieliszek. Krawędź ślicznie zebrana i wykładana misternie cisem, a narożniki ozdobione ornamentami roślinnymi, wytwornie zrobionymi. Rozrzucone cyfry po czterech bokach stolnicy dają datę 1818. Godnem jest uwagi, iż w zbiorze swoim p. Gnatowski posiada taki sam nóż i taki sam widelec, jakie wyobrażone są na stolnicy. W Oleży widziałem ładny stół Klusia, wykładany cisem, z ozdobą geometryczną. Oczywiście bywają i powszednie stoly na srogach bez skrzynki i bez ozdób, lecz ku wygodzie pod blatem, w rozkraczeniu srogów, t. j. nóg, zrobiony bywa żłobek, dla podręcznych „dziadów”, t. j. rupieci; taki widziałem u Tatara pod Gubalówką. To znowu inna, ozdobna odmiana stołu, posiada dwie pionowe nogi z poprzeczkami i zastrzałami; a każda z nóg dopiero u dołu ma dwa punkta wsparcia. (ryc. 109 na str. 70).

Jakakolwiek jednak jest jego forma, stół zawsze bywa wielgachny, zamaszysty, wysoki, tak, że na nim wygodnie oprzeć się łokciami i rozeprzeć, choćby dla drzemki chwilowej. Koło niego zasiadają poczesni goście; dla poczęstunku, gawędy, narady; na nim stawiają wodę święconą z kropidłem, oplatki. Często stół taki, spuścizna po przodkach, przekazana synom, córkom, wnękom, posiada swoją tradycję; świadek dobrej i złej doli, pamiętający dawne czasy, nieraz wieszczono „łupkaniem” wróży nieszczęście, śmierć gazdy, lub gazdziny. O jednym opowiadano mi z całą wiarą, że nie ścierpi nieprzystojnego z nim obejścia się: gdy kto lekceważąco na niego rzuci czapkę i zaklnie,—stół czapkę na ziemi, „praśnie.” Jeśli zaś kto dobry człowiek a przyzwoity, to mu na sobie bez przeszkody spożyć pozwoli strawę, polednię, „juzynę” (podwieczorek), czy wiecezrę. Dzieciny góralskie lata całe chowają się spoglądając na okazały sprzęt w rogu izby, którego ani ruszyć nie mogą, ani doskrobać się do skrzynki i zesunąć ciężkiej stolnicy; dużo też wody upłynie, zanim jasna główka dorosnie do poziomu blatu.

Przy stole stoją stolki, podobne do niemieckich zydl; są to mocne, fundamentalnie zrobione meble: w siedzenie jaworowe lub jesionowe, grube, żeby nogi się nie ochlebotaly, wprawione jest oparcie, czyli plecy, także z jaworu lub brzoštu, oraz nogi rozkraczyste, aby stółek nie był wywrotny. Stolki bywają często wykładane cisem, lub malowane na ciemno-zielono, z rozmaitemi ornamentami roślinnymi; plecy bywają najrozmaiciej wyrzy-

nane, po bokach w figlasy, wywijasy, w środku w parzenicę. Na górnej krawędzi sterczą pazdury, jak łapy niedźwiedzie, wyrżnięte z jednej sztuki z plecami, nie wprawione w nie. Rozmaite okazy stolka znajdzie czytelnik



Ryc. 112. *Stołki, spinki, sprzączki, kaganki i inne drobiazgi góralskie (z. fotografami, ze zbiorów, pp. Dembowskich).¹⁾*

¹⁾ por. też ryc. 90 na str. 47 i 110 na str. 71.

na rysunkach i tablicach IX i X. Czysto przypadkowym jest stólek, z plecami w stylu barokowym, ze zbioru pp. Dembowskich, pochodzący z Gleczarowa, roboty starego Wawrzyniaka, samouczka, wielkiego lubownika baroku, którego przykład widać też na jednym z łyżników. (p. niżej Tab. XXIII, ryc. 4), ryc. 112.



Ryc. 113. *Półka i skrzynka, obok niej stoi dzieża, na niej leży obońka, a na leżce wałkownica. (z fotogramu).*

Drugi rozpowszechniony typ stolka stanowi krzeselko pięknie zdobione, odrysowane przez p. Witkiewicza na Tabl. X.

W podobny sposób jak to krzeselko widywałem zrobione drewniane kanapki np. na Bońdówkach; nie podałem ich rysunku jako dość prostych, podobnych do kanap napotykanych po małych miasteczkach.

W drugim rogu czyli pazusze, między ścianą licową i drzwiami wiodącymi do sieni, wisi przybita raz na zawsze potężna półka, stanowiąca trzeci ozdobny sprzęt na chudobie górala. Najprostszy okaz czytelnik widzi na załączonej tu rycinie. (ryc. 113). Jestto sprzęt mający 2—3 polic. do stawiania mis, flasz, baniek, t. j. „Krupi“ (*la raisselle*) i innych przyrządów gospodarstwa kobiecego, kuchennego. W dolnej policy zawsze jest odgrodzony ścianką kątek, skrytka, zamykana zasuwaniem dźwiérkami; dźwiérka te nigdy nie są pełne, lecz ze szczebelków, zawsze trójkątnych w przecięciu, krzyżujących się ze sobą w recię t. j. kratkę, z tą tylko różnicą od załączonego tu rysunku, że szczebelki idą na ukos t. j. w kierunku przeciwprostokątnej (*hypotenuzy*), a nie równolegle do ramek dźwiérek. Śleza je, t. j. ramy półki, oraz brzegi deszczulek idących w poprzek, bywają ozdobnie i rozmaicie wyrzeżane i listwowane; również ładnie wyrzeżane bywają i ozdobione ryzowaniem boki półki, a zwłaszcza dolne ich zakończenia; lecz najwięcej pomysłowości rozwija góral w ozdobienu naczółka (*Kopfsztyk*), skutkiem zego półka zamienia się na oryginalny, typowy i śliczny mebel. Żałuję, iż dla braku zdrowia nie mogłem narysować więcej przykładów pólek, aby módz o tem przekonać czytelnika: w każdym razie półka wykonana po góralsku, ale ze szlachetnego drzewa, zamienić się może na prześliczny mebel do książek i drobiazgów (*bibelots*). Rozmiary jej bywają bardzo rozmaite, począwszy od malej, łatwo przenośnej póleczi, a skończywszy na ogromnych półkach, zajmujących część ściany odsiennej, między drzwiami i pazuchą, od samej powały, aż prawie do podłogi; taką półkę buduje, właściwie wyrażając się, góral razem z izbą, z którą stanowi całość, nie mogąc być z niej wyniesioną. Przypomina to jakby Odysejowe łożo, którego nikt z miejsca ruszyćby nie zdołał, bo:

W dziedzińcu stało wielkie tam drzewo oliwne,
Grube jak filar jaki, rozłogie i ciemne;
Jam w koło oliwnika wzniosł ściany kamienne,
Dach zasklepił, drzwi wprawił z silnych tramów zbite,
I na naszą sypialnię przeznaczył tę klitę.
Potem ściawszy koronę drzewa gestolista,
Sam pięć aż do korzenia ociosalem czysto,

Zrównalem ostrzem miednym gladko i pionowo;
A wiec noga do loza byla juz gotowa--
W ktorej swidrem nawylot wykreiwszy dziury,
Wyladzilem loznicę wspanialej struktury.

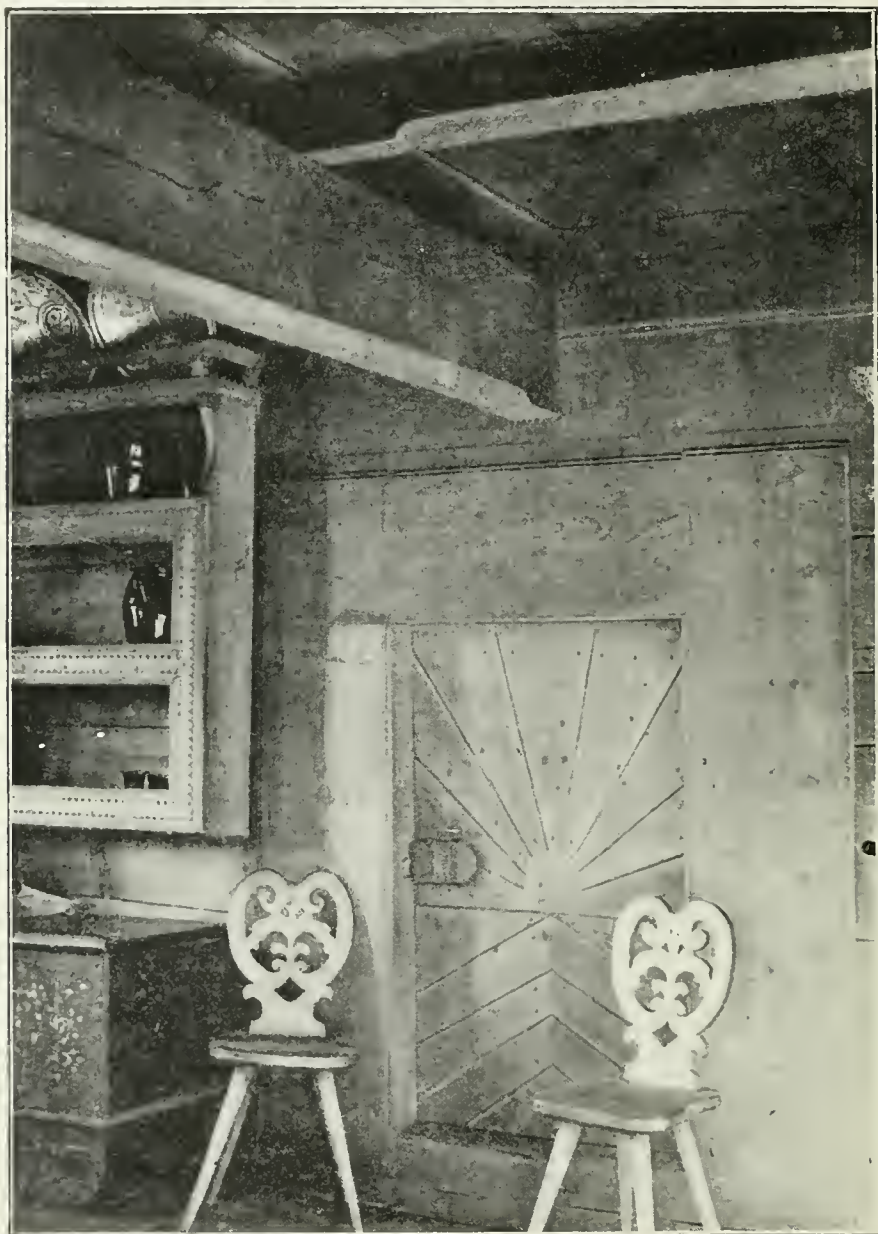
(Pieśń 23, tłum. Siemieńskiego).

I wciąż nasuwają się porównania tych dwóch światów: góralskiego i Odysejowego, tylko trzeba zrzucić z oczu szkła pedantów i patrzeć trzeźwo, jasno na te światy; przez te szkła przedmioty i ludzie Homerowi urastają na bohaterów, gdy tymczasem były to i byli, zwyczajne przedmioty i zwyczajni ludzie, ale zakłęci w cudowny obraz przez ducha poety, wyrażony w najcudowniejszym języku pod słońcem. Jeśli Odysej sam klecił izbę, a z oliwnika krzesal nogę do łóżka, nie musiałaby to być ani świetlica podobna np. do Halli Wolseley'a w Hampton-Court, ani łoże pani Dubarry, lub innej jakiej ładacznicy; na to potrzeba dziesiątków rzemieślników—specjalistów. Odysej, co najwyżej, dokonywał dzieł tego samego stopnia doskonałości co Kluś, Bulcyk; różnica, iż on krzesal z oliwnika, ci z jaworu; on w greckim pokroju, ci podhalskiem zacięciem. Gdy Homer powiada „podwoje pięknie wyglądzone“ (Pieśń XXI), lub „lśniący próg“ (P. XXII), to samo powiedziec da się o drzwiach góralskich, ścianach gładkich, lśniących, z wielkich tramów, szczelnie dopasowanych; tylko wszystko to nie ma na sobie ozłoty-słowa starego czarodzieja greckiego. (ryc. 114).

Przykład półki patrz także na Tabl. XIII z oryginalną zasuwką i ładnym naczółkiem; z izby Króla, z młynka z pod Gubałówki. Czasami przez dodanie szafy pod spód półki ta ostatnia zamienia się na Kredens, którego najokazalszy przykład widziałem na Bońdówkach w izbie Samka; ten kredens rysowała już p. Butowt-Andrzejkiewiczówna; potężny to sprzęt, blisko na 3 metry wysoki; na śleziakach pięknie śrubowato wyrzynane ozdoby, i ładny naczółek, p. Tab. XIV i XV. (ryc. 115).

W trzecim kącie, między ścianą szczytową i tylną, stoi zazwyczaj skrzynka. Jest to sprzęt najczęściej grubej roboty, tandetnie, lecz stereotypowo malowany w kwiaty bardzo podobne do pełnych róż, lub wielkich piwonij, gęsto napełnionych jedna koło drugiej; kolory są krzyzące, na ciemno-zielonym tle; skrzynek tych dostarczają rzemieślnicy z okolic Nowego Targu. Lecz spotkać można i ornament malowany innego rodzaju jak na ryc. (113 str. 75). Dawniej jednak, kiedy o limbinę było łatwiej, skrzynkę robiono z tego cennego drzewa, które zabezpieczało chowane szaty od moli, i nadawało im miłą, odrębną, a delikatną woń; „w nuku,” t. j. w środku robiono rozmaite skrytki i zakamarki, czy na pieniądze, czy też na cenne papiery, np. dokumenty prawne. Rzadko spotkać można i ozdobne skrzynki, których

dwa okazy przedstawia Tabl. XI. Jedna z nich, cała dębowa, wykładana cisem, starannej roboty, przedstawia na wieku i na ścianie licowej gwiazdy



Ryc. 114. *Rzut oka na drzwi wchodowe i część ściany z półką, oraz na powalę z sosrębem, z izby Kuby Kołodzieja w Zakopanem. (z fotogramu).*

czworopromienne, w których każdy promień w połowie wyłożony cisem, w połowie jasnym żółtem drzewem, prawdopodobnie starym jaworem. Gwiazdy te

obramione są czworobokami, których każdy bok wyłożony cisem, obrzeżonym wąskim paskiem z jasnożółtego drzewa; a te paski jeszcze obrzeżone ciemnymi smużkami. Sama krawędź wieka ładnie s f a z o w a n a z jaworu:



Ryc. 115. *Kredens w izbie Samka na Bońdówkach.* (z fotogramu).

narożniki wyrzeźbione w t. zw. wóde (p. Tabl. XI). Druga starożytna skrzynka z datą 1772. i z tego powodu bardzo ciekawa, posiada na licowej ścianie ornament w kształcie trzech arkad, z których środkowa szersza; arkady te utworzone są z podługowatych, czworogrannych, ściętych piramidek, wklejonych w odpowiednie dolki w ścianie skrzynki; pola arkad są zamalowane kwiatami, które, o ile sądzić wolno z wytartego i wypelzłego malowania, przypominają wegetacje, dotychczas po skrzynkach wyobrażane. Skrzynkę widziałem w ubogiej chacie w Kośnym Hamrze. Żałuję, iż nie mogłem obejrzeć dostatecznej liczby starych skrzynek i podać tutaj typowych przykładów, malowa-

nia: lecz rysunkiem oddać te stare zatarte desenie jest bardzo trudno, a na fotogramach wychodzą zamazane.

Czasami, ponad skrzynką pod powalą na dwóch wyrzeżanych żabkach przybitych do sosrębików wisi żerdka do wieszania odzieży, jeżeli w izbie niema szafy, jak to bywa najczęściej. W izbie Bulcyka widziałem szafę do obleczenia, nie różniącą się krojem od innych, ale posiadającą skrytkę bardzo sprytnie umieszczoną; po otwarciu podwoi szafy i odsunięciu ukrytej zasuwki, można przesunąć w tył cały naczołek t. j. *kopfs:tyk*, a wtedy ukazuje się skrytka do przechowywania dokumentów prawnych; góral gdy się „prawoci,” przechowuje starannie papiery.

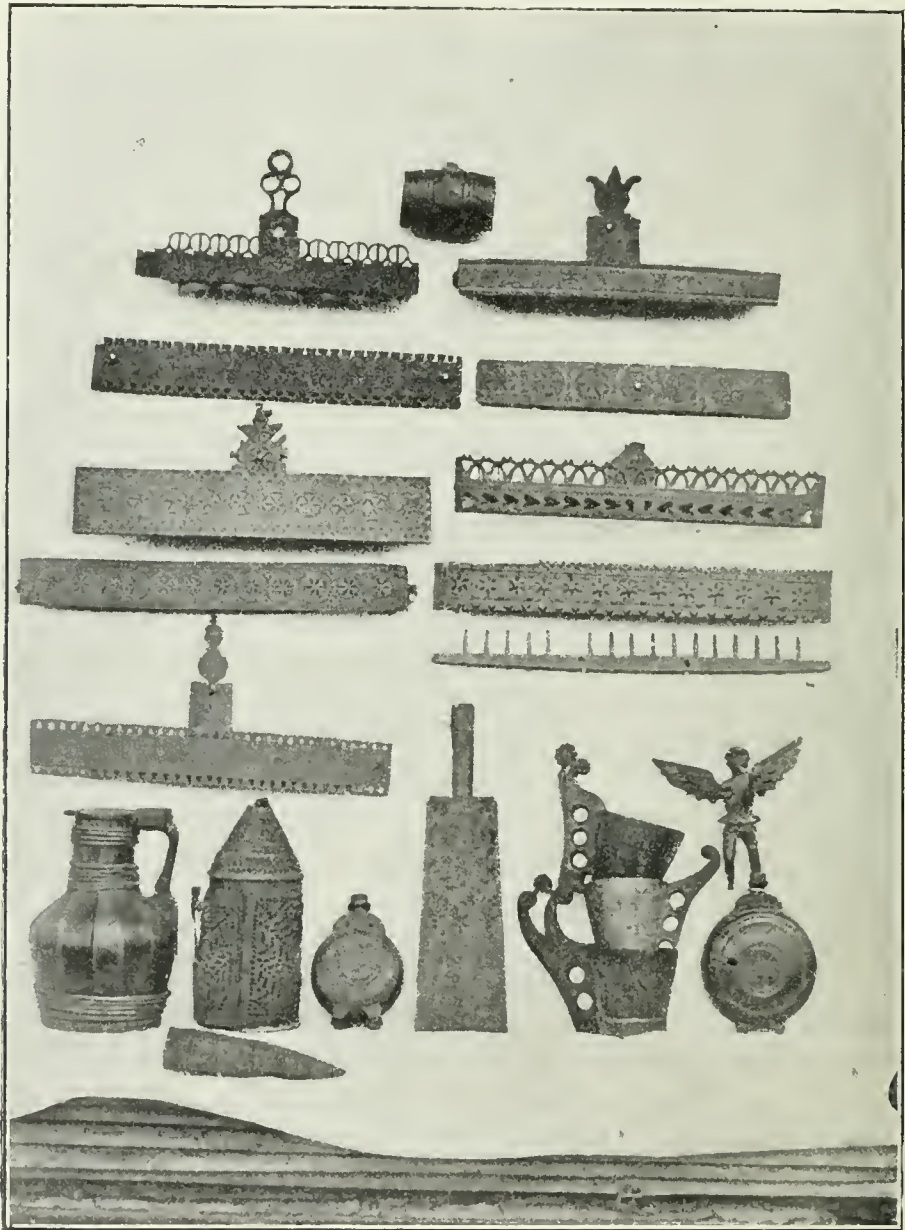
Ta biała izba, czy to skutkiem zubożenia, działów rodzinnych, lub wymarcia i zmniejszenia się głów mieszkańców domu, bywa czasami niedokończoną, nieumieszczoną, z przezionami, nie wyporządzoną w meble i służy na skład na „siacie” (ziarno), kapustę, len i t. p. U zamożnych gazdów, służy za mieszkanie dla samych gospodarzy; lecz najczęściej jako świetlica, gościnny pokój, bywa zimną nie zamieszkałą, dla oszczędności paliwa—cała rodzina sypia w izbie czarnej, gdzie pali się na kuchni dla uwarzenia strawy—oraz dla oszczędzenia samej izby. Góral swoim przenikliwym rozumem oddawna wywnioskował, iż nie tak izby nie pali, jako zim, gdy izba jest ogrzewaną wtedy przez podłogę, przez mech, każdą szczelinę w pazusze „jedzie zim” do izby, a ciepłe powietrze aż fuczy, tak ucieka do pola: przy takim ruchu powietrza, tym żywszym, im lepiej się opala, następuje gwałtowne utlenianie drzewa płaz i psucie budynku drogą utlenienia. Są w Zakopanem gazdowie, co nie wynajmą izby na zimę, chyba za grube pieniądze, i to jedynie dlatego, że opalanie drewnianego domu zimą przyspiesza jego zniszczenie. Góral staroświecki kochał swoją izbę, często dzieło swoich rąk, lub swojego ojca, dziada; wiedział doskonale, że coraz trudniej o grube płazy, o dobrą robotę. Nic dziwnego, że przy podobnem poszanowaniu spotkać można domy mające po 100 lat z górą. Piękna izba w Kośnym Hamrze, jak mnie objaśnił Bulcyk, pamięta cztery pokolenia, jest dziełem pradziadka, i przestawioną już w trzeciej miejscy: dom zbudowany tak dokładnie i ściśle jak najkosztowniej rozbierane łóżko, może być rozebrany, przewieziony i złożony bez szwanku; podciąga się tylko nowe spodki i daje świeżą strzechę, reszta pozostaje dziesiątki lat prawie w pierwotnej całości i czystości; płazy latami i latami tak do siebie zbliżyły się i dozdajały (dopasowały), że szczelnie dotykają siebie, tak, że niema wcale szczelin umszonych, tem bardziej, że płazy przylegają do siebie na zakładkę.

Izba czarna nie różni się od białej, ani budową, ani wyporządzeniem w sprzęty, ale skutkiem odmiennego użycia i traktowania wygląda

zgoła inaczej. Jest to właściwa siedziba latem, a zwłaszcza zimą: tu gaźdowie, ich dzieci, i służba.—jeśli jest—śpi, przebywa, warzy strawę, spełnia roboty, słowem pędzi życie codzienne. W rogu między drzwiami i ścianą licową stoi półka, na ścianie szczytowej przytwierdzona listwa: wzdłuż tejże ściany, oraz licowej i plecowej, umocowana szeroka potężna ława: tak jak w izbie białej. Lecz są i inne sprzęty; oto w rogu między szczytową a plecową ścianą stoi łóżko smrekowe, zazwyczaj proste i niezemnie zwracające na się uwagi. Czasami jednak wezglowie i boki bywają ryzowane i naklejonymi ornamentami ozdobione: jedną cechą ozdobne łóżka góralskie stale wyróżniają się od naszych, a mianowicie tem, że nogi są do siebie u dołu zbliżone, tak, że łóżko przypomina pokrojem kolébkę. Jeden okaz znajdzie czytelnik na Tabl. XII, ryc. 2. W łóżku u wezglowia, pod poduszką jest podłużna skrzyńeczka, w której gaździna przechowuje pieńiędzy przez noc, lub jakieś lakocie dla dzieci. Reszta śpi po ławach, zwłaszcza zimą na tej części ławy która wchodzi za piec. Dla maleństwa niemowlęcia wisi u powaly kołyska, której ryzowany okaz przedstawia rysunek na Tabl. XII. Gdziekolwiek na ziemi sypia „ku'arka, t. j. dziewczka; „pa'olek,“ t. j. parobek ma wyborne spanie przy koniach w szopie, gdzie dobytek ogrzewa powietrze i ośród sierdzistej zimy daje dostateczne ciepło.

Między półką a słupcem drzwi przybity jest łyżnik, sprzęt konieczny w chalupie; składa się on z osadki, opatrzonej dziurami okrągłymi, lub czworogrannymi, w jeden lub dwa rzędy, naprzeciw — lub naprzemianległych dziur do wsuwania umytych łyżek, oraz tarczy zawsze ozdobionej, czasami zaś poprostu wykwintnej roboty. Czytelnik znajdzie w niniejszej książce kilkadziesiąt rysunków z przeróżnych łyżników (ob. tablice na końcu książki i ryc. 116); jest to wszelako za ledwie cząstka łyżników widzianych przezemnie; o ile mnie pamięć nie zawodzi, zdaje mi się, iż nie widziałem dwóch jednakowych, aczkolwiek często zachodzi między wielu znaczne podobieństwo w grubych rysach. Na kartach objaśniających, poprzedzających tablice, znajdują się bliższe opisy okazów: tu zatem nie potrzebuję się wdawać w szczegółowe opisywanie; zwrócę tylko uwagę na storozżytny łyżnik wyrysowany przez p. Witkiewicza z lotograficzną wiernością na Tabl. XVIII, a przedstawiający bogate motywy ornamentacyjne; na łyżnik z pazdurami po końcach, pstragami na tarczy, i ozdobą „w wodę sfalowaną:“ Tabl. XIX, ryc. 2 i 3, na łyżnik misternej roboty i wytwornej ornamentacji, ze zbioru p. Gnatońskiego, Tab. XXXI. Większość łyżników jest barwy rodzimej drzewa, z którego zrobione, zatem od jasnożółtawej jaworu, do ciemnoczerwonawej starego cisu: lecz od zaszadnienia i czasu nabierają ciemnej, prawie czarnej barwy. Niektóre bywają malowane różnobarwnie, na ciemno-zielono z czer-

wonemi smugami i kólkami; inne nabijane są kołeczkami. Rozmaitość pomnażają jeszcze ozdobne wieszadła; w kształcie kółka ryzowanego, lub krzyżyka, podwójnego krzyża, kapliczki, orla it. p.—wiele łyżników



Ryc. 116. *Łyżniki, czerpaki oraz inne sprzęty góralskie.* (z fotografii).

mają tylko uszy boczne. Czasami łyżnik pracowicie wykrzesany bywa z jednej sztuki drzewa; tarcza, osada i wieszadło; to znowu u innych osada bywa wfügowaną

w tarczę, lub do niej przybitą. Nieraz w starym łyżniku podziwiać można cierpliwość i staranność roboty, zważywszy, że „drzewiej mało, fto dłuato miał, ino siekirę a nóż,” jak powiada góral.

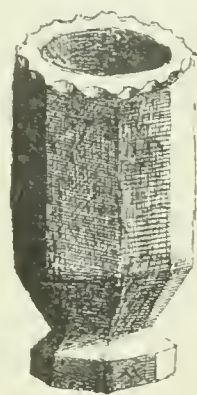
Łyżki drewniane, któremi tu jadają, mają osobny pokrój: nie są ani podługowate, płytkie, jak u nas na Mazowszu, ani okrągłe kopystki, z krótkim trzoneczkiem jak rosyjskie, lecz okrągławo-jajowate, na długiej rękojeści, w narcie, t. j. miejscu przejścia samej łyżki w trzonek z lekka i zgrabnie wygięte; p. Witkiewicz dodawszy piękną rękojeść wziętą z warząchwi, dał wzorzec ładnej łyżki do salaty. U bogatszych spotyka się widelce i noże w kościanej oprawie; dwa okazy posiada w swoim zbiorze p. Gnатовski; rozumie się maun tu na myśli widelce i noże domowej, a nie fabrycznej roboty. Tabl. XXXV.

Po drugiej stronie drzwi, między słupcem a piecem wisi Solniczka drewniana, ozdobiona gwiazdkami wyżeganemi w ręcieć. Do tluczenia soli służy stępka jaworowa, lub bukowa, zgrabnie wyciosana; p. Tabl. XXXVII.

Rzadko już teraz napotkać można, chyba gdzie w chałupie na uboczu, sprzęt do dziwnego użytku, zwany jarmicą: jest to właściwie żłobek, albo skrzyneczka, nad którą na krosnach znajduje się obszerna polica, ogrodzona galeryjką. Na policy, jak na stole stawia gaździna kuchenne krupie (*raiselle*), dzieżki i t. p., u dołu za pomocą szczelbli można umocować głowę cielęcia, a skoro młode zwierzę odsadzone pocznie „mieręgać,” t. j. żuć, w żłobek sypią mu z żubrowany owies, warzone grube i t. d. Młode cielęta góral bardzo rychło sprzedaje: dla braku paszy chowa jedną, dwie cieliczki; lecz chcąc dostać się do mleka, tego zbawczego pokarmu dla dzieci, do masła, za które łatwo dostać tak pożądanych dudków na podatki, musi weześnie odsadzać od krowy; zabiera je dla ciepła, i aby się nie dorywało do cyeka i nie plekało (ssało), do izby, gdzie unieruchomione stoi w jarmicy, żeby się nie snuło po izbie i nie przeszkadzało przy robocie. (p. Tab. XIII).

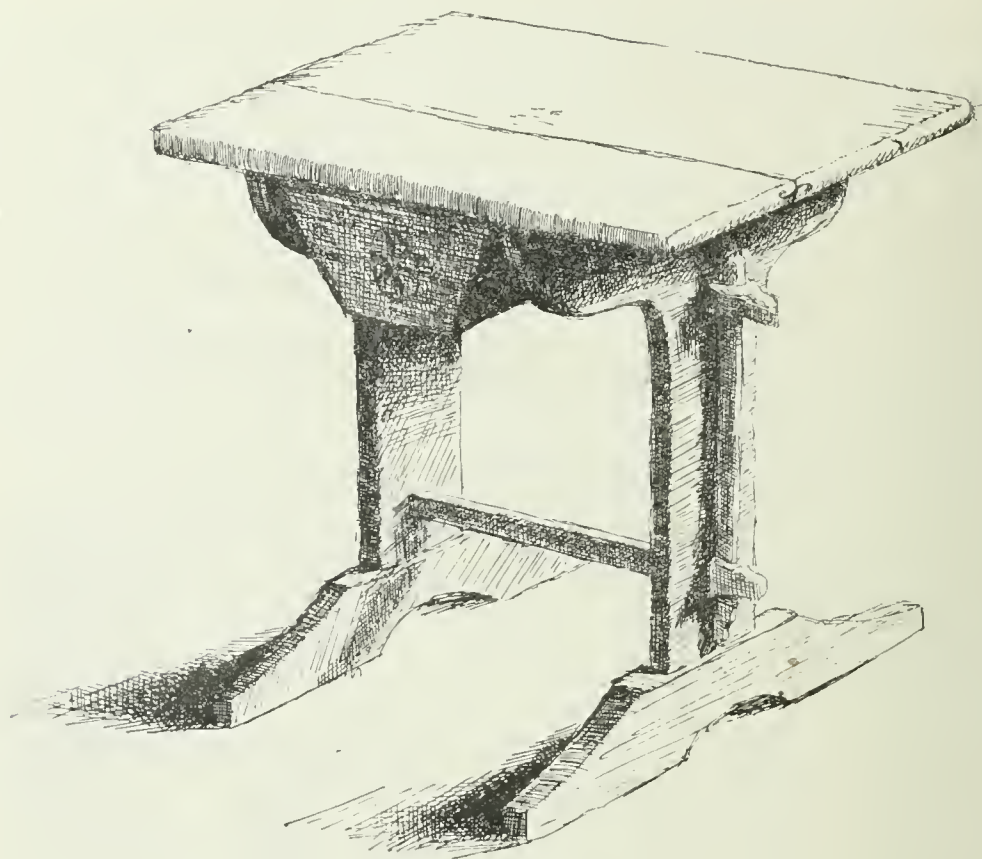
W kącie, między ścianą licową i szczytową, stoi stół zwyczajny na Srogach, na którym jadają, zasiadając na ławie pod ścianą, na stołkach, oraz na Stolicach, t. j. podługowatych stołkach bez oparcia; młodsze dzieci jadają na ławie.

Pod półką przy drzwiach stoi stale Cebrzyk, naczynie drewniane z dwoma uszami, jako zbiornik wody potrzebnej do warzenia i mycia. Nosi się ją z potoka, krynicy, lub studni wiadrami, t. j. naczyniami drewniane-



Ryc. 117. Stępka od Króla z pod Gubałówki.

ni, średniej wysokości, szerszymi u spodka niż w otworze, pałeczkami, za które zaczepia się kulkami, wiszącymi u nosideł. Nosidła, na Mazurach siondy, na Kujawach Siondy, mają wydłubane zagłębienie, którem



Ryc. 118. *Stół z czarnej izby.* (rys. S. Willkorn-ol).

nakładają na ramiona i kark. Gdy chata stoi nie wysoko nad potokiem, wygodą z wodą wielką, woda czysta w obfitości; lecz gdy stoi na brzeżku urwistym, zimną biedą dostąpić do potoku: na chodniku udeptanym, po śreni, po lodowicy, pokielznać (pośliznąć) się łatwo, i nogi połamać; radzą sobie wyrabując siekierą stupaje (stopnie): po każdej kurniawie dziewczyna k i d z e (odrzuca), śnieg i toruje ścieżkę do przerębli, lub do płani w potoczku, w której woda wartko wirując w odmęty, nie zamarza. Lecz jeśli chałupa stoi zdaleka od źródła lub potoczka, góral bierze studzienkę w ziemi, ściany obmurowywa skalami, cembruje ogrodzeniem i nakrywa budką z daszkiem i drzwiczkami. Wodę ze studni dobywa się rajtokie—

naczynie w spodku węższe niż w otworze, z drewnianym pałakiem podobne do naszego kubelka.

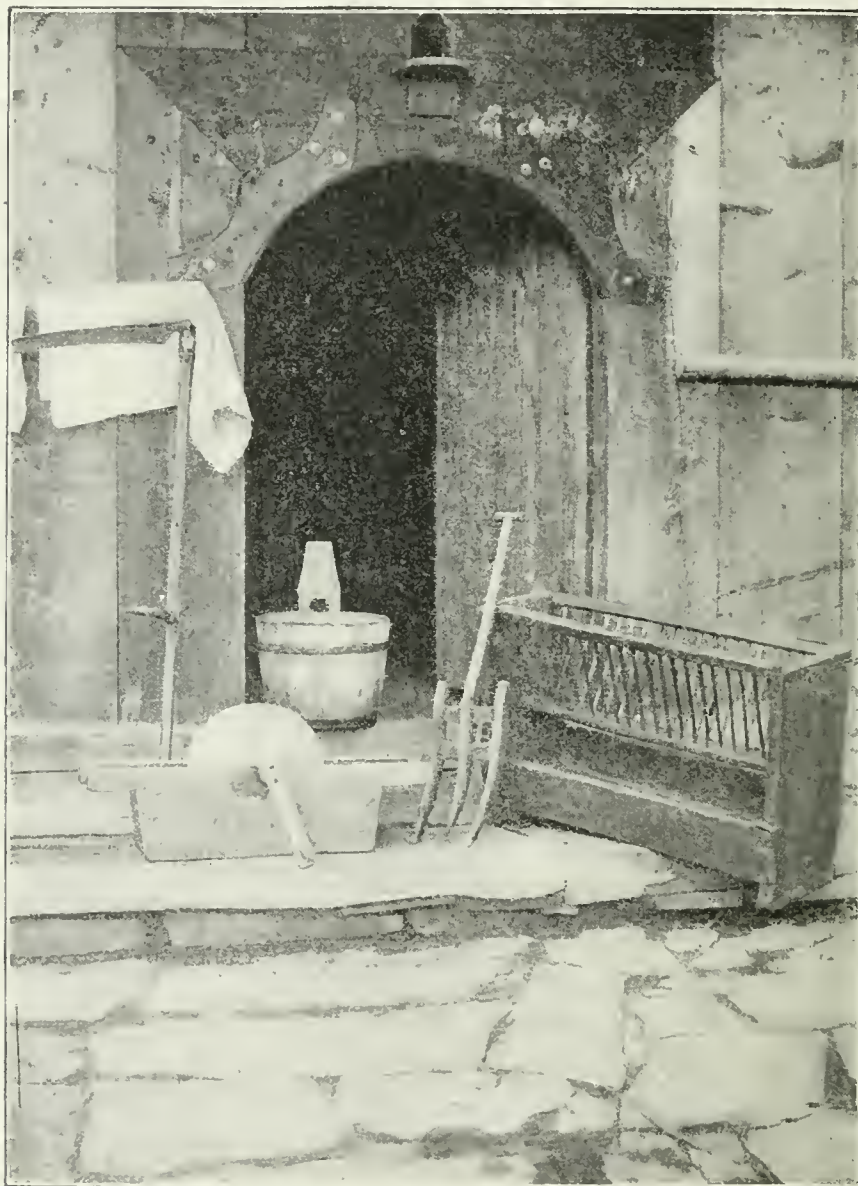
Gdzie miejscowość nadaje się po temu, w głębokich jaraeh z dużym spadkiem, odprowadzają smrekami wywiertanymi, lub korytkami wodę, która ustawicznie leje się z otworu rury. Tu, lub w potoku, pierze gaździna „pradło: t. j. bieliznę do prania, bijąc ją kijaną jaworową, lub jasieniową na stolicy, maczając i wyżymając w wodzie. Ozdobną kijaną ryzowaną czytelnik znajdzie na Tab. XL. Brudniejsze szaty, tego pokalone, gotują najprzód w dużym garnku, w którym warzą dla krów, poczem piorą w cebrzyku, a nakoniec w potoku. Do noszenia wody, mleka, napoju krowom, cielętom i owcom, używają naczyń drewnianego płaskiego z jednym uchem, niezmiernie tu rozpowszechnionego, nazwiskiem putnia: są duże putnie i małe pucienki: w przecięciu poprzecznem naczynie ma kształt elipsy w dnie u spodku jest węższe niż u góry w otworze. Oprócz pucien spotyka się i zwyczajne nasze konewki, właśnie u dołu szersze niż u góry.

Wszystkie te drewniane statki jak: putnia, konewka, cebrzyk, wiadro, beczulka, bywają ozdobione przez wyżeganie znaczków w rozmaite desenie.

Na kolku listwy wisi wałkownica (magłownica) do magłowania wypranej bielizny: z twardego jaworu, najeczęściej bywa bez żadnych ozdób lecz widziałem dwa okazy prześlicznie ryzowane, a mianowicie wałkownica ze zbioru pp. Dembowskiich: wałkownica Cekusek jest mniej staramie wyrzowaną, a jeszcze niedbalej okaz ze zbioru p. Gnato-wskiego, gdzie zdaje się, jak gdyby rzeźbiarz ryzował sobie dla próby rozmaite ornamenty, niemając żadnego planu przewodniego: natomiast brzeg jest ślicznie listwowany, patrz: Tab. XXXIX, XL i XLI.

Ostatni, czwarty róg izby czarnej zamuje piec i komin kuchenny, dzisiaj najeczęściej z blachą żelazną z otworami do wstawiania garnków przytym dla oszczędności paliwa, kanały z kuchni przeprowadzone są do pieca tak, że tym samym ogniem ogrzewa się i piec. Urządzenie pieca i kuchni ulegało w ciągu czasu bardzo licznym zmianom. Jako typ przejściowy, bardzo rozpowszechniony, wymienię piec, w którym jednocześnie gotuje się warzą: jest to podługowaty sześciogran, leżący na dłuższej ścianie, a mający szeroki otwór w krótszej ścianie, przez który wkłada się polana drzewa i wstawia garnki. Wszystko jedno, piec czy kuchnia, nie stoją bezpośrednio na ziemi, lecz na drewnianych, moenych „krosnach;“ są to cztery pionowe niskie słupki—a na nich belkowanie wiązane, z ozdobnie zakrzesanemi i zfażowanemi krawędziami; końce wiązania wystają poza obręb pieca, i na nich spoczywają lawy otaczające go z dwóch stron. Na wiązanie kładzie się podstawa ze skrzyżalek, a na nich buduje piec, czy kuchnię z lupanej graniówki

(skała) na glinę; całość obmazana wapnem czyściutko, a często bielona. Wylot kanału dla dymu rozmaicie wyprowadzony: dzisiaj w Zakopanem nakazane są kominy (t. z. koki, i wylot skierowany do nich; lecz „przedziej”¹⁾)



Ryc. 119. *Putnia, gródza, widły, kosa i brus na skrzyżalach przed domem.* (z fotografum).

¹⁾ t. j. przedtem; wyrazu przedki, ze znaczeniem = *celer*, lud prawie nieużywa; zamiast tego mówi wartki, wartko, = szybki, szybko; i to mietylko na Podhalu, lecz i na Kujawach.

nigdy komina nie budowali; a do dziś dnia niema go po wsiach odleglejszych; natomiast murowany kanał pieca, czy kuchni (luft) wyprowadzali albo do sieni, albo, co częściej, na poddasze: w pierwszym razie dym rozchodził się po sieni, szedł pod strzechę, a na świat wydostawał się przeze drzwi i wszelkimi szczelinami: w drugim rozchodził się po poddaszu, a na świat wydobywał się umyślnie w dachu otworami, t. zw. dymnikami. Kurnych chat, we właściwym znaczeniu tego słowa, nigdy nie widziałem: kurne są tylko szałas i koliby po halach. Rozprowadzając dym po sieni i po poddaszu, góral osiągał podwójny cel: po pierwsze, wprowadzał masę gorącego dymu ponad izbę mieszkalną i ogrzewał ją w ten sposób od góry, osłaniając ciepło wewnętrzne za pomocą zbiornika ciepłego powietrza pod dachem; powtóre, dym przenikając we wszystkie szczeliny, okrywa sadzą wszystko: gonty, krokwie, laty; latami osiada gruba warstwa, chroniąca drzewo od naturalnego tlenia z powierzchni, od próchnienia: słowem dym działa niezmiernie konserwująco. Góral z całą świadomością tych celów puszcza dym pod dach. Rozporządzenie co do konieczności kominów miało na celu bezpieczeństwo od pożaru; niestety bezpieczeństwo jedynie leży w rozumie, przezorności i charakterze ludzi, nie w rozporządzeniach: choć na pozór wyprowadzanie kanałów piecowych pod dach wydaje się niesłychanie niebezpiecznem, pożary na Podhalu należały do rzadkości. Taki wiarogodny świadek, i inteligentny człowiek, jak Józef Chramiec, opowiadał mi, że nie przypomina sobie pożogi w Zakopanem za dawnych czasów; dziś, są kominy, a co rok przyglądamy się wspaniałym lunom pożaru. Góral bronil się od ognia niesłychaną dbałością i przezornością: gaździna paliła przez oszczędność na ognisku tyle tylko drzewa, co potrzeba, a nie aż żeby buzowało się i dudniało w kominie: języki płomienia nigdy nie wylaływały aż na poddasze. Zważano niesłychanie na wiatr, i wtedy niecono mały ogień; a gdy „duchnął” halny wiatr, we wsi robiono trwogę: bębniacz z bębniem idzie przez wieś i obwieszcza, żeby gaszono ogniska! I sama ludność pilnuje się: gaździny zasypują popiołem ogień i czasami dwie, trzy doby jedzą zimną strawę.

Skutek puszczenia dymu na poddasze, co do konserwacji budowli był nie mały; skoro gonty lub deski strzeczne dobrze się dymem nasyciły „zaczadniały” (od czad), „zazelały”¹⁾, to przeleżeć mogły do 30 lat, poczem je odrywano i przewracano na nice, stroną okopconą do pola, a wtedy znowu poleżały ze 20 lat; tymczasem bez tego środka zaledwie wytrzymają od 15 do 20 lat

1) Powiadają jak bielizna długo leży nieuschniona, to zazele: jak coś żelaznego, wystawionego na wilgoć, to także zazele.

Od tego kopcia weiskającego się do izby latami i latami, i same ściany z n u k a (od wewnątrz) nabierają z wolna czarnej barwy; przez wycieranie plecami siedzących po lawach, przez tarcie płaz kilka razy do roku przy robieniu porządku, czarność staje się lśniąca jak politura, a ściany weale już nie brudzą w dotknięciu. Niektórzy z umysłu mazali płaz juchą bydłą, po której zawsze zostawała cieniutka warstewka białka: gdy w niem osiadł kopeć i wgryzł się w drzewo, a z czasem wygładziła się powierzchnia, ściana wyglądała lśniąca, czarna jak hebanowa, tu i owdzie ciemno-wiśniowa, lub ciemno-cisawa, gładka i twarda. Dlatego to izba gospodarska nosi nazwę czarnej; lecz przy całej czarności jest zupełnie czystą; tem jaskrawiej wygląda jaśniejąco biały piec, często świeżutko wybielony aż w same gardło czeluści.

Takich zupełnie czarnych izb coraz mniej na Podhalu; dawniej było ich bez porównania więcej, gdy w użyciu były piece biegane, czyli biegace, owe staroświeckie piece, które dziś już rzadko widzieć można, chyba gdzie u biedaka, na odludziu. Był to niski podłużny piec, niby szabaśnik do pieczenia chleba, kształtu prostopadłościanu (*parallepipéd*) wydłużonego, na krośnach, w którego czeluście kładziono całe sajtty, czyli szczapy i spore bierwiona paliwa. Góral, jak każdy mieszkaniec północy, lubi zimą gorąco: drzewo było za bezcen: las rósł dokola puszcza; sucharzy leżała moc. Kanał z pieca wychodził na izbę pod samą powalą. Gdy palono, ciemności zalegały izbę, a ludzie w niej wyglądali jak duchy w piekle Dantejskiem: wylaniali się z nroku kopcia gryzącego w oczy, i zagłębiali węń; nas by to drażniło, ale oni na to nie dbali, przywykli od dzieciństwa do dymu. Skoro się już izba tego ogrzała, uwarzyło się strawę, otwierano „cioskiem“¹⁾ lub kijem, zawadzając za kliniec, okiennicę w powale, wypuszczano dym na poddasze: skoro już wszystek uszedł, zawierano okiennicę; w izbie robiło się jasno i ciepło. W narożniku biegaca była mała wnęka z kanalikiem; wieczorem we wnękę kładziono zapaloną karkoskę, t. j. luczywo, drzazgę, jak mówią na Mazurach: najlepsze karkoski były cisowe, to też „prze“²⁾ ten ich przymiot, wytrapiono cisy po lasach. Cisowa karkoska płonęła jasno, a wydawała miłą woń żywiczną; ciepło było jak w uchu, a gdy na świecie wyla dujawica, biła siekawica w szyby, hulala kurniawa po wirkach, góral zawarłszy drzwi, w blasku luczywa siedział z rodziną, gwarzył i czekał cierpliwie wiosny. W takich starych izbach były polenie, czy pälenie (nie umiem

1) Ciosiek—deszczulka kształtu półmiesiączka do wygarniania węgla z pieca na chleb.

2) Przymiotek służący w gwarze podhalskiej, a zatracony w języku książkowym, prze = słow. pro, iae, pro = gwoli, dla, np. „on tam nie patrzy prze gości“, t. j. nie dba o nich.

rozstrzygać. Już zaraz przy samem budowaniu izby, na jaki lokieć pod powałą, końcami pomiędzy płazy wbudowywali przy ścianie szczytowej i odsiennej po dwa okrągłe, tegie dyle, jeden prawie przy samej ścianie, drugi od pierwszego na jakie 1½ loka: na tych dylach końcami opierano tak samo po dwa dyle wzdłuż ściany lewej ponad oknami i wzdłuż ściany szczytowej. To właśnie są polenie, które obiegały całą izbę, nie wyjmując kąta, w którym stał biegac: na nich kładli sajt y drzewa opalowego, gonty, deski, na dach przyszelego domu, aby zaeadniały: klotki jasionia, jaworu, limby, by zwolna uschły nie popękawszy. Do tych poleni, w tem miejscu gdzie nad biegac przychodzą, wieszali nad otworem dymowym pieca kociel aby „cy kapustę oparzować, cy lokiетки“ (len na przedzę) gotować. Piec oczywiście był niewysoki, najwyżej („na zwyżé“) na wzrost chłopa, ale długi i szeroki. „eo i étyrok by legli na nim“: to też z przyjemnością sypiali na nim, podesławszy cuhę pod siebie. Dawne to dzieje, a z tych czasów pochodzi „piecuch“ na oznaczenie gnuśnego próżniaka; tak legiwał sobie za mlodu Janosik i nabierał sil do swoich bohaterskich czynów.¹⁾

Przestrzeń pod piecem i kuchnią, unoszącemi się na krosnach, zagradzają szczebelkami z boków; służy ona za pomieszczenie dla kur, o które wiele dba gądzina, dobierając rozmaite: siemieniaste, t. j. nakrapiane, cubate z czubkami, gaciate, z nóżkami opierzonymi, aż do palców, opacne, które mają pierze nie leżące w kierunku od głowy ku ogonowi, lecz naopak: pióra te nie leżą gładko lecz są nastroszone.

I przestrzeń pod łózkami zagradzają „grabinkami,“ t. j. drabinkami i to się nazywa „cerek,“ w którym siedzą jagnięta, oraz owieczki w ciężkie mrozy: gdy jeden róg w izbie ogrodzą grabinkami, to i ta ostoja zowie się corkiem. Zimą zatem ludno i gęsto jest w izbie; cała ta gąwiedź wypuszczona z jarnicy, corka i podpiecka roi się naprzykrzając o jadło, a dzieci mieszą się ze „dźwirzętami.“ Przy gorącu od gotowania, przy braku środków przewietrzania i niedbania o nie, powstaje zaduch, „puk,“ i „kwas,“ t. j. nieporządek; lecz trzeba wnikać w warunki życia tutejszego ludu, poznać do gruntu bezdenne jego ubóstwo, często nędzę, aby nie rzucić kamieniem potępienia: tak żyją, bo inaczej nikt, nawet najświetlejszy i najdzielniejszy człowiek tam żyćby nie zdołał.

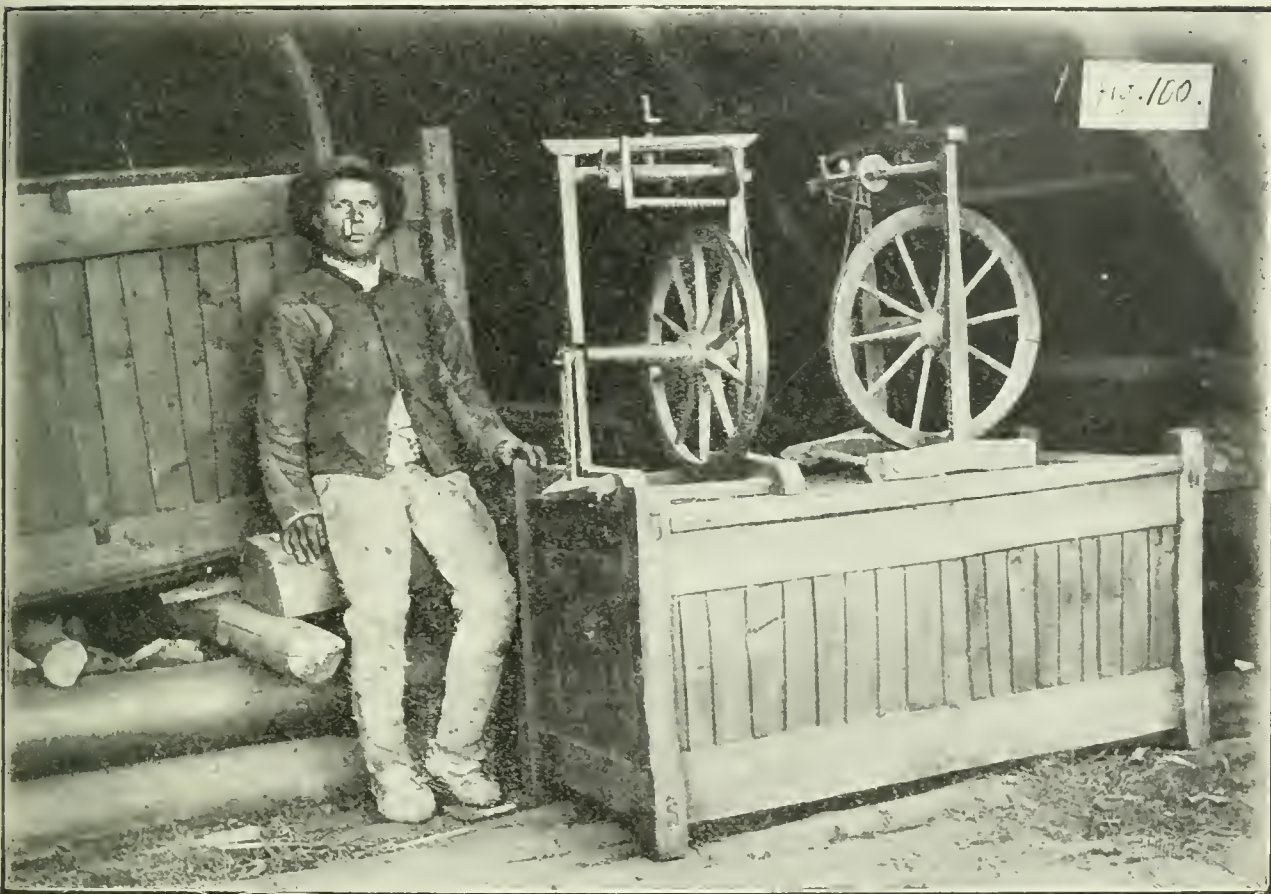
Ale nasz gazda jest hruby t. j. zamożny, więc puk i kwas są do wytrzymania. Oto gądzina prowadzi nas przez okazale, przysadziste, szalowane drzwi w ścianie szczytowej, czasami w plecowej, do komory: w niej chłodno i ciemno: światło wpada przez male, zakratowane okienko: jest tu czysto

¹⁾ Patrz opowiadanie w książce „Na Przłęczyci“ str. 183 nast.).

i zalatuje zapach mleczywa. Każdy udój przynosi się w skopcu do komory i zlewa cedząc przez pa wężkę do garnka; wyraz dzieżka nigdy nie stosuje się do naczynia glinianego. Skoro mleko skisnie, zbierają śmietanę, a mleko kwaśkowane zlewają do wielkiego, cylindrycznego, drewnianego naczynia (p. ryc. 113) zwanego dzieżą. Dzieża zawiera nieraz po 2, 3 wiadra. Przed wlaniem mleka doskonale ją odwanniają, nalawszy ukropu, i rzucając do niego rozpalonych żabie (kamieni: od pary i ukropu wyczyści się dzieża dokładnie. Po każdym udoju kwaśkowane mleko zlewa się do tej dzieży, gdzie pozostaje miesiacami, tygodniami, a w chłodzie i czystości zachowując tylko pewien stopień kwaśności. jest zawsze płynne, nie rozdziela się na twaróg i serwatkę: zowie się mleko kiscone i stanowi najlepszy, najwytworniejszy, najzdrowszy pokarm górala; na nieszczęście, na to by go mieć, trzeba być tak bogatym, żeby posiadać krowę. Po dolaniu nowej porcji, zamiesza się ode dna wszystko w dzieży, aby nie „wybukło.“ Czasami, ale to rzadko, z umysłu, przed świętami ogrzewają mleko w garncu na kominie: wtedy kwaśnieje, powstają krupy twarogu, który służy do moskáli, to jest do podplomyków. Góral dla siebie nie robi nigdy sera krowiego. Zebraną śmietanę przerabia się na masło w kiernicy, która składa się z właściwej kiernicki.—na Mazurach masielnicy—z topórki, t. j. kółeczka z dziurkami, osadzonego na kijcu, którem się klóci śmietanę, — i z wiernika, t. j. górnej części, przez którą przechodzi trzonek topórki i którą zamyka się kiernicę.

Na ławce w komorze stoi korytko, po mazursku niecka, po kujawsku kopań: na niej gaździna miesi ciasto z mąki owsianej, kukurydzanej, lub żytniej na przasny chleb t. z. moskále, t. j. podplomyki, stanowiące już duży specjal w żywności górala. Kwaśny chleb żytni stanowi wielką rzadkość, pojawia się jedynie u najbogatszych: ciasto zaczynia i miesi się w drewnianej dzieży, w której po każdym pieczywie zostaje kęs kwaśnego ciasta, zwany kwas, na Kujawach gniazdo v. matka. Tu na kolkach wiszą rozmaite domowe sprzęty: mineerz czyli bezmian do ważenia; karpie, przyrząd do chodzenia po śniegu aby się w niego nie zapaść: (Tab. LVII, ryc. 1), stare flinty, Bóg wie jakich systemów z krzosem, z rymácem, zardzewiałe; oklepce t. j. żelaza na lizkę, na orla, na rysia, poletek słoniny, swijalki lnu, t. j. len wyczesany, skręcony w jasne lśniące kędziory; kądziel; krążliki, t. j. toczone puzderko z jaworu, z niespodzianym krzyżykiem; gdy góral szedł w regle do lasu na robotę, zabierał w krążliku masła na tydzień: nie stłukł się jak garnuszek, a i wieczkiem łatwo je zamknąć; tu stoi krązolek, t. j. szatkownica do krążenia kapusty: recica do recicowania owsa, i przetak do przesiewania; jedna od drugiego różni się tem, że recica ma większe dziury, przez które przelatują ziarna owsa, jarca, a na recicy

zostają kłoska, rząsy, zgoniny, kłaca, kawałki ściębla z kolankami); a w przetaku na odwrót oczka są male, i cudzą w nich ziarno, które zostaje w przetaku, a przez dziurki przelatuje ziemia, glina, proch, skalki i t. p. nieczystości. W komorze wiszą: kosalka upleciona z prątków wirby, rosnącej nad potokiem, kosyki z jalowca, kożuszki białcańskie, poletki słoniny i t. d., stoi wareuła, przyrząd do przedzenia, wrzeciono, motowidło do motania przedzy, snowadło, do snucia nici. Snowadło jest to przyrząd w którym dwie prostokątne ramy umocowane są na wspólnej osi pod kątem prostym do

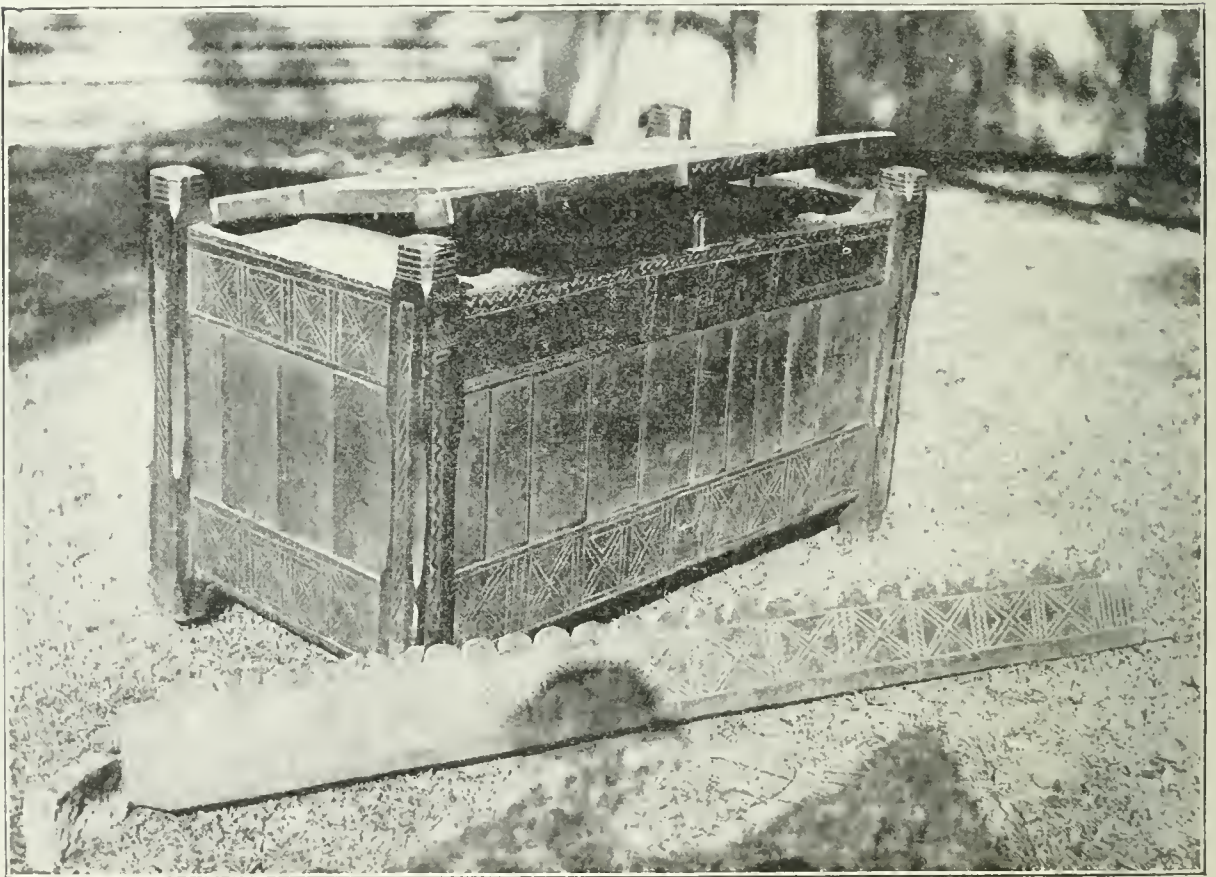


Ryc. 120. *Sąsieki i warcule na poddaszu.* (z fotogramu).

siebie: kiedy się chce nasnuć nici, wstawia się snowadło pod sosręb, tak że jeden koniec osi opiera się o niego, drugi o podłogę i obracając nasnuwa nić.

W każdym prawie domu okazalszym i staranniej zbudowanym, znajduje się na poddaszu, zawsze w szczycie wschodnim (pamiętajmy, że podhalska chałupa stoi zawsze licem do południa lub południowschodu) wyska: jest to

z płaz zbudowana izba tak, że jedna jej ściana, opatrzona dwoma lub jednym okienkiem, stanowi zarazem część pionową szczytu dachowego: posiada ona swoją osobną powalę i podłogę. Aby ją obejrzeć pójdźmy na poddasze. Wchodzi się tam albo po stałych wschodach, pierwotnej budowy (gruba i szeroka deska z przybitymi trójgrannymi szponkami), albo po przystawionej drabinie ze sieni. Przy świetle dostającym się przez dymnik, widzimy, że całe poddasze i wszystko na niem, jest czarne od kopcia, błyszczące. Wnet dostrzegamy dla-czego cieśla podciąga pod powalę Sosręb, i stawia go w położeniu mechanicznie wytrzymującym największe obciążenie. Nie mówiąc o tem, że na powalę



Ryc. 121. *Sąsieki i listwa Walczaka.*

leży gruba polepa gliniana, poddasze z umysłu większe niż w domach drewnianych z równin, przez przedłużenie zrębu, t. j. czterech ścian ponad powalę izby, służy jako śpichrz (wołalbym zamiast tego podłego wyrazu litewski *švirėnė*: rzędem pod strzechą stoją sąsieki, skrzynie wielkie, czasami wielgolaehne, do zsytywania siáciá, t. j. ziarna. Sąsieki bywają zbudowane

zawsze w typowy sposób: cztery słupce sfazowane i zastugane na końcach obejmują ślezaże, t. j. ramy, między które nawleczone są deszczulki, niby gonty, których ostre grzbiety wchodzą w fugi sąsiadów. Wieko zrobione bywa także w pewien typowy sposób. Już tak jak są, skrzynie te są ciekawe etnograficznie, oryginalne w swej budowie;—do tego noszą ciekawe miano, jak pół stodoły na Mazowszu (odgródzone za polnicą od boiska). Lecz spotkałem jeden sąsiek, bardzo stary, ślicznie i po staroświecku ryzowany, a pięknie zbudowany: ślezaże, słupce i ściany czarne jak hoban lśniące i twarde: sądząc z ryzowania musiał on być roboty tej samej ręki, co starożytna listwa, jedyna w swoim rodzaju, jaką mi się widzieć udało. Żałuję, iż na fotogramie nie widać ryzowania wieka, starannie wykonanego. Takie ozdobne sąsieki oczywiście nie służyły do przechowywania ziarna, lecz do szat, przędzy, runa i t. d. (ryc. 121).

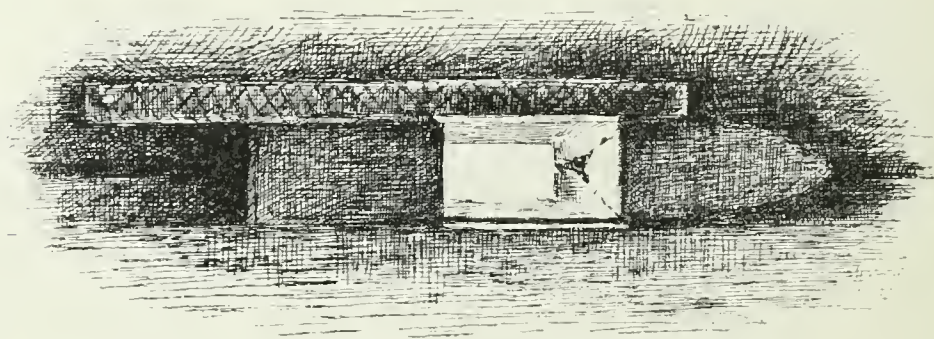
Na poddaszu jest skład rozmaitych gratów i rupieci: przez pewien czas po skoszeniu trawy góral zanosi tu kosę i ostrze wytyka przez wietkowany otwór w szczycie; jak się idzie przez wieś, to z każdego dachu sterczy kosa.

Sama wyska odgrywa rolę komory: tu wiszą skóry z owiec, runa, lokiety, t. j. zmotana przędza, Swijatki, t. j. wyczesany len, oscępki, t. j. séry, zapasowo masło, poletki słoniny, jaja i t. p. bogactwa góralskiej chudoby. Tu także wisi pęk ziele zbieranego i święconego na Matkę Boską Zielną: boże drzewko, białe, czerwone, zielone, majeranek, rumianek, dzwonki, co po miedzak rosną; najważniejsze jest takie ziele, które się „na ceo zbiera, kiedy sytey jeseć spią,” choćby i ukradzione z ogródka sąsiada; to ziele służy do okadzania krów i owiec.

Wszystko tu ciekawe dla nas, jak jakie muzeum, gdyż odmiennie, nie tylko od przedmiotów miejskich, lecz często zgoła różne od rzeczy widywanych po chatach chłopskich, w naszych wsiach na równinie. Mało tu przedmiotów zdobnych, ale wiele ciekawych pod względem bytowym, bez których poznania niepodobna się wmyślić i odtworzyć sobie dawnych form życia, dziś już zamarych lub dogorywających.—Potracam o te szczegóły tylko mimochodem, to bowiem odprowadziłoby mnie daleko od właściwego przedmiotu niniejszej pracy. Schodzimy z góry do sieni, która także jest składem rozmaitych użytecznych rzeczy: tu wiszą chomonta i uprząż, ponieważ się siekiera do szczepania drzewa, ciężka kijan, albo pucka, pierwobytniej roboty: bierze góral fałatek twardego jasionia, na pewnej przestrzeni skrzesuje, t. j. sciosuje go póty, aż powstanie trzonek, wygodny do ujęcia w garść; koniec pozostaje gruby; kijan (na Mazurach już niestety z niemiecka ślaga) służy do wbijania kolików w ziemię do dobijania bali jeden do drugiego, do pobijania siekiery przy lupaniu drzewa, zwłaszcza, gdy są zawile pąrenie, t. j.

kręte, sękatę, grube, bulowate pniaki. W jacie za sienią leży drzewo użytkowe, kłotki jasieniowe, brzostowe, świerkowe (modrzewiowe), jaworowe; czasami fałatek cisu, pieńek limby, kawał gruszki lub jabłoni, czekając aż naco przydadzą się gospodarzowi.

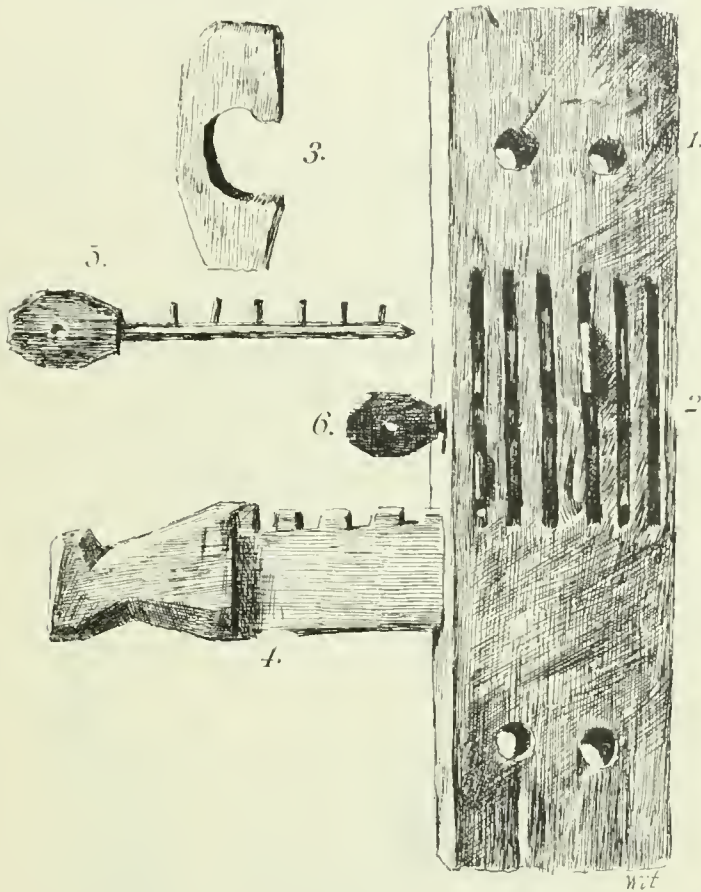
Czasami w jakiejś chałupie znajdzie się osobliwość. Na Gładkiej, Michał Gąsienica, zapalony myśliwy, mając izbę nad brzeżkiem jaru zarosłego lasem, zrobił sobie w tylnej ścianie, ponad ławą, niedaleko pieca, przeziór, t. j. szparę; założywszy „podnetę” w miesięczną noc zimową „kiedy strzóg na liskę, to cichuśko szparę odsunął i tym wyziorem liski bijał.” (ryc. 122).



Ryc. 122. *Przeziór.* (rys. S. Witkiewicz).

To znówu w Kościeliskach, w izbie u Rząski, przy każdym oknie wewnątrz izby są okiennice drewniane, a grube, zasuwane tak jak szyby w szafach sklepowych; zapewne robiono je dla ciepła, skoro bowiem dawniej okna wypełniano błonami zwierzęcimi, mieszkańcom zimą musiały dojmować mrozy; nie było to tak bardzo dawno, skoro dotychczas dochowało się nazwisko błoniarza, na wstawiacza szyb w oknach. Była i druga przyczyna. W czasach gdy kwitło zbójnictwo, chaty porozrzucane samotnie po ustronnych polanach, wystawione były na napaści, jeśli gazda był zamożniejszy, lub jeśli naraził się lub skrzywdził kogoś „z towarzyszy;” namiętny lud tu-tejszy umiał chować zemstę w sercu, póki nie wybiła godzina, gdy gazda ani się spodziewał. Napastnicy zastawszy dźwiérze sienne zawarte, szturmowali do okien; tu kraty nie pomogły nic, a i okiennice trzeszczały, gdy kilku zbójników, zagrzewając się okrzykami „pochłompmy się,” ująwszy za cały pień smrekowy, waliło jak taranem, tak silnie, że tylko grube drzwi i okiennice, a tegie zawory i zapory mogły ochronić od wdarcia się; na pochwałę ludu tu-tejszego powiedzieć trzeba, iż nie uciekał się do podpalania; przynajmniej nigdy nie słyzałem o tego rodzaju zemście.

Żegnamy się z gaździną, która wola na dzieci: „a pobożkáj-zę pana;“ dzieci całują w ręce; odsuwa się staroświecka zawora, (ryc. 123) dźwierze zgrzypią drewnianym czopem „w zabec.“ t. j. panewce. I znów przypomina się Odysseja; Penelopa także:



Ryc. 123. Ślepa Zawora.¹⁾ (rys. S. Wilkowiec).

¹⁾ Na przybitym do drzwi, czterema kółkami, płaskim baliku (1) wyżłobione są rowki, do których włożone są kółki (2) znacznie krótsze i poucinane od zewnątrz w środku (jak to widać na rycinie pod liczbą 3. Na dole pod kółkami mieści się zasuw (4) z wycięciami w tej odległości, jak odległe są od siebie kółki. Otwierając wsuwa się klucz (5) w otwór zrobiony wprost kółków, (6) i zaczepiając zębami, których w kluczu musi być tyle, ile jest kółków—w ich wcięciach, unosi się kółki w górę, i jednocześnie wyciąga zasuwę. To samo powtarza się przy zamykaniu, a kółki podnoszone w górę zębami klucza, po wsunięciu zasuwki i wyciągnięciu klucza, same opadają. Dla zakrycia całej tej maszyny, przybity jest drugi balik na wierzchu, na zewnątrz drzwi. Obecnie ślepej zawory już nie używają i znajduje się tylko w starych bardzo domach. Zawora, dawniej używana również do zamykania chat, różni się od ślepej zawory, że ma tylko dwa lub trzy kółki i klucz zawsze żelazny, z odpowiednią ilością zębów. (Dopisek p. Julji Matlakowskiej).

Weszła na próg dębowy, ręką rzemieślnika
 Ciosan gładko, od progu w górę odrzwała biegły,
 W nich wprawione wierzeje mocne skarbów strzegły.
 Ona, rzemień zadzierzgniou szarpała dłonią zreczną,
 Potem kluczem zaworę odsunęła wnetrzną,
 A pchnąwszy je, zaskrzyły wierzejów dwie poly
 Takim skrzypem jak ryczą na pastwisku woły.

Pieśń XXI.

Lecz choć górale się zaciekle i na śmierć bijali, nie słyszał tu nikt o takiej dzikiej, strasznej scenie, jaka odmalowana w pieśni XXII, gdzie miłośnice gachów wywieszał Odyszej na linie okrętowej:

A jak stado gołębi, lub drozdów popadnie
 W sidelka, w gąszczy chaszczów zastawione zdradnie,
 Gdzie na noc dążąc smutne znajdują łożysko,
 Takie i z onych niewiast było widowisko:
 Kiedy jedna przy drugiej i głowa przy głowie,
 Wisiały tam na linie, jak oni ptaszkiowie,
 Każda z sznurkiem na szyi, zduszona cichutko,
 Coś nogami zadrgawszy w powietrzu, lecz krótko.



Ryc. 124. Czerpak.

Budynki gospodarskie; zagroda.

Siedzibę swoją i obejście zowie góral zagrodą; całą posiadłość razem z polem ornem, pasieką (pastwisko, nigdy pomieszczenie uli) i t. d., dzierżawą. Odsyłając czytelnika po szczegóły do książki: *„Budownictwo ludowe na Podhalu”* — tu tylko mimochodem napomknę, że jeśli wyobrażamy sobie podwórze za grody jako prostokąt, to wedle nieodmiennego, zwyczajowego prawa podhalskiego, dom mieszkalny stoi na północnym boku tego prostokąta, licem do południa, a budynek gospodarski, zwany w ogóle sopą na zachodnim boku, tuż obok domu oddzielony od niego o 4—6 metrów: dwa pozostałe boki prostokąta są niezabudowane; a tylko na ich kierunku zasadzone są dwa rzędy gąjów; samo podwórze zowie lud Okolicną oborą, że do okola niego coś stoi. Jużem wspomniał, że z wyjątkiem paska ziemi wzdłuż izby i sieni, wyłożonego skrzyżalami, oraz kawalka ziemi z dolkiem, również wyłożonego kamieniami, do kładania gnoju, cała obora okolicną porośnięta jest pyszną trawą, sutą i gęstą, złożoną z najbujniejszych i najdoskonalszych gatunków, przerosłą na polu gąsiorką (*Alchemilla vulgaris*); prócz wąziutkiej perei (ścieżki) trawa jest tak świeżą i niewydeptaną, jak gdyby była szczelnie ogrodzoną: tak to góral dba o każde ździebełko siana! Czasami, gdy zagroda leży przy publicznej drodze lub już bardzo na szkodę wystawiona, ogradza ją plotem z żerdzi, t. j. okrągłych kijów smrekowych (na Mazowszu obłaki), umocowanych pomiędzy parami kolików wbitych w ziemię; żerdki opierają się albo na wikłach, na Mazowszu przeplotach, z tą różnicą, że tam przeploty robią z loziny, a tu ze świeżego, młodego smreczka, którym przeplata się koliki w ósemkę; niektórzy wikle nazywali mi huzewkami.

Góral dlatego zawsze stawia szopę na zachodnim boku podwórza, by z jednej strony zasłonić sobie nią stronę świata, z której wieją najczęściej wiatry najprzykrzejsze: zachodnie i północno-zachodnie, dujawice, siekawice, i kurniawy; z drugiej strony nigdy mu zawieje nie dmą w drzwi szopy; łączność z dobytkiem zimową porą łatwa bez odmiatania śniegu; deszcz nie zacina bo strzecha na izbie szeroka, a na szopie jeszcze szersza przez urzą-

dzenie osobnego na ten cel wypustu dachu; tak że z pod jednej strzechy, bez przerwy prawie, przechodzi się pod wypust szopy. Każda szopa zbudowana jest jak dom: izbie białej odpowiada połowa przeznaczona na bydło i owce; izbie czarnej część dla koni; a sieni boisko; całe poddasze; nad obu połowami i nad boiskiem, służy za skład na zboże sprzątane z pola i na siano; szopa więc góralska łączy w sobie: oborę, stajnię i stodołę.

Otwory dźwiérne do bydła są niskie, obmyślane, żeby zimą najmniej uciekało ciepło; szpary między balami dobrze umzione, zostawione tylko dla przewiewu przeziory, t. j. otwory, lub okienka. Krowy i owieczki stoją albo na dylach ściśle ułożonych, z których gnój kładają na kupę na oborę (podwórze), żeby się krowy zanadto nie kalily (nie kalaly, nie walaly), albo jeśli gazda ma dużo ścieli, barlogu, a chodzi mu o to, żeby miał dużo gnoju, to nie daje pod bydło podłogi, a ściel sypie na ziem. często dosypując by dobrze przegniła. Ściel górala stanowią: 1) cetyna, t. j. gałązki smrekowe z igłami drobinteczko posiekane; 2) barłóg t. j. mech, jafer, i opadła na ziemię z drzewa cetyna (igielki), które na ten cel przed zimą starannie zgrabiają. 3) ushle i opadłe liście z buczyny; liście jesionowe za zielona, zważone i opadłe po pierwszym przymrozku, i obrącone kijami służą na pokarm dla krów. Tak to góral, jak murówka, najskrzętniej zbiera wszystko, aż do cetynki, t. j. do igielki smrekowej! Tylko przy takiej staranności można tu od biedy przekarmić duszę z roku na rok. Popiół starannie zebrany służy do warzenia lokietków (przedzi lnianej); co go zbędzie, posypują nim trawę, która „rada rośnie” potem. Sadzą sują znowu na ziemię około świeżo posadzonych gá i (drzewek liściastych).

Krowy jadają w żłobach, korytach wydłubanych (nie zbitych z desek), w które wsypują im sieczkę ze słomy owsianej, czasem okraszoną czem się da; nad żłobem przybita grabina, za którą zakładają siano lub owsianki. Owce dostają jeść w gródzach (czy *grudza*), t. j. żłobach zbitych z desek; a żeby słomy nie psuły i zwolna wyciągały, przyciskają ją w gródzy grabiną, t. j. kijem, w który nawiertano szczebli, które sterczą po obu stronach kija;—dostają też paszę i w jasłach, t. j. gródzach, nad którymi umocowane są drabinki, ustawione do siebie pod kątem ostrym; (patrz ryc. 119 na str. 86). Na tej samej rycinie czytelnik zoczy widły do kładania gnoju, osobnej formy, jakiej nie widziałem w żadnej stronie kraju.¹⁾ „Po jedni,” t. j. niektórzy, w szopie trzymają wielką kádź na kapustę, z klepek ściągniętych obręczami, czyli gązwiami. Na ten cel wybiera się śmigły,

1) P. S. Witkiewicz na podobieństwo ich podał ozdobny model na widelec drewniany do sałaty, dodawszy trzonek ozdobny od warząchy.

młody smrecek, o ile można nie gałęzisty, nie chłóściak (smrek mały, krzastowity, a kędzierzysty), a rozparzywszy go w gorącej wodzie na ogniu, i wykręciwszy jak powróż, opasują klepki, sprytnie zawiązawszy. Inni wszelako wolą każdą stawiać w komorze, bo kapusta ma wtedy lepszy smak niż ze szopy.

Część dla konia, lub koni, jeśli je gazda posiada, niezem się nie różni, od przedziału dla bydła; tylko obok bywa inny, mniejszy przedział, t. zw. za cynec, z którego, lub z boiska, przez umyślnie zrobione okno podają siano i obrok koniom.

Boisko służy oczywiście za tok, czyli jak na Mazurach mówią klepisko, do młocki zboża, a raczej owsa; jest ubite z gliny i ziemi; tu także obrywają łebki ze łnu, międlą go i t. d. Lecz młocka nie trwa długo, bo i owsa mało, a i spieszą, by się myszy nie durzyły; po omlóceniu, zrecicowaniu, i zedzeniu, idzie ziarno do sásoków, a boisko prawie cały rok służy za wozownią. Zawarte jest i z tyłu, od pola, i od obory, t. j. od podwórza, wrotami (na Mazurach wierzeje), a przez okrągłą dziurkę w podwórzowych wrotach sterczy na oborę dyszel nakryty daszkiem. Zamożniejszy gazda miewa zresztą niejedną szopę, z boiskiem, tak że jedno z nich wolne pozostaje; na wypadek służy wozowi za schronisko, jata t. j. przybudówka do szopy; wóz więc nie moknie, a góral niesłychanie dba, aby wszystko osłonić od dżdżu. Wrota złożone z dwóch podwoi, albo zbudowane są z desek przybitych do stacjiwy, t. j. szkieletu w kształcie litery Z, albo z deszczulek, niby z gontów, fugami nadzia-nych jedna na drugą; ta forma spotyka się w starych zagrodach i jest praktyczniejsza, bo raz, że daje wrota lżejsze, a powtóre prawie zupełnie bez szpar, gdy tymczasem desek nie „dozdajasz,” t. j. niedopasujesz tak szczelnie; nadto sehnąc, odsuwają się od siebie.

Na boisku na ścianach wiszą grabie, cepy; złożone z dzierzaka i bijaka; każdy z nich ma przywiązaną na łebku do szyi kapicę skórzaną; obie kapiće spojone rzemykiem, który tu nie nosi nazwy gązewki jak w Krakowskim; tu stoi sieczkarnia u niejednego gazy w Zakopaném; po kolkach wbitych w bale ściany włazi się „na piętro,” t. j. na szopę, na poddasze „przez przyłaz,” t. j. dziurę w powale nad boiskiem (patrz *Budownictwo na Podhalu*). Komu „pree” do młyna (daleko), a zimą bięda (trudno) dojść, to posiada ręczny młynek: sypie się siancie między kamienie „a cówką” (rurką) suje się mąka; biedniejszy ma zarna; jak może umiele sobie owsianego ziarna na moskálki.

Tu stoi gdy nie użyty do roboty, dzia dek, (ryc. 85, str. 41), po mazursku kobylicą; gdy potrzeba oczyścić, t. j. na czysto wyprawić jaki szczegół,

np. dyszel i t. p., zawtyka się dziadowi pod brodę, a nacisnąwszy nogą na pedal, siadłszy okrakiem na desce, struga się ośnikiem, (na Kujawach strug); obok stoi brus przenośny (ryc. 119, str. 86), na Mazurach taczak, do bruszenia kos, siekier, dlut, rzeźacka t. j. sieczkarnia i t. p.

W wozach zaszła w ostatnich kilku dziesiątkach lat, tak duża zmiana, że już nie poświęci starożytny jaki wózek; wszystko teraz jeździ na żelaznych osiach, na obutych w obręcz kołach; bryki wożących gości do Zakopanego są starannej i doskonalej roboty; można powiedzieć ideal przystosowania do dróg merzkich po okolicach Zakopanego (ryc. 125). Lecz nie zawsze tak



Ryc. 125. *Wózek góralski.* (z fotogramu).

było „Drzewiej buł wóz, co kwiciał, ryciał; koła bosa,“ jak powiada Józef Chramiec. Górala nie stać było na obręcz żelazną do okola, więc z czasem na dzwona wsuwali trzy odcinki obręczy—które trzymały się „łapkami,“ z boku obejmującemi dzwona. Reszta obwodu koła pozostawała bosą; takie wozy zwali trojakami. Wozy były ciężkie i niezgrabne „Głowar“ (to jest piazda po kujawsku) była jak konewka; a łapkami dzierzały się te trzy zelaza; z początku to tylko jedno takie zelazo

nabijali na bahro i za nie zacepiali łańcuchem, kiedy hamowali; potem trzy takie syny, bo nie było dookoła jednej obręcy.“ Każdy wóz składa się z dwóch połów; przodek i zadek. W kole odróżniają: głowę t. j. piastę, do głowy nabite są palce, t. j. sprychy;¹⁾ na palcach siedzą bahra, t. j. dzwona, objęte i ściśnięte obręczą. Na głowach nabite są żelazne obrączki (z niemiecka na Mazurach zwane tradyny). Dawniej głowy ściągano wikłami, t. j. obrączkami z rozparzonego żywego smreka; bahra były szerokie, jak dłoń, „to sie tu tulął po pniak, po zabicak, i okrąglicak, (kamieniach) taki bosák, bo i do mlaki, nie wpád.“

Zarówno oś przednia, jak i zadnia, w nowożytnym wozie, wdlubana jest w podłużne drewno, zwane obsád; na nim umocowana jest drewniana ławka (jak mówią na Mazurach), tu zwana dawniej ocapek; dziś z niemiecka sola (*Sohle*); oś, obsád, i ocapek pośladka wozu wzmocowane są jakby widły, kawałka drzewa w kształcie litery Y, zwanego żłobek, bo istotnie na spodniej powierzchni ma żłobek. W ocapku są dziury prostokątne do obsadzenia kłonic, które na zewnątrz wspierają się na podkulkach, t. j. krzywych, jesionowych podpórkach wetkniętych dolnym żelaznym końcem w dziurę końca osi, górnym wdlubanych w klonice.



Ryc. 126. *Zdobione okucie wagi i orczyka.*

Między obsadem i ocapkiem przodka przechodzą śnice, jakby kleszcze dzierżące przednimi końcami zbliżonymi dyszel; na zadnich, oddalonych od siebie końcach śnic, przybita podejma, kawałek drzewa w poprzek. Na przednim ocapku obyrtá się kołowrot (po mazursku kiero-

¹⁾ Nigdzie i w żadnej części kraju nie udało mi się posłyszeć polskiego terminu na tę część koła, tylko tu na Podhalu! Tu jest skarbnica mowy polskiej.

wnik); z obsadzonemi w nim klonicami. Przodek z pośladkiem łączy ozwora, przez której koniec przedni, oraz dziurę w kołowrocie i ocapku przechodzi na wylot sworzeń, wielki żelazny gwoźdź. Podejma przechodzi pod ozwora, i utrzymuje, podejmuje dyszel ku górze. Osi nazywają kołomazią,

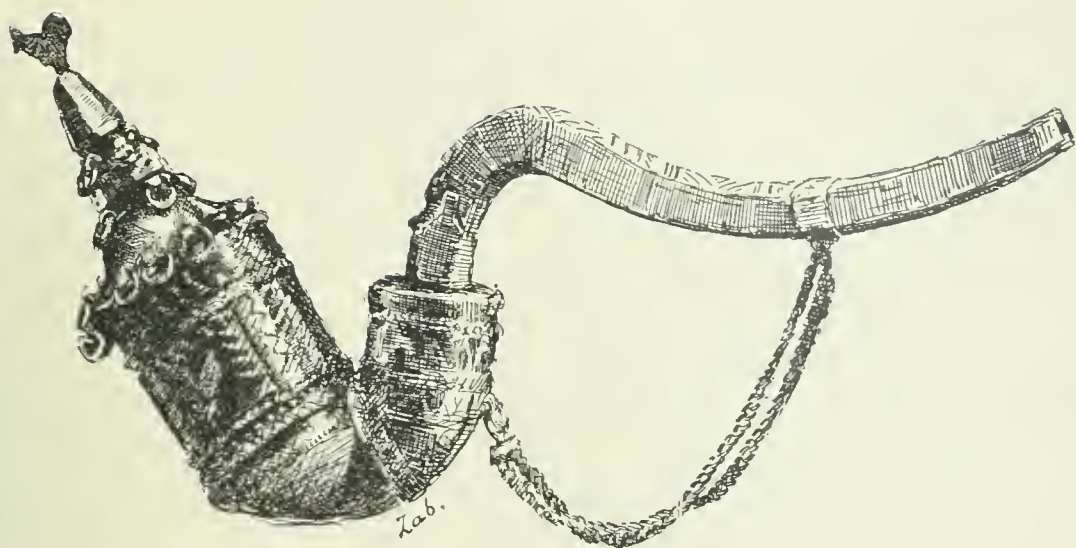
Kiedy góral jedzie na jarmark, do mlyna, z miechem ziarna i t. p. to na wóz wstawia literki, (z niemiec. *Leiter*), po mazursku drabinki, ze szczeblami; one wspierają się o klonice; na spód wozu kładzie osłone, deskę (na Mazurach dannicą), leżącą z przodu na kołowrocie, na zadku zaś na ocapku. Literki bywają ładnie wygięte i mocno zrobione z jasionu. Jeśli chcą, żeby się nie wytrzęsło z wozu, to jeszcze układają dwa półkoski plecione z wierzbiny nadrzecznej.

Do roboty okolo domu służy pur, t. j. taczka, którą biedniejsi, i nie posiadający woza ni konia, rozwożą gnój i t. p. w pole. Pod pajtami, w przyściankach (schronienie osłonięte dachem przy ścianie innego budynku) na poddaszu, nawet na kółkach po ścianach szopy, pod strzechami pochowanych jest mnóstwo przedmiotów i narzędzi: plug, sanki, gnatki, włóki, wojnicki, ostrewki, krzasła, stawiańce i t. p., o których będzie mowa niżej przy rozmaitych zajęciach górala. Mieszkaniec tutejszy odznacza się dbałością o swoje rzeczy, które starannie ochrania od deszczu, nawet paliwo, drewnianka, poszczepane karpy, skrzętnie układa pod strzechą, aby nie mokły w niepogodę.

To są główne budynki; lecz zamożniejsi, po wsiach bardziej oddalonych, mają swoje kuzienki, niema bowiem wśród starszych górali żadnego, któryby nie znalazł się na kowalstwie; niektórzy mają tarany do wybijania oleju z siemienia lnianego, drudzy, jak Kluś, pracownikę stołarską, tokarską, inni młynki wodne, gdzieś w małowniczem miejscu, wśród gaju wierzb i oleh, rozsiadłego na potoku; — wielu posiada pszczołniki, t. j. szopki, osłonięte ścianami z północy, wschodu i zachodu, a strzechą od góry, wystawione ku południowi; niektórzy, jak Gładczan, na Gładkiej, szkółkę drzewek, w której z siemionek hoduje limbę, rozsadza brzostry, lipy i jawory; niejedyn zamożniejszy, jak Słodyczka z za Gubałówki, z własnego lasu struże gonty; inni po Ratulowie rabiali spinki.

Siedliśmy na stosie płaz przed zagrodą; gazda wydobyl z zanadrza miechur¹⁾ z habryką, napchał fajeczkę (ryc. 127) i tak siedząc, rozglą-

¹⁾ Miechur robi się z kocięj skóry; „z kota skóre oblupi, maki owsianéj, nasuje, albo kwaśnice, casem wápna przycyni, i tak dwa tyżnia nad



Ryc. 127. *Fajka góralska.* (rys. p. W. Zaborońskiego).

daliśmy się po widnokregu: z inteligentnym, a mównym góralem można z przyjemnością rozmawiać godzinami i miesiącami; myśli jego, owoc postrzeżeń osobistych, a nie książkowych, wyuczonych, zajmują jak obserwacje bezpośrednio każdego człowieka; te są o tyle ciekawsze, że albo sięgają czasów minionych, bytu zamarłego, albo choćby i z doby dzisiejszej, interesują dlatego, że nie należą wcale do dziedzin aż do przesytu obrabianych po dziennikach. To jest inny świat, inne z gruntu głowy, inne myśli, a i wyśłowienie, mowa do rdzenia inna — mowa ultra-polska, stara, siekana, twar-da i męzka, ze zwrotami żywcem z Reja i Kochanowskiego. Żeby ten góral jał mówić o najpowszedniejszej rzeczy, to sam język, tok słów, akcentowanie logiczne, samobytnie rozwinięte porównania, przykuwają uwagę tak, że się z przyjemnością zaszuchuje w zwykłe narzekanie na hałny wiatr, płony urodzaj i t. p. Czasami zadzirzy uwagę jakiś oryginalny zwrot, niezwykle *Daturus commodi* ¹⁾ to stary zaginiony przyimek, ²⁾ to nieznacznym

piecem ostawi; zrobi się strasny puk, zaś potem klaki obedrze, skóre wymyje, wysusy, wymnie. Mięso zjadają najwięksi nędzarze — cyganie. Habryka = tytoń.

¹⁾ n. p. „fundator temu domowi.“ „pogrzeb Staszeczkowski.“

²⁾ n. p. przez wznaczeniu dla, gwoli, jak u Kochanowskiego. „Placzą cię starzy, placzą cię i młodzi. Dwór wszystek w czerni prze cię, Kryski, chodzi!“ (Fraszki) pokrós, skrony = z powodu.

dźwięk wzbogacający naszą fonetykę ¹⁾, to niespodzianka w rodzaju takiej, że istnieje *ę* tam gdzie w ogólnej mowie *u* (wnęk = wnuk), *r* tam gdzie u nas *rx*, i na zdwrót ²⁾, to brak przestawni dźwięków ³⁾, to wreszcie moc starych, słowiańskich wyrazów, z którymi mowa piśmienna wyzuła się w zapasach wiekowych z wrogą łaciną i niemieczyzną. Zdaleko-by mnie to wyprowadziło w pole od przedmiotu, gdybym chciał chociaż zgruba nad tem się zastanowić; chodziło mi tylko o to, by udowodnić, iż w ostateczności, jeśli już nie treść, to forma opowiadania wiąże zmysły słuchacza z dółskich krajów. Ale i tego nie potrzeba; o czem pocznie mówić inteligentny góral, wszystko ciekawe; wielu starszych pracowało w kopalniach na Węgrzech, inni w Peszcie; niejeden wrócił z Ameryki i to nie jako zmarnowany bankrut na kieszeni i duchu, nasz Brazylijczyk, ale jako zwycięzca; wrócił z pieniędzmi i prawi cuda o „Hameryce“, dalekie od mizernych artykułów dziennikarskich o wychodźstwie.

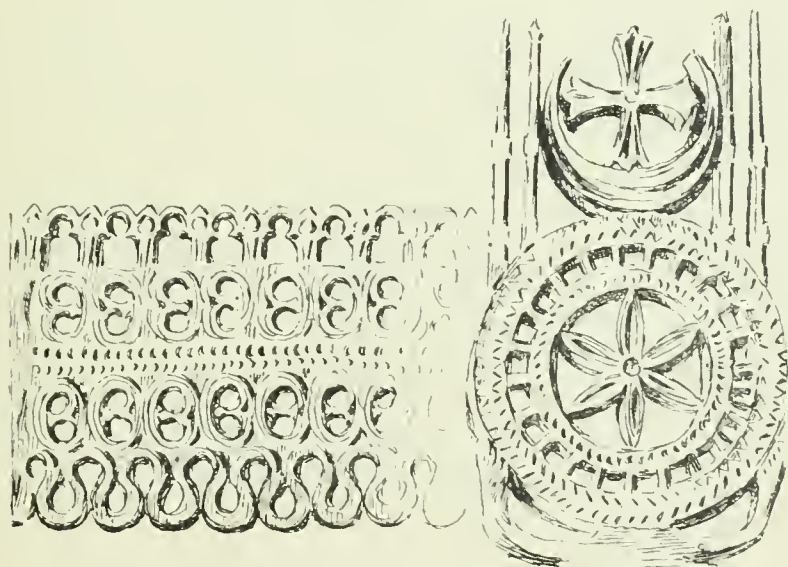
Rozglądając się po grupach zagród, umajonych zielonymi gájami, po tyłu i tyłu polanach, wyraziłem zdziwienie, jak trafić do kogo; lecz górale mają bardzo bogatą nomenklaturę, nieraz odmienną od urzędowej, spiswanej kiedyś przez urzędnika Niemca, którego ucho nie potrafiło pochwycić, a niemiecka artykulacja oddać tak fonetycznie różnych mów, od tych, do których nawykł od dzieciństwa; zebranie tych wszystkich nazw miejscowych i wniesienie na mapę na wielką skalę — stanowiłoby niemały przyrządek do etnografii tego zakątka. Każdy gazda znany jest w swojej wsi, lub sąsiadom na swojej polanie, często pod imioniskiem czyli przezwiskiem, czysto przypadkowym, nadanem mu nieraz za młodu, czy to dla cielesnej przywary, czy z powodu jakiej śmieszności, którą się okrył, czy od zajęcia i t. p. np. Ciaplák „wiécie bo ciaplawy, bo jak buł chłopakiem to koślawiato chodził, a w młace się ciabrál, tarál“. Pańska portka, Mamecárz, Kufiaty, „bo ma wielgą gębę“, Baják „bo z kart baje przepowiadá;“ to znowu wołają na imnych po imieniu, dodając określenie przymiotnikowe od chrzestnego imienia ojca; jeśli na ojca mówiono Maciusieck, to synu Józek Maciusiecków; ojeiec Józek,

¹⁾ *ch*, góral wymawia dwojako: raz jak *k* np. dwók, trzók, to znowu jak *spiritus lenis*, np. su`e (suche), os`ód (rozchód), f`o`olowie = w Chocholowie „f`olach (=w hálach) ojeyzna hálnego wiatru, tam się ón zawiązuje,“ *a* jak franc. *ou* n. p. wągłe = węgle.

²⁾ konárz = konar, łégárz = legar; rucié = rzucié, oreł = orzeł.

³⁾ dźwierze zamiast drzwi; płeha, *genitiv. plur.* płek, zamiast *pehła* *pehel*.

to syn Jędrak Józków; lecz czasami i niechrzestne imię ojca służy w tymże celu; mówią: u Wincka Dziubaniowego. Żona gazdy, choćby była młoda, zwie się babą, córka — dziewczką, żona bierze nazwę po mężu, albo za pomocą przybranek właściwych ogólnej mowie: owa, ina, albo miejscowych: ka, ula, przyczepianych do nazwiska mężowskiego: np. Smaś — Smasiowa; Pęksa — Pęksina; Soboń — Sobońka; Gálián — Gáliánka; Walcák — Walcácka; Zdziorba — Zdziorbula, Siecka — Sieckula. Córka bierze *patronimicum* od ojca, ale jeśli odumarł weześnie, albo i żył, ale matka więcej znaczyła, to od matki; mówią: Jagniesia Danielecyna t. j. córka Danielki. t. j. żony Daniela. Góral, a zwłaszcza kobiety, nie rozumieją, gdy ich pytać: „jak się nazywacie?“ oni się albo „wołają“ (*proclama*) albo „piszą“ do Karpieli. do Zwijaców. do Kurosów.



Ryc. 128. Części starego łyżnika. (rys. p. S. Witkiewicza).

Rolnictwo. Sianokos.

Rolnictwo na Podhalu zaliczyć można do tego samego rodzaju co osławione: „polski most, niemiecki post, a włoskie nabożeństwo“, z tą tylko różnicą, że niskiemu jego stanowi nie winna ludność tutejsza. Wszystko, co jest nieprzyjaznego, połączyło się tu dla wytworzenia warunków, których nie zmienić nie może na lepsze. Kraina leży bardzo wysoko nawet swemi rozgałęzionemi dolinami, wirchami oczywiście jeszcze bliżej, linji wiecznych śniegów. skutkiem tego *izoterm* jest niski, a bardzo często w czerwcu, — i wrześniu, gdy w Zakopanem np. lub Olezy siąpi kapuśniaczek; po wirkach, jak Gubalówka, z jej przeróżnemi nomenklaturami, Sperkówka, Bystre, pruszy śnieg, lub złoć chlapie na wyrastający lub dojrzewający plony owiesek. Ilość ciepłych, słonecznych dni latem bywa czasami tak małą, że zboże weale urosć i dojrzeć nie może. Co kilka lat przychodzi na tych wysoczyznach bardzo wczesna zima (np. w r. 1890 w dwa dni po Ś-tej Jadwidze) i gruba, pół, lub metrowa warstwa śniegu przywala niewykopane ziemniaki, karpiele (brukiew) i kapustę. Nakoniec i w stosunkowo niezłe lata, gdy przy dobrych warunkach owiesek wyrósł, ziarno, prawie żrale dochodzi i obiecuje plon weale dobry, nagle wypada halny wiatr, klęska tutejszego rolnika, a w ciągu kilku dni spadając jak lawina na srebrzysto-żółtawe lany owsa, wymłaca ziarno, twardze i łamie ściebła i z całej nadziei biedaka zostawia niedobitki: obszerne miejsca jak wydeptane pielesze¹⁾ i pooblamywane z ziaru rząsy²⁾; napróżno góral powtarza o nim: „O to je morowy wiatr“.

Do tych wrogich warunków atmosferycznych i klimatycznych, dodać trzeba nieżyzną głębę: górale odróżniają grunt piaskowy np. na Krupów-

¹⁾ Pielesz=łęgowisko w słomie np. psie.

²⁾ Rząsa=kiść.

kach, pewnie dlatego, że cała ta przestrzeń była usiana granitowymi kamieniami nanośnymi, z których przez zwiertzenie część jakaś piasku donieszała się do gruntu; jest to zgoła inny piaszczysty grunt od tego, co pod nazwą piaszczystej gleby znanem jest np. na Mazowszu. Grániówka, czerwóná ziem, stanowi glebę, zawierającą dużo gliny; grunt to marny; póki deszcz, trzyma dużo wody; skoro zaś przyjdą choćby i niedługie susze, zsyca się i pęka; plone na nim zbiory i ziemniaków i owsa; nie tęgie i siano. Hłowatka, jak dzisiaj nazywają, lub sihlawatá ziem, jak mawiali drzewiěj, zawiera czerwonawy, il.; to także nieurodzajna gleba, Wápienica, czyli wápienná ziem, np. na Bańdówkach, zawiera większą domieszkę wapna. Bór, v. borowina (torf); „co na nim siáć albo sádzić, to nie wárce,“ ale w ostateczności jak obwieść járkami, t. j. rowami, i bór przeschnie, a do tego poprawić, t. j. wygnoić, to się jako tako urodzi. Cárná ziem zdarza się tylko po wsiach, po ogrodach, przy domach, gdzie od starodawnej kultury ziemia się poprawiła; jest to cienki słój ziemi czarnej na podkładzie z piasku i kamieni. Glázowatá ziem. powstaje tam, gdzie pod wierzchem znajdzie się łupkowata skała, t. zw. gláz, złożona z drobiuteczkich blaszek, która, niech tylko deszcze poleją, a słońce przypraży, wnet się rozleci i rozsypie; ta skała „leni się łatwo,“ jak powiada góral, bo to „puchy“¹⁾ kamień, „konicyna strasnie rada widzi, gdzie się gláz wyorywá, a do tego grunt poprawi.“ Opisy powyższe, wiem to dobrze, są grubo nienaukowe, lecz chodziło mi o przechowanie nazw ludowych; jeśli ktoś zrobi kiedy chemiczny rozbiór gruntów tutejszych, ustali powyższe nazwy. Sądząc z gruba, tak rzec po gospodarsku, istnieją między powyższemi ziemiami grube różnice, widoczne dla oka; np. gdy na Krupówkach wszędzie w studniach jest woda czysta i doskonała, na grániówce np. na Kasprusiach jest zawsze mętną, nieklarowną i niesmaczną.

Zresztą trudno tu mówić ogólnikowo o większych jakich przestrzeniach; każdy kawalek ziemi ma odrębną wartość; wszystkie poletka położone na przykrych uboczach, bardzo zbiegających, są z natury lichsze; każdy deżdżyk znosi powoli najlepsze cząsteczki coraz niżej, zubożając glebę, a każda naremnica (ulewa), wprost zabiera całą, rozkruszoną, urodzajną warstwę, ogolając pole do calizny. Naodwrot żyznym, nanośnymi polom i ogrodom nad potokami, uprawnym od dawna, zagrażają wiekuiście potoki, które odkrawają i obrywają całe kawaly ogrodów wraz z gájami, lub zrobiwszy gdzieś na okolo karpny, lub korzeni wywróconego drzewa gájno z nanie-

¹⁾ P u c h y = kruchy, sypki.

sionej chraści (chróstu) zajazi potok, odbije go na drugą stronę, a rwąca woda zasypuje na ogromnej przestrzeni najżyźniejsze łąki i pola, zwirem i żabiecami, których dziesiątki lat nie odzieją ziemią. Widać to wszędzie w starych łozyskach potoków, które jakiś jaż, jakieś gájno odrzuciły w nowe koryto. Są to straszne klęski, które odbierają biedakom najcenniejsze, najlepsze, uprawione kawalki ziemi. Na takim usypisku zwiru, i żabiec, puszcza się gęsta olszyna, tak gęsta jak posiana trawa, i ona pierwsza zakrywa nagość ziemi.

Są całe uboższy malej wartości, z powodu, że zimą weale nie zaziera na nie słońce, a wiosną i latem, w porze wegetacji, zaczyna je wygrzewać późno: góral bardzo zna się i umie cenić dobrą, słoneczną wystawę, od której zależy wzrost i dojrzewanie zboża. To znowu kawalek ziemi byłby nieostatni, ale podłoże stanowi miednicę bez ujścia dla wód, lub właśnie leży na drodze żył zaskórnych, wiekuiście cedzących wodę, i cały staje się podmokłym, tworzy młakę, niezdatną pod uprawę, a przynoszącą liehe, kwaśne siano, t. zw. młocyste, sywarne.

Leez w ogóle wszystka tutejsza ziemia pachnie nowocią,¹⁾ nie zapomniała jeszcze swojej dziewiczej natury, wydziera się ku swobodzie, przechowuje miłość ku temu kwieciciu polnemu, które stara się wytepić człowiek, broni się od narzucanych jej jednostajnych dzieci, dla których jest macochą. Gdy u nas, na Mazowszu, ktoś nie obsieje, czy przez niedbalstwo, czy przez zaponnienie, placheć ziemi, nie wyrośnie na niem nic prócz bursztynowej ognichy²⁾, psiego rumianku, na wiosnę głodomorku,³⁾ lub jeśli dobra gleba, ostu. Tu gdyby jakiś bogacz zakupił przestrzenie orne i puścił je samopas samym sobie, już w pierwszym roku zamieniłyby się w cudowną kwicistą prerją, której oko napatrzyć, nos nawachać się nie może, a człowiek żałuje, iż nigdzie kiedyś nie zostanie ani śladu z tej barwnej szaty, którą przyroda odziała ziemię. Massy gwiazdek żółtego podbiału (*Tussilago farfara* L.), kwitnącego przed ukazaniem się liści, niewysławionej piękności ultramarynowe szafiry goryczek, (*Gentiana asclepiadca et ciliata* L.), jasne gwiazdy *Leucanthemum vulgare* Luck., szafirowe skręty wileczyńca (*Echium vulgare* L.), kluczyki bursztynowe, (*Primula elatior* Jacq.) bujne świecniki, (*Digitalis lutea* L.) żółte sustki, (*Alectorolophus*) szeleszące po dojrzewaniu,—głowátnik, (*Centaurea Jacea* L.), womna, delikatna *Astrantia*, kiprzyna, (*Epilobium angusti-*

1) Nowina.

2) Swierzop Mickiewiczowski. Łapucha na Kujawach: (*Raphanistrum Lamprosana*, Gaertn.)

3) *Draba verna* L. v. *Erophila verna* Mey.

folium), rozpuszczająca pod jesień, ze swych niby strączków. puszystą welnę, maliny, jeżyny, czernice, brusznice, gdzie suszej, a grunt kamienisty, gdzie mokrzej blade-lilowe kocie ogony (*Polygonum Bistorta* L.), rozmaite storczyki, a prześliczne krokusy, gdzie graniówka to świńska cebula (*Gladiolus imbricatus* L.), ten utrapiony chwast, i tyle, tyle innych. Te śliczności czują jeszcze dziedziczne swoje prawa do tych ziem, z których wyzuł je człowiek niełitościwie: to też, skoro tylko nie obsięje jakiego kawałka, wracają uporeczywie do dziedzin swoich.

Wszystkie warunki zatem są przeciwne rolnictwu, i można łatwo uwierzyć słowom górali, którzy utrzymują, że gdyby nie poprawić, t. j. nie nawieźć pola, nieby się nie urodziło: ztąd to na całym świecie chyba nikt tak nie dba, jak lud ten, o nawóz. Gdy około Matki Boskiej Zabieznej, tak zwanej, bo „zaby ozywają wtedy“ (25 Marca), po jakim hałnym wietrze, pójdą wody gościńcami, wnet na drogach zjawiają się baby, które zgartują w koszyki koński nawóz, jaki nagromadził się w kolei w ciągu zimy. Jak mogą, powiększając masę ścieli, mchem, eetyną i t. d., pomnażają ilość mierzwy drogocennej. Nawożą pod owies, lub pod grule, t. j. ziemniaki; oczywiście przedewszystkiem wygnajają dobrze pod kapustę i konieczyne, którą starzy zwali dziucieliną: — dziwna rzecz, wyraz ten sam, który unieśmiertelnil Mickiewicz: — potrzęsają też nawozem obory (podwórcia zamurawione) i lepsze łązki, ogrody. Płodozmian tu prosty, owies idzie po grulach, grule po tłocce. Te dwa plody roślinne stanowią przedmiot głównej uprawy: inne są tylko hodowane na małą skalę, lub wyjątkowo. Na najlepszych kawałkach ziemi, kolo zagród, gdzie cieplej, i we wsiach położonych niżej, sieje siaki-taki gazda kozę¹⁾ jareu: po ogrodach z glebą borowatą sadzą na grzędach kapustę, karpiele, t. j. brukiew, gryzulę t. j. rzepe. Na jakiejś lepsze²⁾, z doświadczenia znanej, że tam ziemia nadaje się do tego, sieją lén, który tu udaje się nieraz bardzo ładnie. Nie mało też rozpowszechniła się konieczyzna. Oto i wszystko.

Orba³⁾ rozpoczyna się, skoro tylko pozwoli pora. Zawezasu już, w lutym, w marcu, póki dobra sanna, wywożą na gnatkach gnój wszędzie tam, gdzie później dojechać po ziemi byłoby trudno, lub zgola niepodobna, na stoczyste ubocza, na przykre wirchy, póki śnieg gruby poprzysypywał kamienie, jarki (rowy), i wyrównał wszystko. Każdy na swoim poletku zwała gnój na kupę, by go potem „ozkidać“ widłami, skoro stleje kożuch

1) Rombooidalny kawałek pola.

2) Lécha = szerszy zagon.

3) Na Mazowsza Orka.

zimowy. Kto ma rolę w równinie nie spieszy się, bo guńj wiele traci ze swojej soczystości i dobroci; lepiej go pod grule wprost wywieźć i przyorać.

Już po kupach i walech kamieni wśród pola, uwijają się białorzyty ¹⁾ raz wraz błyskając swojemi śnieżnemi rzyciami. Po mlakach biegają pstre pieńki, ²⁾ a poderwawszy się na inne miejsce, rzucają w powietrze swoje skromne, ale przeczyste i dźwięczne nuty,—w górze wiszą dzwoniąc skowronki,—już dawno „štýrna del“ ³⁾ odśpiewał swoje: „Zdechlemu—cielęciu—nie—będzcie—niiiiie!“ tak mile, tak słodkie sercu górala, jako pierwszy śpiew zwiastujący wiosnę; po laskach zalewają się śpiewem sikorki i rozmaite drożdże: siemieniaki ⁴⁾ mazaki ⁵⁾, okóweaki ⁶⁾, cárne drożdże ⁷⁾; na niebie dzieją się dziwy: przed i za słońcem, jakby wstydliwem, za oparem, idą słonecznice świecące tęczowemi barwy, przechodzą ciepłe chuchnięcia powietrza,—a śnieg wciąż leży i leży, ale go wciąż, a wciąż mniej; aż wreszcie w 14 czasem 16 tygodniu od „Godu“ ⁸⁾ (Boże Narodzenie) przychodzi czas i rozpoczyna się orba. Nie ma tu gorętszej, naremniejszej roboty. Wszystko co żyje, wylazi w pole: dorośli kurobocie, dzieci za matkami, aż zwątrobiałe od chłodu, tak sine siedzą po bruzdach, czekając powrotu do izby. Chałupy zawarte na glucho; nikt za żadne pieniądze nie dostanie koni do wyjazdu; wszystek sprzężaj na roli; tłumaczy się to tem, że prawie każdy góral, by największy biédeusz, uboga wdowa, służąca, ma kawalek gruntu— a oczywiście nie wszyscy mają konia: niemogliby go przezimować; więc napród orzą na łeb—na szyję swoje lany, a potem wynajmują się bezkonnym sąsiadom. Niecierpliwie kobiety, wdowy, gdy czas pali, bo wiosna przyszła późna, kopią ziemię motykami. Od pary koni dziennie do orby placą 4 fl. do tego chów dla rataja i pasza dla koni; jeśli bez niczego to 5 fl.; dawniej mieli inną stałą miarę wynagrodzenia; placili tyle co kosztował korzec owsa.

Sama orba idzie zabawnie, gdy się ją porównywa z równą, spokojną wytworną robotą na równinach; tu przy czynności zajętych jest dwoje lub troje ludzi: oprócz rataja musi ktoś prowadzić, dzierząc za uzdę konia, poganiać go, lub przytrzymywać, przy tem oraniu to pod górę, to z pieca na łeb; a pług krając miłąką warstwę ziemi, a spotykając pod nią kamienie lub skále zgrzyta, wyskakuje, chwieje się jak pijak, trzęsie się kureczowo, to

¹⁾ Białorzyt = *Saxicola Oenanthe*.

²⁾ *Motacilla alba*, Pliszka.

³⁾ *Emberiza citrinella*, trznadel. ⁴⁾ *Turdus musicus*, Drozd śpiewak. ⁵⁾ *Turdus iliacus*, Drozd rdzawoboczny. ⁶⁾ *Turdus torquatus*, Drozd obróżny a. Paszkot. ⁷⁾ *Turdus merula* K. o. ⁸⁾ Najniewątpliwiej slyszalem takie wyrażenie, i to od Wojtka Rájaja; nie od Godów, bo to zwyczajna rzecz, ale od Godu.

też osobny pomocnik raz wraz wskakuje na plug i przycięża, zapobiegając wyskoczeniu. Plugów używają bardzo postępowych z wózeczkami, takich jak i gdzieś indziej w kraju, tylko bardzo ładnie ozdobionych, starannie i smacznie zfazowanych w drewnianych częściach. Nogi pluga często zakończone, jak ujęcie w pistolecie; między niemi ozdobnie zarznięta ozwórka, rozpiera jedną od drugiej; obie wdlubane do pluza, obutego w lemies (na Mazowszu żelaza), który zagina się na odkładnicę; grządziel umocowana w jednej nodze, sama wspiera się na słupicy, a utrzymuje trzósło (na Mazowszu krój); słupica dolnym końcem osadzona też w plużu.

Rolnik tutejszy zwijać się musi i dla tego, że dzięki prawu nieograniczonej swobody dzielenia, poletka bywają „potargane,” na tak bajecznie małe działki, iż zdarzają się między niemi leżące zaledwie kilkanaście metrów kwadratowych; tu ma góral ojeowiznę, tam o kilka kilometrów „babowiznę,” t. j. gazdowstwo „przyzencione,” wzięte za babą; sam znowu działkę kupioną. O bo góral cheiwy jest na grunt! i nie nie wywołuje w nim takiej ządności, jak te dobre, pulchne, bogate ziemie Krakowskie, Proszowskie, Kujawskie, które gdyby mógł, przeniósłby jak postaw płótna i opiął niemi swoje jałowe wirchły. Ta żądza ziemi sprawia, iż nieraz sprzedaje intratny dom w Zakopanem, bo nakoniec po dziesiątkach lat czekania, marzenia, zwątpień przeplatanych nadzieją, nadarza się kupić rolę sąsiadującą z jego dziedziną.

Przy częstych szarugach i chłodach, a nawet nierzadko i okurzeniu śniegiem całych wirchów będących w uprawie, w Maju i Czerweu, wzrost roślinności odbywa się bardzo powoli; świat z wiosny długo wygląda taki jakiś wyszarzady, szary, ziemia martwa i płowa, lasy rude; nawet i później dojrzewanie postępuje zwolna, a góral też nie spieszy się, bo chciałby doczekać się ziarna. We wrześniu przychodzą zbiórki, t. j. żniwa, drugi okres gorączki, szalonej praey. Skoro owies i jarzecz dojrzal, trzeba go co rychłej sprzątnąć, zanim spadnie hałny wiatr na niego; to też gdy przewidują deszcz dłuższy, lub zapowiedź wichru hałnego, powstaje tu pośpiech i ruch w robocie, niewidziany nigdzie; mężczyźni koszą, a kobiety i dzieci zbierają, wiążą, znoszą i zwożą snopki, dzień, a często przy miesiączku, i noc całą, bez wytelnienia, bez jadła, ledwie gaszą pragnienie. A im bliższy wiatr, tem robota gorętsza; przychodzą wreszeie podmuchy, a ludzie jak szaleni grabiami, rękami, zakrwawionemi palcami zgartują pokosy, sciebla owsa, wydzierając nieraz w locie z powietrza garści porwane z roli; i tak, szamocząc się, żywiol i człowiek wydzierają sobie plon lata całego.

Przy pogodzie szybko napelniają się zbożem poddasza szop i z aczynki, odgrywające rolę gumien i stodół; i zaraz u biedaków, którzy czekali na nowe zboże, rozpoczyna się młocka; u zamożniejszych młocą przez pierwsze zimowe miesiące. I młocka jest tu nieco odmienna od naszej z równin; tam gdzie dwóch

młocarzy z cepem stanie na boisku, uderzają bijakami w rozwiązane snopy, naprzemiany, kolejno, z czego powstaje miarowe: *tup-cup, tup-cup*, głuchsze gdy uderzenia padają na grubszą warstwę, lub knowia, krótsze, suchsze i jakby metalowe, gdy młocą po kłosach, lub po końcach pokładu zboża. Tu, gdyby kogo co zna obie młocki, przenieść z zawiązanemi oczami z równin, i postawić go za szopą, odrazu poznałby, że jest na Podhalu, takie jest odmienne tempo uderzeń bijaków, zazwyczaj bywa tak, że obaj młocarze, uderzając naprzemiany, dają kolejno po 2, lub po 3 silne i głośnie jak grzmot uderzenia bijakiem po zbożu, poczem idą 2—3 uderzenia cichsze; przy pierwszych, w czasie zamachu, bijak przelatuje w obrocie z lewej strony dzierżaka, przy drugich, z prawej strony, przed twarzą młocarza, co się na Mazowszu nazywa „po babsku“ i grozi obtrąceniem nosa; pierwszymi mocniejszymi razami, góral młóci, drugimi cichszymi odwraca i rozgarnia młócone zboże. Miły to obrazek ta młocka w zimowy dzień, na Podhalu. Słońce chyłkiem przekrada się nad chudym skieletem Giewonta, nad jego szyją, nad zadartą w górę brodą; niebo czyste, niebieskie, jakie tylko bywa zimą, lub latem po ulewie. Pod śnieżną okiścią śpią lasy; a cała ziemia, cała wieś, ma tylko trzy kolory: dachy, drogi, pola, wszystko co ośnieżone, jest niebieskiem.—niebieskie w nieprzeliczonych tonach—ciemno-niebieskiem w cieniu, jasno-niebieskiem w słońcu. Nie widział zimy ten, co użył o śniegu przymiotnika biały — śnieg w dzień pogodny nigdy nie jest biały. Z tej przedziwnej różnotonowej niebieszczy wyzierają tylko brązowe ściany starych budowli, pnie i konary drzew, żerdzie płotów, lub żółciuteńkie, kanarkowe ściany nowych domów: a to sąsiedztwo żółtości i niebieszczy jest tak jaskrawe, krzyżące, takie niespodziane, rażące oczy, a nowe, że napatrzyć się mu nie można. Strzechy, żerdzie otulone kożuchami, koliki w płocie w wielkich śnieżnych kolpakach, z gontów okapu wiszą lodowe gluty i kapią krople, bo jest ciepło, gorąco. I cicho, cicho, tylko zdaleka słyhać miarowe uderzenia bijaków; przez otwarte wierzeje widać młocarzy w koszulach, bez czapek, bez serdaków, z pasami spuszczonemi, jak dzierżąc cepy piorą ze wściekłością, z passją, z namiętnością, jak gdyby grzmocili po osobistym wrogu, a przysiadają aż, a nakłaniają się miarowo, a wałą, aż „mirwi“ się owsianka, aż „proch“ tumanem wypełnia całe boisko, i wylatuje na podwórze, aż końce bijaków otłukują powalę nad boiskiem, kłapiąc w dyle z głuchym łoskotem. Na oborze, t. j. na podwórzu, stoi kupa czarnego gnoju, jak kleks atramentu, wylany na śnieżny papier, a koło niej skacze gromadka głodnych wróbelków z nastroszonymi piórkami, pikocąc, smutnie do siebie, i „klująć“ (dziobiąc) ziarenka owsa znalezione w nawozie; zdala trzyma się rodzina trznadli, żółciuchnych jak cytryna, podczas gdy ostrożniejsze samee, jeszcze żółciejsze, tak żółte, że aż dziwno, że to

polski ptaszek, siedząc na samym czubku różgowatego modrzewia, cirkocąc, nawołują resztę gromady. Na przyźbie, na słońcu, stoją senne, skarwiałe kury, powtykawszy dzioby i po jednej łapie pod skrzydła, przymrużywszy powieki. A młócarze, im słońce niżej, tem z większą zaciekłością piorą owies, jakby mszcząc się za jego małą plenność.

Ach ta plenność! Jeśli ziarno da trzy, to już jest bardzo dobry rok; ale to zdarza się rzadko; jeszcze chwali sobie góral, gdy plon wynosi dwa korce z korca wysiewu; często bywa, że ile zasiał tyle zebrał, a i z tego zadowolony, jeśli ziarno dorodne, bo ma słomę w zysku, ale bywa i tak, „co brat brata nie zrodzi.“ Zwłaszcza na wysokich wierzchach, lub uboczach, gdzie śniegi późno tają, a w czerwcu lub lipcu zielony owies okurzą, gdy mało słońca latem, a częsta pluta i mgły zimne, owies wcale nie dojrzewa: siwy, rzadki, ani młody, ani stary, nierówny; jedne ściębla wybijają, drugie niziuchne przy ziemi, jedne rząsy wyrosły, mroziatę, białawe, ale ziarno w nich nigdy „nie zeźre, to nie má duse nijakiéj:“ drugie rząsy dopiero się kiszczą, ale się wykiścić nie mogą, i nigdy z liści nie wyjdą. Góral kosi i taki owies i zrzyna go na sieczkę, nie młóćąc, i to się nazywa „z całego siecka.“ A i to dobrze, bo nieraz, gdy góral wyczekując z dnia na dzień, z myślą a nuż podrośnie, a nuż wyjrzy słonko, odwłóczy sprzęt, naraz w nocy zwali śnieg i przysypie niedobitki.

Omlócone ziarno, czyści się albo z gruba wiejąc wiejadlnią, czyli siedlacką, drewnianą wklęsłą lopatką na krótkim trzonku (ta różnica od szufli na Mazowszu), albo jeśli ma iść na chleb i strawę dla ludzi, cudzą go na przetakach, recicują na recicach, a czyste ziarno zesypują do sąsieków, stojących na poddaszu i po wyżkach. Słoma, tak zwana owsianka, aromatyczna, pomieszana z trawą i kwieciem, służy na wyborną karm dla statku; lecz nie idą na marne nawet obłamki słomy, odgrabki, i kłosa¹⁾; zmieszane ze sieczką, idą na pokarm dla owiec. Z młocką góral spieszy się, bo dużą szkodę sprawiają myszy, które na zimę ściągają do szopy.

Co do ziemniaków, tej drugiej podwaliny górala, jeśli rok dobry, t. j. ciepły i słoneczny, suchy, to z korca będzie i 20 korcy, i to dobrych, kruchych; kopią je późno, w październiku, nieraz z pod śniegu, lub też przeczekawszy aż pierwszy śnieg przetaje. W mokre lata gruli mało i są liche dębowate, jak rzepa.

Gdy góral ma dwa gazdowstwa, wymłóci owies, spasię owsiankę i siano na jednej „dzierżawie,“ jak nazywa, poczem w lutym, w marcu,

¹⁾ Zdziwiło mnie to niepomiernie, że ten wyraz, używany w botanice, usłyszałem w uściech ludu, który rozumie pod niem kolanek żdziebla.

obrawszy ciepły dzionek, z dziećmi, krówkami, konikami. kierdelkiem owiec. z jagniętami za pazuchą. i całą gawiedzią. przenosi się na drugą dzierzawę, czasem do innej wsi, w której zimuje przez pozostałą część zimy.

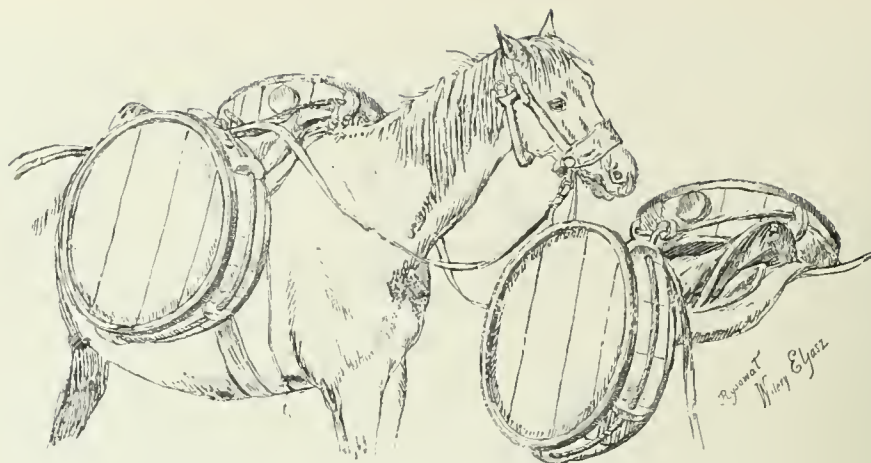
Siano stanowi przedmiot szczególnego starania dla tutejszego mieszkańca, na niem bowiem opiera się możność utrzymania żywego statku, który zapewnia istnienie, bo bez tej paszy niema krowy, niema mleka, zimą niema przychówku, niema nawozu, niema urodzaju. Zapuszcza więc trawę na oborze, nawozi lepsze łąki, tak w połu, jak i na polanach w górach, a gdy przyjdzie pora, wysiekuje starannie nietylko łąki, ale brzeżki, miedze, przydrożki, rąbaniska w lesie, słowem, gdzie tylko przyroda rzuciła kępkę zieleni. Siano to doskonale, pierwszej dobroci, wonne jak najwyborniejsze perfumy, zielone jak ruta, dobre, soczyste i tuczne. Gdy przyjdzie czas kośby, przy pięknej pogodzie, ta góraska kraina zamienia się w raj ziemski, taki tu zapach w powietrzu; starannie, po rosie, tnie góral z namaszczeniem trawę, ze zręcznością, wprawą i biegłością, z jakich w tej czynności słyną na równinach tutejsi mieszkańcy. Właściwie to nie kośba, ale golenie, tak nisko przy samej ziemi umie ciąć góral; dość powiedzieć, że po młakach umie wykaszać mech. Na lekkim drewnianem kosisku osadzona ostra, styryjska kosa, oraz tak zwany słupek, opatrzony ząbcami, które przyjmują na się pokos zboża: żeby się nie odginały trzyma je poprątek. Ujawszy jedną ręką za kosisko, drugą za rączkę, kusy zagięty koleczek, wprawiony w kosisko, góral macha kosą z przejęciem, tak jak robić zwykł wszystko, gdy się do czego weźmie z ochotą. Do koszenia trawy oczywiście niepotrzebne ząbce. Nie widziałem zdobionego kosiska; natomiast na Tabl. XXXIX, rys. 2 i 3, czytelnik znajdzie dwie ryzowane kózki, t. j. pochewki drewniane, które nawleka się lub zaczepia za pas; w kózce siedzi brusek, do ostrzenia kosy, nadto ma kosiarz przy sobie babkę żelazną i młotek do poklepywania kosy, gdy stępuje.

Najlepsze siano pochodzi z wczesnego koszenia na oborach i ogrodach koło domu, najczęściej bywa spasanem za świeża; dalej mładz, zwany na równinach okolicami potraw, lub otawa; liehe siano zbierają z młak, gdzie dużo sywaru, kwaśnej trawy (*carex*); pokosy tu sute, ale po wyschnięciu bardzo się zmniejszają na objętości; zdziebla trawy kručze, a do tego spodem zajmuje kosa i mech; najgorsze daje t. zw. psiarka, trawa sucha, twarda. rosnąca kępkami na najjałowszych wierzchach. Gdy obawa deszczu, lub siano skoszone na młace, lub po deszczach, gdy murawa mokra, wbijają w ziemię ostrewki t. j. młode suche, rozsochate smreczki, na które nakładają skoszone i przeschłe z gruba siano; schmie ono na takich stalugach

piorunem; a ułożony stożek nazywa się kopą; jeżeli siano zgrabione na małe kupki bez ostrewki w środku, to zowią je cuporkami, lub klapniakami. Nigdzie chyba nie umieją robić tak zgrabnych i leciuchnych grabi; grabisko z cienkiej, śmigłej jodelki, wytrzymałe, cieniutkie, a długie; ząbki gęste jak w grzebieniu, nie ominą i jednego skoszonego zdzielka trawy; jaworowa osada bywa czasami rzeźbiona, jak tego przykład widać na Tabl. XLI, rys. 1, gdzie ozdoby godne są uwagi nie tyle dla swego wykończenia, ile dla bogactwa odmian jednego motywu.

Po uschnięciu znoszą siano brzemionami (tłomok), lub zwożą na wózkach i chowają na poddasza w zacząynki, lub gdy gazda posiada kilka domów, na poddasze domu niezamieszkałego, albo niewynajmowanego latem; składa się je tam przez t. z. węglent, t. j. otwór robiony *ex tempore* w dachu przez oderwanie i uchYLENIE do góry kilku desek strzechy w szczycie domu: wóz podjeżdża pod samą strzechę, i najwygodniej w świetle podaje siano jedna osoba na wozie przez węglent, drugiej osobie odbierającej je na poddaszu. Siano jest tak wonne, iż w izbie pod niem spać trudno bez bólu głowy.





Ryc. 129. Koń dźwigający obońki i sposób przytwierdzenia ich do siodła.

Pasterstwo.

Nazwa ta przywodzi na myśl zamierchle czasy starożytności, i najpiękniejsze, największe obrazy jakie człowiek wyrzył w swojej literaturze, których niezatarte wspomnienie trwa przez życie całe od lat dziecięcych, gdy opisy padaly na soczyste, migotliwe wyobrażenie, aż do starości, gdy skostniały mózg przestaje przyjmować świeże wrażenia; te wspaniałe obrazy nomadów włóczących się w zajordańskiej krainie, po międzyrzeczu chaldejskiem, te złote sny i marzenia w głowach spozywających na podłożonym kamieniu, te stada owiec i kóz, trzody bydła, zastępy osłów i wielbłądów, ze skotarzami w oświetleniu palącego słońca, w obramieniu sklepu niebios, wspierającego się na krańcach ziemi, miejsca i kamienie święte, wyschle studnie, zawodzące nadzieję pasterzy, umierające z pragnienia niewolnice z dziećmi,—urastają w wyobraźni do wielkości, przerastającej wspaniałością, powagą, nastrojem, rozmachem, drobiazgowo obrazy Homera; wielki duch semicki, poważny i sędziwy spogląda na nie jak na młodociane, junackie zapasy.

Tu inne są warunki; inne pasterstwo; podobieństwo zapewne odnaleźćby można u górali Afganistanu, Hindukuszu i wyżyn środkowej Azji, nie tak to wielkie i wspaniałe, ale piękne, pełne ciekawości, starych form bytowych, które magnetycznie pociągają, jak wszystko co dawne, przepadające. My ludzie cywilizowani, ludzie miast wielkich, ze starymi mózgami, przez które szła młocka przymusowej nauki w ciągu jakich piętnastu lat, które mięły i miętosily wszelkie możliwe idee, teorje,—mózgi otrzaskane wśród ściśniętych w kilka tomów wypadków dziejowych, wytarte wśród znanych i rachunkiem prawdopodobieństwa pomyślanych wydarzeń, wyzute z siły odczuwania niespodzianek i rzeczy nowych — my nie jesteśmy w stanie odczuć wrażeń tych prostych dusz, dla których wprzód przychodzą wypadki i wraże-

nia, a po nich dopiero wiedza i świadomość. Do tego niezależność pieniężna odcina nam możliwość postawienia się w warunkach odczucia tego, co odczuwają ci ludzie, w których być dopiero wmyśleć się trzeba, aby sobie uświadomić choć w części ich stany duszne. Trzeba wyobrazić sobie tę straszną, surową i długą zimę, długą, długą bez końca! Już na Matkę Boską Żabieczną—(na Mazowszu Zagrzewną) pod tchnieniem gorącego halnego wiatru, tają śniegi, kolejami dróg, stokami wierzchów, lecą wesole wiosenne wody, z miłym, pełnym otuchy szelestem; już po miejscach pod południe, od dawna potworzyły się kápliny—przetainy w śniegu; pod każdym samotnym świerkiem lub jałowcem, czernieje łysina; lasy i dąbrowy pełne życia i śpiewu ptactwa; ale wiosna, skrobiąc się na te wyżyny, zwolna idzie i raz w raz poślizguje się i opada: przypadają kurniawice niespodziane, zacinają marcowe siekawice krup, wyją wichry i odwlekają z tygodnia na tydzień upragnione ciepło. I już od dawna na dolinach zielenią się obory, młaki i pasieki, kwitnie kwiecie, już nawet smrekki rude po śnie zimowym, zrzucają stare i puszczejają nowe igielki, pukają nieskore jawory i buki, ukazują się czerwone mąjki na smerekach, luszczejają i puszczejają czerwony kurz w powietrze za lada podmuchem wiatru, a w górach, nawet w reglach, leżą i leżą śniegi, zeczerniale, dziurkowane i nasiąkłe wodą, ale leżą. A tu kończą się wszelkie zapasy żywności, statek dostaje zmniejszone porcje paszy; góral liczy z bijącym sercem „ściebła“ owsianki, która jeszcze w szopie; przednówek, ciężki dla ludzi wszędzie, tu najcięższy. Ludzie bladzi, zzielenieli od puku i zaduchu półrocznego, wycieńczeni brakiem powietrza i strawy, tygodniami oszukują swoje żołądki, nieprzyswajalną strawą. Bydłu w szopie zawartemu cni się; skucą krówki czując wiosnę, wietrząc świeżą trawę; wciągając nozdrzami wonne oddechy powietrza, wyzierając szparą na wspaniałe dnie majowe, wielkie, długie i jasne, porykują za swobodą, z niechęcią mierzając stare, zleżale słomsko, myszami trącające. A wiosna się nie śpieszy. Oddawna już zielone wierzby ponad młakami, ale ostrożne jasiony ledwie porzuciły z pączków zimowe twarde łuseczki, a modrzewie jeszcze wciąż różgowate, martwe, sterczą w modre niebo. Po wszystkich źlebach leżą całe zagony śniegu; w zacienionych zaułkach bieleją całe pola śniegowe; a nawet odkryte czuby, jak Czerwone Wirchy, przy obniżeniu się słońca pod zachód, lub o wschodzie przy stycznych promieniach, lśnią i błyszczą jak obłukrowane baby, tak powleczone są lodową skarłupą, natrzęsającą się z majowego słońca.

Ale nakoniec wybiła godzina; zjawia się mały nieznaczny obłoczek, jasny, na przeczystem niebie, nad Czerwonym Wirchem; jak ślimak pełźnie na niebiosa i rozplywa w ich przezroczu; za nim drugi; zwolna, niewiadomo z kąd i jak, przy najpiękniejszej pogodzie bez wiatru, powstaje wał chmur

na grzbiecie Tatr; jak wielka gąsienica pelźnie wciąż po wirkach, po grani, z zachodu na wschód; brzuchem porusza się, kotłuje, oblepia szczyty, a z grzbietu odrywają się kłaczki obłoczne, jak kosmyki runa owczego na cyrznii, lecą w dół z Giewontu na łeb na szyję, podrywają się, dźwigają chutko, ulatują w błękity i rozpuszczają jak płatki śniegu w gorącej wodzie— w te pędy, w oocemgnieniu. Nakoniec dolatuje pierwszy leciuchny oddech do Zakopanego i umiera, jak dech zemdlalego człowieka; za chwilę wtóry mocniejszy, trzeci mocniejszy, i tak jeden za drugim, — a po każdym tylko mogilna cisza, i gorąco dławiące ołowiem cięży nad doliną, tylko dolatuje jakby daleki szelest tysiąca skrzydeł, lub szum potoku. A wał chmur coraz grubieje i rośnie; już wygląda jak ołowiany łańcuch gór, siadły okrakiem na graniach i turniach, lecz ruchomy, mieniący się, jedzie z Zachodu na Wschód, to znowu z drugiego końca zdaje się, iż jedzie na odwrót ku Zachodowi; a sam grzbiet jak wielki balwan na oceanie, zadziorny, rozchlestanty, pryskający wielkimi zadziorami w górę i na wschód. I tak się kotłuje w tem czarnem cielsku dzień cały, gdy reszta nieba najcudowniejszej niebieszczy, i pogoda śmieje się nad krajem. Aż nakoniec pod wieczór, gdy słońce roztapia się w złotej łunie nad Osobitą, przychodzi nie podmuch, ale z rykiem i wyciem wielki szturchaniec na dolinę; i naraz zjawia się dziwny obraz, zdaje się, że zmienił się kierunek siły przyciągania: wszystko pionowe nachyliło się; ugięły się stare pnie jaworów i brzośców, czarne gałęzie smreków przegięły się prawie wszystkie w jedną stronę, naklonił czub ciemny lasu, a wszystko się szamoce, gnie, pasuje, jak człowiek machający rękami w rozpacz; klapnęły drzwi i okiennice, jęknęły w węglach domy, ulżyło zda się podwalinom, bo wiatr ujął i dźwignął budowlą; mieszkańcy wałą na dachy żerdzie i skole; z potoku rwie wicher wodę i chlapie na drogę. Nieraz cisza jak uciął siekierą; dom będący w lewitacji spirytystycznej osiadł węglem na podwalinie, stęknąłszy jak człowiek ze złamanem żebrem przy wdechu; zakolęchały się dźwiérze i okiennice, sprościły pnie drzew, wróciły na swoje miejsce konarze smreków: i slychać tylko dudnienie i szum jakby tysiąca fal morskich, i narzekanie wzburzonego potoku, i widać grzywę bestji czarnej czolągającej granią Tatr, jeszcze bardziej rozczochraną, rozwianą w wielkie kudły, zwiane w górę i na wschód, w wielkiem szamotaniu i miotaniu obrywane co chwila, a strzepy lecą w górę i toną jak wata higroskopijna w wodzie, niksząc bez śladu. Zapadł mrok nocny; duchnięcia i szturchaniec przychodzą coraz częściej i trwają dłużej; świat cały wpadł w konwulsje nierówne¹⁾;

¹⁾ Tutejsza nazwa na wielką chorobę (Epilepsja).

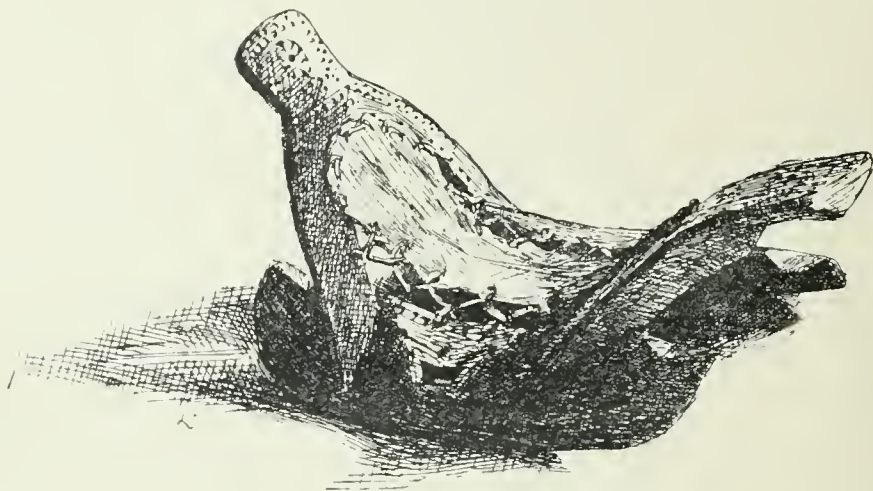
ga zdrowie nie rozbierają się do snu: baby nie warzą wiecerzy, krowy i owce niespokojne, stłoczone na środku szopy. Bo wiatr halny to nie przelewki. Na Gładkiej przesunął cały dom o parę stajań; na Karpielówce dźwignął licową ścianę tak, że wylękli mieszkańcy, z duszą na ramieniu, szparą pod spodkiem ujrzeli podwórze; to znowu zdjął dach z izby i prasnął o ziem, zostawiając ludzi w łózkach pod golem niebem; to rozdarszy ścianę szopy, część górną dźwignął; trzeba trafu, że koń przez szpare wyścibił łeb; wicher szparę zawarł ścianą, jak olbrzymią żuchwą i odkrajał głowę koniowi. Lecz choć w trwodze, każdy cieszy się z wiatru, on otwiera na ścieżaj wierzeje ciepła. Czego słońce nie mogło dokonać tygodniami, ten gorący oddech dokaże w ciągu jednej nocy: i oto zrana już widać, że poginęły lukry lodowe na wirchach, przetajały zaspę po źlebach, — a popęczniały potoki. Stara baśń ludowa o mocy trzech potęg: Słońca, Mrozu, i Wiatru, z pomiędzy których miał chłop oddać się najmocniejszemu, okazuje się prawdziwą: wiatr przewział wszystko; reszty dokonało ezerwcowe słońce.

Puściły się trawy po zboczach, zazieleniły upłazy, zajusyły obory¹⁾. I przyszła wreszcie utęskniona chwila pochodu „do ul” (tak brzmi w wymowie „do hál“). Bywa to najczęściej w 24-tym tygodniu od Gód t. j. Bożego Narodzenia;—czasami wcześniej, czasami później, zależy od tego, jak wcześnie zrobi się ciepło i porośnie trawa.

Obrany bacia, znany we wsi gazda, sam posiadający dzierzawę i statek, dobiera sobie juhásów, młodych parobczaków, już obeznanych z hálami i pasterstwem na nich. W oznaczony dzień—bywa nim każdy dzień powszedni w tygodniu, byle nie piątek, bo to nieszczęście przynosi, krowa nogę złamie, owca się straci, i nie w sobotę, bo już za mało czasu przed niedzielą do rozgospodarowania się,—bacia idzie przez wieś, pędząc swój kierdelek, rosnały przed każdą chalupą: juhási chodzą po oddalonych zagrodach, po polanach i zeną owce ku głównemu kierdelowi. Każdy gazda przed wypędzeniem owiec ze swojej obory, pokropi je święconą wodą, którą zaczerpnął w babińcu, i okadzi święconém ziele. zachowanem od dnia M. B. Zielnej. Każdy też zawczasu w Wielki Piątek poznał swoje owieczki; znakuje się „jako fto kee“; pojedni nożycami ucho przestrzygą; drudzy upalą kawałek żelaza, zaś podłożą pod ucho falatek drzewa i dziurę wyżegą; inni krzyż wypalą; to znowu ogon ustrygą, a inni zasię na szyję taśmę zawiążą i t. d. Zwolna kierdel rośnie, idą owce białe, siwe, czarne, okaiste (czarne pod oczami), siute v. eu'e, (bezrogie), kurnute, na końcu zamykają pochód juhási, koń jeden lub dwa, objuczone

¹⁾ Rozrosły bujnie na podwórzach.

naczyniami do mleka, krugami soli, policami i t. p., rupieciami potrzebni do życia w ciągu dwóch miesięcy pobytu w górach, psy pasterskie wesolo merdające ogonami. kózy, które rade za owcami dają, a na przedzie całej tej pstrokatej i różnorodnej gromady kroczy bacia, postać odrębna, oryginalna: twarz wygolona, jak Witkiewicz powiada, mająca coś owczego



Ryc. 130. *Siodło.* (rys. p. W. Zaborowskiego)

w swoich rysach, okolona włosami w czarne wytłuszczone strączki, spadające na kark; koszula spięta jedną spinką pod brodą, drugą zdobniejszą na pierśiach; mimo to przez rozpór widać czarną skucinę (włosy) na mostku; na brzuchu potężny opasek, wytłaczany wzorzysto, błyszczący mosiężnymi sprzączkami, szeroki z przodu jak tarcza; górale utrzymują, iż w takim opasku zdrowiej, podpira bowiem trzewa w brzuchu i wzmacnia lędźwie; z przodu jest w nim torebka, w niej siaki-taki pieniądz, miechur z habryką, fajeczką, nóż, szydło do szycia, kiérbee i t. p. (por. ryc. 91, str. 49).

Cała ta ogromna, gromada urosła do czterystu, do siedmiuset sztuk, pcha się ulicą między domami, zmierza drogą ku dolinie, którą trzeba wstąpić na hálę, na której do pasania, raz na zawsze, dana wieś posiada prawo. Czasami mieszkańcy jednej lub kilku wsi wydzierżawiają pastwiska na háli, na Orawie, gdzie cieplej dzięki lepszemu zasłonięciu górami i przyjemniejszej wystawie ku słońcu, a skutkiem tego trawy sutsze, paszy więcej.

Drożyną leśną, pérciami, lożyskiem potoku, brnąc po wodzie, trzoda podnosi się wyżej, a wyżej; przedziera się przez pas lasów, wskrabuje po stromych stokach, póki nakoniec nie stanie u celu; do okola starego szalasu, siedziby letniej lońskiego roku i lat poprzednich.

Szalas, jest najprostsza budowla: czworogran z okrągłych bierwion w węgiel, z niskim zrębem, nakrytym niewysoką strzechą, bez podłogi i powaly; drzwi niskie, a miasto okien przeziory (szpary) pomiędzy bierwionami; na deskach dachu żerdzie w poprzek desek i rzędy kamieni, zabezpieczające przeciw wiatrom. „Szalas zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z odartym dachem. Czarne, zakopcone wewnątrz, zasypywane śniegiem, zieje wilgocią i stęchlizną; przeszloroczny popiół i węgle z watry, z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź, pasąc się na szalasku, zazierał swoim czarnym ślępkiem przez szpary: jacy tu źli ludzie, albo też samo „złe“ siadywało w tej pustce! To też bacia, wchodząc do pustego szalasu mówi:



Ryc. 130. Szalas. (rys. p. S. Witkiewicza).

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Tak opisuje przybycie do szalasu Witkiewicz w swojej niezrównanej książce ¹⁾, gdzie mistrzostwo literackie łączy się ze ścisłością naukowego opisu, który sprawia, iż dzieło jego jest jedną z najlepszych prac w zakresie naszego folkloru. By to „złe“ odegnać, a śladom jego odebrać skuteczność, bacia obnaża głowę, żegna się, a wszedłszy do szalasu z węglami na kamieniu, sypie święcone ziele na węgle i obchodzi szalas potrzykroć w kierunku, w jakim słoneczko świat obiega; poczem węgle z zieleń rzuca przed strągę,—zagrodę dla owiec. Zakłada się dziury w strzesze, wymiata szalas, rozmieszcza przywiezione sprzęty; w jednym rogu szalasu na ziemi lub na skrzyżali zaniecają watrę, t. j. ogień, nad którym w poprzek budynku idzie żerdka do zawieszania kotlika, w celu obwarzania mleka. Pod jedną ścianą stoi podysár ²⁾, t. j. police do stawiania mleczywa, do składania sérów gotowych, do naczyń i sprzętów drobniejszych. Gdzieś w rogu stoi drewniane wyrko dla bacy: juhasi, a często i sam bacia sypiają na golutkiej ziemi. Ponad ścianami stoją: puciera—wielka drewniana

¹⁾ Na przelęczy str. 84.

²⁾ Półka do sera (pod ser).

dzieża, gielety, — drewniane niby wiaderka z bednarek, t. j. klepek, z pałąkiem do trzymania; gieleta tem się różni od wiaderka, że bednarki po jednej stronie pałaka są wyższe, niż po drugiej; tą niższą stroną podsadza juhas gielete pod wymiona owcy, dzierżąc drugą, wyższą między kolanami; gieleta bowiem na hali zastępuje skopiec; dalej są rajtoki na wodę, dzieże (drewniane, nie jak u nas gliniane), obońki, płaskie, bardzo niskie beczulki z bednarek (klepek) niskich, wśród których jedna, gruba, posiada ucho, za które obońkę przytracza się do siodła na koniu; codzien pocziwe, a mądre konisko, przebierając kopytami po stromej piardżystej pereci, często nad brzegiem przepaści, ostrożnie znosi na grzbiecie dwie obońki po bokach z krowiem mlekiem z hali na równiny, dźwigając, gdzie lepsza droga jeszcze w dodatku juhaskę (ryc. 129, str. 116). Wyobrażenie zwykłej obońki znajdzie czytelnik na ryc. 113, na str. 75. Na jej podobieństwo atoli wyrabiano i maleńkie obonieczki, misternej roboty, z dębowych klepeczek, pięknie zdobione, oraz beczulusie miniaturowe, na wódkę i wino.

Na Tabl. XXXVI, narysowanej przez p. Witkiewicza z wiernością fotograficzną, czytelnik znajdzie rozmaite obońki i beczuleczki przeróżnych wielkości, kształtu i zdobienia. Jedna z nich zwłaszcza, swoim wiekiem (r. 1813), zasługuje na odznaczenie; jest już blizką rozsypania się w próchno. Każda z nich posiada jedną bednarkę, t. j. klepeczkę, grubszą, a w niej dziurę szpuntową. Od tych oboniek bednarkowych odróżnić należy obońki mosurowe, wydłubane z jednej sztuki jaworu, toczne, ażeby stały opatrzone czterema nóżkami; są one przeważnie liptowskiej roboty, ale często używane i przez naszych górali i dlatego znalazły tu uwzględnienie. Jedną z nich, typową, widać na tejże tablicy w ostatnim rzędzie u dołu, w środku.

Po trzech dniach schodzą się na hali gazdowie, właściciele owiec powierzonych bacy na latowisko, do miry¹⁾. Przez cały dzień dozierają owiec swoich wraz z juhasami, jako się pasą, jaka trawa na hali, poczem w godzinie dojby każdy doi swoje: kto ma kilka owiec, to do gielety, kto biedactwo jedną, lub dwie tylko, to do ezerpaka, poczem każdy z udojem przychodzi do bacy, a ten zamiruje ilość mleka w ten sposób, że bierze patyczek, zagraża go w mleku, i pokąd się zamrzy, tam zarzyna wrębę, znaczek, na zamirku, t. j. owym patyczku, poczem rozszezepia go na dwie seelinki²⁾, z których jedną zachowuje przy sobie, drugą oddaje gazdzie. Zysk owcarowania polega na tem, że przy końcu lata zjawiają się gazdowie po dochód od swoich owiec w kształcie séra, przyczem bacia leje

¹⁾ W książce „*Na przelęczu*“ błędnie wydrukowano do miru (str. 85).

²⁾ Seelina, t. j. szzelina na Podhalu nigdy = Szpara, zawsze cienkie odłupane drewnienko.

do gielety (lub czerpaka) tyle wody, żeby zamirek zagrażył się po ową wrębę, po znaczek: bacia dobywa seelinkę swoją, gaza swoją, sprawdzają ilość; wtedy bacia leje do kotlika zawieszzonego na wadze ową odmierzoną ilość wody, tyle razy, ile tygodni owce pasły się na hali, a na drugiej szali wagi kładzie równoważną tej wodzie ilość sera. Ten sér — to właśnie dochód gazdy od swoich owiec, i mówi się technicznym terminem: taki — i taki dostał sera „za sześć wód“, „za siedem wód“ i t. d. Jest to sposób przyjęty od wieków. Wszystko co owce wydały ponad tę ilość, stanowi dochód i beneficjum bacy. Aby go umniejszyć, gazdowie przed oddaniem owiec na halę, tego je pasą owsem, sianem. „zeby dobrze mirowały,“ a bacia ze swojej strony broni się, i dlatego to owce muszą trzy dni paść się po halach, zanim przyjdzie mira. Tego uroczystego dnia wszystko mleko z całego udoju zlewa bacia do kotła, podda kłagu, zawarzy, zamiesza, poczem zagrażywszy żylastą rękę, obrosłą skuciną (włosami) w śnieżny płyn, wyławia serzeń, i równo obdziela wszystkich gazdów, bez względu na ilość owiec, ugaszczając ich w ten sposób świeżym serem, który spożywają, popijając zaraz świeżą żętycą.

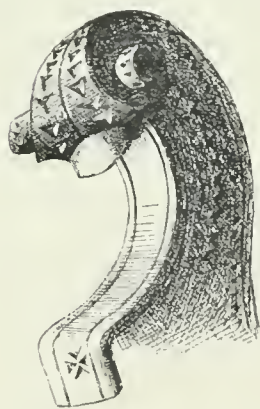
Odtąd jednostajnie płynie życie na hali, przerywane tylko wypadkami. Co dzień rano, w południe i wieczór juhasi doją owce do gielety, i zanoszą mleko bacy do szalasu; bacia bierze wypraną satę, t. j. pawęczkę płócienną, rozpościera nad pucierą, kładzie na niej na krzyż „bazicki,“ święcone w Kwietnią Niedzielę, oraz krzyżyk z dwóch cetynek, t. j. igielek smreka, zlepionych woskiem odedlubanym z Wielkanocnego paschału ¹⁾, to nakrywa drugą satą, której brzegi przewieszają się przez krawędź pucier, zakłada obrączkę, aby przy cedzeniu saty nie spadły do naczynia, a zarazem, aby ich niepotrzeba było dzierżeć rękoma, i dopiero wylewa na saty przynoszone w gieletach mleko, które się cedzi. Święcone krzyże bronią ode złego, czynią mleko zdrowem, zapobiegają czarom, które zawistny człowiek mógłby rzucić na owce, żeby przestały dawać mleko i t. p. Precedzone mleko czerpakiem leje bacia z pucier do kotlika, poddaje kłagu, t. j. podpuszczki z cielecego żołądka, i zlekka zawarzuje; wnet mleko się kłagá, wypływa serzeń na wierzch, a za każdym zamieszaniem wielką łyżką, warząchwią, wydobywa go się coraz więcej. Warząchwią lub też garścią wyławia śnieżystą bryłę sera i kładzie na satach na podysárze, gdzie zwolna ocieka z serwatki, w kotliku pozostaje żętyca, w której pływają gęsto mnogie krupy sera; studzą ją i piją czerpakami, i ta jest doskonałą

¹⁾ Wielka świeca woskowa z pięciu ziarnami (*granula*), w kształcie kulek, przyklepionymi do niej.

i pożywną, bo zawiera wiele twarogu i tłuszczu i zowie się hurdą; jeśli ją precedzić dokładnie, lub jeśli zebrać. „spie” z wierzchu, to pozostanie płyn wielce ubogi, zwarnica, którą pasą psy i karmią wieprzaka, przebywającego również na hali.

Mleczywo i jego przetwory stanowią utrzymanie i zarobek pasterzy; bacia wynagradza niemi juhasów, z których każdy dostaje chów (wikt), i zapłatę; pierwszy składa się przez cały, całusieńki pobyt na hali z żętycy lepszej, której każdy juhas pije na śniadanie, południe i wieczere tyle, ile chce, zazwyczaj dwa czerpaki, oraz séra świeżutko z kotlika wyjętego; taki sér zowie się słodkim, a już po odciknięciu serwatki od drugiego dnia jest kwaśnym; otóż tego słodkiego séra dostaje juhas kranję. Zapłatę stanowią dwa oscępki sera na dzień. Bacia żywi się tak samo jak juhasi; a nadmiar sera, co zbędzie po oddaniu oznaczonej ilości gazdom i juhasom, oraz ukarmienie wieprzaka, czynią jego dochód czysty. Bacia i juhasi spieniężają swój sér (oscępki), pieniądz zdobyty w ten sposób zachowują, ledwie za siaki—taki grosik kupiwszy sobie hawryki (tytoniu), pozwalając sobie tej jedynej przyjemności zbytłownej.

Do ezerpania mleka służą cerpáki; jeden z nich wyobrażony na Tabl. XLIV, są to kubki toezone z jaworn, których denko jest sztucznie white w odpowiednią wrębę, a rączka zawsze przyprawiona w jeden i ten sam typowy sposób, a mianowicie: brzeg rączki wpasowyywa się w rowek na czerpaku; ząbek zachacza się za krawędź tegoż, a dolną, wążką część obejmuje obręcz drewniana, jedyna czerpaka, opasująca spód takowego. Rączka bywa bardzo ozdobbnie wyrzezaną i ryzowaną; czytelnik znajdzie 14 rysunków rozmaitych rękojeści od czerpaków na Tabl. XLIV i XLV; jest tam rączka w kształcie kapliczki, to niby znowu w postaci lba koguciego z grzebieniem, lub niby psa, lecz szczególniej piękna jest jedna ze skrętami, w ślimacznice, na kształt rogów plemienia, t. j. barana—tryka; jedna rączka z najpiękniejszymi zawojami wyobrażona tu osobno na ryc. 131 i 132.



Ryc. 131.



Ryc. 132.

Rączki od czerpaków.

Na czerpakach często spotyka się niespodziany krzyżyk (np. na ryc. 131).

Sér słodki ociękly z serwatki, bacia wygniata w dloniach, mnie i wkłada w formy drewniane, jaworowe, trojakięgo kształtu. Jedne są postaci ser-

cowatej, ryzowane w środku w rozmaite wzory, i nazywają się parzenicami; one to narzuciły swoje nazwisko pewnemu ornamentowi bardzo rozpowszechnionemu; włożony sér w parzenicę przykrywa się szczelnie wieczkiem także ryzowanym. przyciska i zostawia aż do obeschnięcia. Patrz Tablice XLVI, XLVII, XLVIII. Czasami bywa wyrzowaną i zewnętrzną powierzchnią parzenicy.

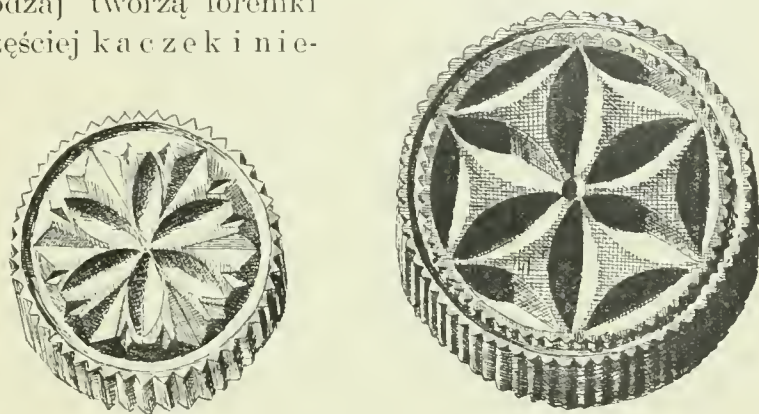
Drugi rodzaj stanowią oscypki (t. j. rozczepki), cylindryczne foremki rozczepiające się na dwie łupiny, w środku oryginalnie i bardzo ozdobnie ryzowane w kozę, w skiby i t. d. przykłady znajdzie czytelnik na tablicach XLIX i L. Nakładszy séra do oscypka, zamyka bacia oba otwory końcowe ryzowanymi denczkami (ryc. 133 i 134) i ściśle obwiązuje szpagatem; po obeschnięciu wyjmuje się łatwo sérek zowiący się także oscypkiem.

Trzeci nakoniec rodzaj tworzą foremki w kształcie zwierząt najczęściej kaczek i niedźwiedzi, wydłubane w jaworowym drzewie, grubej roboty. Foremkę taką z kacką widać na ryc. 90, str. 47, ob. też ryc. 88 i 89 na str. 44.

Góral lubi żeby wszystko, co go otacza, było zdobne, nie zostawił więc bez upiększenia, i warząchwie do mieszania w kotliku mle-

ka i do wylawiania séra; trzonki są ładnie wystrugane niby naksztalt blanków fortecznych. Dwie warząchwie, z których jedna w dodatku ryzowana, obie wdzięcznego pokroju, wpadającego w oko, wyobrażone są na Tab. XXXV.

Opodal szalasu stoi ogrodzenie, opasane wysokim płotem, zwane kosár, w którym owce nocują; część zagrody, oddzielona od reszty, zwana strągą, służy do dojenia owiec; hanielnik, t. j. pacholek, napędza owce z kosára do strągi przez okiennice, a tam juhasi, usiadłszy na siedáku, kawalku pnia, i podetknąwszy gielety pod wymiona doją na duch jedną po drugiej; robota to niemała wydoić kilkaset, do tysiąca owiec trzy razy na dzień; „ku każdej setce“ jest jeden mniej więcej juhás; wydojone owce zostają sobie już w strądze. Co rok przewożą kosár gdzie indziej, aby w ten sposób halę wykosárzyć, t. j. wygnoić: na tem bo-



Ryc. 133.

Denczka „oscypek.“

Ryc. 134.

wiem miejscu, gdzie stały owce, na kosárzysku, puszcza się na drugi rok bujna i bogata trawa z grubemi parzętami ¹⁾; oczywiście, że na nowem miejscu istnieje drugi szalas: czasami bywa na hali trzy i cztery szalasy, w których kolejno łątują. Oprócz tej dalszej przeprowadzki, co trzy, co cztery, a gdy lejba to i co dwa dni, przesuują kosár z miejsca na miejsce naokolo szalasu, owce bowiem, stojąc czas jakiś na jednym i tem samym miejscu, bardzo trawę wydepcą. Takie przesuwanie kosáru nie jest trudnem, ogrodzenie bowiem stanowi nie zwyczajny płot z żerdzi, w któryby owce raz w raz łąy wrażały i dusiły się, lecz grabiny, lub plecionki, t. j. przenośne płoty—złożone z dwóch żerdzi z powiertanemi w nich dość gęsto szczeblami.

Nastaje wielkie lato. Skoro świt, jeszcze nie zbladła piękna zárnic-ka ²⁾, jeszcze ledwie jarzębacieje w dali, wre i kipi na szalacie życie: hanielnik zenie owce do okiennicy; w strądze uwijają się rażno juhasi, miętosząc wymiona owiec; bucha jasna watra w szalacie, paruje z kotlika, dymi się przez szpary w dachu, owce kręcą się, szcękają dzwonkami, tym osobliwym głuchym, jęklwym odglosem, który tonie w przeczystem, chłodnem powietrzu porannem. Ostatnie partje podojone, juhasi opiei żętycą jak bąki, z oblakiem ³⁾ lub ciupagą w garści, z kudłatym mądrym psem za chorążego, zeną każdy swój kierdel. Zrazu szare, potem perłowe niebo jaśniej coraz bardziej, różowieje; gdzieś w toni głębin atmosfery zapala się zablakany obłoczek ochrowym ogniem; na wschodzie palą się ranne zorze; coraz jaśniej, jaśniej, aż wreszcie na szarą, jakby oksydowaną turnię, gdzieś wysoko tryska snop promieni słonecznych, przez jakąś szczyrbinę w grani, wyzlaca ją, gdy doliny, jak głębokie komory drzemią jeszcze w błękitnym mroku nocy. Posuwają się owce niewidzialnie, krok za krokiem, niedostrzegalnie prawie, gdyby tego pochodu i ruchu postępowego nie zdradzały dzwonki, które zbércają raz poraz. Kto nigdy nie wdarł się na szczyt alpejski, nie lizal śniegu z nad linii śniegowej, nie rwał i nie wachał niezapominajek, i innych kwiatyszków rosnących obok lodu, wśród okruchów żwirowatych, nie oddychał tem powietrzem orzeźwiającem, nie spoglądał na świat z wysoka, nie gonil lecących cieniów obłocznych po dolinaach, nie marzył sam wśród want granitowych,—ten marnie przeżył życie, nie zażył bowiem,

1) Parzęta—szczypior; lecz przenośnie każdy liść rośliny jednoliściennej, tak jak na Mazowszu wyraz pióra; np. „pszenica ma szerokie i aż czarne pióra.“

2) Zárnicia, jutrzeńka, planeta Wenus, czasem bywa wieczorną, czasem poranną gwiazdą; na Mazowszu wieczorna zwana węgierką.

3) Kij pastuszy opalony.

raz żyjąc, czegoś wyjątkowego, jedynej w swoim rodzaju rozkoszy; duszy jego brak czegoś, jak temu co nigdy nie widział oceanu; i nie kołysał się na jego fali; to wielka szczerba, lysina w jego świadomości. Gdy znudzony wartkim chodem, jakim polscy chadzają przewodnicy, przeszedłszy niezliczone pasy lasów, okryte perlistą rosą polany, zbrodziwszy liczne potoki z lodowatą wodą, nieśmiertelnie, wiecznie toczące się po wyszlizganych żabiacach, wskrobawszy się po piardżystych źlebach, wgramoliwszy po śliskich od rosy upłazkach, nieraz na czworaku, przedarłszy się po labiryntowych perciach wśród kosówki, legniesz w końcu gdzieś kolo szczytu Rohacza lub na Krzywaniu, doznajesz tej błogości i szczęścia, tego wyzwolenia i spokoju, o jakim opowiadają szczęśliwe matki po pomyślnym porodzie: wszystkie bóle, niewygody, udręczenia, upał, znój, pragnienie, ześlizgiwanie się po suchej trawie, potykanie na ruchomych wantach, zjeżdżanie na piargu, zapadanie w grażnie, zarosłe jaferem i ferecyną¹⁾, wszystko to, wszystko, ulotniło się, zapomniane. Strudzone czlonki, jak gdyby przestały istnieć, mózg nie snuje pasma myśli, a uproszczony człowiek ma tylko zmysły, przyjmujące wrażenia, mechanicznie, bez nastawczego wtrącania się mózgu, bez śledczego kierownictwa postrzegania: oczy, uszy, nos stoją otworem, wpuszczają podniety, które przekształcają się na rozkoszne wrażenia. Gdzieś niżej w granitowej, szarej oprawie stoi ciche, modre płoso, alpejski stawek, budząc podziw swoim szafirem, wobec którego niebo wydaje się za bladym; waży się nad nim ptak drapieżny, może jastrząb, może myszółowiec²⁾, i znowu podziw, że minutami, może dłużej, nie macha skrzydłami, stoi, czy leży w powietrzu zawieszony, bez wysiłku zda się: za nim wzrok pada na łańcuchy gór, na marszczki, czy fale stężale—jedne za drugimi w dal, bez końca; a potem czepia się cienia obloczku i jedzie z nim po stoku góry, przez dolinę, precz po zbałwanionej ziemi, aż w kierunku Babiej Góry, gdzie na samym skraju widnokręgu leży wianuszek śnieżnych obloczków, jak sznurek nanizanych grzybków. Naraz słyhać ostry świst — to świstaki zmykają do dziury—i znowu wielka cisza. Przewodnik ukazuje na upłazku kierdel owiec; lecz nasz wzrok nienawykły nie odróżnia zrazu nic; więc pokazywanie próżne, wpatrywanie się, aż wreszcie istotnie dostrzegasz owce, lecz jakżeż malutkie; bez ukazania, nigdy-byś ich nie dojrzał, bo to raczej owady, ale nie owe dobrze znane, duże zwierzęta; i nie poruszają się weale. A gdy dużo czasu upłynęło i pojrzysz w tę stronę, gdzie się pasły, już ich

1) Grażnia — dziura wśród nastroszonych kamieni; jafer — lodygi z liściem czernic; ferecyna — paprocie.

2) Góral słusznie nie uznaje formy książkowej „myszółow.”

tam niema; niepostrzegalnie, jak skazówka zegarowa, przeszły daleko. I nie myśl, że tylko ty, turysta, wciągasz te etery w siebie, odczuwasz rozkosz jasnego świata, zdrowe ciepło słoneczne, pasiesz oczy zielenią trawy, szedziwością granitów, niebieszcą płos i przegładającego się w nich nieba. Gdy dobre lato, gdy słońce niezachmurzone kroczy dzień w dzień po swoim szlaku, płodząc na każdym uplaziu, w każdej szczelinie, gdzie zebralo się trochę okruszyn ziemi, wilgoci, trawę i kwiecie; juhas, jak swobodny orzeł, pławi się w powietrzu i słońcu, i napawa pięknościami przyrody. Kto słyszał opowiadania Sabaly, Rája, lub innych myśliwców i przewodników, ten wie, jak ich oko zorkie na zwierza, wpuszczało zawsze każde zjawisko przyrody: owszem nie wchodził nigdy do mózgu obraz niedźwiedzia lub kozicy sam, bez tła przypadkowego. Do dnia na Koperszadach nocując z Chałubińskim szlakowali niedźwiedzia: „Pożrem, coś się na piargu jarzębaci; to był niedźwiedź; mój „dziadek“ (misio), jak nas ujrzał dawaj uciekać, wpadł w kosówkę, która mu się z pół godziny kłaniała tak ją rozrusał.“ Ale i zwyczajny juhas jest wrażliwy na wszystko piękne w swoim górskim otoczeniu, choć zajęcie i zysk wciąż mu każą czuwać nad tem, by owe się dobrze napasaly. Bystrem okiem wyszedł halnego wróbla ¹⁾ na tle zwalisk piargu, dojrzy różowego mętlika ²⁾ na tle szarej turni, a w opowiadanie umie włożyć tyle wyrazu, umilenia, lub zgrozy prostej, a wymownej, że żalujesz, iż nie umiesz stenografować. Bo góral jest taki stylistą, iż nie można go słuchać spokojnie; p. Witkiewicz nosił latami notatnik ze sobą i spisywał wiernie ich mowy. Choć widział juhas nie raz, nie dwa, kozice, za każdym razem napatrzeć im się nie może: „wysła starą i dwie młode, cisawinuckie, takie pikne co cud; a stajają, a nozkami wyżej oprą się na skole, a spojierają, a pasą się, zaś hukają, bodą się, ty młode kozicki.“

Choć twarde to życie, dobrze się dzieje góralom na hali, gdy lato słoneczne, pogodne; z początku czas jakiś, tydzień, dwa tygodnie, czy to jak gdyby zamróz, zaduch i nędza zimy wychodziła z juhasa, czy nagle od nadzwyczajnego ruchu, za owcami, czy od niezwyklej, a jednostajnej strawy, błednie, mizernieje. Lecz wkrótce słońce i powietrze, ruch, swoboda i owa żętyca,—pokarm szlachetny, w porównaniu z zimową żywnością, — robią swoje: lica obłóczą się w rumieniec, ludy i uda grubieją, cięższe ciało. Ciekawa to rzecz: odbywa się tu doświadczenie wielkie, w porównaniu z marne-

¹⁾ *Accentor alpinus*. Płochacz alpejski.

²⁾ *Tichodroma muraria*. Pomurnik.

mi doświadczeniami pracowni fizjologicznych: czeka tylko na lekarza lub chemika z otwartym i ciekawym umysłem, któryby chciał przeprowadzić rozbiory ilościowe pitej żętycy, ważyć juhasów i t. d. Cały dzień od brzasku do zmierzchu błądzi po upłazach, wskrabuje się na turnie i bule, gimnastykuje po bujających i obsuwistych kamieniach usypisk: wieczorem, gdy spędzi szczęśliwie swój kierdel ku szalasowi, wydoi go, naleje żołądek żętycą, legszy śpi snem want granitowych, które tylko zbudzić może loskot wichru halnego i naremnicia oberwanej chmury. A jakże się nie ma spać po takim ruchu, takiej strawie, z takim zdrowiem, wśród orzeźwiającego powietrza nocy, pod przykryciem oparu wieczornego, przygędzbie szelestów wód wiecznie żywych, dziurzących z lodów i śniegu, skaczących pośród skał, w potokach, spadających siklawicami po przez progi kamienne z alpejskich stawów. Nawet w rzadkie nocy przed halnym wiatrem, lub przed burzą, gdy w powietrzu zapalają się suche lyskawice, gdy parno i duszno, śpią juhasi snem twardym na bezrosnej trawie, choć ich tną bugary i gadzie-lby¹⁾ po przez grube, wyświechtane tłuszczem portki, a po każdym ćwieknięciu rzuci się ciało, jak ryba wyjęta z niewodu, i zapada znowu w senną martwość.

Lecz pogodne lato w Tatrach — to wyjątek, pluta — to prawo. Jeszcze najmniej przykre są nagle burze, zjawiające się niespodzianie po dniach upalnych; straszne są tylko rykiem piorunów pękających nad turniami, łamaniem się ech po zaułkach górskich, błuzgiem wód lejących się potokami, trzaskiem i loskotem want spadających w przepaść, szumem i dudnieniem wichru, spartego w granitowym objęciu. Zawczasu kierdel ucieka z urwistej turni, ze stromego upłazu; zagania owce pies wierny, popędza i nawołuje juhas, by dopaść hali, lub chociaż uciec z niebezpiecznego miejsca. Po drodze pierze deszcz, młóci grad, lub obsypują krupy; lecz ostatecznie burza przechodzi, wylewa się chmura, a jasne jutro wita świeżością i jędrniejszą trawą. Straszniejsze są mgły nagle, a raczej chmury przechodzące niewiadomo z kąd, rodzące się na miejscu, w oka mgnieniu; nie te cudowne, białe obłoki, zjawiające się z rana w dni pogodne, owe obłoki zatapiające cały świat, ponad które wystają tylko najwyższe turnie i szczyty, jak skaliste ostrowy nad powierzchnią morza; nie te! wynosi się słońce wyżej i rozgania to uludne, puszyste morze z chmur, ale mgły i chmury zimne, które zawłóczą góry na dni całe, zniżają się aż do pasa regli, weiskają

¹⁾ Komary: tę scenę z komarami widziałem osobiście, noclegując pod Krzywaniem; było do wyboru, albo dym wyjadający oczy, a odganiający komary, albo męka od tych owadów.

we wszystkie zakątki. Jeśli zaszły kierdel w miejscu ustronnem, mało znanem juhasowi, na brzegu jakiej krzesanicy, na jakim upłazie, do którego prowadzi bezdroże nad przepaścią, po zwalisku skał,—wtedy biada! Każdy krok na ślepo w pomroce prowadzi w otchłań; tylko nadzwyczajna przytomność umysłu, cierpliwość, instynkt psa, wywodzi juhasa i kierdel z matni. Ale i to nie najgorsze. Przychodzą mokre i chmurne lata, dzień w dzień siąpi kapuśniaczek w dolinie, tygodniami, miesiącami, z tem urozmaiceniem, że od czasu do czasu urznie ulewa; na hali, na tych wysoczyznach, to sypie kurniawa śniegiem, to zacina mokra siekawica żłoci ¹⁾, oblepiając skały, twarze, oczy; to leje nieprzerwana lejba, a kamienie, percie, trawa, wszystko obmarza lodowicą ²⁾. Rozcochują ³⁾ się owce, pokiełszy się na śliskiej skale; łamią nogi, wpadszy w niewidoczną dziurę między kamieniami; oblepione lodem, zziębłe, giewieją, t. j. stoją, nie chcą iść do szalasu, nie pasą się, nogi kurczą pod brzuch, drżą całym ciałem; zostawione sobie zdéchają od skarwienia. Jedyne ratunek — ruch ciągły; więc zachęca je juhas, nawołuje, bije oblakiem, szczuje psem, a żenie wciąż bez ustanku, póki nie dogna do szalasu, gdzie je przy ogniu rozgrzewają. Wśród pośpiechu, nieprzejrzanej bieli zawiei, wirującej w szalonym tańcu, owce po jednej, po kilka „tracą się,” więzną w bezdrożach obmarzłej kosówki, zostają po dziurach za wykrotami ⁴⁾, za zasiekami gnijących sucharzy ⁵⁾, ustają z zimna i głodu. Ubytku pasterz dostrzedz nie może w drodze, wśród takiej gromady, smagany gradem lub śniegiem. Dopiero po dotarciu do kosáru miarkuje brak: rozpoczyna się krwawe poszukiwanie; daleko, nieraz w odległości dwóch, trzech kilometrów od szalasu nadybują nieszczęsne zwierzęta, zglewiałe, na pół żywe, z wylupionemi ślepiami; trzeba je dźwigać na swoich barkach, a jednocześnie przebijać wzrokiem suchą, białą gęstwianą zawiei, lub oślepiającą plachciami mokrego śniegu siekawicę, utykając po nierównem kamienistym zboczach, przedzierając się po zaroślach jaferów, padając i podnosząc się, obdzierając sobie paznogie, siniącąc nogi o krawędzie want. Sam głodny i przeziębły do jelit, juhas musi trzeźwić owce w szalacie, ogrzewając je w ciepłe i dymie. Spotykając juhasów brudnych i opalonych na hali, turysta posądza ich o niechlujstwo; tymczasem pasterze, w przewidywaniu owej lejby, zawczasu napuszczają cuhy, kapelusz i portki tłuszczem, mocząc je w maśle owczém; tworzy się nieprzemakalna prawie warstwa, chroniąca od dżdżu ciało do pewnego

1) Mieszanina śniegu i deszczu. 2) Lodowica=gołoledź. 3) Rozcochnąć=rozkraczyć gwałtem nogi poza granice fizjologiczne. 4) Wykrot=cała masa korzeni danego drzewa wyrwana z ziemią i kamieniami. 5) Suchárz=uschnięty i powalony pień smrek a.

stopnia; odzież od kurzu i kopcia w szalasię staje się czarną, a ludzie w niej wyglądają jak dzicy. Dlatego to bywa w złe lata więcej juhasów, niż odpowiada liczbie owiec, bo w złe dni „przeręczają się;“ gdy jeden idzie z kierdelem na pastwisko, drugi suszy na sobie, nie zdejmując, przemokłe ubleczenie i naprawia podarte kierbce; a gdy ususzy się, musi iść w las zbierać bierzna ¹⁾, wykroty i pniaki na watre.—Prawdziwy rozgrom następuje, gdy w tydzień, lub kilka, po wyjściu na hale, zawodna wiosna uchodzi, a miejsce jej zastępuje napad lutej zimy. Od srogich dujawic i zimna ustaje wszelka roślinność; śnieg grubą warstwą bieleje tam, gdzie błyszczało kwiecie; nie pozostaje nic innego tylko odwrót do domu, gdzie czeka głód; owce padają dziesiątkami.

Na dobitkę trzebaż, iż czasami w najgorszy czas, gdy trudno psa wypędzić na dwór, wśród kurniawy lub mgławicy, zimnej chmury, skutkiem nieuwagi, płonie szalasię; a tu niema ani drzewa, ani narzędzi, ani czasu na pobudowanie innego.—Są ludzkie prace—święte prace—najskromniejsze, nieznanne, niepopłatne, w których co dzień część życia ludzkiego ginie, niepożalowana, w których co chwila grozi śmierć, ważąc się na ostrzu noża. Kto nie widział własnymi oczyma majtków na statkach żaglowych, bezsilnie borykających się wśród zawiei na oceanie, odrywających okrwawionymi palcami przymarzłe obarzanki lin, ślizgających się po gołoledzi pokładu,—ten nie ma pojęcia o twardej doli ludzkiego żywota; juhas przynajmniej nie ma pod i wokół siebie ryczącej, nienasytnej ofiar otchłani.

Czasami zawita na halę szkodnik—niedźwiedź, a znarowiony łatwym łupem nawiedza kosár co noc. Wśród głuchej nocy, gdy pokotem śpią pasterze w położeniach bezwładnych ciał, jak pobici gachowie w domu Odysejowym, gdy na bładem niebie słabo migoce Wóz, Kosa, i inne gwiazdy, a przez rzadki las smrekowy przeziara sierzpek miesięczka na wietku, gdy na ziemi cisza i spokój unosi się na niepochwytnym szeleście wód dalekich,—zwinie się w kłębuszek psy naraz zrywają się z wściekłym ujadaniem i skowytami; z kosáru dochodzi dudnienie racie owczych, jak tentent jakiego oddziału konnicy w pędzie. Budzą się ludzie, z trwogą dopadają do przeziornu w ścianie, a skoro wylękle oczy zdolają coś wyróżnić w pomroce, widzą za ogrodzeniem czarną masę, wspiętą na zadnich łapach, jak przekłada wielką kufę przez płot; gdy niema w szalasię myśliwego z dobrą strzelbą, nic sobie niedźwiedź nie robi ze szczeku psów i okrzyków ludzi; zajrzy jedną stroną, do kosáru, za wysoko mu: pójdzie od drugiej strony, owce hurmem

¹⁾ Kawalki pni—lub smreki młode, które można zabrać na plecy. „Widzisz paździórko w oku brata twego, a bierzna w swoim nie widzisz.“

cisną się w drugi kąt; on tymczasem wpadnie, porwie jedno, dwie, a zarzuciwszy sobie na kark idzie bezkarnie w las ze zdobyczą. Po takim obłowie na pewno nie ostatnie to nawiedziny. Nie trwoży go też byle jaki postrzał; zdarza się, iż baba wystawiwszy starą flintę przez szparę durknie do werydy¹⁾; nawet rafnie go kulka; ale on trząchnąwszy łbem, jakby muchę chciał spędzić z ucha, dźwiga owcę włas; bywa też i tak, iż nie tęgi strzelec, waląc do szkodnika, kładzie trupem kilka owiec w kosárze, które, gdy mierzył zabiegły drogę: po takim strzale przyjdzie nieraz w nawiedziny, czasami nie lęka się czarnymi ślepkami zajrzeć do szalasu, a ujrzawszy wiatrę, cofa się, bo się ognia wielce boi; w trwodze, z ciupagami i obłakami oczekują juhasi, zawarłszy drzwi na zaworę. Strata jednej, dwóch owiec, już duża krzywda dla biedaków, ale gorzej, gdy krwiożercze zwierzę dopadłszy szalasu zdusi kilkanaście, krwi się ożłopie, a jedną na wety umiesie.

Bywają strachy gorsze wśród białego dnia. Stoi juhas samotnie gdzieś na urwistej turnicze, lub siadł sobie na upłazku, spozierając po dalekiej dolinie; pasą się owce pod nogami, słońce świeci na zachodzie; naraz jakiś niewyraźny szmer, w którym ucho odkryło ślad dalekiego jęku, jakiś chłodny powiew od przepaści, napelniający dreszczem kości, budzi w wyobraźni drzemające obrazy rzeczy strasznych, czegoś nieznanego, ukrytego poza widzialnem obliczem świata, wypłasza z kryjówek samowiedzy posłyszane opowieści o „złem,” o „grzék,” które wodziło na zatracenie, odejmowało zmysły; — naraz, jak elektryczność w błyskawicznej chwili, to szelesty ze świata, to przeżalenie idące z pustoci kamiennych, z przepaści mrocznych i te wspomnienia lat dziecięcych kojarzą się; pasterza zdejmuje lęk nieopisany, rzuca się w dzikim popłochu do ucieczki, a echo potracanych kamieni i spłoszonego stada goni za wylekłym, który bez tehu, z zamierającym sercem, dopada do szalasu. Opowiadano mi o pewnym dorosłym góralu, myśliwym i strażniku kozic, którego samotnego w pustce górskiej ogarnął taki strach nieopisany, niewytłumaczony; dopadł do jakiegoś tracza bez zmysłów, i tam przeszedł ciężkie zapalenie płuc. Świat ten bowiem górski, w wyobraźni górala, przedstawia się inaczej, niż dla naszego umysłu; tysiączne straszności i nieszczęścia, opowieści o złem, które wodziło po manowcach, wszystko jedno czy to było od wódki, czy od jakiej wady organicznej, czy wyległe w słabowitej lub chorobliwie ruchliwej wyobraźni, zlewa się w jedno pasmo, któremu grozy dodają nieszczęsne zdarzenia, jak z małym Walezakiem, który posłany na halę pod Giewont, przepadł bez wieści; jedni myśleli, że pozostał na hali, tancei znowu, że wrócił do domu; tak minęło dni kilka zanim przekonano

¹⁾ Wereda = Brzydal.

się, że niema chłopaka. Zarządzono poszukiwania, kilku ludzi przeszło miejsce koło miejsca w kierunku, w którym iść musiał; wszystko napróżno, chłopak przepadł bez wieści. W trzy lata później, wypadkowo, za Małą Świnicą, pastuszkowie krów ze zgrozą naszli wybielone kości, leżące w porządku; a rodzina poznała w tych szczątkach zaginionego chłopca.

Wśród tej jednostajnej pracy, urozmaiconej bez końca odmianami pogody, szybko leci lato; coraz krótszy dzionek, leniwsze słońce później wstaje, wcześniej idzie na spoczynek; nastają chłodne i zimne ranki, w które kostnieją już a si. Już nie doją owiec ostatnie dwa tygodni, paszy mniej, upłazy i płaskie kępy rudzieją od usychającej trawy i porostów; wreszcie w przewidywaniu dłuższej pluty i śnieżycy, instynktem ruszeni, jak ptactwo niebieskie, zrywają się pasterze do powrotu: ładują przybory na konie, zabierają narzędzia, i w drogę do wsi, a za nimi pozostaje tylko pusty, czarny, rozwany szalas, i hala okolona turniami w głębokiej martwocie.

Późną porą, we wrześniu, przejeżdżałem przez Ząb; słońce wychyliło się, i ukośne promienie słało na wyszarzale, połogie wierzch i rozgałęzienia Gubałówki; na zachodzie leżały na perłowym, jakby jakimś zanieczyszczonym niebie, jak długie dzidy, obłoki sięgające prawie przez cały sklep niebios; utknięte jednym końcem na zachodzie, rozbiegały się jak pęk drewnianych promieni nad ołtarzem rokokowym. Z za Beskidu, przycupnąwszy na samym zrębie gór, runkowate obłoczki wyzierały, jak aniolki z za ramy Madonny Sykstyńskiej na świat smutny, cichy, zalany omdlewającymi promieniami. Przed dużym domem stał kierdel owiec spoglądających owemi bławemi, przezroczystymi jak szkło, o zielonkawej źrenicy, baraniami ślepiami, mierząceyh paszę z obojętnością i spokojem turka. Z izby dochodził niewyraźny gwar i rozgardyjasz, przerywany jakimś głośniejszem słowem. Zdziwiony, gdy się zapytał, co to znaczy, objaśniono mi, że to os'ód¹⁾, t. j. rozehód jesienny owiec: zbierają się właściciele, załatwiają spory z bacą, rozliczają się sęrami, układają o straty owiec zgłewiałych w śnieżycy, porwanych przez kufiatą bestyją, lub spadłych z turnice, rozbierają każdy swoje sztuki; rozpoznawanie odbywa się po znakach, bez żadnej trudności, a nawet gdy ich nie było „po personie,” jak się wyraził jeden góral: spojrz tylko bystro, rozejrzy się i pozna je swoją nieomylnie, co aż dziwi widza, który nieprzyzwyczajony, żadnych różnic między owcami nie dostrzega.—Zaciekawiony przypatrywałem się scenie do wieczora; Os'ód skończył się, bez sporu, bez kłótni, z zadowoleniem wszystkich, którzy o zmroku porozehodzili się ze swoim dobytkiem.

1) Góral wymawia tak wyraźnie „osud,” że tylko przypadkiem wpadłem na pochodzenie wyrazu, słysząc, jak mówią, „osodzają się”=rozehodzą się; Góral nie wymawia *s* (*pracposilio*) lecz *S*: „stowarzyszyła się s nim; podzies se mnóm”.

Jeśli jesień piękna, ciepła długo trzymają, i zaotawi się trawa na polanach niżej położonych, z których posprzątało siano, jeszcze raz skot i owce idą w góry, ale niżej, i ten pobyt zowie się: jesieniowiskiem. Jeśli zaś trapi siąpawica, ale jeszcze nie spadły śniegi, to po brzyzkach, to po wirchach koło wsi, nad potokiem późno w jesień dzieci pasają krowy i owieczki. Konik uwiązany za nogę na pastercie, t. j. powrózku, którego koniec umocowany do kolka wbitego w ziemię; z wrytlik, t. j. dwie ruchome spokojne ze sobą obrączki żelazne, zapobiegają skręcaniu powroza. Siąpi gęsty kapuśniaczek z chmur, które spuścili się aż do ziemi, a w gąszczu kropel i mgły majaczej kwiatule, cisule, kawule,—a gdzieś pod chościakiem, gęstym smrekiem przycupnął chłopak nakryty prześcieradłem, jak widmo, i rozgrzewa się śpiewając monotonną piosenkę góralską.



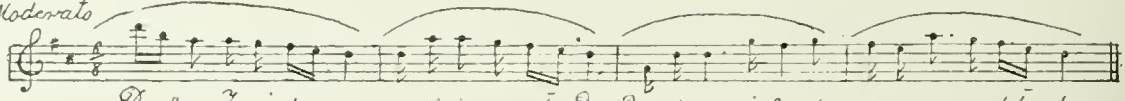
Ryc. 135. *Gałąź kosówki.* (rys. p. S. Witkiewicza).

Obróbka lnu.

Stoi wielki, pogodny dzień październikowy: świat cały jasny, czysty, wspaniały; na niebie lagodne, olśniewające słońce; w powietrzu rozlana soczystość i rzeźwość, a w tej jasności, w roztopionych promieniach, plawią się zagrody po polanach. Na przezrystem tle szafirowego nieba stoją śmigłe, różgowate, o delikatnych drobniutkich gałązeczkiach, jak urojone drzewka za plecami Madon Rafała, modrzewie, rude już, rudociałą lisiego ogona, czerwonością ognia widzianego w mrok jesienny, lub rudociałą brody judaszowej na średniowiecznych obrazach. Rzędem stoją nagie jawory i stare jesiony; sterczą bezlistne gałęzie brzości z regularnie rozchodzącymi się gałązkami, jak drabinki ze szczeblami; tylko tu i owdzie na najbujniejszych, junackich pędach, soczystych od młodości, ocalały twarde zielone liście. W cieniach, za ścianami domów i szop, za pniami drzew wszystko siwe, a raczej sine, niebieskawe od sutego mrozu, szadzieliny; lecz gdzie tylko zajrzało słońce, wszystko: grudkowata czarna ziemia, złotawe, opadłe liście na niej, pomirwiona słoma, badyle, trawka i na łączce — wszystko wilgotne, jak wargi niemowlęcia. Otworem stoją wierzeje na ścieżaj, aż legły i wsparły się na ścianach; szopa otwarta na wylot; na boisku stanęło kilka kobylic; do nich przymocowano trojaki, t. j. międlice do tarcia, międlenia lnu, a kilka naście sproszonych i najętych dziewczek z zapamiętałością treją len wysuszony na poleniach. Każda bierze garść lnu i najprzód w „trojacie ściebła usiece, usiece,“ żeby z gruba zdźbła połamać, a potem utrze, aby październik wykruszyć z pośród włókien. A trąc z namiętnością śpiewają z całej siły, a klekot trojacek, lomot po łamanych ściebłach i śpiew rozlegają się po wsi całej, płyną w powietrzu i budzą echa w gajach i lasach smrekowych, z których dawno uleciały nieznużone śpiewaczki — zięby. Robotą idzie wartko, piorunem; gaździna nie może nadażyć nosić lnu suchego: śpiew zaczyna jedna

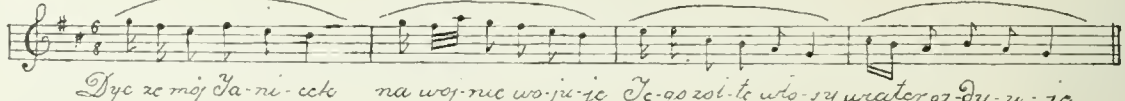
dziewczyna, słynąca we wsi z pamięci i głosu: ona wywodzi zwrotkę, prześpiewuje ją, a potem wszystkie chwytając śpiew w niebogłosy go powtarzają:

Moderato




Dobrze Janickowi pokiela je młody Przeskakuje bucki jaworowe kłody

Moderato



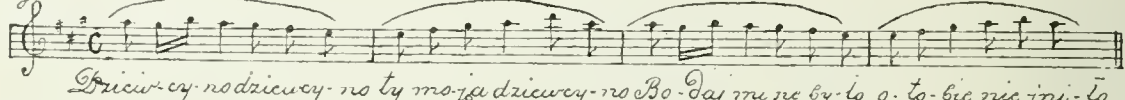
Dyć ze mój Janicek na wojnie wojuje Jego zółte włosy wiatr ozdruuje

Moderato



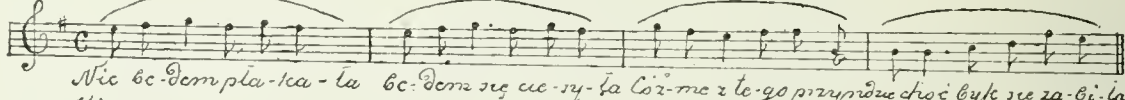
Nie bój się dziewczyno czego byś się bała Bo się nie u bo. is z tego so-wi-za-ła

Alllegro



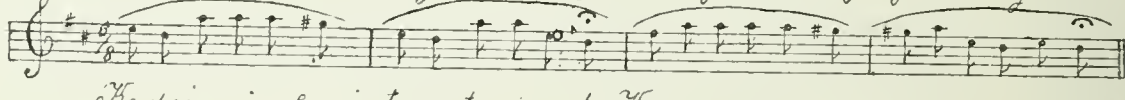
Dziewcy no dziewczyno ty moja dziewczyno Bo-daj mi nie było o-to-bie nie żni-ła

Moderato



Nie bę-dem pla-ka-ła bę-dem się uc-sy-ła Coż-me z te-go przyjdzie choć byk się za-bi-ła

Moderato



Śle-ry ko-nie z uc-gu pię-ly na lan-cu-gu Nbie-raj się dziewczyno ja-dzie my do sku-bu

Kochaj mnie albo ni to-na two-i wo-le Krzy wo na mnie nie patrz bo mnie serce boli

1. Kochaj mnie albo ni, to na twoi woli,
Krzywo na mnie niepatrz, bo mnie serce boli.
2. Dobrze Janickowi, pokiela je młody,
Przeskakuje bucki, jaworowe kłody.
3. Dyć ze mój Janicek na wojnie wojuje
Jego zółte włosy wiatr ozdruuje.
4. Daj mnie mamó, daj mnie, kiej ludzie pytam,
Kiej lelują kwitnie, wtedy jum targajom i t. d.

I płynie zwrotka za zwrotką przy szczególnem towarzyszeniu łaskotu bukowych międlic i trzasku druzgotanych paździorów, przerywane tylko chychotem lub zalewane wybuchami śmiechu, po każdej dowcipnej improwizacji, ośmieszającej znaną jaką osobistość, lub dotykającej śmiesznego wydarzenia, znanego we wsi; a z pieśnią pali się w rękę robota i upływają godziny. Pochylił się dzień jasny. Ani jednej nawet zabląkanej chmurki, ani jednej firaneczki—obłoczka do zasłonięcia oślepiającej kuli, opuszczającej się niepostrze-

żenie za najdalsze widzialne góry. Góry? Tylko świadomość i rozum mówią, że to góry, nie zmysły! Z ich własności materialnych nie pozostała żadna; wydają się nie ziemskie, tak są przeświecone, przetkane, przeniknięte światłem, oblane i zatopione w jasności, że nie widać nie tylko ich stoków, pól, źle bów, lasów, kosówki, lecz nawet konturów. Jest to coś jak urojenie, jak lodowe góry płynące po oceanie, na granicy widnokregu, bezcielesne, bezkształtne; to tylko jasne zasłony jakieś, tające formy jakiegoś nieznanego ciała, rozpuszczającego się w morzu światła, w którym góry i niebo, barwa i kształty zlewają się w jedną nieopisaną słowami jasność, którą odczuł, ukochał i usiłował utrwalić na płótnie jeden wielki mistrz, na widok obrazów którego drga serce z uniesienia, jak na widok przyrody — mistrz światła, mistrz jasności zachodów, mistrz zorzy, mistrz nieznaną na kontynencie, mistrz którego podziwiać można tylko w Dulwich ¹⁾—Cуyp. Cały ten dramat roztapiania się gór w świetle, odbywa się gdzieś w niezmierzonej dali, za rampą, którą tworzą połogie ubocze Gubałówki. Rosnące na nich bezlistne jesiony rzadkie smreki i nikłogałęzne modrzewie odrzynają się od niezgłębionej jasności tła; styczne promienie przemykają się nawet przez gęstawe laski, jeśli nie u góry, między konarami drzew, to spodem między pniami, a każde drzewo w tem oświetleniu błyszczy, jak obwiedzione złocistą luną; przestrzela ją otwarte boisko, a w ich blasku drgają ciemne sylwetki trawek w złotej chmurze tumanu z kurzu i okruszyn zdruzgotanych ździebeł. Gdzieś na poletku orze wilgotną ziemię para koników, obwiedzionych złotością zachodzących promieni. W przeczystym powietrzu unoszą się mgławice muszek, miarowo, harmonijnie odbywających ruch w górę i na dół, jakby kto pompował; każdy rój pompuje na swoje tempo; cicho, bez zamieszania następuje każdy nawrót ruchu. Tych rojów, kłębów, mgławic setki, a wszystkie cieszą się ostatnimi złotymi dniami jesieni, w nieświadomości, a może, bo kto wie, w przeczuciu śmierci pod śniegiem, którą niesie już czas w swem zanadrzu.

Dziewczyny pracują albo za zapłatę, którą stanowi dwanaście „pógá-rztków“ lnu, albo za powrót, t. j. odrabia sąsiadce za jej pomoc przy tarcu u swojej matki. Trojacka, w innych częściach kraju międlica, lub cierlica, jest przyrządem złożonym niby z dwóch szczęk; w spodniej są trzy bukowe noże, (zład nazwa), porozdzielane dwiema szczelinami; w górnej dwa noże, które przypadają w owe szczeliny. Na Tab. XXI, rys. 2 jest wyobrażenie trojacki ryzowanej na grzbiecie, lecz widziałem międlice daleko sniej ozdobione, nie udało mi się jeno ich odszukać do wyrysowania.

¹⁾ Jest tam kilkanaście jego obrazów wśród doborowej kolekcji, dokonanej kiedyś dla Stanisława Augusta, a uwięzionej w Anglii przez wypadki rozbiorowe.

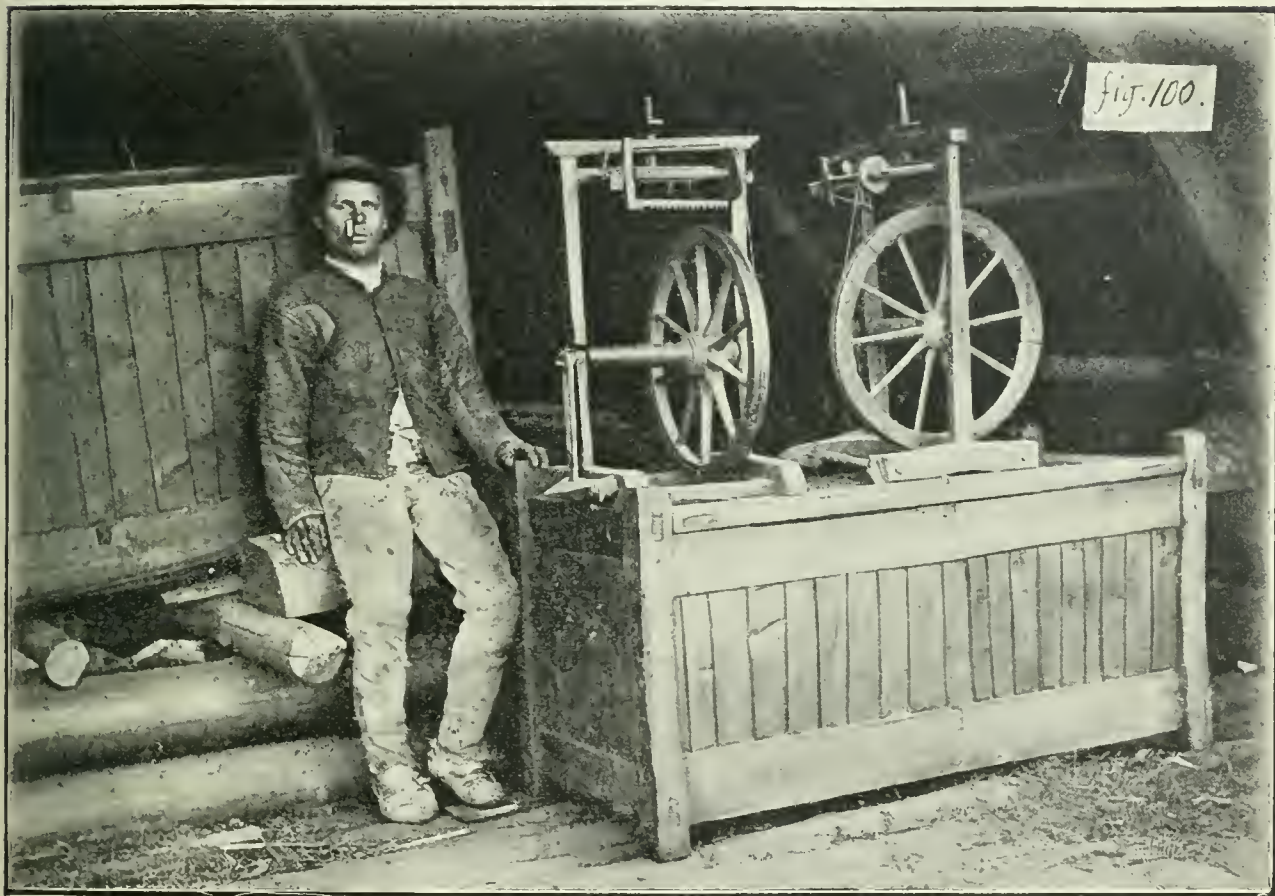
Robota koło lnu jest ulubionem zajęciem kobiet, które bardzo dbają o płótno własnej roboty, „naskie“, t. j. swoje nie kupne. Skoro roślina dojrzeje „biorą“ ją, t. j. wrywają i „wybrany“ len składają na ocipki ¹⁾ t. j. małe kupeczki, z garstek ułożonych na sobie cokolwiek na krzyż, w ukos, aby wszystko nie łączyło się w jedną masę, wtedy bowiem biorąc do dziergania łebków, len bardzoby się targał, zawadzając o siebie i płacząc główkami. Ocipki wiążą w snopki, zanoszą na boisko i rafują, t. j. dziergają, obrywając główki na rafie, na Mazowszu na grzebieniu żelaznym o kilkunastu zębach. Oberwane główki suszą, młóca, a siemię cudzą, recicują i czyszczą ²⁾; len zaś wiążą w snopki i niosą do mocydła, w którym nakryty deskami i przyciśnięty kamieniami, moczy się w wodzie 2—3 tygodni, stosownie do grubości i twardości ściebel. Po namoczeniu pokosują go na polu, rozpościerając w rzędkie cienką warstewką; tam słońce i rosy poranne biela i rozmiękczają ździebła. Zebrany z pokosów, po kilku dniach leżenia, suszy się na grabinkach (drabinkach), lub poleniach, gdzie się znajdują, po napaleniu w izbie; przewracają go przytem i tłuką kijem po wiązkach. Teraz dopiero suchy, rozstawiają czasami przy ścianie pod strzechą na słonku, zkąd tracki biorą go do tarcia. Ta ilość, którą za jednym razem bierze tracka do międlenia zowie się międłakiem; wymiędlnych porcyj nie kładzie się do kupy, lecz każdy międłak pozostaje z osobna, jak był ściśnięty od dzierżenia w gárści. Teraz następuje dalsza czynność; czesanie lnu na sceci, która stanowi rodzaj szczotki z igieł, czyli „gwoździków“, stojących na sztorc, umocowanych w deszczulce z otworami po końcach, które przybija się w czasie czesania. Sceć bywa trojaka; zgrzebną, w której igły są grube i ustawione w kółko; paceśną, igły cieńsze i tak powbijane, że stanowią czworogran, oraz omiesną, igły jeszcze cieńsze i gęściej umocowane „graniato“.—Kobieta czesząca len, umocowawszy sceć zgrzebną do „stolice“ nożami, bierze międłak i czesze najprzód

1) Piszę, jak wymawiano, lecz wątpię, żeby to była słuszna pisownia.

2) Siewają na Podhalu dwojaki len: jeden zwyczajny, wyrastający rozmaicie, czasem wysoko; temu jak go obrafią, trzeba główki młócić, aby wydobyć z nich siemię. Drugi gatunek bywa uprawiany znacznie rzadziej i zowie się prazec; temu, jak główki obrafią, a na prześcieradle na słońcu wyprażą, to siemiona się same „wyscérza“. Wyrasta on najwyżej na 1½—2 piędzi, tak niski, że po obrafieniu „bięda go w gárści utrzymać jak się go tre; pojedni powiadają, co je strasnie dobry na cienkie płótno, ino obrobić go trudno.“

Bardzo rzadko, tylko na lepszej ziemi, i we wsiach niżej położonych siewają grządki konopi: płasconki t. j. męskie osobniki wrywają weźniej, główące po dojrzaniu siemion. Dalsza obróbka, jak lnu, na grube płótno.

jedną połowę, potem wyczesaną ujmuje w garść, a czesze drugi koniec. Wyczesane porcje ze zgrzebi, odkłada na bok, a jak robote ukończy, zdejmuje zgrzebne kłaki ze szczeci, odejmuje tę ostatnią, a utwierdza na jej miejscu sceć pacesną, na której znowu czesze zgrzeb, t. j. włókno już wyczesa-
 ną na zgrzebnej. Po tem wtórem przeczesaniu otrzymuje się paces¹⁾, a na szczeci pozostają pacesne kłaki, które zbiera się na osobną kupkę, nie mieszając ze zgrzebnymi. Na tem zazwyczaj przestają i z pacesi robią



Ryc. 136. *Warcule.*

plótno pacesne; lecz kto chce mieć bardzo „cieniuckie, czesze paces jeszcze raz na sceci omiesnej. Dwa międlaki lnu tak wyczesanego, czy to na dwóch, czy na trzech szczeciach, stanowią pógartztek; 12,

¹⁾ Paces, inaczej zowią podróbek „bo się na cieńszej sceci podrabia.“

według innych 10 pógárztków. idzie na jedną kądziółkę, a 10 kądziółek stanowi jeden klub. Jedna gaździna może mieć i 3 kluby, a gdy len się urodził to i 5—8 klubów. Pógárztki zwijają, tak jak dzieci chustkę w pytę, w swijałki, które „ścibają,” t. j. nanizując napychają na „powróż” i wieszają w komorze.

Góral, który umie wyżyłować wszystko, nie przepuszcza i temu, co przy tarciu spada pod międlice: zgartuje podruzgotane paździoły i jeszcze raz je międli; z tego otrzymuje się grube klaki czyli pakuły, z których drugają, t. j. przędą, na powroźnicznym kołowrocie powrozy; przedtem jeszcze rozczesują klaki na grackach, rodzaju grzebienia z żelaznych zębów, nabitych w rząd w trójkątną bukową deszczułkę z trzonkiem; nakładszy klaków na jedną grackę, bierze w drugą rękę drugą grackę i dopiero rozczesuje, rozgrzebuje pakuły: przyczem za zębami zostają paździoły, a przed zębami wiszą brody włókien, które zbiera się na wrzeciono.

Następny okres w obróbce lnu stanowi przędzenie. Przędą, albo na warculi, t. j. kółku, (ryc. 136) albo na kądzieli (na Mazowszu daleko słuszniej zwanej prześlcią), kądziel składa się z deszczułki, którą prządka sobą przysiada, i dlatego zwanej siádka,—i z kija w nią wprawionego, czworogramnego, zakończonego okrągłym końcem. Kądziel bywa częstokroć zdobnie ryzowaną, nieraz w bardzo piękny sposób, jak tego widać przykłady na Tabl. XLII i XLIII. Siádka (Tabl. XLII, rys. 2) jest prześlczą, a kijec kądzieli (rys. 3) jest zapewne najlepiej ryzowanym przedmiotem, jaki tu widziałem; jest to arcydzieło w swoim rodzaju; całość w większych rozmiarach odrysowana na Tabl. XLIII. Na siádce widać wyryzowane dwie parzenice, t. j. serduszka, połączone krzyżującymi się gájami; przypominają one zwyczaj staroświecki, że narzeczony dawał swojej narzeczonej ryzowaną przez siebie kądziel. Na kiju widać dużo ładnych motywów, a osada i zakończenie są wytworne, po mistrzowsku pomyślane.

Wrzeciono tu inne niż na Mazowszu: tam wrzecionowate, tu okrągły kijek zakończony kółeczkiem czyli krążkiem drewnianym, (por. ryc. 91, na str. 49 i ryc. 137 obok).

Na ostry koniec kija kądzieli nasadza się kręzel (na Mazowszu kręzołek), na który nadziewa się swijałkę rozwiniętą i nieco nastroszoną, przyczem jeden koniec zawija się za powróżek, aby się dobrze trzymała. Przędzie się nawijając nić na wrzeciono póty, aż już zaciężko w palcach obertać; wtedy się urywa nić i przedzie na wtóre, trzecie, i t. d. wrzeciono. Nici z wrzecion „moce się” na motowidło, znany przyrząd złożony z kija, na jednym końcu którego umocowany krótszy kijek prostopadle jak w literze T, a na drugim końcu drugi kijek także prostopadle do głównego,



Ryc. 137. *Przędka przy kądzieli.* (z fotogramu).

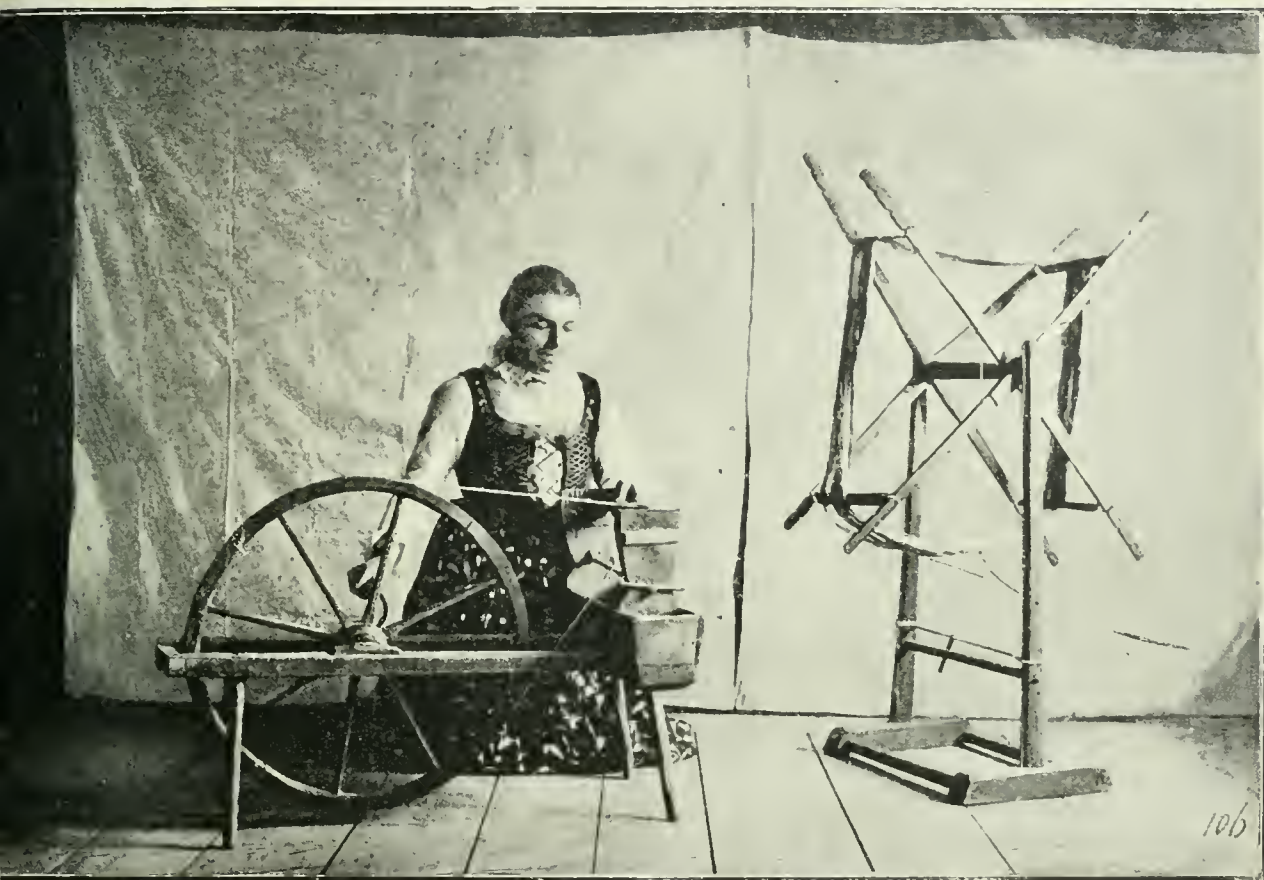
ale w płaszczyźnie prostopadłej do poprzedniego. Skoro namoce się 30 nici, wiąże się je w pęczek i to stanowi pasmo; 20 takich pasem idzie na loki-tek, zazwyczaj atoli mota się odrazu po 40 pasem; wtedy przędzę zdejmuje się z motowidła, zwija i przechowuje pod nazwą: łokietki. Motowidło co co do długości bywa dwojaki: jedno krótsze, t. z. miareczne, tak, że przędza po zmotaniu ma „wzdłużyć“ tyle co ręka od końców palców do pachy, i półtoramiareczne, gdy sięga od końców palców do mostka.

Na jednym wrzecionie bywa 7—8 pasem; tęga prządka naprzedzie 9, a jeszcze wartko niem obraca bez zmęczenia.

Skoro tylko śnieg przykurzy ziemię, kobiety biorą się do przędzenia lnu. Ulubione to zajęcie dziewczyn, które co wieczór, zabrawszy swoją kądziel, swijałki i wrzeciono, zbierają się do jednej izby „na prządki.“ Schodzi się ich po kilka, po kilkanaście, a zebranie stanowi najulubieńszą zabawę: Wesolo wygląda duża świetlica, jasno płonie kaganek jak łódeczka, napelniony oliwą, z duszą sitnika ¹⁾ zamiast knota; smolne karkoski dorzucają blasku. Czerwonawe płazy wyglądają jeszcze czerwiesze; po zakątkach drzemią cienie; na powale potężny sosrąb rzuca szeroki cień na szatkwownicę desek, łamiący się na sosrębikach. Na kominie dogorywa ogień po ukończonej wieczery. Zasiadają dziewczuchy rzędem na szerokiej lawie, na stolkach i stolicach byle bliżej światła. Gazda także nie próżnuje: szczypiąc smrekowe sajty z przegniłych sucharzy, wyłupuje i odkłada sęczki do przybijania desek dachu. Śpiewy i gwary napelniają izbę, przerywane śmiechem z wiadomości, z dowcipów. Idą zapasy, kto lepiej przędzie; śmiechy z Opacniáka, t. j. prządki przędącej lewą ręką; szyderstwa z innej, która snuje nitkę grubą i nierówną jak „jelita.“ Plotki i nowiny, bajki i opowiadania przychodzą na stół, lub strachy i wydarzenia, to z pobytu na hali, jak wieczorem coś „rewalo,“ pewnie złe, jak takiego, a takiego wodziło po polanie wśród jałowców, to z podróży zimą, i t. d. W post, zebrania jeszcze liczniejsze, bo zbierają się oprócz prządek i starsi ludzie; kto wprawniejszy bierze książkę i intonuje Gorzkie Żale, a towarzystwo chórem śpiewa godzinami, jeden drzemiąc gnuśnie, drugi w skruszeniu duszy swojej, bo gdy: „Opoki się twarde kraja, Z grobów umarli powstają,“ dla czegoż-by te serca kajać się i lkać nie miały. „Na ból męki Chrystusowej, Żal zdejmuje bez wymowy“ wszystkich. Gdy Misopust,—weselszy panuje nastrój; przepatrzowiny i namówiny—zapowiedzi i śluby jednych, zerwania i kwasy, zawody i nie-

¹⁾ Sitó w (rogoża) zrywają go oblupiwszy duszę z powłoki, suszą i używają miasto knota. Było tak dawniej; dziś nafta wyparowała staroświeckie sposoby oświetlania, o których tu mowa. Dawne kaganki wyobrażone są na Tab. LXV.

nawiść drugich stanowią przedmiot rozmowy. Godziny płyną jak potok, który szumi w głębokim łożysku na dworze; ogień dawno wygasł w kominie, jeno po węglach chwieją się popielate irzynie¹⁾, a kot zawinawszy łapki w rękawki, drzemie w ciepłe i spokoju, miasto „strzecz na myszy.” O północy, o pier-



Ryc. 138. *Spulérz, giby i stoják.* (z fotogramu)

wszej, z plonem pracy wracają prządki do domów. Wysoko, u zenitu stoi mały błyszczący miesięczek, a w blaskach jego promieni, cała dolina, ze śpiącymi chatami, wtulonymi w śniegi, lasy i regle okryte okiścią, a za niemi rzeźba gór—wszystko jak wyoksydowane w srebrze, wszystko owinięte w płaszcz

¹⁾ Zgoła nie wiem, jak pisze się ten piękny wyraz. Irzynią, czy jéżynią, oznacza spalone cienkie wiórki drzewa, heblowiny, które dają z siebie nie węgle, lecz perzyną—(*favilla*), jasno popielatą, zachowującą kształt zgorzałego wióra; każdy węgiel ma po wierzchu irzynią, ze spalonego papieru jest czarna irzynią.

tajemniczy, drzemie w wielkiej ciszy nocnej. Tylko w głębi jaru szumi potok ściśnięty w zamarzłym korycie, ciska się na prawo i lewo, wije wśród splątów lodowych, a miejscami ginie pod mostami lodu i śniegu — tam gdzie miał bieg spokojniejszy, by wychynać z pod lodu niżej, przelewając srebrzyste strugi wody przez przykry próg w łożysku. On jeden żyje w tej strasznej martwocie przyrody, on tylko rusza się na ziemi, rwie i szumi. Gonty chałup trzaskają od mrozu; metalicznie, rażąco skrzypi śnieg pod stopami, które wciąż nadeptują na krótki cień spieszącej prządki; z dalekiej polany chwiejąc się i drgając dolatuje złowieszcze wycie psa, napelniające serca lękiem przeczuć.

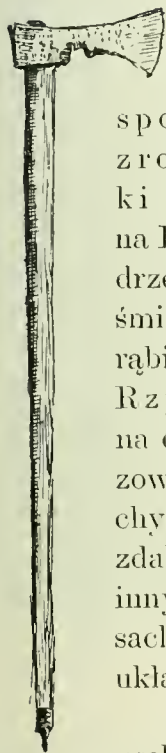
Dalszy stopień w długiej kolei robót około lnu stanowi tkanie. Warsztaty tkaćskie znajdują się po wszystkich wsiach i tkactwo stanowiło tu rozpowszechnione zajęcie. Zaluję bardzo, iż los nie pozwolił mi wejrzeć z bliska w to rękodzielnictwo, zapoznać się z terminami i przyrządami.

Z pomiędzy przyrządów dla ciekawości etnograficznej, podaję rysunek stojąka, gibów i spulérza, które służą do zwijania nici; a mianowicie: stoják stanowią dwie gibkie i dające się górnymi końcami odchyłać od siebie pionowe deszczulki osadzone nieruchomo w podstawie dolnymi końcami. Giby są dwa krzyże; czyli śmigi, dające się do siebie zesuwać, osadzone na wspólnej ośce, z rozpiętymi między nimi deszczuleczkami, na które wkłada się łokietek przędzy, poczem końce ośki wsadza się w doleczki rozchylonych końców górnych stojąka. Spulérz wreszcie służy do nawijania nitek z łokietka na szpulki. (ryc. 138 na str. poprz.).

Plótna wyrabiają czworakiego rodzaju: zgrzebne, pacześne, omiesne; z przędzy omiesnej zaś dobierają jeszcze najcieńsze nici z najlepszego lnu i z tego przędzywa robi się najwyższy gatunek plótna cienkie. Że te plótna domowej roboty, tak samo tu, jak na Litwie, Rusi, są najdoskonalsze i najtrwalsze, w porównaniu z którymi plótna fabryczne są lichotą w noszeniu, to wszystkim wtajemniczonym wiadomo.



Praca około lasu.



Wyraz las znaczy u górala nie tylko porost drzew gromadnie na pewnej przestrzeni rosnących, lecz zarazem i osobne drzewa. „Ka sporo rośnie, to jest długi las, taki je nądłuższy las co zrobi z niego 3 kłotki po 5 metrów na plazy; bo na deski będzie i pięć kłotków; i jesce wiérchowiec.“ Las zimą na Podhalu zatrudnia dużo męskiej ludności i sprzężaju. Jedni ścinają drzewa porębami, na reglach, w lasach dominjalnych, zwożąc śmigle smereki do piapierni w Zakopanem. Drudzy drewniarze rąbią drzewo na sajty—polana i rzyżnią, spuszcza ją z gór na dół. Rzyżnia jest koryto zbite z trzech żerdeł, dwóch po bokach, trzeciej na dnie, u dolnego końca są żerdki lukowato zagięte w górę i to się zowie cap; puszczone sajtą, pędząc wartko rzyżnią, nabiera takiej chyżości, że dobiegłszy do capu, wylatuje w górę wysoko, i pada zdala od rzyżni, około końca której pozostaje wolne miejsce dla innych sajt, puszcanych z góry. Wąglarze palą węgla po lasach; w tym celu urządzają ściec, t. j. kawał równej ziemi, na której układają grube bierwiona w stos, t. zw. miłę.

Inni znowu zajęci są po lasach wyjmowaniem sucharów, uschłych pni, i spuszczeniem ich na dół. Jeszcze inni chodzą po lesie i wybierają pnie na budulec; dzieje się to w marcu, gdy jeszcze soki w drzewie stoją. Czasami tylko ścinają latem pnie na deski, a wtedy ściętemu smrekowi lub jedli zostawiają kité zielonych gałęzi na ezubie; ścięte drzewo żyje czas jakiś i owe gałęzie zielone na wiérchowiecu wypijają, wysysają wszystek sok z pnia; jeśli przy ścinaniu wiérchowiec się obłamał wypadkiem, lub zaniedbano owej ostrożności. pień i deski z niego robaki stoczą, prędzej czy później.

Ryc. 139.
Ciupaga
Matei
z r. 1810.

Praca to, wogóle wzięwszy, twarda; gdy grono myśliwych dniami ca-
 lemi zimą tropi niedźwiedzia, czai się na losia lub pędzi za rogaczami—to
 wiadomo, że wybiera porę przyjazną: piękne dni, niewielki mróz, a w zapasie
 ma wódkę, bigos, przekąski i pieczenie. Góral idzie w las w każdym czasie, lub
 też wybiera się, gdy nie ostatnio, gdy już nie siarczasty mróz i nie straszna



Ryc. 140. *Grupa budarzy*¹⁾. (z fotogramu).

kurniawa; ale nie wie, czy do wieczora nie chwyci mróz trzaskający i nie
 przydybie go zawieja; a co najważniejsza, nie bierze ze sobą nic z pożywie-
 nia, albo co najwyżej twardego moskála, który lodowaty musi rozgryźć,
 zżuć, i ogrzać ciepłem swojego żołądka. Gdy myśliwy dobrze odziany w ko-
 żuszek i wełnę, w sążnistych butach, góral dygoce w swojej cuzeccc, a często
 musi dreptać, by nie odmrozić stóp obutych w kierbce i onuczki. Gdy

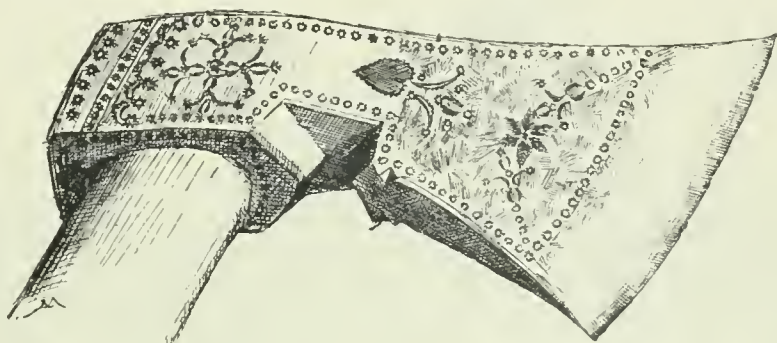
¹⁾ Budarz=cieśla.

w marcu śrenie ¹⁾ trzymają, chodzi się wygodnie po powierzchni śniegu; lecz gdy się warstewka łamie, lub przyszła odwilż, albo śreń się niewytworzyła, trzeba brnąć po głębokich śniegach, dobrze, gdy po kolana, bo czasami i po pas zapada się brodzący, z mozolem wyjmując nogi; gdy przewidział tę ewentualność, wziął ze sobą karple (Tab. LXII, rys. 1).

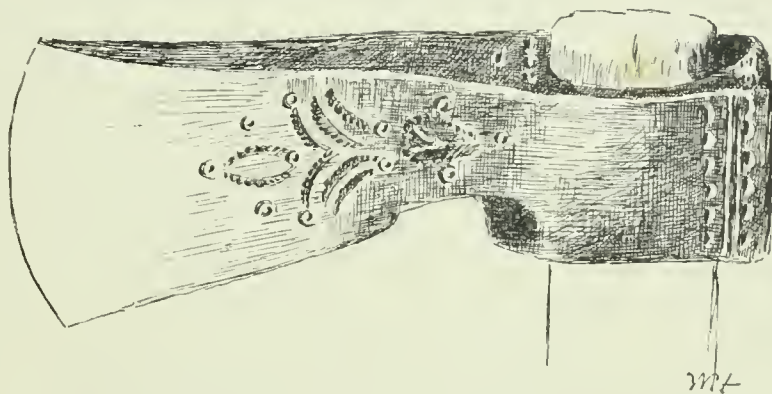
By wybrać budulec, który dziś ocalał tylko w odległych, dolinach, po najnieodstępniejszych ostepach w Starej Robocie, w Jarzębezej; trzeba chodzić dzień cały, utykać w śniegu, wspinać się na strome uboczy, zadzierać dobrze głowę, oceniając prostotę i udatność drzewa, a potem uderzając siekierą w pień postawić djagnozę zdrowia: jeśli burzy (dudni przy uderzeniu obuchem) — dudlawy, lub nadgnily — nicwart — szukaj dalej póki nie wycechujesz potrzebnej liczby.

Lecz gdy zaświeci marcowe słońce, owo dobre i ciepłe słońce, gdy zaleje ostep światłem, — wesola to robota, a góral, choć zajęty pracą, choć zwija się dzień cały, umie odczuć całą poezję tej cudnej natury; zdaje się nie zwraca uwagi, ani na szafirowe niebo, przeglądające wśród śmigających w górę smereków, ani na salwy śniegu, walącego się raz po raz, jak puch z gałęzi pod wpływem przygrzewających promieni, ani na ogniste syscáki (*Loxia*, krzyżodziób) wieszające się u szyszek i luszczące tłuste nasiona, ani na rudą wiewiórkę, chlustającą z konara na konar i otrząsającą tumany śniegu; on tego wszystkiego wprost, bezpośrednio, środkiem, że tak rzekę, świadomości nie percepuje — jak

¹⁾ Śreń, warstwa śniegu zlodowaciała: dniem od promieni słonecznych śnieg nieco taje na powierzchni, nocą marznie stajala warstewka.

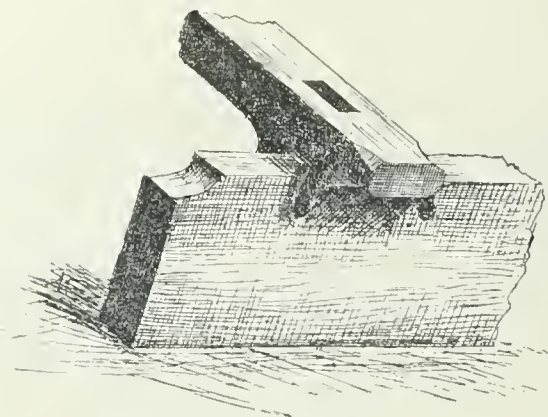


Ryc. 141. (rys. H. Mutlakowskiego)



Ryc. 142. *Siekierę*. (rys. p. S. Witkiewicza).

każdy zajęty czemś gorąco, jak żołnierz strzelający w boju, chirurg w czasie wielkiej operacji,—ale te uboczne obrazy, ta niebieszcz, jasność, blask światła i śniegu, cisza. wkradają się do duszy, jak wtór niezauważalny, a gdy przy

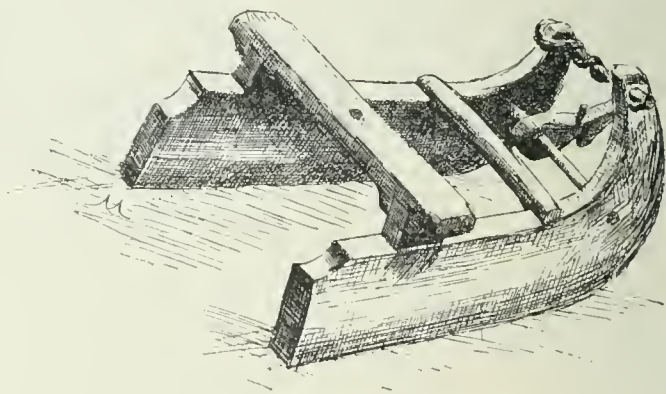


Ryc. 143. *Násád na Stramie.*
(rys. W. Matlakowskiego).

zdarzonej sposobności, po latach nawet zacznie opowiadać o swej pracy, zawsze rzuci barwny rys na pogodę, porę dnia, obraz natury, z kąd widać jak one zaryły się w pamięci. Na uboczach pod południe, gorąco zaczyna być przy chodzeniu i robocie siekierą i od słońca, i od promieni odbitych od śniegu; więc zrzucił robotnik serdak, lub cухę, mimo to znój skropił się na czole; blask jest taki, że ludzie dostają kurzopatrzu, a po dniu brodzenia wśród tego podwójnego światła, wraca ogorzały, jakby to był lipiec, a nie druga

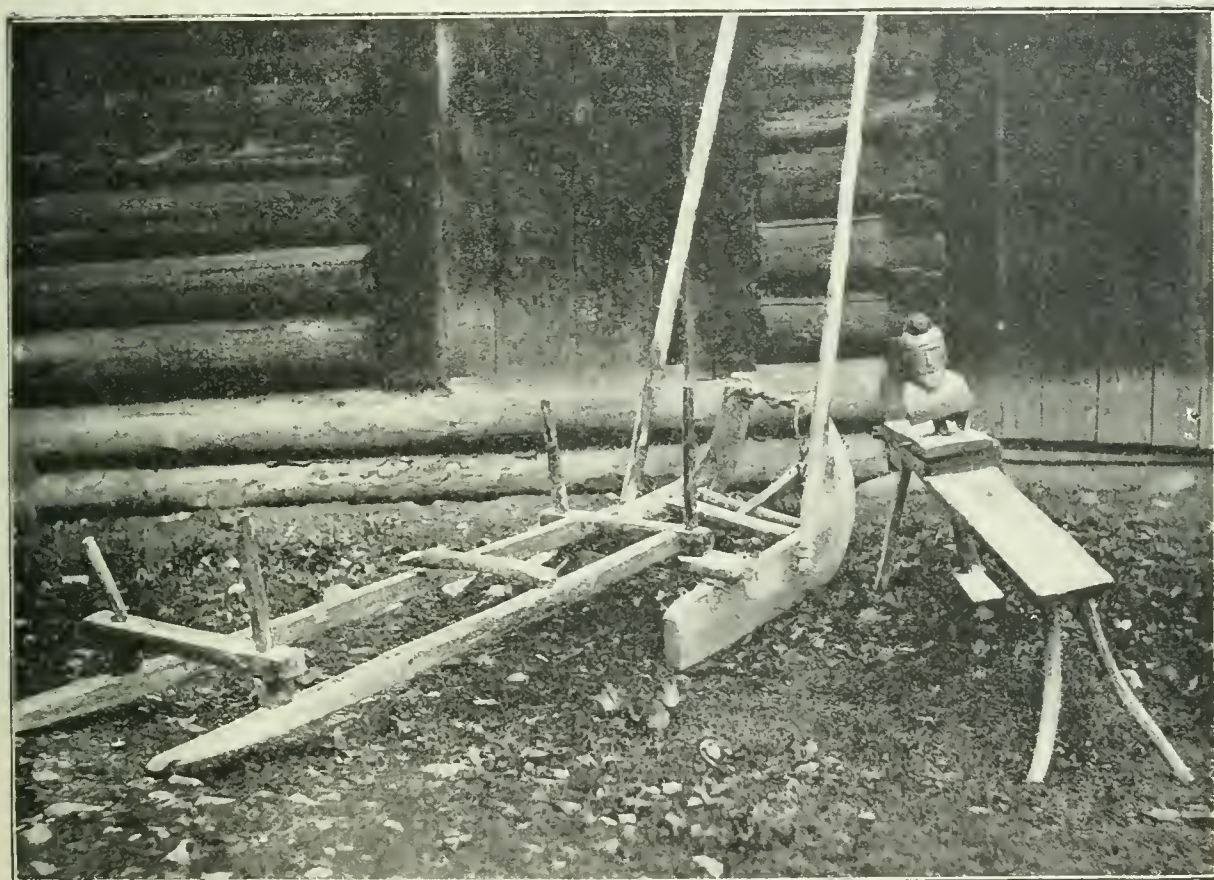
połowa marca. Życie to i zajęcie ma nieprzeparty urok swobody, pokonywania przeszkód, radzenia sobie w trudnem położeniu i obcowania z Przyrodą Wielką; wszak są ludzie co z miłości wstępują do Kanadyjskich i Północnoamerykańskich Towarzystw do zdobywania futer, i całe lata, lub życie całe, spędzają brodząc i blakając się po odwiecznych i drzemiących lasach Północy.

Zwożenie budulca i całych smreków odbywa się na gnatkach zaprzężonych zawsze w jednego konia. Gnatkę są to osobliwe sanie mające tylko jeden zadni nasad, bardzo zgrabne, czasem szczególnie ładnego kroju. Płozy, czyli, jak tu je zowią, Sanki, są bardzo szerokie, zakrzywione, zrobione z buka upatrzonego umyślnie, z krzywym maciecznym korzeniem. Na zadzie wmcowane są w nie stramy, niższe niż w saniach, przysadziste a mocne, jesionowe; na obu stramach leży násád brzostowy, tak że końce stram



Ryc. 144. *Gnatki.* (rys. W. Matlakowskiego).

wystają z dziur w nasadzie; (ryc. 143), nadto ku środkowi od tych końców są w nasadzie graniaste dziury na klonice, a w środku okrągła dziura na sworznię. Czasami nasad nie leży na stramach lecz bezpośrednio na wysokich płozach, przymocowany do nich, niby powrozem skreconym, uprażonym w parze, żywym smrekiem (p. ryc. 145). Na przedzie gnatki nie mają nasadu, a płozy spojone są poprzecznym kawałkiem drewna, „przejmą“ wdlubanym końcami w sannice. Jeszcze dalej ku przodowi obie płozy



Ryc. 145. *Gnatki i włóki sprężone.* (z fotogramu).

łączy tęgi kij poprzeczny, na którym „obyrta się“, to jest obraca, tak zwana suka, kawałek drewna, do którego przyczepia się orczyk. Nakoniec same czubki zakrzywionych nosów obu sannic wiąże rodzaj powróśla z wykręconego, młodego, a wyprążonego w parze smreczka (ryc. 144).

Do uzupełnienia gnatek należą włóki, które stanowią także rodzaj sani, ale o płozach prostych i nie szerokich, a długich; na zadzie płozy te mają także stramy z nasadem, a w nim dziury na klonice; z przodku obie płozy łączy poprzeczne drewno, t. z. przėjma, która w środku ma dziurę okrągłą, oraz po końcach dziury na kloniczki (ryc. 145).

Góral ma rozliczne pożytki z gnatek. Jak chce zimą przy dobrej sannie wozić siano z polany do domu, lub z dzierżawy na dzierżawę, kojarzy włóki z gnatkami, wstawia klonice i drabiny i wóz gotowy. Gdy do lasu swego jedzie po krzesane żywe gałęzie smreczyny lub jedliny na cetynę, na ściel, to sprzęga włóki z gnatkami tak samo, ale bez drabin, kładąc gałęzie między klonice. Gdy wywozi gnój, sprzęga włóki z gnatkami również, ale wstawia osłony, t. j. deski chroniące nawóz od wypadania w drodze.—Nakoniec, gdy jedzie do lasu po budulec, wyrzuca klonice, łączy tylko włóki z gnatkami; wladowawszy koniec od śniata, oduziemiec, na gnatki, i umocowawszy go tam łańcuchem, włóki rozwoździ precz w tył, i niedaleko od wierchowca podstawia pod pień, który jedzie niby na dwóch sankach, jak to u nas w równinach robią. Takie urządzenie zapewnia swobodę w skręcaniu, w nawracaniu na przykrych łukach drogi, dlatego, że odzimek pnia leży nie na nasadzie, lecz na kołowrocie, obracającym się na nim na sworzniu, który zezwala na ruchy boczne gnatek.

Zamiast zaczepiać orezyki o suki, bardzo często górale umocowują do sanie bezpośrednio wojniczki (holobelki), jak to właśnie widać na ryc. 145, i pomiędzy nie wprzegają konika; wtedy suka drynda się „po próżnicy.” Suka robi się z najtwardszego kawałka drzewa jesionowego lub bukowego, z pareni¹⁾ lub sęka.

Zwózka drzewa idzie łatwo, raz dla tego, że odbywa się z góry na dół, z wyjątkiem nieznacznych wirchów, gdzie droga „do brzézku;“²⁾ tam woźnica zsiada i wołaniem, emokaniem zachęca mierzynka, a w razie potrzeby, gdy kóniosko stanęło, a płozy przymarzają do śniegu, i kólikiem poruszy gnatki z miejsca; drugi raz dla tego, że bywa tu tygodniami całemi, a nawet miesiącami wyborowa samna. Gdy w październiku lub listopadzie przykurzy, w grudniu dosypie nieraz metrowy i grubszy śnieg, ścielę się najdoskonalsza droga, którą dziesiątki gnatek, jadących codzień do lasu i z niego przetorowują i ujeżdża jak stół. Woźnica siedzi okrakiem na oduziemcu,

¹⁾ Sękaty, twardy zawiły pniak.

²⁾ Specjalne wyrażenie; góral wprawdzie rozumie nasze „pod górę,” ale go nigdy nie używa o drodze, tylko „do brzyzku.”

lub bokiem, pukając stopą o ostopę. lub gdy zimno, zagrzewa się biegnąc. Mkną gnatki za gnatkami; na każdym śliczny, biegły, prosty jak świeca, smerek, sunie się jak czarny płaz po śnieżnym gościńcu: robota więc niezbyt ciężka, jeno zimno przejmuje. Co najwięcej gdy gnatki na jakim „ugonie,” na skęćie drogi, wykowyrtną się, czeka praca wkładania drzewa poraz wtóry: a ugony, czyli uciecki¹⁾, gdzie przejeżdża setki sani,



Ryc. 146. *Majstrowie budarscy: Josiek Gąsienica, Stachoń i Staszek Bobak. (z fotogramu).*

wybijają głębokie i niebezpieczne przy wartkiej, a nieuważnej jeździe; widziałem jak wywracające się gnatki obalily zarazem konia między wojniczkami (holoble). Inaczej rzecz się ma, gdy zepsowała się droga: gdy zrobi się lodowica (gołoledź), gdy pada oźłóć, t. j. deszcz ze śniegiem, i marznie, gdy z wirchów wichry zdarły śnieg, lub gdy zmienacka, zdaleka ode wsi

¹⁾ Ugon, v. uciecka, v. ugonek, miejsce na skęćie drogi, gdzie pochyłona bok, i skutkiem tego sanie uganijają, umykają na bok, wybijając jeszcze dalej burt śniegu (na Mazowszu zatór).

napadnie dujawięca, lub zamieć, a wybity z sil koń iść nie może, nieraz pada na drodze spocony ciągnąc pod ostry wiatr. Łońskiego roku na Obidowej w mgnieniu oka wichura zmiotła z bitego gościńca dwa wozy z budulcem, szczęściem w jar niegłęboki, tak, że ludzie i konie wyszli żywo; ale ile napracować się musieli, nim się wydobyli z parowu! Dość często zdarzają się nieszczęsne przypadki przy rąbaniu drzewa w lesie.

Przyszedł wieczór. Szereg gnatków wraca po dziennej pracy do domu; zwiedzione włóki z gnatkami w jedną całość; na pustym miechu obroku siedzi prawie w kuczki skulony, przeziębły góral, w cuze na rękawy; ten z przewiązanymi chustą uszami, ów z zawiązanym nosem i ustami, tylko mu oczy widać. Oszadziałe, nasierściałe koniki także wydają się jakby skulone. Szereg mknie równo, cicho, tylko słychać miarowe klekotanie wojniczek o plozy, lub orezyka o nosy sannie; krótkim jakby zamarzłym glosem, jakby i on zasipnął, ¹⁾ pojękuje dzwoneczek. Prześlizguje się cały szereg po wyslizganym gościńcu; rzadki przechodeń ustępuje z kolei, wpadając po brzuch we śnieg głęboki. Na każdym ugonie w takt każde gnatki bujną się w bok, wygina się, jak wąż, cały szereg; wolniej jazda do brzódku, przesuwają się przez pagórek i giną za wirchem, nierówno jeden koń za drugim. W powietrzu polatują zwolna, jakby od niechcenia, ciche płateczki śniegu, jak poskubany papier, a bliższe góry, regle, laski, gaje, świat cały, wygląda jak malowany pastelami, niewyraźny majacejący i senny.



Ryc. 147. *Gwiazda z siekiery
wykuta w żelazie.*

¹⁾ Zachrypl.

Odzież.

Odzież ludu na Podhalu nie dorównywa barwnością ubiorom Krakowiaków lub Huculów, pełną jednak jest charakteru i odrębności, i godną obszerniejszego, niż ten, opisu, oraz szczegółowych ilustracyj; okoliczności nie pozwoliły mi zebrać odpowiedniego materiału, muszę poprzestać niemal na pobieżnem wyszczególnieniu. Odzież ta ma tę zaletę, iż przedziwnie uwydatnia zręczność; osobny, że tak rzec, pokrój, w postawie i chodzie, w trzymaniu się i ruchach, który tak uderza każdego przyjeżdżającego tutaj i przypatrującego się tutejszemu ludowi. Gibkość i sprężystość zachowują górale do lat dojrzałych, nieraz do podeszłego wieku; młodzieńcom i parobkom w latach popisowych napatrzeć się dość nie można, jak idą na dół czy pod górę, czy wspinają się, lub stoją; jak gdyby mieli osobną metodę stąpania, t. j. stawiania stóp, tak lekko stawiają je, tak sprężyste zginają i wyprostowują nogi, z giętkością łydek, z przedziwnym ruchem i osadą tułowia. W porównaniu z nimi lud południowy francuzki, niemiecki i polski chłop z równin, robi wrażenie „*lourdaud*.“ Otóż odzież z tej lekkości i zgrabności nie nie utaja, owszem opięte spodnie ruch, wygiętość, i grę łydek uwydatniają.

Koszulę z zgrzebnego, grubego płótna,—bo zawsze grube „*chódniej-sze*“—spina sobie góral pod szyją i na piersiach spinkami mosiężnymi, których przeróżne kształty i zdobienie czytelnik znajdzie na Tablicach LI, LII i LIII. Wyrabiano je dawniej w Ratulowie według własnych pomysłów i tradycji. Niektóre ze spinek są prześliczne, pełne charakteru i stylu, oryginalnie pomyslane. Spodnie czyli t. zw. portki z białego grubego sukna, ściśle



Ryc. 14S. *Sabala*. (z fotogramu).

obejmują nogę i uwydatniają jej kształty; u dołu na zewnętrznej stronie z rozporkiem. bywają wyszywane welnianym kolorowym sznurowadkiem ponsowym i granatowym wzdłuż szwu zewnętrznego, przyczem pod rozporkiem na kieszeń,



Ryc. 149. *Góral z Zakopanego.* (z fotogramu).

i nad rozporkiem dolnym wyszycie są pieski (ryc. 56 na str. 32), u góry na udzie parzenica (ryc. 61 na str. 33); wyszycie wzdłuż szwu albo w taśmę czasami bardzo szeroką, lub w gadzika (por. ryc. 26 na str. 24), lecz około dolnego rozporka stale prawie w mirwę (por. ryc. 7 na str. 20); taśma

z jednej nogawicy przechodzi przez pośladki na drugą nogawicę. Nad dolnym rozporkiem nastrzępiony kolorowy pompon (ryc. 8 na str. 20).

Obuwie stanowią kérbee, (na Orawie zwane chodakami), trzewiki domowej roboty, z żółtej skóry, zawsze krajane według pewnego typu, które góral nadziewa na stopy, obwinięte w białe onyeki. W ostatnich czasach zamożniejsi zaczęli nosić buty z wysokimi, a sztywnymi cholewami, w które wpuszczają spodnie. W pasie podtrzymuje góral dolne ubranie paskiem, który podczas wszelkiej roboty, przy koście, czy ciesielce, opuszcza sobie luźno na pośladki.

Starsi górale, zwłaszcza w podróży, baco wie na hali, noszą opaski, t. j. pasy bardzo szerokie, opasujące prawie cały brzuch. Opasek jest ozdobiście wytłaczany; na górnym brzegu ma skórzaną zakładkę z rąbkim wycinanym w ząbceczki—i okrągłe dziurki; na przedzie posiada obszerną torebkę, ozdobiście spinkami mosiężnymi nabijaną; zapina się również na podłużne sprzążki mosiężne. Cały opasek widać na ryc. 91, str. 49, zaś wytłaczanie na Tablicach LIV i LV. Opaski częściej widuje się po tamtej stronie Tatr, u Lipiaków i Orawiaków, niż po tej stronie.

Zwierzchnie ubranie stanowi cucha (wymawiaj cu'a, zdrobniale: cuezeka). Codo barwy bywają cuchy dwojakie: białe i bure; te ostatnie wchodzi znowu obecnie w modę i młodzież zamożniejsza, zważająca na strojność, przeważnie je nosi.

Cuchy są osobliwego kroju, i tylko uznany krawiec umie zrobić modną, zgrabną; co do kroju bywają trojakie: samorodne, tak osobliwie krajane, że całe plecy, oba rękawy i górne części piersi są z jednej sztuki: rękawy mają tylko po jednym szwie na wewnątrz, t. j. od boku; reszta piersi i poły z przodu są znowu z jednej sztuki (po każdej stronie): wreszcie przychodzą na bokach u dołu kliny; tym sposobem cucha zszyta jest z 5 kawałków. W innym rodzaju kroju jest szew na poprzek przez samą plecy; w trzecim wreszcie wypada szew na plecach zgóry na dół. Kraj cuchy, żeby się sukno nie wyparzkowało bywa obrzucony grubą nitką, czyli jak tu mówią obszuty „na owijkę.“ Biała cucha bywa wyszywaną zielonem sukniem w pewien typowy sposób, z małymi odmianami w ozdobości. Wzdłuż kraju przedniego i spodniego wyszyta jest paskiem zielonego sukna szerokości $1\frac{1}{2}$ ctm.: wzdłuż brzegu zewnętrznego tego paska (t. j. od strony kraja cuchy), naszyta jest granatowa plecionka, obok niej biała; po samym zaś brzegu wewnętrznym tego paska, (t. j. od strony sukna cuchy), przyszyty czerwony sznureczek. Naokoło „szyje“ idzie takie samo wyszycie, a nadto drugi pasek z zielonego sukna, na jednym kraju wykrawany w półkoliste ząbki; ten ząbkowany kraj obrzeżony jest czerwonym sznu

reczkiem. Ten drugi pasek odsunięty od pierwszego na 1 ctm. Rękawy około rąk obszyte tak jak około kołnierza, z tą różnicą, iż czasami odstęp między paskami wyszyty w mirwę sznureczkami wełnianymi: granatowym i czerwonym na przemiany. Nadto otwór poprzeczny na kieszeń, na lewej piersi, obszyty prosto suknem zielonem, a nadto pod brodą, gdzie się cuhę zapina, są wyszyte parzeniczki sznureczkiem granatowym i czerwonym.

Cuhę białą góral przeważnie nosi zarzuconą na barki, po junacku, wiążąc ją sobie pod szyją wstążką czerwoną, przewleczoną przez „kosiłki”¹⁾, t. j. dziurki (jak nasze dziurki do guzików). Tylko w mrozy nadziewa ją na rękawy.

Bura cuha bywa przeważnie noszoną na rękawy, wyszywana bywa podobnie jak i biała, ale czerwonym sznureczkiem, zamiast zielonego sukna;— nadto tem się różni w wyszyciu, iż tam gdzie między przód, czyli połą, i plecy wstawiony jest klin, t. j. po wdzianiu cuhy na siebie mniej więcej od pasa ku dołowi, na obu bokach posiada widełkowato rozchodzące się ku dołowi naszycie czerwonym sznureczkiem, zwane kleszcze; tu z jednej strony bywa rozpór do kieszeni. Ramię przednie kleszczy jest znacznie dłuższe od zadniego. Cuchy i portki szyją krawcy wiejscy, górale — gazdowie.

Cały prawie rok, bo i latem z wyjątkiem najgorętszych dni i przy pracy nosi góral serdak, kożuszek barani bez rękawów, mało co dłuższy od stanu, w pogodę kudłami do ciała, a cynamonowo-zielonkawą skórą do pola, w deszcz kudłami na wierzch; z czarnych owiec są znacznie droższe od serdaków białych i siwych. Serdaki bywają bardzo ozdobiennie wyszywane w kwiatki, leluje i t. p. roślinności, różnobarwnym: czerwonym, zielonym, szafirowym, żółtym i t. d. jedwabiem, oraz naszywane paskami czerwonego safjanu, na wszystkich szwach i brzegach, prócz otworów na ręce. Rozmaitość barw i wykrawania pasków safjanu bywa znaczną, i zmienia się z czasem; najoryginalniejsze spotykałem wyszycia na starych, znoszonych serdakach. Na plecach u góry, poniżej kołnierza, bardzo często bywa wyszyty ornament, niby cebula lub karczoch na przekroju, złożona z grubych liści. Na dole na plecach nad brzegiem wyhaftowana znowu jedwabiem leluja. Przykład zdobienia najprostszego znajdzie czytelnik na Tabl. LVI. Paski safjanu po brzegu, lub środkiem, przesywane są wążuteczką krajką safjanową, wciąż przewijaną, tak, że tworzy się niby warkoczyk. Opisywać rozmaitych odmian zdobienia serdaków nie widzę potrzeby; dobre pojęcie dać mogłyby tylko chromolitografowane rysunki.

¹⁾ Ztąd oryginalne nazwy na różne rodzaje wiązania: na pojedynczą kosiłkę—na pojedynczy zadziernik; na podwójną kosiłkę—na podwójny zadziernik.

Gdy tęgie mrozy, a góral dostatni, kładzie na siebie dla ciepła kaftan flanelowy, na to serdak i dopiero cuhę.

Nakrycie głowy stanowi znany, zgrabny, czarny kapelusik, z małą krymką, z prostym miernem rondkiem i opaską z muszelek. Wziasie wiatru trzyma się kapeluszek pod brodą zapomocą zawa dła.

Zimową porą zamożniejsi odziewają się o tyle inaczej, iż na głowę kładą czapkę ze skórki czarnego jagnięcia, kozuchem na wierzch; na górze sterczy czubek z kudłów; naokoło głowy zaś obrąbek z wyższemi kudłami; gdy luty mróz, a zwłaszcza przy zimnie wiatr i siekawica, góral odwija sobie ten obrąbek na uszy, czoło, policzki i kark, tak że mu jeno oczy widać.

Miasto serdaka i cuhy bogatsi miewają Kozuski, t. zw. białcańskie, t. j. krótkie, w pół ud, kozuchy z rękawami, białe, kudłami do nuka obrócone, a okolo rąk, karku i na dolnym kraju obłożone na szerokość 2—3 palcy oblanką z zeszytych kwadracików skóry z białą i czarną, a krótką welną. Oprócz tych wyrabiają w Nowym Targu chrześcijańscy kuśnierze inne, podobne kozuski, tylko nieco dłuższe, bardzo ozdobnie, suto i ślicznie wyszywane szafirowym i czerwonym sznureczkiem welnianym, wykładane safjanem; żałuję iż nie mogę dać kolorowej tablicy, opis jest niepodobny, a rysunek bezbarwny.

Nakoniec zimową odzież uzupełniają rękawice z długimi cholewkami, suto, grube, z welny, z jednym palcem; wyrabiane są z przędzy welnianej w dwie barwy: białą i buro-siwą, zawsze typowo w jeden i ten sam deseń; są „smuziaste.”

Na nogi nawet w najsurowszą zimę, nawet „hruby“ t. j. bogaty, byle staroświecki góral, nadziewa tylko kierzec, chyba co najwyżej, popod onycki z grubszego sukna, nawija jeszcze podwijánki płócienne, aby było grubiej; jedynie młode, bogate parobczaki, przენiewierzają się temu zwyczajowi, i noszą buty z twardemi cholewami, do czego nabierają upodobania w wojsku.

Męskie ubranie u górali jest tak śliczne i tak pięknie sharmonizowane z naturą: białemi śniegami wciągu ośmiu miesięcy w dolinie, a przez cały rok w żłebach i między turniami, że mu się napatrzyć nie można; szaty, aczkolwiek podobne z gruba do przyodziewku Orawiaków i wogóle Słowaków, sąsiadujących tuż za granicą, wszelako krojem różne, tak że odrazu poznasz i odróżnisz Słowaka—druciarza, lub okniarza (wprawiającego szyby) i kupca z Orawy.

Nie można tego powiedzieć o przyodziewku niewieścim. Białogłowskie obleczenie jest bez charakteru, brzydkie i nowożytnie; a najbrzydszy jest zwyczaj nakrywania głów latem chusteczkami kolorowemi, kupionemi na

kramach, zasłaniającemi to, co najpiękniejszego, w człowieku: głowę, jej powłóczki i t. d.: zimną zaś grubemi chustkami, które stapiają głowę z tulinem, jak u fok. Piękne uwydatniające stan i kształty gorseciki z czarnego aksamitu, są jeszcze noszone, ale pod spodem, pod chustką, a w dodatku coraz bardziej ustępują miejsca kaftanikom, wiszącym jak worki około pasa, szytym z tandetnych perkalów fabrycznych. Dziewuchy i młode gaździny kładą na siebie po kilka, jeśli nie po kilkanaście spódnic perkalowych, różnobarwnych z fabrycznego materiału; gdy gorąco, w tańcu, zdejmują jedną po drugiej. W tyłu okrywach wyglądają nieco w kłębach za ciężko. Na spódnicy z przodu leży za paską obrzydły wyraz u nas w równinach fartuch), najeźsiej biała i na dole ładnie haftowana. Obuwają się zamóżniejsze, zwłaszcza w Zakopanem, przeważnie w trzewiki; chwilowa moda wymaga wysokich obcasów, lecz po wsiach dawnym zwyczajem noszą kierzce (p. Tabl. LVII, rys. 2), prawie jedyny zabytek dawnego przyodziewku, który zwłaszcza przy kusej spódnicy, uwydatnia wyjątkowo małe, zgrabne, wysokie w narcie stopy tego ludu, i prześlizgnięty elastyczny, giętki, wartki chód, który tak zachwycał Homera u jego herojów. Kierzce mężczyźni przywiązują częściej rzemykiem, kobiety zaś obwinawszy nogę i łydkę bieluchnonycką, bardzo obcisłe, obwiązują ją wokół łydki na nodze nawłóka, t. j. dość grubym sznureczkiem burym. Nawłóka ma na jednym końcu pętlę;



Ryc. 150. *Strój niewiasty zamężnej i dziewczynki.* (z fotogramu).

przewłókszy przez nią drugi koniec nawłóki, wdziewa na nogę, przyciska do łydki onyckę, poczem obwija nawłókę raz koło razu niby, tak jak leży obrączka koło obręczy na beczce, poczem tak utwierdziwszy u góry onyckę, w ukos po pięcie zbiega nawłóka do jednej kosiłki, t. j. rozporka w kierbecu, z tyłu, potem do drugiej dziurki z tyłu, potem z przodu na narcie i tak przymocowywa się kierbec do stopy, która w tem obuciu wygląda tak elegancko, że trzewik najzgrabniejszy jest w porównaniu czemś grubem, kryjącem kształt stopy; to obuwie ma w sobie coś starożytnego, greckiego, klasycznego.



Ryc. 151. *Stopa góralki w kierbecu.* (rys. p. S. Witkiewicza).

Zimową porą, w kopne drogi, gdy tęgi mróz i suchy śnieg, kobiety noszą kapce, t. j. buty z cholewami, ale szyte z grubego białego lub burego sukna. Kapce noszą też i chłopci; jest to wyborne, ciepłe obuwie, bardzo zastosowane do warunków miejscowych. —

Koszula zazwyczaj, tak jak na Mazowszu, ma nadolek, t. j. dolna połowa, od pasa, niewidoczna dla świata, jest ze zgrzebnego, górna zaś z cieńszego płótna.

„Drzewiej“ strój kobiecy był charakterystyczniejszy. Na głowach nosiły zawiązkę, t. j. rodzaj ręcznika z wyszywanymi końcami, który upinało się na głowie; przez plecy i ramiona, jak szal, nosiły białe płócienne rańtuchy ładnie haftowane; dziś tylko w ustronniejszych zakąt-

kach dochował się ten szczegół stroju. Stan opinały w bardzo strojne gorseiki, wykrojone u góry, powycinane w zęby u dołu ¹⁾. Oczywiście stać na nie było tylko bogate gaździny, gdyż były z kosztownego jedwabnego adamaszku; kilka, które widziałem wykupione przez malarzy i zbieraczy, zrobione były ze staroświeckiej, bardzo pięknej materji, i dostały się w spadku po babkach i prababkach społecznemu pokoleniu.

Zimą zamożniejsze góralki noszą białczańskie kożuszki, uboższe, w braku wełnianych chustek i kaftanów, nadziewiają meżowską cuzeckę.



Ryc. 152. *Stara góralka w kożuchu białczańskim, (z fotogramu).*

¹⁾ por. ryciny 137 i 138 na str. 141 i 143.



Ryc. 153. *Różne sprzęty domowe góralskie, ze zbiorów pp. Dembowskich. (z fotogramu).*

Strawa.

Pod względem bytowym i fizjologicznym żywienie się górali jest niezmiernie ciekawem i nastęcza kilka głębokich pytań. Z punktu widzenia naszego smaku i naszego podniebienia, wszystko co ten lud jada, jest nieznośnem, jeśli nie wstrętnem. Z punktu fizjologicznego jest tak dalekiem od średniej, przeciętnej normy białka, węglowodorów i tłuszczow, wymaganych przez powagi i ich dzieła najbardziej uznane, iż cały ten lud górski wymrzećby winien oddawna; jeśli nie wymrzeć, to ciągle chorować na nieżyt jelit i żołądka. A tu nietylko nie wymiera, lecz owszem kraina jest grubo przeludnioną ponad miarę; nietylko nie choruje na przewód pokarmowy, lecz jest zdrow, i o ile sądzić na oko (przyznaję, iż marna to miara), nie gorzej się przedstawia od ludu naszego z innych okolic kraju. Porównywanie z ludami innych krajów np. ze Szkotami i Szwedami, co do rośności—tymi najpyszniejszymi przedstawicielami plemienia germańskiego,—i wyciąganie z tego

porównania grubych wniosków co do niższości, zwyrodnienia naszej krwi, jest metodą nie ścisłą, nie liczy się bowiem z wielu okolicznościami i niewprowadza we wzór wielu współczynników, które w niego absolutnie włączone być muszą. Zresztą zależy to od punktu, do którego pisarz zmierza, czy wynik jego badań wypadnie ujemnie lub dodatnio. Jeśli postawić sobie przed oczyma takie ideały, jak pojemność żywotna (*capacité vitale*), waga ciała w kilogramach, wzrost i t. p.—to lud tutejszy daleki od idealu, a nawet od przeciętnej normy. Lecz jeśli wziąć pod uwagę: płodność, długowieczność, sprawność mechaniczną, dzielność roboczą, t. j. najwyższą możliwie rozwiniętą pracę mechaniczną, przy bajecznie małym i prostym pożywieniu, wytrzymałość na trudy, spryt, obrotność i inteligencją, t. j. zdolność utajoną do przyjęcia w siebie i zużytkowania cywilizacyjnych wymagań i nabytków, przebudowania się w formy kulturowe—to, o ile sądzić można bez ścisłej statystyki, lud tutejszy wytrzymuje korzystnie porównanie z innymi; sam fakt wybijania się i dawania sobie rady w Ameryce północnej, przysyłanie zarobku rodzinie, dodatnio świadczy o góralu. Żałować należy, iż nie znalazł się jaki lekarz pod Tatrami z idealnymi porywami, któryby w chwilach wolnych opracował statystykę urodzeń, śmiertelności, długowieczności w tutejszych parafjach i t. p. Nim to nastąpi, wciąż musimy się posługiwać literacką t. j. nie naukową metodą, gołosłownym twierdzeniem.

Przedewszystkiem, co do jadła, panuje wielka jednostajność w przedmiotach żywności: 1) k i s z z o n e mleko,—góral, z wyjątkiem dzieci, nie używa prażonego mleka, ani naszego kiszzonego, — masło, maślanka, i o w c z y s é r; krowiego séra wcale nie robią i nie jedzą nigdy. 2) o w s i a n a m ą k a, 3) g r u l e, t. j. ziemniaki, 4) k a p u s t a. O to są powszechne, codzienne, wyłączne materiały spożywcze. Inne zjawiają się czasami, tu należą: k a r p i e l e, czyli brukiew, r z e p a, inaczej zwana g r y z u ł a, b ó b, oraz w i e p r z o w i n a i t ł u s z c z e z niej: s a d ł o i s ł o n i n a; wreszcie o l e j l n i a n y. W ostatnich czasach rozpowszechniła się kukurydza, z którą górale postępują tak jak z owsem.

Są urzędowo, że tak rzec, cztery pory jedania; śniadanie, obiad v. p o l e d n i n a, j u z y n a (podwieczorek) i w i e c z e r z a: ale je zachowuje jéno bogaty, a lubiący jeść. — a takich tu mało; bo i zamożni wolą oszczędzać, ciulać grosz. Więc warzą strawę właściwie na śniadanie i wieczerzę; „jak się zwysy ze śniadania, to jedzą poledninę,” to znaczy, jeśli nie zostanie nic ze śniadania, to nie obiadują; jeśli się co „zwysy,” to już jedzą na zimno, chyba że robotnik w domu, to już muszą uwarzyć nanowo. Istnieje więc bajeczny systemat oszczędności, a raczej nie oszczędności, ale wyliczania się, z okiem wiekuiście zwróconem na jutro.

Menu jest zawsze jedno i to samo prawie przez rok cały: na śniadanie

albo naskrobią gruli, uwarzą, omaszczą masłem, uskwarzywszy je do czerwona, jeśli jest słonina, to okraszają słoninką lub sadłem; albo zawarzą wody aż do „prędów“¹⁾; nasują mąki owsianej, mieszając aż się zrobi gąszcz; to się zowie kluska, którą warzą na cały dzień, albo i na dwa, „przez oszczędność paliwa;“ do kluski omasta taka sama: masło uskwarzone lub śadło.

Lecz najlepsza okrasa czy do gruli, czy do kluski, kiszczone mleko: zrobiwszy w klusce na środku misy dołek naleją tam mleka, a „useypawsy kluski łyżką, macają w mleku.“

W post ta sama kluska lub grule, lecz z mlekiem, kwaśnicą czyli kisielem, t. j. sokiem, jaki puszcza ze siebie kiszona kapusta lub z zurem. Ten ostatni bogaci przygotowują z mąki owsianej, którą sypie się do wody i pozwala ukisnąć; biedni z kwaśnicy. Drzewiej cały wielki post jadali bez mleka, i bez masła! obecnie z pozwolenia władzy duchownej jadają mleczywo.

Chleb powszechnie, prawie jedynie będący w użyciu, stanowią owsiane moskále t. j. podplomyki praśne. Moskál z jarcu zjawia się na stole bogacza, a kwaśny chleb stanowi rzadkość. Teraz dopiero, w ostatnich czasach, gdy rozmnożyły się zarobki, i siaki-taki grosz kapnie do ręki, kupują chleb pytlowy, wypieczony, który piekarze rozwożą w niedziele i dni targowe; lecz przedtem, jeszcze nie dawno temu, gdy góral ledwie wykrobać mógł coś gotowych pieniędzy na podatki, nie widział nigdy chleba u siebie.

Co do kapusty, to „pojedni oparzowali główki w kotliku i kładli do becki, i to się nazywá kapusta krzakowá, a tę poznás, bo twardá.“ Drudzy wolą skrażyc, t. j. porznąć na krážáku (szatkownica), i ta się nazywa krážaná; ta oczywiście jest lepszą.

„Miso,“ i to tylko wieprzowe, zjawia się na stole jedynie zamożniejszych, i to tylko w jednej porze w „misopust.“ Na ten cel zostawiają jakiego dwornia ka, wieprzaka samopas latem chodzącego koło domu; na jesieni sadzają go do karmika, a skoro się utuczy, zakolá po Godach; „z krwie“ robią kiszki, dodając do niej kaszy owsianej albo jarcowej; wybierają z wnętrzości sadło i obszywają w błonę „jak obońkę.“ To sadło i półcie słoniny wieszają na buncie, na poddaszu, gdzie w dymie zwolna zaca dnie, a przynajmniej nie „skocorze,“ t. j. nie oślužnieje i nie butwieje. Słonina służy z roku na rok, lub czasem i dwa lata. Pozostałe części: głowiznę, podgardle, mostek, grzbietówkę, krzyże, ogon, szynki, nogi, jedzą uwarzywszy do gruli, karpielei lub kapusty.

Inne mięso jada góral tylko w razie nieszczęścia: gdy dobieje chorą lub zabitą z upadku: krowę, owcę albo kozę.

¹⁾ Prędy, w potoku wartko spadająca, balwaniąca się woda, angielskie: *rapids*.

Oto żywność górala: i nie uskarżyłby się na nią: nie tylko nie uskarży się, ale jeszcze sobie to wszystko chwali. *Zle w tem, że tego skromnego jadła często-gęsto nie staje.* Nie na jakość uzali się, lecz na ilość. A że ten brak musiał często doskwierać ludziom, okazuje się z licznych opowiadań wiarogodnych ludzi, lub prawem kontrastu wywnioskować się daje z ich pochwał, z ich pojęć o zbytku. „Nasul mąki owsianej na maślankę, zamieszał i jąd; a inni patrzący nazywali to specyjál, i ślina im leciała,“ powiada Wojtek Ráj.—„Brat jego buł loter, zone zabił i trzeba go było obiesić; a i ta Józkowa Smasia: i to niecudná (nieciekawa, licha) kobiéta: wysła ku kościolowi do Poronina (czasy kiedy nie było parafji w Zakopanem), to nigdy bez moskálieka nie posła,“ opowiadał Józek Chramiec, poważny człowiek; w oczach jego było to zbyt wielkie dogadzanie ciała.

Wszyscy, nie tylko starzy ludzie, jak Sabala, Miál Walcák, Spyrkowski, lecz wogóle podeszlejsi w leciech, opowiadają o latach głodu. Sławne „roki twarde“ często są wspomniane; ziemniaki podówczas mało były rozpowszechnione; płone owsy, nieurodzaj na rzepe, slotne lata, wczesne i długie zimy. Błdzi i slaniający się ludzie, doczekawszy wreszcie wiosny, zbierali „trawę“ wszelaką: gąsiorkę (*Alchemilla*), scér bák (*Cirsium* bodaj *oleraceum*), podbielinę (*Tussilago*), a nadewszystko jako delicje: kmin, lobodę (*Atriplex bonus Henricus*), i gotowali z niej warmuż, radzi jeśli było nieco masła lub mleka na omastę. Wyrywali korzenie „pérzu,“ siekali, suszyli, męli na mąkę. Pasterze objadali młode pąkowie na bukach i jaworach, a cała ludność obrywała na żywność májki, t. j. pączki na męzki kwiat ze smereków, i limb i jadła z upodobaniem jako przysmak. Nie tylko zbierano grzyby znane z dobroci: prawdziwe, liski (*Cantharellus*), gliwy („straśnie dobre, rządka mi rosna“), krowiarki („co po pniak rosna“), stępki („wspodku wąskie, a od wirchu syrse“), ale i takie, co nie chętnie są jadane: piestráki, siwki, lańcule, jasionie, lub wcale nie jadane jak: krowie pyski, kozie brody, biéle: nie ruszali jednej tylko musárki—bo truczna.

Nie mało wymarło na obłożnicę (tyfus) z głodu.—Ale i wtedy dzielniejszy po stoicku znosił swoją dolę, „wziął suchej mąki owsianej, dolął zimnej wody, i zarobił na „zaciorkę,“ jak się kurom zarabiá, i zjád—i klepál tak ze az dźwięcało“ powiada Ráj o sobie.

Na swoje jadło zapatruje się góral optymistycznie; teraz zdaniem starszyny, więcej i lepiej jedzą, a robotnik płońszy i próżniaczy. „Gotowali kluskę z owsianej mąki; pojeden zjád jój jak piésć i były łopy zdrowe, cérwone, rosłe jak dęby.“

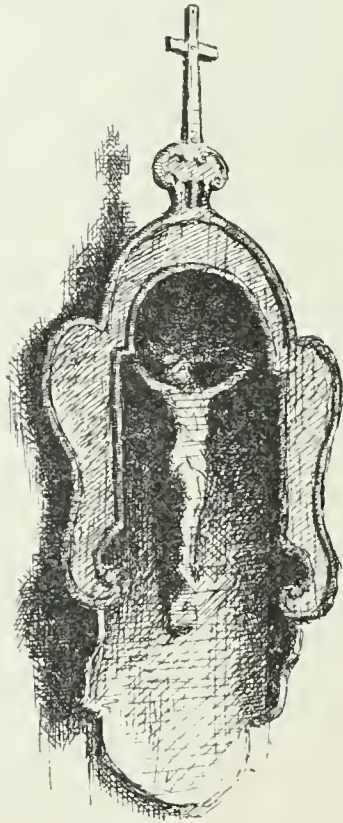
„Ale i teraz, choć czasy lepsze, przychodzą lata wielkiej biedy, prawie ostateczności, a dzieje się to przez nieurodzaj tego lub owego ziemiopłodu. Trzeba podслуchać, jak gwarzą sobie przy robocie z wsi dalszych, opowiadając swoje biedy. „Kapustę ta tak gąsienice obsiadły, co bule gniazd siedzą; tera się nakocily“; „Gąsienice tłuste, bo kapusta chudą, tylko ostrewecki siwe ostały,“ powiada jeden z Czerwiennego. „Bięda więcie przy wsi (we wsi: zyciá Bóg nie nagodził: bób i kapuste zamuliło przy wodak; grule nie obrodziło,“ powiada drugi z Czarnego Dunajca „Płony owies tego roku, za pilno uskon“ i t. d. albo to źle, albo owo nie dobrze. Cóż dopiero mówić, gdy spikną się wszystkie kłeski? A z nich najcięższy brak paszy po każdym zimnem, dżdżystem i śnieżystem lecie, bez słońca całemi tygodniami; następuje po nich przymusowa, za bezcen wyprzedaż bydła i owiec.

Ogólne te kłeski, dotykają całe Podhale, lub szczególniej pewne wsi; lecz nawet w lata niezłe dla większości, biedacy posiadający mało ziemi, ludzie dzielni, ale na dorobku, niedoleżni, ubogie wdowy, schorzali chorobą przewlekłą, przynierają głodu i żyją życiem, o którem pojęcie mają poborcy podatkowi i rzadki zimną turysta, który przypadkiem zajrzy, lub zanocuje w chałupie, jak ś. p. Dembowski. Lekarz nawet tutejszy nie zna nędzy tych nędzarzy; jeździ do „hrubych gazdów;“ biedak nie ma czem placić, więc wezwać nie śmie, a gdy ciężko chory pojechać po poradę nie może. Wszedłszy czasem wypadkowo do jakiej ustronnej chatynki, w jakiej wsi na uboczu, w jakim zakątku Oleczy, Bystrego, Zębu, gdzie grunta płone, posiadłość mała, lub żadna, prócz izby, spotkać można biedaka, z powodu którego zawołać można, że wszyscy inni ludzie są: „*sophisticated!* — *Thou art the thing itself; unaccommodated man is no more but such a poor, bare, forked animal as thou art.*“ Rzeczywiście na podłodze, lub na barlogu w łóźku, leży „takie biedne, nagie, rosochate zwierzę,“ taka „rzecz sama w sobie.“ Litościwi ludzie opowiadali mi—ci co wozili mu strawę ciepłą, iż pod Gubałówką leżał taki „*unsophisticated*“ człowiek w opuchlinie, bezwładny, bez strawy, bez ognia, przy trzaskającym mrozie, a w komorze córka jego nieprzytomna na tyfus plamisty. Nie jest to brak litości ze strony sąsiadów, choć i ten się zdarza, i nienawiść do mogiły ściga nieraz nalogowego złodzieja, gdy odsiedział Wiśnicz i na stare lata dowłókl się do wsi rodzinnej; zemsta za zło, które wszystkim lata całe czynił, ściga go aż do zgonu. Lecz częściej powodem bywa rozrzucenie domostw samotnie po dalekich polanach, zasypanie kraju takim śniegiem, że sankami jeżdżą na wysokości strzechy. Kilka zim temu utonęła w śniegu i zmarzła jedna kobieta. Lecz najstraszliwszy jest tyfus—obłożnica, od której wymierają wszyscy

w izbie, a sąsiedzi zdjęci zgrozą omijają zapowietrzone gazdowstwo. Po przejściu biedy, siaki—taki mądrała powtarza fatalistyczne przekonanie: „Maciura (jeden chłop) do truchły cholerycyk kład, a dozuł późnyk ląt,“ ale narazie nie pójdzie za tem zdaniem! Zresztą co może pomódz drugi podobny biedak; co najwyżej daje radę moralną, w rodzaju tej: „Motáj-ze się (zmagaj, niedawaj) ze światem, bo jak się zalezys, to bedzies lezol.“ Jedyną i skuteczną pomoc przyniosłyby schroniska, ostoje, opalane zimą, w których warzonoby skromną, ale ciepłą strawę. Nie szpitali tu potrzeba z lekarzem, którego pensja powiększyłaby liczbę klęsk, a skuteczność rady w takich chorobach jak głód, bieda i tyfus jest żadną. Tu trzeba schronisk pod opieką liściowych ludzi, lecz nie nowych ciężarów.

Lecz póki „chorość“ nie pochwyci, broni się dzielnie góral: zimą spotkać można prawie bosych, w tak podartych kierbeach, w cuhach z dziurami, przez które widać ciało, jak idą do lasu; jest tu biedak z odmarzniętymi obu nogami, który rąbie drzewo kłęcząc. Nie żebrzą: niema żebraków i włóczęg, a o kradzieżach nikt nie słyszy. Wesoła gromada letnich gości, którzy tu w erenięcią ciągną dla wypoczynku, zetknąwszy się przypadkiem, z zuchwałym woźnicą, z bogatym (na 20—30000 fl.), a brudnym i skąpym gazdą, roznosi o góralach złą opinią. Tylko przedziwna ignorancja ludzi z miasta, gdy się naraz znajdują poza swoim żywiolem, i dziecięce wnioskowanie na poczekaniu, bez żadnych porównań i danych—tłumaczy te nieprzychylne i płytkie sądy. Po za kilkunastu bogaczami w Zakopanem, po za kilkunastu woźnicami, ciągnącymi zyski—istnieją całe wsi, tuż na i za Gubalówką—wsi biedaków. A cóż dopiero mówić o kątach aż pod Jurgów? ci bliżsi z Kościelisk, Zęb, Olezy, choć przynoszą nabiał, ale tamci nie zarobić nie mogą. Trzeba podziwiać zapobiegliwość i pracowitość kobiet, które z odległości mili, dwóch mil, po górach i wertepach noszą mleko co dzień. Całą zimę przychodziła jedna kobieta po pomyje, by utuczyć wieprzaka i bez względu na mróz i zawieje nosiła za grzbiet Gubalówki. Skrzętność mrówcza, obliczająca każdy drobiazg, każde ździebelko siana, opalu, cechuje tutejszą ludność. Trzy siostry, panny, w Kościeliskach mają izbę i dobytek, nie dzielą się, bo żadna nie może pogodzić się z myślą o bezdomności; idzie jedna w służbę i ciuła pieniądze by dokupić gruntu; druga z koniem, dwiema owcami i krową siedzi w izbie i sprzedaje masło i mleko; trzecia poszła na Ustryski i Wirk za Gubalówkę, by u brata przezimować siedem owiec i cielieczkę, w zamian zaś za paszę dogląda mu gazdostwa i daje gnój.—Rębacz drzew całą zimę nie chce brać pieniędzy, i prosi by mógł składać i razem wziąć na kupno ziemi, aby się zawiesić o posiadłość. Służąca u X. dostała od „stryk“ plac na dom, a gdy sobie tyle wysłużyła, że dźwignęła izbę, padła do nóg

państwu z nieopisanej radości posiadania. Jadąc przez ustronną polanę w Kościeliskach, jesienią, widziałem kleconą na prędecie izdebkę, tak szczupłą i ubogą, żem się zapytał pierwszego napotkanego g a z d y, czyja to ta chałupka jak z bajki na urwisku nad potokiem: „To taká przespanica¹⁾ z trojgiem dzieci, dostała od ojca plac i pobudowała się.“—Ile pracy, zabiegów, wysiłku musi ponieść, by siebie wyżywić i dziecięcy; ale nie żebrze i krwie swojej nie rzuca w świat; uważa się za wdowę i bojuje aż do śmierci. I cała ta massa ludzi, których istnienie zawisło na włosku zdrowia, których od nędzarzy i żebraków, włóczęgów i pasorzytów odróżnia wiara w przyszłość i nadzieja polepszenia doli, walka i hart, zapobiegliwość i oszczędność, wytrwałość właściwa ślepym żywiołom, godna jest uwielbienia. Prawda, cnoty ich są enotami konieczności, nie enotami wyboru, lecz jak stał nabiera zalet od kucia, tak i ta ludność w tej trudnej doli nabiera utajonych własności: niesłychanej odporności i dzielności.



Ryc. 154. *Kapliczka ze ściany domu Walczaka,*
przy ulicy Kościeliskiej w Zakopanem. (rys. p. W. Zaborowskiego)

¹⁾ Kobieta mająca niesłubne dzieci.



Ryc. 155. „Pylacze“ na saniach. (z fotogramu).

Zamknięcie.

Wspaniały letowy dzień, po tygodniu śnieżycy i mgły. Wielka oślepiająca jasność; nieopisana czystość błękitu nieba; przedziwna przezrocza powietrza, z którego mróz kilkunastostopniowy strącił wszystką parę. Przydrożne drzewa w tak sutej szadzielinie, że z pod stroju śnieżnego niewidać wcale gałązek; wierzby ze swemi poplątanemi, drobnymi prątkami wyglądają jak najdelikatniejsza biała koronka, bez deseni, jak pajęczyna powyklana, usadzona brylantami, szmaragdami, szafirami, które palą się, żarzą, migocą jak gwiazdki drżąc, choć niema śladu wiatru, hypnotyzują niebieszcą, urokiem, blaskiem niewysłowionym. Za każdym krokiem zmieniają się, tęczą, jedne gasną, drugie zapalają się tem świetniejsze; a wszystko na tle takiego błękitu nieba, że to skojarzenie bieli koronkowej, szadzi i niebieszczy wydaje się czemś najczystschem, niedoścignionem w marzeniu. Śmigle modrzewie ze swemi subtelnemi różeczkami, strzelają w modre niebo, jak olbrzymie pióropusze. W rosochach jasieni, na konarach jabłonek i grusz po sadkach, tkwią amorfne kawały, bule śnieżnej massy; czasem na poziomej

gałęzi czai się niby ryś, lub zwiesza gruba kielbasa śnieżna. skrętami, jak wielki wąż-poloż poprzeginany, czolgający się w górę. Płaszczyzny dachów pod słońce i w słońcu oślepiającej białości z odcieniem niebieskawym, płaszczyzny, zagięcia w cieniu, ciemno-błękitne. Pola tak wymodelowane tonami błękitu, że widać najdelikatniejsze pochyłości, czuć okiem każdą wyniosłość, kamień, każdy zagon; w każdej bruzdzie śpi ciemno-niebieski cień. Śnieg tak czysty, tak niepokalany, jak cukier niebieskawym, jak puch lekki, grubo krystaliczny; polany postębnowane ścieżynami lub śladami nóg psich w lamane linje: całe pola mienią się mirjadami brylantów, iryzują odcienie kolorów. na które ludzka mowa nie ma wyrazów, goreją blaski, drżąc, a za każdym ruchem głowy, posunięciem oczu, iskrzą się pola. Gaje olszowe wyglądają jak kupki zmotanej, białej pajęczyny, tak nikłe, koronkowe. Regle zasypane okiścią, jakby zamydlone pianą najbielszą, z pod której przegląda nieco czarność porostu; a wyżej turnie same wybielone, i rozbłękicone w cieniach tak, że pod tą szatą zginęła szarość granitu. Przepadł świat zwyczajny, zjawił się inny z bieli i niebieszczy — świat bajki lub sennego marzenia.



Ryc. 156. „Pyłaczki“ konni. (z fotografamu).

Na cisawych konikach, miniastych, wypasionych, jedzie para pyłaczek. Młode, rosłe i piękne chłopaki, siedzą na koniach jak wryci. Ustrojeni od-

świetnie w bure, czyste c n h y, przepasani muslinowymi, delikatnymi r a n t u-
chami, przez ramię na ukos; upięci kolorowemi kokardami ze wstążek,
z wielkim czerwonym fontaziem pod szyją. U boku wisi pęk wstążek,
na kapeluszu zatknięte pióro: koło niego kwiaty i wstążka. Jadą z wielką
f a n t a z y j ą; zwolna, a przed każdą izbą, gdzie mają krewnych lub znajo-
mych ślubnej pary, zatrzymują się: rola ich—prosić ¹⁾ imieniem państwa mło-
dych na ślub i na wesele. Co ujadą kilkanaście kroków, rażno śpiewają.
„Misopust“—pora wesel, piasów, najlepszego jedzenia; niema wsi, żeby nie
było wesela, czasami po dwa w jednej chalupie. I tak jadą sobie butnie
młodzi, potrząsają batożkami; parskają konie—jak gdyby to niebył mróz kil-
kunastostopniowy. Na tej bieli i niebieszczy pól, gór, drzew—wśród wielkiej
jasności, wyglądają jak zjawisko.—jadą i giną w załamku drogi wśród domostw.
—Cudny obraz, piękny zwyczaj.

Od Poronina zwolna płynie tuman mgły, jak płaski oblok, podobny
z kształtu do *kości* sepji, którą wtykają kanarkom w klatki; posuwa się nie-
widzialnie, tuż nad ziemią, w połowie wysokości Gubałówki; czepia się g a j ó w,
rozłazi po laskach s m r e k o w y e h, lecz w końcu wśród jaskrawego blasku słońca
nadpływa nad pola. I zachodzi przedziwne zjawisko: oto nagle mgławica,
stanąwszy w jakiejś mroźnej warstwie atmosfery, w mgnieniu oka zamarza
w kryształach lodu, w powietrzu, i spada na ziemię, jak najdrobniejszy pył
kosmiczny, jak brylantowy proszek, okruchy dyjamentów, mżąc, mieniać się
i iskrząc w słońcu, lecą mirjady prawie nieważkie smugami—posłuszne chu-
chnięciom wiatru, którego nie odczuwają grube zmysły człowieka, i obsypują
domy i ziemię, miałem najdrobniejszym. I znowu jaśnieje zamglone na chwilę
słońce i stoi wspaniała jasność, zalewająca świat widomy.

Z głębi lasu wyjeżdżają sanki: za niemi wtóre, trzecie, dwudzieste;
jedne zaprzężone w pojedynkę w wojniczki, inne w parę; pędzą konie
płowe. „cisa we,“ siwe, „kwia c i a t e.“ „t a l a r z o w a t e“ ²⁾ i t. p. w cwał na
spadkach, rysią „d o b r z y z k u.“ Każdy ma na łbie między uszami wysoki
pióropusz, ³⁾ z daleka nadzwyczajnie podobny do krzaka azalji, okrytego suto
kwieciami. Błyszczą mosiężne kleszcze chomont w kształcie łebków koi-

¹⁾ Po góralsku pytać=prosić „piknie przepytujęm Ich Miłość = pięknie
przepraszam.

²⁾ Podhalskie nazwy rozmaitych maści; kwia c i a t e,—to laciata; t a l a r z o w a t e=
siwe jabłkowite.

³⁾ Pióropusz robi się ze smreczka—chościaka, sietniacka, t. j. niewyrosłego,
a mającego bardzo gęste gałęzie: do każdej gałązki przywiązują kwiat z białych piór zrobiony,
z szychem i kolorowemi papierkami w środku.

skich; iskrzą się i zlocą pasy nabijane okrągłemi sprzążkami, jednej przy drugiej; czerwienią wełniane upięcia jak franki u chomont; rozlatują grzywy. Dzwonią dzwoneczki wesolo, rźnie kapela w pierwszych sankach: buczą basy, rzepolą i zawodzą gęśliki i skrzypce. Leci korowód weselny jak wściekły, w niebogłosy śpiewają ubrane w biel druchmy, przenikliwymi głosami; wrzeszczą parobczaki dyskantem; a każde sanki nabite ludźmi; woźnica wyparty siadł byle jak na dyszelkach; a w saniach bukiet dziewczyn, a z tyłu na ławce stoją chlupcy. a po brzegach, po skrzydlach, „nadzier gało“ się narodu, kto gdzie mógł. Przeleciało z piskiem kilka sanek z druchnami, dalej z družbami; a za nimi z młodzieżą, potem poważne gąździny, wystrojone w chustki kolorowe, gąźdowie, rodzice, swojacy, goście. Wszystko wpadło w ulicę wiejską ku kościolowi. Tu zgielk, rozgardyjasz, śpiewy, całowanie się przyjaciół. obłapianie rękami w pół, za szyję,—bo wszyscy po poczęstnem w domu dobrze podochoceni. Dobra sposobność przyjrzenia się sankom góralskim.

Sanki podhalskie, to jedna z najbardziej udanych i udatnych, pięknych rzeczy: zgrabne, male, niemal miniaturowe, osobliwego, a wdzięcznego pokroju dla oka. Ozdobione najrozmaiciej, tak żeby i trudno tu było wyliczyć wszystkie odmiany; odsyłam więc do Tabl. LVIII — LXIII, pokazując ich pokrój, a dla lepszej wierności jeszcze dołączam rycinę 157.

Plecy bardzo często ozdobione galeryjką z toczonych, lub wyrzynanych kołeczków; na plecach, od pola, malowana bywa gwiazdamędzy żebrowaniem ładnie fązowanem. Nosy płóz, albo zbliżone i połączone galeryjką, lub wyrznanym kawalkiem drewna w ozdobne figlasy— albo dosunięte zupełnie do siebie i zakończone łbem psa z wyszczerzonymi zębami, orlą głową beczuleczką i t. p. Nosy albo są dość krótkie, albo bardzo wysokie i zakręcone w tył; zależy to od zagięcia odziemka i korzenia macicznego u buku, który przepołowiono na plozy. Nawet końce nasadów bywają wyrzynane w pazdury, niby garść z zawartemi palcami. Stramy ozdobnie fązowane; płóz piękność polega na szerokości, o ile można największej, gdyż takie plozy, drąc się powoli, długo się wysługują; a kiedy się już poddarły, góral przybija podeszwy. Sanie są zawsze bosc. Za plecami, na końcach wystających saunic, czasami przymocowaną bywa ławeczka do stania. Stramy są dosyć wysokie, a wraz z wysokością płóz zabezpieczają, iż sanki nie garną spodem skrzynki, choćby śnieg był gruby. Sanie wyjątkowo posiadają skrzydła. Są one doskonale przystosowane do tutejszych warunków; podesławszy w skrzynkę siana, lub miech z sieczką, góral sam siada na niem,—innego siedzenia, ani ławeczki niema,—rozparszy się plecami o plecy sanek, a wyciągnawszy przed się nogi na dnie skrzynki; tym sposobem obniża się środek ciężkości obciążonych sanek i zmniejsza znako-

micie wywrotność; to też takimi saneczkami bezpiecznie można jeździć po wertepach skoro je śniegi przysują.



Ryc. 157. *Saneczki Zuzaniaka.* (z fotogramu).

Bardzo praktycznym jest oryginalny pomysł Zołmiereyka, który między przodkiem sanek, a nosem płóz rozpiął pomost drewniany, broniący od rzucania w sanie śniegu kopytami konia, jeśli ostro idzie, a sanna nie ubita (Tab. LIX ryc. 1).

Koniki, wyłożone z wojniczek (holobelek), chrupią wonne siano; przeważnie mierzyny, gdyż takie najodpowiedniejsze góralowi, któremu się z paszą nie przelewa; są niezmiernie wytrzymałe, mądre, a obywając się szczupłą żywnością, dokonywają dużej pracy w warunkach niewygodnych, bo po złych drogach, i raz wraz pod górę. Górale obchodzą się z końmi nadzieją po ludzku; katowania i bicia nigdy nie widziałem. Uprząż składa się z chomonta z rozkami, lub kleszczami w kształcie końskich lebków, z koniekami z mosiądzu; opięte bywa kólkami mosiężnymi; wkłada się koniowi na podkład (poduszka z klaków); od chomonta idzie podpierśnik do dyszla (zamiast nasielnika, t. j. naszyjnika na Mazowszu). Na mordzie ma koń huzdę; na stącie u żłoba ma huździelnicę, czyli ogłowicę, która różni się od uzdy tem, iż niema wędzidla. Od huzdy (na Mazowszu luzda) idą powódki, (lejee), dwie, często jedna. Stare rzemienne pasy na koniu bywały zdobnie wytłaczane, (przykład na Tabl. LV). Od chomonta do pasa, idącego wpoprzek przez konia, wisi rzemień cały zakryty okrągłemi, mosiężnemi, dużemi sprzążkami. Dawniej, gdy u woza rzadziej bywał hamulec, koń miał jeszcze rzemienny nabiedrek, idący pod ogon do wstrzymania wozu przy zjeżdżaniu z pochyłości.

Pozaprzęgano konie. Wychodzi gwarno towarzystwo z kościoła; wszyscy weseli, tylko młodecha zaplakana, choć pewnie w duszy szczęśliwa; wszyscy tłoczą się do sanek, cały korowód z muzyką, ze śpiewem, z hukiem radośnie wraca do domu. Już wyjechały sanki ze wsi, już na gościńcu mkną, zataczając łuki na każdym ugonie,—wreszcie zapadło wszystko w srokaty od okiści las smrekowy.

Ognista kula słońca, wielka i ezerwona, tonie za błękitną górą na lewo od Osobitej; widać tylko gorejący skrawek; ale i ten w oczach maleje, już tylko widać cząsteczkę, jakby nadzianą na szczerbatą turnię, na której pali się jak karbunkul—drży, i gaśnie. Zaczyna się dramat konania światła, zmieniającego barwy co chwila, przelewającego się w nieuchwytne przejścia. Cały zachód ogni się oślepiająco złotą luną; pół sklepu niebieskiego pomarańczowe, ezerwone, seledynowe, różowawe; druga połowa blade-niebieska, stałowa; góry różowawe, tylko kilka turnie żarzy się w żółtych promieniach; dolina, pola, czysto niebieskie, tylko wymodelowane od strony zorzy złotymi, purpurowymi, różowymi odbłaskami; odrzucone na burty drogi grudki śniegu żarzą się w złotej lunie jak rozgarnięte węgle, lub jak fosforyzujące wąsate szlaki, jakie okręt radli na ciemnym morzu. Mróz dławi w piersiach, zatyka nos, zalzawia oczy; dobrał się nie na żarty do samego potoku, który poraz pierwszy płynie cicho po zamarzłym korycie; poobmarzały lodem żabie i skrzyżale, podniosło się dno; woda wystąpiła z łożyska, szuka dróg nowych, porozlewała

się w szerokie płanie, które w oka mgnieniu gęstnieją: ni woda to, ni lód — jakby miodowa massa. Miejscami woda płynie wartko między lodowatymi brzegami, wywija się około zębatach splątów lodowych: na jednym takim płosie, chyży jak strzala, pływa, nurkuje lub biega po dnie potoku drożdż wodny ¹⁾, raz wraz błyska jego pierś śnieżna w zorzy zachodu; i znowu rzuca się w nurt wody. Nie boi się żerować tu wśród wsi, na oczach ludzi—wrogów. Śmierć go tu przygnala: gdzie niema dna nieobmarznionego, gdzie lód oszklilił żwir i kamyki, tam niema żeru dla niego; więc wyszedł tu z lasu za strawą. Na łodzie nadbrzeżnym, na gałęziach przy ziemi, na kamieniach wystających z potoku, stoi wykwit najcudniejszych kryształów wody, tak wielkich, że jeszcze w życiu nie widziałem takich obrzymów ²⁾, jak piórka polinowane stoją ich blaszki gromadkami, jak krze grabiny, a gęsto jeden przy drugim. Nad całym potokiem unosi się wysoko tuman pary gęstej, znacząc węzowy bieg strumienia, a lekki podmuch wiatru od Spizu zwiewa ją na zachód. Coraz ciemniej na ziemi; a jeszcze różowieją góry obrzaskiem zachodu. Na wysokiej osi cy smutno odzywają się żółciuchne trznadle. Nad domami stoją kity dymu. Skrzypi śnieg metalowym zgrzytem—a ze wsi dolatują przefiltrowane wysokie tony skrzypek, wtór basów i przytupywanie nóg; ima za serce ledwie pochwytna dla ucha nuta rodzinna, dzika i namiętna tutaj, jak rzewna i narzekająca na szczyrkach mazowieckich. Drogie nuty! kazał je grać swej góralskiej kapeli Chałubiński, ten bez słów poeta, gdy w znoju wskrabywał się na ostrze Wysokiej; kochał je, jak ukochał Mozarta i Bacha, których melodie napełniały ucho konającego. Bo po dobroci i miłosierdziu duszy człowieczej, muzyka jest najpiękniejszym dziełem tego, kto, *„quasi flos egreditur et conteritur et fugit relut umbra.”*

Zakopane d. Ś-go Macieja 25 Lutego r. 1894.

1) *Cinclus aquaticus*, u Taczanowskiego: Pluszcz, czyli Kordusek.

2) Niektóre miały po 3—3½ ctm. na wysokość, po 2 wszérz.



Ryc. 158. *Góral ze skrzypkami.* (z fotogramu).

K o n i e c .

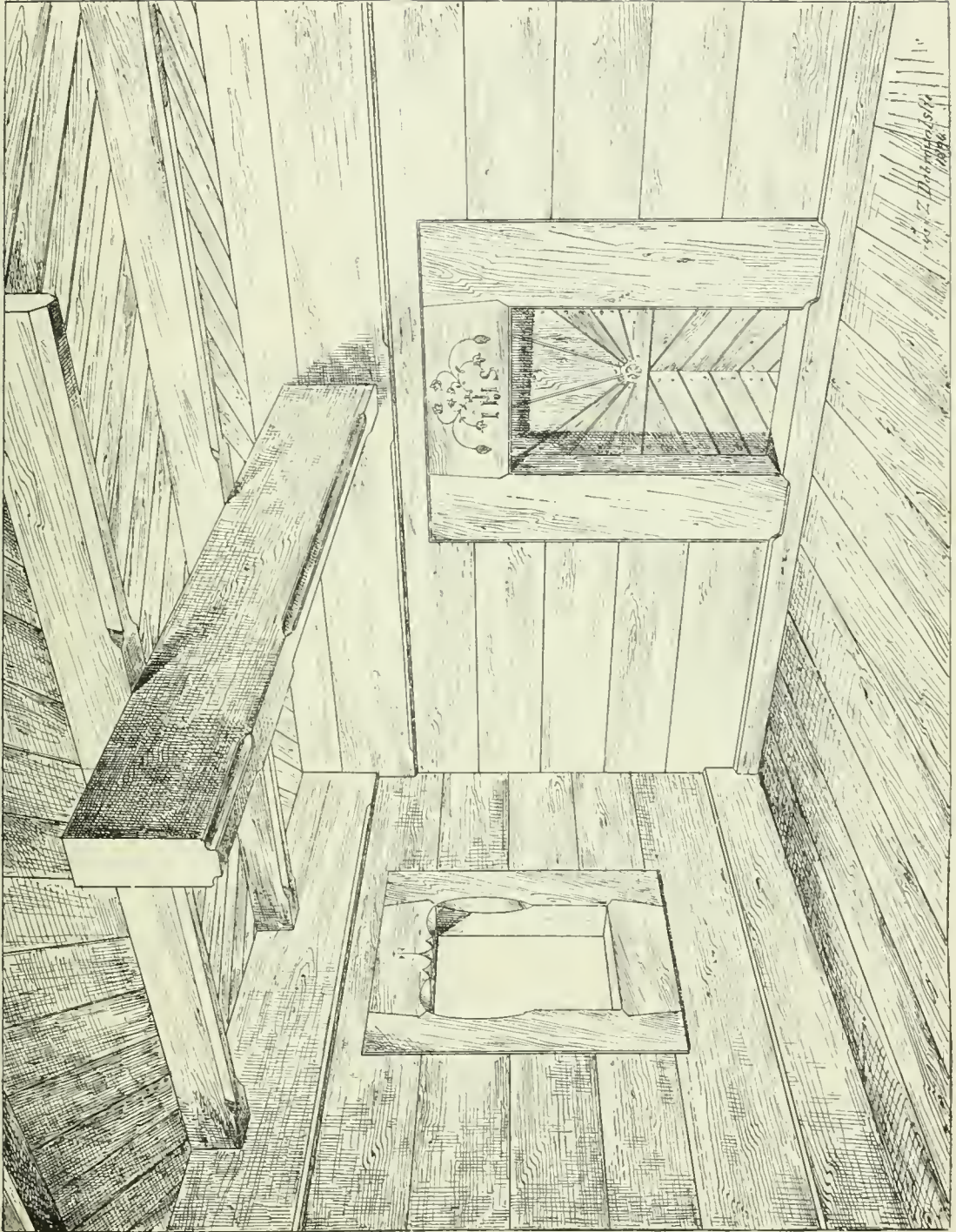
TABLICE.

TABLICA I

Rysunek P. Zygmunta Dobrowolskiego.

Wyobraża rzut oka na wnętrze izby góralskiej, a mianowicie na część ściany licowej, prawie na całą ścianę odsienną, część powały i podłogi. Rysunek ściśle wykonany na pomiarach izby białej Buleczyka w Kośnym Hamrze, mającej przeszło sto lat wieku, i doskonale dochowanej. Długość tej izby wynosi w naturze 6 m., szerokość 5,43 m., a mianowicie: od pazuchy licowej do słupca dźwiernego 1,80 m; szerokość słupca 0,45 m. szerokość drzwi 0,93 m. Wysokość 2,94 m., a mianowicie, niech czytelnik zechce w myśli przeprowadzić linię pionową przez środek drzwi, to wymieniona cyfra wysokości rozłoży się na następujące części: wysokość spodku, licząc nad podłogą, 15 c., wysokość otworu dźwiernego 1,44 m., szerokość leżucha drzwi 45 c., szerokość płazy od leżucha 16 c., szerokość warsoli od spodniej powierzchni sosrębu 9 c., szerokość sosrębu 48 c., szerokość płazy od górnej powierzchni sosrębu do powały 17 c.

Tablica I.



TABLICA II

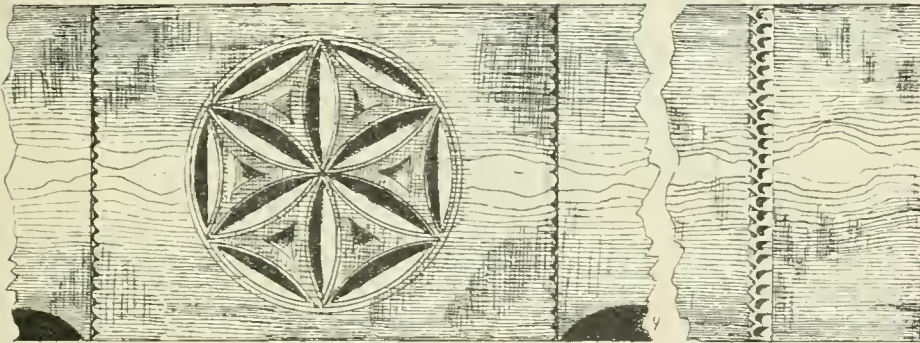
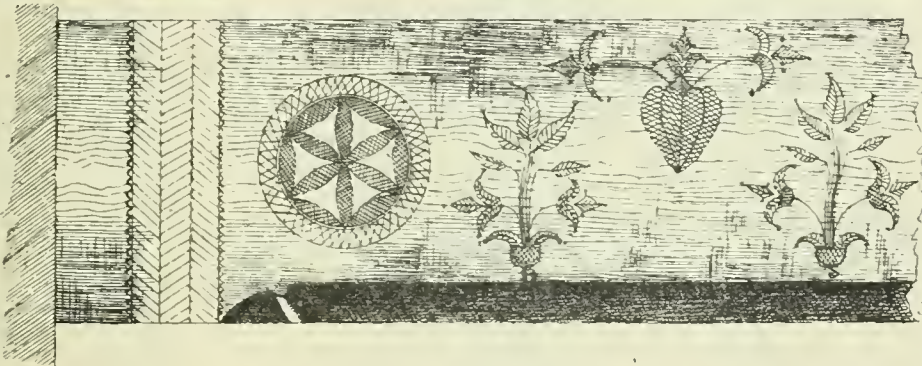
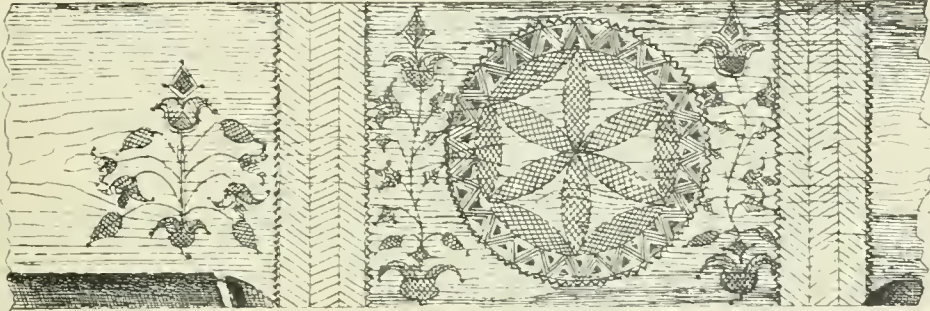
SOSRĘBY.

Rysunek M. Matlakowskiego.

1. Część środkowa powierzchni licowej z bogatym ryzowaniem roślinnym, ze sosrębu z izby Kuby Kolodziejka w Zakopanem.
2. Rysunek części spodniej z tegoż sosrębu.
3. Powierzchnia licowa końca tegoż sosrębu.
4. Część środkowa powierzchni licowej sosrębu, z izby Daniela Gąsienicy w Zakopanem.
5. Powierzchnia spodnia tegoż sosrębu z części środkowej.
6. Spodnia powierzchnia końca tegoż sosrębu.
7. Przepaska na powierzchni licowej końca sosrębu.

Skala 9:1.

Tablica II.



TABLICA III

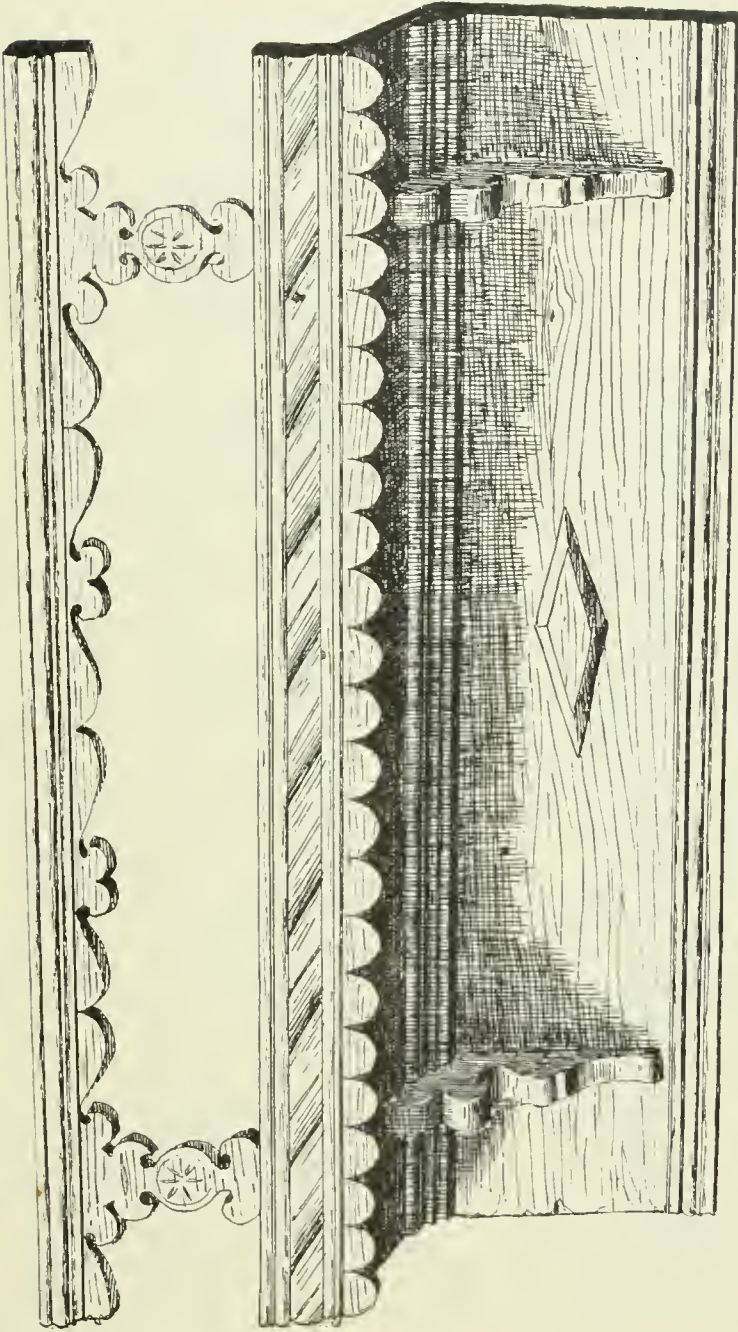
LISTWA.

Rysunek P. W. Zaborowskiego.

Zarazem sprzęt i ozdobę nieodłączną od każdej izby góralskiej stanowi t. z. listwa, przybita raz na zawsze do ściany, i to zawsze i zawsze, jako prawidło, do ściany szczytowej, t. j. do ściany przeciwległej drzwiom wiodącym z sieni do izby. Listwa przymocowana jest do płazy (t. j. bala) trzeciej licząc od powaly, zatem pod warsolką. Jest ona prawie zawsze malowaną w pewne stałe kolory: zielony, czerwony i ciemno-błękitny; tylko listwy nowszej daty nie są malowane. Rozmaitość w zdobieniu jest wielka. Za listwą stoją rzędem jeden obok drugiego gęsto święte obrazy, tak jak galeryjka listwy wychylone na izbę; obrazy w ehacie góralskiej nigdy nie są porozwieszane po ścianach byle gdzie, tylko tu na tej poczystej ścianie. Na kółkach listwy rozwieszony czysty i okazalszy przyodziełek.

Wyobrażona tu listwa pochodzi z izby Sobonki (wdowy po Sobonin) z Ka. sprusiów. Długość listwy równa się szerokości izby t. j. od 4 -- 5 m. do 6 m.; wysokość 40 ctm.

Tablica III.



TABLICA IV

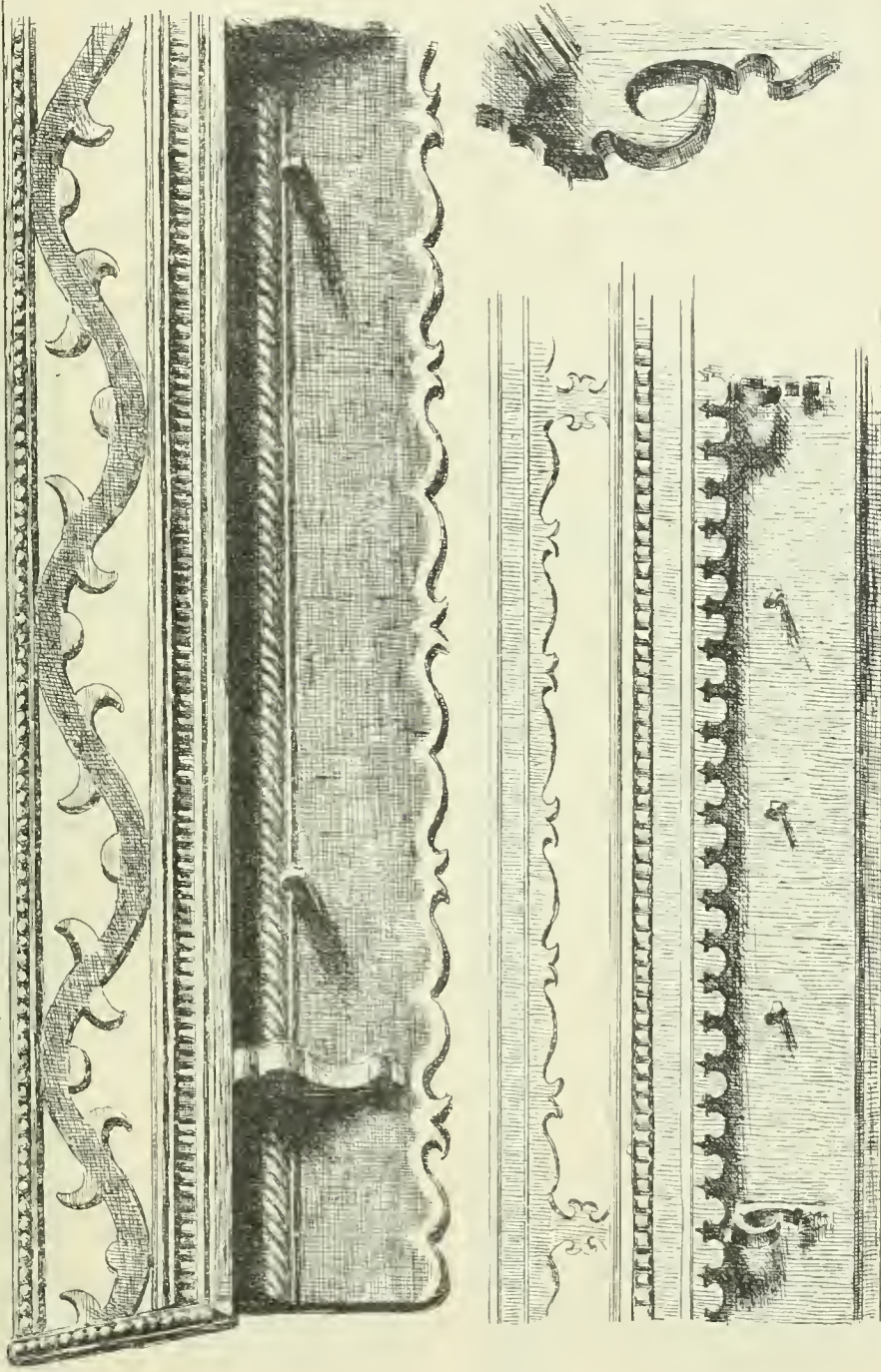
LISTWY.

Rysunek P. Stanisława Witkiewicza.

U góry listwa polichrowana, z poręczą w gadzik, ze zbiorn pp. Dembow-
skich.

U spodu listwa nie malowana, obok wspornik widziany z boku, własność
Staszka Sobczaka (Zakopane).

Tablica IV.



TABLICA V

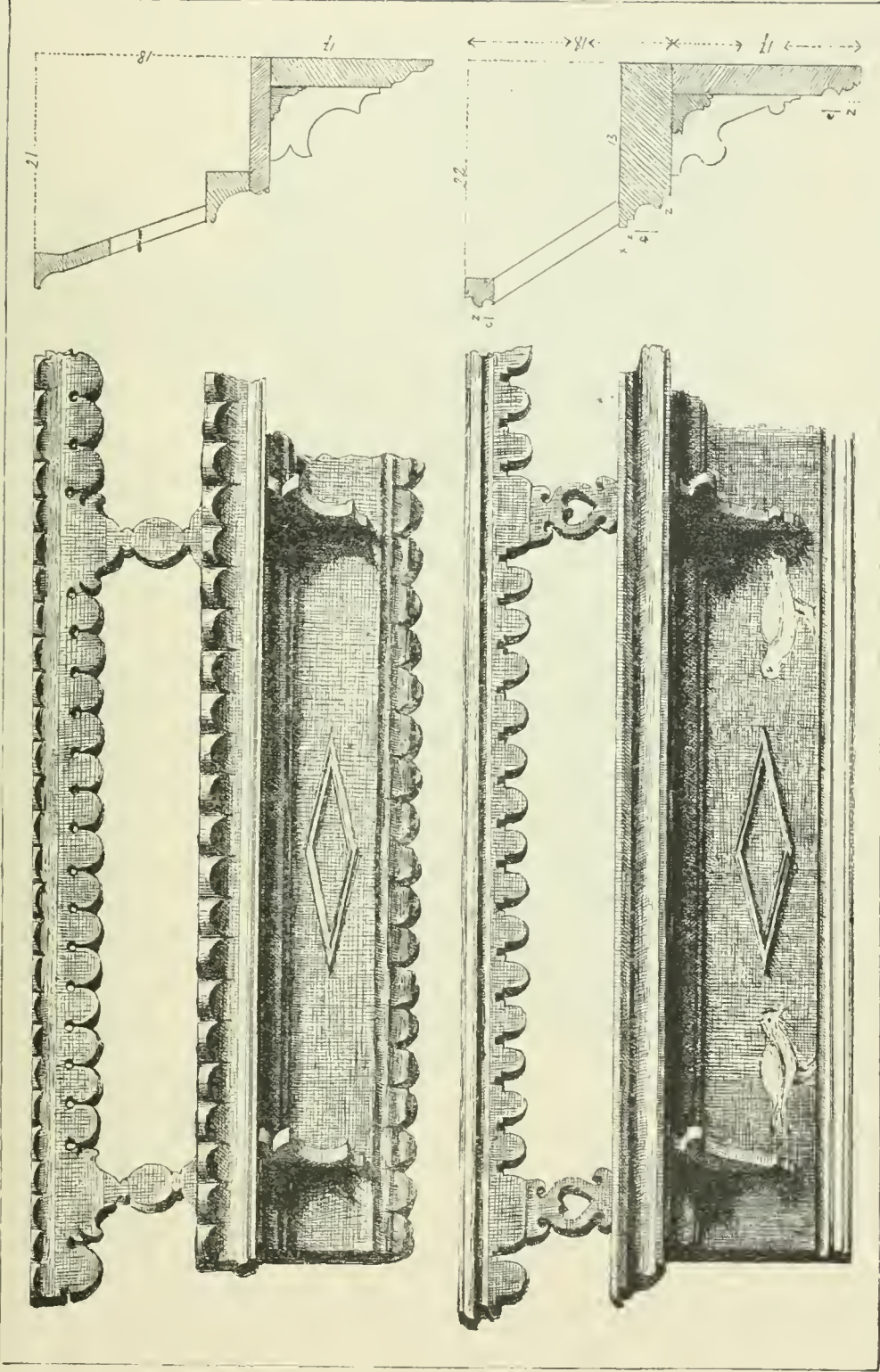
LISTWY.

Rysunek II. Matlakowskiego.

U góry odcinek listwy niemalowany, z młynka Króla na drodze do Poronina. Obok przecięcia poprzeczne dla pokazania nachylenia galeryjki: zmniejszenie w stosunku 1:6.

U spodu kawalek listwy polichromowej z izby Jana Walczaka na Skibówce. Kolory są rozłożone w sposób następujący: cała prawie listwa pomalowana jest na ciemnozielono na tem tle są czerwone smugi tam gdzie na przecięciu poprzecznem stoi znaczek *c*; znaczek *z* oznacza smugę zieloną, a *x* czarną; nadto cały spód policzki jest pięknie ciemnoszafirowy. Wsporniki są zielone, lecz równoległe do brzegu, między nim i otworem parzenicy, jest smuga jaskrawo-czerwona. Gołębki pomalowane na biało.

Tablica V.



TABLICA VI

LISTWA.

Rysunek P. W. Załorowskiego.

Listwa z izby Bulezyka z Kośnego Hamru: sama listwa bardzo stara, na kozy (romby) poprzytwierdzano później skrzydlate główki aniołków roboty Wawrzyńca podobieństwo twarzyki nieschwycone: w naturze liezko jest weale ładne: oczy większe.

Tablica VI.



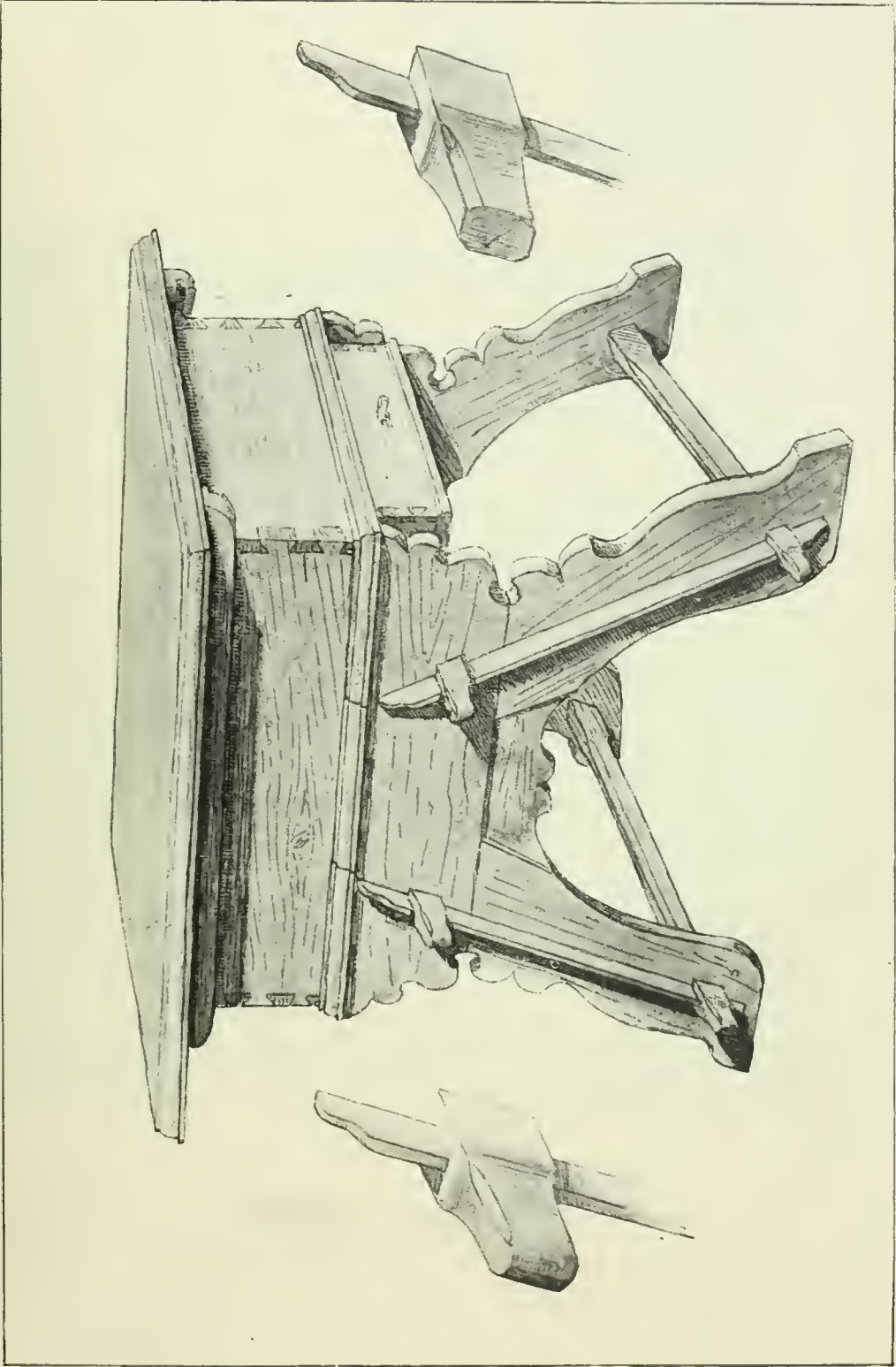
TABLICA VII

STÓŁ.

Rysunek P. W. Zaborowskiego.

Stary stół z jaworową stolnicą, z niemiecka zwaną blatem, którą można zesuwać naprzód i wtył, aby się dostać do szuflady znajdującej się pod nią. Nogi takiego stołu zowią się srogi; po bokach widać zastrzały wiążące srogi z sobą. W bardzo starych stołach stolnica jest wykriesana z jednej sztuki siekierą — nie ze rzniętej pilą deski, i nie heblowana. Rysunek zrobiony ze stołu po nieboszczyku Staszczku; „wzdłuż” miary stolnica 1,12 metra; „wszcz” 92 cm.; wysokość 89 cm.

Tablica VII.



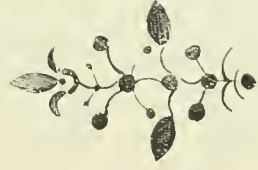
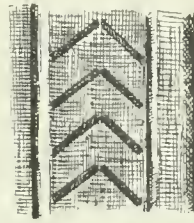
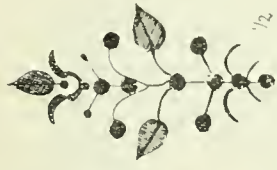
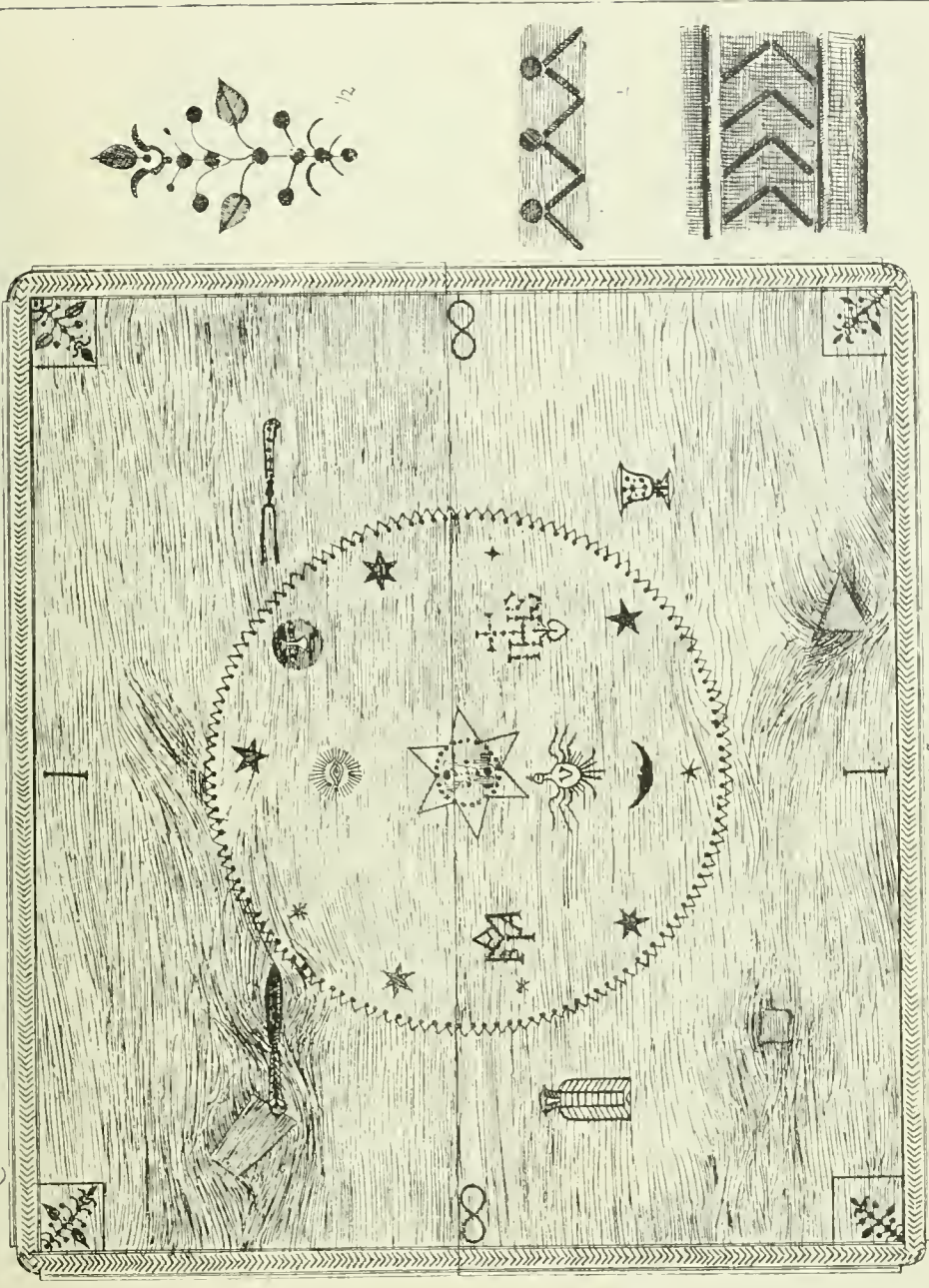
TABLICA VIII

STÓŁ.

Rysował W. Mallakowski.

Stolnica (z niemiecka blat) starego stołu z 1818 r. z jaworowego drzewa, wykładana cisem przewybornej roboty; w środkowym otoku oko Opatrzności, gołębia Ducha Ś-go, oraz monogramy imienia Matki Boskiej i Zbawiciela w pośród ciał niebieskich; u góry na prawo miesiąc w pełni, u dołu na lewo wietek (po góralsku ostnia kwadra, od słowiańskiego wietoch, = wiotki, nikły): po za obrębem otoku wyobrażenia narzędzi do jedła i picia. Na dodatkowych rysunkach ozdoby w większym rozmiarze, wykonane w naturze pięknie i z wielką starannością. Ze zbioru p. Gnatowskiego.

Tablica VIII.



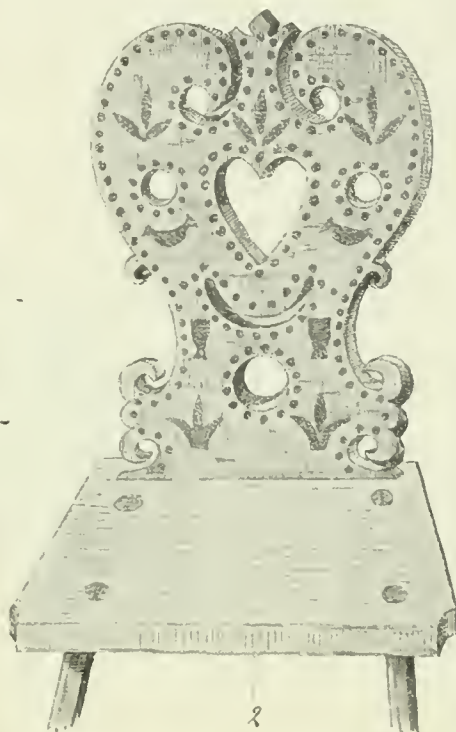
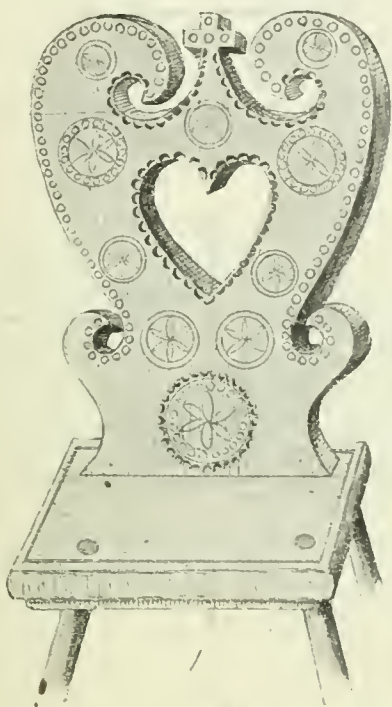
TABLICA IX.

STOLKI.

Rysunek Matlakowskiego i p. W. Zaborowskiego.

1. Stolek jaworowy, płytko ryzowany, niewykończony; plecy = 34×23 cm. ze zbioru p. Neužila.
2. Stolek jaworowy, pięknie ozdobiony, eisen wykładany; plecy = 44×31 , cm. sama stolica 41×36 cm.; wysokość siedzenia od ziemi 50 cm. Ze zbiorów p. Neužila.
3. Stary stolek z Kościelisk; siedzenie jaworowe; opieradło świerkowe, ornament roślinny malowany na czerwono i biało; całość zabarwiona na zielono; w plecach na grzbiecie dwa t. z. pazdury. Ze zbioru p. p. Dembowskich.
4. Zgrabny stolek starannej roboty, Sobczaka (Zakopane).

Tablica IX.



3

4

TABLICA X.

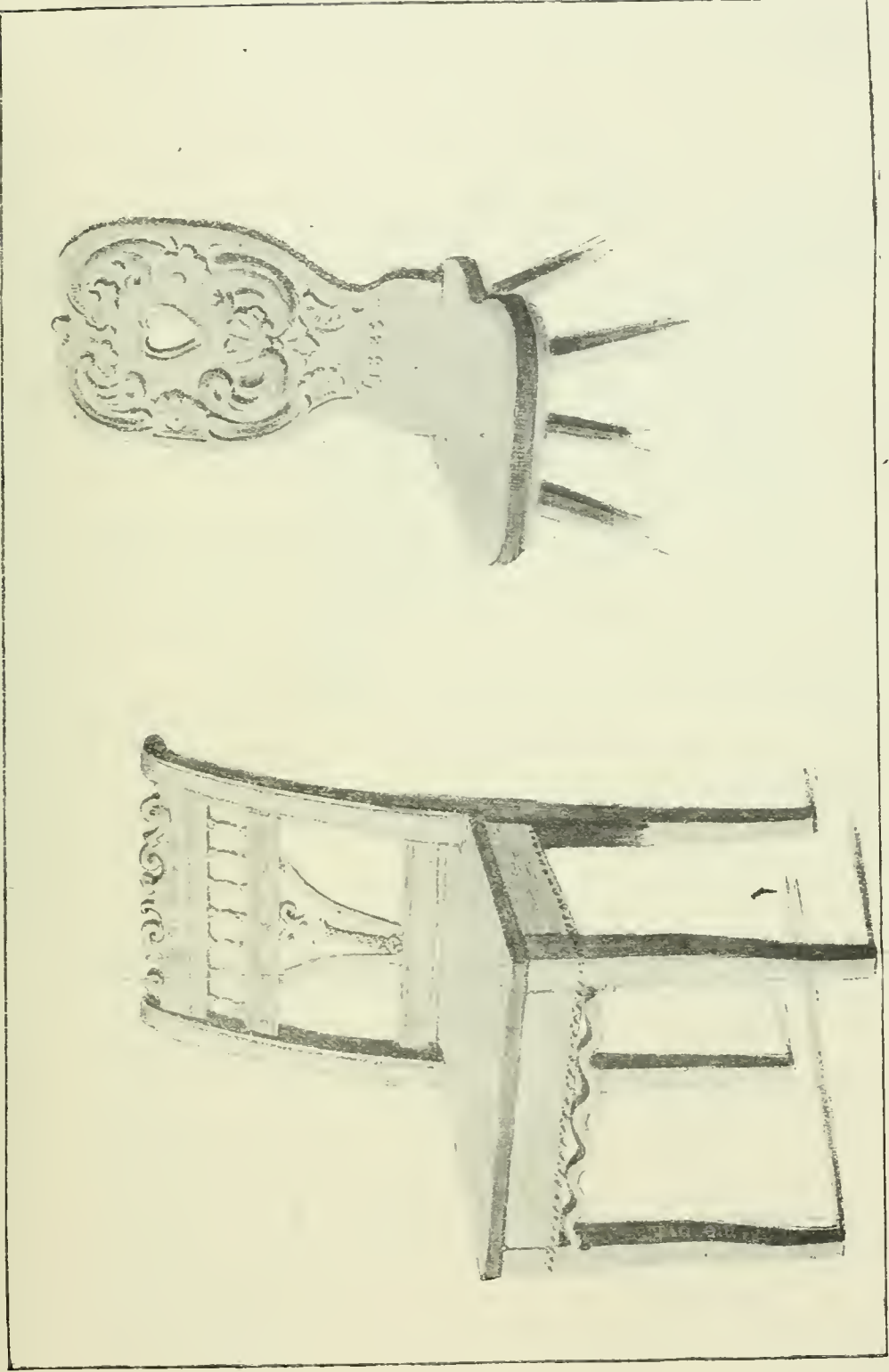
KRZESŁA.

ze zbioru p. p. Dembowskieli.

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

Dwa krzesła; pierwsze z nich stare, starannie ozdobione; typ dość często napotykanym na Podhalu; wtóre nowsze, rokokowe, roboty Wawrzyniaka z Glecarowa, samouka, który w żadnej szkole nie był.

Tablica X.



TABLICA XI.

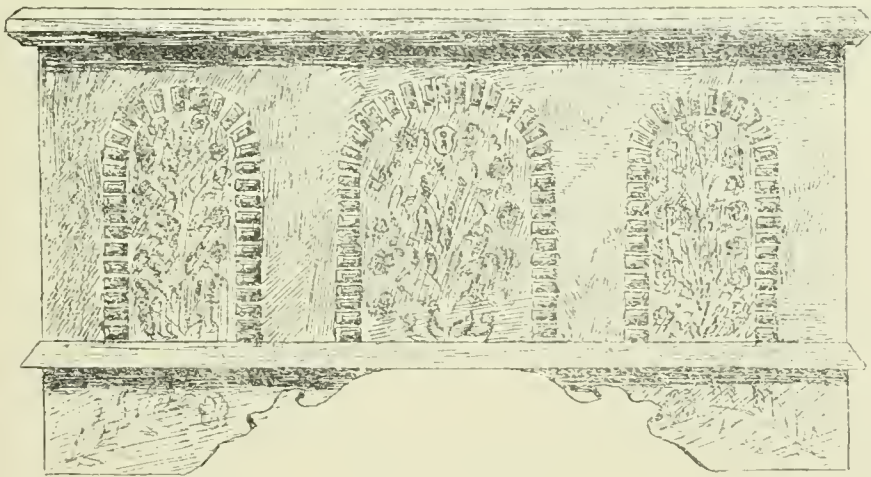
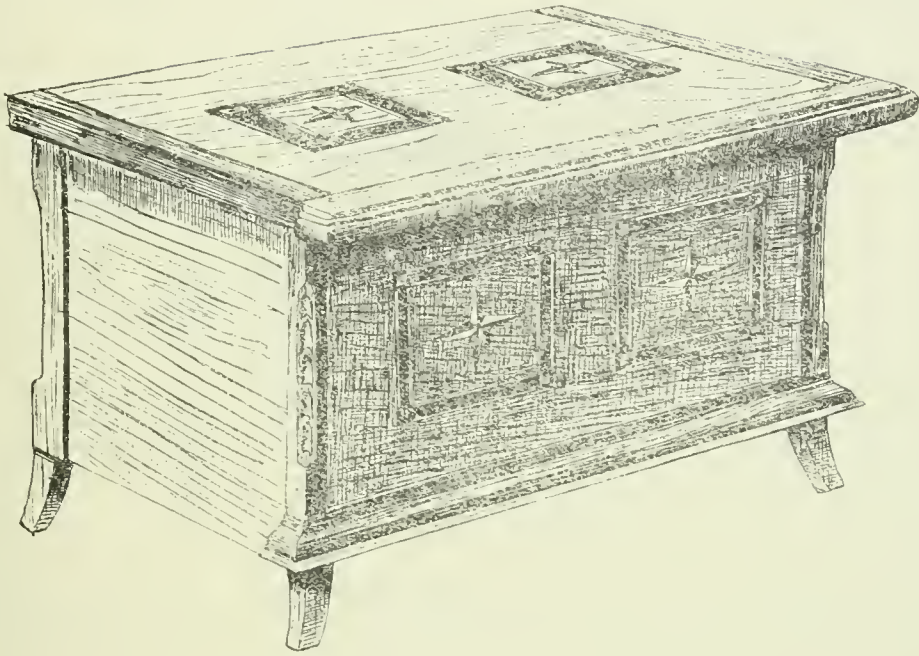
SKRZYNIĘ.

Rysunek p. W. Zaborowskiego.

U góry, skrzynia gaździny Zielińskiej, po jej przodkach odziedziczona, mająca około stu lat, cała dębowa, wykładana: wszystkie miejsca w ornamencie ciemno na rysunku przedstawione, wyłożone są cisem; jasne zaś obrzeżenia prawdopodobnie ze starego pięknie jasno-żółtawego jaworu. Sama przednia krawędź wieka, ładnie sfazowana, również jaworowa. Pionowe narożniki są ryzowane w dolki, tylko znacznie gęściej, niż przedstawiono na rysunku.

Dolny rysunek przedstawia skrzynię bardzo starą, bo noszącą wyraźną datę 1772. Na licowej powierzchni trzy jakby arkady, utworzone z małych ściętych podługowatych czworogranych piramidek, wklejonych w zagłębienia zrobione w ścianie skrzyni; pola arkad wypełnione malowanymi kwiatami w rodzaju bardzo pełnych róż lub piwonij; kolory i deseń bardzo spłowiałe i wytarte. Skrzynkę tę widziałem w Kośnym Hamrze.

Tablica XI.



TABLICA XII.

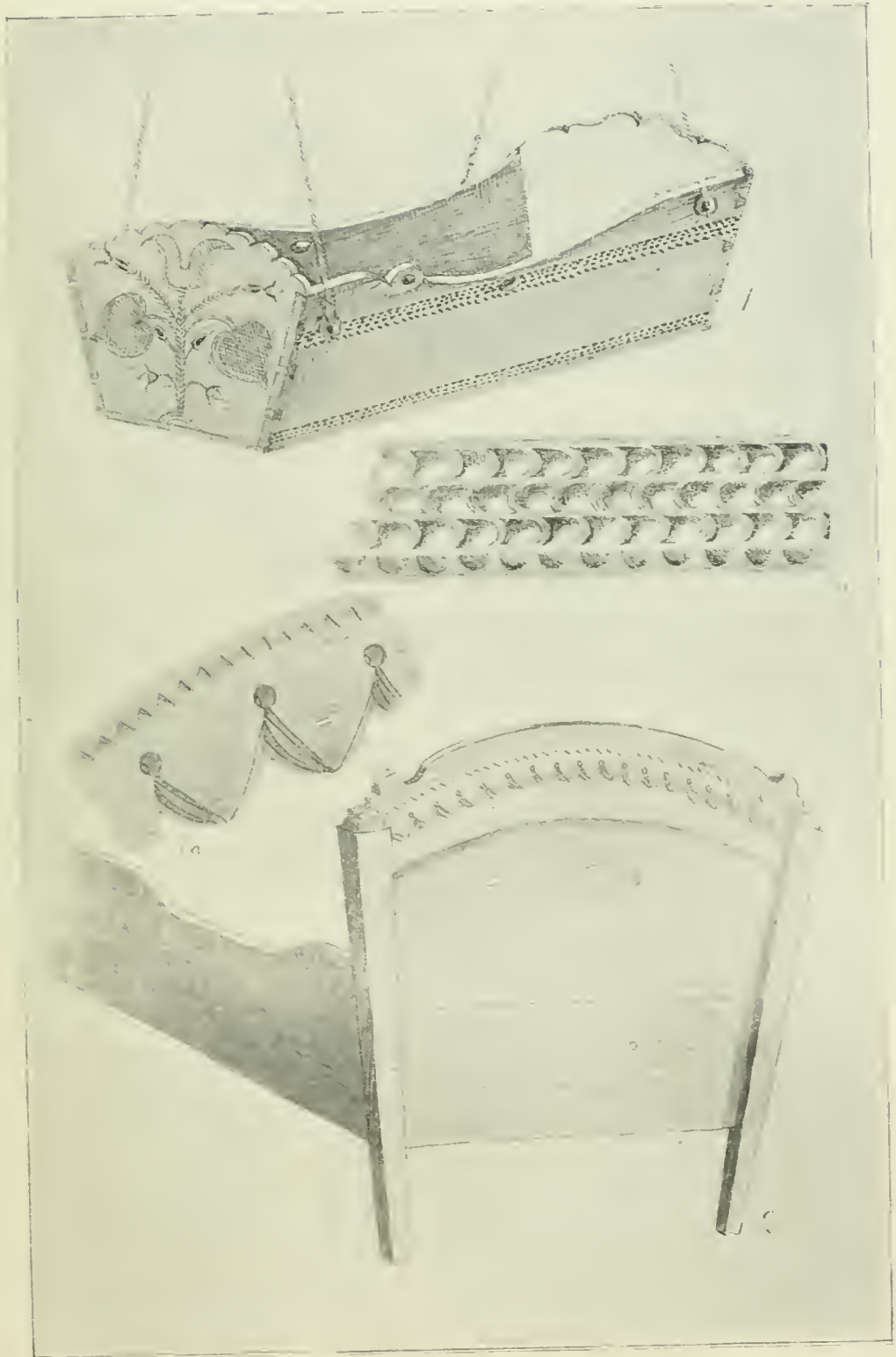
KOŁYSKA I ŁÓŻKO.

Rysunek Wład. Matlakowskiego i p. W. Zaborowskiego.

1. Kołyska smrekowa stara, którą nadybałem na Raczyńskim (Zakopane): ciekawa wegetacja; na rys. 1a w powiększeniu przedstawiony ornament z kołyski t. z. „woda.“ Rysowałem sam.

2. Łóżko smrekowe z pod Gubałówki, stare, ciekawe z tego względu, że nogi u dołu są zesunięte bliżej siebie niż u góry; na rys. 2a w powiększeniu ornament przedstawiający oryginalne ząbce. Rysunek p. Wacława Zaborowskiego.

Tablica XII.



TABLICA XIII

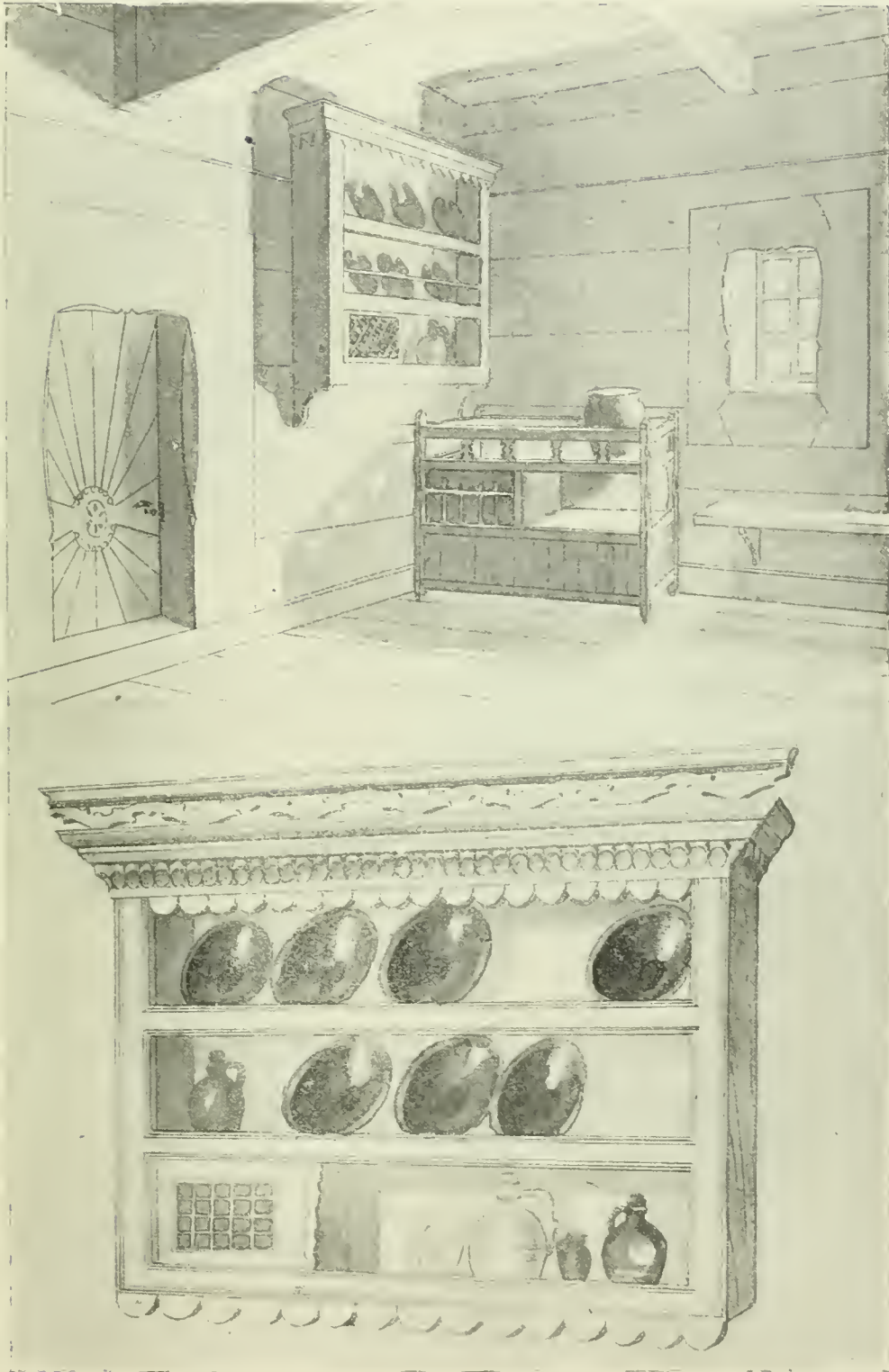
PÓŁKI I JARMICA.

Rysunek p. Wł. Zaborowskiego.

1. Gospodarska pazucha, t. j. róg ciemnej izby a w niej na jednej ścianie po sieni przy dźwirzach półka na rozmaite sprzęty i trzupki t. j. misy, fiasze, dzbanki i t. p. Przy drugiej ścianie między półką a oknem w niektórych starych domach stoi staroświecki sprzęt, dziś zarzucony, i tylko z rzadka w jakiejś chacie na ustroniu, zdala od cywilizacji trafiający się, t. z. jarmica, pełni ona podwójny użytek: na górze ma półeczkę obwiedzioną galeryjką, na misy, dzieże i t. p. — u dołu jest żłobek, do którego sypie się żywność, poczem wtyka się odsuwając jeden ze szczebli, leb cielęcia, a potem znowu się zasuwa, zupełnie tak jak leb wołu w jarzmie — ztąd nazwa sprzętu jarmica. Cielątko po urodzeniu się w czasie tegiej zimy biorą do domu i hodują w czarnej izbie, a żeby się nie snuło po izbie do jarmicy wrzęgają.

2. Półka, jest sprzęt stale napotykanym w każdej izbie i zawsze stale przymocowany do ściany między drzwiami i węglem. Rozmaitość w zdobieniu naczolka czyli kopsztyka jest bardzo wielką, ztąd półka jest bardzo zdobnym meblem, dziedzicznym po przodkach. Czasami półka jest tak wielką, iż rodzi się w izbie, t. j. robią ją w niej i z niej już nigdy nie wynoszą aż do rozebrania domu lub pożogi. Ta półka jest z izby Króla z pod Gubałówki.

Tablica XIII.



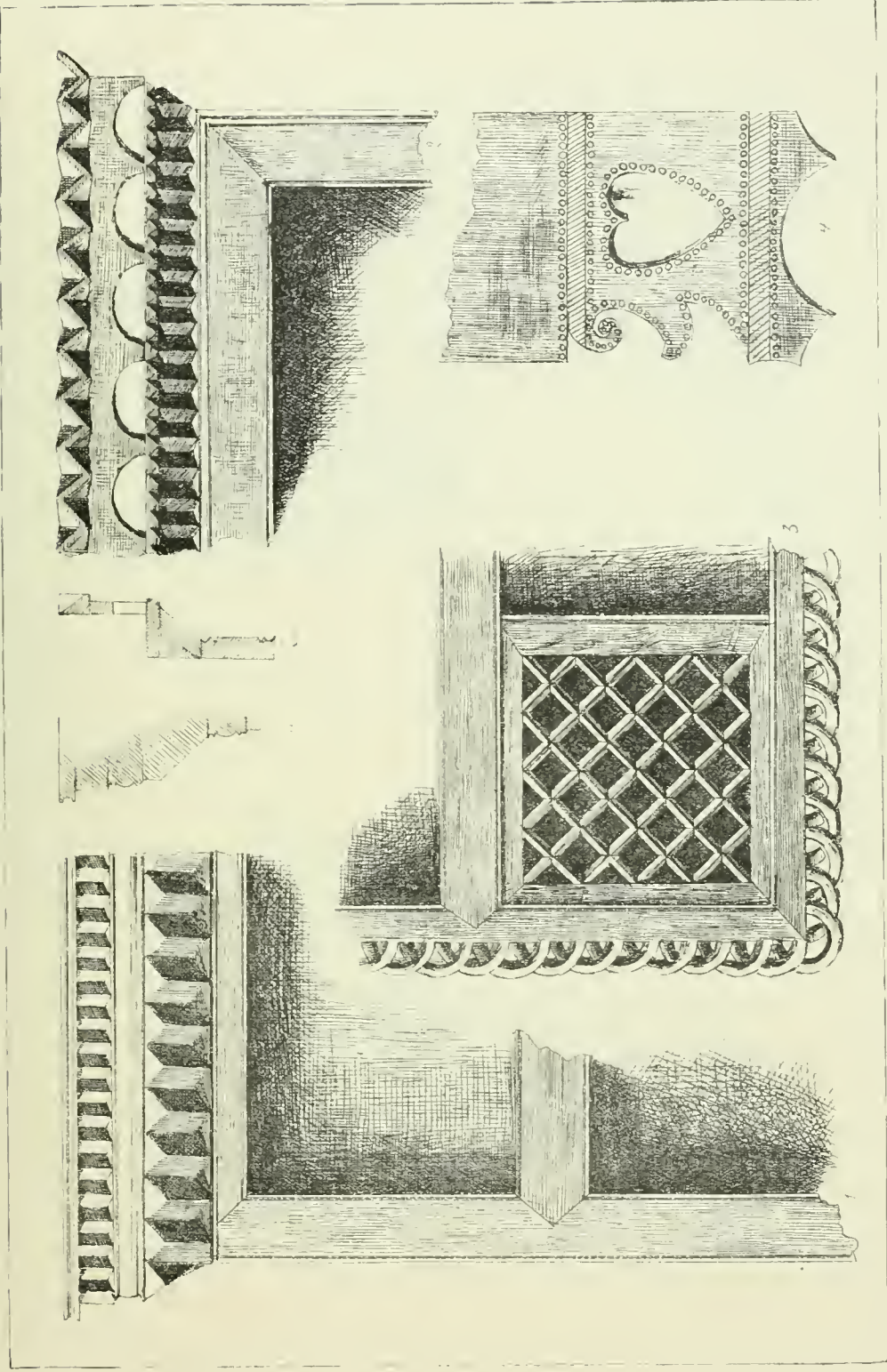
TABLICA XIV

PÓLKI.

Rys. Wład. Matlakowski.

1. Część naczółka v. kopiszytku z półki Rząski w Kościeliskach. 1a przecięcie poprzeczne tegoż naczółka.
2. Część naczółka z półki Daniela Gąsienicy w Zakopanem. 2a przecięcie poprzeczne tegoż naczółka.
3. Dolny róg półki z najzwyczajszą zasuwką; z izby na Bachlédach.
4. Koniec dolny ryzowany boku półki z pod № 2.

Tablica XIV.



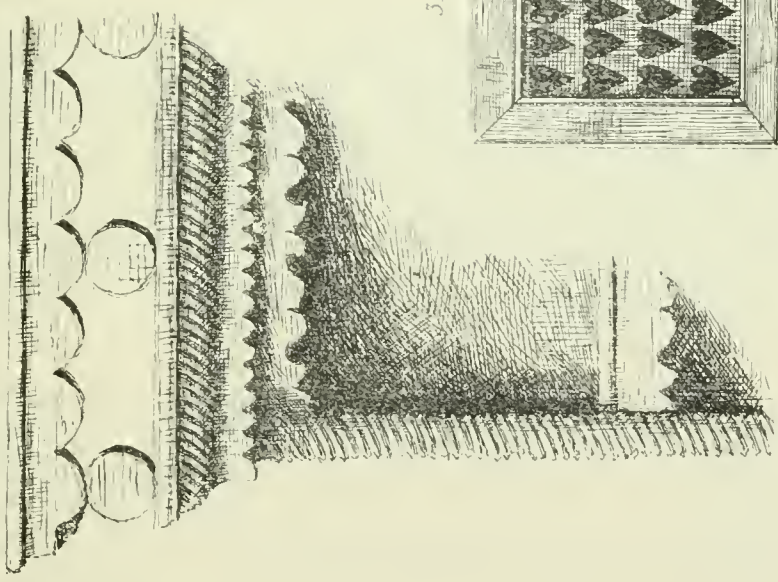
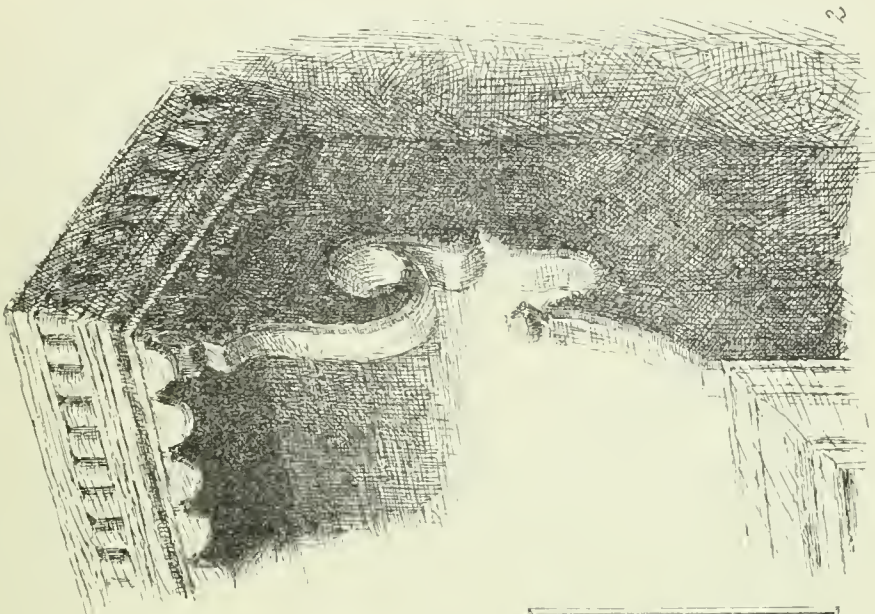
TABLICA XV

KREDENS I PÓLKI.

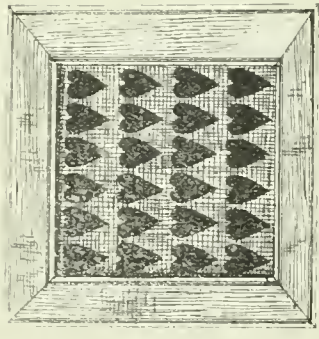
Rysunek p. W. Zaborowskiego.

1. Część naczółka i róg kredensu (zmniejszone w stosunku 1:6 z izby Samka na Bańdówkach; całość przedstawiona na ryc. 112 z fotogramu.
2. Część narożna półki z typowym wykrojem w boku; z izby Staszka Sobczaka.
3. Zasuwka od półki Trzebuni w Zakopanem; zmniejszenie 1:10.

Tablica XV.



3



TABLICA XVI

LYŻNIKI.

Rys. Wł. Matlakowski.

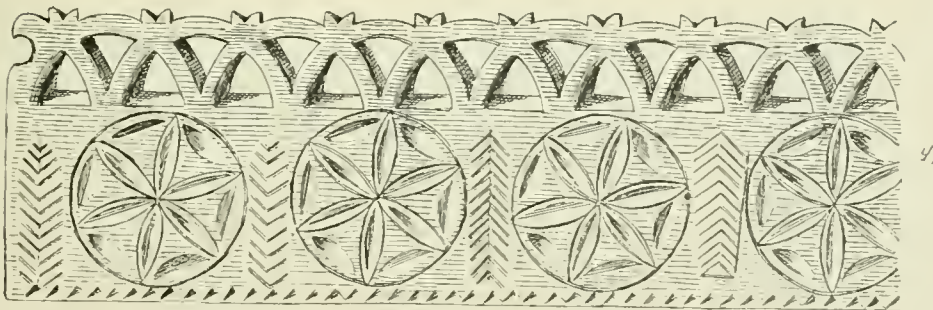
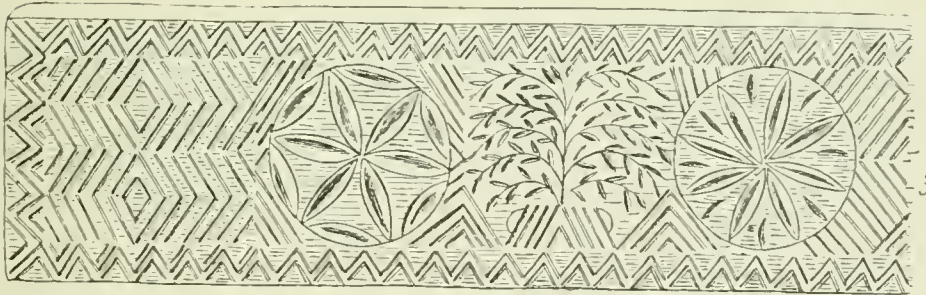
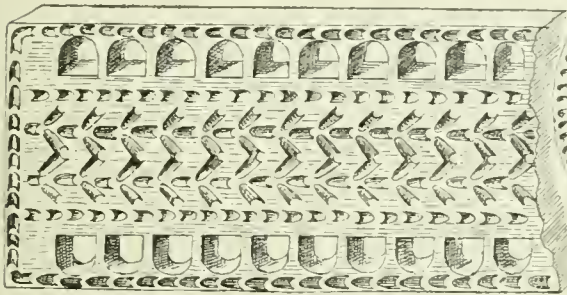
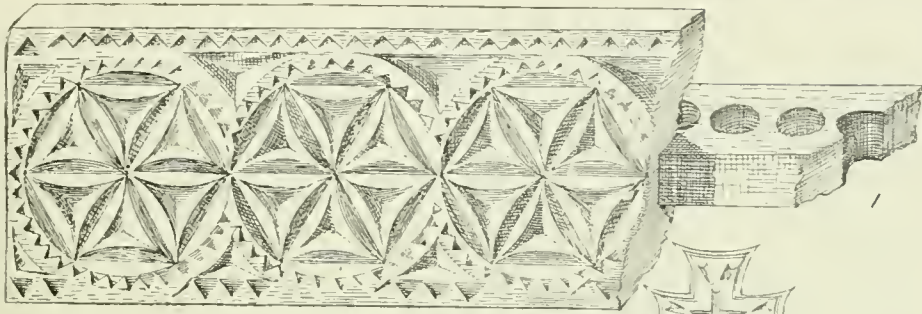
1. Starannie ryzowany, jasny jaworowy czy brzostowy łyżnik, 48×7.2 cm. własność Sobońki (wdowy po Soboniu).

2. Jasny łyżnik z młodej buczyny, nadzwyczaj oryginalny, starannie odrobiony. Ze zbioru p. Neuziła. Obok wieszadło.

3. Jasny niedbale ryzowany łyżnik, lecz ciekawy gdyż między gwiazdami istnieje ozdoba t. z. rząsa. Druga połowa łyżnika, nie narysowana tu, jest symetryczną względem pierwszej. 51×7 cm. Ze zbioru p. Neuziła.

4. Stary łyżnik, lecz chędożeniem i szorowaniem podniszczony, starta patyna lśniąca i czarna. Rzezacz nie miał ani dłuta, ani pilki, lecz rzezał nożykiem, stąd po brzegach luków widać wszędzie „plasienki“ (płaszczyzny cięcia) 44×7.8 cm. Ze zbioru p. Neuziła.

Tablica XVI.



TABLICA XVII

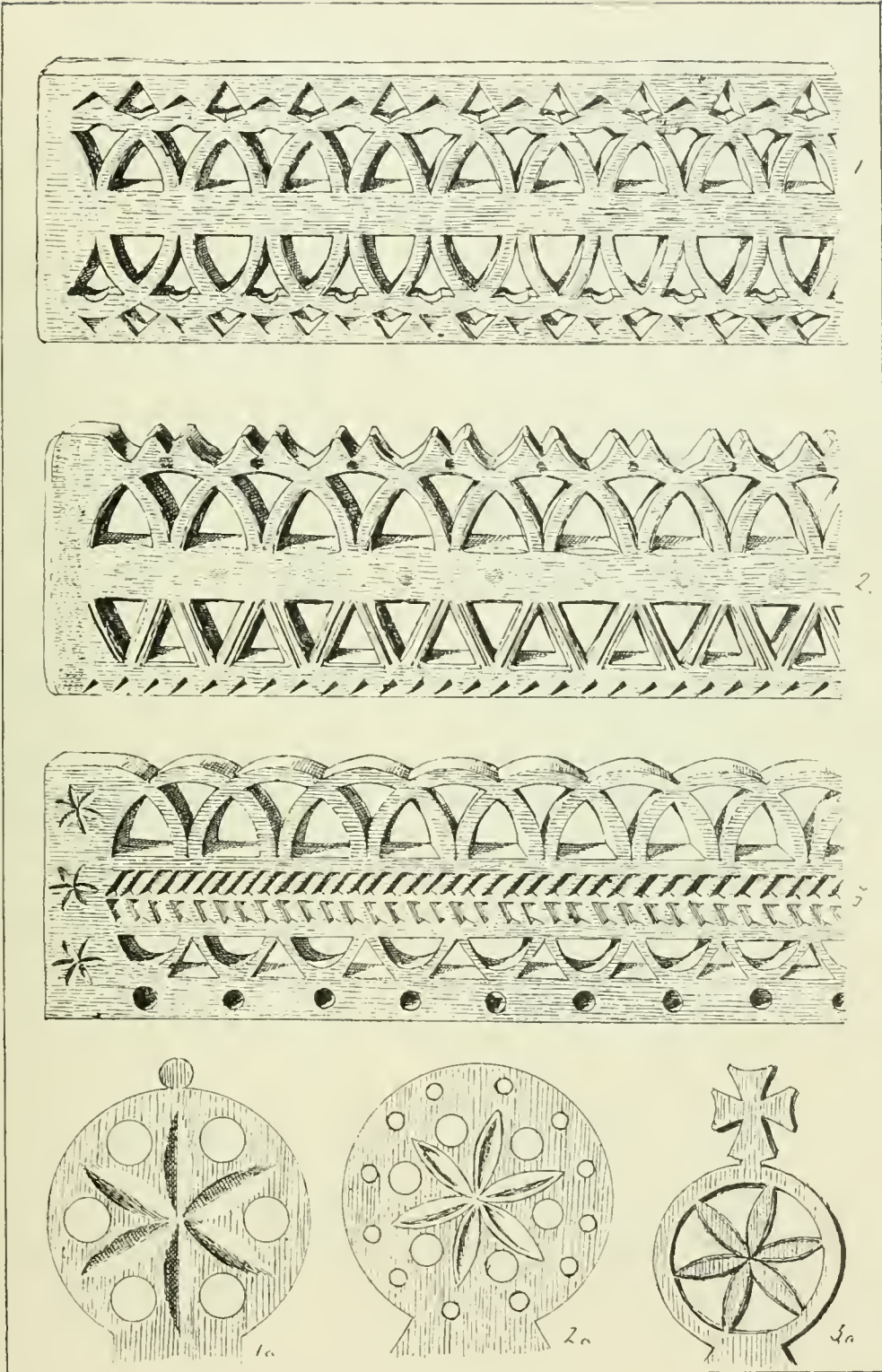
ŁYŻNIKI

ze zbioru p. Neuzila

Rysunek Wł. Matukowskiego.

1. Łyżnik z wierzbiny; $47 \times 5 \times 8$ cm.
2. Łyżnik wierzbowy, pomalowany na czerwono z zielonemi cętkami i smużkami po brzegach; $49 \times 7 \times 8$ cm.
3. Nowa kopja, wykonana twarde ze starego oryginału; $51,5 \times 7,5$ cm.
U dołu do nich wieszadła.

Tablica X.VII.



TABLICA XVIII

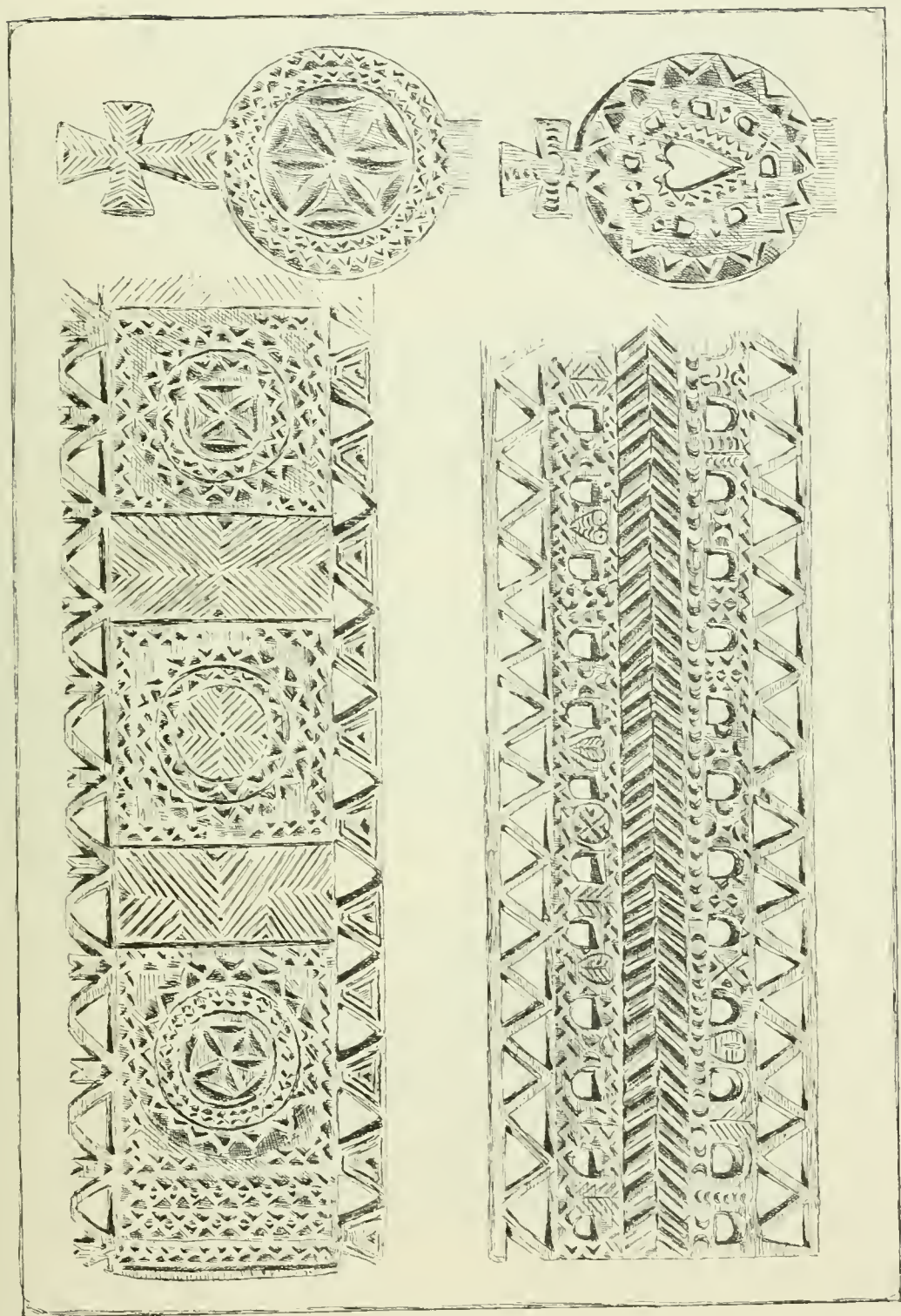
ŁYŻNIKI

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

Dwa stare oryginalne łyżniki, wyrysowane niemal z fotograficzną wiernością, dla zachowania ściśle ozdób, przypadkowości, nawet uszkodzeń skutkiem czasu. Obok nich dwa wieszadła. Długość pierwszego 60, drugiego 56 cm.: szerokość = $\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości.

Tablica X VIII.



TABLICA XIX

ŁYŻNIKI

ze zbioru p. p. Dembowskiich

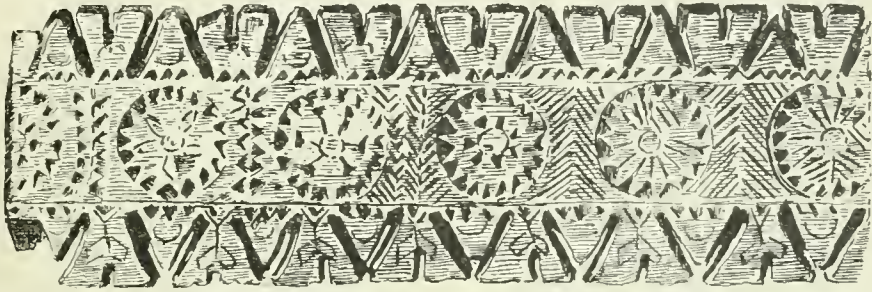
Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

1-a i 1-b dwie połowy bardzo starego i bardzo ciekawego łyżnika ze Skibówki, z niezmiernie rozmaitemi, bogatemi w odcienia gwiazdami; podniszczony ze starości. Niektóre z kólek przypominają słońca wielopromienne, jakby jakie indyjskie ozdoby. Łyżnik ten jest kopalią rozmaitych motywów, które zeń wysnuć można; 45 cm.

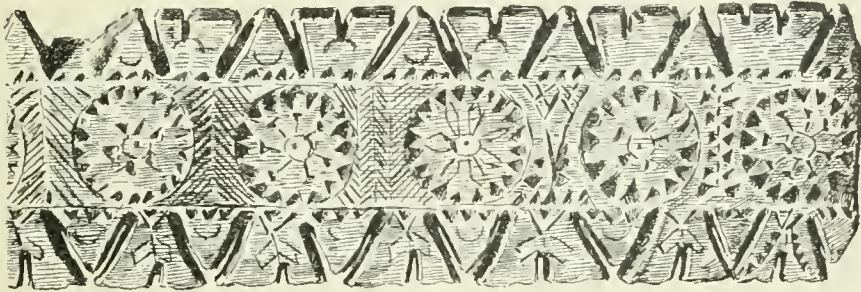
2. Wielki łyżnik, 79,5 cm. długości, malowany na błękitno, czarno i czerwono; roboty gazdy z Olezy, nazwiskiem Jan Klus, przezwiskiem Skakóń. Oba końce mają po połowie ornamenta zwane różą. Na łyżniku dwa doskonale rzeźbione pstrągi zwrócone pyszczkami ku sobie; na tarczy łyżnika ornament zwany „wodą.”

3. Ogromny łyżnik z „wodą” w pośrodku, a na końcach z ornamentem zwanym „pazdur.”

Tablica XIX.

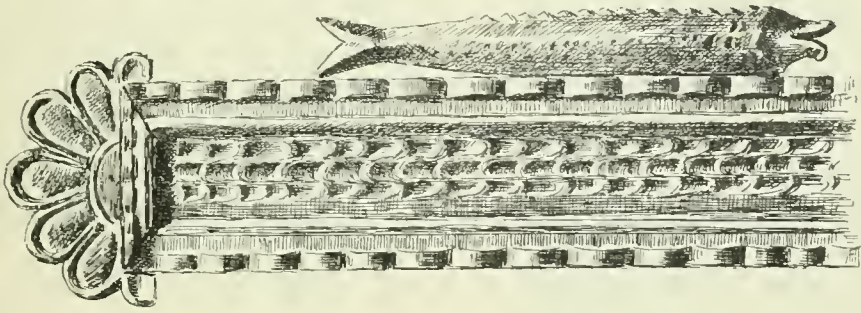


1a.



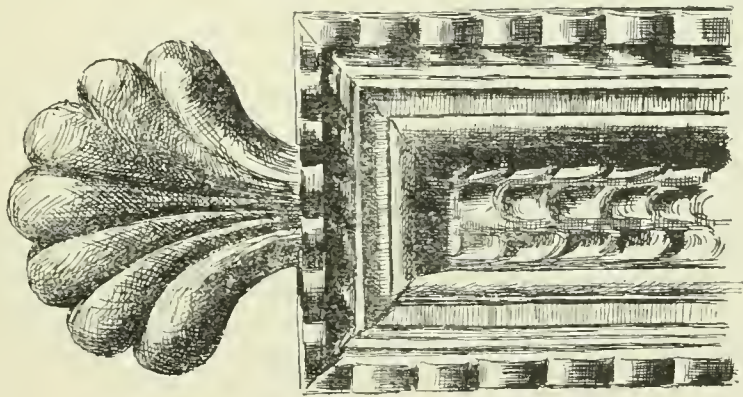
1/2

1/6.



1/3

2



3.

TABLICA XX

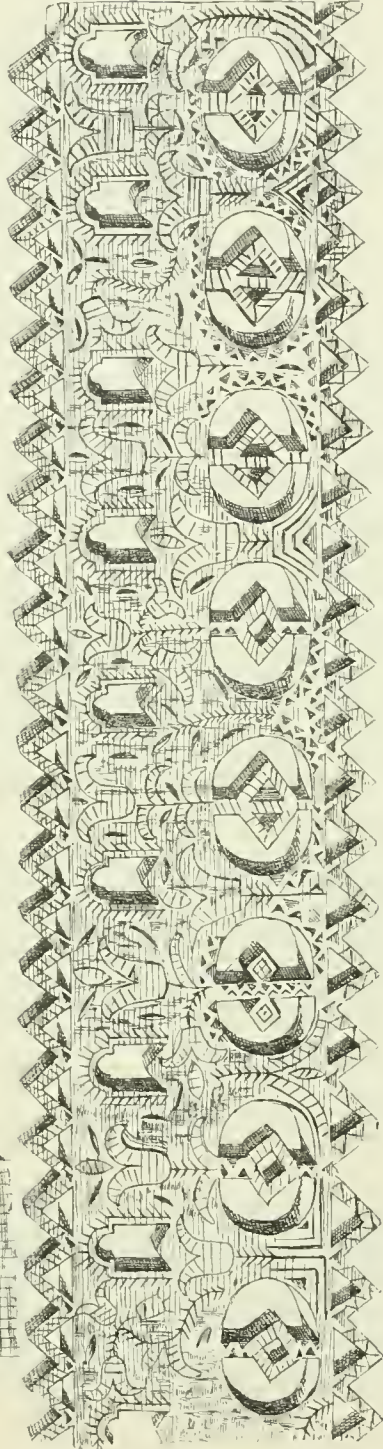
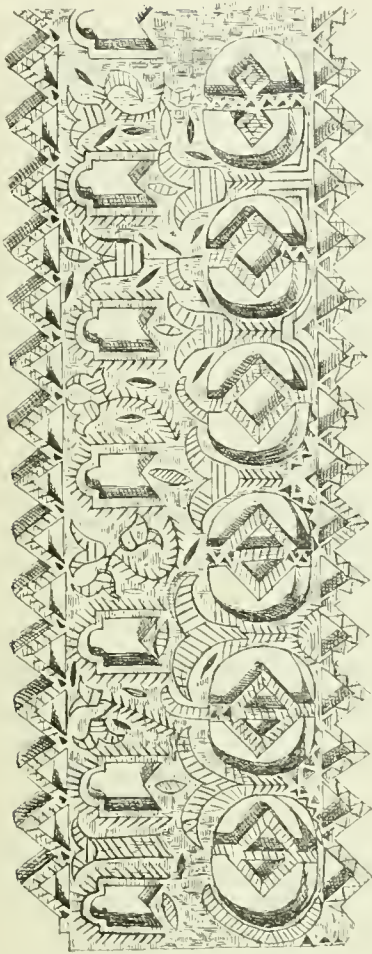
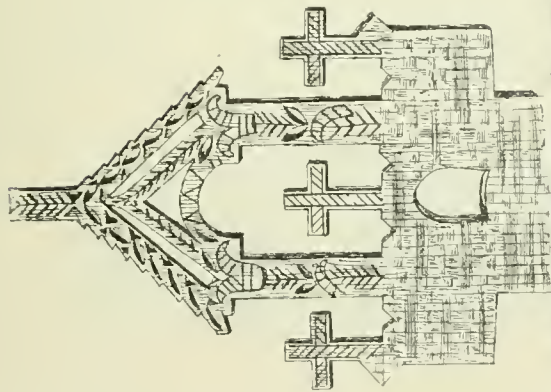
ŁYŻNIK

ze zbioru p. p. Dembowski

Rysunek Wł. Matlakowskiego.

Oryginalny łyżnik, pochodzący z Chochołowa; niedoleżnie ryzowany, ale pełen rozmaitych szczegółów; obok piękne wieszadło w kształcie kapliczki; wszystko ze ślicznej starej buczyny z płomykami, strzałkami w słojach drewna.

Tablica XX.



TABLICA XXI

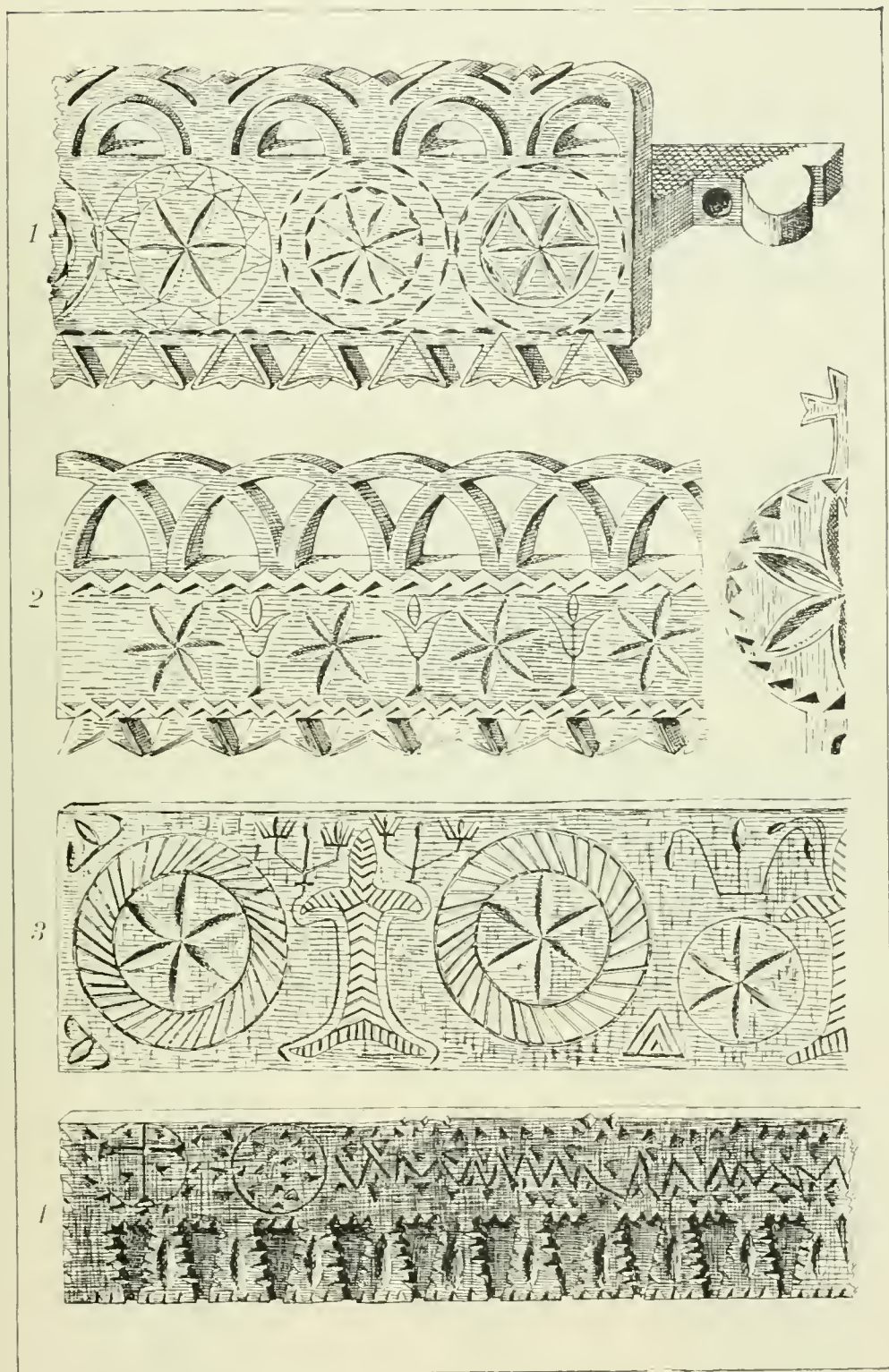
ŁYŻNIKI

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Stary jaworowy łyżnik, zniszczony przez wydarzenie, z pooblamywanemi zębami; tarcza i osada z jednej sztuki drzewa; w osadzie jeden rząd dziur na łyżki; 41×9.4 ctm. Pochodzi od Jędrka Ślimaka po żonie.
2. Jasny jaworowy łyżnik, pochodzący z Furmanowej; 63×9.2 ctm. obok wieszadło.
3. Stary jaworowy łyżnik, niedoleżnie ryzowany, ale jakby z oryginalnemi świecznikami 46×7.8 ctm.
4. Bardzo stary łyżnik, kozikiem grubo ryzowany „zacadniały“ t. j. okopcony, z jednej sztuki drzewa; w osadzie dwa rzędy dziur na łyżki. Wieszadło jaworowe trzy krzyże; 53×5 ctm.

Tablica XXI.



TABLICA XXII

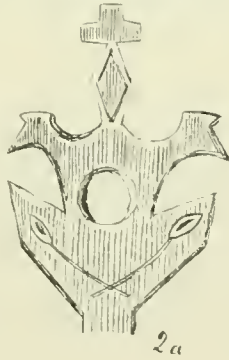
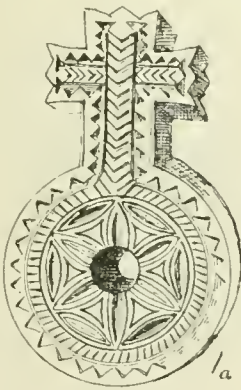
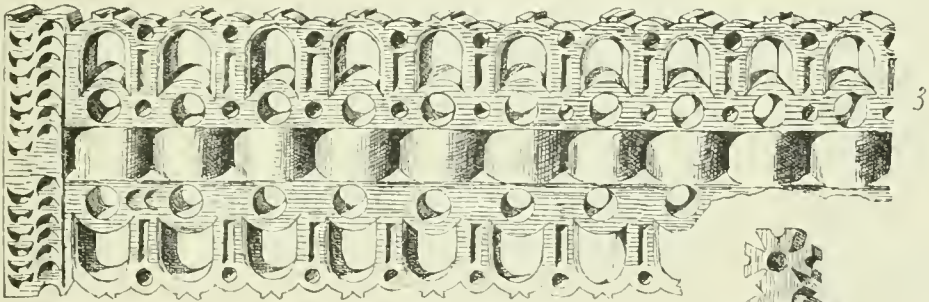
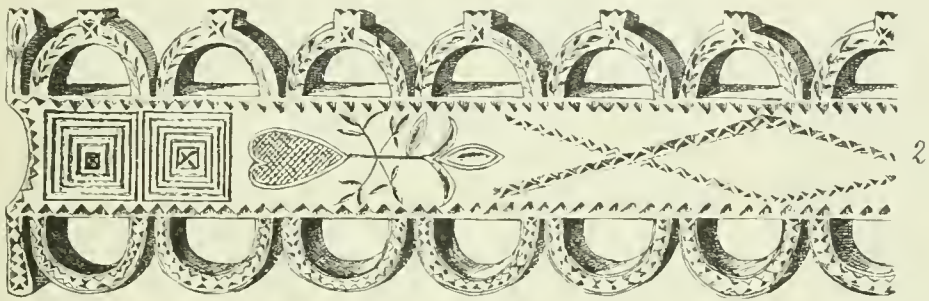
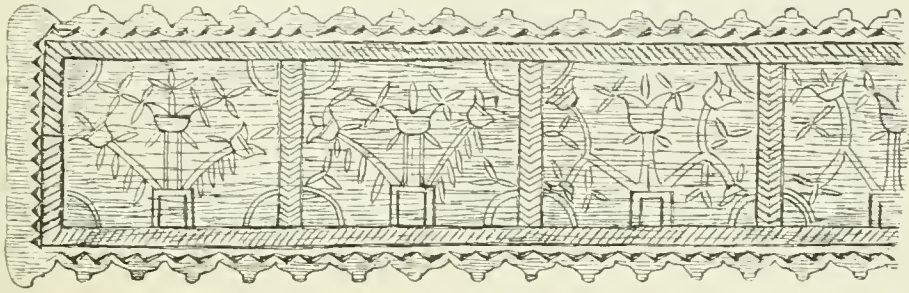
ŁYŻNIKI

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek Wład. Matłokowskiego.

1. Stary łyżnik jaworowy z niezgrabnymi archaicznymi roślinnościami; tarcza i osada z jednej sztuki: jeden rząd dziur na łyżki; 52×7.3 cm. Wieszadło na rys. 1a.
2. Bukowy łyżnik; osada wfügowana w tarczę; jeden rząd dziur na łyżki. Pochodzi z Gładkiej, robił go Jędrzai czek; krawiec. $55,5 \times 7,5$ cm. Wieszadło (rys. 2a) przypomina orła austriackiego herbu.
3. Jasny jaworowy łyżnik, starannie rzeźbiony, pochodzący z Koniówki pod Chocholowem. Wieszadło (rys. 3-a) oryginalnie ryzowane we wklęsłe półksiężyc; 50×7.3 cm.

Tablica XXII.



TABLICA XXIII

ŁYŻNIKI

ze zbioru p. p. Dembowskich

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

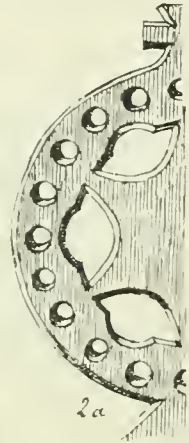
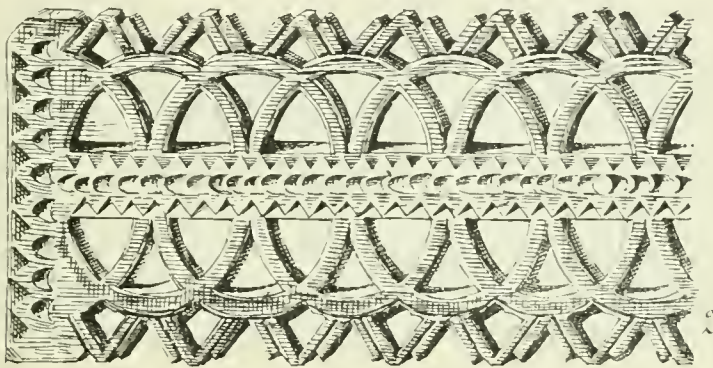
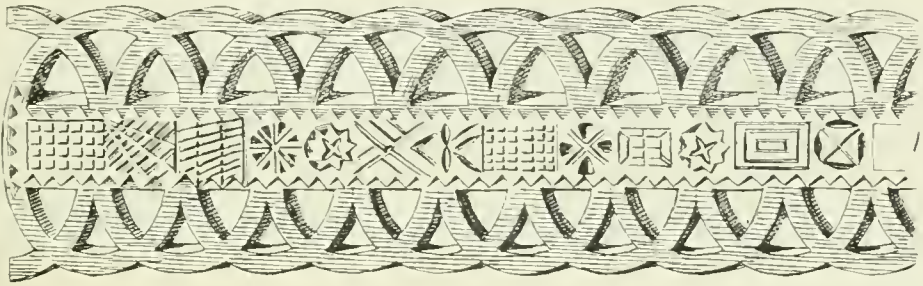
1. Bardzo stary łyżnik, kozikiem ryzowany, nie szczególnie odrobiony, ale pełen oryginalnych motywów; np. reeiea na drugim kwadraciku ode brzega, gdzie skiby równoległe przecięte są przez skiby z ukosa promienisto się rozbiegające; bardzo ciekawe i oryginalne są gwiazdy, podane z osobna na rys. 1-a. — $62 \times 7,4$ cm.

2. Starannie ryzowany, jaworowy łyżnik: obok rys. 2-a wieszadło: 48×9 cm.

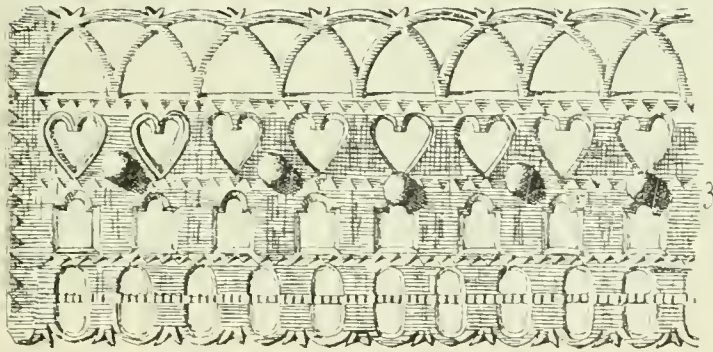
3. łyżnik jaworowy nadzwyczajnie starannie wyrzynięty; delikatnie sfazowane krawędzie: dla uwydatnienia ich z unysłu nie narysowana grubość deszczułki. Wieszadło obłamane: ze szczytka wolno wnosić że było oryginalnie pomyslane; 56×9 cm.

4. Prześlicznie rzeźbiony barokowy łyżnik z twardego jaworu, z jednej, jednolitej sztuki, robota siedemdziesięcioletniego starca Wawrzyniaka z Głecarowa, który nigdzie się rzeźby nie uczył.

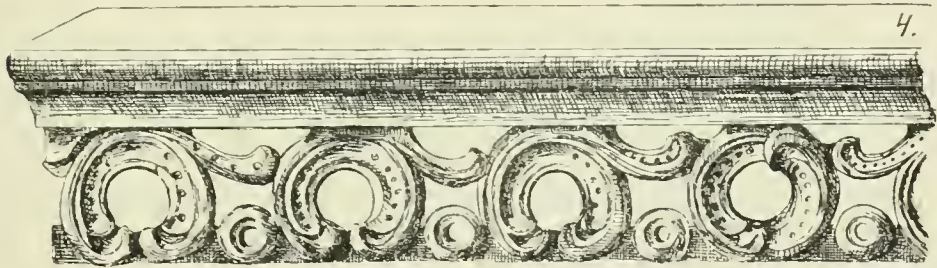
Tablica XXIII.



2a



1a



4.

TABLICA XXIV

ŁYŻNIKI

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

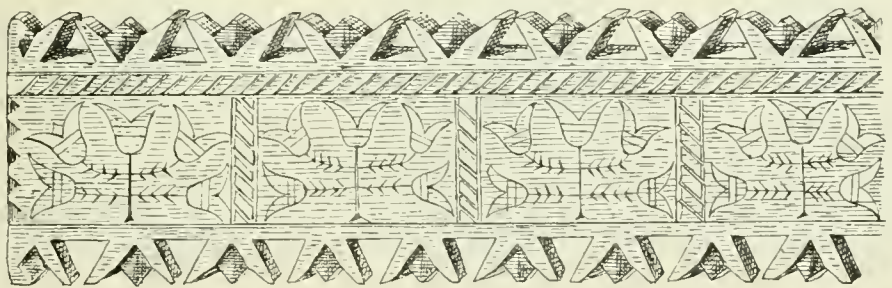
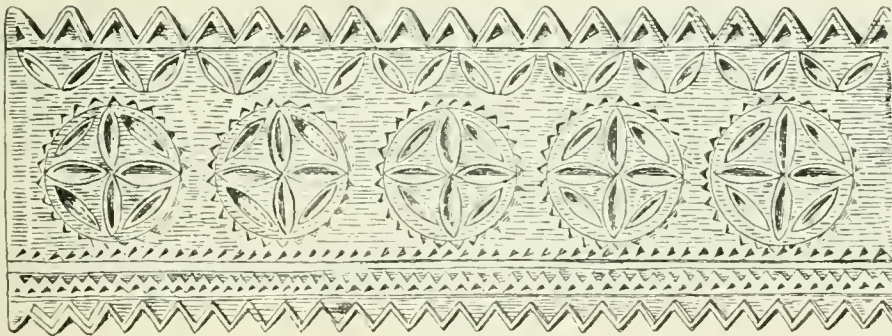
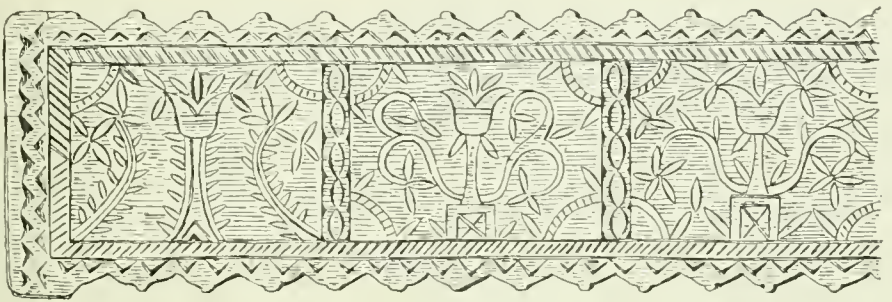
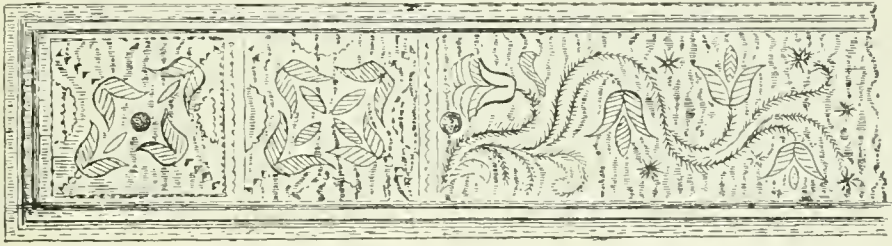
1. Stary łyżnik „konferacki” t. z. od swego właściciela, który był w konfederacji barskiej. Z Kościelisk. Osada przybita do tarczy gwoździami cisowymi, widzianymi na tarczy. Piękny motyw, jakby wijący się widlak (*Lycopodium*); na drugim końcu łyżnika bieży w odwrotnym kierunku; 51×6.2 cm.

2. Stary, jaworowy łyżnik z Kościelisk; 55.5×7.5 cm.

3. łyżnik ze starego jaworu, bardzo spróchniały, stoczony przez „cyryle”, tak że trzymają się tylko dwie lupiny a między nimi próchno: brak osady, jeden koniec uszkodzony. Pochodzi z Olezy; 47×8.8 cm.

4. łyżnik wydzióbany z jednej sztuki: tarcza i osada; z dziurami czworobocznymi na łyżki, pomalowany na czarno; 60×7 cm.

Tablica XXIV.



TABLICA XXV

ŁYŻNIKI

z zbioru hr. Krasińskiego

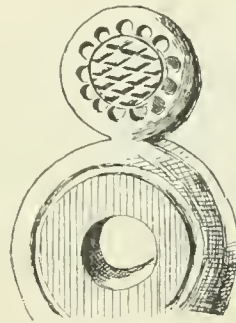
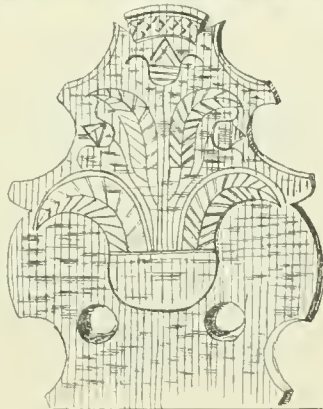
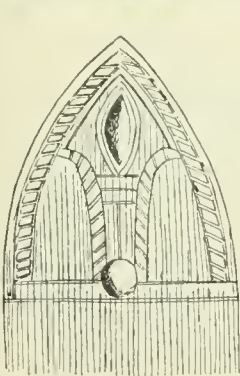
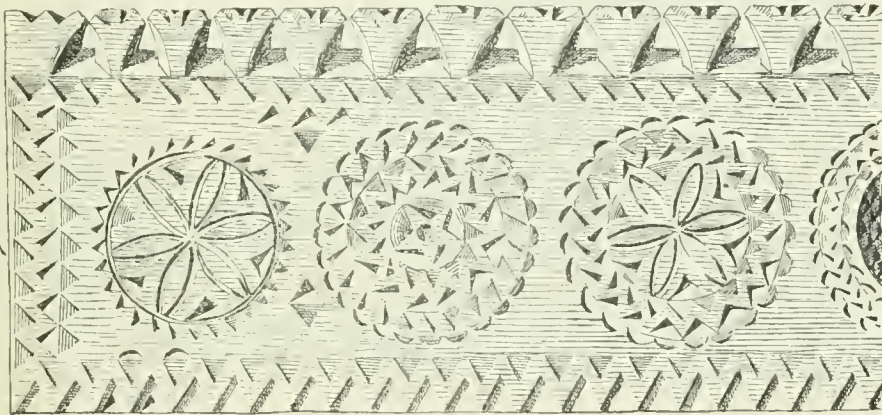
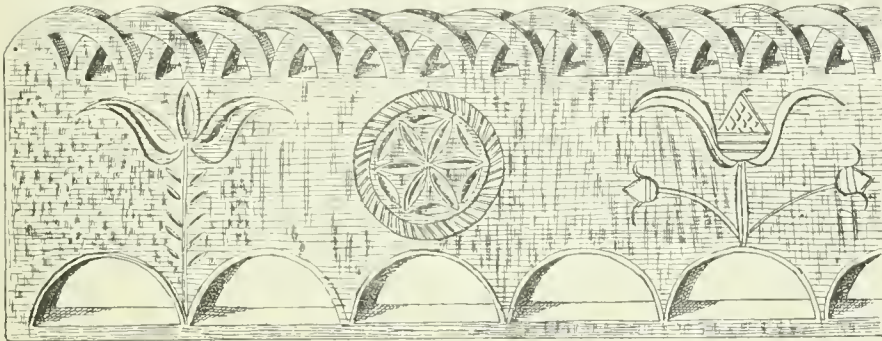
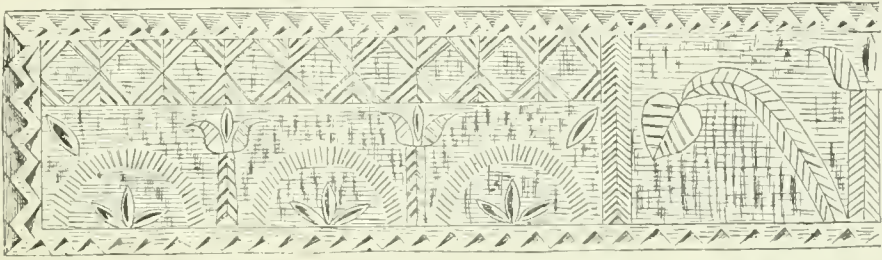
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Jasny jaworowy łyżnik, płytko ryzowany; piękne drzewo z poprzecznymi płaniami, t. j. ze strzałkami połyskującymi w słoju drzewnym; 52×6.5 cm.

2. łyżnik ze ślicznego drzewa jaworowego z połyskującymi zastrzałami i łateczkami bieżącymi w poprzek słoju drzewnych; jasny, w poprzek ryzowany, starannie wyrzeźbiony: na całym łyżniku 4 gwiazdy, porozgradzane łelujami, nad środkową łelują w połowie łyżnika słońce; 64.5×8.8 cm.

3. łyżnik jaworowy nowy, niedbale ryzowany, ale bogaty w szczęśliwe pomysły. 53.5×11 cm. Do nich odpowiednie wieszadła.

Tablica XXV.



TABLICA XXVI

ŁYŻNIKI

ze zbioru hr. Krasińskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

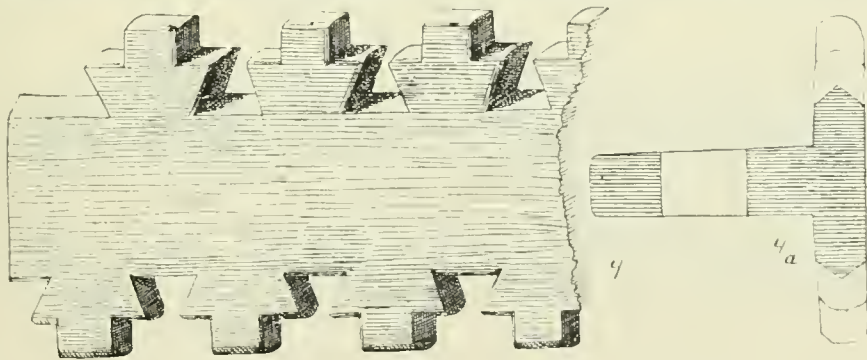
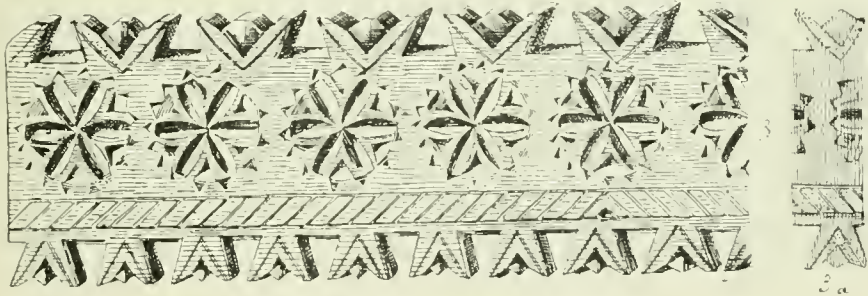
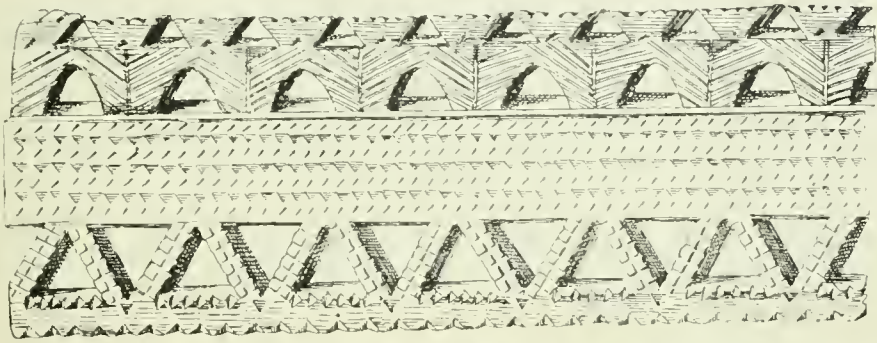
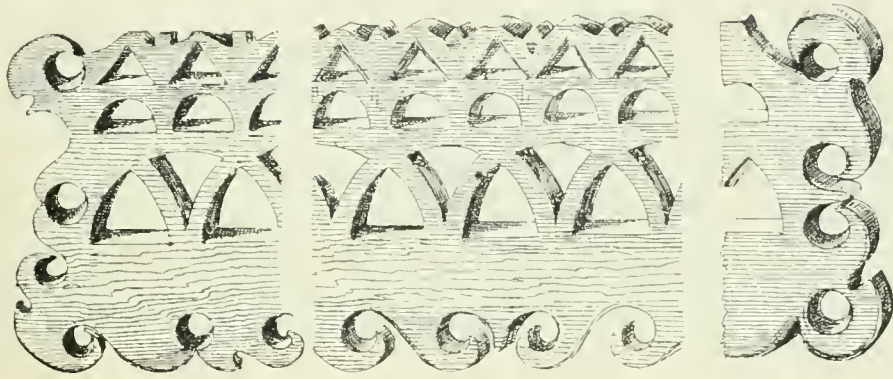
1. Wybornie cięty, starannie odrobiony łyżnik jabłopiowy. Oba końce są od siebie nieco odmienne; $61 \times 9,2$ cm.

2. łyżnik ze starego jaworu: uszy boczne: $45 \times 8,5$ c.

3. Bardzo ciekawy i ładny łyżnik: odróżnia się od innych 1-o tem, że posiada gwiazdy bardzo piękne i oryginalne z obeinanemi promieniami; 2-o tem, że jest malowany na dwa kolory: cały łyżnik jest zielony, a niektóre szczegóły czerwone: na rys. 3-a odznaczone są części zielone kreskami, a czerwone kropczkami; 52×7 cm.

4. Stary gruszkowy łyżnik prosty, ale oryginalny; na 4-a pokazane przecięcie poprzeczne łyżnika z połączeniem podstawy z tarczą; w podstawie dziura na łyżkę; $50 \times 8\frac{1}{2}$ cm.

Tablica XXVI.



TABLICA XXVII

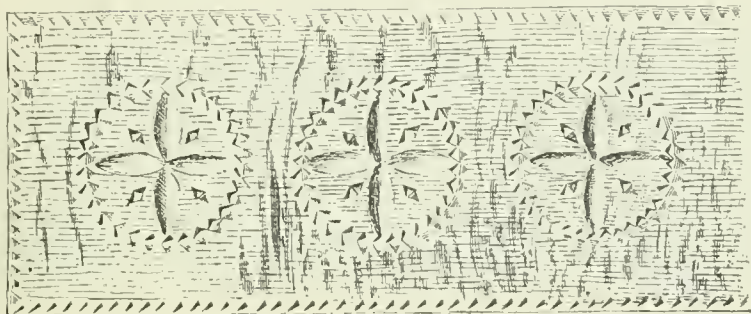
ŁYŻNIKI

ze zbioru hr. Krasieńskiego

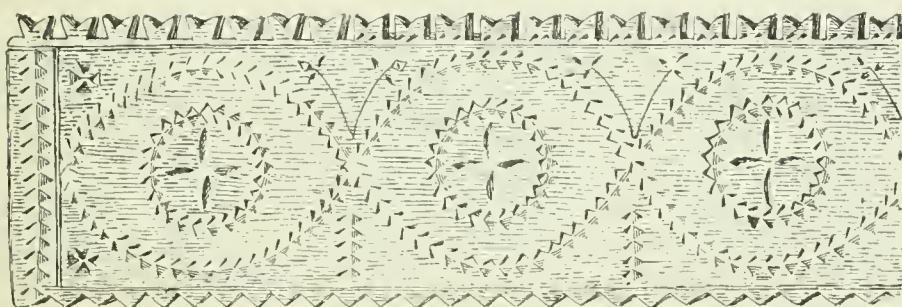
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Jasny jaworowy łyżnik, skromnie ale starannie ryzowany, wydziabane tarcza i osada z jednolitej sztuki drzewa; w osadzie dwa rzędy dziur okrągłych, leżących na prost siebie. Obok wieszadło; 37×7.8 cm.
2. Stary jaworowy łyżnik, wyciosany z jednej sztuki; uszy boczne, dziury na łyżki okrągłe, w jeden rząd; 68×7 cm.
3. Łyżnik jaworowy, starannej roboty, wykrzesany z jednolitej sztuki drzewa; uszy boczne, jednym rzędem dziury okrągłe na łyżki; 58×8.3 cm.
4. Łyżnik starannie wyrzezany z jaworu; tarcza przybita do osady; w tej ostatniej jeden rząd dziur okrągłych; uszy boczne: 44×5.4 cm.

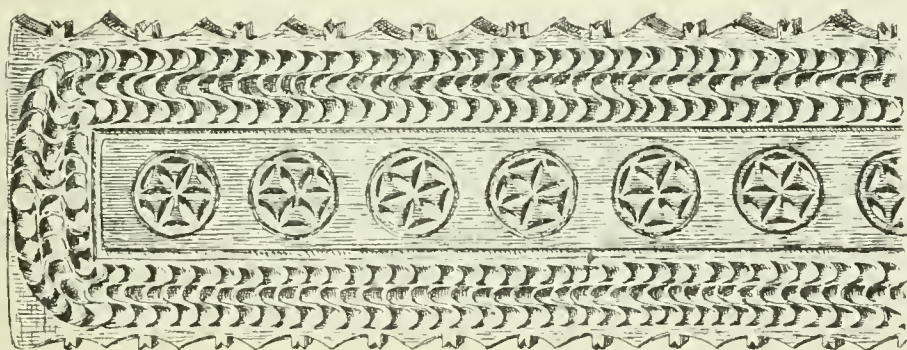
Tablica XXVII.



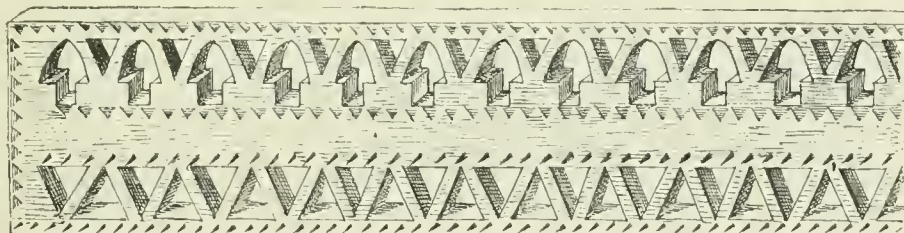
1



2



3



4

TABLICA XXVIII

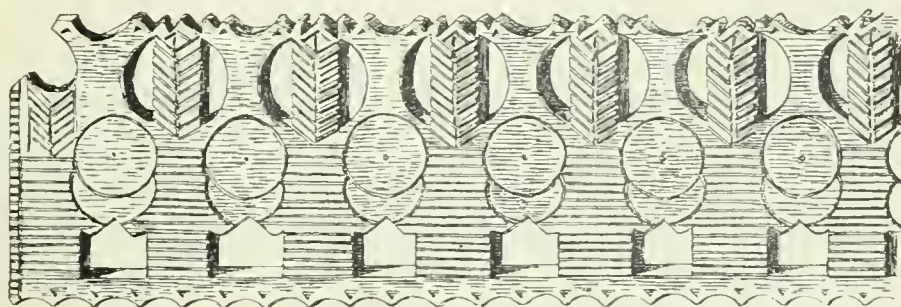
ŁYŻNIKI

ze zbioru hr. Krasieńskiego

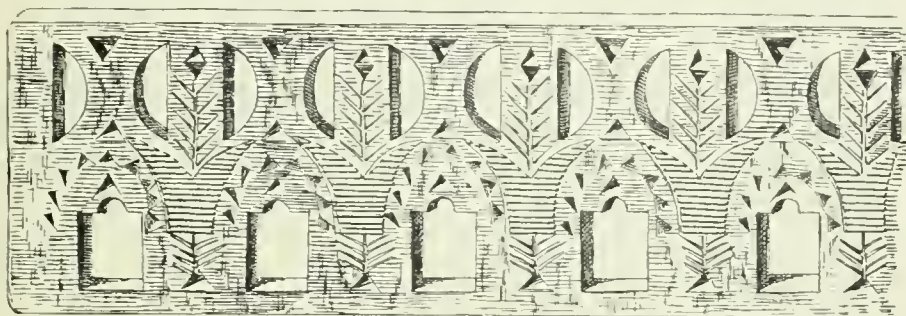
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Oryginalny łyżnik z kapliczkami u dołu, zachodzącymi na siebie toczkami kolistymi; jaworowy, stary, z jednolitej sztuki wyrznięty bardzo delikatnie. Wieszadło oryginalne, ale pooblamywane, tak że domyśleć się całości trudno; 66×7.2 cm.
 2. Jasny jaworowy łyżnik; tarcza przybita do osady, w niej dziury na łyżki okrągłe w dwa rzędy; uszy boczne; 49×7.5 cm.
 3. Jasny jaworowy łyżnik, starannie i delikatnie wyrzowany, wyrobiony z jednej sztuki drzewa: tarcza i osada; uszy boczne; 61×8.5 cm.
 4. Stary, polerowany łyżnik, z ciemnego buku ze ślicznymi strzałkami w słojach drzewa; tarcza przybita do osady, mającej jeden rząd dziur okrągłych na łyżki; uszy boczne; 51×8.3 cm.
-

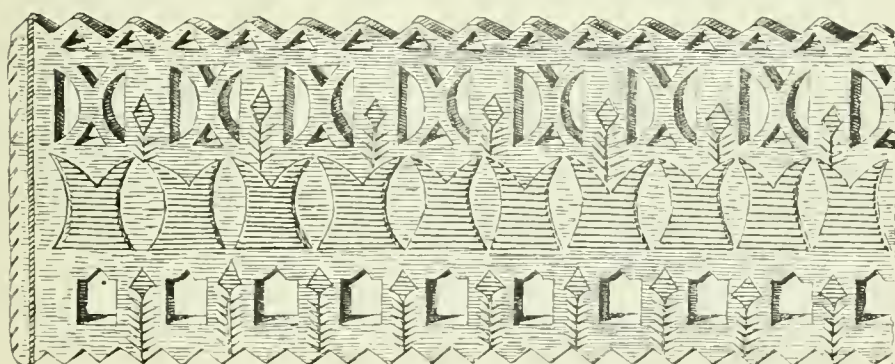
Tablica XXVIII.



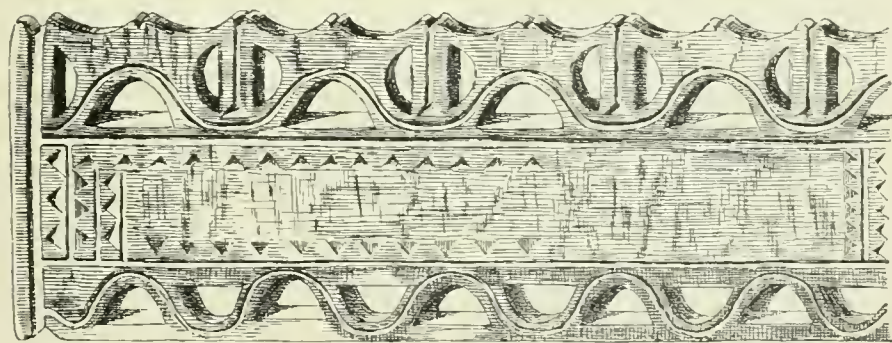
1



2



3



4

TABLICA XXIX

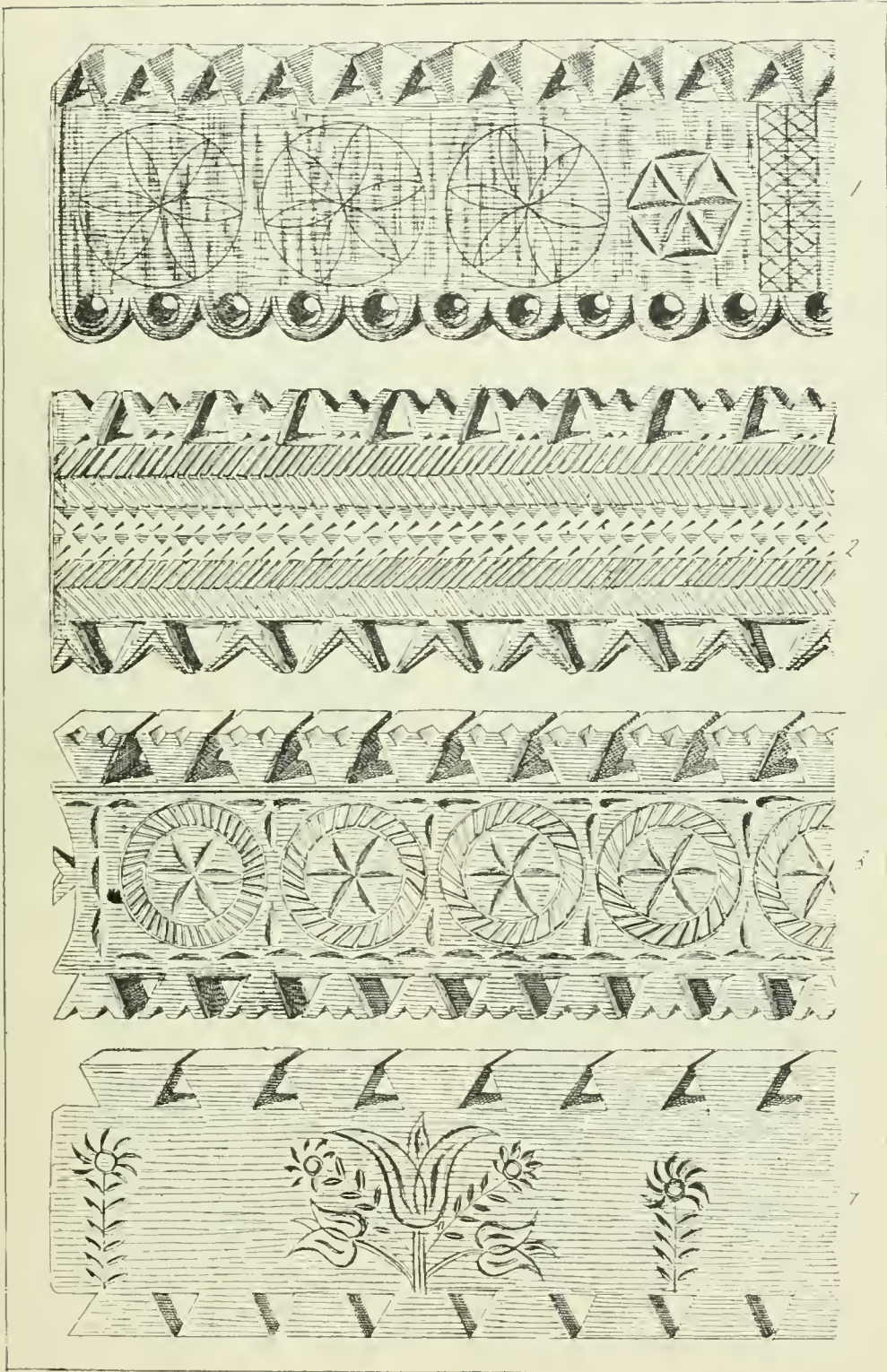
ŁYŻNIKI

ze zbioru Adama hr. Krasieńskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Łyżnik z pięknego starego jaworu z zastrzałami w słoju; niewykończony, bo widać tylko naznaczone gwiazdy, a nie wyrzowane; 53×8.5 cm. Uszy boczne.
2. Łyżnik jaworowy. Uszy boczne; 51×8.3 cm.
3. Stary jaworowy łyżnik. podniszczony chędożeniem; uszy boczne; 61×8.5 cm.
4. Jaworowy łyżnik dobrze zachowany; ryzy zapuszczone, zdaje się na czarno; 54×8 cm. Oryginalne wegetacje z płateczkami kwiatów u wiry.

Tablica XXIX.



TABLICA XXX

ŁYŻNIKI

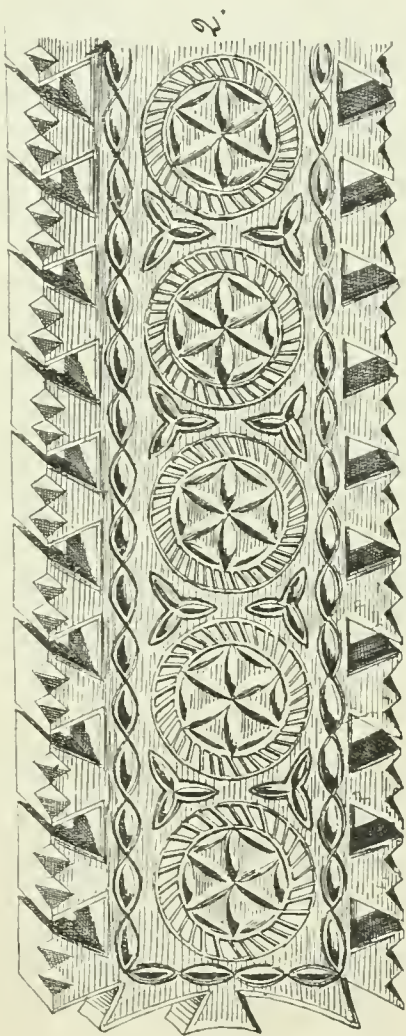
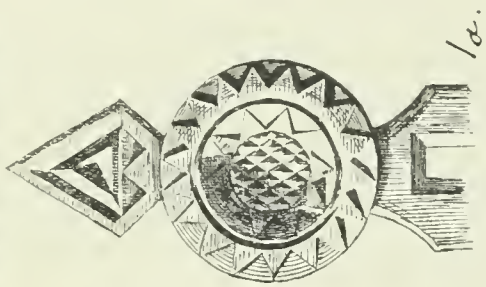
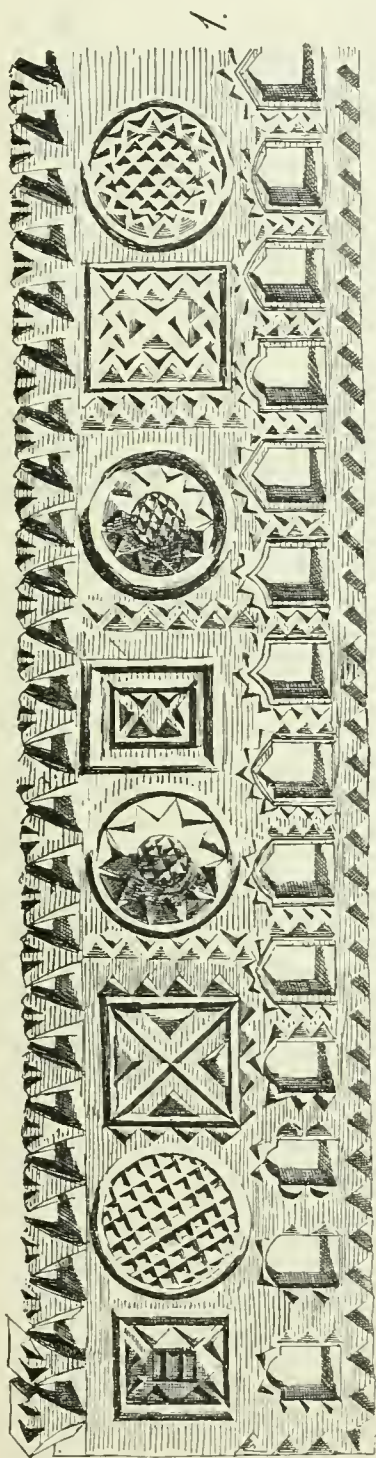
ze zbioru hr. Krasińskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Niedbalej roboty, stary jaworowy łyżnik, nieutrzymany w charakterze, ale niezmiernie cenny przez nowe i oryginalne motywy ornamentacyjne; mianowicie zawiera dziewięciorniki, czyli dziewięcsily (*Carlina acaulis* L.), co już stanowi nowość, a do tego ozdoby te są wpuszczone pod powierzchnię łyżnika; dalej dwa oryginalne kwadraciki, oraz słicznie wyglądający dziewięciornik na wieszadle (rys. 1-a), talerzowato wklęsły; 46×9,5 cm.

2. Duży jaworowy łyżnik, starannie ryzowany, napuszczany na jasno cisowo; 64×10 cm.

Tablica XXX.



TABLICA XXXI

ŁYŻNIKI

ze zbioru p. Gnatowskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

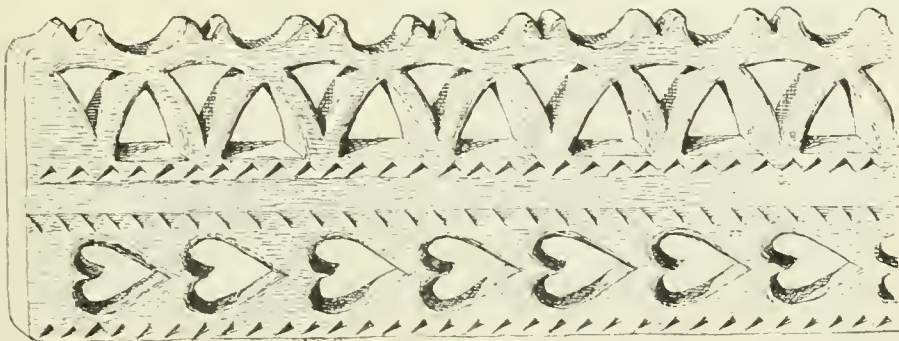
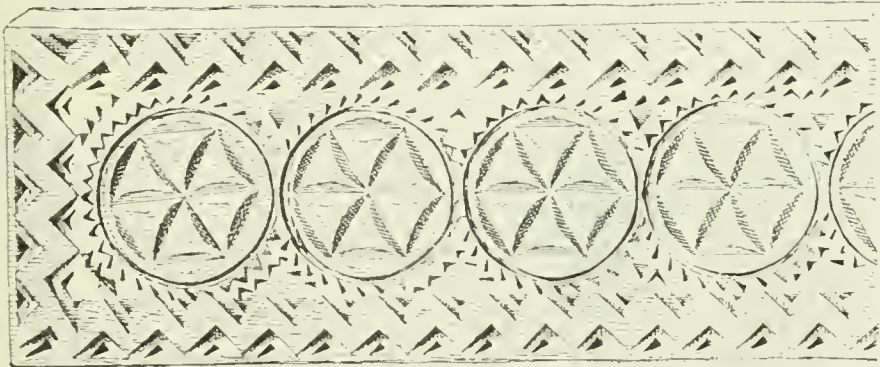
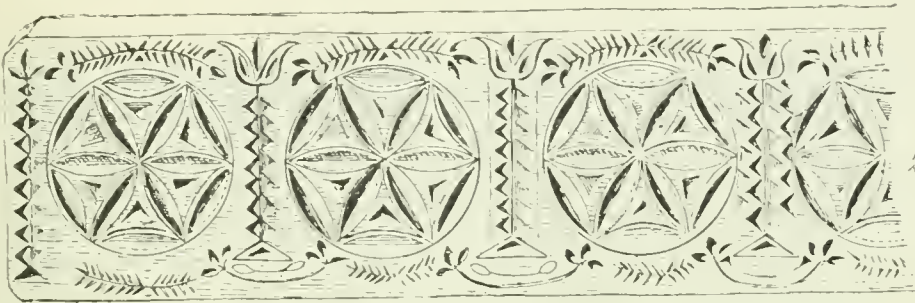
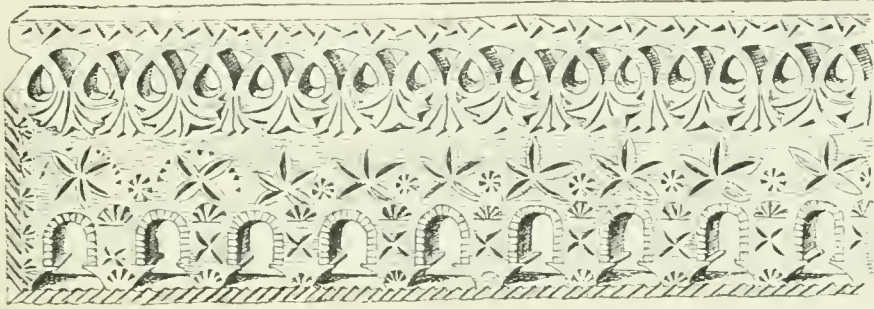
1. Prześlizny, jeśli nie najpiękniejszy, z widzianych przezemnie, to najwykwintniejszy łyżnik z przepysznyim motywem u góry, jasny, jaworowy; pochodzi z Ratułowa. Wieszadło krzyż; 50×7 cm.

2. Bardzo stary łyżnik ze spróchniałej młodej buczyny, piękny, z niezmiernie oryginalnymi motywami pod i nad gwiazdami; 47×7 cm. zniszczony.

3. łyżnik stosunkowo świeżej roboty, jasny, cały wyrzezany z jednej sztuki drzewa, t. j. tarcza, osada i wieszadło; dziury na łyżki w trzy rzędy naprzeciwległe. Wieszadło dziwaczne; 50.5×9 cm.

4. Stary wierzbowy łyżnik, w połowie długości parzenice zmieniają kierunek; i tam są dwa BB grzbietami zwrócone do siebie, w osadzie dwa rzędy dziur naprzemianległych; 53×8 cm.

Tablica XXXI.



TABLICA XXXII

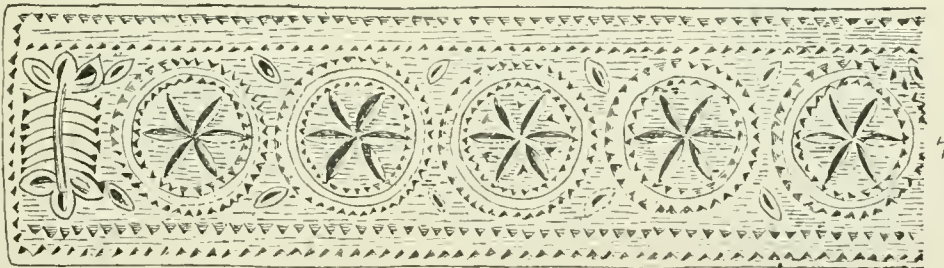
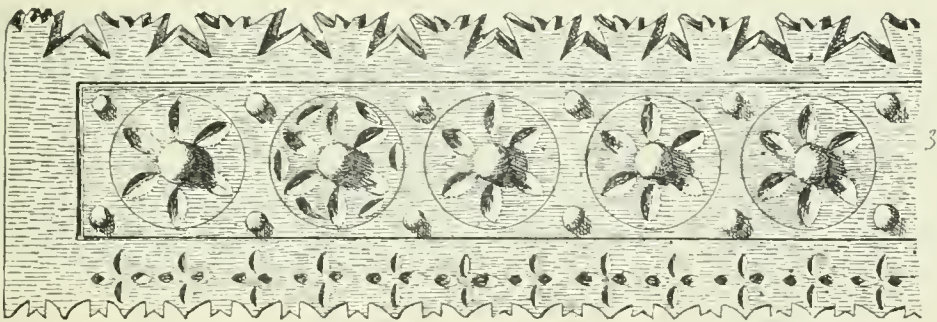
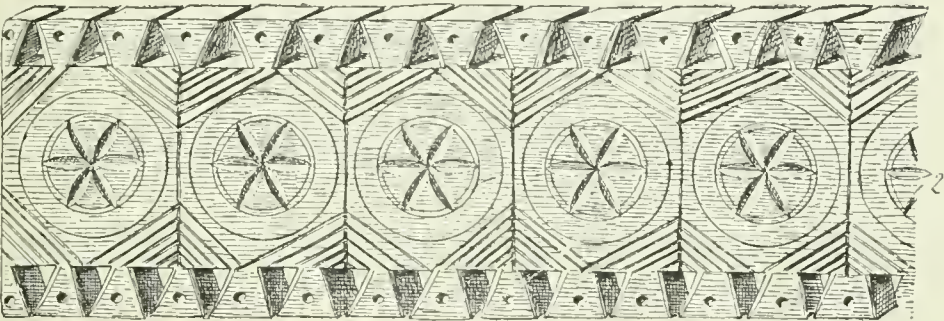
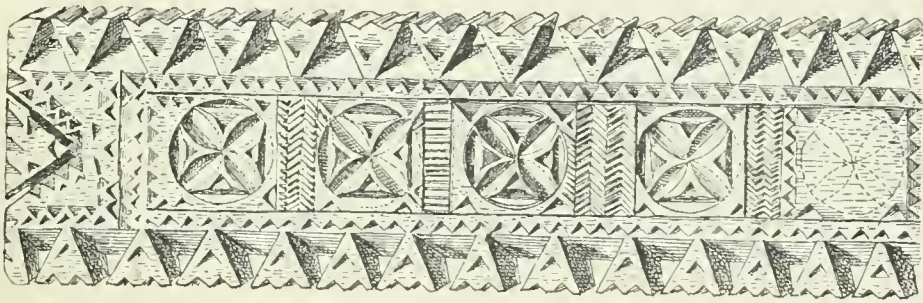
ŁYŻNIKI

ze zbioru p. Gnatowskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Stary, spróchniały, jaworowy łyżnik, czarny, błyszczący, z pięknymi oryginalnymi motywami gwiazd czworopromiennych. Uszy: dwa pałeczki leszczynowe; 46×7.5 cm.
2. Stary, stoczony łyżnik, ciemny; 53.5×7.8 cm.
3. Piękny, oryginalny i dobrze odrobiony łyżnik, ten wyróżniający się od innych, że nabijany koleczkami, jako ozdoba; 58×8 cm.
4. Stary łyżnik, starty chędożeniem. Na końcach oryginalne roślinności, jakby stonogi; 57×7 cm.

Tablica XXXII.



TABLICA XXXIII

ŁYŻNIKI

ze zbioru p. Gnatowskiego

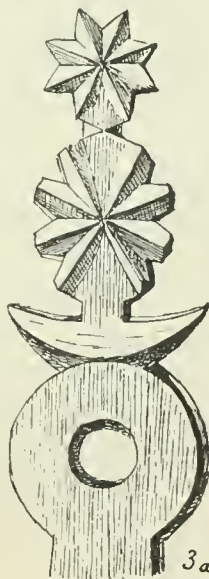
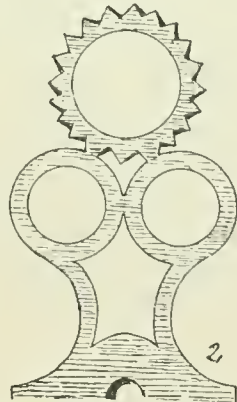
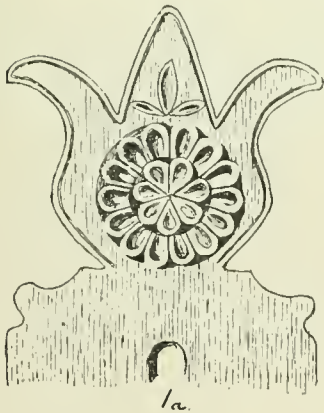
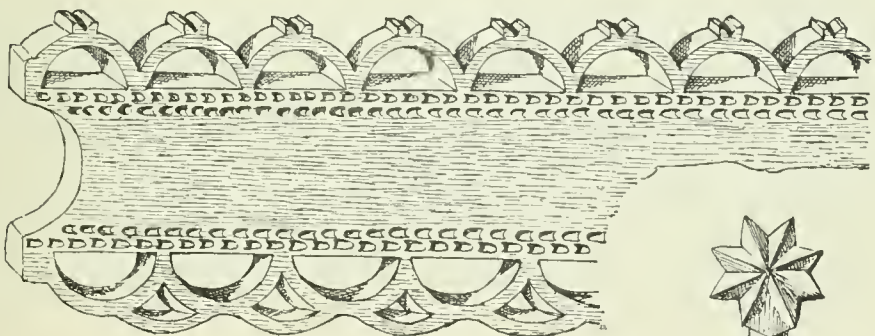
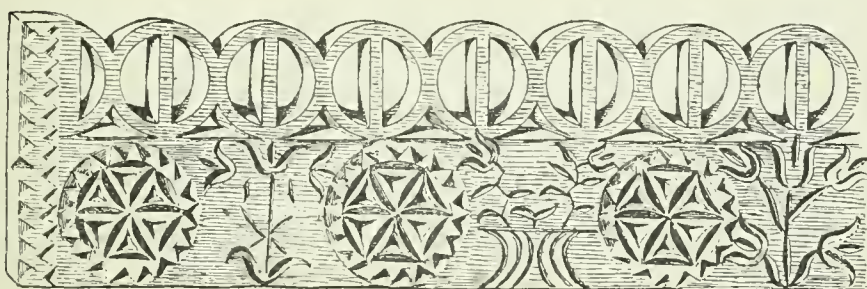
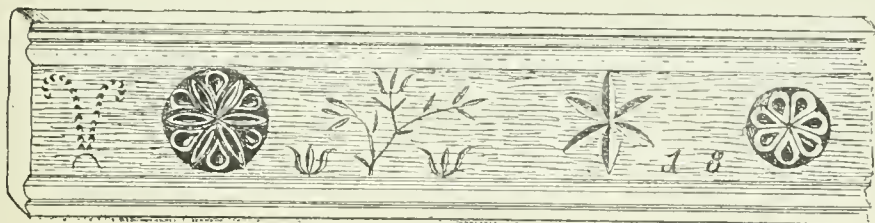
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Oryginalny, skromny łyżnik jaworowy, z godnemi uwagi ozdobami: najprzód jakby rogi capu (koziocy); dalej oryginalna gwiazda; a szczególniej wieszadło (rys. 1-a) z wielką różą wyrzeźbioną. Tarcza przybita do osady, w niej osiem dziur trójkątnych na łyżki; 47×5 ctm.

2. Stary, oryginalny, łyżnik jaworowy; ślad malowania na czerwono ale starty; tarcza przybita do osady, w niej szesnaście dziur okrągłych w dwa rzędy na prost siebie. 2b Wieszadło.

3. Stary łyżnik pomalowany na czarno, bukowy, z osadą wfugowaną w tarczę; 16 dziur okrągłych na łyżki. Oryginalne wieszadła, przypominające herb Leliwę; 59×8 ctm. 3a. Wieszadło.

Tablica XXXIII.



TABLICA XXXIV

ŁYŻNIKI

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

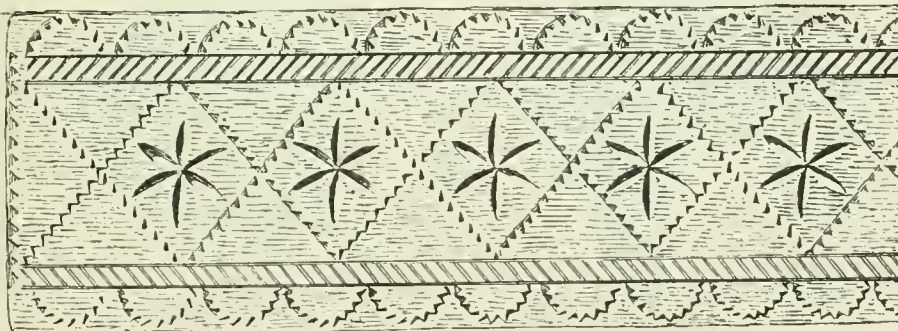
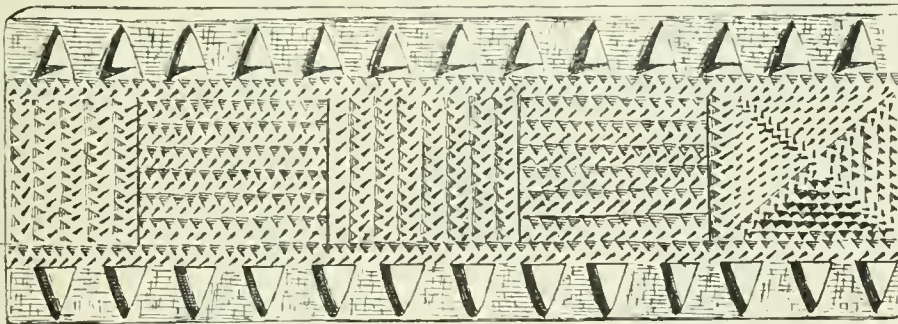
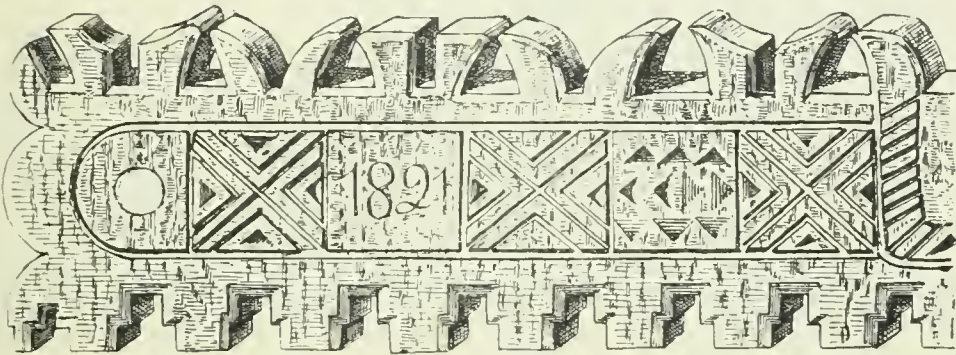
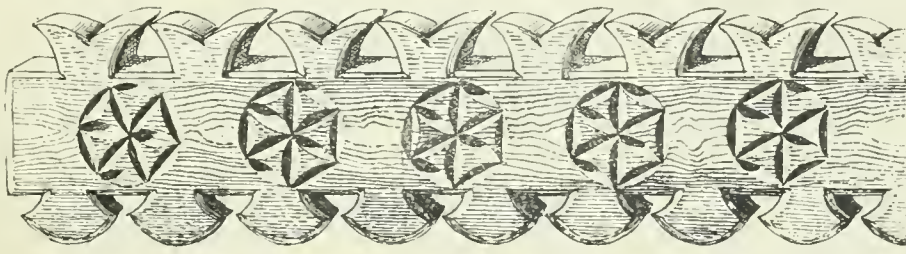
1. Stary łyżnik, pięknego ciemno-cisowego koloru, czysty, ostrej, ślicznej roboty, zdaje się z cisowego drzewa z wyraźnym słojem. Tarcza przybita do bukowej osady; niektóre zęby powylamywane: 56.5×5.8 cm.; własność Bednarza Kuby, odziedziczony po „ujku“ Stopce, który go robił.

2. Stary, stoczony przez czerwiec łyżnik z buczyny: o jeden kwadrat połowa skrócona, aby pokazać środek, w drugim końcu napis „Zakopane,“ lecz jak rozpoznał znawca, rzeźbiarz Kaspruś, wyrzezany niedawno; 61×8.4 cm. Własność p. Lilpopowej.

3. Jasny jaworowy łyżnik, monotonicznie wyrzowany w same ząbki; wieszadło kółko nad krążkiem, wyrzowanym tak samo w ząbki; 51×8 cm. Ze zbioru p. Gnатовskiego.

4. Łyżnik jaworowy. płytko ryzowany; 45×8.5 cm. Własność Sobonki (wdowy po Soboniu) z Kaprusiów.

Tablica XXXIV.



TABLICA XXXV

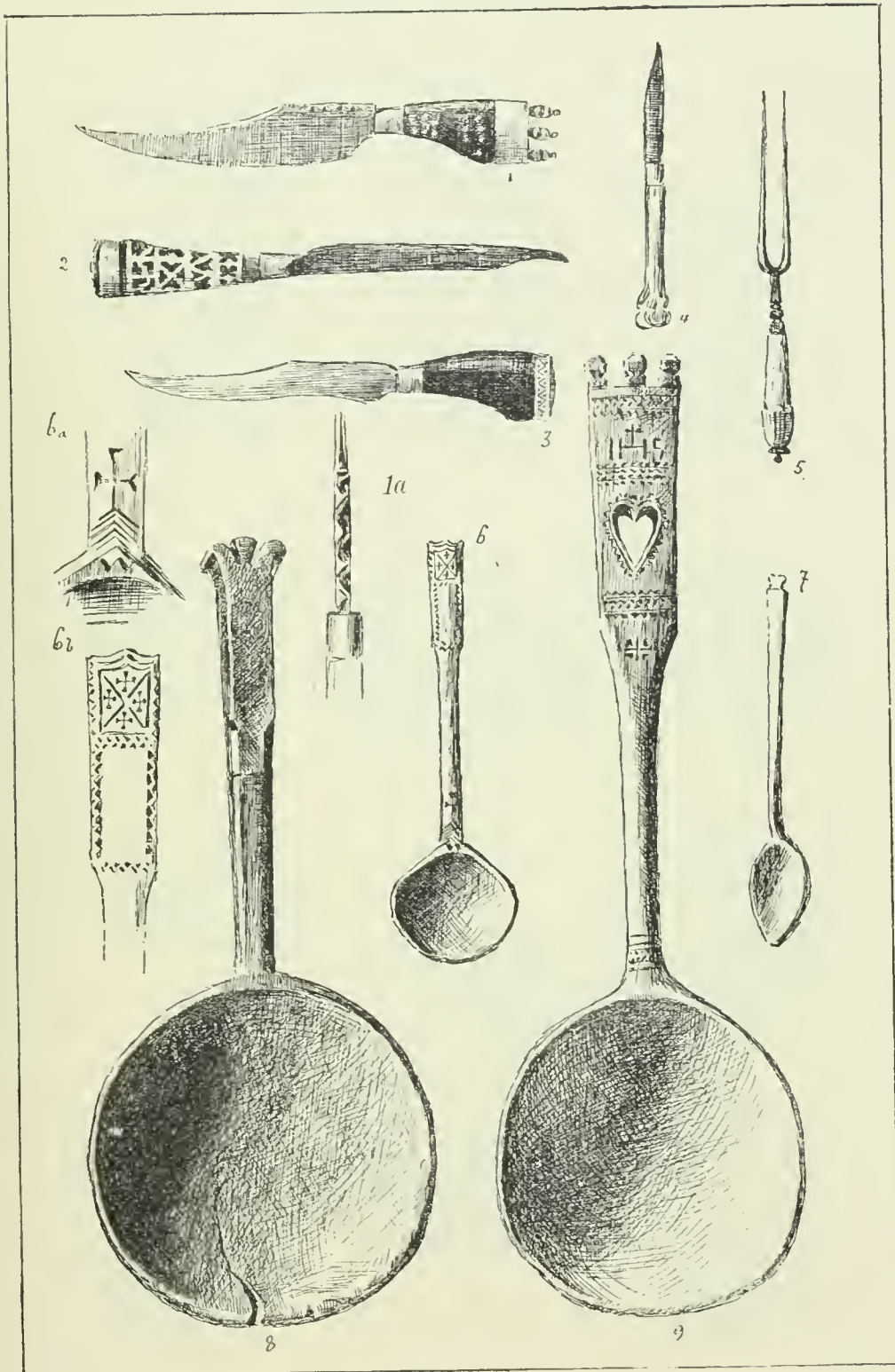
NOŻE, ŁYŻKI I WARZĄCHWIE

ze zbioru p. p. Dembowskiich.

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

1. Nóż zbójnicki z eisowym trzonkiem, wykładany mosiądzem, z mosiężnymi skówkami i metalowymi bulkami. — 1-a ozdoba na grzbiecie brzeszczotu tegoż noża.
2. Nóż zbójnicki z drewnianą rękojeścią zalewaną cyną.
3. Nóż zbójnicki.
4. Nóż oprawiony w gicel baranią.
5. Widelec w kościanej oprawie.
6. Łyżka drewniana, ryzowana; na 6-a nart łyżki t. j. przejście trzonka w łyżkę, z krzyżykiem niespodzianym; na 6-b zdobienie samego trzonka.
7. Łyżka zwyczajna drewniana.
- 8 i 9. Dwie warząchwie do mieszania mleka i wylawiania z niego sera, z ozdobnymi trzonkami.

Tablica XXXV.



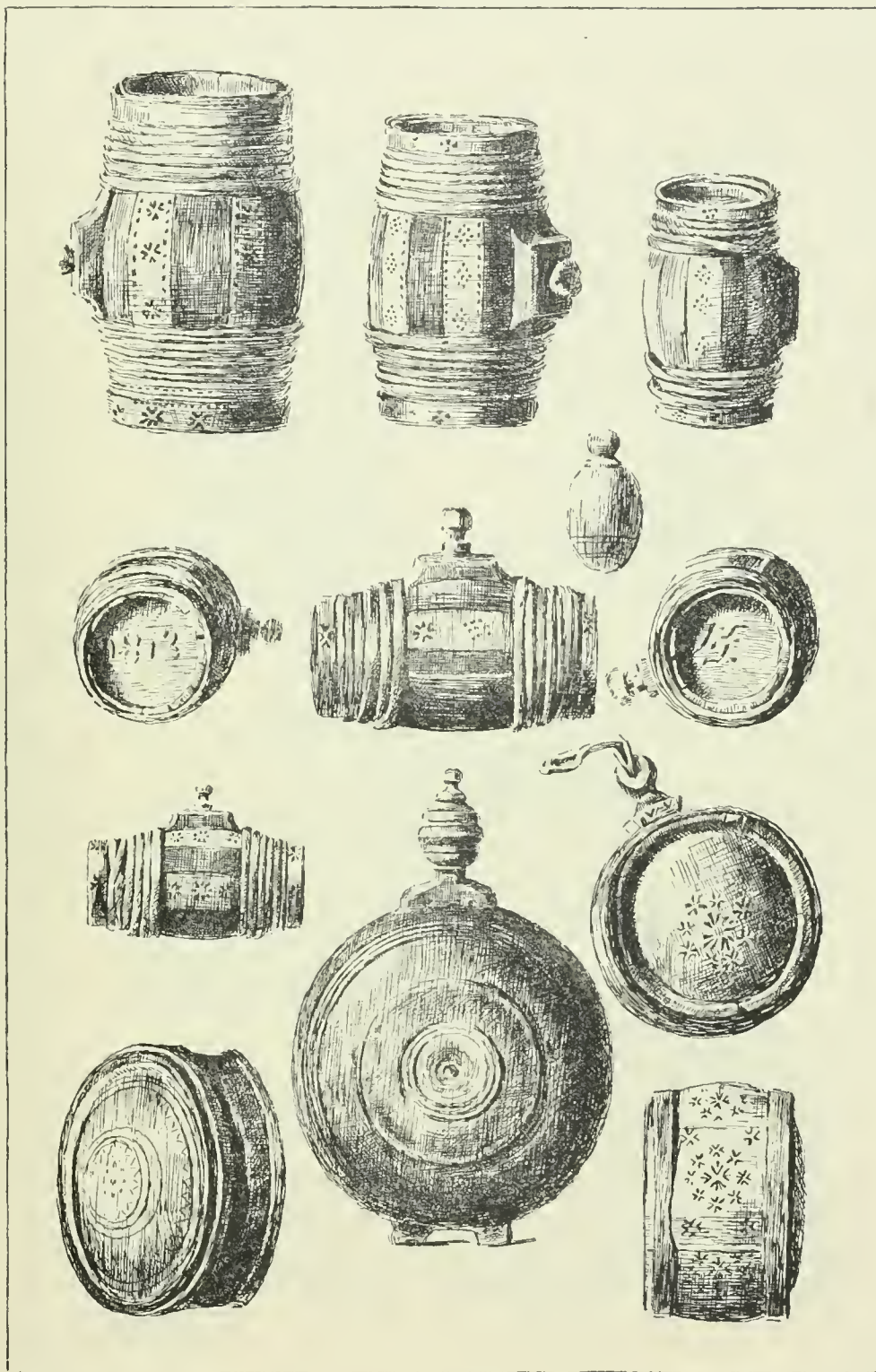
TABLICA XXXVI

OBONIECZKI

z e zbioru p. p. Dembowskiich.

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

Tablica XXXVI.



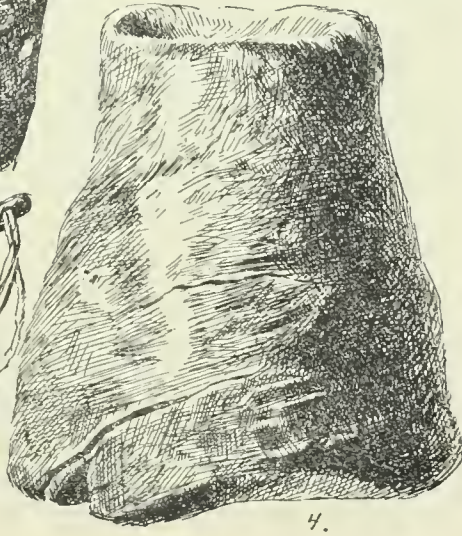
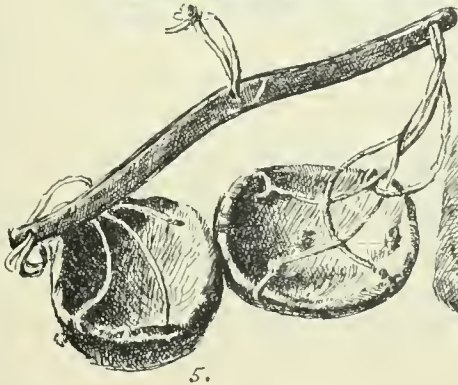
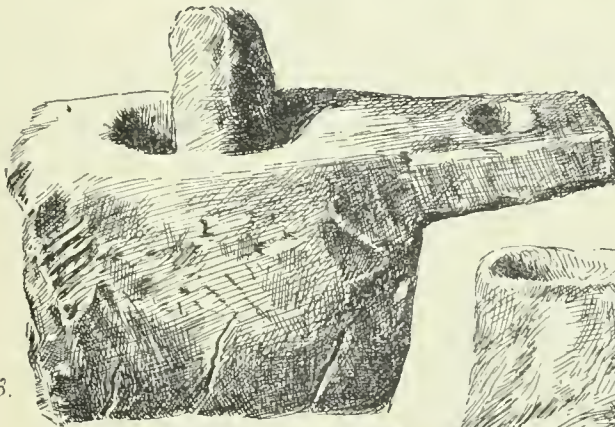
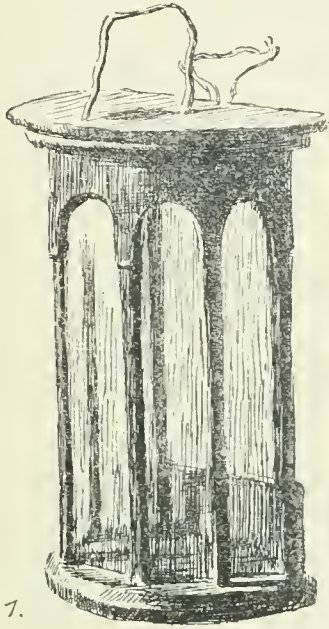
TABLICA XXXVII

ze zbioru p p, Dembowskiich.

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

1. Latarenka z drewnianemi słupczkami.
2. Dzbaneł drewniany, samorodny.
- 3 i 4. Dwie pierwobytnę stępkę do tłuczenia soli.
5. Szalki drewniane.

Tablica XXXVII.



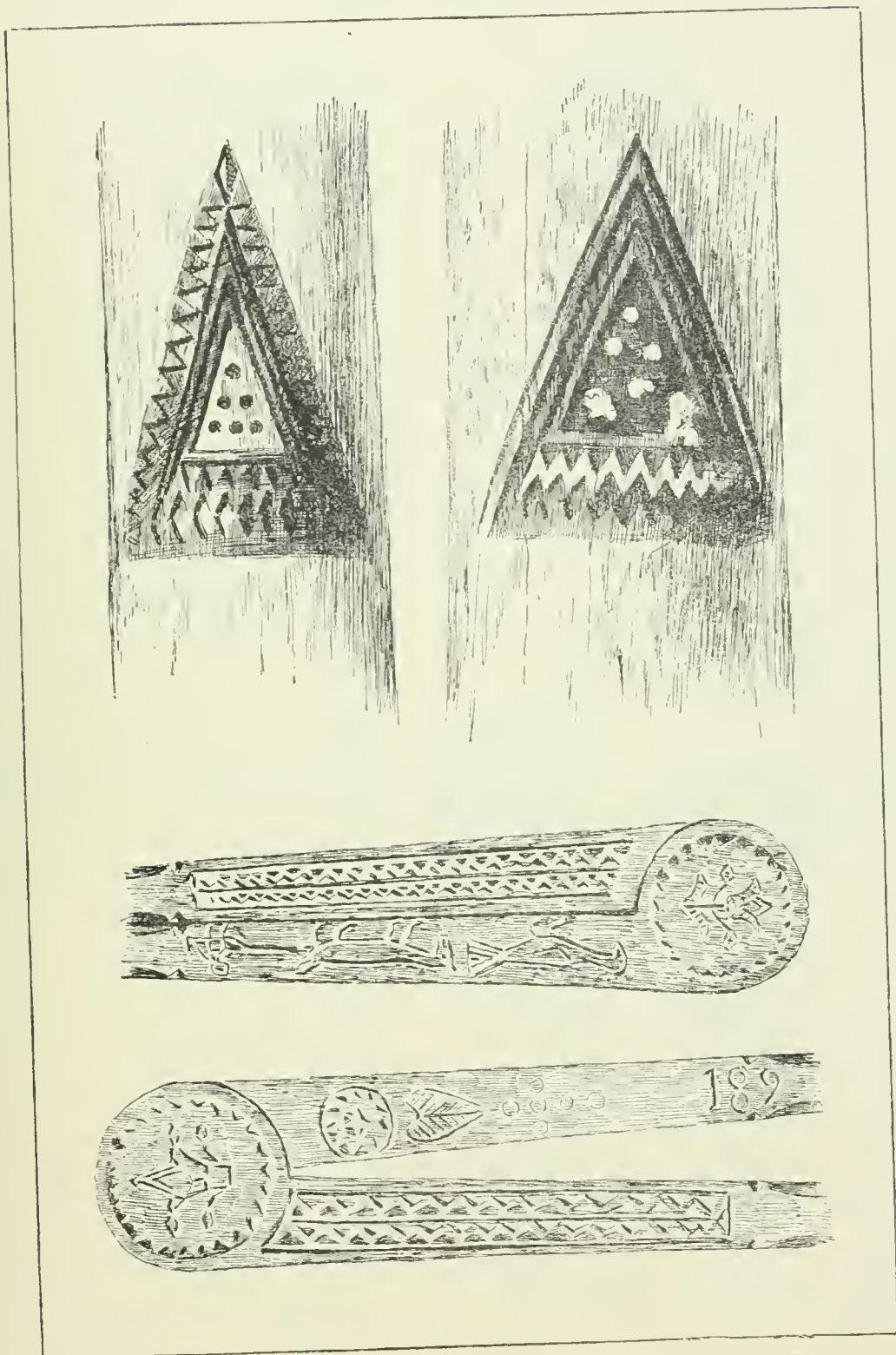
TABLICA XXXVIII

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

U góry tablicy wyrysowane dwa ule z ryzowanym zdobieniem, krytem polichromją. Własność Staszka Sobczaka w Zakopanem.

U dołu tablicy narysowane lice i nice cyrkla. Cyrkiel ten staroświecki, jak wskazuje wyrżnięta na nim liczba 189; którą ja tłumaczę, jako 1809, rzeźbiarz bowiem niezbyt wprawny w pisanie liczb, nie umiał dać sobie rady z zerem; że cyrkiel nie pochodzi z 189-ego któregoś roku, świadczy jego stan; jest cały czarny od zakopcenia, gładki, drewniany. Ryzowanie sceny myśliwskiej zdradza dziecięce niedołęstwo. Końce cyrkla nie przedstawione na rysunku; $\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości. Ze zbioru p. p. Dembowskich.

Tablica XXXVIII.



TABLICA XXXIX

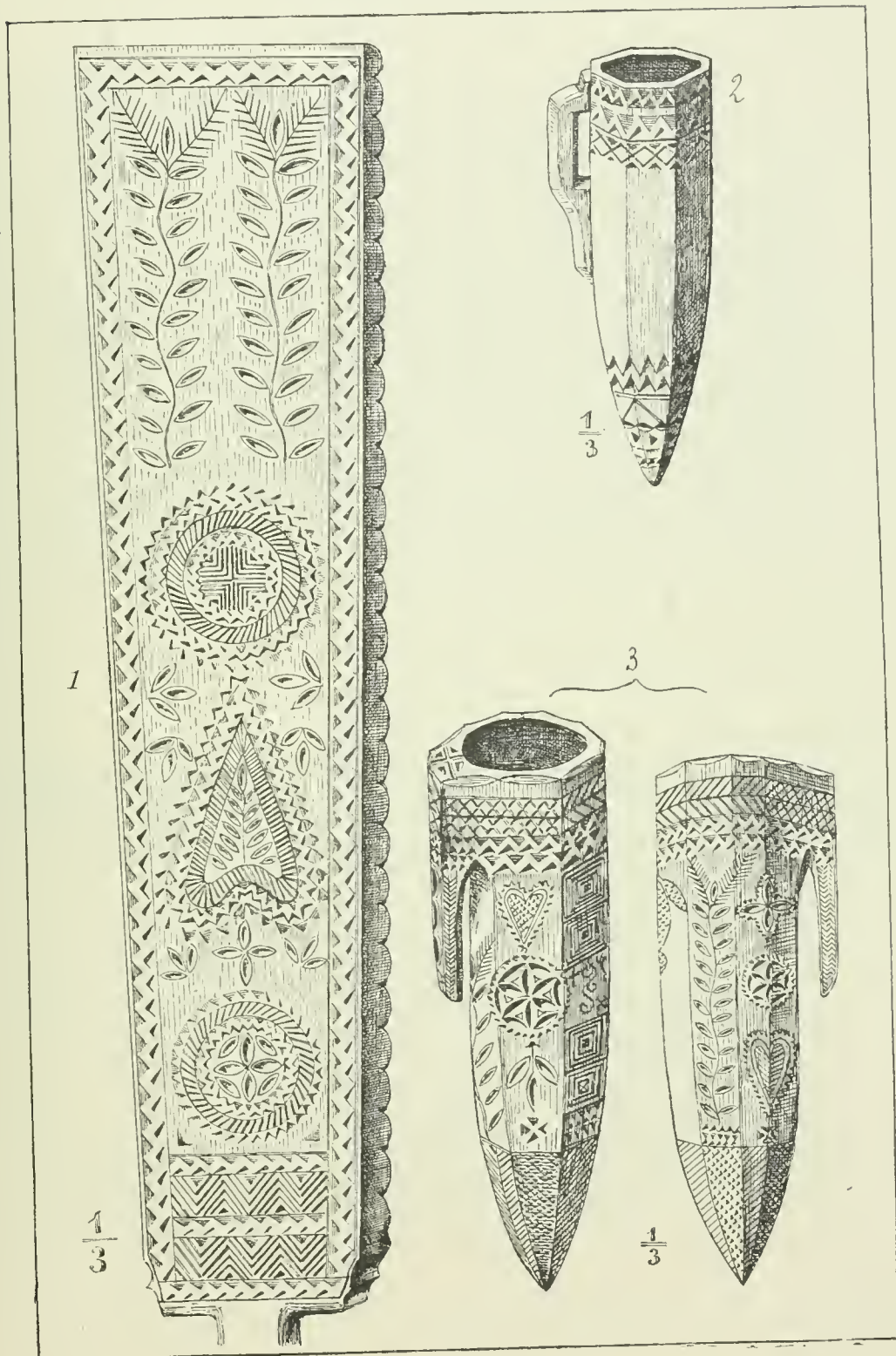
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Jaworowa wałkownica do wałkowania, czyli magłowania białizny, bardzo starannie ryzowana w gaje, parzenice i t. d.; długość bez trzonka 59, szerokość 13 i 9, grubość 2.5 ctn.

2 i 3. Kózka, t. j. pochewka drewniana, którą kosiarz zatyka sobie za pasek, lub nawłóczy na pasek w czasie kośby; w kózce ma wetknięty brusek, t. j. oselkę do bruszenia kosy.

Ze zbioru p. p. Dembowskiich.

Tablica XXXIX.



TABLICA XL

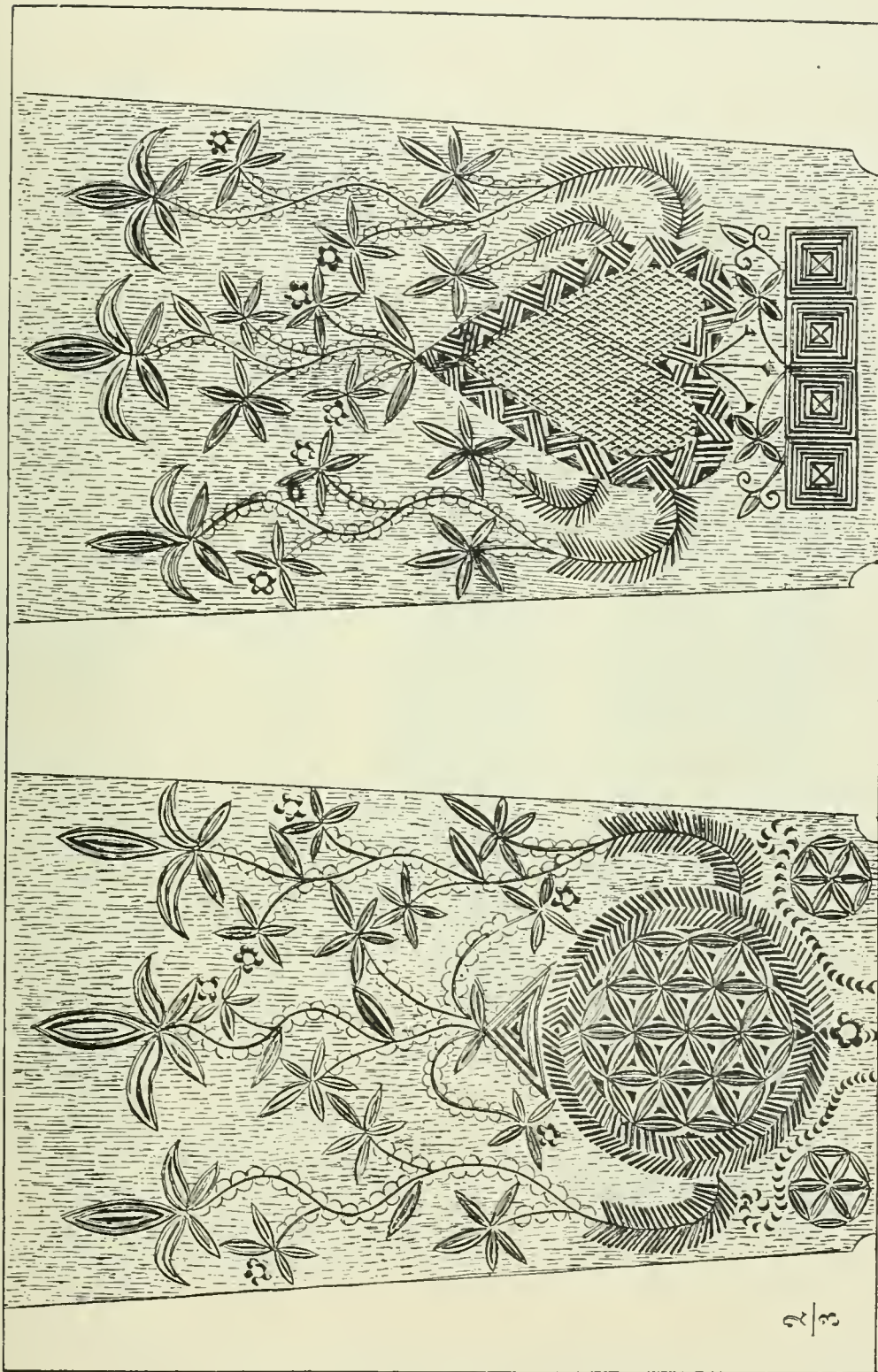
KIJANKA

ze zbioru p. Gnatowskiego.

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Kijanka, t. j. narząd do prania bielizny, jaworowy; rysunek przedstawia lice i nice bez trzonka. Długość bez trzonka 33 ctm., rozmiar wszerz w szerszym końcu 13, w węższym 9.5 ctm. Zasluguje na uwagę ozdoba zwana: gąje t. j. gałązki.

Tablica XL.



TABLICA XLI

GRABIE MIĘDLICA I WALKOWNICA

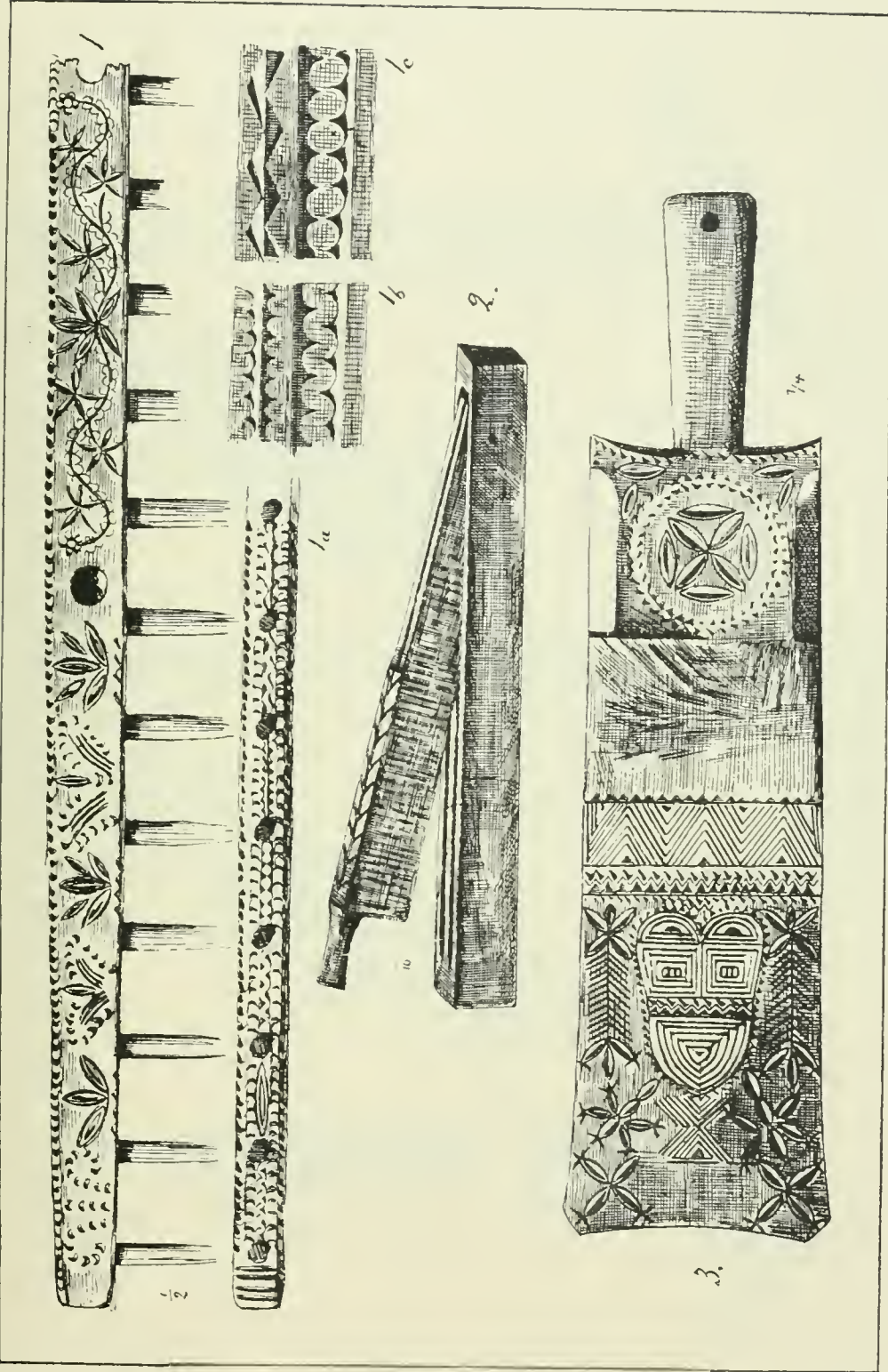
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Ryzowane grabie, widziane z boku, z bogatą ornamentyką; rys. 1a. Grzbiet tychże grabi, a na rys. 1b i 1c dwa różne oryginalne motywy jelitowe, rzadko spotykane; cała sztuka cięta w twardym drzewie, czysto i starannie. Ze zbioru p. Gnatowskiego.

2. Bukowe trojaki (po mazursku międlica) z ornamentem t. z. ostrewką na grzbiecie, do tarcia t. j. międlenia lnu.

3. Ryzowana walkownica z jaworu do maglowania t. j. walkowania białizny; własność Cekusek (córek Cekusa) w Zakopanem.

Tablica XLI.



TABLICA XLII

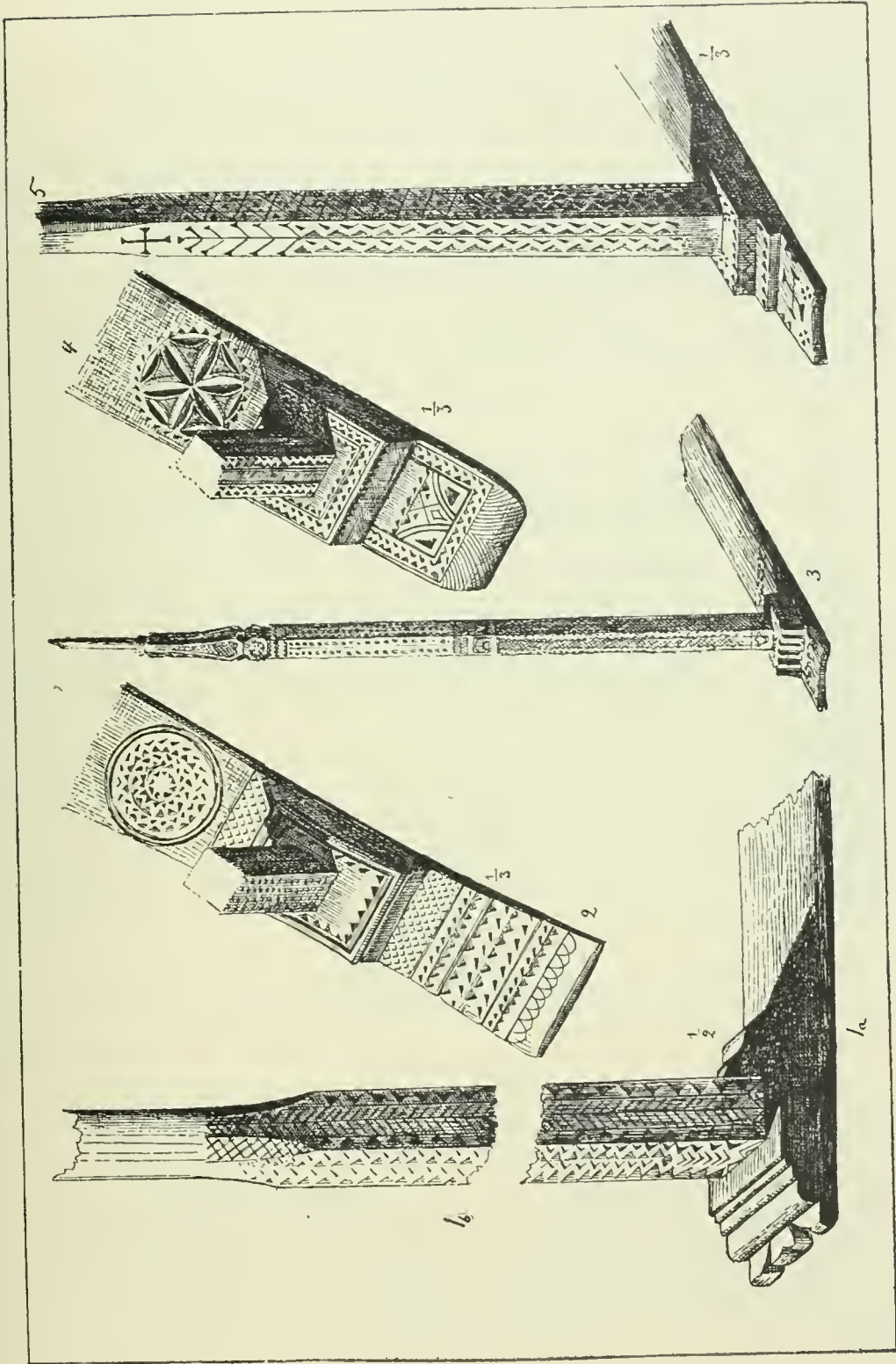
KĄDZIELE

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1a, i b Kądział (na Mazowszu zwana Przęślicą; wyraz ten tu nieznan) 1a t. z. siádka t. j. deszczulka, na której prządka siada i sobą dzierży przęślicę. 1b zakończenie kija, na który nadziewa się czesany len.

2. Wytwornie ryzowana siádka od innej kądzieli.
3. Kądział w całości, której części w powiększeniu wyobrażone są na następującej tablicy. Rysunek szkicowy p. Stan. Witkiewicza.
4. Piękna siádka od innej kądzieli.
5. Kądział, z krzyżkami niespodzianemi.

Tablica XLII.



TABLICA XLIII

KĄDZIEL

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Rozmaite części prześlicznej, niezwykle wykwintnie, ostro i czysto wyrzowanej kądzieli, przedstawionej w całości na poprzedniej tablicy (Rys. 3).

1. Powierzchnia górna siądki z buczyny; z tyłu dwie parzenice złączone wyobrażają dwa serca skojarzone, wedle zwyczaju bowiem narzeczony ofiarowuje swojej oblubienicy ryzowaną przez siebie kądziółkę.

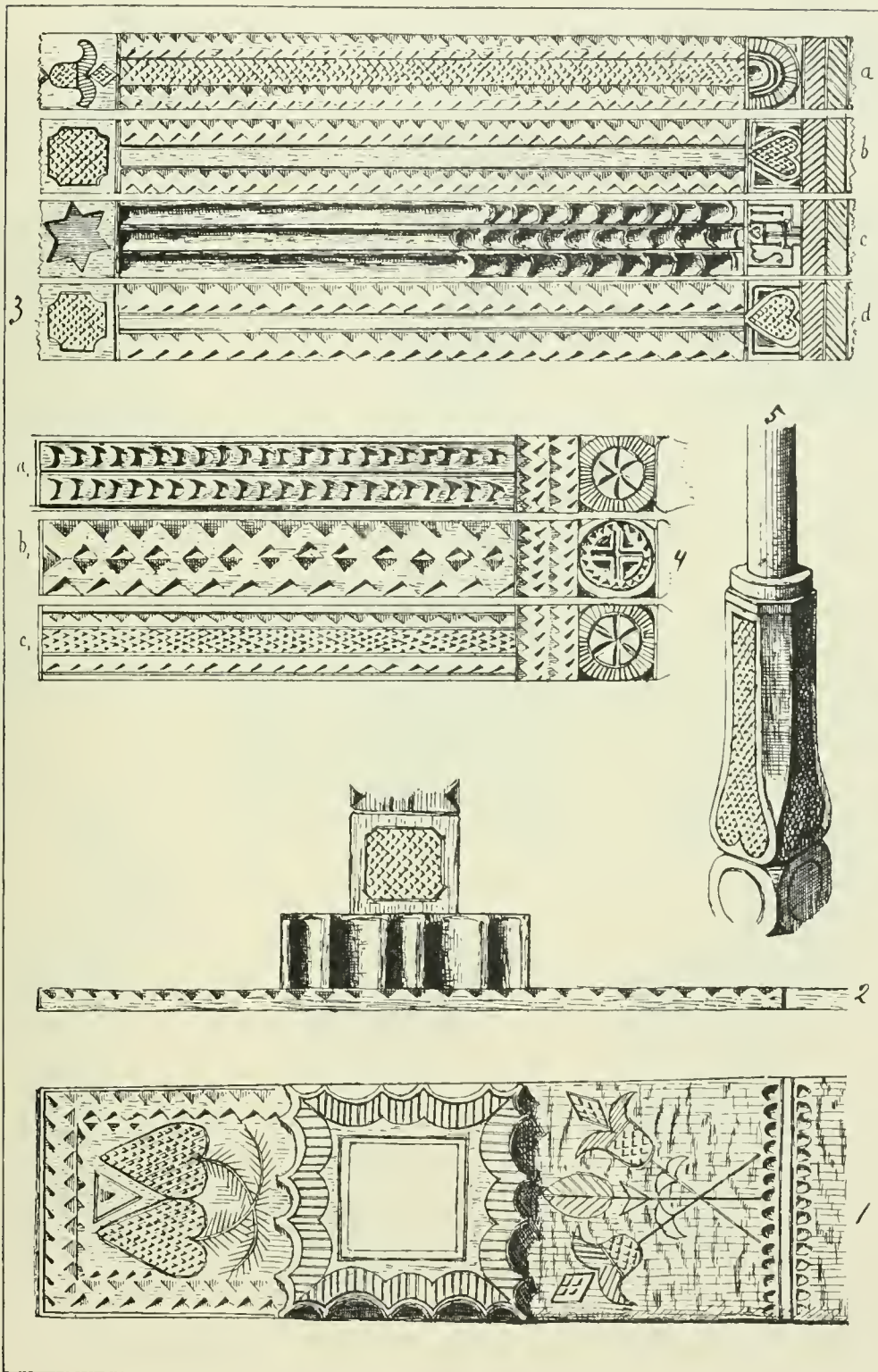
2. Taż siądka widziana z boku, wraz z podstawą kija.

3. Przedstawia cztery różne powierzchnie czworokątnego kija, rozwinięte na płask dla pokazania w powiększeniu starannego ryzowania.

4. Przedstawia dalszy ciąg, ku górze idąc tegoż kija, ale tylko trzy boki.

5. Samo zakończenie kija, na które się zatyka kręzeł, a na niego len do przędzenia.

Tablica XLIII.



TABLICA XLIV

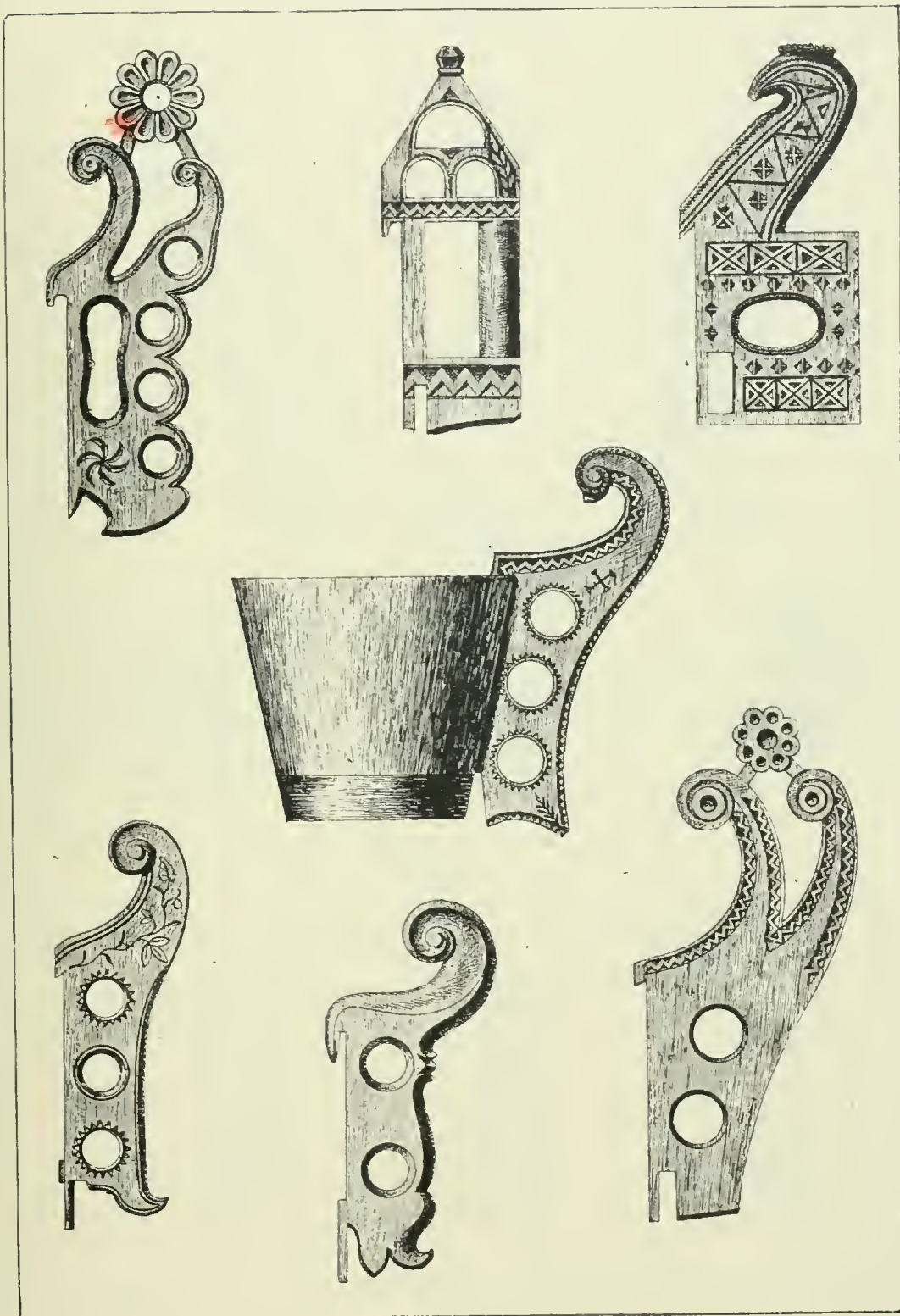
CZERPAKI

Rysunek p. Paszkiewicza.

W środku wyobrażony czerpak toczony z jaworu, wysokości 12 ctm. średnica u góry 13.5 ctm., u spodu 9; w taki czerpak wbija się denko, i w osobliwy sposób przytwierdza ucho. Czerpak służy na hali do czerpania mleka.

Dookoła rozmaitej postaci uszy od innych czerpaków.

Tablica XLIV.



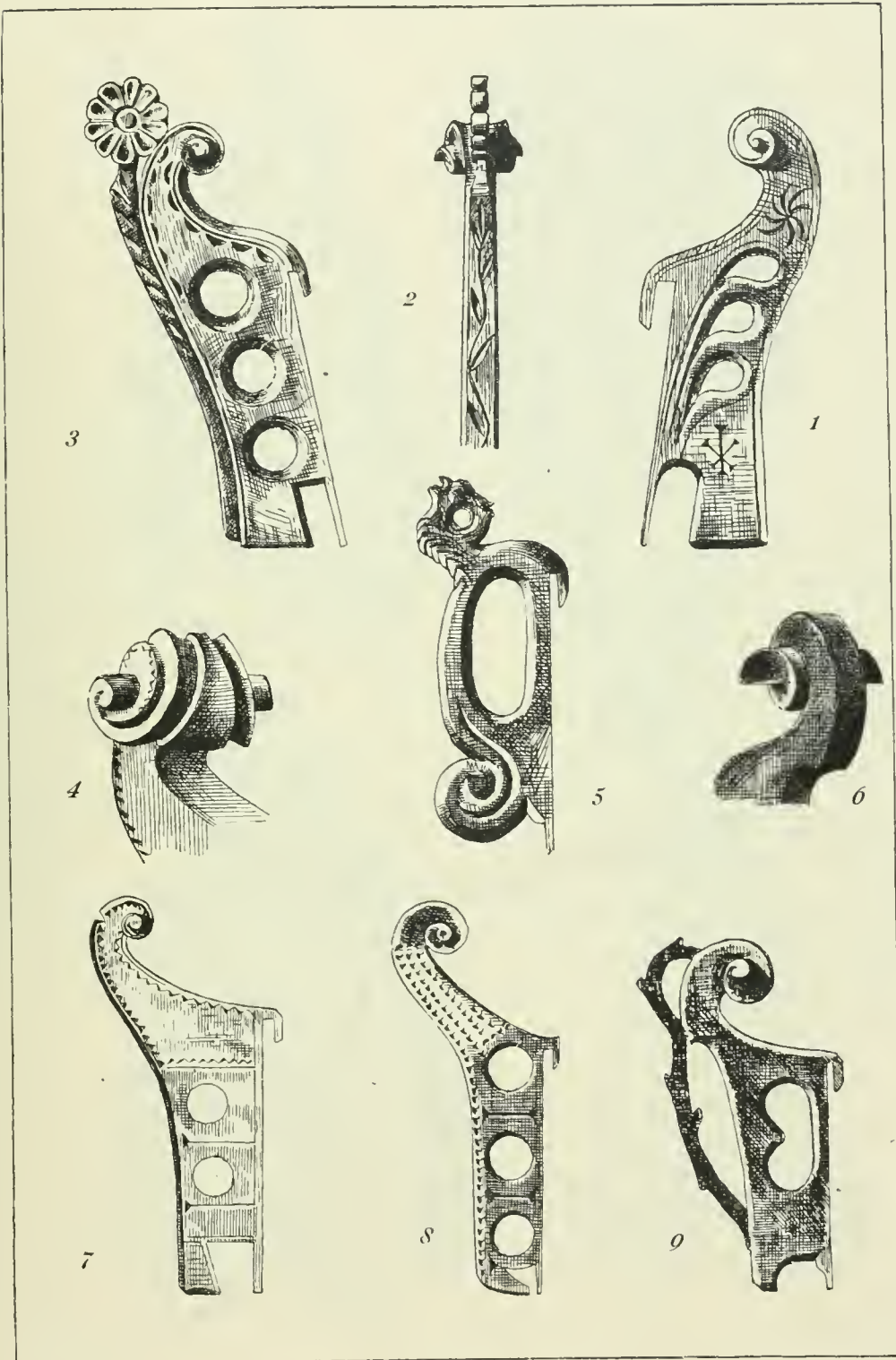
TABLICA XLV

CZERPAKI

Rysunek Wł. Matlakowskiego.

Rysunki wyobrażają rozmaite uszy od czerpaków do czerpania mleka na halach. Drugi rysunek przedstawia od grzbietu to samo ucho, które wyobrażone jest z boku na rysunku trzecim.

Tablica XLV.



TABLICA XLVI

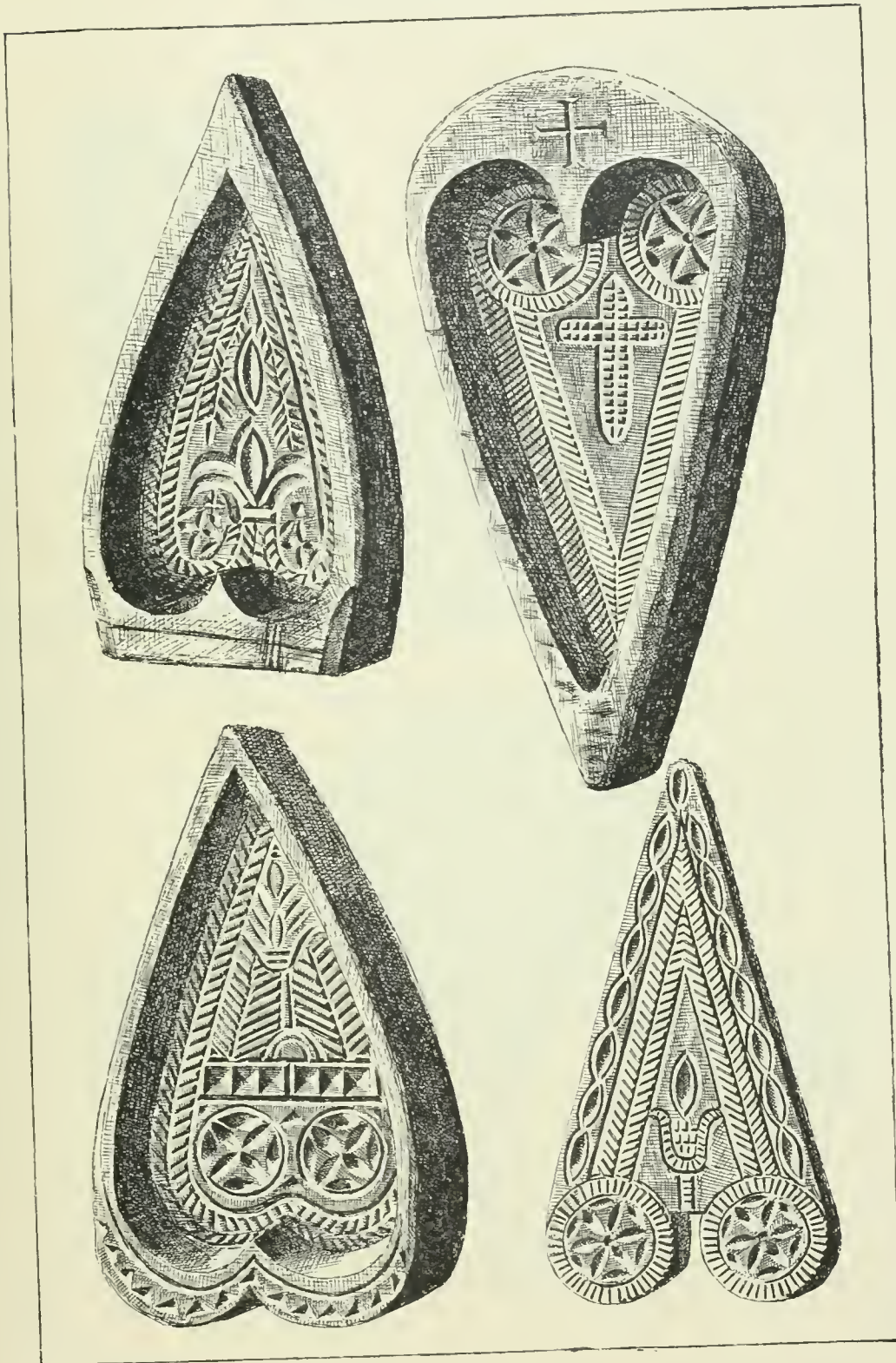
PARZENICE

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Trzy stare parzenice t. j. foremki do owczego sera; jedna ze swoim wieczkiem; półrzeczywistej wielkości. Mleko oweze, po wydojeniu z rana na hali, bacia cedzi przez „takie dwie saty“ (szaty), t. j. powężki płócienne. Na pierwszą rozpostartą „satę“ kładzie bacia dwie cetyny jodłowe, t. j. dwie igielki na krzyż zlepione woskiem, to przykrywa drugą powężką i dopiero przez to cedzi mleko nad pucirą t. j. wielką drewnianą dzięźą, jak beczka. Krzyżyk ten kładą po to, aby się wszystko darzyło, żeby się zabezpieczyć od czarów „pojedni zazdrośni cary rzuca, to owce poprzesychają, mleka nie dają.“ Do przecedzonego mleka bacia dodaje kłagu (podpuszczki cielęcej), poczem leje do kotlika nad ogniem, i mieszając warzy, aż mleko zgęstnieje w krupy; poczem znowu drugi raz cedzi przez owe „saty;“ na powężkach zostaje ser, a do naczynia leci serwatka, uboga zętyca, która idzie dla świń, dla psów owczarskich; ale i ludzie ją pijają. Ludzie na hali żyją mlekiem skłaganem, w którym pływa dużo jeszcze owych krup sera, i to przez całe lato.

Tablica XLVI.



TABLICA XLVII

PARZENICE

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

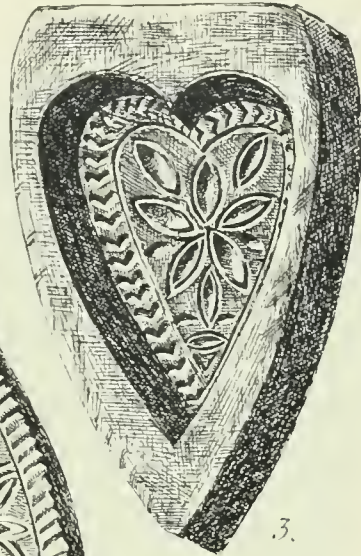
Starożytne parzenice, t. j. foremki w których wyciskają sery t. z. parzenice na halach.

1. Parzenica z 1813 r., a na rys. 1a jej wieczko $\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości.
2. Parzenica z trzonkiem, a na rys. 2a jej wieczko. $\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości. Obie ze zbioru p. p. Dembowskich.
3. Parzenica i jej wieczko na rys. 3a z jakimś znakiem runicznym. Ze zbioru p. Gnatowskiego.

Tablica XLVII.



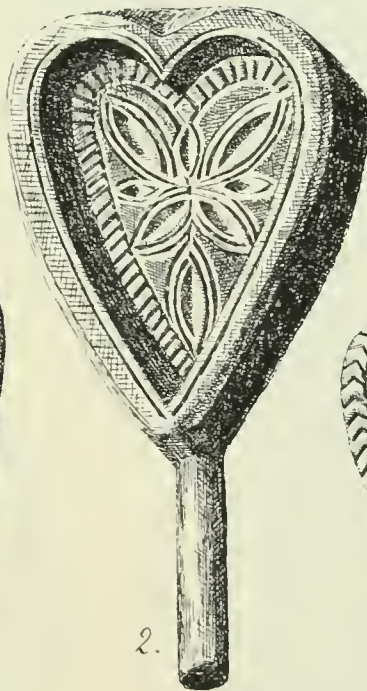
1



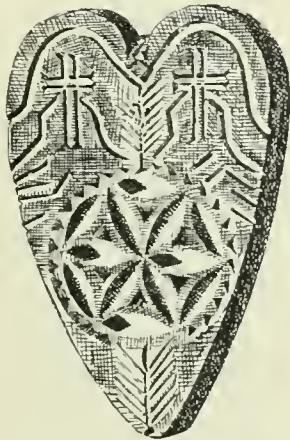
3.



2a.



2.



1a.



3a

TABLICA XLVIII

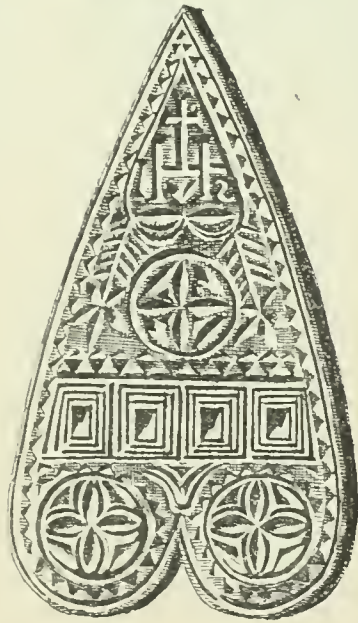
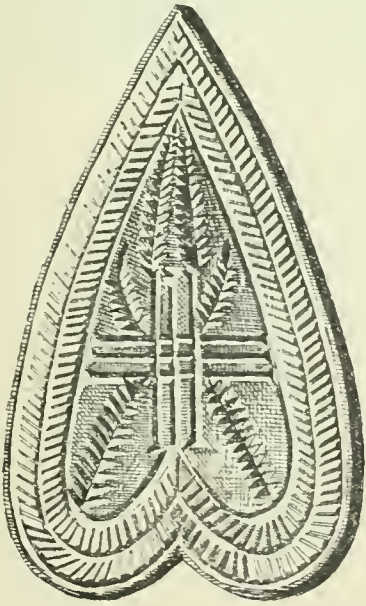
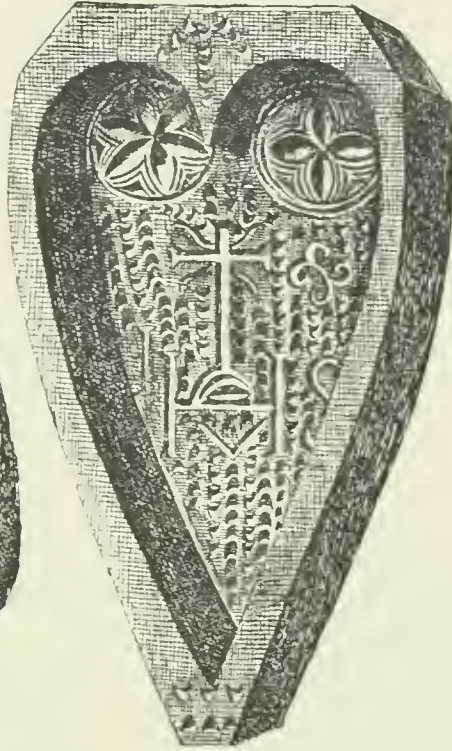
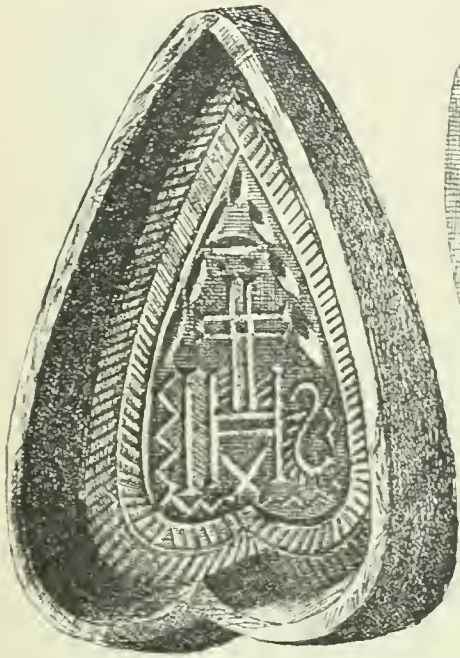
PARZENICE

ze zbioru p. Gnatowskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Dwie stare parzenice t. j. wyciskadła do sera, ze swojemi wieczkami; pół rzeczywistej wielkości.

Tablica XLVIII.



TABLICA XLIX

OZCZEPKI—OZCYPKI

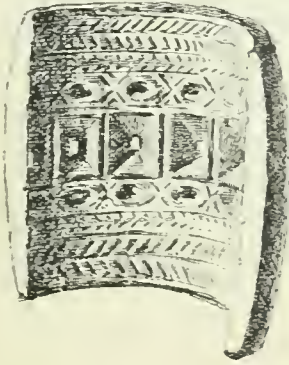
Rys. 1. 2 i 3 roboty p. Stan. Witkiewicza

Rysunek p. Stan. Witkiewicza i Wład. Mallakowskiego.

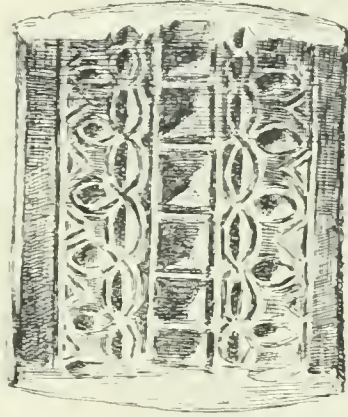
Stare oczepki, t. j. foremki do wyciskania sera na halach latem; robią je z jaworn, slicznie rzeźbiąc. Piszę wyraz: „oz-czepki,” bo pochodzi od słowa oz-czepiać=rozczepiać, gdyż dwie luskwinki narzędzia po uschnięciu sera rozczepia się i odejmuje; (podobnież lud mówi „ozsud“ owiec; na jesień, gdy z hal powrócą kierdele do wsi, schodzą się właściciele—gazdowie i roz-sadzając odbiera każdy swoje owce od bacy.) Każda lupina ma na dnie zagłębien dziurki na wylot dla odpływu serwatki; na zewnętrznej stronie karby, przez które wiąże się obie lupiny sznurkami; — na obu końcach pozostające otwory zatyka się okrągłymi ryzowanemi zatykadolkami, (p. ryc. 133 i 134 w tekście, str. 125). Na rys. 3 napis Jan Słodiczka, właściciel oczepka.

Tablica XLIX.

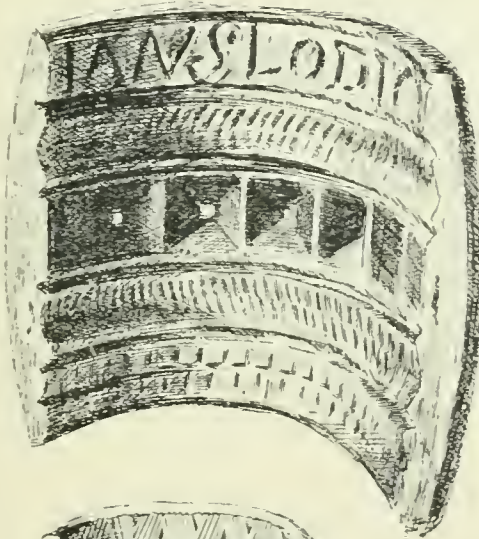
1



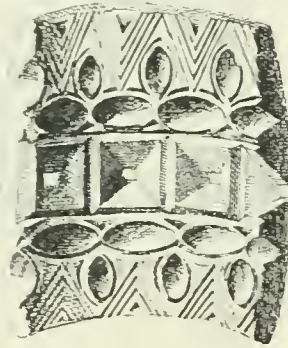
2



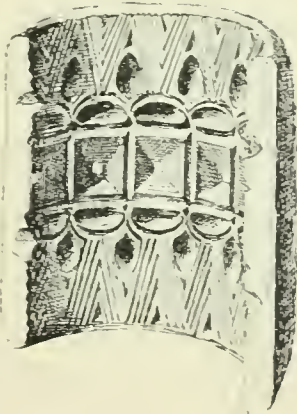
3



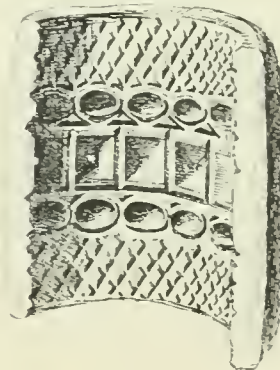
4



5



6



TABLICA L

OZCZEPKI

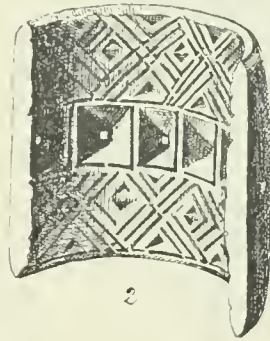
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Sześć rozmaitych oczeppek t. j. foremek do wyciskania sera; pół naturalnej szerokości. Dwa pierwsze ze zbioru hr. Krasieńskiego; cztery ostatnie ze zbioru p. Gnatowskiego.

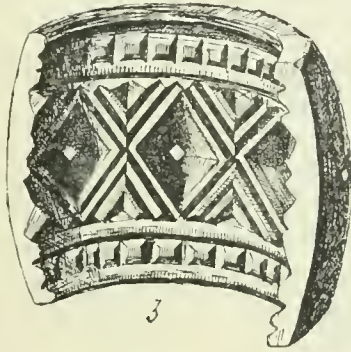
Tablica L.



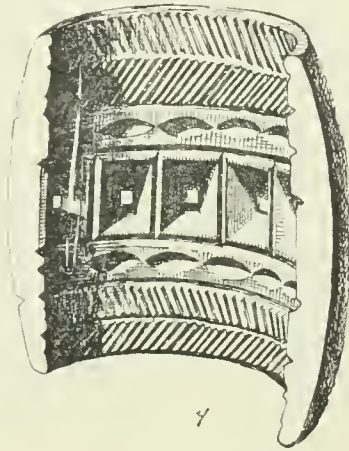
1



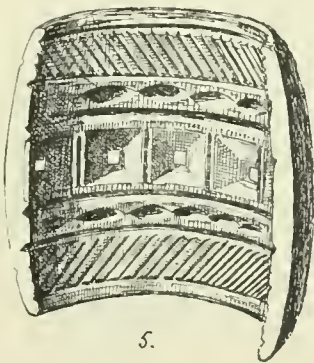
2



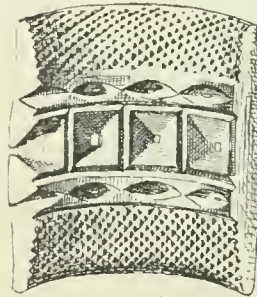
3



4



5



6

TABLICA LI

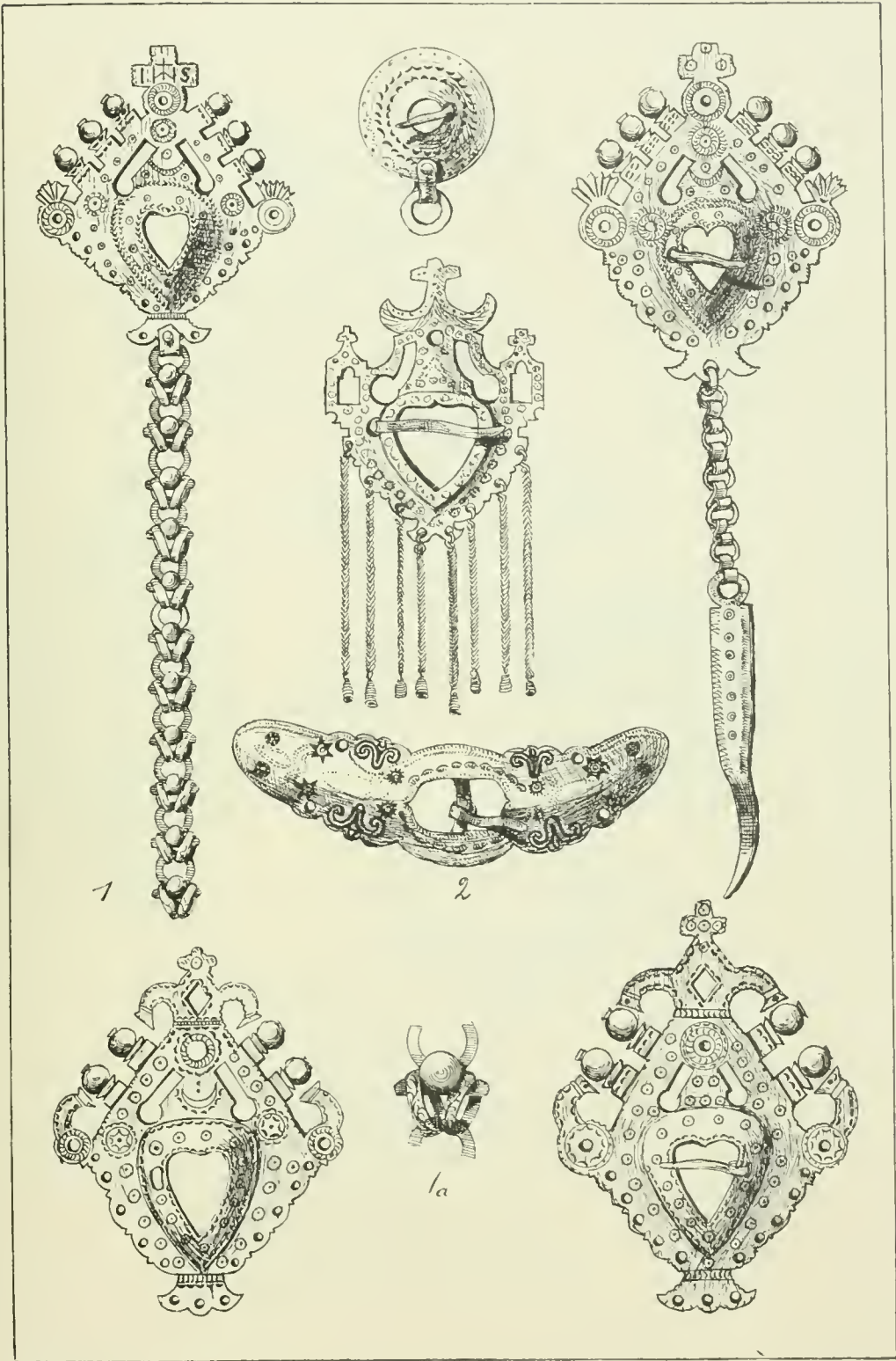
SPINKI

ze zbioru p. p. Dembowskiich

Rysunek Wł. Matlakowskiego.

1. Stare piękne spinki mosiężne, wyrabiane w Ratułowie dawniej; rys. 1a przedstawia w powiększeniu jedno ogniwko ślicznego łańcuszka od Nr. 1.
2. Spinka stara od opaska (trzos); własność Kiejstuta Matlakowskiego.

Tablica LI.



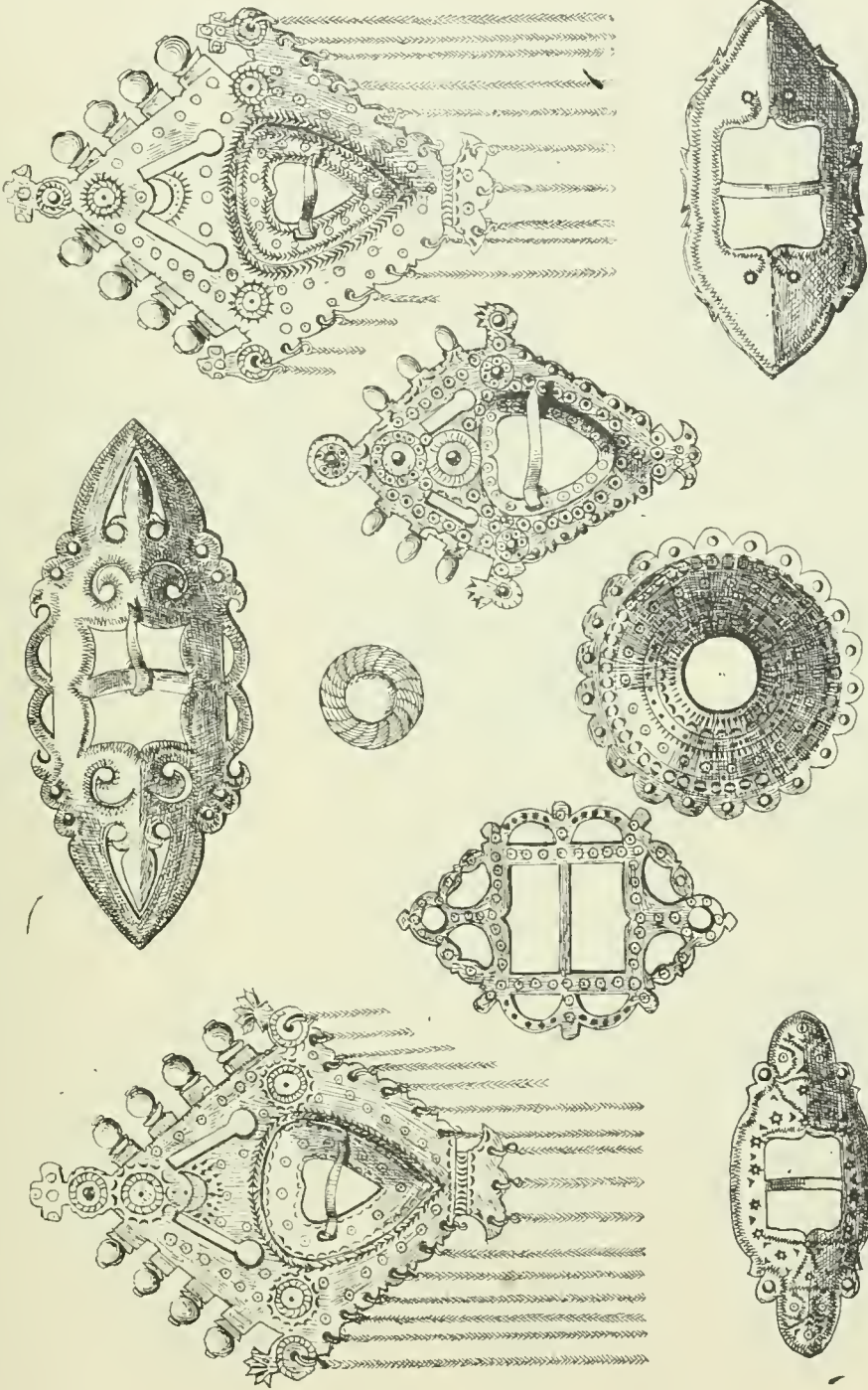
TABLICA LII

SPINKI MOSIĘŻNE

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Stare spinki, wyrabiane dawniej w Ratułowie, od koszul, pasów.

Tablica LII.



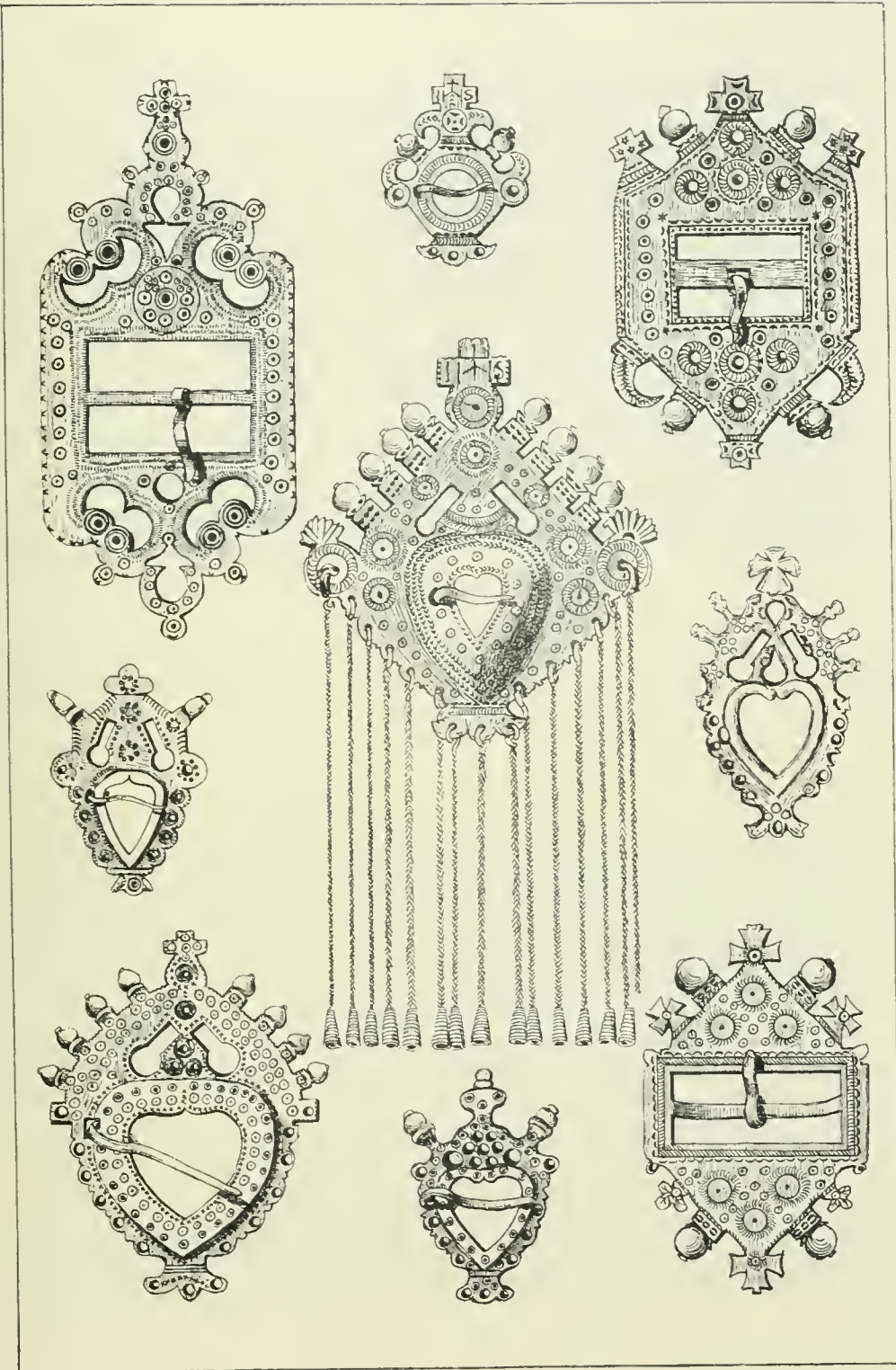
TABLICA LIII

SPINKI MOSIĘŻNE

ze zbioru p. Gnatowskiego

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Tablica LIII.



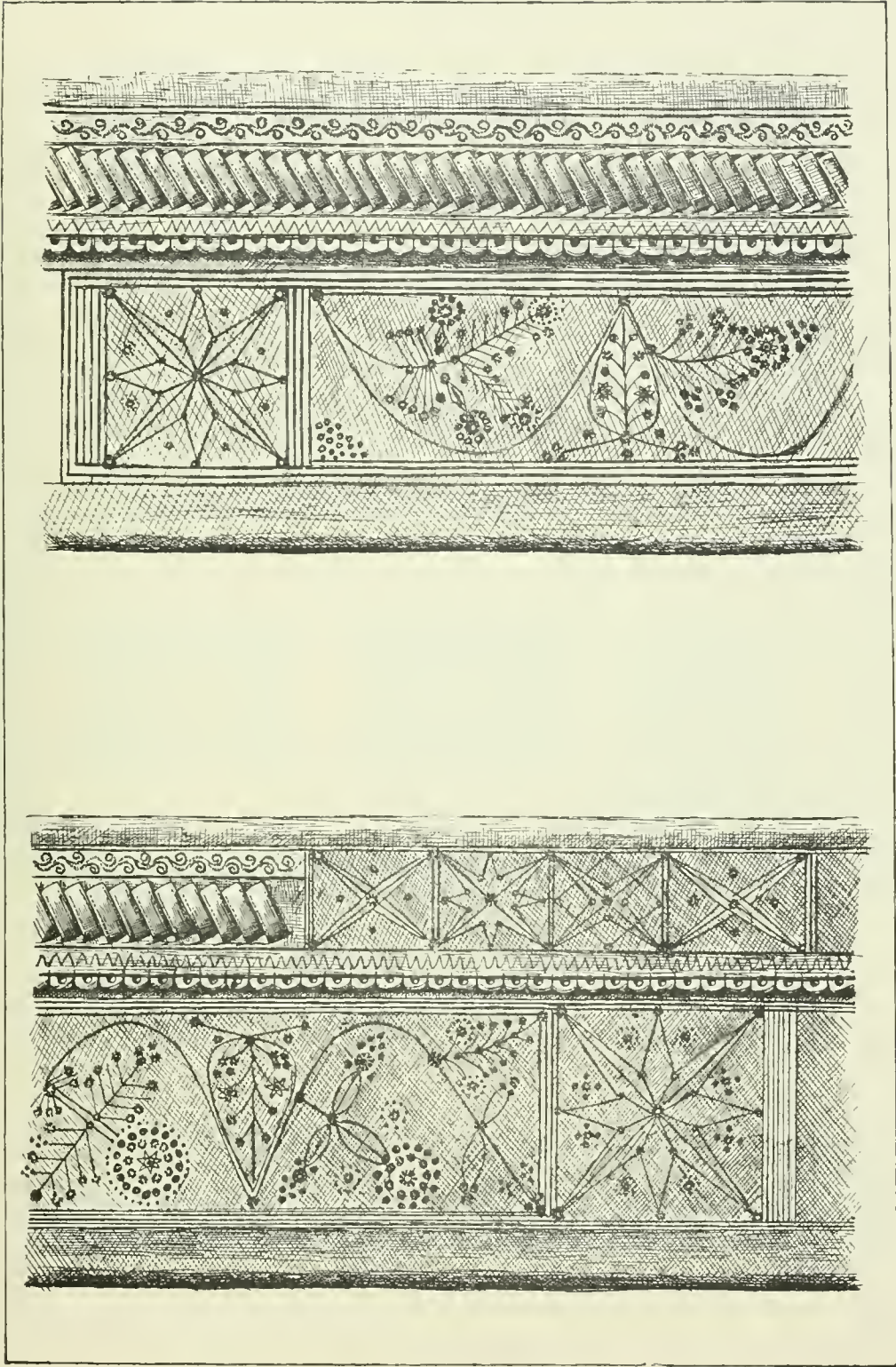
TABLICA LIV

OPASEK

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

Wytlaczany pas szeroki od opaska t. j. trzosa; spinanego na przodzie mosiężnymi spinkami: $\frac{1}{3}$ naturalnej szerokości. Ze zbioru p. p. Dembowskich.

Tablica LIV.



TABLICA LV

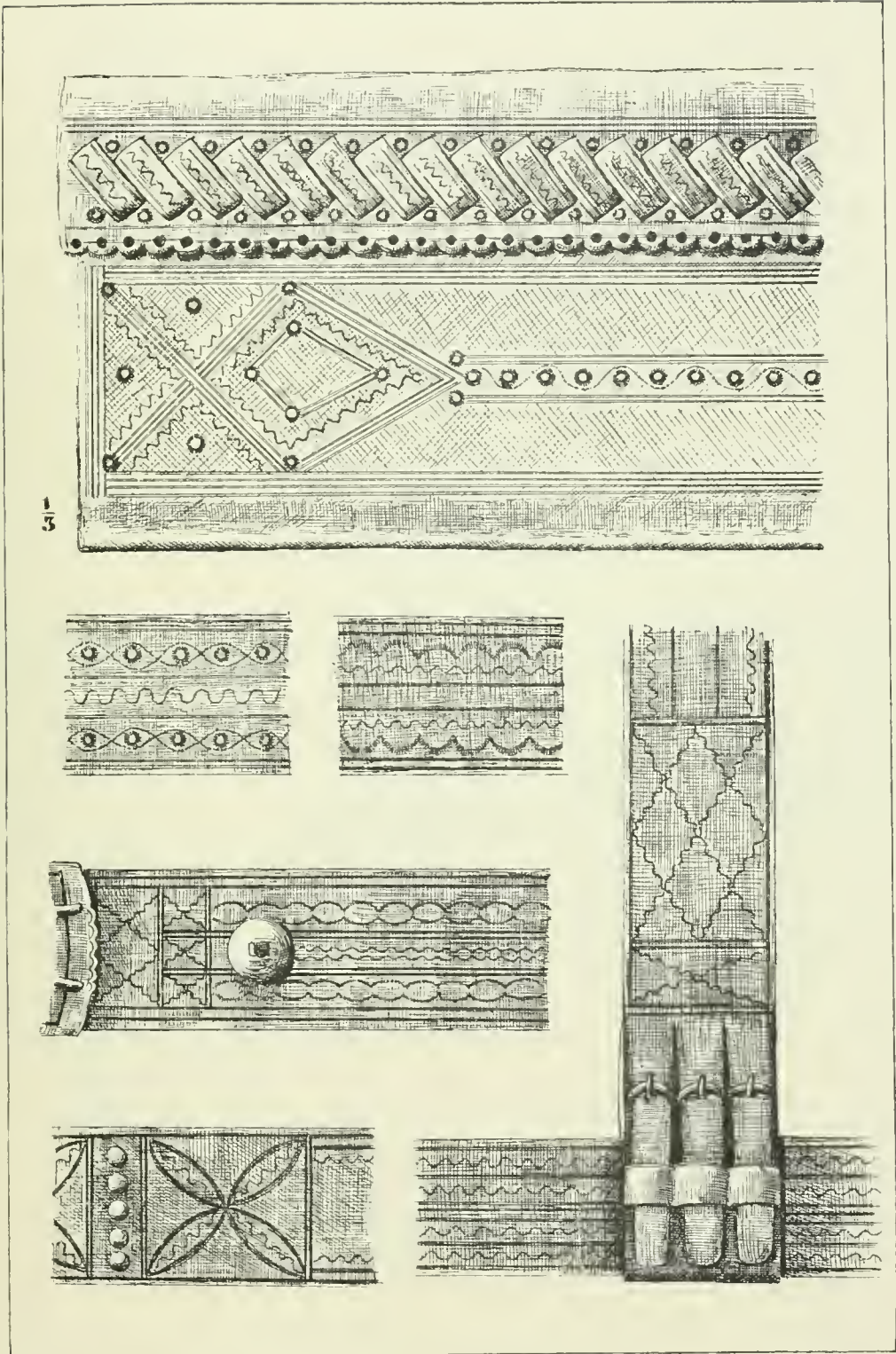
WYROBY SKÓRZANE

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

U góry pas skórzany od trzosa, wytłaczany; w górnej części ozdoba powstaje przez nacięcia w skórze na wylot; i przez przewłóczenie przez te szczeliny wąskiego paska skóry; w rąbku dziurki są wycięte na wylot. Ze zbioru p. Gnatowskiego. Cały pas podany z fotografii w tekście ryc. 91, str. 49.

Inne rysunki na tej tablicy przedstawiają części pasów i upręży końskiej; np. ostatnia w rogu na dole przedstawia tak zwany nábiedrek, t. j. pas idący w poprzek przez boki i grzbiet konia. Tak ozdobne pasy spotyka się tylko na starej upręży, np. wypadkowo wiele pięknych pasów i chomont widziałem zimą podczas ślubu, gdy wiele sanek najechało z Ołczy, z Kościelisk, z oddalonych polan.

Tablica LV.



TABLICA LVI

OZDOBY Z SERDAKA

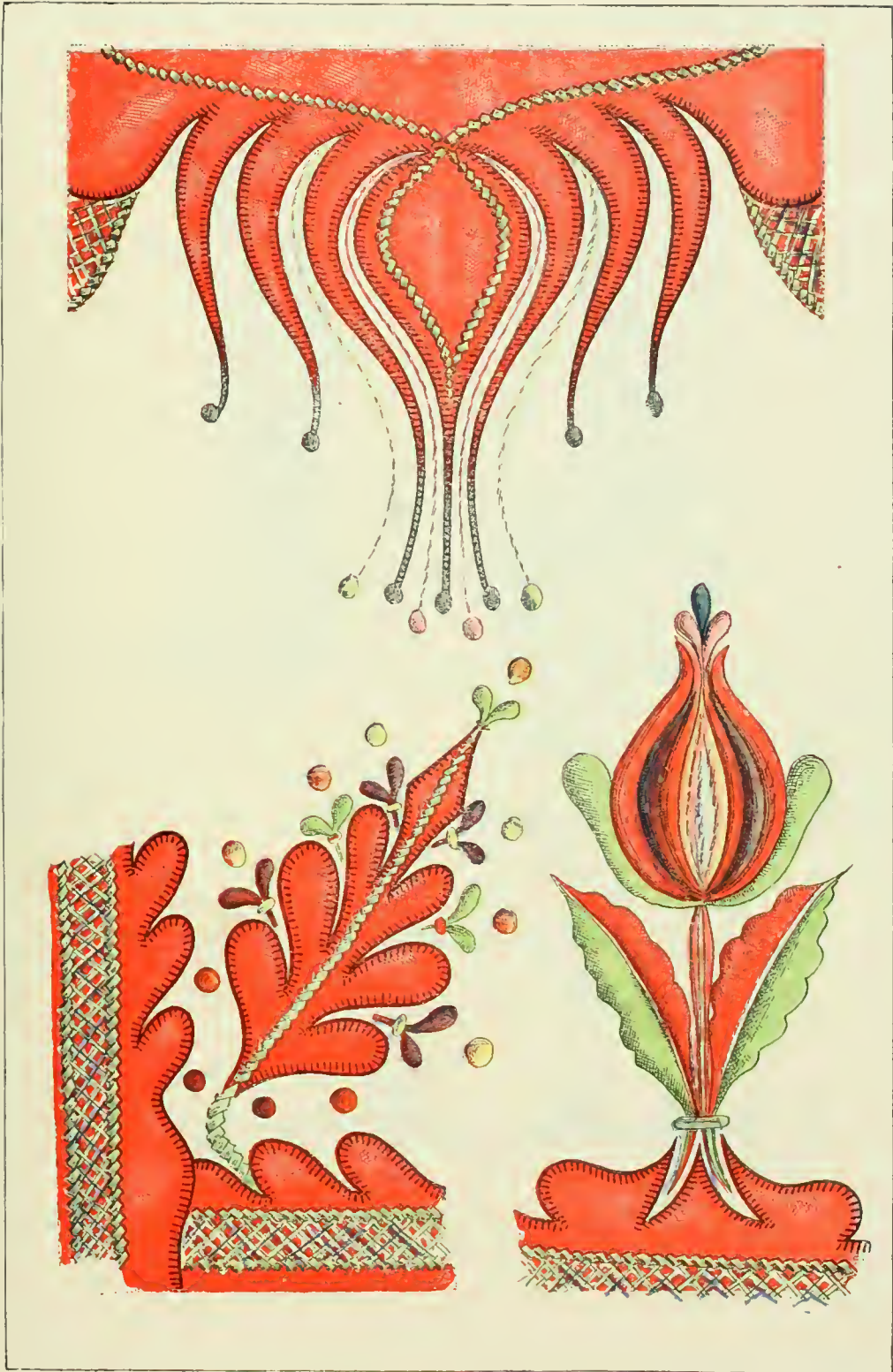
Rysunek p. W. Zaborowskiego.

Ozdoba w kształcie przekrajanej cebuli znajdująca się na plecach poniżej kołnierza, na paskowym safianie wyszywana zielonym rzemyczkiem i różnokolorowymi jedwabiami.

Ozdoba znajdująca się na lewej stronie tablicy na dole, jest wyszyciem z rogu polu serdaka.

Ozdoba znajdująca się na prawej stronie, wyszywaną bywa na plecach u dołu serdaka.

Tablica LVI.



TABLICA LVII

OBUWIE

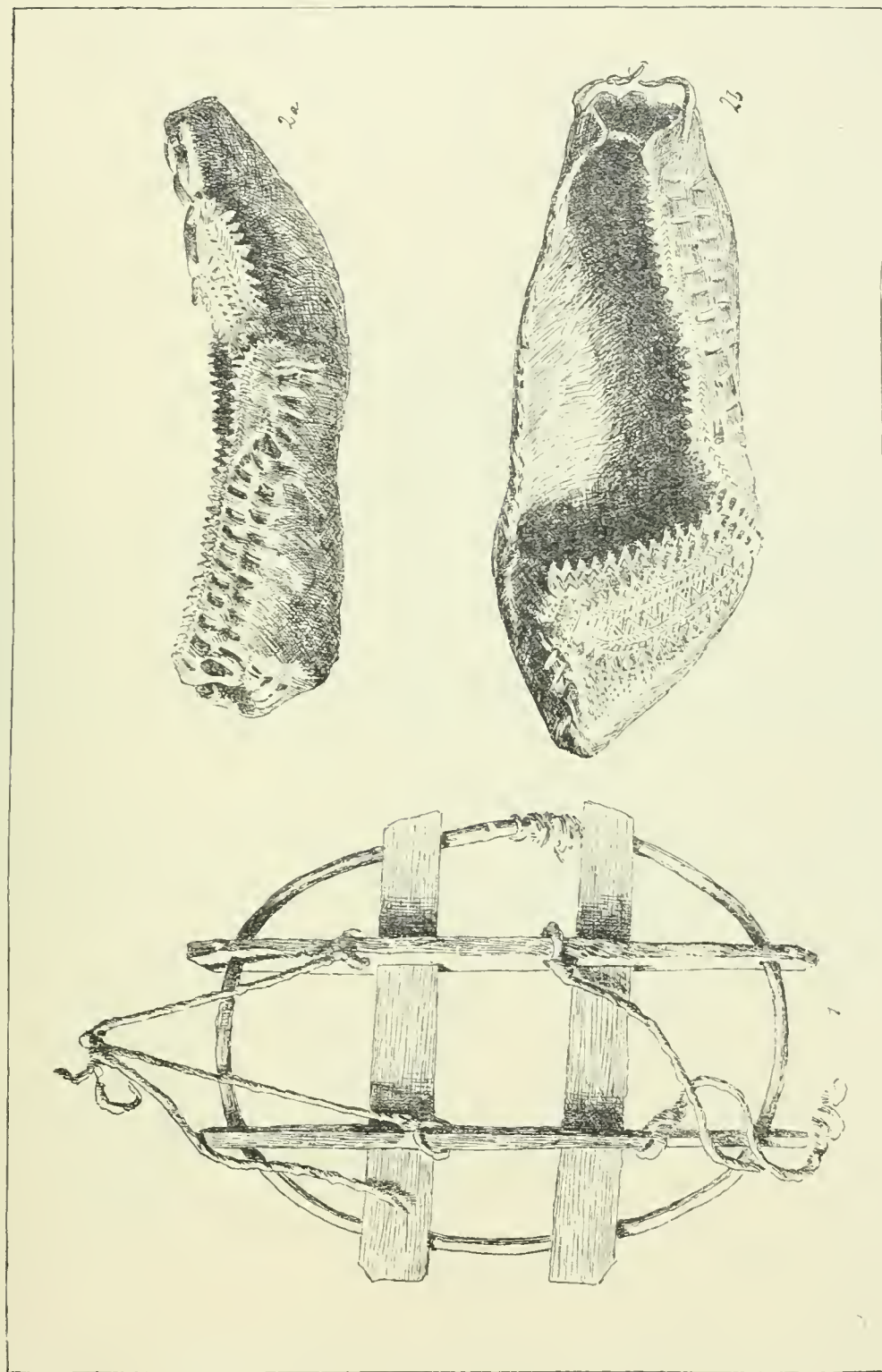
Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

1a. K a r p l a, przyrząd do chodzenia po powierzchni śniegu; sznurkami przywiązuje się do stopy.

2a. K i e r b e c widziany z boku.

2b. Tenże k i e r b e c widziany z góry ozdobnie w ząbki wycinany; okaz znaleziony przez p. M e y e t a i darowany do Muzeum Tatrzańskiego.

Tablica LVII.



TABLICA LVIII

SANKI

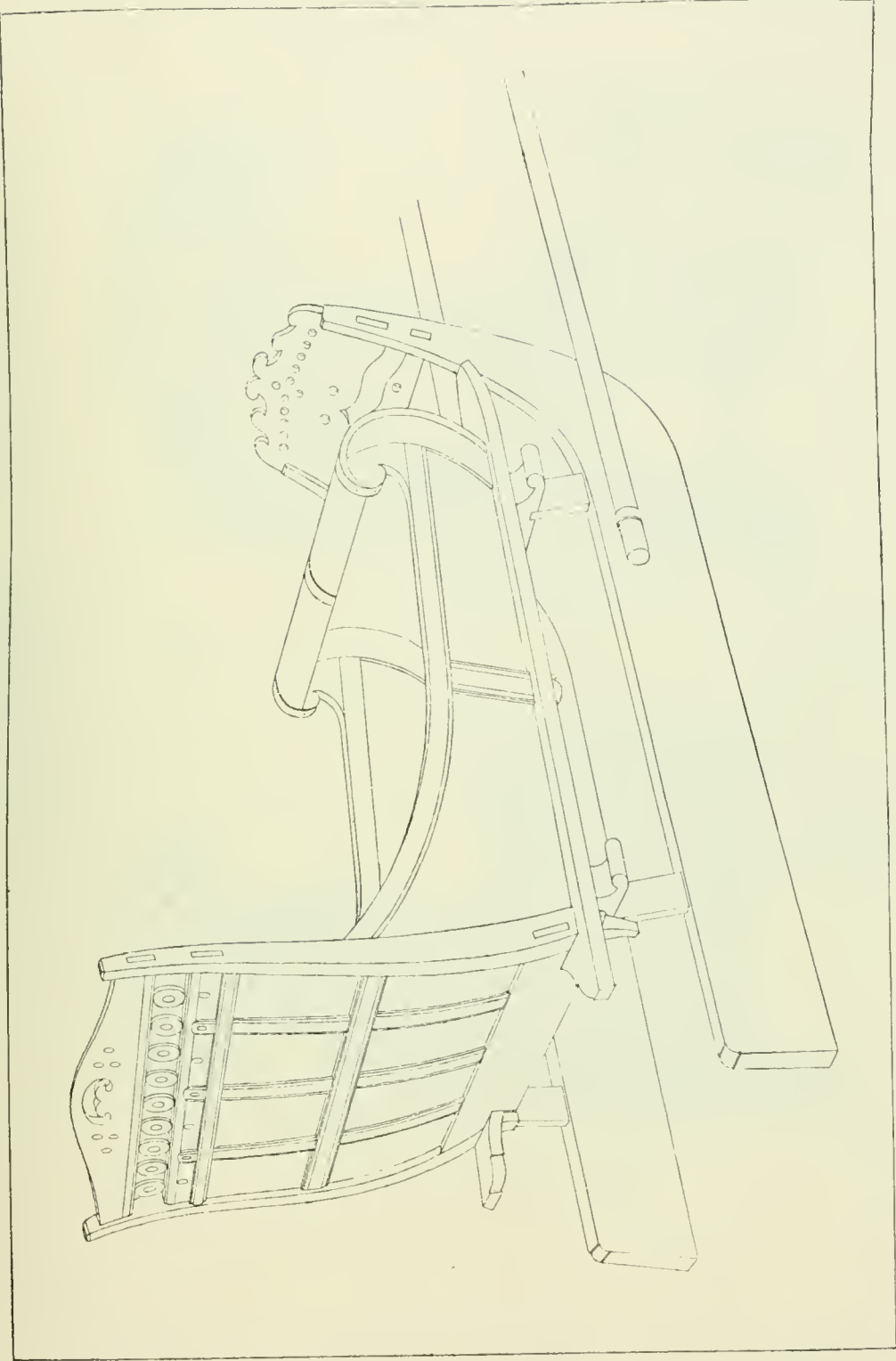
Rysunek p. Paszkiewiczza.

Prześlizne, typowe saneczki stare, dla pokazania całego ich składu. Po ziemi suną t. z. sanki (po mazursku płozy v. sanice); w nich osadzone na sztorc stramy, para przednich i para zadnich; na nich spoczywają nąsady, na których leży sama skrzynka; w skrzynce nie ma siedzenia: góral podściela sobie miech ze sianem, siada wyciągnąwszy nogi, zaparłszy się plecami o plecy sanek. W ten sposób może śmigać po niewiem jakich spadkach i wertepach, bez obawy „wykowyrtnięcia“, środek bowiem ciężkości przeniesiony możliwie nisko, a nadto płozy są spodem wywinięte do pola, aby jeszcze zapobiedz obaleniu.

Sanki, to niemal najpiękniejsza, najstaranniej i najmocniej wykończona rzecz na Podhalu; niektóre, szczuplutkie wyglądają jak pieśidelko. Przeniesione do miasta i odpowiednio ku wygodzie zmienione, zrobiłyby wrażenie i przyjęłyby się wśród sportsmenów do zaprzęgu oraz do suwania na ślizgawkach.

Własność Michała Rája.

Tablica LVIII.



TABLICA LIX

SANKI

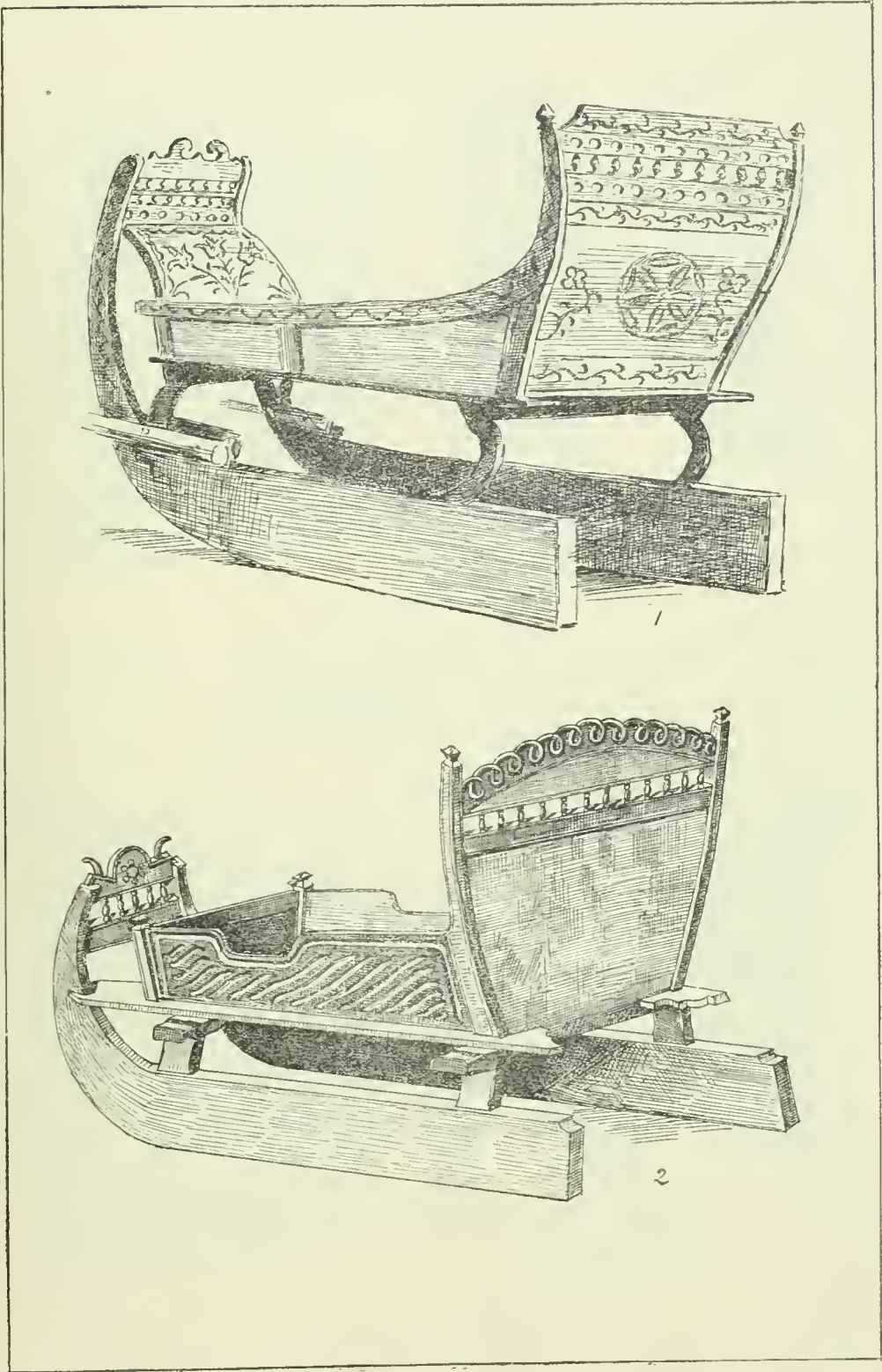
Rysunek p. Stan. Witkiewicza i W. Mallakowskiego.

1. Prześliczne saneczki, wyjątkowej zgrabności i osobliwego zacięcia, niesłychanie starannie i dokładnie odrobione, do najdrobniejszych szczegółów wykończone, nowej roboty. Od innych odróżniają się bardzo ważną odmianą, mianowicie tem, że fartuszek odchylony i oparty o przodkowy nos. Czytelnik zauważy oryginalny i pierwiastkowy sposób zaczepiania t. z. wojniczek (wojniczki=hołobelki); na około stramy sani nadziane jest drewniane jarzemko. Własność Zolmiercyka (rys. p. S. Witkiewicza).

2. Śliczne stare saneczki, bardzo oryginalnie zdobione; boki skrzynki ryzowane w głębokie, kręte brózdy.

Własność „Wojcie'a Migiela z Olce“ (Wojciecha Migiela ze wsi Olczy).

Tablica LIX.



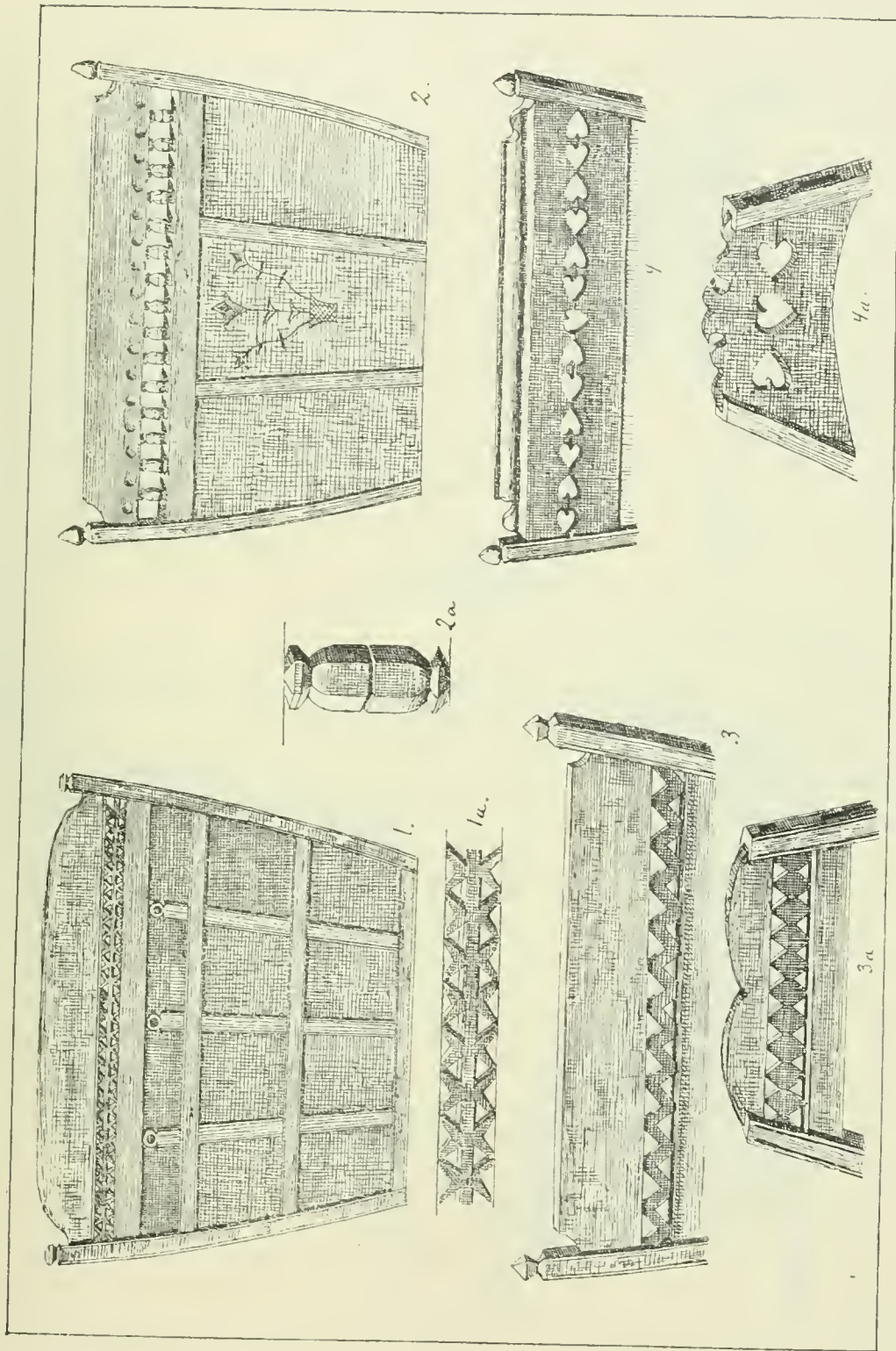
TABLICA LX

SANKI

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Plecy sanek, i 1a w powiększeniu motyw wyrznięty z jednej sztuki.
2. Plecy sanek i 2a. jeden słupczek z galeryjki.
- 3 i 3a. Część pleców i przodka sanek Jędrzeja, „Mrowce“ (= Mrowcy), ornament z buczyny umalowany na czerwono-cisawo.
- 4 i 4a. Część górna pleców i przodka sanek, ozdobione w parzenice. Właściciel Pieter Janik.

Tablica LX.



TABLICA LXI

SANKI

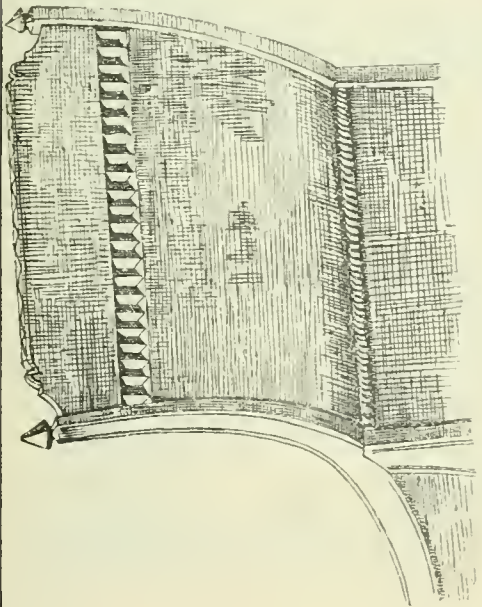
Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Plecy od starych sanek.

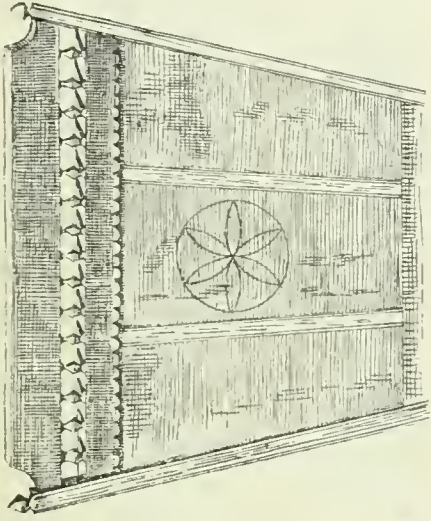
2a. Bok sanek z oryginalnym przodkiem; 2b przecięcie poprzeczne ornamentu wyrzeźbionego z jednej sztuki jaworowej. Wojciecha Topora z Oniówki (z Grubego).

3a. Plecy starych sanek widziane od tyłu; 3b przodek tychże sanek; 3c czworogranny słupczek z galeryjki.

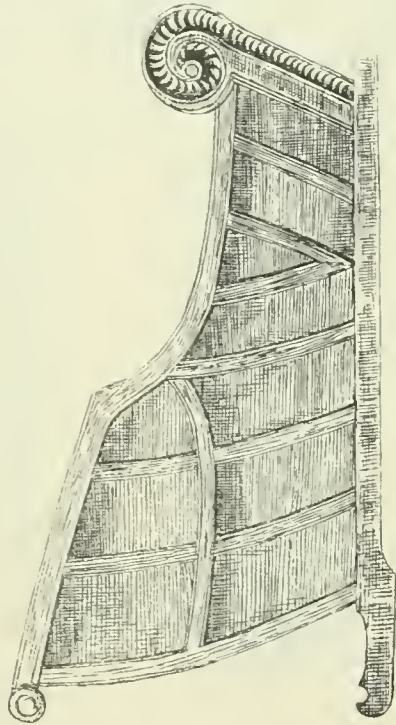
Tablica LXI.



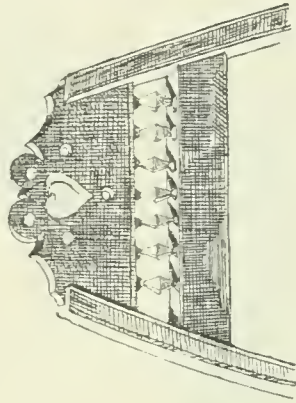
1



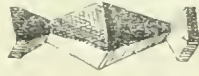
5 a.



2. a.



5 b.



5 c.



2 b.

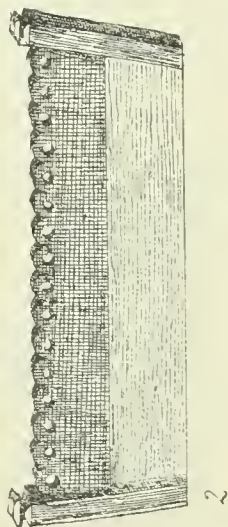
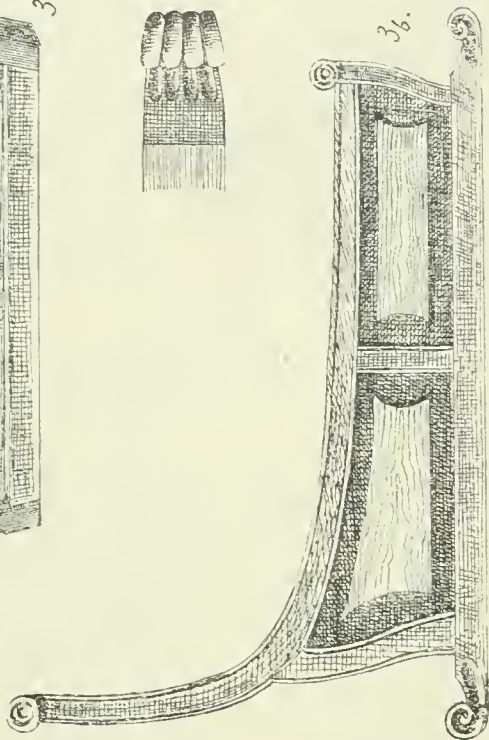
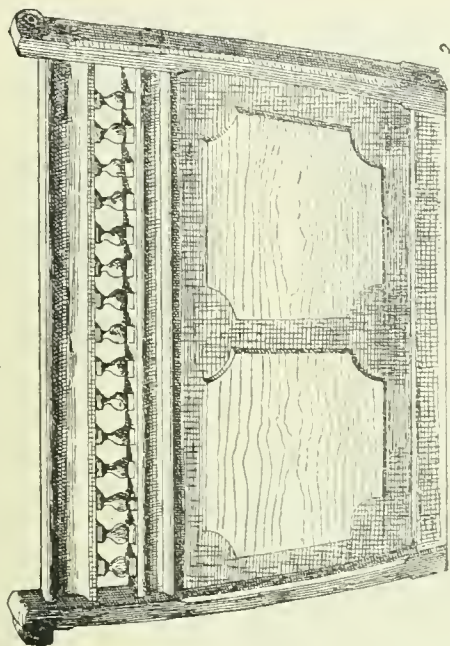
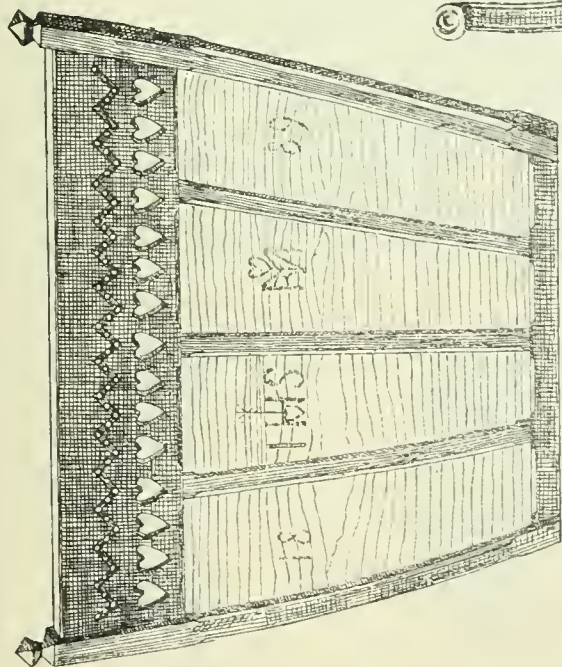
TABLICA LXII

SANKI

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Plecy sanek widziane od tyłu; Kowalezyka ze wsi Ci'e (Ciche).
2. Część z pleców innych sanek.
- 3a. Plecy sanek, 3b bok tychże sanek; 3c w pazdur wyrzeźbiony koniec spodka skrzynki, widziany z góry. „Pawlikowej Mantosi“ z Białego Dunajca.

Tablica LXII.



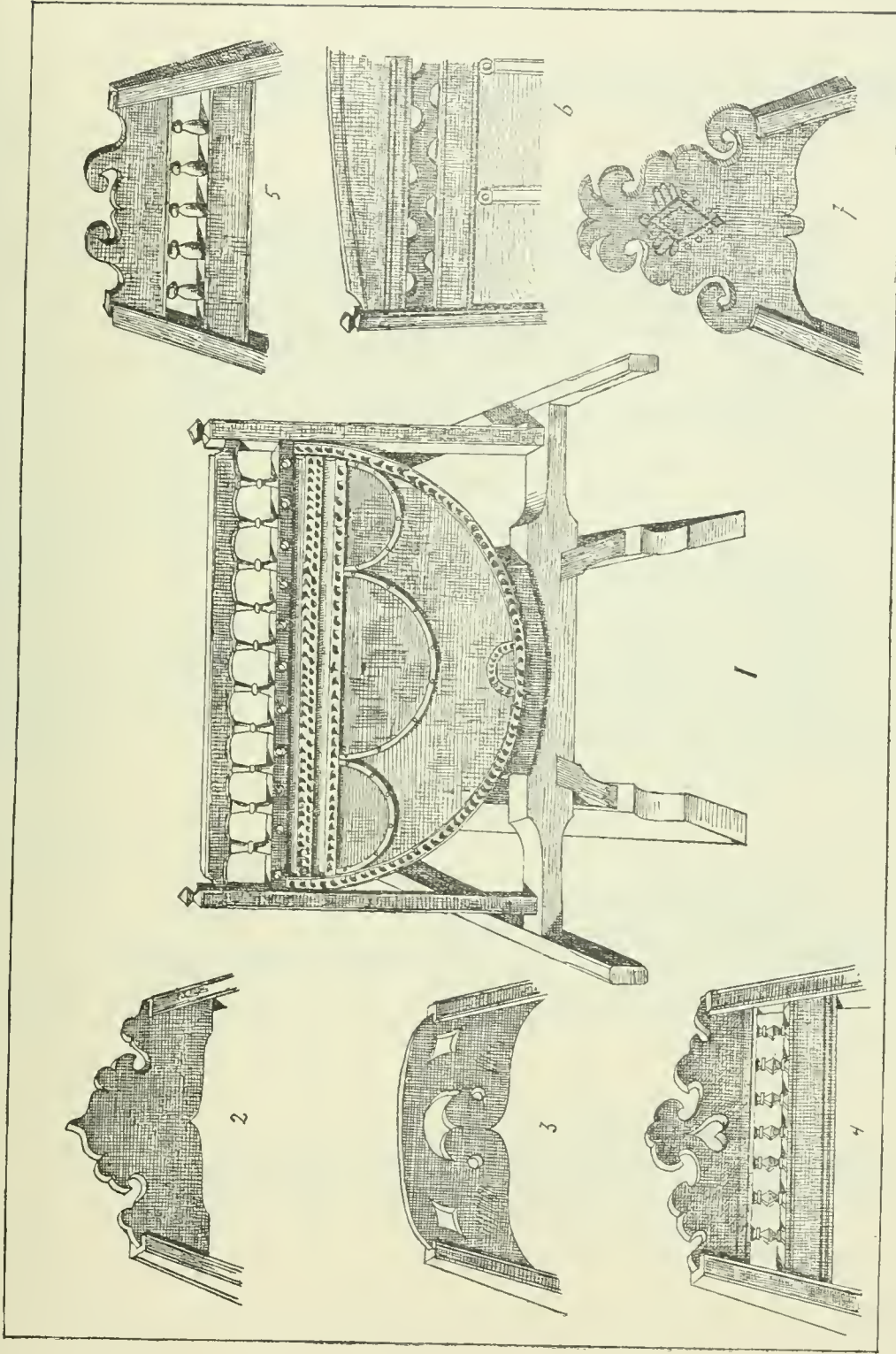
TABLICA LXIII

SANKI

Rysunek Wład. Matlakowskiego.

1. Śliczne, duże i oryginalne sanie Kazimierza Klinka z pod Nowego Targu.
Narysowany tylko pośladek widziany z zady.
2. Część przodku ze sanek Gronikowskiego (Zakopane).
3. Część przodku ze sanek Pawła Hycza (z Poronina).
4. Ładny przodek z galeryjką i parzenicą.
5. Inny przodek.
6. Część pleców od sanek Pawła Janika (Zakopane).
7. Sam wierzch przodku sanek Stopki (Kościeliska).

Tablica LXIII.



TABLICA LXIV

NARZĘDZIA GĘDZIEBNE

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

1. Skrzypki, czyli gęśliki, v. gąsiołki Sabaly; zowią je także złupca-eki, czy złóbeacki, (nie wiem jak winno się pisać).

2. Skrzypki czyli gęśliki; odróżnij: strunica, do której u dołu przymocowywane są struny, druga, deszczka nad którą przebiegają struny u góry; głowa w której osadzone są kolki z rozwiniętymi strunami; podstawa k=podpórka pod struny, a w środku kadłuba schowana jest dusza t. j. podpórka pod dekę; wreszcie głośnieca, esowate otwory w dece.

3. Dudy czyli koza; rurka w którą się dmucha powietrze, nazywa się gędzica, albo gajdzica, albo inaczej tresć (od słowiańskiego trest' = trzcina, vel treina jak wymawiają w innych stronach kraju); sam miech jest ze skóry odartej z kozy lub barana.

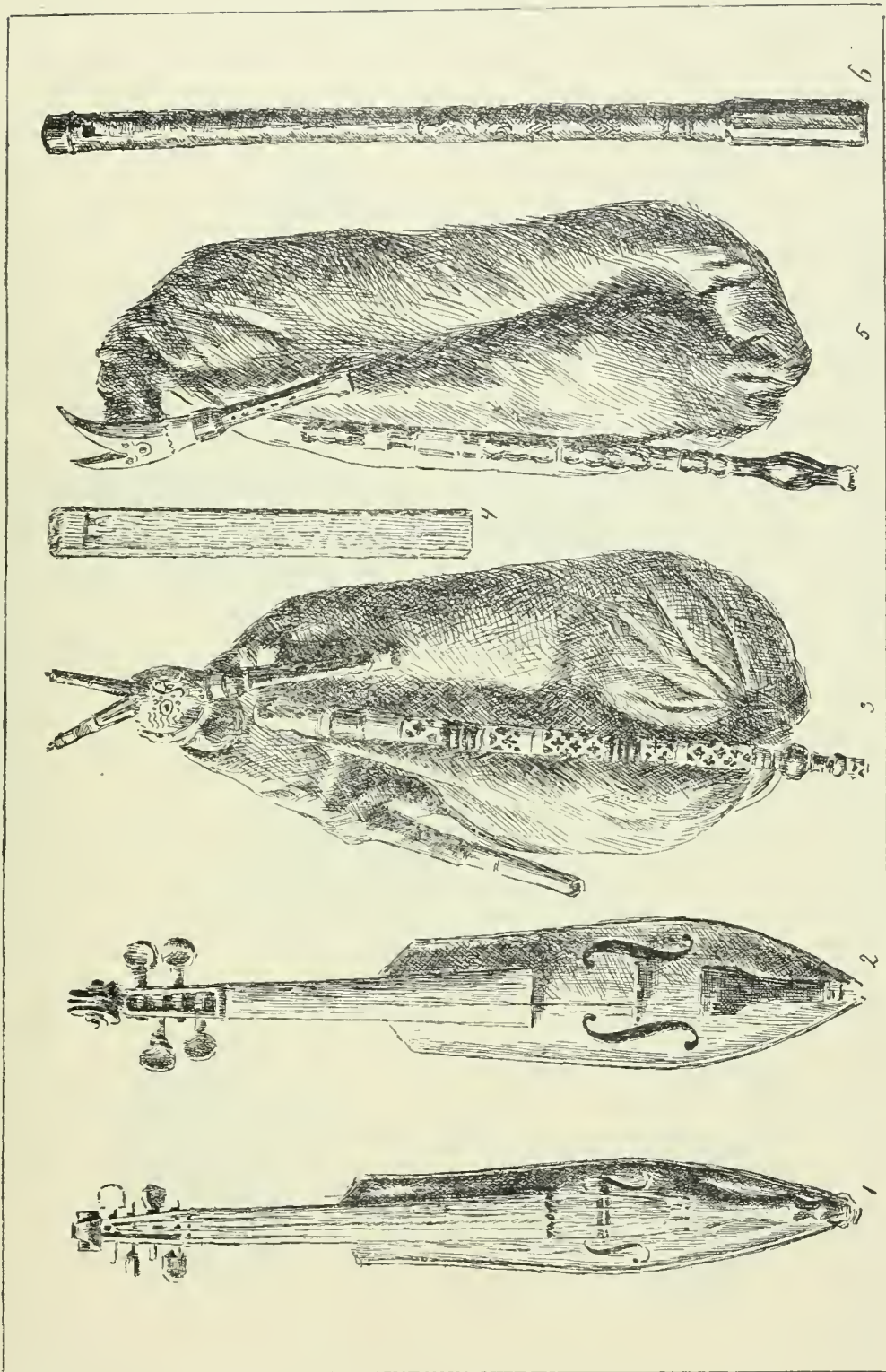
Własność p. Gnatońskiego; roboty Liptackiej.

4. Piszczałka jesionowa; tu na Podhalu są takie zabawne piszczałki, prostokątne nie okrągłe, z dwoma kanałami dla powietrza; na stronie odwrotnej tej, która jest odrysowana, znajdują się okrągłe dziurki do przebierania palcami.

5. Takież dudy, roboty polskiej; własność p. p. Dembowskiich.

6. Olbrzymia, stara fujara, zakopcona i wytarta od rąk, używana od juhásów na hálach, ryzowana w stary deseń; długość 91 ctm. obwód 13 ctm. ze zbioru p. p. Dembowskiich.

Tablica LXIV.



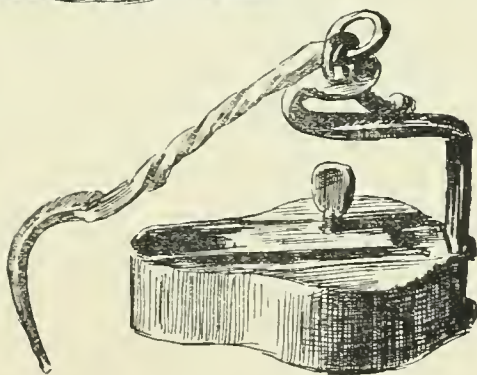
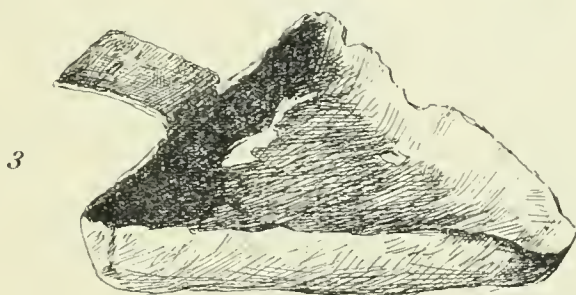
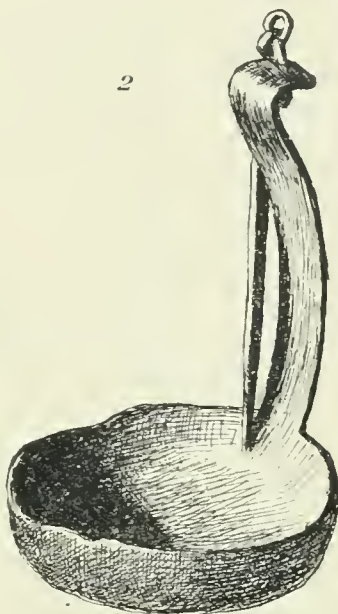
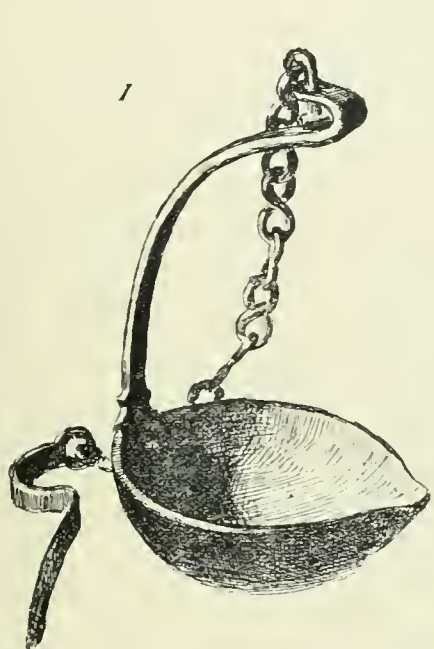
TABLICA LXV

KAGANKI

Rysunek p. Stan. Witkiewicza.

- N^o 1. Pochodzi od Gackuli, robił Stanik.
 - N^o 2. Robił Wojdyła z Gubałówki.
 - N^o 3. Jest najstarszy i pochodzi z Chochołowa.
 - N^o 4. Zrobiony jest z gliny.
 - N^o 5. Górniczy pochodzi z Ratułowa.
-

Tablica LXV.





Sprostowania.

Pomimo, że dwie osoby trzykrotnie poprawiały odbitki, przoczekono jednak niektóre omyłki. poprawić przeto je należy przed rozpoczęciem czytania książki.

	<i>stron.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
W „Od wydawcy“	I	2	musiło	musiało
W „Życiorysie“	VII	11 od góry	zdobyra	zdobyta
„	XV	14 od góry	kosznie	koszule
„	tamże	18 od dołu	malon	malom
„	XVII	ostat. w przypisku	mogil	mogila
„	XLV	3 od góry	prawle	prawie.
„	LXXVII	2 od dołu w przyp.	zuany	znany.
„	LXXXV	2 od dołu	obawa	obawę
W „Tekście“	2	15 od góry	ludowę	ludową
„	10	2 od dołu	110	111
„	11	13 „ „	scheblowali	sheblowali
„	19	9 od góry	turzeszoto	tn rzeszoto
„	23	3 od dołu	przydrożnych	przydrożnych i
„	31	ostatni w tekście	112	115
„	33	w objaśnieniu ryc. 61	po wyrazie Parzenica dodać należy	¹ / ₃ *)
„	44	9 od dołu	niedźwiedzie	owce *)
„	46	12 od dołu {	które	który
„		}	świeże	świeża
„	62	w przypisku 3-m	107	119
„	73	17 od góry	ryc. 109 na str. 70	ryc. 118 na str. 84
„	76	21 „ „	zego	czego
„	94	2 od dołu	futejszego	tutejszego
„	99	2 od góry	krzastowity	krzasłowity
„	107	2 „ „	donieszala	domieszala
„	108	18 „ „	zapomiała	zapomniła
„	110	ostat. w przypisku 8-m	zwezajna	zwyeczajna.
„	125	15 od góry	niedźwiedzi	owiec*)
„	142	4 „ „	wykreślić „co“	
„	159	3 od dołu	bieluchn-	bieluchną
W objaśnieniach tabl.	Tabl. II		M. Matlakowskiego	W. Matlakow-kiego
„	„ III		Zaborowskiego	Zaborowskiego
„	„ IV 1		polichrowana	polichromowana
„	„ VIII 4		ostnia	ostatnia
„	„ XV 2		112	115
„	„ XXVIII 7		osda	osada
„	„ LXIV 5		s	sa

*) Błąd ten znajdował się w rękopisie autora, uwagę nań łaskawie zwrócił p. S. Witkiewicz



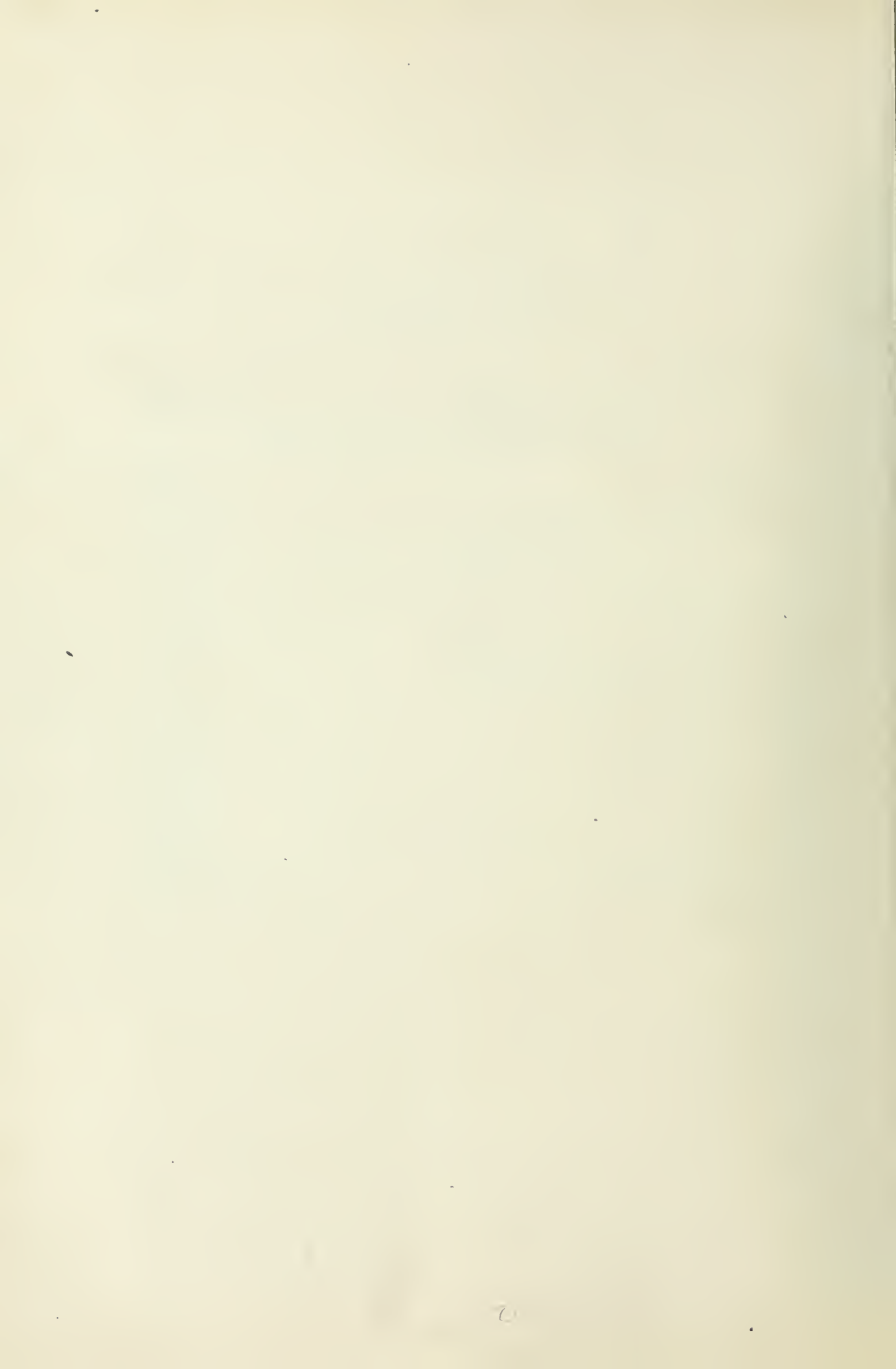
SPIS RZECZY.

Od wydawcy

Władysław Matlakowski. Życiorys str. I - XCI.

Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu.

	<i>Strony.</i>
Wstęp	1— 13
Część ogólna	14— 56
A. Ozdoby geometryczne	18— 34
B. Ozdoby z motywów roślinnych	34— 38
C. Ozdoby z motywów zwierzęcych i ludzkich	38— 56
Część szczegółowa	57—176
Przemowa	59 - 65
Wnętrze izby i jej wyposażenie	66 - 96
Budynki gospodarskie i Zagroda	97—105
Rolnictwo, Sianokos	106—115
Pasterstwo	116—134
Obróbka lnu	135—144
Praca około lasu	145—152
Odzież	153—161
Strawa	162—168
Zamknięcie	169 - 176
Tablice z objaśnieniami	od str. I—LXV.



PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

NK Matlakowski, Wladyslaw
976 Zdobienie i sprzet ludu
P56M3 polskeigo na Podhalu

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 08 21 10 015 5